spectrum

BENJAMIN R. BARBER

DŻIHAD KONTRA MCŚWIAT




V
B

BENJAMIN R. BARBER

DŻIHAD KONTRA MCŚWIAT

BENJAMIN R. BARBER

DŻIHAD KONTRA MCŚWIAT

przełożyła
HANNA JANKOWSKA



Warszawskie
Wydawnictwo
Literackie
MUZA SA
Warszawa 1997

Tytuł oryginału: ***Jihad vs. McWorld***
Projekt okładki: *Maciej Sadowski*
Redakcja: *Barbara Gruszka*
Redakcja techniczna: *Mariusz Jaśtak*
Korekta: *Alicja Chylińska*



W projekcie okładki wykorzystano:
George Frederic Watts
Minotaur

ISBN 83-7079-866-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 1997

PRZEDMOWA

Koniec historii nie nastąpił, nie znaleźliśmy się też w cudownej krainie *techne*, obiecywanej przez futurologów. Upadek państwowego komunizmu nie doprowadził narodów do bezpiecznej demokratycznej przystani, a horyzont, jaki się przed nami roztacza, nadal przysłaniają chmury przeszłości, widmo bratobójczych walk i wojen domowych. Ci, którzy patrzą w przeszłość, stwierdzają, że wszystkie potworności niegdysiejszych rzezi odżyły w rozpadających się państwach – w Bośni, na Sri Lance, w Osetii i Rwandzie – i że nic się właściwie nie zmieniło. Ci, którzy spoglądają w przyszłość, prorokują, że osiągnięta dzięki rozwojowi rynków i technologii wzajemna zależność stworzy istny raj i że wszystko już wygląda inaczej albo wkrótce się zmieni. Odnieść można wrażenie, że jedni i drudzy obserwatorzy sięgają po różne almanachy, wyjęte z bibliotek całkiem odmiennych planet.

Każdy uważny czytelnik prasy codziennej, który zapoznaje się na pierwszych stronach gazet zarówno z wiadomościami o rzeziach i wojnach domowych, jak i z zamieszczanymi na stronach gospodarczych doniesieniami o mechanizmach działania globalnej infostrady i ekonomicznych aspektach fuzji wielkich firm telekomunikacyjnych, każdy, kto świadomie przyjmuje do wiadomości całą perspektywę, jaka go otacza, zdaje sobie sprawę, że nasz świat i nasze życie znalazły się w pułapce między dwiema, jak je nazywa William Butler Yeats, wiecznościami: rasy i duszy. Ta pierwsza stanowi odzwierciedlenie

plemiennej przeszłości, druga zaś zapowiada przyszłość nie znającą lojalności narodowych. W naszym świeckim wydaniu owe wieczności są jednak wypaczone: rasa kojarzy się wyłącznie z gniewem, dusza zaś przykrojona została na miarę ciała, według którego określa swoje potrzeby. Ani rasa, ani dusza nie stwarza nam perspektyw jasnej przyszłości, ani jedna ani druga nie gwarantuje w dalszej perspektywie demokratycznej organizacji społeczeństwa.

Pierwszy scenariusz, wywodzący się od rasy, zapowiada się niezwykle ponuro: nawrót wielkich grup ludzkości do form plemiennych, czemu towarzyszyć będą krwawe wojny, groźba bałkanizacji państw narodowych, gdzie kulturę podżega się przeciw kulturze, ludzi przeciw ludziom, plemię przeciw plemieniu. Jest to Święta Wojna, toczona w imię dziesiątków zaściankowych wierzeń, przeciw wszelkim formom wzajemnej zależności, współpracy społecznej i wzajemności, a więc przeciw technologii, kulturze masowej i zintegrowanym rynkom, przeciw nowoczesności jako takiej i przeciw przyszłości, w której nowoczesność się rodzi. Drugi scenariusz maluje tę samą przyszłość w niezwykle atrakcyjnych barwach, przedstawiając siły ekonomiczne, technologiczne i ekologiczne, które narzucają integrację i ujednolicenie, mesmeryzując ludzi na całym świecie szybką muzyką, szybkimi komputerami i „szybkim jedzeniem" (*fast food*). MTV, Macintosh i McDonald's to ich symbole. Za ich sprawą ludzkość zmienia się w jeden wielki park tematyczny, McŚwiat połączony środkami komunikacji, informacji, rozrywką i handlem. Między wieżą Babel a Disneylandem planeta nasza pospiesznie się rozpada i opornie zbiera w całość, a oba te procesy zachodzą jednocześnie.

Niektórzy są tak oszołomieni, że dostrzegają jedynie Wieżę Babel i ubolewają nad setkami nowo powstałych narodów prowadzących dialog z sąsiadami przy użyciu moździerzy i snajperskich karabinów. Inni – fanatycy Disneylandu – obstają przy futurologicznych banałach i przejęci wizją rzeczywistości wirtualnej, wykrzykują:

„Przecież ten świat jest taki mały!". I jedni, i drudzy mają rację. Jak to możliwe?

Zmusza się nas, byśmy dokonywali wyboru między czymś, co uchodzi za „zmierzch suwerenności" i dokonujący się w procesie entropii koniec całej historii[1], a powrotem do najbardziej zaciekłych konfliktów, do „zagrożenia globalną anarchią", do Miltonowskiego Pandemonium – stolicy piekła, do świata, który całkiem wymknie się spod kontroli[2].

Prawda o paradoksie, będącym tematem tej książki, jest taka, że obie tendencje, Dżihad i McŚwiat, działają jednocześnie, obie przejawiają się niekiedy w tym samym kraju i w tej samej chwili. Fanatycy irańscy jednym uchem słuchają mułłów nawołujących do świętej wojny, drugim zaś łowią dialogi telewizyjnych seriali – *Dynastii, Simpsonów* czy talk-show Donahue – nadawanych z satelity przez sieć telewizyjną Star należącą do Ruperta Murdocha. Chińscy przedsiębiorcy dokładają wszelkich starań, by wkraść się w łaski pekińskich działaczy partyjnych, a jednocześnie udzielają koncesji restauracjom KFC. W Nankinie, Hangzhou i Xian 28 takich restauracji obsługuje ponad 100 000 klientów dziennie. Rosyjska cerkiew, walcząca o odrodzenie wiary, weszła w spółkę joint venture z pewnym biznesmenem z Kalifornii: butelkuje i sprzedaje wody mineralne pod szyldem Saint Springs Water Company. Serbscy oprawcy, celujący do sarajewskich cywilów, którzy przemykają się pod murami, by zdobyć trochę wody, obuci są w adidasy i słuchają z walkmanów przebojów Madonny. Zarówno ortodoksyjni chasydzi, jak i mnożący się w szybkim tempie neonaziści sięgnęli po muzykę rockową jako środek mający przekazać ich przesłanie młodym pokoleniom, a fundamentaliści knują wirtualne spiski w Internecie.

Ani Dżihad, ani McŚwiat nie jest niczym nowym. Od czasów Oświecenia przez prace filozofów i poetów ubolewających nad Wiekiem Rozumu przewijają się dwa wątki: końca Historii, jako zwycięstwa nauki i rozumu, lub

będącej tworem nauki i rozumu potwornej perwersji (dzieło doktora Frankensteina u Mary Shelley). „Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; czysta anarchia szaleje nad światem" lamentował Yeats* a ci, którzy dzisiaj przypatrują się Dżihadowi, niewiele mają do dodania, ot, jakiś współczesny detal. W przypowieści o upadku Adama i wynikających z tego możliwościach zbawienia wyraża się dobitnie osiemnastowieczna – a także i nasza – ambiwalencja dotycząca przeszłości i przyszłości. Moim zamiarem jest jednak coś więcej niż przedstawianie w nowej postaci głównego paradoksu dziejów ludzkości. Interesuje mnie przede wszystkim nie tyle Dżihad czy McŚwiat, co zachodzący między nimi związek. Między tymi dwoma przeciwstawnymi siłami świat wymyka się bowiem spod kontroli [3]. Czyżby więc wspólną cechą Dżihadu i McŚwiata była anarchia: brak wspólnej woli i tej świadomej, podporządkowanej prawu zbiorowej kontroli społecznej, którą nazywamy demokracją?

Postęp posuwa się niekiedy chwiejnymi krokami, nie zawsze do przodu. W zawiłym labiryncie historii zdarza się, że Dżihad nie tylko buntuje się przeciw McŚwiatowi, ale z nim współdziała, a McŚwiat nie tylko Dżihadowi zagraża, lecz odradza go i wzmacnia. Tworzą własne przeciwieństwa i potrzebują się wzajemnie. Chciałbym nie tylko przybliżyć czytelnikowi Dżihad i McŚwiat po kolei, ale przedstawiając ten drugi nie spuszczać oka z tego pierwszego, analizując zaś Dżihad nie zapominać o kontekście McŚwiata. Możecie to nazwać dialektyką McŚwiata: takie umysłowe ćwiczenie, uwzględniające zasadnicze różnice między jednym i drugim zjawiskiem, ale uznające także ich ścisłą i paradoksalną zależność wzajemną.

Podjęta przeze mnie próba zastosowania dialektyki różni się jednak zasadniczo od wysiłków, jakich dokonywali dziewiętnastowieczni tytani myśli. I Hegel, i Marks,

---

* *Drugie przyjście*, przekład St. Barańczaka.

którzy dali się uwieść osiemnastowiecznej wierze w postęp, przekonani byli, że rozum jest po stronie postępu. Trudniej jednak uwierzyć, że ze starcia między Dżihadem i McŚwiatem wyniknie jakieś wyższe dobro. Wygląda raczej na to, że wolność człowieka zostanie w rezultacie ograniczona, a nie umocniona. Oba zjawiska mogą, pozostając w konflikcie, działać na rzecz tego samego celu, na zewnątrz widać konflikt, ale panuje ukryta harmonia, a demokracja z pewnością na tym nie skorzysta. W Berlinie Wschodnim plemienny komunizm ugiął się przed kapitalizmem. Niewzruszone, wyniosłe pomniki Marksa i Engelsa na placu ich imienia spoglądają na wschód, jakby wypatrując gestu pocieszenia z dalekiej Moskwy, ale naokoło na ulicach otaczających park, w którym pomniki uwięziono, pełno jest tanich restauracji w rodzaju TGI Friday's i międzynarodowych hoteli w rodzaju Radissona, a wielkie neony szyderczo migają w twarz twórcom socjalizmu markami Panasonic, Coke, GoldStar. Nowe bóstwa, w porządku, ale czy więcej wolności?

Cóż więc konkretnie oznacza dialektyczne ujęcie Dżihadu i McŚwiata, skoro na pierwszy rzut oka tendencje reprezentowane przez te siły wydają się tak niepodważalnie sprzeczne? Dżihad i McŚwiat działają przecież w przeciwstawnych kierunkach: jeden napędzany jest prowincjonalnymi fanatyzmami, siłę drugiego stanowią uniwersalizujące rynki. Jeden wytycza na nowo etniczne i przednarodowe granice wewnątrz państw, drugi, oddziałując z zewnątrz, sprawia, że granice stają się przepuszczalne. Dżihad i McŚwiat mają jednak wspólną cechę: wydają wojnę suwerennemu państwu, a tym samym podkopują jego demokratyczne instytucje. Oba wzdragają się przed społeczeństwem obywatelskim i pomniejszają znaczenie demokratycznych cnót obywatelskich, nie starając się przy tym wyłonić alternatywnych instytucji demokratycznych. Dżihad wytwarza społeczności oparte na więzach krwi, wykluczeniu obcych i nienawiści, mające demokrację za nic i przedkładające nad nią despotyczny

paternalizm lub uznaną przez ogół więź plemienną. McŚwiat tworzy światowe rynki oparte na konsumpcji i zysku, a kwestie dobra publicznego, o które niegdyś troszczyły się demokratyczne społeczności i ich rządy, pozostawia mało odpowiedzialnej, jeśli wręcz nie fikcyjnej, „ręce rynku". Rządy, onieśmielone ideologią rynku, wycofują się w najmniej odpowiednich momentach, kiedy powinny stanowczo interweniować. To, co uważano kiedyś za troskę o dobro publiczne, dziś podlega ostrej krytyce jako niezręczne i brutalne manipulanctwo [4]. Sprawiedliwość ustępuje przed prawami rynku, choć Felix Rohatyn bez osłonek przyznał: „rynek rządzi się brutalną, darwinistyczną logiką. Jest nerwowy i zachłanny. Żąda stabilności i jasnych reguł, ale to, co daje w zamian, nie zawsze można uznać za formę demokracji, jakiej byśmy najbardziej sobie życzyli" [5]. Jeśli na straży wolności stały niegdyś demokratyczne konstytucje i akty praw obywatelskich, to nowymi świątyniami wolności, jak twierdzi George Steiner, „będą restauracje McDonalda i Kentucky Fried Chicken" [6].

W sytuacji, gdy nie ma innego wyboru, jak ten między uniwersalnym kościołem rynku a oznaczającą nawrót do epoki plemiennej polityką partykularyzmów, narodom świata grozi atawistyczny powrót do średniowiecznego systemu, w którym lokalne plemiona i ambitni władcy wspólnie rządzili całym światem, sprawując władzę nad ludźmi zjednoczonymi uniwersalnym przesłaniem chrześcijaństwa, choć życie ich upływało w zwalczających się nawzajem lennych państewkach, a tożsamość mieli narzuconą wbrew swojej woli. W świecie tym książęta i królowie mieli mało realnej władzy, dopóki nie wymyślili ideologii nacjonalizmu. Nacjonalizm pozwolił utworzyć rząd sprawujący władzę nad obszarem większym od zamieszkanego przez jedno plemię, przy tym była to władza mniej kosmopolityczna od tej, jaką posiadał Kościół powszechny. Z czasem wyłaniały się pośrednie, coraz bardziej demokratyczne instytucje, które miały wytwo-

rzyć współczesne państwo narodowe (*nation-state*). Dziś, gdy historia ta się kończy, zmierzamy, jak się zdaje, ku odrodzeniu świata, w którym będziemy mogli wybierać tylko między świeckim uniwersalizmem kosmopolitycznego rynku a powszednim partykularyzmem plemienia.

W chaosie konfrontacji między globalnym handlem a prowincjonalną lojalnością etniczną giną cnoty demokratyczne. Na niebezpieczeństwo narażone są mechanizmy, za których pomocą demokracja umożliwiła ludom przekształcenie się w narody i sprawowanie suwerennej władzy w imię wolności i wspólnego dobra. Ani Dżihad, ani McŚwiat nie mają zamiaru tworzyć gwarancji dla cnót obywatelskich, zagrożonych przez procesy rozpadania się państw. Ani światowe rynki, ani wspólnoty połączone więzią krwi nie służą dobru publicznemu, a ich celem nie jest równość i sprawiedliwość. Bezstronne sądy i obradujące zgromadzenia nic nie znaczą dla band morderców, którzy występują w imieniu nowo wyzwolonych „ludów", a wpływ tych demokratycznych instytucji na wielonarodowe korporacje, występujące z kolei w imieniu nowo wyzwolonych rynków, jest w najlepszym wypadku marginalny. Dżihad prowadzi krwawą politykę tożsamości, McŚwiat – bezkrwawą politykę zysku. Należąc automatycznie do McŚwiata każdy staje się konsumentem, poszukując własnej tożsamości każdy należy do jakiegoś plemienia. Nikt jednak nie jest obywatelem, a czy do pomyślenia jest demokracja bez obywateli?

Od samostanowienia do Dżihadu

Daniel Patrick Moynihan przepowiadał niedawno, że pół setki państw, które prawdopodobnie powstaną w ciągu następnego półwiecza, będzie wytworem konfliktów etnicznych, czyli wojen domowych [7]. Związek Radziecki i Jugosławia wyprodukowały już do tej pory około 20 nowych (starych) „narodów" lub ułamków narodów.

W najbardziej jaskrawych przypadkach ONZ wysyła w miejsce konfliktu siły pokojowe, choć państwa członkowskie coraz mniej są skłonne do narażania swoich żołnierzy. Aktualnie międzynarodowe siły pokojowe stacjonują w 18 krajach i w prawie każdym wypadku mają naprzeciw siebie oddziały miejscowych rebeliantów lub uczestników wojny domowej[8]. Carter Center w Atlancie sporządził bardziej szczegółową, a przez to dłuższą listę, odpowiadającą w przybliżeniu mapie 48 ognisk niepokoju, jaką na początku 1993 roku opublikował „The New York Times"[9]. Według raportów Amnesty International, w ponad 60 krajach świata są więźniowie polityczni i odbywają się polityczne egzekucje.

W naszym niespokojnym świecie prawdziwymi aktorami nie są narody, lecz plemiona, z których wiele toczy ze sobą wojny. Chcą wytyczyć na nowo granice i podzielić istniejące państwa – tak wygląda sytuacja w zamieszkanej przez Kurdów części Iraku, muzułmańskim Sudanie czy serbskich rejonach Chorwacji. Afganistan, który jeszcze niedawno walczył z obcą inwazją, został w praktyce rozczłonkowany i podzielony między Patanów, Hazarów, Uzbeków i Tadżyków. Tożsamość etniczną zyskuje się przez rozczłonkowanie państwa albo wygnanie lub wyrżnięcie niepożądanych elementów, jak w mającej pecha do rzezi Rwandzie. Czy to pandemonium stanowi przedłużenie niewinnych dążeń do wielokulturowości? Czy też naturalną konsekwencję odwiecznych dążeń do samostanowienia? A może pojawiła się nowa choroba, która skaziła klasyczny nacjonalizm, otwierając drogę do etnicznego i religijnego Dżihadu?

Przyznaję, że *Dżihad* to mocne słowo. W najłagodniejszym wydaniu oznacza religijną walkę za sprawę wiary, rodzaj islamskiego zelotyzmu. W najskrajniejszych przejawach politycznych jest krwawą świętą wojną prowadzoną w imieniu partykularnej tożsamości, określanej metafizycznie i bronionej z całym fanatyzmem. Choć dla wielu muzułmanów oznacza jedynie religijny zapał, który cał-

kiem słusznie można uznać za czynnik uniwersalizujący (a nawet w pewnym sensie ekumeniczny), ja będę używał znaczenia zapożyczonego od owych bojowników, dla których mordowanie „innych" jest ważniejszym obowiązkiem[10]. Pragnę bowiem określić tym mianem dogmatyczny i uciekający się do przemocy partykularyzm, znany równie dobrze chrześcijanom jak muzułmanom, Niemcom jak Hindusom czy Arabom. Zjawiska, do których to słowo odnoszę, wyglądają z początku dość niewinnie: polityka tożsamości i wielokulturowość mogą być strategiami wolnego społeczeństwa, które usiłuje dać wyraz swojej różnorodności. To, co kończy się Dżihadem, może się zacząć jako poszukiwanie tożsamości lokalnej, zespołu wspólnych cech służących przeciwstawieniu się znieczulającej i zobojętniającej uniformizacji, jaką niesie z sobą proces uprzemysłowienia i kolonizująca kultura McŚwiata.

Jako model tego rodzaju niewinnej wielokulturowości przedstawia się często Amerykę, choć i tutaj ma on swoich krytyków. Należy do nich Arthur Schlesinger jr., którego zdaniem wielokulturowość nigdy nie jest niewinna, sygnalizuje bowiem wejście na drogę prowadzącą do dezintegracji[11]. Będę miał jeszcze okazję przedstawić „amerykański Dżihad" w wydaniu radykalnej prawicy. Zadziwiające jest, że niespełna 10 procent współczesnych państw (jest ich około 20) to państwa prawdziwie jednonarodowe. Dania czy Holandia nie mogą podzielić się na mniejsze jednostki, chyba że się rozpadną na plemiona lub klany[12]. Tylko w połowie państw dzisiejszego świata jedna grupa etniczna stanowi 75 procent ludności[13]. Podobnie więc jak w Stanach Zjednoczonych, wielokulturowość stanowi regułę, homogeniczność to wyjątek. Państwa, które zewnętrznym obserwatorom wydają się narodowo jednolite, jak Japonia czy Hiszpania, okazują się wielokulturowe. Gdyby zaś za warunek samostanowienia przyjąć język, podstawowy czynnik konstytuujący naród, wystarczy policzyć, iloma językami mówi się na świecie,

a okaże się, że rodzina państw powinna wzrosnąć do ponad 6000 członków.

Państwo w swej współczesnej formie działało integrująco pod względem kulturowym i dobrze się przystosowało do pluralistycznych ideałów – ideologii obywatelskich i przekonań konstytucyjnych, wokół których może się zjednoczyć wiele klanów i plemion. Wynalezienie wspólnej religii obywatelskiej dla Amerykanów, Francuzów czy Szwajcarów nie było zbyt trudnym zadaniem, bo „narody" te skupiają wiele subnarodowych odłamów i grup etnicznych gorliwie poszukujących wspólnej płaszczyzny. Ale co z Baskami i Normanami? Czy potrzebują czegokolwiek poza więzami krwi i wspólną pamięcią? Co z Alzatczykami, Bawarczykami, ludnością dawnych Prus Wschodnich? Co z Kurdami, Osetyńcami, mieszkańcami Wschodniego Timoru czy Quebecu, Abchazami, Katalończykami, Tamilami, Zulusami Inkatha, Japończykami z Wysp Kurylskich? Co z tymi, którzy nie mają własnych krajów, zamieszkują państwa o przewadze innych narodów, próbują odseparować się nie tylko od tych innych, ale i od nowoczesności? Te przerażone plemiona nie uciekają ku ideałom obywatelskim, ale od nich, szukając czegoś bardziej konkretnego i stymulującego. Jak przekonać ludy, które określają swą tożsamość przez masakrowanie sąsiednich plemion, żeby zaczęły wyznawać kruchą i sztuczną wiarę, zorganizowaną wokół abstrakcyjnych ideałów obywatelskich czy rynków handlowych? Czy potęga reklamy zdoła odwieść krwawych wojowników od ludobójstwa, jakiego domagają się doznane niegdyś krzywdy?

Dżihad, podobnie jak McŚwiat, można, rzecz jasna, odmalowywać w jasnych i w ciemnych kolorach. Tak jak drapieżne niekiedy rynki McŚwiata promuje się w imieniu demokratycznego wolnego wyboru, tak i wojownicze interesy Dżihadu dają się podciągnąć pod hasło samostanowienia. Z ideologii samostanowienia wynika przecież czasami coś więcej niż te kilka patologii właściwych

dla Dżihadu. Robert L. Lansing, sekretarz stanu u prezydenta Woodrowa Wilsona, nie podzielał entuzjazmu swego przełożonego dla tej idei, stawiając pytanie, czy samostanowienie „nie zrodzi niezadowolenia, nieporządku i buntu? Samo to słowo jest wprost naładowane dynamitem. Da początek nadziejom, których nigdy nie będzie można urzeczywistnić. Obawiam się, że tysiące ludzi zapłacą za to życiem. Jakież to nieszczęście, że słowo takie zostało w ogóle wypowiedziane! Jakież niedole przyniesie!"[14].

Obawy Lansinga okazały się uzasadnione. Już za czasów Wilsona polityka samostanowienia doprowadziła do bałkanizacji Europy, rozpaliła ognie nacjonalizmów i spowodowała destabilizację, która przyczyniła się do powstania faszyzmu. Dziś nie znajdziemy plemienia, frakcji, grupy rozłamowców czy gangu z sąsiedztwa, które nie pretendowałyby do samostanowienia. „Nie wtrącaj się do mnie – wykrzykuje gansta raper. – Należy mi się szacunek". Szacunek logice gangów oddała nieszczęsna mapa podziału Bośni sprokurowana przez Owena i Vance'a. Mnożąc granice i zawężając zasięg wspólnot etnicznych usiłowała przedstawić w formie prawnej absurdalną zasadę uznawania prawie każdego bloku w mieście za odrębny naród, a każdego domu za potencjalnego suwerena. To niefortunne rozwiązanie polityczne, tak długo sankcjonowane przez nieszczęsną Radę Bezpieczeństwa ONZ, w innych czasach określono by jako sianie anarchii[15].

Za absurdalność Dżihadu nie można jednak obwiniać kartografów czy polityków działających na rzecz pokoju. Nie mają wpływu na scenę wydarzeń, oni ją tylko fotografują. Mnogość kultur sprowadza niekiedy anarchię, a samostanowienie przybiera czasami formę eksterminacji innych. Kolonialiści dopuszczali się w swoim czasie rzeczy jeszcze gorszych, kiedy arbitralnie kreślili linie na mapach, których nie umieli odczytać. Skutki dają się do tej pory odczuć na skolonizowanych niegdyś obszarach, przede wszystkim w Afryce i na Bliskim Wschodzie[16].

Dżihad jest więc wściekłą reakcją na kolonializm i imperializm oraz ich ekonomiczne wytwory – kapitalizm i modernizację. Jest różnorodnością w stanie amoku, wielokulturowością, która zmieniła się w złośliwy nowotwór – komórki nadal się dzielą, choć ich podział dawno przestał służyć zdrowiu organizmu [17].

Nawet tradycyjnie jednolite państwa mają podstawy, by obawiać się Dżihadu. Narastająca wzajemna zależność świata w sferze gospodarki i komunikowania się oznacza, że państwa te, choć wewnętrznie zjednoczone, będą musiały działać w coraz bardziej wielokulturowym środowisku. Jak na ironię, w świecie, który pod względem kultury masowej i handlu coraz bardziej się jednoczy, ujawnia się coraz więcej drobnych (prenarodowych) różnic etnicznych i rasowych, będących w dużej mierze reakcją na McŚwiat. Narody epoki postmodernizmu, zmuszone do nieustannego kontaktowania się, nie mogą swoich idiosynkrazji zachować dla siebie. Europa po Maastricht, choć nie spełniła wcześniejszych ambicji, zintegrowała się na tyle, że potrafiła narzucić całemu kontynentowi świadomość wielokulturowości. Konsekwencje tego stanu rzeczy bynajmniej nie okazały się pomyślne, a cóż dopiero jednoczące. Im więcej się mówi o „Europie", tym bardziej niechętne i świadome swej odrębności stają się tworzące ją narody. To, co Günter Grass powiedział o Niemczech: „zjednoczeni Niemcy okazali się bardziej podzieleni niż kiedykolwiek", odnosi się w całej rozciągłości do Europy, a także świata poza nią. Integracja oznacza większą niż kiedykolwiek dezintegrację [18].

W reakcji na McŚwiat siły zaścianka okopują się na swych pozycjach, wyklinają modernizację i stawiają jej opór zwalczając ją, gdzie tylko się da. Jednocześnie wchłaniają i asymilują nowoczesne wynalazki, zgodnie ze strategią, jaką wszyscy tubylcy stosowali przeciw wszystkim kolonizatorom, od czasów podboju Galii przez Rzymian. Kiedy przystąpiono do budowy hotelu Hilton na wzgórzach Budy, miejscowy architekt nadał mu kształt

trzynastowiecznego klasztoru. Kiedy Francuzi przywrócili Polom Elizejskim dawną świetność, pozbawili restaurację McDonalda typowego łuku. Inwazja amerykańskiej muzyki na Karaiby spowodowała wzmożony rozwój lokalnej produkcji muzycznej, styl reggae to tylko jeden z najlepiej znanych przykładów [19]. Nie docenilibyśmy jednak potęgi nowych rynków obejmujących całą planetę, gdybyśmy wyobrażali sobie, że nawrót do rodzimych wartości i globalizacja to równe siły, stawiające Dżihad i McŚwiat na jednej płaszczyźnie. W „klasztorze" budapeszteńskiego Hiltona znajduje się kasyno, w paryskim McDonaldzie, bez względu na to, czy ma łuk, czy nie, podają takie same jak wszędzie hamburgery z frytkami, muzyka reggae zajmuje skromne miejsce w programach MTV, nawet przeznaczonych dla Ameryki Łacińskiej. Mowy nie ma o jakimkolwiek współzawodnictwie.

Utrzymuje się jednak model stosunków feudalnych. Wracamy więc do porównania z epoką feudalizmu, tym zadziwiającym światem składającym się z fragmentów powiązanych w całość abstrakcyjną ideą chrześcijaństwa. Dziś rolę takiej abstrakcyjnej idei pełni rynek konsumenta, choć tak materialistyczny i świecki, lecz niemniej uniwersalny. W ślad za złotym łukiem McDonalda pojawiającym się w coraz to nowych krajach, rynek ciągnie za sobą trajektorię dolarów, obligacji, reklam, jenów, akcji i transakcji walutowych. Otoczył już nią całą planetę. Stwierdzenie Grassa można też rozumieć odwrotnie: zdezintegrowany, rozdarty przez Dżihad świat jest bardziej niż kiedykolwiek zjednoczony. I mocniejsza niż kiedykolwiek jest sieć wzajemnych zależności.

Kurczący się świat McŚwiata

Nawet najbardziej rozwinięte i samowystarczalne, zdawałoby się, państwa nie mogą już pretendować do pełnej suwerenności. To właśnie oznacza *ekologia*, termin

sugerujący zanik wszystkich granic wytyczonych przez człowieka. Granice między państwami przestają się liczyć, gdy w grę wchodzi kwaśny deszcz, wyciek ropy naftowej, wyczerpywanie się łowisk, skażenie wód gruntowych, aerozole zawierające CFC, wyciek z reaktora jądrowego, toksyczne odpady czy choroby przenoszone drogą płciową. Toksyny nie zatrzymają się na komorze celnej, a mikroby nie mają paszportów. Biorąc pod uwagę wodę i powietrze, Ameryka Północna stała się strefą wolnego handlu na długo przedtem, zanim NAFTA złagodziła przepisy dotyczące przepływu towarów.

Dużo i często mówi się o skażeniu środowiska. Niewiele można dodać do obfitej literatury ostrzegającej przed biologicznym Armagedonem. Wystarczająco dużo wiemy o tym, jak niszczycielskie skutki dla niemieckich lasów mają szwajcarskie i włoskie samochody małolitrażowe napędzane etyliną zawierającą ołów (Europejczycy pozostają daleko w tyle za Amerykanami, jeśli chodzi o rozpowszechnienie benzyny bezołowiowej). Wiemy, że planeta może się udusić od gazów powstających w wyniku efektu cieplarnianego, bo farmerzy z Brazylii, chcąc dogonić XX wiek, wypalają tropikalne lasy deszczowe, by zyskać skrawki ziemi pod uprawę, a wielu Indonezyjczyków żyje z przerabiania bujnej dżungli na wykałaczki dla wykwintnych japońskich restauracji. Prowadzi to do zakłócenia delikatnej równowagi tlenu w atmosferze i niszczy płuca naszej planety.

Ekologiczna współzależność ma jednak charakter reaktywny: jest wynikiem działania sił przyrody, którego nie potrafimy przewidzieć ani w pełni kontrolować. Wzajemna zależność McŚwiata i wynikające stąd ograniczenia suwerenności to w większym stopniu kwestia aktywnych sił ekonomicznych, dla których globalizm jest celem, do jakiego świadomie dążą. O tych właśnie siłach działających w sferze gospodarki i handlu – ostatniej rundzie w długotrwałym dążeniu kapitalizmu do zdobycia światowych rynków i konsumentów na skalę globalną – będzie głównie mowa w tej książce.

Każda gospodarka narodowa i każdy rodzaj dobra publicznego może się dzisiaj stać obiektem inwazji ze strony ponadnarodowego handlu. Rynki nienawidzą granic tak, jak natura nienawidzi próżni. W ich ekspansywnych i przenikalnych sferach interesy są prywatne, handel – wolny, waluty – wymienialne, dostęp do sektora bankowego swobodny, umów się przestrzega (to jedyna ekonomiczna funkcja państwa), prawa produkcji i konsumpcji są suwerenne i przebijają prawa ustawodawców i sądów. Rynki takie podważyły już suwerenność państw w Europie, Azji i obu Amerykach, rodząc całą klasę nowych instytucji: międzynarodowych banków, stowarzyszeń handlowych, ponadnarodowych grup nacisku w rodzaju OPEC, światowych sieci informacyjnych, jak CNN i BBC, oraz wielonarodowych korporacji. Są to instytucje bez określonej tożsamości narodowej, nie przyjmujące jej ani nie respektujące jako zasady organizacyjnej lub cokolwiek regulującej. O ile zakłady przemysłowe znajdują się w konkretnym miejscu na suwerennym terytorium, pod okiem państwa, które może pełnić funkcję regulującą, o tyle rynki walutowe i Internet znajdują się wszędzie, a w praktyce nigdzie. Nie mając adresu ani afiliacji narodowej, działają poza jakąkolwiek suwerennością [20]. Nawet towary stają się anonimowe: do jakiej narodowości robotników można mieć pretensje, skoro przy wadliwym obwodzie scalonym znajdujemy etykietę:

Wyprodukowano w jednym z następujących krajów albo w kilku z nich: Korea, Hongkong, Malezja, Singapur, Tajwan, Mauritius, Tajlandia, Indonezja, Meksyk, Filipiny. Kraj pochodzenia nie ustalony. [21]

Jak w takich warunkach może być w ogóle mowa o społecznej i politycznej odpowiedzialności?

Za sprawą rynku pilniejsza stała się w istocie potrzeba pokoju i stabilności na świecie, są one bowiem niezbędne dla wydajnej gospodarki międzynarodowej. Nie zwiększyły się jednak szanse obywatelskiej odpowiedzialności czy demokracji, które na handlu i wolnym rynku mogą

skorzystać albo nie. Twierdzenie, że demokracja jest nierozłącznie związana z wolnym rynkiem, stało się banałem powtarzanym przez polityków, zwłaszcza po zgonie państwowego socjalizmu, kiedy fanatycy kapitalizmu uznali się nie tylko za zwycięzców zimnej wojny, ale i prawdziwych rzeczników demokracji, która, o czym są niezbicie przekonani, może rozkwitnąć tylko w warunkach wolnego rynku. Udało im się przerobić dość już kontrowersyjne twierdzenie, jakoby rynek był wolny, na jeszcze bardziej kontrowersyjne, zgodnie z którym wolność rynkowa zawiera w sobie demokrację, a nawet ją określa. Podczas wizyty w Europie Wschodniej i Rosji na początku 1994 roku prezydent Clinton jak mantrę powtarzał frazes o „demokratycznym rynku"[22]. Jego współpracownicy zajmujący się polityką zagraniczną konsekwentnie szli w jego ślady[23].

Tę zamaskowaną retorykę, która sugeruje, że kapitalistyczne interesy są nie tylko do pogodzenia z ideałami demokracji, ale je aktywnie wspierają, trudno, w przełożeniu na politykę, pogodzić z realiami areny międzynarodowej ostatnich pięćdziesięciu lat. Gospodarka rynkowa okazała wyjątkowe zdolności przystosowawcze i rozkwitła w wielu państwach despotycznych, od Chile po Koreę Południową i od Panamy po Singapur. W państwie, którego rząd należy do najmniej demokratycznych na świecie – Chińskiej Republice Ludowej – gospodarka rynkowa rozwija się w niesamowicie szybkim tempie. „Komunistyczny" Wietnam nie pozostaje w tyle. Przed amerykańskim handlem otworzył się niedawno, zapewne panowało tam silne przekonanie, że rynek w ostatecznej instancji pokona ideologię[24]. Kapitalizmowi potrzebni są konsumenci mający dostęp do rynków, a także stabilny klimat polityczny. Demokracja może takim warunkom sprzyjać, ale nie musi. Bywa źle zorganizowana, a nawet anarchiczna, zwłaszcza we wczesnym stadium. Często dba o dobro publiczne, co bywa kosztowne, albo kłóci się z wymogami rynku prywatnego – weźmy na przykład

kwestie ochrony środowiska czy pełnego zatrudnienia. Na poziomie pojedynczego człowieka kapitalizm ubiega się o konsumentów, których potrzeby da się łatwo kształtować i manipulować nimi. Demokracji potrzebni są natomiast obywatele niezależnie myślący i oceniający. Aleksander Sołżenicyn chciałby „okiełznać dziki kapitalizm", ale to kapitalizm pragnie okiełznać skłonną do anarchii demokrację. Najwyraźniej nie sprawia mu problemu tolerowanie tyranii, dopóki gwarantuje ona stabilizację[25].

Pospieszna pogoń za wolnym rynkiem, bez liczenia się ze społecznymi konsekwencjami, z pewnością zagroziła rozwojowi demokracji w wielu państwach wyzwolonych niedawno od komunizmu[26]. Brak zabezpieczenia społecznego i szerzące się bezrobocie nie nawrócą raczej na system demokracji ludzi przywykłych do tego, że paternalistyczna biurokracja socjalistycznego państwa prowadziła ich za rękę od kolebki aż po grób. Do demokracji nie są skądinąd przyzwyczajeni. Być może właśnie dlatego większość wyborców w krajach postsowieckich (z nielicznymi wyjątkami) postarała się wybrać ponownie byłych funkcjonariuszy komunistycznych (występujących przeważnie pod nowymi partyjnymi szyldami i z nowymi hasłami ideologicznymi) do nowych demokratycznych ciał ustawodawczych. Jak stwierdził bez ogródek ekonomista Robert McIntyre: „Komuniści i byli komuniści wygrywają, bo gospodarcze porady rodem z Zachodu przyczyniły ludziom bezsensownego, dysfunkcjonalnego cierpienia, nie stwarzając podstaw konkretnego rozwoju politycznego i społecznego"[27]. Prawo do wybierania między dziewięcioma typami magnetowidów czy kilkunastoma markami samochodów niekoniecznie jest odczuwane jako wolność przez robotników, których miesięczne zarobki ledwo wystarczają na zakup coraz bardziej drożejącego chleba, a cóż dopiero przez kobiety i mężczyzn pozostających bez pracy. Kapitaliści mogą być demokratami, ale kapitalizm nie potrzebuje demokracji ani jej

nie ustanawia. A z pewnością nie jest mu potrzebne państwo narodowe, stwarzające demokracji najlepsze warunki.

Nie chodzi tutaj o krytykę kapitalizmu jako takiego: trudno się dziwić, że akcyjne spółki z ograniczoną odpowiedzialnością zainteresowane są przede wszystkim zyskiem, a swobody obywatelskie i sprawiedliwość społeczną wspierają tylko wtedy, gdy nie powodują one obniżki zysku poza granicę opłacalności. Poza pożytkami ekonomicznymi, jakie przynoszą, kapitalistyczne firmy mają niezaprzeczalne zalety: propagują wydajność, produktywność, elastyczność, rentowność. Są wrogami zaściankowości, izolacji, frakcyjności i wojny. Niechętnie się odnoszą do ograniczania ekonomicznego wyboru i mobilności społecznej, choć trudno powiedzieć, by stawały się przez to sprzymierzeńcami sprawiedliwości. Psychologia wolnego rynku może ponadto wpłynąć tonująco na mentalność ideologicznych i religijnych podziałów i sprzyjać zgodzie między producentami a konsumentami. Nie pasuje to raczej do ograniczonej, religijnej lub etnicznej kultury Dżihadu. Ale mentalność wolnorynkowa wywiera niszczycielski wpływ na skłonność do sceptycznych dociekań, na której opierają się niezależne sądy i opór wobec manipulacji. W obszarze McŚwiata alternatywą dogmatycznego tradycjonalizmu może się okazać materialistyczny konsumeryzm, relatywistyczny sekularyzm albo po prostu przynosząca zyski korupcja[28]. Związki między McŚwiatem a demokracją są w najlepszym razie przypadkowe. To prawda, że nawyk kupowania nie da się raczej pogodzić z purytańskimi zarządzeniami, czy będzie to brytyjski paternalizm nakazujący zamykać puby, czy przestrzeganie szabasu przez ortodoksyjnych Żydów, czy też zakaz sprzedaży alkoholu w niedzielę w stanie Massachusetts. Nietolerowanie tego rodzaju zakazów nie jest jednak równoznaczne z przestrzeganiem konstytucji czy prawem do sprawiedliwego procesu. W kontekście wspólnych rynków prawo międzynarodowe przestało być w znacznej mierze wizją sprawiedliwości, służy na co

dzień konkretnym rzeczom: wywiązywaniu się z umów, potwierdzaniu transakcji, regulowaniu stosunków handlowych i monetarnych, nadzorowaniu fuzji lub bankructw. Moraliści ubolewali, że prawo międzynarodowe nie było w stanie zapobiec niesprawiedliwościom czynionym przez państwa, ale okazało się, że w jeszcze mniejszym stopniu potrafi pokierować rynkami, które, poza wszystkim, nie mają nawet adresów, gdzie można byłoby wysyłać wezwania sądowe. Rynki będąc wytworem mnóstwa indywidualnych decyzji albo pojedynczych działań podejmowanych przez korporacje nie reprezentują zbiorowej odpowiedzialności. A przecież odpowiedzialność to podstawowy obowiązek obywateli i instytucji obywatelskich.

Nie tworząc więc ani wspólnych interesów, ani wspólnego prawa, wspólne rynki wymagają zarówno wspólnej waluty, jak i wspólnego języka. Ponadto wytwarzają identyczne zachowania, kosmopolityczny miejski styl życia szerzący się na całym świecie. Piloci linii lotniczych, programiści komputerowi, reżyserzy filmowi, bankierzy, specjaliści od środków przekazu, wydobywający ropę naftową, znakomitości świata rozrywki, eksperci ochrony środowiska, producenci filmów, demografowie, księgowi, profesorowie, prawnicy, sportowcy to nowa rasa mężczyzn i kobiet, dla których religia, kultura i narodowość w marginalnym zaledwie stopniu liczą się jako składniki zawodowej tożsamości. Chociaż socjologowie obyczajów nadal będą odróżniać japoński styl życia od amerykańskiego, nawyk zakupów ma na całym świecie wspólne cechy. Cynicy stwierdziliby nawet, że prawdziwym celem niektórych rewolucji, jakie się niedawno dokonały we wschodniej Europie, była nie tyle wolność i prawo głosu, co dobrze płatne prace i prawo do zakupów. Zakupy oznaczają konsumpcję, a konsumpcja zależy od fabrykowania potrzeb, a także towarów, które zaliczę do specyficznego sektora gospodarki opartej na usługach – telesektora inforozrywkowego.

McŚwiat to wytwór kultury masowej napędzanej przez ekspansjonistyczny handel. Wzorzec jest amerykański, forma szykowna. Towarami są zarówno obrazy, jak przedmioty materialne, asortyment estetyczny i konkretny. Kultura jest na sprzedaż, zewnętrzny wystrój stanowi ideologię. Symbolem McŚwiata są motocykle Harley-Davidson i cadillaki ściągnięte z autostrad, gdzie służyły kiedyś jako środki transportu, do przedsionków światowych kawiarń, takich jak Harley-Davidson i Hard Rock, gdzie stają się symbolem określonego stylu życia. Nie służą do jazdy, tylko do wywoływania określonych skojarzeń: obrazów ze starych filmów, a także współczesnych sław, dzięki którym tak ogromną popularnością cieszy się międzynarodowa sieć kawiarń Planet Hollywood. Muzyka, wideo, teatr, książki i parki tematyczne – te nowe kościoły komercyjnej cywilizacji, której publicznymi placami są domy towarowe, a przedmieścia zapewniają stosunki sąsiedzkie bez obecności sąsiadów – są to wszystko obrazkowe produkty eksportowe, tworzące wspólny dla całego świata gust wokół tych samych znaków firmowych, logo, reklam, gwiazd, piosenek, sloganów i marek. Twarda potęga ustępuje przed miękką, ideologia przemienia się w swego rodzaju wideologię oddziałującą poprzez slogany i wideoklipy. Wideologia jest bardziej rozmyta i mniej dogmatyczna niż tradycyjna polityczna ideologia, dzięki czemu może z o wiele większym powodzeniem wpajać ludziom nowomodne wartości przesądzające o sukcesie globalnego rynku.

Wideologia McŚwiata to najgroźniejszy rywal Dżihadu i w długim okresie czasu może rozmiękczyć jego uporczywy trybalizm[29]. Ale oprzyrządowanie rewolucji informacyjnej stanowi również ulubioną broń Dżihadu. Tożsamość Hutu czy Serbów bośniackich opiera się nie tyle na prawdziwej pamięci wspólnej historii, ile jest dziełem propagandy uprawianej w środkach przekazu przez przywódców pragnących zlikwidować konkurencyjne klany. Zarówno w Rwandzie, jak i w Bośni audycje radiowe

podjudzały słuchaczy do szaleńczych mordów. Jak stwierdził recenzent muzyki rockowej z „New York Timesa", Jon Pareles: „regionalizm w muzyce pop stał się równie modny jak piwo z maleńkich browarów i telewizje kablowe o niewielkim zasięgu. Powody są te same"[30]. Kultura globalna dostarcza kulturze lokalnej środka przekazu i publiczności, formułuje także jej roszczenia. Faszystowski pop i chasydzki rock to nie oksymorony, wyrażają one w szczególnie dramatyczny sposób dialektykę McŚwiata. W Belgradzie działają radiostacje nadające zachodnią muzykę pop na złość ultranacjonalistycznemu rządowi Miloševica, jak również i takie, w których programach melodie ludowe okraszone są ksenofobicznymi i antysemickimi treściami. Nawet w Internecie znajdziemy neonazistowskie BBS i turkożerczych fanatyków ormiańskich (którzy zwalczają używanie słowa *Turkey* nawet wtedy, gdy oznacza ono indyka). Abstrakcja cyberprzestrzeni też jest skażona osobliwym, zajadłym partykularyzmem.

Związek między Dżihadem a McŚwiatem ma głęboko dialektyczny charakter. Na przykład Japonia zaczęła w ostatnich latach kłaść szczególny nacisk na rodzime tradycje kulturowe, choć Japończycy coraz więcej kupują w McŚwiecie. W 1992 roku restauracją numer jeden pod względem liczby klientów był w Japonii McDonald's, na miejscu drugim znalazła się sieć Kentucky Fried Chicken[31]. We Francji, gdzie puryści biadają nad krążącym widmem „Szóstej Republiki" („la Républiqne Américaine"), rząd, który przypuszcza atak na język „franglais", dotuje równocześnie EuroDisneyland nieopodal Paryża. Przemysł filmowy nie pozostaje w tyle: wydając wojnę importowi filmów amerykańskich, przyznaje Sylvestrowi Stallone jedno z najwyższych francuskich odznaczeń, tytuł Chevalier des arts et lettres[32]. Podobna ambiwalencja wkrada się do Indii. Niedaleko Bombaju, tuż obok ubogich wiosek, których mieszkańcy do tej pory likwidują niechciane noworodki płci żeńskiej,

a nawet żony, znajdziemy nowe miasto zwane SCEEPZ – Santa Cruz Electronic Export Processing Zone – gdzie programiści komputerowi mówiący po tamilsku, hindi i maharati piszą programy dla Swissair, AT&T i innych wielonarodowych kompanii świadomych kosztów siły roboczej. Indie stanowią przykład zakorzenionych w przeszłości napięć etnicznych i religijnych, a zarazem „wyłaniającej się potęgi międzynarodowego przemysłu programów komputerowych”[33]. Według słów jednego z pracowników, „gdy jedzie się do pracy w SCEEPZ to tak, jakby się przekraczało granicę państwa”. Nie wjeżdża się jednak do innego kraju, tylko do wirtualnej krainy McŚwiata, która nigdzie materialnie nie istnieje.

Jeszcze dramatyczniej przedstawia się osobliwa dialektyka Dżihadu i McŚwiata w byłej Jugosławii. W poruszającym artykule dla „New Republic” Slavenka Drakulič opisywała niedawno krótką i tragiczną historię miłości Admiry i Boska, dwojga urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą kochanków z Sarajewa. „Oboje przyszli na świat pod koniec lat sześćdziesiątych. Oglądali filmy Spielberga, słuchali Iggy Popa, czytali Johna le Carré, co sobota chodzili do dyskoteki i marzyli o podróży do Paryża lub Londynu”[34]. Usilnie pragnęli znaleźć się w bezpiecznym miejscu i udało im się podobno wynegocjować ze wszystkimi stronami, że zostaną przepuszczeni. Przygotowali się do opuszczenia Sarajewa, ale tuż przed magiczną granicą oddzielającą ich nieszczęsną krainę od widniejącego na horyzoncie bezpiecznego schronienia McŚwiata dopadł ich Dżihad. Ciała Admiry i Boska leżą nad rzeką, podziurawione kulami bezimiennych snajperów, którzy uznali „bezpieczne przejście” za zaproszenie do ćwiczeń w strzelaniu do celu. Zamordowani kochankowie, jak przystoi emigrantom wybierającym się do McŚwiata, mieli na sobie dżinsy i adidasy. Nietrudno sobie wyobrazić, że identycznie ubrani byli ich zabójcy.

Turyści, którzy jeszcze dalej na wschodzie szukają czegoś, co przypominałoby im starą Rosję, a jednocześnie

nie odbiegało zbytnio od MTV, mogą znaleźć tradycyjne rosyjskie babuszki o całkiem nietradycyjnych twarzach. Od największej do najmniejszej przedstawiają one kolejno: Bruce'a Springsteena, Madonnę, Boya George'a, Dave'a Stewarta i Annie Lennox[35].

W Rosji, Indiach, Bośni, Japonii i Francji współczesna historia skłania się więc we dwie strony: ku krzykliwej nieuchronności McŚwiata, ale i ku lodowatym powiewom Dżihadu. Waha się tak między nimi przychylając się zarówno do Panglosa, jak i do Pandory, czasem z tych samych powodów. Panglos stawia na EuroDisneyland i Microsoft, Pandora na nihilizm i pandemonium. Jednakże McŚwiat i Dżihad wcale nie zmuszają do wyboru między tak przeciwstawnymi scenariuszami. Działając wspólnie tworzą raczej duszącą mieszaninę ich obu, unoszącą się wśród chaosu. Pod każdym względem przeciwstawne, Dżihad i McŚwiat razem spiskują przeciw naszym ciężko (jeśli nie połowicznie) wydartym swobodom obywatelskim i szansom demokratycznej przyszłości dla całego świata. Wkrótce można się spodziewać, że siły Dżihadu, hałaśliwsze i bardziej nihilistyczne niż siły McŚwiata, zdominują najbliższą przyszłość, naznaczając nasze czasy historiami lokalnych tragedii i regionalnych ludobójstw, tworząc klimat niestabilności, którego oznaką będą liczne mikrowojny nie sprzyjające globalnej integracji. Ale w dalszej perspektywie sił McŚwiata nie da się zapewne powstrzymać, bo to na nich opiera się powolna, lecz nieuchronna ofensywa zachodniej cywilizacji. Jeszcze długo w następnym stuleciu mikrowojny Dżihadu będą zajmowały miejsca w nagłówkach gazet, kompromitując raz na zawsze wszelkie przepowiednie o końcu historii. Ale homogenizacja narzucana przez McŚwiat raczej na pewno doprowadzi do makropokoju sprzyjającego zwycięstwu handlu i rynków. Ci, którzy kontrolują informację, telekomunikację i rozrywkę uzyskają ostateczną kontrolę nad losem człowieka. Jeśli nie uda nam się przedstawić alternatywy wobec starcia

między Dżihadem a McŚwiatem, epoka, na której progu stoimy – postkomunistyczna, postindustrialna, postnarodowa, ale przy tym naznaczona sekciarstwem i fanatyzmem i budząca lęk – okaże się także ostatecznie (na naszą zgubę) epoką postdemokratyczną.

CZĘŚĆ I

NOWY ŚWIAT McŚWIATA

1
Stary system gospodarczy i narodziny nowego McŚwiata

Alfred M. Zeien, dyrektor firmy Gillette, powiedział kiedyś: „Dla mnie obce kraje wcale nie są obce"[1]. Witajcie w McŚwiecie. Nic tak nie sprzyja globalizacji jak handel, żadnej ideologii narody nie są tak obojętne jak kapitalizmowi, nic nie stawia granicom tak bezczelnego wyzwania jak rynek. Pod wieloma względami korporacje odgrywają dziś na arenie międzynarodowej ważniejszą rolę niż państwa. Nazywamy je wielonarodowymi, ale lepiej brzmiałoby określenie ponadnarodowe, postnarodowe czy nawet antynarodowe. Korporacje wyrzekają się bowiem samej idei narodu czy wszelkiego innego prowincjonalizmu ograniczającego je w czasie lub przestrzeni. Ich klienci nie są obywatelami określonego państwa narodowego ani członkami prowincjonalnego klanu – należą do światowego plemienia konsumentów, którego tożsamość określają potrzeby i pragnienia. A te są powszechne, jeśli nie z natury, to dzięki sprytnemu oddziaływaniu reklamy. Konsument jest konsumentem jest konsumentem.

Sieć restauracji McDonalda obsługuje dziennie na całym świecie 20 mln klientów, czyli więcej niż liczy ludność Grecji, Irlandii i Szwajcarii razem[2]. General Motors (nadal największa na świecie firma, choć ostatnio ze sprzedażą jej się nie wiodło) zatrudnia w skali całego świata więcej pracowników, niż wynosi liczba mieszkańców niektórych mniejszych państw[3]. Prywatna firma Domino,

która w 1991 roku sprzedała pizze o łącznej wartości 2,4 mld dolarów, zarobiła tyle, że bez trudu pokryłaby wydatki rządów Senegalu, Ugandy, Boliwii i Islandii[4]. Japońska Toshiba chwali się w raporcie za 1992 rok: „jako firma z poczuciem obywatelskim dokładamy wszelkich starań, by wspierać nieustający postęp światowej społeczności". To poczucie obywatelskie, czy japońskie, czy globalne, ograniczone jest jednak wymogami zysku. A w 1992 roku zysk ze sprzedaży wyniósł 25 mln dolarów, trochę tylko mniej niż aktualny budżet Argentyny[5]. To zysk, a nie poczucie obywatelskie nadaje mandat globalizmowi. W nowej, modnej sieci restauracji Planet Hollywood *fast food* serwuje się elitom. Na „planecie Reebok" zaś „nie ma granic", jeśli wierzyć udanej kampanii reklamowej firmy produkującej obuwie sportowe, tylko z nazwy amerykańskiej[6]. Ralph Lauren, lansując w 1992 roku męskie perfumy Safari, także sławił „życie bez granic".

Popularna naklejka, która pojawiła się na zderzakach samochodowych w całych Stanach, głosi protekcjonistyczne hasło: „Prawdziwi Amerykanie kupują tylko amerykańskie wozy". Problem w tym, że trudno się zorientować, który samochód jest bardziej „amerykański" – chevrolet składany w Meksyku z części importowanych ze Stanów, a potem reimportowany, ford montowany przez Turków w niemieckiej fabryce, sprzedawany potem w Hongkongu i Nigerii, czy toyota camry, zaprojektowana przez Amerykanina Petera J. Hilla w Toyota's Newport Beach California Calty Design Research Center, składana przez amerykańskich robotników w montowni w Georgetown (stan Kentucky) z części wyprodukowanych głównie w Ameryce i poddawana testom na liczącym 12 000 akrów poligonie badawczym Toyoty w Arizonie[7]. Dziwna rzecz z tymi międzynarodowymi „japońskimi" samochodami: żeby uchodzić za japoński, musi jako całość być czymś więcej niż składające się nań amerykańskie części. Dochodzi do tego, że w przypływie

iście schizofrenicznego samochwalstwa Honda szczyci się swoimi „korzeniami" (czyli częściami) amerykańskiej produkcji, a nawet przyznanym przez „Motor Trend's" tytułem „importu roku".

Samochodowa genealogia stała się tak zawikłana, że rząd Stanów Zjednoczonych wydał specjalną ustawę o firmowych etykietach (American Automobile Labeling Act), zgodnie z którą od 1 października 1994 roku etykiety firmowe umieszczane na nowych samochodach mają wyszczególniać „składniki rodzimej produkcji", od silników po wycieraczki. Trudno jednak przypuszczać, by wyjaśniło to sytuację, bo na etykiecie możemy na przykład przeczytać, że dodge stealth Korporacji Chryslera składany jest w zakładach Mitsubishi w Japonii, a eclipse RS firmy Mitsubishi – w Normal w stanie Illinois, jego silnik zaś skonstruowano według wzoru Chryslera [8]. Etykiety mogą być mylące: dowiadujemy się z nich na przykład, że nissan altima składany w Stanach, głównie z amerykańskich części, ma przewody do chłodnicy wyprodukowane w Paryżu... tylko że chodzi w tym wypadku o miejscowość Paris w stanie Tennessee [9].

Autorom Północnoamerykańskiego Układu o Wolnym Handlu (NAFTA) szczególnie trudno było ustalić, które towary można w nowej strefie zwolnić od cła, skoro tak wiele „zagranicznych" produktów składanych jest w Ameryce Północnej z wyprodukowanych na miejscu części. Jak zakwalifikować japońskie kineskopy instalowane na podstawach montażowych pochodzących z Meksyku? Zgodnie z tradycyjnymi przepisami handlowymi uznano by takie telewizory za „produkt krajowy", przepisy NAFTA stanowią jednak, że kineskopy i działa elektronowe muszą być wyprodukowane na miejscu. Ponieważ jednak firmy japońskie mają spore udziały w „amerykańskich" hutach szkła wytwarzających kineskopy, telewizory „amerykańskie" i tak będą w znacznej części japońskie, choć według przepisów NAFTA uznane są za produkt krajowy [10]. Amerykańskie samochody muszą

mieć 50 procent (licząc według wartości) części produkcji krajowej, taki sam musi być udział lokalnej siły roboczej w ich produkcji (w 2002 ma wzrosnąć do 62,5 procent), ale czy przez to staną się naprawdę „amerykańskie"? Okazuje się, że zaopatrywanie towarów w firmowe etykiety określające ich pochodzenie jest jeszcze trudniejszym zadaniem niż określanie etnicznej tożsamości grup ludzkich. Chcąc bowiem ustalić – co zakrawa na absurd – narodowość danego towaru, trzeba go rozłożyć na części i każdą z nich opatrzyć stosowną etykietą, uwzględniając pochodzenie surowca, narodowość robotników, kulturową tożsamość projektanta itd.[11]

Historycznie rzecz ujmując, samochód jako taki ma w sobie coś rdzennie amerykańskiego. Zamierzenie Henry'ego Forda, który dzięki masowo produkowanemu pojazdowi chciał każdej amerykańskiej rodzinie zapewnić swobodę, skojarzono z licznymi zaletami amerykańskiego stylu życia, a nie z jego nielicznymi wadami. Internacjonalizacja kultury samochodu, to, co George Ball nazwał „ideologią czterech kółek", a także upowszechnienie jego produkcji, oznacza globalizację Ameryki bez względu na to, kto samochody wytwarza. Chińczycy postawili niedawno na przemysł motoryzacyjny jako podstawę modernizacji gospodarki. Decyzja ta w o wiele większym stopniu niż inne przez nich podjęte może doprowadzić do amerykanizacji, której tak się obawiają[12].

Amerykański wynalazek, jakim jest samochód, trudno jednak nazwać amerykańskim produktem, jeśli weźmiemy pod uwagę części, z których się składa, projekt, czy nawet narodowość montujących go robotników. Korporacje w coraz mniejszym stopniu określają swoją tożsamość biorąc za punkt odniesienia siłę roboczą, a cóż dopiero robotników z jakiegoś narodowego zaścianka. Ignacio Ramonet utrzymuje, że w gospodarce światowej czynnikiem określającym nie jest kapitał, siła robocza ani surowiec, ale „optymalny stosunek między tymi trzema elementami". Wprowadza to nas w świat informacji,

komunikacji i administracji, gdzie tradycyjne państwa narodowe niewiele mogą kontrolować i czują się coraz bardziej niewygodnie [13]. Robert Kuttner stwierdza, że do dzisiejszej firmy postindustrialnej – będącej także firmą epoki postpaństwowej – najlepiej pasuje określenie „korporacja wirtualna". „Nie jest już ona fizyczną jednostką znajdującą się w konkretnym miejscu, ale zmieniającym się układem stosunków między ludźmi, którzy utrzymują między sobą łączność za pomocą sieci komputerowej, telefonu i faksu" [14].

McŚwiat *jest* swego rodzaju rzeczywistością wirtualną, stworzoną przez niewidzialne, lecz wszechpotężne sieci wysoko rozwiniętych technik informacyjnych i płynne ponadnarodowe rynki, określenie „korporacja wirtualna" nie jest więc żadną prowokacją [15]. Julie Edelson Halpert, opisując w swym reportażu nowe przedsięwzięcie (projekt Mondeo) Forda całkiem bezwiednie nadaje temu konkretne znaczenie:

„Chcąc zyskać czas i miliony dolarów Ford zjednoczył zarządy swoich europejskich, północnoamerykańskich i azjatyckich biur projektowych w jedną międzynarodową sieć, używając w tym celu potężnych stacji opartych na technologii Silicon Graphic Inc. i posługujących się oprogramowaniem sieciowym Ethernet.

Firma znalazła się pod jednym «elektronicznym dachem» z centrum w Dearborne w stanie Michigan. Inne główne węzły tej sieci znajdują się w Dunton w Anglii, w Kolonii, Turynie, Valencii (w Kalifornii), Hiroszimie i Melbourne. Łącza satelitarne, podmorskie kable i linie naziemne wydzierżawiono od przedsiębiorstw telekomunikacyjnych" [16].

Korporacja wirtualna istnieje również na rynku pracy, gdzie chętniej zatrudnia pracowników „wirtualnych" niż rzeczywistych. Idealnym pracownikiem wirtualnym jest robot: interaktywny, „inteligentny", w pełni zaprogramowany robotnik, który może pracować 24 godziny na dobę bez jedzenia, przy minimalnych nakładach na

konserwację. Cóż za niesamowity mariaż: w lodowatej cyberprzestrzeni McŚwiata niewidzialna ręka dnia wczorajszego wyciąga się po niewidzialne ciało nowo narodzonej korporacji wirtualnej jutra, by pokierować niezdarnymi ruchami noworodka i poprowadzić go ku wieczności zysków. Odbywa się to bez żadnego prawie udziału widzialnej ludzkiej ręki.

Wiele współczesnych państw wypracowało politykę przemysłową mającą na celu skoordynowanie własnej polityki gospodarczej i zdominowanie międzynarodowych rynków przez własne korporacje. Wychodzą z teoretycznego założenia, że obywatele skorzystają na popieraniu korporacji, nawet jeśli te ostatnie nie odpłacają się tym samym. Pełne zatrudnienie, choć leży w interesie publicznym, nie leży jednak w interesie korporacji. Wydajność w biznesie narzuca *downsizing*, co oznacza produkcję z intensywnym udziałem kapitału, czyli politykę zatrudnienia minimalizującą udział siły roboczej. W przekładzie na normalny język oznacza to maksymalne ograniczenie liczby stałych pracowników, co pozwala wyeliminować wydatki na świadczenia i emerytury. Miejsce ludzi zajmują maszyny i roboty, coraz więcej jest (tak zwanych) tymczasowych miejsc pracy, czyli w istocie prac długoterminowych bez długoterminowych umów, ubezpieczeń czy innych świadczeń. Bezrobocie może w końcu podważyć rynek, bo spadnie liczba potencjalnych konsumentów (kto nie zarabia, nie może przecież kupować), ale korporacje wzięte z osobna z konieczności rywalizują zaciekle między sobą, a swoje dochody postrzegają najwyżej w perspektywie kwartalnej. Kto chce zyskać przewagę, musi zachować szczupłą linię. Pracownicy są w tym układzie „tłustym" elementem, dieta korporacji zakłada więc utrzymywanie „strukturalnego" bezrobocia, którego ofiarą pada coraz więcej ludzi.

Amerykańskie rolnictwo nadal jest głównym producentem dostarczającym żywności na światowe rynki, ale o ile kiedyś zatrudniało 80 procent siły roboczej, o tyle dzisiaj

wystarcza mu 2 procent. W ślad za rolnictwem idzie przemysł. IBM zmniejszył siłę roboczą (do 60 tysięcy w 1993 roku), co wzbudziło zachwyt specjalistów od analizy rynku. Zapewnił sobie na międzynarodowym rynku komputerowym przewagę, której publicznych kosztów nie będzie widać przez kilka lat, a konsekwencji tego posunięcia IBM bezpośrednio nie poniesie[17]. Rok 1993 stał pod znakiem „ograniczania" (eufemizm oznaczający zwolnienia z pracy) w wielu większych firmach, w tym i takich, które ciągnęły niezłe zyski i chciały innych przelicytować. We współczesnym przemyśle ograniczanie kosztów (własnych) to jedyna rzecz wymagająca intensywnych nakładów pracy. Procter & Gamble w obawie przez inwazją firm wytwarzających produkty bezmarkowe ogłosił w 1994 roku, że planuje w ciągu trzech lat zlikwidować 13 000 stanowisk pracy (i zamknąć 30 ze 147 swoich zakładów), Eastman Kodak zaś w ramach „restrukturyzacji" zamierza zlikwidować w 1995 roku 10 000 etatów. W krajach Wspólnoty Europejskiej bezrobocie przekroczyło 11 procent, a we Francji, której produkt krajowy brutto zmniejsza się, jest jeszcze większe. Światowa recesja złagodniała, ale nie ma co liczyć, że pojawi się z powrotem tyle miejsc pracy, ile ich było w okresie obfitości przed recesją. Widać to na przykładzie Stanów Zjednoczonych, gdzie w połowie lat dziewięćdziesiątych sytuacja gospodarcza się poprawiła. Wiele nowych miejsc pracy to nisko opłacane stanowiska w sektorze usług, często bez dodatkowych świadczeń czy ubezpieczenia. Redukcja stała się, poza wszystkim, globalną strategią rynku, jako reakcja na nową gospodarkę epoki automatyzacji i informacji, a rynek pracy McŚwiata mało się interesuje zatrudnieniem jako takim; jeszcze mniej go obchodzą kłopoty protekcjonistycznych rządów borykających się z popytem i podażą siły roboczej.

Istnieją, rzecz jasna, niepewne siebie i słabe dziedziny gospodarki (z trudem spełniające kryteria przedsiębiorstw kapitalistycznych), które, jak rozpadające się małżeństwa,

z radością witają interwencję władzy. Należą już jednak raczej do zanikającej ekonomii opartej na zasadach merkantylizmu niż do McŚwiata. W ostatnich dziesięcioleciach mogliśmy zaobserwować, że niektóre z największych amerykańskich przedsiębiorstw ubiegają się o pomoc państwa – były wśród nich takie firmy, jak Chrysler, Amtrak czy sektor oszczędnościowo-pożyczkowy. Domagały się uspołecznienia ryzyka, jakie ponoszą – żeby podatnicy spłacali koszty ich finansowego fiaska. W świecie, gdzie nie ma już socjalizmu, uchował się on jeszcze w zakamarkach gabinetów dyrekcji podupadających i ponoszących duże ryzyko przedsiębiorstw (jak te, co błędnie oceniły siłę peso), które chciałyby rozłożyć swoje straty na cierpliwych podatników.

Za protekcjonistyczną polityką kryją się również związki zawodowe, które usiłują uchronić swoich członków przed niesprawiedliwą często dyscypliną obowiązującą na międzynarodowych rynkach w rodzaju NAFTA. Jak jednak powiedział Robert J. Samuelson: „dążenie wielkich firm do zdobywania światowych rynków i maksymalizowania sprzedaży przebije każdy protekcjonizm, z wyjątkiem najbardziej drakońskiego”[18]. Sprawiedliwość społeczna w niewiele większym stopniu niż interes narodowy potrafi wygrać z ideologią rynku. Rynek z natury jest niesprawiedliwy, a mając do czynienia z podnoszonymi przez państwo kwestiami dobra publicznego, takimi jak sprawiedliwość, pełne zatrudnienie czy ochrona środowiska, będzie się przede wszystkim starał, by go pozostawiono samemu sobie. Jego podstawą są przecież niczym nie zakłócane stosunki wymiany między indywidualnymi konsumentami a indywidualnymi producentami, a McŚwiat nie jest niczym innym jak rynkiem. Zwolennicy rynku twierdzą, że podobnie jak rzeka powstrzymana w naturalnym biegu przez inżynierów wylewa od czasu do czasu, tak i rynek, ograniczany przez rządową politykę stawiającą mu tamy i groble, spowoduje w ostatecznym rozrachunku o wiele większą katastrofę, niż gdyby mu pozwolono działać zgodnie z naturalnymi cyklami.

Rząd ma prawo, a nawet obowiązek interweniować w sprawy gospodarki w imieniu sprawiedliwości, ekologii, interesów strategicznych, pełnego zatrudnienia czy innych kwestii dobra publicznego, które rynku nie obchodzą i obchodzić nie muszą. Nie może jednak oczekiwać od neofitów McŚwiata, że się z takiej interwencji ucieszą, albo że nie podejmą próby przeszkodzenia rządowi w drodze własnej politycznej interwencji. Z tego właśnie powodu wszelkie sankcje i embarga ponoszą na ogół fiasko. Zysk napędzany przez rynek źle toleruje kary nakładane z powodów politycznych. Wyjąwszy rzadki przypadek Iraku, którego przywództwo jest na tyle odrażające, że wywołuje powszechną i jednomyślną wrogość, co skłania rządy poszczególnych państw do ścigania prywatnych firm naruszających kordon sanitarny, różne formy embarga to najwyżej hałaśliwe demonstracje niezadowolenia. RPA, Serbia, Iran, Izrael, Chile, Argentyna, a do niedawna nawet Kuba całkiem spokojnie dawały sobie w różnych momentach radę z embargiem. Wiele z tych krajów utrzymało tempo wzrostu gospodarczego dzięki wymianie handlowej, która po prostu nie poddaje się przymusowi państwa czy prawu międzynarodowemu. Nawet Irak, długo po tym, jak stał się krajem wyjętym spod prawa, zdołał dzięki tajnym transakcjom handlowym uzyskać zdolność do produkcji broni nuklearnej [19].

Współczesne ponadnarodowe korporacje dążące do opanowania światowych rynków nie umieją tak naprawdę pojąć, czym jest polityka zagraniczna, bo dla ambitnego światowego biznesmena słowo zagraniczny nic nie znaczy. Jak Zeien, dyrektor Gillette, nie uznają obcych krajów za obce: dla produkcji i konsumpcji istnieje tylko jeden świat, McŚwiat [20]. Czyż fizyczne rozróżnienie między krajowym a zagranicznym może znaleźć jakiekolwiek odbicie w wirtualnym świecie określanym przez elektroniczną telekomunikację i nie znające granic rynki? W 1950 roku obroty handlu światowego osiągnęły wartość 308 mld dolarów. Do 1968 roku przekroczyły bilion, a dzisiaj

wynoszą ponad 3,5 biliona dolarów. Tymczasem opłaty celne, ten najbardziej dobitny symbol państwowych granic, obniżyły się z 40 procent przeciętnej ceny towaru do około 5 procent[21]. Jeśli handel światowy ma coraz większy udział w światowym produkcie brutto, to transakcje walutowe jeszcze go wyprzedzają. Niektórzy szacują, że jak trzy do jednego.

W latach osiemdziesiątych Japończycy szydzili z firm amerykańskich, które przenosiły zakłady przemysłowe do krajów zamorskich, by wykorzystać tańszą siłę roboczą, znaleźć się bliżej rynków i uniknąć zależności od drogiego dolara. W latach dziewięćdziesiątych sami poszli w ślady Amerykanów. W innych krajach wytwarza się 70 procent telewizorów i 30 procent magnetowidów „Made in Japan". General Motors produkuje poza granicami Stanów Zjednoczonych 40 procent swoich samochodów, a w przypadku Toyoty odpowiednia liczba wynosi 20 procent[22]. Mabuchi Motors, firma, która kontroluje połowę światowego rynku miniaturowych silniczków, używanych w szczotkach do zębów, obiektywach zmiennoogniskowych i samochodowych szybach, zatrudnia 33 000 pracowników, ale tylko tysiąc pracuje w Japonii, reszta to cudzoziemska siła robocza z fabryk na tanich rynkach pracy, na przykład w Chinach[23].

O ile w przypadku państwa sens ma tworzenie systemu bodźców zachęcających do eksportu i ceł zniechęcających do importu, o tyle korporacyjni producenci i indywidualni konsumenci wychodzą z bardzo odmiennych pozycji. Producenci są w dosłownym znaczeniu uniwersalnymi „eksporterami" (eksportują wszystko, co wytwarzają w swoich fabrykach), a konsumenci – uniwersalnymi importerami (importują „spoza domu" wszystko, co konsumują). W praktyce uniwersalizm ten oznacza, że pojęcia importu i eksportu nie mają dla uczestników rynkowej gry prawie żadnego znaczenia. Amerykańska firma tekstylna, która przenosi swoje zakłady wytwórcze do Indonezji i dzięki tańszej sile roboczej odsyła z powrotem do

kraju tańszą konfekcję, nie powoduje deficytu bilansu handlowego, tylko zwiększa opłacalność produkcji. Kupująca taką sukienkę Amerykanka nie traci miejsca pracy, zyskuje na okazyjnej transakcji. Deficyt bilansu handlowego może dotknąć wyłącznie państwo. Pojedynczy amerykańscy robotnicy mogą stracić pracę, a pojedynczy Amerykanie mogą mieć do czynienia ze zmianami stopy procentowej spowodowanymi przez ujemne saldo płatnicze państwa, ale amerykańskim konsumentom i producentom, czyli konsumentom i producentom w ogóle, nie sprawia to większej różnicy.

Nikt oczywiście nie ma zamiaru rozdwajać się w sposób tak schizofreniczny: Amerykanie są zarówno konsumentami, jak etatowymi pracownikami, i nawet gdy rzecz ujmiemy w wąskich kategoriach ekonomicznej skuteczności, ich konsumpcyjny potencjał będzie zależeć w przyszłości od utrzymania miejsca pracy, o czym świetnie wiedzą. Są zarówno obywatelami, jak producentami i muszą się liczyć ze społecznymi konsekwencjami swoich działań w sektorze prywatnym. Tożsamość rynkowa to tylko jeden krnąbrny element całej tożsamości człowieka, na którą składa się również aspekt etniczny i obywatelski, te zaś mogą rywalizować czy nawet pozostawać w konflikcie z tożsamością określaną przez rynek. Konsument, który cieszy się z niższych cen, może, będąc pracownikiem fabryki tekstylnej, odnosić się wrogo do eksportu miejsc pracy, który pozwala na tę obniżkę. Producent ciągnący zyski z tego, że udało mu się obejść przepisy dotyczące ochrony środowiska, może jako obywatel ubolewać nad zniszczeniami powodowanymi przez firmy podobne jego przedsiębiorstwu i popierać ekologiczne ustawodawstwo niekorzystne dla prowadzonych przezeń interesów.

Pełne zatrudnienie i ochrona środowiska to jednak dobra społeczne, niewiele mające wspólnego z prywatnym rynkiem. Orędownicy McŚwiata patrzą zaś na rynek i skutki gospodarki rynkowej jednostronnie, wyłącznie z punktu widzenia kapitalistycznej opłacalności. W takiej

ograniczonej, krótkofalowej perspektywie obywatelstwo, przynależność etniczna, status pracy i inne konkurencyjne formy tożsamości są w najlepszym przypadku obojętne, w najgorszym zaś stanowią przeszkody, które należy pokonać. Redukcjonistyczna polityka korporacji, likwidująca masowo miejsca pracy, może budzić dreszcz zgrozy w narodach i państwach, ale rynek z radością uczci zdolność do konkurencji, jaką wykazują się uczestnicy gry.

Państwa mogą prowadzić swoją politykę gospodarczą, lecz dla prawdziwego kapitalisty wszelkie przepisy, cła, dotacje dla upadających przedsiębiorstw, embarga, ograniczenia płacowe, kwoty zatrudnienia, restrykcje związane z ochroną środowiska, a nawet prokapitalistyczne w założeniu bodźce czy ustalanie cen to rzeczy wyklęte. Wszystkie razem zasługują na pogardę, jako etatystyczne próby zakłócenia „naturalnego" procesu, który przebiega prawidłowo tylko wtedy, gdy pozostawi się go samemu sobie. Jednakowo więc brzmi okrzyk wojenny dawnych i współczesnych kapitalistów: *laissez-faire*! Zostawcie nas w spokoju! Dajcie nam robić to, czym się zajmują producenci i konsumenci: sprzedawać, kupować, produkować, konsumować.

Ta klasyczna doktryna została stworzona na użytek o wiele mniej skomplikowanego świata. Keynesizm i państwo dobrobytu zepchnęły ją na margines. Współczesne państwo demokratyczne opiera się na uznaniu priorytetu sfery publicznej nad prywatną. Dobro publiczne góruje nad prywatnymi interesami, a interes wspólnoty ma pierwszeństwo przed jednostkowymi fortunami. W warunkach internacjonalizmu, przy światowej polityce handlowej i globalnych rynkach składających się na to, co nazwałem McŚwiatem, odżywa jednak z nową siłą stara koncepcja *laissez-faire*. Nie ma bowiem państwa ponadnarodowego, a tym samym gwaranta czy rzecznika międzynarodowego dobra. Międzynarodowy nie-ład staje się swego rodzaju stanem natury, w jakim znajdują się pań-

stwa. Cechuje go „wojna wszystkich przeciw wszystkim" – „nieustanne dążenie do władzy, któremu kres kładzie tylko śmierć" przedstawione przez Thomasa Hobbesa w *Lewiatanie* ponad trzysta lat temu.

Niewidzialna ręka nabiera nowego znaczenia, organizuje mianowicie niewidzialną cyberprzestrzeń, w której wirtualne korporacje pokonują prawdziwe narody. Obszar ich działania jest równie niematerialny jak widmowa ręka rynku. Z dwóch powodów kładę taki nacisk na znaczenie tej nowej hiperrzeczywistości rynkowej. Po pierwsze – rehabilitowana przez nią ideologia wolnego rynku jak taran uderza w mury państwa narodowego, wyrażając wrogość McŚwiata wobec wszelkiego rodzaju nacjonalizmów. Po drugie – podaje w wątpliwość i ostatecznie rewiduje tradycyjne rozliczenia rynkowe dokonywane w surowcach, wytworzonych towarach i usługach. W ekonomicznym systemie McŚwiata surowce i towary ustępują bowiem miejsca nowej, szczególnej dziedzinie działalności, którą określam jako inforozrywkowy telesektor. Określa ona na nowo ekonomiczne realia McŚwiata i reorganizuje stosunki między państwami w sposób, jakiego nie mógł przewidzieć Francis Fukuyama ani Paul Kennedy.

2
Zasoby naturalne: koniec autarkii i zmierzch Zachodu

Handel naturalnymi surowcami i produktami rolnymi należy do najstarszych i najbardziej opłacalnych działów gospodarki. Jego początki sięgają zarania działalności gospodarczej człowieka. Społeczeństwa niewolnicze, rolnicze i feudalne opierały się na odkrywaniu, przetwarzaniu i używaniu tych podstawowych towarów. Rolnictwo i handel zasobami naturalnymi to pierwszy szczebel w gospodarczej strukturze. We współczesnym systemie ekonomicznym stały się przepustką do rozwoju dla krajów Trzeciego Świata. W tej właśnie dziedzinie znajdujemy po południowej stronie granicy między Północą a Południem kilkanaście korporacji, którym udało się przebić i znaleźć na liście pierwszych 500 gigantów przemysłowych świata [1].

Rolnictwo, drugi z tradycyjnych sektorów, także zajmuje w Trzecim Świecie przodującą pozycję pod względem liczby pracujących (w wielu krajach Trzeciego Świata zatrudnia dwie trzecie siły roboczej), choć, na nieszczęście dla jego narodów, nie pod względem produkcji. Państwa Pierwszego Świata posługujące się zaawansowaną technologią informatyczną mogą osiągnąć wydajną produkcję zatrudniając tylko niewielką część siły roboczej. [2]

Podział na Pierwszy i Trzeci Świat szczególnie się uwydatnia, gdy porównujemy udział rolnictwa oraz towarów i usług w produkcie krajowym brutto. W krajach OECD rolnictwo wytwarza zaledwie 2,8 procent tego

produktu, przemysł 33 procent, a usługi aż 57,6 procent. We wschodniej Europie udział rolnictwa wzrasta do 17,2 procent, w Afryce na południe od Sahary do 21,8 procent, a w Azji Południowej do 34 procent. Odpowiednie dane dotyczące sektora usług przedstawiają się następująco: Europa Wschodnia – 38,5 procent, Afryka i Azja Południowa – 18 procent [3]. Problemem wielu ubogich państw jest nie tylko brak mocy wytwórczych (przemysłu), ale i podstawowych surowców i potencjału rolniczego. Kraje te skazane są na wieczną przynależność do kategorii, którą, realistycznie rzecz biorąc, należałoby nazwać nie tyle Trzecim Światem, co Światem Stojącym nad Grobem. Inne należą do Trzeciego Świata będącego w drodze do Drugiego i Pierwszego – tak jak kilka wieków temu Stany Zjednoczone w porównaniu z Wielką Brytanią [4]. Dobitnym przykładem ponurej przyszłości, jaka czeka wiele krajów Czarnej Afryki, jest Ghana. Paul Kennedy podaje, że na początku lat sześćdziesiątych dochód na 1 mieszkańca wynosił tam nieco ponad 200 dolarów rocznie, a więc tyle samo, co w wielu krajach Azji, z Koreą Południową włącznie. Do dziś w Korei dochód na osobę ludności zwiększył się kilkanaście razy, przekraczając 3000 dolarów. Ghana pozostała na dawnym poziomie [5].

Tymczasem w epoce McŚwiata pojęcie interesu narodowego czy niezależności narodowej traci coraz bardziej znaczenie nawet w dziedzinie zasobów naturalnych. To najbardziej dobitny nowy fakt. Wszystkie państwa, a zwłaszcza te z aspiracjami do demokracji, od zarania swych dziejów marzyły o samowystarczalności gospodarczej. Zależność surowcowa oznaczała podległość polityczną, zarówno w wewnętrznej, jak i zewnętrznej sferze. W klasycznych teoriach republikańskich, od Peryklesa do Machiavellego i Monteskiusza, prawdziwie wolne społeczeństwo to takie, które samodzielnie zaopatruje się w żywność i surowce. Polityczna autonomia utopii, o jakich marzyli demokraci, opierała się więc na niezależności

ekonomicznej, którą nazywali autarkią. Nie tyle wolny rynek, ile rynek niezależny miał gwarantować wolność miasta-państwa. Ateńczykom nie udało się jednak osiągnąć autarkii. Jak się okazuje, zależność leży w ludzkiej naturze – może dlatego, że ludzkie potrzeby są nienasycone, a psychika nakazuje domagać się coraz więcej.

W dziewiętnastowiecznej Ameryce odżyło na krótko marzenie o autarkii. Łatwo było uwierzyć, że ten słabo zaludniony, hojnie obdarzony przez naturę kraj, istny róg obfitości, kontynent, będący jednocześnie wyspą oblewaną przez dwa oceany, może stać się światem samym w sobie. Pozostawiło to w psychice Amerykanów złudne poczucie samowystarczalności i zrodziło ducha izolacjonizmu, który powoduje, że od czasu do czasu wycofują się ze spraw międzynarodowych. Jednakże dla państw żadna wyspa nigdy prawdziwą wyspą nie będzie. Choć trudno było Amerykanom pogodzić się z nieuchronną wzajemną zależnością, nawet zapasy naszego rogu obfitości nie okazały się nie do wyczerpania. Nierównomierne rozmieszczenie ziemi nadającej się pod uprawę i zasobów mineralnych na naszej niesprawiedliwie ukształtowanej planecie sprawia, że nawet najbogatsze społeczeństwa są coraz bardziej zależne od surowców, a wiele innych narodów skazuje na katastrofę Świata Stojącego nad Grobem.

Takie państwa jak Japonia i Szwajcaria, nowoczesne i szybko rozwijające się, ale ubogie w zasoby naturalne, nie myślały nigdy o autarkii. Musiały rozwijać stosunki z innymi, co w przypadku Japonii przybrało formę militarnej dominacji nad hojniej wyposażonymi sąsiadami („Wielka sfera wschodnioazjatyckiej wspólnej prosperity" – tak nazywało się jej przedwojenne imperium rządzone żelazną ręką), a w przypadku Szwajcarii – ekstensywnego handlu i ostrożnej polityki zagranicznej (najlepszym przykładem jest neutralność tego kraju). Ze swojej zależności uczyniły cnotę. Militarna hegemonia Japonii we wschodniej Azji była szkołą dyscypliny dla samych Japończyków, wymagała bowiem utrzymywania wielkiej armii, stałej

okupacji i nieustającej czujności. Powojenny cud gospodarczy przywrócił co prawda dominującą pozycję Japonii, ale bardziej uzależnił ten kraj od partnerów handlowych niż niegdyś od kolonii.

Państwom lepiej wyposażonym przez naturę niewiele lepiej się powiodło. Potencjalne giganty rolnicze, jak Rosja czy Indie, sprawiają niekiedy wrażenie, jakby trudno im było samodzielnie się wyżywić. Porażka Związku Radzieckiego w tym względzie stworzyła okoliczności, które przypieczętowały jego los. Jak się okazuje, każdemu państwu potrzebne jest coś, co posiada inne państwo. Wiele z nich nie ma prawie nic. Przykładem dla dziesiątków rozwiniętych państw jest stopniowy zanik samowystarczalności Ameryki w zaopatrzeniu w surowce naturalne w ostatnich stu latach. Wyglądało to bardziej drastycznie niż gdzie indziej, ale w końcu aż za bardzo znajomo.

Jeszcze w 1960 roku Stany Zjednoczone importowały bardzo niewiele takich minerałów jak: aluminium, mangan, nikiel i cyna. Dziś szukamy za granicą cynku, chromu, wolframu, ołowiu, no i oczywiście ropy naftowej. Niedługo na naszym bilansie handlu zagranicznego zaczną też ważyć miedź, potas, siarka, a nawet żelazo. Węgla i łupku starczy nam jeszcze na wiek z górą, a potencjałowi rolnictwa nie zdołają tak łatwo zagrozić nawet całe zasoby głupoty i niekompetencji, jakie zdołaliby zgromadzić wszyscy razem wzięci ekonomiści, szczodrze w te cechy wyposażeni. Jednakże pod wieloma innymi względami Ameryka, ta osiemnastowieczna Ziemia Obiecana, zaczyna coraz bardziej przypominać Wielką Brytanię czy Szwajcarię, jeśli nie Czad i Bangladesz, importuje bowiem coraz więcej niezbędnych surowców.

Niespełna pół wieku temu żaden agresor, choćby nie wiadomo jak odważny, nie mógłby marzyć o pokonaniu kraju o tak rozległych liniach zaopatrzenia, jakie miała Ameryka. Przemysł wojenny czerpał z nieograniczonych, zdawałoby się, zasobów rudy żelaza, boksytów, fosfatów, ropy naftowej, przetwarzając je na silniki samolotów

i okrętów wojennych, pociski moździerzowe i granaty ręczne. Żyzne połacie wielkich prerii dostarczały żywności i ubrań dla tylu armii, ile tylko państwo uważało za stosowne wystawić. W latach osiemdziesiątych nastał jednak kres tej wspaniałej autarkii i Ameryka uzależniła się od importu w takim samym stopniu, co większość jej handlowych partnerów. Sukcesy, jakie odniosła na frontach II wojny światowej, podważyły samowystarczalność, której zawdzięczała to zwycięstwo. W dążeniu do zdobycia światowego przywództwa Stany Zjednoczone nie oglądając się na nic sięgały do swoich naturalnych zasobów. Czerpały z nich jeszcze intensywniej, chcąc to przywództwo utrzymać w burzliwych latach powojennych, kiedy stosunki ze Związkiem Radzieckim były zamrożone, a amerykańska gospodarka rozwijała się właśnie w bardzo przyspieszonym tempie.

Dane dotyczące boksytu ilustrują to gwałtowne załamanie się amerykańskiej samowystarczalności surowcowej wynikłe z opisanej powyżej sytuacji. Boksyt, podstawowy surowiec do produkcji aluminium, ma kluczowe znaczenie w przemyśle, zwłaszcza wojennym. Przyroda zaopatrzyła Amerykę w boksyt nie tak szczodrze, jak w inne minerały, ale do końca I wojny światowej kraj nasz dostarczał blisko 50 procent światowej produkcji boksytu[6]. Co więcej, do roku 1920 importował mniej niż 10 procent zużywanego surowca. Jeszcze pod koniec II wojny światowej krajowe wydobycie zaspokajało 57 procent potrzeb[7]. Ale w ciągu pięciu lat (do 1950 roku) import wzrósł do 65 procent krajowego spożycia, potem zaś zależność szybko narastała: 87 procent w 1960, 90 procent w 1980 i 94 procent w 1988 roku[8]. Co więcej, krajowa produkcja boksytu wciąż spadała, a spożycie nieustannie rosło. Jeśli w 1945 roku ze Stanów Zjednoczonych pochodziło jeszcze 27 procent światowego wydobycia tego surowca, co zaspokajało ponad połowę własnych potrzeb, to w 1950 roku udział w światowej produkcji spadł do 16 procent. Dziesięć lat później wyno-

sił 7 procent, w 1970 roku połowę tego (3,4 procent), a w 1989 zbliżał się do zera – zaledwie 0,5 procenta[9].

W ciągu pięćdziesięciu lat, jakie upłynęły od II wojny światowej, Stany Zjednoczone w produkcji aluminium, od którego zależy ich światowe przywództwo, uzależniły się od tych samych krajów Trzeciego Świata, które pragnęły sobie podporządkować[10]. Identyczne historie można opowiedzieć o innych zasobach mineralnych i innych państwach. Główni światowi rywale Ameryki, Wspólny Rynek i Japonia, są na przykład w 85–100 procentach uzależnieni od importu niobu, strontu, manganu, kobaltu, tantalu, platyny, chromu, niklu, cyny, antymonu, rudy żelaza, złota, miedzi, molibdenu i fosfatów[11]. Podobnie jak Ameryka, Europa coraz bardziej się uzależnia od dostaw strategicznych metali z krajów będących jej potencjalnymi wrogami. A na tych metalach opiera się jej zdolność do ewentualnej konfrontacji militarnej z tymi właśnie przeciwnikami.

Chociaż dzięki odkryciom nowych złóż miedzi, ołowiu i cynku (a także rud glinu) okazało się, że w latach osiemdziesiątych światowe rezerwy wzrosły szybciej niż spożycie tych surowców, metody produkcji, rafinacji i dystrybucji zwiększyły zależność wszystkich krajów zaangażowanych w ten proces, szczególnie zaś takich, które, jak Francja, Stany czy Rosja, łudziły się kiedyś, że mogą być samowystarczalne. Co więcej, w miarę jak nie pozbawiony szansy rozwoju (nie ten Stojący nad Grobem) Trzeci Świat zaczyna przejawiać równy apetyt na surowce jak Pierwszy Świat, by napędzać swój rozwijający się przemysł, światowe spożycie jeszcze bardziej wyprzedzi wydobycie, przez co zaostrzy się problem zależności od dostaw surowca, a przed ludzkością znów stanie kwestia podniesiona przez Malthusa: ile komu przypadnie z coraz mniejszego zasobu surowców niemożliwych do zastąpienia? Czy Chiny będą prowadzić politykę gospodarczą pod hasłem „samochód dla każdego”, co ogłosiły w 1994 roku? Dodatkowy miliard

samochodów dobije niezależność tego kraju i wyczerpie światowe zasoby minerałów i paliw kopalnych (nie mówiąc o szkodach dla środowiska). Jeśli Chińczycy mieliby przejeżdżać rocznie tyle samo pasażerokilometrów w przeliczeniu na 1 mieszkańca, ile obecnie Amerykanie, w ciągu pięciu lat skończyłyby się wszystkie znane zasoby energii na świecie.

Nadal będzie, rzecz jasna, trwać walka technologii z przyrodą, nie kończące się starcie nadziei z rozpaczą, które określa ludzkie życie. Producenci znaleźli substancje, które zastąpiły niszczące warstwę ozonową składniki aerozoli i tak skwapliwie je wprowadzili – nie zważając na odpowiednie ustawodawstwo – że według aktualnych ocen szkody są już na szczęście mniejsze. Manipulowanie bodźcami rynkowymi przez rząd może zmienić sytuację. Nowe metody utylizacji odpadów każą myśleć o strategii, która zdoła złagodzić zarówno wyczerpywanie się surowców, jak i wynikającą z tego zależność. W 1987 roku hałdy odpadów amerykańskiego górnictwa, przemysłu przetwórczego i metalurgii oceniano na prawie 2 mld ton. Chociaż utylizacja jest kosztowna, gdyż wśród odpadów znajdują się rozmaite minerały, coraz szerzej ją stosujemy[12]. Dla środowiska ma to ogromne znaczenie: na wyprodukowanie jednej tony danego metalu, którego rudę trzeba najpierw wydobyć i poddać obróbce, zużywa się od dwóch do dziesięciu razy więcej energii niż na uzyskanie tej samej tony metodą recyklingu. Ponowne wykorzystywanie odpadów może nie przynosić wielkich zysków korporacjom, ale oszczędza Matkę Ziemię i pozostawia więcej zasobów dla przyszłych pokoleń[13]. Nie wykluczam, że w nowej wspaniałej epoce McŚwiata znajdziemy sposób na przemodelowanie naszych śmieci na wolność i wyciśnięcie z odpadów czegoś na kształt utraconej niezależności[14].

Także i technologia obiecuje, że stać się może alchemią nowego wieku i znaleźć sposób syntetycznego uzyskiwania substytutów metali naturalnych doskonalszych od

oryginału, co wyeliminuje zależność od zasobów surowca. Obiecuje też nowe metody wydobywania i przetwarzania trudno dostępnych dotąd surowców – znajdujących się zbyt głęboko pod powierzchnią ziemi lub morza, albo rud o niskiej zawartości metalu[15]. Dno Pacyfiku jest usłane bryłkami manganu – całe bogactwo małych grudek zawierających więcej kobaltu, niklu i miedzi niż odkryte dotąd lądowe zasoby. Wydobywanie ich z głębokości, na której się znajdują, jest na razie nieopłacalne, ale nauka idzie naprzód, buduje się coraz doskonalsze jednostki głębinowe, a zautomatyzowane aparaty próżniowe, które mogłyby wypompować te skarby na powierzchnię, są już w zamyśle projektantów[16].

Ale choć nauka stara się nadążyć za wyczerpywaniem się surowców wynajdując nowe techniki poszukiwawcze, bardziej ekonomiczne metody wydobycia, recykling i materiały zastępcze, długofalowe trendy zapowiadają nieuniknioną współzależność wszystkich od wszystkiego. Być może prometejska nadzieja przezwycięży w końcu maltuzjańskie zwątpienie, ale technologia wykradziona przez Prometeusza da się wykorzystać wyłącznie we współpracy. Nauki i techniki nie można zakuć w okowy, jak Prometeusza. Na nic zdadzą się granice ani suwerenność państw. Zaistniały dzięki współpracy, teraz nakazują współzależność. Kiedy państwa, jedno po drugim, wyczerpią już swoje bogactwa naturalne, może znajdą jakiś sprytny sposób na przetrwanie, ale będą musiały zrobić to razem, w skali całego świata, albo wcale. Dni państwa narodowego są policzone.

Ropa naftowa: ta sama stara historia, tylko w jeszcze gorszym wydaniu

Wiele zasobów mineralnych da się odzyskać drogą utylizacji odpadów albo zastąpić sztucznie wytworzonymi substytutami, nie dotyczy to jednak źródeł energii (przede wszystkim paliw kopalnych) na taką skalę, na jaką są

obecnie zużywane na całym świecie. Niewiele nadziei można pokładać w odnawialnych źródłach energii. Zalicza się do nich energia słoneczna uzyskiwana dzięki fotoogniwom, których produkcja w okresie 1981–1991 wzrastała przeciętnie o 15 procent rocznie, a ceny szybko spadały; energia geotermiczna z gorących źródeł i gazu ziemnego (w 1950 roku dawała zaledwie 239 megawatów, dziś dostarcza blisko 10 000 megawatów, co wystarcza na zaspokojenie potrzeb 6 mln energożerczych Amerykanów); energia wiatru (od 15 do 2652 megawatów w ciągu jedenastu lat); energia hydroelektryczna, która zaspokaja jedną trzecią potrzeb wielu krajów rozwijających się (w 1950 roku dawała niespełna 50 000 megawatów, obecnie – ponad pół miliona) i wreszcie energia nuklearna. Wykorzystanie tej ostatniej stanęło co prawda w ostatnich latach w martwym punkcie ze względu na zagrożenia dla środowiska – w 1990 roku dawała 328 000 megawatów, czyli mniej niż połowę tego, co hydroelektryczna [17]. Wszystkie te zasoby razem wzięte stanowią jednak niewielki ułamek światowego zużycia ropy naftowej – znacznie mniejszy od wyłomu, jaki spowodowały kryzysy paliwowe i recesje lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych [18]. Jej światowe wydobycie, osiągnąwszy w 1979 roku szczytową wartość prawie 63 mln baryłek, ustabilizowało się począwszy od 1989 roku na poziomie 59–60 mln baryłek dziennie. Stanowi to 40 procent energii zużywanej codziennie na całym świecie. Chociaż wydobycie nie osiąga możliwego maksimum, długofalowe perspektywy stają się z upływem czasu coraz bardziej ponure. Rozwinięta gospodarka, której dziełem jest McŚwiat, opiera się na samochodzie, niezwykle uzależnionym od ropy naftowej środku transportu symbolizującym zarówno dostatek, jak i indywidualizm i mobilność – cechy liberalnych, demokratycznych społeczeństw. Czy w takiej sytuacji będzie można wyperswadować krajom rozwijającym się motoryzacyjne ambicje, którym dają już wyraz Chiny? [19]

Świat wciąż się kręci dzięki energii uzyskiwanej z paliw kopalnych, które nie dają się ponownie wykorzystać, ani nie mają substytutów. Szczególnie ostrzegawczym przypadkiem są Stany Zjednoczone. Jeden z największych w świecie producentów ropy naftowej zużywa swoje zasoby w istnej konsumpcyjnej orgii, która ani nie podnosi poziomu życia, ani nie zwiększa odpowiednio produktu krajowego brutto. Dwa poważne kryzysy dostaw paliwa ani coraz większa zależność od importowanej ropy nic nas nie nauczyły: ceny benzyny wciąż są absurdalnie niskie, podatki prawie się nie liczą (nawet po dodaniu 4,3 centów przez administrację Clintona), strategiczne zapasy awaryjne są znikome.

Źródła energii w jeszcze większym stopniu niż zasoby mineralne stanowią swego rodzaju potęgę, która zanika w miarę wzrostu. Na tym polega ironia modernizacji, opisana przez pierwszego zjadliwego krytyka nowoczesności, Jana Jakuba Rousseau. Dostrzegł on, że zdolność do zaspokajania naszych potrzeb, jaką zawdzięczamy nauce i technice, komplikuje w istocie i mnoży te potrzeby. Im większą moc więc posiadamy, tym mniejsza nasza satysfakcja. Jeśli szczęście ma polegać na tym, że nasze potrzeby pozostają w harmonii z możliwościami ich zaspokajania, tak zwany postęp zawsze będzie oznaczał, że potrzeby wyprzedzą moc. Bez względu na to, jak szybko będzie się zwiększała, potrzeby będą mnożyć się szybciej. Na tym polega dylemat współczesnego człowieka: im bardziej jest potężny, tym nieszczęśliwiej się czuje. Wszystko co mamy, służy tylko temu, że „potrzeba" nam coraz więcej, a im więcej mamy, tym więcej potrzebujemy, by chronić nasz stan posiadania. Jak ten przysłowiowy posiadacz ziemski, który pragnie wyłącznie ziemi sąsiadującej z jego posiadłością, współczesny konsument potrzebuje tylko produktów blisko związanych z tymi, które już ma. Telewizor „potrzebuje" magnetowidu, ten z kolei „wymaga" laserowego odtwarzacza, co pociąga za sobą „potrzebę" komputera, a potem nieskończonej liczby

programów. Samochód „potrzebuje" z początku alarmu i blokad, wykrywacza radaru, odtwarzacza kaset, wbudowanego komputera. Nie obejdzie się następnie bez miejsc, do których można nim pojechać, lokali typu „drive-in", parkingów i autostrad, a potem wszystkiego, co uchodzi za wytwory nowoczesnej cywilizacji. Człowiek musi przez całe życie pracować jak niewolnik, żeby móc sobie na to wszystko pozwolić. A potem się oczywiście skarży, że nie ma kiedy cieszyć się nagromadzonymi dobrami, które bardziej się stają właścicielami człowieka niż odwrotnie.

To, co Hobbes nazywał nieustającym wyścigiem do władzy kończącym się dopiero ze śmiercią, przybrało postać pogoni za złożami ropy, prowadzącej do bankructwa i zniszczenia środowiska. Mało kto w Ameryce wyobrażał sobie, że popyt kiedykolwiek przewyższy podaż tego surowca. Od czasu odkrycia złóż ropy w Pensylwanii tuż przed wojną secesyjną (na nich wyrosła fortuna Johna D. Rockefellera) do lat trzydziestych wydawało się, że nowe zasoby odkrywane są o wiele szybciej niż zdoła je zużyć uprzemysławiający się świat. Tymczasem niewiele lat upłynęło od końca II wojny światowej, a okazało się, że Stany Zjednoczone uzależniają się od importu ropy, choć z początku sądzono, że to kwestia wygody i wydajności.

Po co wydobywać drogą krajową ropę, skoro zagraniczna była taka tania? Przez trzy czwarte XX stulecia zużycie ropy w Stanach rosło w tempie mniej więcej 3 procent rocznie, podczas gdy przyrost produktu narodowego brutto (GNP) wynosił przeciętnie 4 procent rocznie[20]. Krajowe wydobycie ropy, które osiągnęło szczyt w 1970 roku, zaspokajało w zasadzie potrzeby – w tymże roku pokrywało 88 procent spożycia[21]. Jednakże na skutek wojny arabsko-izraelskiej w 1973 roku i embarga na ropę ta jedna dziesiąta zapotrzebowania zależna od zagranicznych dostaw potroiła się w roku 1974, i po raz pierwszy Amerykanie poczuli, że ich narodowe interesy są zagrożone. W 1974 roku import osiągnął 28 procent

krajowego spożycia, podczas gdy cena skoczyła z 1,73 dolara za baryłkę w 1970 roku do 10,89 dolara pod koniec 1974 roku[22]. W roku 1980 import musiał pokrywać 38 procent zapotrzebowania, a w 1990 roku już 42 procent[23]. Dziś, pomimo utrzymujących się tendencji zniżkowych zużycia energii i gwałtownie zmieniających się wzorów konsumpcji, za których sprawą światowe wydobycie ropy naftowej utrzymuje się poniżej maksymalnych wartości z lat siedemdziesiątych, uzależnienie Stanów Zjednoczonych od jej importu znacznie przekroczyło 40 procent, a w 1994 roku po raz pierwszy osiągnęło poziom powyżej 50 procent.

Te narastające w długim odstępie czasu wskaźniki importu ropy wyrażają zarówno stopniowy spadek krajowego wydobycia, jak i wzrost zapotrzebowania na energię. Pod koniec lat siedemdziesiątych, wraz z podwyżką cen ropy, zostało co prawda trochę zahamowane, ale wciąż się zwiększało. Podczas gdy krajowe wydobycie spadło z 11,30 mln baryłek dziennie w 1970 roku (dane te dotyczą ropy i gazu ziemnego) do około 9 mln baryłek dziennie w 1990 roku, spożycie wzrosło z niespełna 15 mln baryłek dziennie do nie przekroczonego jak dotąd poziomu 18 mln baryłek dziennie pod koniec lat siedemdziesiątych (od tamtej pory co prawda na przemian spadało, rosło i znów spadało, dziś zaś wynosi tylko trochę więcej niż 15 lat temu). Jeśli ceny nie wzrosną, to zdaniem ekspertów z Energy Information Administration krajowe wydobycie może w 2010 roku spaść do 6 mln baryłek dziennie, podczas gdy spożycie wzrośnie do 24 mln. Deficyt 17–18 mln baryłek sprawi, że około 75 procent ropy trzeba będzie w 2010 roku importować.

Wizja tego, co się stało w Ameryce, dręczy jak koszmar wszystkie rozwinięte państwa. Pomijając niektórych członków OPEC, jak Katar czy Bahrajn, liliputy pod względem liczby ludności, a olbrzymy jeśli chodzi o nadwyżkę wydobywanej ropy[24], prawie wszystkie uprzemysłowione kraje zależne są od jej importu, niekiedy nieomal

w stu procentach. Te, które wytwarzają mniej więcej połowę produktu światowego brutto (27 procent przypada na Stany Zjednoczone, 16 procent na Japonię i 7 procent na Niemcy), ponad połowę energii muszą importować. W przypadku Stanów Zjednoczonych jest to mniej więcej połowa, ale w przypadku Japonii ponad 90 procent, a Niemcy znajdują się gdzieś pośrodku[25]. Francja, która postawiła na energetykę atomową, sama produkuje większość potrzebnej energii, ale kiedy spojrzymy na wskaźniki zużycia, a nie produkcji, okaże się, że też jest uzależniona od importu[26]. Z państw OECD samowystarczalne są tylko Kanada, Australia, a także Wielka Brytania i Norwegia wydobywające ropę z Morza Północnego, dzięki czemu Norwegia mogła sobie pozwolić na pozostanie poza Wspólnotą Europejską. Innymi słowy, 5 największych potęg ekonomicznych świata to jednocześnie 5 największych importerów energii. Im potężniejsze państwo, tym bardziej krucha okazuje się jego niezależność.

W tym labiryncie danych statystycznych kryje się wielka niesprawiedliwość objawiająca ciemną stronę McŚwiata. Nawet gdy ponadnarodowe rynki zajmą miejsce państw, ludzie pozostaną producentami i konsumentami. Nierównomierne rozmieszczenie światowych zasobów bogactw naturalnych ma oczywisty wpływ i sprawia, że McŚwiat, ze wszystkimi swoimi zaletami i wadami, jest dla jednych placem zabaw, a dla drugich – cmentarzem. Jeśli się przyjrzymy zużyciu energii w bogatych krajach – i znów Ameryka będzie tutaj archetypem – przekonamy się, jak wygląda sprawiedliwość. Zasoby nie tylko się kurczą, ale to, co jeszcze pozostało, jest coraz bardziej niesprawiedliwie i nieefektywnie dzielone. Niesprawiedliwość okazuje się więc integralną cechą McŚwiata, a chociaż nie temu zagadnieniu poświęcona jest niniejsza książka, pominąć go nie można[27] (patrz Aneks A).

Zasoby surowców i energii: Dżihad czy McŚwiat?

Najbardziej oczywisty wniosek, jaki z tych rozważań można wysnuć, brzmi, że integrujące siły wzajemnej zależności związane z globalizmem wzmacniają w istocie odśrodkowe tendencje Dżihadu, przeciw którym z pozoru działają. Model wykorzystania surowców i energii, wymagający współpracy na skalę całego świata, sprzyja bowiem wzajemnej zależności, a jednocześnie akcentuje podziały, niesprawiedliwość i słabość, ujawniając tym samym podatność nowego światowego systemu gospodarczego na działanie sił Dżihadu. Uwydatni się to w całej ostrości, kiedy zadamy pytanie, ilu głównych producentów surowców energetycznych spoza OECD jest potencjalnymi kandydatami do Dżihadu, ilu mogą dotknąć związane z nim patologie. Innymi słowy – gdzie sytuacja jest niestabilna politycznie, dojrzała do zamieszek, wojny domowej lub plemiennych podziałów (patrz tablice ryzyka na następnych stronach). Do krajów wysokiego ryzyka z całą pewnością możemy zaliczyć Iran, Irak, Algierię, Libię, Nigerię i byłą Jugosławię. Kraje umiarkowanego ryzyka (czy zainwestowalibyście w nich oszczędności swoich dzieci?) to Argentyna, Brazylia, Peru, Wenezuela, Albania, Rumunia, dawne republiki radzieckie, Angola, Kamerun, Kongo, Gabon, Chiny, Indie, Malezja i Meksyk, a także pozostałe kraje Bliskiego Wschodu, w tym Arabia Saudyjska, Kuwejt, Oman, Katar, Egipt, Syria i Zjednoczone Emiraty Arabskie. W roku 1991 w krajach wysokiego ryzyka wydobywano prawie 8 mln baryłek ropy dziennie, czyli około 13 procent światowego wydobycia wynoszącego 60 mln baryłek.

Dżihad i wydobycie ropy: skala ryzyka

(Dane o wydobyciu ropy w 1992 roku, w tysiącach baryłek dziennie)

Grupa wysokiego ryzyka

Algieria	771,3
Irak	417,3
Iran	3415,3
Jugosławia	22,2
Libia	1468,7
Nigeria	1887,0
RAZEM	7981,8

13,3% światowego wydobycia ropy przypada na kraje uwikłane w konflikty etniczne, albo takie, gdzie konflikty z dużym prawdopodobieństwem mogą wkrótce wybuchnąć.

Grupa umiarkowanego ryzyka

Albania	30,0
Angola	553,2
Arabia Saudyjska	8206,7
Argentyna	554,3
Brazylia	640,7
Chiny	2833,6
Egipt	870,7
Gabon	302,7
Indie	573,8
Kamerun	139,0
Kongo	182,7
Kuwejt	845,3
Malezja	661,0
Meksyk	2775,7
Oman	729,0
Peru	115,7
Rumunia	140,0
Wenezuela	2328,7
WNP*	8898,8
Zjedn. Emiraty Arabskie**	2337,2
RAZEM	33.718,8

Źródło: *The International Petroleum Encyclopedia* (Tulsa: PennWell Publishing Company 1993), s. 350–354.

* Wspólnota Niepodległych Państw: Azerbejdżan, Białoruś, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Rosja, Tadżykistan, Turkmenia, Ukraina, Uzbekistan

** Zjednoczone Emiraty Arabskie: Abu Dhabi, Adżman, Dubaj, Osudżara, Ras al-Chajma, Szardża, Umm al-Quajwajn

Dżihad a zasoby ropy

Przegląd aktualnych zasobów ropy (aktualne zasoby to takie, które nadają się do wydobycia przy obecnej technologii po obecnych kosztach). Dane z końca stycznia 1993 roku. Liczby podano w miliardach baryłek. Wszystkie światowe zasoby szacuje się na 997,04 miliarda baryłek.

Grupa wysokiego ryzyka

	Zasoby ropy naftowej	Odsetek światowych zasobów
Algieria	9,20	0,92
Irak	100,0	10,03
Iran	92,86	9,31
Jugosławia	0,08	0,008
Libia	22,80	2,29
Nigeria	17,90	1,80
RAZEM	242,84	24,36

24,36% wszystkich aktualnych zasobów ropy znajduje się w państwach uwikłanych w konflikty etniczne albo bardzo nimi zagrożonych

Grupa umiarkowanego ryzyka

	Zasoby ropy	Odsetek światowych zasobów
Albania	0,17	0,012
Angola	1,50	0,15
Arabia Saudyjska	257,84	25,86
Argentyna	1,57	0,16
Brazylia	3,03	0,30
Chiny	24,00	2,41
Egipt	6,20	0,62
Gabon	0,73	0,07
Indie	6,05	0,61
Kamerun	0,40	0,04
Kongo	0,83	0,08
Kuwejt	94,00	9,43
Malezja	3,70	0,37
Meksyk	51,30	5,15
Oman	4,48	0,45
Peru	0,38	0,04
Rumunia	1,57	0,16
Wenezuela	62,65	6,28
WNP	57,00	5,72
Zjedn. Emiraty Arabskie	98,10	9,84
RAZEM	675,50	67,75

67,75% światowych zasobów ropy naftowej znajduje się w państwach, którym grozi umiarkowane ryzyko wybuchu konfliktów etnicznych.

Ogółem: 918,34 miliardów baryłek ropy, czyli 92,11% wszystkich światowych zasobów znajduje się w państwach objętych lub w różnym stopniu zagrożonych konfliktami etnicznymi.

Źródło: *The International Petroleum Encyclopedia* (Tulsa: PennWell Publishing Company, 1993), s. 284–285.

Wśród państw grupy umiarkowanego ryzyka kraje niearabskie wydobywają łącznie około 21 mln baryłek dziennie (ponad jedną trzecią światowej produkcji), podczas gdy w zapalnym rejonie Bliskiego Wschodu (wyjąwszy kraje wysokiego ryzyka, Iran i Irak) wydobycie wynosi 13 mln baryłek, czyli jedną piątą światowej produkcji. Wystarczy dodać te liczby, a okaże się, że ponad trzy piąte obecnego wydobycia (i prawie 93 procent znanych zasobów) znajduje się pod kontrolą państw, które bynajmniej nie czują się w McŚwiecie jak w domu, a najbardziej są zagrożone brakiem stabilizacji politycznej i społecznej, a co za tym idzie, ekonomicznej[28].

Zestawienie to wyglądać będzie równie niepokojąco, gdy eksporterów surowców energetycznych uszeregujemy na skali demokracji. Ustrój demokratyczny idzie w parze z zachowaniem ciągłości władzy i stabilizacją, państwa demokratyczne, w odróżnieniu od niedemokratycznych, nie wojują więc raczej z innymi demokracjami. W stosunkach handlowych McŚwiata demokratyczni producenci ropy naftowej byliby bezpieczniejszymi partnerami, mimo to mocarstwa zachodnie poprzestały na przywróceniu w Kuwejcie sytuacji umożliwiającej wydobycie ropy, nie nakłaniając tego kraju do poszerzenia zakresu demokracji.

Przy zastosowaniu najsurowszych standardów państwa Ameryki Łacińskiej i Indie znalazłyby się wśród demokratycznej mniejszości, z 7 zaledwie z 42 mln baryłek wydobywanych przez państwa grupy wysokiego i umiarkowanego ryzyka. Ponad cztery piąte produkcji pozostaje w rękach państw niedemokratycznych. Jeśli wszystkie produkujące ropę byłe republiki radzieckie istotnie się zdemokratyzują, „zabezpieczy" to dodatkowe 10 mln baryłek, ale blisko połowa światowej produkcji nadal będzie zagrożona. Rozpad wielkich niegdyś federacji, jak Jugosławii i Związku Radzieckiego spowodował, że dawni eksporterzy stali się importerami. Ukraina, wchodząc

w skład Związku Radzieckiego, mogła się uważać za część mocarstwa produkującego paliwa kopalne i tarcicę. Obecnie, choć uzyskała iluzoryczną niepodległość, stała się importerem o dużych potrzebach, rozpaczliwie negocjującym z Rosją warunki dostaw ropy, gazu i drewna. Dyrektor ukraińskiej kopalni imienia Wielkiego Października, Jurij Biełomiestnow, stwierdza z goryczą w głosie: „Niepodległość Ukrainy to błąd. Inteligencja jest zaślepiona nacjonalizmem. Kiedyś dostawaliśmy miesięcznie z Rosji 8000 sztuk części zamiennych, między innymi taśmy do przenośników, a także drewno. Teraz za nic nie możemy ich zdobyć”[29].

Nie trzeba wielu słów, by logiczny wywód ukazał przerażającą prawdę: zarówno Dżihad, jak McŚwiat osłabiają państwa. Dżihad rozbija je na drobne kawałki, lecz zwiększa ich zależność od McŚwiata. McŚwiat wyciąga je ze stanu izolacji i autarkii, ale czyniąc zależnymi ogranicza ich potęgę. W obu przypadkach cierpi demokracja, zwłaszcza gdy swobody obywatelskie mają swe historyczne korzenie w instytucjach państwa narodowego. Możemy poprzez handel, traktaty, prawo, współpracę i siły wielonarodowe chronić pokój w makroskali, ale mikrowojny wywoływane przez zaściankowe sekciarstwo Dżihadu nabierają na całym świecie coraz większego znaczenia. Wzajemna zależność sprawia, że granice przepuszczają nie tylko dobro, ale i zło, co Dżihadu dotyczy w nie mniejszym stopniu niż McŚwiata.

3
Sektor przemysłowy i rosnąca potęga Wschodu

Jak dalece odmiennie będą się sprawy przedstawiać, gdy od surowców przejdziemy do wyrobów fabrycznych, na których opiera się podobno każda gospodarka narodowa? Wytwarza je tradycyjny sektor przemysłowy, uznawany przeważnie za kryterium rozwoju kapitalizmu. Do niedawna sektor ten uważano za siłę napędową każdej rozwiniętej gospodarki. Upadek takich tradycyjnych dziedzin amerykańskiego przemysłu, jak hutnictwo stali i produkcja samochodów, ściśle skojarzono z przypuszczalnym schyłkiem światowego przywództwa Stanów Zjednoczonych. Amerykański „zardzewiały pas"* przemienił Amerykę w jedno wielkie zardzewiałe wiadro. „Stulecie amerykańskie", które w 1941 roku uroczyście świętował Henry Luce, wydawca magazynu „Life", zakończyło się po cichu gdzieś w latach siedemdziesiątych, kiedy Stany Zjednoczone przebyły ponad połowę drogi od pozycji największego wierzyciela świata do pozycji największego dłużnika, a Europa i Japonia, pozbierawszy się po wojennych zniszczeniach, zaczęły wyprzedzać Amerykę w produkcji samochodów, sprzętu gospodarstwa domowego, elektroniki i komputerów. Paul Kennedy, David Calleo

---

* Rejony na północnym i środkowym zachodzie USA, gdzie podupadł przemysł hutniczy i samochodowy, starzeją się fabryki, spada liczba ludności – przyp. tłum.

i inni pesymiści doszli do wniosku, że skończyła się trwająca niespełna pół wieku epoka amerykańska [1].

Nowe potęgi ekonomiczne, do których prawdopodobnie należeć będzie przyszłość, oceniano w ostatnich latach na podstawie ich rosnącego potencjału produkcji przemysłowej. „Azjatyckie tygrysy" – Japonia, Korea, Tajwan, Singapur i Chiny (razem z Hongkongiem) dogoniły, a nawet prześcignęły takie europejskie mocarstwa, jak Niemcy i Francja. Mniejsze i mniej znane jako wytwórcy kraje, jak Izrael, Irak, Kuba (jeszcze pod komunistycznym patronem), Botswana, Kuwejt i Libia również uzyskały nieproporcjonalny do swych rozmiarów wpływ ekonomiczny, a Chile, Turcja czy nawet Meksyk mogą jeszcze w tej dekadzie osiągnąć nadzwyczajne wskaźniki wzrostu [2]. We wszystkich tych krajach przemysł wytwarza ponad połowę produktu krajowego brutto (PKB) [3]. Ale tendencje te niczego właściwie nie dowodzą. Ekstrapolacje oparte na potencjale przemysłowym są z zasady błędne, bo nie uwzględniają kierunku, w jakim zmierza rozwijająca się gospodarka. W epoce McŚwiata źródłem siły ekonomicznej stał się sektor usług, tutaj zaś przodującą pozycję określają nowe kryteria, całkiem inne niż w tradycyjnym sektorze przemysłowym.

Joseph Nye przekonująco pisze o odchodzeniu od „twardej" władzy, której źródłem jest przymus narzucany przez strukturę kierowniczą, a więc władzy militarnej i potęgi maszyny. Jej miejsce zajmuje stopniowo władza „miękka", która kieruje, ponieważ uzyskała przyzwolenie, a siłę swą czerpie „z uniwersalizmu kultury danego kraju, który potrafił stworzyć system zasad i instytucji rządzących różnymi obszarami międzynarodowej działalności" [4]. Jego zdaniem we współczesnym świecie miękka władza wypiera twardą z areny politycznej. Postaram się udowodnić, że taki sam proces zachodzi w sferze gospodarki, gdzie „miękki" sektor usług (informacja i telekomunikacja) wypiera „twardy" przemysł, i że w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat zmienią się kryteria świad-

czące o potędze ekonomicznej danego kraju. Zada to kłam ponurym przepowiedniom o upadku Stanów Zjednoczonych[5]. Stany przestały być głównym mocarstwem przemysłowym, ale z pewnością nie mają sobie równych w dziedzinie „miękkich" mocy tworzących McŚwiat, co je predestynuje do odzyskania światowego przywództwa. Chcę przez to powiedzieć, że historia wzlotu i upadku Ameryki jako potęgi przemysłowej to tylko część dłuższej, nie zakończonej jeszcze epopei.

W 1950 roku, a więc wkrótce po II wojnie światowej, zanim zimna wojna stała się dla Ameryki poważnym wyzwaniem i zmusiła do przestawienia gospodarki z pokojowej na wojenną, Stany zdążyły wyprzedzić Anglię i Niemcy stając się mocarstwem światowym. Wydawałoby się, że główną rolę odegrały tutaj czynniki militarne i polityczne, ale za nimi stała potęga ekonomiczna. Ta nie mająca precedensu strategiczna hegemonia opierała się prawie w pełni na amerykańskim przemyśle wyłonionym z II wojny światowej. Gospodarką amerykańską kierowały największe i najbardziej produktywne firmy i banki świata[6].

W owych powojennych latach, kiedy Ameryka utrzymywała pozycję hegemona w światowej gospodarce, zdominowany przez nią świat był pod względem kulturowym o wiele bardziej zróżnicowany. Ameryka sprawowała „twardą" władzę, ale „miękka" władza była rozproszona i niematerialna, składało się na nią wiele rozmaitych izolowanych jak wyspy lokalnych kultur. Strefy językowe były podzielone, a symbole kulturowe stanowiły własność prowincjonalnych ludów, których wyobrażenia o własnej tożsamości barwnie się od siebie różniły. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nie było „Europy" jako takiej. Przed epoką McŚwiata Szwedzi jeździli szwedzkimi samochodami, jedli szwedzkie potrawy, kupowali szwedzkie towary. Swoje samochody, potrawy i towary mieli Anglicy, a reszta mieszkańców świata albo naśladowała dawnych kolonizatorów, albo rozwijała lokalną

gospodarkę opartą na miejscowych produktach i rodzimej kulturze. We Francji jadło się nie pasteryzowany ser brie i popijało *vin de Provence* w archetypowych francuskich kafejkach i *brasseries*. Słuchało się Edith Piaf i Jacqueline Françoise, jeździło citroenami 2CV i renaultami po typowo francuskich dwupasmowych drogach obsadzonych drzewami. Można tak było przejechać pół kraju, od Paryża do Marsylii. Amerykanin w Paryżu, przepłynąwszy ocean, by uciec od Taste – Freez, White Castle i pikapów marki chevrolet miał pewność, że we Francji ich nie spotka. Niemiec studiował we Włoszech, by nasiąknąć kulturą śródziemnomorską, nie atlantycką. W gospodarce światowej dominowali Amerykanie, ale we Francji rządzili Francuzi, w Anglii – Anglicy, a we Włoszech – Włosi.

Z zimnej wojny wyłoniły się jednak dwa konkurencyjne światy, dwie potęgi przemysłowe. Podczas gdy Stany Zjednoczone i Związek Radziecki koncentrowały się na ciężkim przemyśle obronnym i lotniczym (w tym na rozwijaniu programów kosmicznych), Niemcy i Japonia nakierowały się na produkcję dóbr konsumpcyjnych. Jak na ironię, naturalnym odbiorcą okazał się tutaj idealny konsument amerykański – mobilny, samodzielny, dokonujący wyboru. To on miał przesądzić o przyszłym kształcie gospodarki. Jeśli przemysł obronny i kosmiczny były ściśle związane z „twardą" władzą i kierowniczymi strukturami państwa, to nowa ekonomia – uwzględniająca przede wszystkim potrzeby konsumenta – stwarzała przywileje dla sektora prywatnego i sterowała ku „miękkiej" władzy.

Swoją powojenną dominację ekonomiczną Ameryka uzyskała między innymi dzięki temu, że zdecydowała się postawić na motoryzację. Z chwilą gdy wybrano transport drogowy zamiast kolejowego i zbudowano system ogromnych autostrad łączących wszystkie stany, gałęzie przemysłu, od których zależała produkcja samochodów (stal, aluminium, chrom, ropa naftowa, guma, cement,

asfalt, elektronika) zaczęły być wspomagane nie tylko ze względu na państwowy sektor obrony, ale i prywatny sektor towarów konsumpcyjnych. Samochód umożliwił rozbudowę osiedli podmiejskich, co z kolei miało żywotne znaczenie dla przemysłu budowlanego. Budowa osiedli podmiejskich narzuciła rozwój łączności i domowej rozrywki. Telewizja stała się narodowym środkiem przekazu. Ta krajowa produktywność wraz z produkcją przemysłu ciężkiego na potrzeby obrony zdopingowała rozwój gospodarki i zapewniła Ameryce światowe przywództwo. Wyścig zbrojeń umożliwił Związkowi Radzieckiemu i jego dostawcom, jak Niemcom Wschodnim (lub wymusił na nich) zbudowanie konkurencyjnej gospodarki opartej na przemyśle, ale przyszłość miała należeć do tych państw, które mogły się skoncentrować na produkcji towarów konsumpcyjnych. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki w wyniku wyścigu zbrojeń same się wyeliminowały z przywódczych pozycji. ZSRR ostatecznie zbankrutował, a Stany przetrwały ekonomicznie tylko dzięki gigantycznemu długowi państwowemu, bolesnemu deficytowi handlowemu i niemiłemu statusowi najbardziej zadłużonego państwa, tak przykremu w latach dziewięćdziesiątych, w epoce McŚwiata stworzonego przez powojenną gospodarkę amerykańską.

Wynalazki w dziedzinie elektroniki i komputerów, dokonywane w trakcie badań na potrzeby przemysłu obronnego, ułatwiły rozwój produkcji dóbr konsumpcyjnych, z czego mogły skorzystać nowe przemysłowe potęgi Europy i Pacyfiku. Nowe amerykańskie rakiety małej mocy wymagały miniaturyzacji elementów, a rozwój nowoczesnej broni pociągnął za sobą postępy w elektronice i komputeryzacji. Wszystko to zostało skwapliwie wykorzystane w technologii dóbr konsumpcyjnych. Radia, kamery, telefony, sprzęt wideo, urządzenia kuchenne i domowe, nie mówiąc o domowych komputerach, czyli wszystkie te rzeczy, które musiały się znaleźć w coraz liczniejszych amerykańskich samochodach i gospodarstwach domowych, wytyczyły

nową granicę dla przemysłu wytwórczego. Choć w badaniach naukowych i postępu Ameryka przodowała, rychło przestała być konkurentką dla krajów, które pokonała w II wojnie światowej[7].

Stany Zjednoczone pozostały mimo oznak wyczerpania potężnym mocarstwem przemysłowym, budując stopniowo podstawy pod nowe przedsięwzięcia gospodarki opartej na usługach. W 1993 roku produkt krajowy brutto (PKB) osiągnął prawie 5 bln dolarów. Jest to ponad jedna piąta produktu światowego brutto, wytwarzana przez zaledwie jedną dwudziestą ludności świata. Spośród 500 przodujących światowych korporacji przemysłowych 161 to firmy amerykańskie. W pierwszej dziesiątce mamy 5 amerykańskich korporacji, w tym na czele trzy z nich (General Motors, Exxon i Ford)[8]. Zaskakująco dużą liczbę wśród naszych największych korporacji stanowią jednak nowe firmy. Założona w 1968 roku Intel Corporation zatrudniała w 1993 roku 30 000 pracowników i osiągnęła obroty wartości 8,8 mld dolarów. Nike powstała w 1972 roku, Microsoft w 1975, Apple Computer i Gene Tech w 1976. Są nie tylko nowe, ale i reprezentują nową formę ekonomicznej potęgi.

Prawdziwa historia zmiennych kolei losu Ameryki jako światowego producenta nie sprowadza się do przeniesienia ośrodka potęgi gospodarczej z jednego kraju do drugiego, ale do stopniowej erozji samego pojęcia narodowej przewagi. Z każdym rokiem poszczególne gałęzie przemysłu stają się coraz bardziej ponadnarodowe, jeśli chodzi o ich korporacyjną strukturę, wielonarodowe pod względem własności poszczególnych ich części, międzynarodowe pod względem rozmieszczenia zasobów pracy i globalne w swej marketingowej strategii. Wystarczy spojrzeć na Nike, Intela czy Apple. Amerykańskiego przywództwa w przemyśle wytwórczym nie da się już nazwać amerykańskim, tak samo jak japońskiego – japońskim. Korporacje stały się równie światowe jak rynki, na których działają. Do książki Paula Kennedy'ego o po-

wstawaniu i upadku wielkich mocarstw bardziej pasowałby tytuł: „O powstaniu i upadku pojęcia wielkiego mocarstwa".

Kiedy mówimy o światowych firmach i światowych rynkach, do „świata" zaliczają się tylko wyznaczeni uczestnicy gry. Nie chodzi o całą planetę. Jeśli pominiemy koncerny naftowe i zajmujące się wydobyciem surowców, nie znajdziemy wśród pierwszych 500 korporacji świata ani jednej firmy afrykańskiej, południowoamerykańskiej, bliskowschodniej czy indyjskiej. Nie inaczej wygląda sytuacja w dziedzinie wzorców konsumpcji, bo główni producenci okazują się również głównymi konsumentami. Na przykład w 1991 roku Stany Zjednoczone eksportowały towary wartości 85 mld dolarów do Kanady, za 48 mld do Japonii, za 33,3 mld do Meksyku, za 22 mld do Wielkiej Brytanii i za 21,3 mld do Niemiec. Na te pięć głównych rynków eksportowych przypadało około 210 mld dolarów, czyli ponad połowa całego amerykańskiego eksportu[9]. Czterech z pięciu głównych dostawców Stanów Zjednoczonych zalicza się do pierwszej piątki odbiorców amerykańskich towarów. Z pierwszej dziesiątki państw, z których Ameryka importuje, 8 zalicza się do jej głównych rynków eksportowych (ponad 77 procent eksportu).

Kraj	Miejsce na liście dostawców	Miejsce na liście rynków eksportowych
Japonia	1	2
Kanada	2	1
Meksyk	3	3
Niemcy	4	5
Chiny	6	16
Wielka Brytania	7	4
Korea Południowa	8	6
Francja	9	6
Włochy	10	12

Amerykanie martwią się deficytem bilansu handlowego: ujemny bilans obrotów mają z 7 krajami spośród 10

wymienionych na liście (wyjątkami są Francja, Wielka Brytania i Meksyk). A jednak są to również główni partnerzy eksportowi. Brazylia na 17 miejscu i Wenezuela na pozycji 20 to jedyne – wśród pierwszych 25 odbiorców amerykańskiego eksportu – kraje spoza strefy Pacyfiku i Europy (z którymi USA mają także ujemny bilans obrotów handlowych). Prawie połowa światowych eksporterów, czyli blisko 70 państw, umieszczała Stany Zjednoczone na pierwszym, drugim lub trzecim miejscu jako odbiorcę swych towarów w latach 1987–1988. Dla 40 państw Stany były pierwszym importerem, w tym dla wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej, ale także dla Korei Południowej, Japonii, Nigerii, Mozambiku, Iraku, Ugandy, Pakistanu, Sri Lanki, Indii i ubogiego Bangladeszu [10]. Krótko mówiąc, Ameryka kupuje towary od swoich konkurentów i sprzedaje im, oni zaś robią to samo między sobą, kiedy nie handlują z Ameryką. W ramach klubu mogą występować różnice we wskaźnikach importu/eksportu, co budzi lokalne namiętności (jak w ramach NAFTA), ale naprawdę liczy się przynależność do niego. [11]

Kraje Trzeciego Świata w różnym stopniu znajdują się na marginesie, podczas gdy Świat Stojący nad Grobem wypada poza planetę. Między partnerami mogą być znaczne różnice w bilansie handlowym, ale tylko niewielka grupa państw jest w ogóle brana pod uwagę. Podział na Północ i Południe usuwa w cień dawny podział na Wschód i Zachód. Znajduje to odbicie w prawie każdym raporcie na temat sytuacji gospodarczej Azji Środkowej, Bliskiego Wschodu, a najbardziej przerażająco wygląda w odniesieniu do Czarnej Afryki. Ten „obszar ludzkiego nieszczęścia i katastrofy środowiska naturalnego" pozostający „na peryferiach reszty świata" trudno zaliczyć do „tej samej epoki historycznej, w której żyjemy" [12].

Jak na ironię, działające w skali globalnej siły ekonomiczne osłabiają państwa narodowe w rozwiniętych rejonach świata, tam gdzie są one najbardziej demokratyczne,

a umacniają je w Trzecim Świecie, gdzie o demokracji trudno mówić. W obu przypadkach proces ten zagraża wolności. Demokracja przegrywa na obu krańcach skali rozwoju. W wolnych społeczeństwach, gdzie gospodarka ekspansywnie się rozwija, słabnie stopniowo tradycyjna wiara religijna i więź narodowa, a instytucje państwowe, od których przede wszystkim zależy demokracja i wolna gospodarka, ulegają powolnej korozji. W państwach despotycznych nie ma czynników osłabiających religię i nacjonalizm. Krzepną one w sposób utrudniający modernizację i demokratyzację. Nie tylko bogaci bogacą się coraz bardziej, a biedni ubożeją, ale bogaci mają coraz więcej swobody, biedni zaś popadają w niewolę.

W perspektywie, rzecz jasna, nie służy to demokracji ani w Pierwszym, ani w Trzecim Świecie. W Trzecim Świecie zbyt silny przymus wywierany przez państwo odbiera wolność ludom, które mogłyby wystartować do szybkiego rozwoju gospodarczego. W Pierwszym Świecie zbyt słaby przymus nie chroni ludzi przez siłami rynku, nad którymi nie mają żadnej racjonalnej ani zbiorowej kontroli. Zależność od światowych rynków, będąca udziałem możnych tego świata, może być lepszym wariantem niż wymuszona przez biedę zależność od lokalnych despotów, ale i jedna, i druga oznacza pewien rodzaj poddaństwa, a żadna nie chroni przed powiększaniem się nierówności i ograniczaniem zakresu powszechnych swobód.

Te różnorakie paradoksy, przyczyniające się znacznie do narastania niesprawiedliwości w skali całego świata oraz do zawężania perspektyw globalnej demokracji, to tylko glosy do głównego zagadnienia, jakim się zajmujemy: internacjonalizacji rynków i służących im firm. W rozwiniętym świecie, który „się liczy”, gdzie swobody (przynajmniej w teorii) są jakoś tam zagwarantowane, erozja tożsamości narodowo-państwowej, warunkująca w znacznym stopniu biznes korporacyjny, stanowi najważniejszą cechę sektora wytwórczego. Zanik

demokratycznej kontroli nad rynkiem na szczeblu państwa jest bowiem zagrożeniem zarówno dla sprawiedliwości i polityki społecznej, jak i dla demokratycznej kontroli nad gospodarką w skali całego świata. Wśród czołowych 25 amerykańskich firm (stan z roku 1992) sprzedających najwięcej za granicą znajdują się nie tylko giganty naftowe, jak Exxon (77 procent obrotów poza Stanami), Mobil (68 procent) i Texaco (53 procent), firmy chemiczne, jak Dow (50 procent) i DuPont (47 procent), lecz także Philip Morris, Coca-Cola, Johnson & Johnson oraz Eastman Kodak [13]. Dow Chemical zarabia cztery dolary z każdych dziesięciu na transakcjach za granicą, gdzie ma dwa razy więcej zakładów produkcyjnych niż w Stanach. W przypadku Goodyear Tire and Rubber 43 procent zysków pochodzi z zagranicy. Ponad połowa z 83 fabryk tej firmy znajduje się poza Stanami, w 25 różnych krajach.

Wystarczy zapukać do kilku zaledwie korporacji mających w swej nazwie słowo „amerykańska", by się przekonać, jak niewiele treści zawiera się w tym patriotyzmie. Weźmy na przykład American Greetings Corporation (karty świąteczne i upominki), której 14 procent dochodów pochodzi z zagranicy, American Express – ponad 20 procent, American Home Products – 24 procent, American International Insurance Groups – 46 procent, American Standard (instalacje wodociągowe) – 49 procent zysków oblicza się według standardów zagranicznych walut, American Cynamid – jak większość firm chemicznych zarabia za granicą ponad połowę swych dochodów, wreszcie American President (żegluga handlowa) – ponad dwie trzecie [14].

Jeszcze dwadzieścia kilka lat temu większość firm amerykańskich, których dochody w przeważającej części pochodzą dzisiaj z zagranicy, koncentrowała się prawie wyłącznie na rynku krajowym. Francuska (z nazwy) firma Michelin – 20 procent sprzedaży opon w skali świata – tylko 19 procent dochodów uzyskuje we Francji. Sony

zarabia w Japonii niespełna jedną czwartą swoich rocznych dochodów szacowanych na 30 mld dolarów. Ponad połowa pochodzi ze Stanów Zjednoczonych i Europy (po 28 procent z obu). Również mniejsze kraje utraciły nawet nominalną suwerenność nad swoimi firmami. Ogromna szwedzka IKEA handlująca tanimi meblami ponad cztery piąte swych produktów (3,2 mld dolarów obrotów w 1992 roku) sprzedaje poza Szwecją. Jej założyciel, miliarder Anders Moberg, przeniósł niedawno prawo własności na fundację, którą założył w Amsterdamie. Siedziba kierownictwa przeniosła się do Danii (sam zaś Moberg do Szwajcarii)[15]. Jak szwedzka może być IKEA propagująca styl „Danish modern"?

W miarę jak przemysł wytwórczy nabiera międzynarodowego charakteru, a tradycyjne potęgi przemysłowe przekazują władzę nowym rynkom z tańszą siłą roboczą, przemianie ulega sam sektor przemysłowy. Umiędzynarodowienie firm to tylko część tego procesu, zmieniają się również produkowane towary i samo pojęcie dobra konsumpcyjnego. Od dóbr materialnych („twardych") do niematerialnych („miękkich"), od dóbr niematerialnych do usług, które same stają się towarem. Zajmiemy się teraz tą częścią naszej historii.

4
Od dóbr materialnych do niematerialnych

Wytwarzanie i sprzedawanie towarów pozostaje co prawda główną formą gospodarczej działalności na międzynarodowych rynkach McŚwiata, ale towary w coraz większym stopniu określane są przez symboliczne interakcje sektora usług, który przybiera postmodernistyczną, wirtualną postać. W ciągu ostatniej dekady miejsce ciężkiej produkcji przemysłowej związanej z obroną zajęły dobra konsumpcyjne. Teraz mamy do czynienia z następną fazą, kiedy materialne dobra konsumpcyjne mają coraz więcej odniesień do „miękkich" technologii, związanych z informacją, rozrywką i stylem życia. Pojawiają się produkty z pogranicza, które trudno jednoznacznie zaliczyć bądź do towarów, bądź do usług. Dawna gospodarka kapitalistyczna, polegająca na wytwarzaniu i sprzedawaniu z zyskiem dóbr materialnych, które miały zaspokoić popyt, a ten dawał o sobie znać poprzez rynek, ustępuje stopniowo miejsca postmodernistycznemu kapitalizmowi, który stwarza potrzeby, by wyjść naprzeciw podaży. Produkty trafiają na rynek i stają się pokupne za sprawą promocji, opakowania i reklamy. Tradycyjna gospodarka, odzwierciedlająca „twardą" władzę, zajmowała się materialnymi towarami, zaspokajającymi potrzeby ciała. Nowa, będąca odbiciem „miękkiej" władzy, opiera się na usługach nakierowanych na umysł i ducha (czy też na doprowadzenie umysłu i ducha do zguby). Ten mariaż techniki telekomunikacyjnej z informacją i rozrywką na-

zwę dla uproszczenia „telesektorem inforozrywkowym” (*infotaiment telesector*). Zawłaszcza on coraz bardziej sferę dóbr konsumpcyjnych, a jego celem jest ni mniej, ni więcej tylko ludzka dusza.

Hiperbola? Długo uśpiony język duszy, do niedawna raczej niemodny, zwłaszcza w korporacyjnym kapitalizmie, powraca obecnie w świeckiej postaci. Postmodernistyczny kapitalizm, który asymiluje i przekształca tak wiele innych ideologii, nie powstydził się uczynić tego samego z religią. Jeśli Madonna może uprawiać erotyczne zabawy z krucyfiksem, dlaczego Mazda i American Express nie miałyby sprzedawać swych produktów przy pomocy Ducha Świętego? W telewizyjnej reklamie Mazdy z 1993 roku słyszymy chrapliwy głos, który stwierdza uroczyście: „Dostrzegam w ciężarówkach wymiar duchowy”. Nowy pikap Mazdy jest „jak przyjaciel”, co znaczy, że ma „silnik V-6 i odpowiednią duszę”. W innej kampanii reklamowej American Express razem z Body Shop Anity Roddick wykorzystuje ochronę środowiska, prawa człowieka i tak zwane „godziwe handlowanie”. Reklama kończy się akcentem duchowym: „American Express zna wiele sklepów dla twojego ciała. Anita zna ten jeden dla twojej duszy”.

Dla największych amerykańskich korporacji produkujących markowe towary konsumpcyjne, jak Coca-Cola, Marlboro, KFC, Nike, Hershey, Levi’s, Pepsi, Wrigley czy McDonald’s sprzedawanie amerykańskich produktów oznacza sprzedawanie Ameryki: jej kultury masowej, domniemanej zamożności, wszechobecnego wizerunku i programu, a więc jej duszy. Marketing w równym stopniu dotyczy towarów, jak symboli. Sprzedaje nie tyle rzeczy służące zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych, co różne odmiany stylu życia. To jest właśnie współczesna droga prowadząca nas od ciała do duszy. KULTURA AMERYKAŃSKA (I AMERYKAŃSKIE TOWARY) ROZKWITA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ czytamy w „New York Timesie”. Jest to tytuł

artykułu poświęconego perspektywom inwestycji w kraju, który szykuje się do pierwszych wolnych wyborów z udziałem ludności wszystkich ras. I cóż tam widzimy? Czarni Afrykanie „siedzą w restauracji Kentucky Fried Chicken, popijają Coca-Colę i słuchają nagrań Whitney Houston", a w pierwszej dziesiątce najpopularniejszych programów telewizyjnych jest 7 programów amerykańskich[1]. Tymczasem Marlboro reklamuje wynaleziony przez siebie styl („Marlboro Country") i „ekwipunek Marlboro", by podtrzymać sprzedaż papierosów w epoce walki z nikotynowym nałogiem.

Propagowany styl jest w pełni amerykański, ale potencjalnie ma charakter globalny, ponieważ korporacje całkiem dosłownie mogłyby podchwycić hasło „my jesteśmy światem" – „we are the world". Styl, jaki proponuje Ameryka, jest niespójny i sprzeczny, ale wielce kuszący, mniej „demokratyczny" niż kultura fizyczna: młodzieńczy i zamożny jak yuppie, po kowbojsku nieokrzesany, czarowny jak Hollywood, nieskrępowany niczym rajski ogród, wyrozumiały dla błędów, wyczulony na problemy społeczne, politycznie poprawny, przepojony atmosferą wielkiego centrum handlowego i, jak na ironię, często prezentujący wizje życia w czarnym getcie, ale chodzi tu o zawadiacki styl bycia, a nie przestępczość i brud. Na pierwszej i ostatniej stronie okładki raportu PepsiCo za 1992 rok widzimy czarnych (w większości) tancerzy z zespołu Marthy Graham i School of American Balet. „Pokolenie Pepsi", wielokolorowe i wielokulturowe, jest jak najbardziej amerykańskie. Michaelowie (Jordan i Jackson), Jacksonowie (Michael, La Toya i Jesse), King (Martin Luther) i Prince, nie mówiąc o Simpsonie (ale nie o Simpsonach) – tak biała Ameryka wykorzystuje wybranych na chybił trafił bohaterów czarnej Ameryki, by zdobywać zakrojone na miarę herosów światowe rynki. Bohaterowie upadają – Michaelowi Jacksonowi i O.J. Simpsonowi powinęła się noga – ale właśnie ten taniec na linie tak między innymi fascynuje obserwatorów z zewnątrz w kulturze murzyńskich gett.

W tym procesie sprzedawania Ameryki, będącym środkiem sprzedaży amerykańskich towarów, reklama stała się wielkim biznesem na światową skalę. Z 25 największych agencji reklamowych 15 to firmy amerykańskie. W skali globalnej dochody z reklamy szacuje się na od 150 do 250 mld dolarów, z czego prawie połowa przypada na Amerykę [2]. Największa firma, brytyjska Saatchi & Saatchi, działa w ponad 80 krajach. Jak podaje znany ekspert od środków przekazu, Ben Bagdikian, wykupuje 20 procent całego czasu reklamowego w telewizjach świata. Na zamówienie Pepsi-Coli opracowała reklamę, która ma trafić na rynki 40 różnych państw i będzie oglądana przez jedną piątą ludności ziemskiego globu [3]. Coca-Cola otworzyła swoje filie między innymi w Chinach, a także na Rutgers University. W Chinach dzieli rynek z PepsiCo i innymi firmami, ale na Rutgers University przelicytowała konkurencję i za jedyne 10 mln dolarów zapewniła sobie monopol na zbyt swoich produktów oraz prawo do posługiwania się nazwą tej uczelni w reklamach. W późnym kapitalizmie nie chodzi już o towary ani o konkurencję. Obraz firmy stał się wszystkim, a Coke utożsamia się obecnie z edukacją, i to raczej w abstrakcyjnym niż konkretnym znaczeniu. Ostatnie sukcesy, w tym sponsorowanie przez Coca-Colę niedawnych Igrzysk Olimpijskich, firma zawdzięcza zapewne nawiązanej kilka lat temu bliskiej współpracy z Creative Artists Agency, kierowaną przez Michaela Ovitza potężną firmą promującą talenty i kreującą *image* firm. Jak stwierdza jeden z dyrektorów Coke, która świetnie rozumie związek między swoim produktem a kulturą amerykańską, „amerykańska kultura w szerokim tego słowa znaczeniu – muzyka, film, moda i jedzenie – stała się kulturą całego świata" [4]. Coca-Cola odkryła McŚwiat, który sama przez ostatnie pół wieku budowała, nie zdając sobie z tego sprawy.

Tymczasem firma Creative Artist wykombinowała sobie, że jeśli chce przekształcić McŚwiat na podobieństwo Coke, warto wejść w synergiczny związek z sektorem informacji i telekomunikacji. Latem 1994 roku Ovitz

ściągnął do CAA byłego dyrektora finansowego AT&T, Roberta Kavnera. Zlecono mu „poszukiwanie zajęć dla reżyserów, pisarzy i wykonawców w nowej, dynamicznie rozwijającej się dziedzinie komputerów osobistych i usług *on-line*, obejmującej z początku edukację, zakupy, filmy i gry wideo". Pan Kavner pozwolił sobie na uwagę: „znajdujemy się w epoce będącej odpowiednikiem rewolucji przemysłowej"[5].

Powstanie McŚwiata pokrywa się z niezwykle szybkim rozwojem przemysłu reklamowego. W skali całego świata nakłady na reklamę rosły o jedną trzecią szybciej niż wynosiło tempo wzrostu światowej gospodarki, a trzy razy szybciej niż przyrost ludności naszego globu. Od 1950 do 1990 roku zwiększyły się siedmiokrotnie: ze skromnych 39 mld do 256 mld dolarów[6], a w przeliczeniu na jedną osobę z 15 dolarów w 1950 roku do blisko 50 obecnie. Przodują w tym względzie Stany Zjednoczone ze wskaźnikiem blisko 500 dolarów na osobę. Korea Południowa (gdzie pod koniec lat osiemdziesiątych przemysł reklamowy wykazywał roczne tempo wzrostu rzędu 35–40 procent) i Indie (pięciokrotny wzrost liczby reklam w ciągu lat osiemdziesiątych) szybko je doganiają[7]. Reklama odzwierciedla i wzmacnia jednocześnie znaczenie znaku firmowego, który na światowym rynku staje się ważniejszy od samego produktu. Takie nazwy firmowe, jak Marlboro, piwo Bud, lalka Barbie i Nescafé utrzymują często swoje macierzyste firmy (Philip Morris, Anheuser-Busch, Mattel i Nestlé). Zarówno nazwy, jak i towary mają markową wartość, która idzie w miliardy dolarów[8].

W nazwach firmowych zaszyfrowane są skojarzenia i symbole pieczołowicie kultywowane przez reklamę i marketing, to one bowiem tworzą popyt na rynku. Luciano Benetton, broniąc swej szokującej kampanii reklamowej o głęboko nihilistycznym przesłaniu, która bardziej eksponowała ofiary AIDS i sceny zbrodni niż seksowne modelki i swetry w pastelowych kolorach, twierdzi z prze-

konaniem: „tworzymy nową sztukę komunikowania się. Nie szerzymy kłamstw. Szczerze mówimy, że choroba, wojna i śmierć są na tym świecie obecne"[9]. Co ma potencjalnym nabywcom odzieży zakomunikować nagi męski tors z wytatuowanym napisem HIV POSITIVE? Solidarność społeczną? Delikatne ostrzeżenie przed stereotypizacją czy też jej niezbyt delikatny przykład? A może to prowokacja polityczna albo też wizja zrodzona w umyśle jakiegoś dyrektora kreatywnego – oddziałująca na podświadomość modna kombinacja ciała, choroby i homoseksualizmu, za której sprawą zieleń staje się głównym odcieniem wśród kolorów Benettona, a śmierć jest prezentowana jako jeszcze jeden atrakcyjny styl życia?[10]

American Express przeprowadził kampanię reklamową z udziałem wybranych detalistów. Próbowała ona przedstawić zakupy jako działanie społecznie zaangażowane, w rzeczywistości jednak sprowadziła zaangażowanie społeczne do robienia zakupów. Jedna z reklam z tej serii z entuzjazmem podkreśla, jak to klienci „przychodzą do Body Shop po odżywkę do włosów i dowiadują się tam o rezerwacie Xingu i Indianach Kayapo, którzy zbierają dla nas orzechy". Wychodzi na to, że Body Shop bardziej zależy na ratowaniu lasów tropikalnych niż „sprzedawaniu mydła". Jak to robi? Płaci Indianom Kayapo za wyrób oleju z orzechów, nie muszą dzięki temu pracować przy wyrębie drzew i zostawiają las w spokoju. Anita Roddick, założycielka Body Shop, rewanżuje się firmie American Express za tę magiczną transformację sklepu z mydłem w stowarzyszenie ochrony środowiska. Pod koniec reklamy stwierdza mimochodem: „często odbywam niebezpieczne podróże. Odwiedzam niesamowite miejsca na końcu świata. Pomaga mi w tym karta American Express". Wygląda na to, że w rezerwacie Xingu, który z pewnością leży na końcu świata i jest niesamowity, można płacić kartą American Express[11].

W 1995 roku, po „zwycięstwie" nad komunizmem, mało kto miałby odwagę określić kapitalizm jako imperialistyczny.

Rynki muszą się jednak rozwijać, a reklama taką już ma właściwość, że jak woda gruntowa zalewa po kolei wszystkie piwnice zbiorowych domów skomercjalizowanej kultury. Zdaniem reklamodawców trzeba zapełniać każdą pustą lub „martwą" przestrzeń, czyli taką, której nie wykorzystano jeszcze do celów handlowych. Klasy szkolne służą sieci Channel One do prezentacji filmów wideo. Rozwój techniki zaszedł już tak daleko, że czekając na połączenie z numerem wewnętrznym słuchasz przez telefon reklam [12], a na niebie można umieścić wielkie elektroniczne tablice reklamowe, które przesłonią gwiazdy ziemskimi znakami firmowymi i raz na zawsze załatwią magiczną „martwą przestrzeń" nocy [13]. Dyrektor firmy, która jest już w stanie wysłać reklamy na orbitę, zachwyca się „niesamowitą szansą, jaką nastawionej globalnie firmie stwarza wysoko rozwinięta technologia, która tworzy historię. Miliardy ludzi mogą poznać logo i przesłanie firmy" [14]. „Życie bez granic", hasło, pod którym Ralph Lauren sprzedaje swoje męskie perfumy, można równie dobrze odnieść do kolonizowania przez reklamę pustej przestrzeni – pustej, czyli takiej, gdzie jeszcze reklam nie ma.

Dzięki podjętej przez administrację Reagana w 1984 roku decyzji o zniesieniu ograniczeń czasu reklamowego w telewizji, reklama przenika do rozmaitych formuł programów rozrywkowych i informacyjnych. Granice się zacierają. Reklamy udają niezależne komentarze – komentatorstwo staje się reklamiatorstwem. Przed tą zarazą nie uchroniły się nawet dzienniki telewizyjne, które zmieniają się w dzienniki komercyjne. Telewidzowie przestali się orientować, czy oglądają program o jakimś produkcie, czy są namawiani do jego zakupu. To samo dzieje się z fabułą – reklamy coraz bardziej przypominają „opery mydlane", mają swoich bohaterów i intrygę rozwijającą się z odcinka na odcinek, jak w serialu *Gramercy Press* sieci MCI czy romansie towarzyszącym reklamie Taster's Choice (bohaterowie lądują w Paryżu, jakżeby inaczej). Ale w operach mydlanych zawsze chodziło, koniec koń-

ców, o sprzedawanie mydła [ich sponsorami byli producenci mydła, stąd nazwa – przyp. tłum.]. Dziś cała sieć MTV, pomijając transmitowane w niej reklamy, jest jednym wielkim nie kończącym się anonsem przemysłu muzycznego i jego wytworów, a także skomercjalizowanej kultury w szerokim ujęciu [15].

Dzisiejsza synergia wielkich korporacji nie dopuszcza, by twórczość literacka wiodła sobie odrębny żywot. Nike podaje odbiorcom reklamy numer telefonu, pod którym mogą zamówić pełne namiętności romansidło drukowane na papierze produkowanym z makulatury [16]. MCI rozważa wydanie w formie książkowej idiotycznego melodramatu *Gramercy Press* o wydawnictwie wkraczającym szybkimi krokami w erę komputeryzacji. Bohaterów *Gramercy Press* można od niedawna znaleźć w Internecie – jak trafnie stwierdza agencja reklamowa pracująca dla MCI, „w cyberprzestrzeni wszystko jest możliwe” [17].

Sponsorowane programy („infomercjale”) działają jeszcze bardziej perfidnie. Narodowe Stowarzyszenie Stacji Telewizyjnych i Radiowych (National Association of Broadcasters) poinformowało Federalną Komisję Łączności (FCC), że półgodzinne kawałki reklamowe wyświetlane w zwolnionym tempie „rozwijają zainteresowania widzów, bo dostarczają konsumentom więcej informacji o asortymencie towaru niż innego rodzaju reklamy”. Stuart Eliot, który na łamach „The New York Times” pisuje na temat reklamy i zapewne wszystko już w życiu widział i słyszał, tym razem nie krył zdumienia: „Któż byłby sobie w stanie wyobrazić, że cała ta hałastra magików od reklamy i ich statystów, która wpycha ludziom sztuczne włosy, plastikowy sprzęt sportowy i kosmetyki po niebotycznie wygórowanych cenach, rozwija zainteresowania widzów? Czegoś takiego nie przewidziałoby nawet żadne medium Dionne Warwick” [18]. Tygodnik „Time”, któremu sprawy reklamy nie są obce, szczerze przyznaje, że programy sponsorowane w gruncie rzeczy „prze-

kazują określone treści widzom, którzy nie w pełni zdają sobie sprawę, że je odbierają"[19].

Zdobywanie licencji to dla speców od reklamy kolejne pole do zagospodarowania. Nazwy funkcjonujące od lat w ściśle wyspecjalizowanych branżach, jak *haute couture*, mogą stać się instrumentami marketingu na skalę światową, kiedy uzyska się licencję na ich używanie w odniesieniu do towarów, które z oryginalnym projektantem nie mają nic wspólnego, a najczęściej w ogóle ich nie oglądał. Pionierem tego procederu był w świecie wielkiej mody Pierre Cardin, który w latach sześćdziesiątych udzielił licencji na nazywanie swoim nazwiskiem ponad 800 towarów, od wody kolońskiej do okularów przeciwsłonecznych[20]. Perfumy sprzedaje się prawie wyłącznie pod szyldem nazwisk słynnych projektantów. Calvin Klein, handlując modną konfekcją, o mało nie splajtował, ale trzy kolejne linie perfum, z których każda była zwierciadłem swoich czasów, okazały się handlowymi przebojami. *Obsession*, symbol hedonistycznych lat osiemdziesiątych, *Eternity*, zwiastująca nowe wartości rodzinne, i *Escape*, wyrażająca nastroje zmęczonych yuppies, pragnących oderwania się od codziennej harówki, odniosły wielki sukces na przepełnionym rynku perfum, gdzie co roku pojawia się 120 nowych gatunków. Tutaj to, co zwiemy różą, pod inną nazwą wcale nie pachniałoby tak samo. Nie zapach, lecz nazwa markowa przynosi zysk.

Sprzedaż wiązana i udzielanie licencji na nazwy produktów związanych z niezwykle kasowymi filmami, jak *Park jurajski* czy *Król Lew* (a także nagrodzonych Oscarami, jak *Forrest Gump*) nie tylko przynosi ogromne zyski właścicielom (Disney spodziewa się, że na licencjach na *Króla Lwa* zarobi miliard dolarów), lecz także zaciera granice między dziedzinami, które niegdyś uznawano za odrębne. Nikt nie dorówna pod tym względem Disneyowi, który w swoim programie marketingowym łączy w jedno „książki, filmy, nagrania i parki tematyczne"[21].

Disney jest bez wątpienia rekordzistą synergii, ale producenci obuwia sportowego także dają przykład, choć może nie aż tak wymowny, triumfu nazwy i znaku handlowego nad produktem. Z powodzeniem wykorzystują psychologię skojarzeń, która modny urok ruchu kobiecego i zapał młodych społeczników potrafi obrócić w zysk handlowy. Obuwie sportowe należy do konfekcji, firma Nike jest nowicjuszem w biznesie obuwniczym (działa tu dopiero od 1972 roku), swój czteromiliardowy udział w rynku zdobyła więc nie przez sprzedaż butów, ale przez promowanie znaku handlowego i poczucia związku z firmą, co się z kolei łączy z określonym stylem życia i kojarzonymi z nim wyobrażeniami. Chcąc wypracować całościową strategię marketingową, firma Nike zwróciła się do znanej fabryki snów, Creative Artist Agency Michaela Ovitza. Ovitz powiedział dyrektorowi Nike, Philowi Knightowi coś, o czym tamten zapewne już wiedział: „dzisiaj sport więcej znaczy niż rozrywka"[22]. Przez tysiące lat ludzie przemierzali pieszo ziemski glob bez specjalnego ekwipunku, jaki w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat stworzono na potrzeby zawodowych sportowców. Dziś, kiedy 40 procent sprzedawanego obuwia stanowią buty sportowe, jeśli takie firmy jak Nike, Adidas i Reebok będą dalej działać po swojemu, to nikt nie zrobi ani kroku nie mając na nogach ich produktów. Będzie to w większej mierze konsekwencją wyboru stylu życia narzuconego przez manipulowanie emocjami związanymi ze sportem i wygrywaniem, niż zaspokojania autentycznych potrzeb związanych z chodzeniem i obuwiem.

Nike wystartowała ponad dwadzieścia lat temu. Sprzedawała wtedy buty sportowe za niewiele więcej niż 3 mln dolarów mieszkańcom stanu Oregon, z których wielu (jak Nike z uciechą przyznaje) było przekonanych, że nazwa firmy brzmi „Mike". Dziś wartość sprzedaży na całym świecie przekroczyła 3,5 mld dolarów. „Nie jesteśmy firmą produkującą obuwie – stwierdza Liz Dolan, wiceprezydent korporacji do spraw kontaktów – zajmujemy

się sportem"[23]. Phillip H. Knight posuwa się jeszcze dalej w swej otwartości. W raporcie za rok 1992 zadaje retoryczne pytanie: „Jak mamy zamiar podbić zagraniczne rynki?". I zaraz odpowiada: „Tak samo jak tutaj. Będziemy po prostu eksportować sport, najlepszą dziedzinę gospodarki na świecie"[24]. Nie tyle sport i niezupełnie sport, co obraz i ideologię sportu: zdrowie, zwycięstwo, bogactwo, seks, pieniądze, energię – nie ma co dłużej wymieniać, „zróbcie to i już".

Gdyby jedynymi nabywcami obuwia sportowego byli prawdziwi sportowcy, okazałoby się, że jest ich zbyt mało, by podtrzymać sprzedaż wartą w skali globalnej miliardy dolarów. Chodzi więc o to, żeby ludzie kibicujący zawodom sportowym uwierzyli, że zakładając buty Nike sami stają się sportowcami. Nawet jeśli wcale nie ruszają się z foteli, z których oglądają najsławniejszego Michaela świata, jak żegluje przez obłoki w swoim samolocie linii Air Jordans. Pan Blunt jest tutaj bardzo szczery: „Nasi potencjalni klienci od lat kibicują Johnowi McEnroe i Charlesowi Barkleyowi. Więzi emocjonalne już się wytworzyły". W grę wchodzi kibicowanie, a nie uprawianie sportu. Więzi emocjonalne, nie prawdziwe potrzeby. Nike nie eksportuje obuwia sportowego (rynek zbytu jest ograniczony, jak przyznaje sama firma), eksportuje Michaela Jordana, który, jak zapewnia nas dyrektor King, uznawany jest w Chinach za najwybitniejszego człowieka na świecie, obok Czou En-laja (zestawienie dość szokujące, ale z punktu widzenia sprzedaży zasługuje mimo wszystko na podkreślenie).

W McŚwiecie, gdzie sprzedaż odbywa się na skalę globalną, o zysku przesądza nie tyle sam produkt, co znak firmowy i wizerunek. Michael Jordan, zanim wycofał się na jakiś czas, by zażyć odpoczynku w pośledniej lidze baseballa, zarabiał 3 mln dolarów rocznie na grze w koszykówkę, a 36 mln na sprzedawaniu swojego nazwiska[25]. W części raportu zatytułowanej zwyczajnie „Wizerunek Nike" czytamy: „na początku reklama i promocja pod-

kreślały przede wszystkim zalety naszego obuwia (...) w następnych latach, dzięki staraniom działów *public relations*, wizerunek firmy rozbudowano. Nike stała się jednym z niewielu światowych liderów o autentycznej osobowości". Nowa wirtualna korporacja zyskuje więc „autentyczną osobowość", nawet gdy traci cechy konkretnej korporacyjnej osoby prawnej w tradycyjnym znaczeniu[26]. Nike nie wystarcza, że konsumenci kupują jej towary, chce, żeby w nią wierzyli. Mają nie tylko doceniać jakość produktów, ale i wierzyć w „motywacje" producentów. Wyglądałoby na to, że firma lepiej się czuje w roli państwa czy państwowej religii niż producenta obuwia. Ma wysokie aspiracje: chce „rozbudować skuteczne kanały środków przekazu w całej Europie, Azji i Ameryce Łacińskiej, które pozwolą Nike zapoznać konsumentów w każdym zakątku świata z przesłaniem i osobowością Nike. Przyczyni się to do stworzenia spójnego globalnego wizerunku firmy".

Przekazując swoje przesłania i prezentując osobowość, Nike kreśli emocjonalne i behawioralne kontury McŚwiata. By dowieść szczerości tego globalizmu, list dyrektora Nike, który otwiera cytowany tutaj roczny raport, zamieszczono po japońsku, francusku, niemiecku i hiszpańsku. Tak wychwalane „więzi emocjonalne, które już się wytworzyły" *emotional ties already in place* prezentują się w różnych językach jako *le liens émotionnels... déjà en place*, *die gefühlmässige Bindung... bereits vorhanden* i *los lazos sentimentales... en el lugar apropiado*. Wersję japońską pozostawiam wyobraźni czytelnika. Rzeczywistość wirtualna, w której działa Nike, wyznaczana przez telekomunikacyjną i informatyczną cyberprzestrzeń, nie mająca nic wspólnego ze znaną nam rzeczywistością, konkretyzuje się i wraca na ziemię w postaci całkiem nowych sklepów, jak mnożące się „Nike Towns" – „miasta Nike". Wzorem jest tutaj podmiejskie Beaverton (Portland) w stanie Oregon, „coś pośredniego między Disneylandem i MTV". Mamy tu wszystko: ekrany wideo, akwaria

z egzotycznymi rybkami, chóry i flety, a do tego nieustające łup-łup-łup piłki odbijanej przez niewidzialnego dryblującego koszykarza. Miasta Nike stały się turystyczną atrakcją, przyciągają tłumy, które szukają nie tyle obuwia, co „zabawy"[27]. Mają się one do tradycyjnych sklepów jak nowy marketing wyobrażeń do tradycyjnej sprzedaży towarów. Są to tematyczne parki obuwia sportowego, gdzie sport przenika się z rzeczywistością. Rzeczywistość tę, co szybko pojęli specjaliści od *public relations*, równie dobrze można dostroić do modnych postaw politycznych, jak do modnego obuwia. Nike dała w prezencie swoje produkty dzieciakom z ubogich centrów wielkich miast wiedząc, że wizerunek tych miejskich urwisów da się wykorzystać w reklamie i dobrze wpłynie na światowe obroty firmy. Wiadomo jednak, że raczej ich nie stać na tego typu obuwie. Nike realizuje program społeczny o nazwie P.L.A.Y. (Participation in the Lives of American Youth – Udział w Życiu Amerykańskiej Młodzieży) mając nadzieję, że niewielkie pieniądze, jakie weń wkłada, opłacą się stokrotnie, przysparzając potencjalnych klientów. Dochodzi do tego, że urwisy z ubogich dzielnic okradają się albo mordują wzajemnie, żeby tylko zdobyć parę drogich, szałowych butów Nike[28].

Nike jest firmą, która chyba najagresywniej promuje swoją markę, a nie sam produkt, ale Reebok nie pozostaje w tyle. Sam określa siebie jako „przodującego w skali światowej projektanta i dostawcę wszystkiego, co się wiąże ze sportem, kulturą fizyczną i stylem życia, z obuwiem i strojami włącznie". W swoich reklamach prezentuje „Planetę Reebok" (najwyraźniej zamieszkuje ją razem z Ralphem Laurenem), na której także „nie ma granic". Pod koniec lat osiemdziesiątych, wyeksploatowawszy z powodzeniem rynek amerykański, Reebok i Nike wyruszyły na podbój rynku europejskiego, zdominowanego dotąd przez firmy niemieckie, Adidas i Puma. Obecnie trwa agresywna ekspansja na inne rynki świata.

Każda prawie dziedzina niematerialnych dóbr konsumpcyjnych coraz bardziej się amerykanizuje i globalizuje. Wywołuje to mniejsze napięcia niż mogłoby się wydawać, bo globalna pop-kultura *jest* przecież amerykańska. Typowy przykład stanowią dwa zwalczające się giganty, Coca-Cola i Pepsi[29]. Coke dzierży prym na światowym rynku napojów orzeźwiających – w 1992 roku ponad dwie trzecie dochodów uzyskiwała z zagranicy (Pepsi tylko 20 procent). Mimo to (cytujemy dosłownie) „choć świat Coca-Coli wydaje się tak ogromny, jest tylko niewielkim ułamkiem świata, który możemy stworzyć"[30]. Coke od dawna żywi globalne ambicje[31], ale dzisiaj żadna ambitna firma nie opanuje światowego rynku konsumenta małpując po prostu jego ideologię i dostosowując się do jego gustów – musi za pomocą przemyślanego planowania i kontroli sama taki światowy rynek stworzyć. Nowe technologie są skuteczniejsze od starych, a Coke dopracowała się własnej ideologii napoju orzeźwiającego, która łączy ideały olimpijskie, upadek Muru Berlińskiego i Rutgers University. Powstaje w ten sposób coś w rodzaju parku tematycznego, raj dla miłośników Coca-Coli. Wirtualne przemysły McŚwiata tworzą wirtualne fabryki potrzeb (agencje reklamowe, działy *public relations* i kontaktów, fundacje wielkiego biznesu), których zadaniem jest rozpoznawanie emocji i manipulowanie obrazami kreującymi nowe zachcianki[32].

Pragnienia nie da się sztucznie wytworzyć, można jednak ukształtować gusta. Spragnieni mogą się napić wody (podobnie jak zamiłowani piechurzy mogą się obuć w zwykłe stare buty). Jeśli mają pić napoje orzeźwiające, na których ktoś zarobi, trzeba to skojarzyć z nowymi „potrzebami", gustami, nowym statusem. Musisz je pić, bo dzięki temu czujesz się (propozycje do wyboru): młody, seksowny, ważny, modny, silny, wysportowany, szykowny, świetny, super, w porządku, (jak światowiec – „my jesteśmy światem", czyli „my, Amerykanie, jesteśmy światem"). Jednym słowem – jak zwycięzca, jak

bohater, jak champion, jak Amerykanin, czyli nadczłowiek, jak ta blondynka, którą wolą dżentelmeni. W jednym tylko wypadku nie powinieneś pić napojów orzeźwiających: jeśli chcesz naprawdę ugasić pragnienie. Do tego służy woda. Idealny napój pozornie je zaspokaja, ale pod względem metabolicznym po wypiciu człowiek jest bardziej spragniony niż przedtem. Przy odpowiednim układzie nawet H_2O da się sprzedać z zyskiem, jak modna woda Perriera. A gdyby jeszcze udało się wynaleźć nadający się do picia napój wyrabiany z wody morskiej...

„Jak długo taka wielka firma jak nasza może podwajać swoje rozmiary? – pyta Roberto C. Goizueta, dyrektor Coca-Coli. – Skąd wziąć następne 10 mld skrzynek? I kolejne 20 mld?”[33]. Goizueta zna odpowiedź, którą uważa za oczywistą: „tak się składa, że wkraczamy właśnie na rynki krajów zamieszkanych przez większość ludności świata i rynki te rozwijamy. Te nowe obszary są nie tylko gęsto zaludnione, ale i dojrzałe pod względem kulturowym i klimatycznym do zwiększonej konsumpcji napojów orzeźwiających”. „Dojrzałość pod względem klimatycznym” nie budzi wątpliwości: tam, gdzie jest gorąco, ludziom chce się pić. Gdyby tylko udało się ich odwieść od picia wody... Ale pod względem kulturowym? Co to znaczy? Coke jest szczera aż do bólu. W takiej na przykład Indonezji (indonezyjscy skauci płci obojga, z puszkami coli w rękach, widnieją na okładce raportu za 1992 rok) „agresywne inwestowanie” może spowodować zagładę lokalnej kultury i zmusić ludność, by się upodobniła do społeczeństw, które „tradycyjnie piły herbatę”, a teraz nauczyły się „pić słodsze napoje orzeźwiające, jak coca-cola”. Odzwyczajenie ludzi od picia wody to kwestia ekonomiczna (woda jest za darmo), ale odzwyczajenie ich od herbaty zakłada kampanię ingerującą w kulturę. „Spadek spożycia herbaty”, który dla antropologów kulturowych może być niepokojącą zapowiedzią rozkładu lokalnej kultury, witany jest przez Coke z radością, bo stwarza perspektywy sprzedaży napojów orzeźwiających. Gdyby

tak jeszcze każdy Indonezyjczyk przestawił się z herbaty na colę, z ryżu na frytki McDonalda, porzucił sandały dla tenisówek Nike (a każda Indonezyjka – sarong dla sukni Laury Ashley), oglądał na wideo filmy ze Schwarzeneggerem zamiast indonezyjskiej produkcji i nawrócił się z buddyzmu na konsumeryzm... Wyobraźcie sobie tylko, jakie „nowe obszary" otworzyłyby się przez korporacyjnymi zdobywcami rodem z McŚwiata. Jakże jednolitym i przynoszącym zyski rynkiem na skalę całego McŚwiata stałyby się odrębne niegdyś regiony!

Nawet dla Afryki, która co prawda wypada z map gospodarki światowej, znajdzie się miejsce w owczarni McŚwiata. Z punktu widzenia koncernu Coke nie jest ona bowiem obszarem ubóstwa, szerzącej się epidemii AIDS i coraz bardziej autorytarnych reżimów, ale rynkiem, na który składa się 568 mln potencjalnych konsumentów napojów orzeźwiających. Mamy tu wszystko: „gorący klimat, młodą wiekiem populację i rządy wprowadzające gospodarkę rynkową". To samo można powiedzieć o Słowenii, Chorwacji, Bośni i Hercegowinie w byłej Jugosławii, gdzie „wprowadza się wydajny system butelkowania". Tam, gdzie zwykły obserwator widzi gorejące piekło, Coke dostrzega dwudziestoczteromilionowy rynek, na którym z całą pewnością „po załagodzeniu terytorialno-politycznych napięć rozwiną się dalsze inwestycje". Przecież kiedy w Warszawie pojawiły się pierwsze firmowe samochody dostawcze Coke, tłumy ustawiały się wzdłuż jezdni i biły brawo.

Kreując świat na podobieństwo swoje, Coke nadaje nowe znaczenia faktom politycznym i społecznym. Nie kontrolowany, zabójczy dla gospodarki przyrost naturalny, ograniczany tylko w bardzo niewielkim stopniu przez epidemię AIDS, oznacza „młodą populację" potencjalnych konsumentów. Czystki etniczne, gwałt jako narzędzie polityki, ludobójstwo to „napięcia terytorialne", które mogą co prawda uszczuplić rynek o parę milionów konsumentów, dodać lub ująć milion Muzułmanów

(mniej, w każdym razie, podatnych na przyjęcie zachodniego stylu konsumpcji), ale kiedyś się skończą, i wtedy zatriumfują mniej hałaśliwe, przynoszące większy zysk siły globalizacji. Z takiej perspektywy okazuje się, że od AIDS, głodu i ludobójstwa bliżej jest do amerykańskiego stylu życia niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

Od korporacji, nastawionych na jak największą sprzedaż, zysk i zadowolenie swych udziałowców nie należy zapewne wymagać jakiejś wizji sprawiedliwości międzynarodowej, powszechnej demokracji czy zróżnicowania świata. Okazuje się jednak, że ich czysto ekonomiczne ambicje nie są bynajmniej neutralne. Same podejmują wielkie problemy społeczne, choćby po to, żeby skokietować klasę średnią nowej ery, która z tych samych co zawsze przyziemnych ekonomicznych względów jest obiektem ich zachodów. Nawet zresztą tam, gdzie wielonarodowe koncerny twierdzą, iż interesują się jedynie wskaźnikami produkcji i konsumpcji, coraz częściej się okazuje, że zwiększenie tych wskaźników wymaga aktywnej ingerencji w te właśnie dziedziny społeczne, kulturowe i polityczne, które koncerny pozornie ignorują. Ich ambicje polityczne czy dotyczące kultury nie muszą być politycznie lub kulturowo motywowane, ale właśnie przez to tym bardziej nie liczą się ze skutkami, szkodliwymi zwłaszcza w kulturze.

Sprzedaż zależy od nawyków i zachowań konsumentów, a ci, którzy manipulują rynkami konsumenckimi, nie mogą uniknąć ingerencji w sferę zachowań i postaw. O to właśnie chodzi w światowym przemyśle reklamowym, którego obroty sięgają wielu miliardów dolarów. Tradycja picia herbaty nie stwarza perspektyw dla sprzedaży coli. Tam, gdzie obyczaj nakazuje zasiadać z rodziną przy wielodaniowym posiłku, uzyskanie koncesji na sprzedaż *fast food* niewiele się przyda. Ale jeśli uda się *fast food* wprowadzić, podkopie to nieuchronnie śródziemnomorski zwyczaj jedzenia obiadu w domu w połowie dnia. Nie ma znaczenia, czy taka była intencja, czy też nie. Dobrze

rozwinięty system komunikacji zbiorowej zmniejsza szanse na sprzedaż samochodów, wpływa też hamująco na rozwój produkcji stali, gumy i ropy naftowej. Wiejski styl życia (wstawanie o świcie, całodniowa praca, wczesne kładzenie się spać) nie sprzyja oglądaniu telewizji. Ludzie nie interesujący się sportem nie kupują tenisówek. Kampanie promujące zdrowie szkodzą sprzedaży wyrobów tytoniowych. Oparta na moralnych przesłankach logika powściągliwości sprzeczna jest z ekonomiczną logiką konsumpcji. Czy w takim razie odpowiedzialni kierownicy korporacji mogą sobie pozwolić na to, żeby nie być amoralnymi propagatorami sybarytyzmu? Albo powstrzymać się od nieodpowiedzialnych działań, gdy wkraczają na obszary „świata nowych szans", na ogół w mniej rozwiniętych krajach? Czy jako dobrzy biznesmeni nie muszą wykroczyć poza ściśle ekonomiczną sferę wolnego rynku i starać się o uzyskanie wpływu na kulturę i obyczaje, co może przybrać w niektórych wypadkach polityczny charakter? Kiedy w „New York Times Magazin" na stronach poświęconych modzie widzimy nad zdjęciami z balu sylwestrowego wielki, biegnący przez dwie kolumny tytuł „Party Line", możemy się śmiać z udanego kalamburu [party → partia; party → przyjęcie], ale kiedy czytamy przy tym o „ideologii zabawy", robi się już mniej śmiesznie [34].

Rozwijając wygłoszone kiedyś mimochodem stwierdzenie Marksa o idiotyzmie życia wiejskiego, Edward C. Banfield, który po II wojnie światowej badał włoską prowincję, doszukał się związku między wiejskim stylem życia a postawami politycznymi reprezentującymi moralne zacofanie [35]. Bez względu na to, czy miał rację, czy nie, w postmodernistycznej ekonomii kapitalizmu styl życia nabiera coraz większego znaczenia. Społeczeństwo, które ma dużo czasu wolnego (*leisure society*), może go więcej poświęcić na pracę społeczną i zajmowanie się polityką niż ludzie pracujący w pełnym wymiarze godzin. W osiedlach podmiejskich nie ma w zasadzie publicznej i wspólnej

przestrzeni, jaką znamy z miasteczek i miast. Światowe rynki, które funkcjonują przez 24 godziny na dobę i komunikują się przez sieć elektronicznych połączeń, a także światowe społeczności wielkiego biznesu, między którymi można szybko przemieszczać się samolotami, kolidują z rozkładem zajęć wywodzącym się z tradycyjnych dobowych rytmów. Rynek chce być wolny od wszelkich regulacji i interwencji sektora publicznego, ale sam podejmuje coraz więcej działań, wywierających bezpośredni wpływ na kulturę obywatelską i dobro publiczne. Choć pragnie uchodzić za indyferentny politycznie, zapożycza i przeinacza idee polityczne oraz polityczną terminologię. Zachodnia sieć barów z *fast food* sprzedających pieczone kartofle reklamuje się, że „daje klientom władzę", bo umożliwia im wybór jednego z wielu sosów. Powszechnie uznano, że w społeczeństwie rynkowym sama zasada wolności sprowadza się do wyboru określonej marki (a w jej ramach określonego produktu, na przykład Always classic i Always plus. Tak też sprzedano to „nowym demokracjom". Okazuje się jednak, że to coś mniej niż prawdziwa wolność. Ideologia zabawy jest naprawdę ideologią.

Przejawia się to najdobitniej w dziedzinie, w której nastąpił największy chyba rozwój dóbr i usług konsumpcyjnych: chodzi o przemysł informacyjny i rozrywkowy, gdzie „twardy towar", czyli sprzęt stanowi czynnik stymulujący rozwój i zarazem jest przezeń stymulowany, lecz najważniejszym elementem jest *software,* towar niematerialny. W tym inforozrywkowym telesektorze zaciera się różnica między jednym a drugim.

5
Od towarów niematerialnych do usług

Na przykładzie walkmana najlepiej widzimy, jak sprzęt, który zawdzięczamy rozwojowi technologii, wpływa na możliwość wyboru i wolność. Z pozoru poszerza ich obszar, w rzeczywistości jednak ogranicza. Pod pewnymi względami walkman nie jest niczym nowym, to po prostu najnowsza wersja starego wynalazku, fonografu. Walkmana można jednak wszędzie ze sobą zabrać i w pojedynkę słuchać na nim nagrań. Dzięki temu stał się maleńką piątą kolumną McŚwiata, dyktując nam prosto do ucha, jaki styl życia powinniśmy przyjąć i przekształcając tradycyjne zachowania w znaczący społecznie sposób. Walkman zmienia słuchanie z czynności publicznej w wykonywaną w samotności. To, co było głównym działaniem i celem samym w sobie, staje się tłem dla innych zachowań pożądanych w społeczeństwie konsumpcyjnym, jak jogging (dzięki walkmanowi kwitnie sprzedaż obuwia sportowego i vice versa). Niegdyś słuchaniu muzyki poświęcało się określony czas, tu mamy do czynienia z uprawianym na okrągło nawykiem, napędzającym produkcję i sprzedaż coraz większej liczby nagrań.

Technika komputerowa pociąga za sobą równie doniosłe (i tak samo niewidzialne) skutki społeczne. Komputer nie tylko przekazuje użytkownikom informacje, ale wciąga ich w nowego rodzaju interakcje. W pewien sposób opuszczają własne ciała, pozostawiają je przed ekranem, przez który wchodzą w całkiem nową, szczególną społeczność

wirtualną. Różni się ona od książek, na swój sposób rekonstruuje bowiem osobę użytkownika, czyniąc zeń członka cyberprzestrzeni, a to już zakłada jakiś rodzaj wirtualnej polityki. Nie wiadomo, na czym ta polityka będzie polegać, ale nie ma wątpliwości, że w takiej czy innej postaci będzie uprawiana. Nawet formy przekazu informacji – wideo-tekstowe, cyfrowe, programowane, zmieniające się w czasie, ściśle zależne od techniki – nieuchronnie wpłyną na kształt kultury i polityki oraz na ludzkie postawy. Można się spotkać z opinią, że u miłośników gier wideo rozwijają się umiejętności szczególnie potrzebne w niektórych zawodach, na przykład u pilotów myśliwców albo techników laboratoryjnych zdalnie sterujących przemieszczaniem niebezpiecznych substancji. Z drugiej strony mogą u nich zanikać inne zdolności – wyobraźnia czy empatia. Nie prowadzono dotąd poważnych badań empirycznych nad tymi kwestiami, ale zależności takie z pewnością istnieją i będą miały ważne konsekwencje polityczne. Ci, którym leżą na sercu sprawy demokracji, kultury i społeczeństwa obywatelskiego, nie mogą sobie pozwolić na to, by ujawnienie charakteru tych zjawisk pozostawić przypadkowi.

Mając to wszystko na względzie trudno rozpatrywać dziedzinę produkcji sprzętu komputerowego i elektronicznego w oderwaniu od sektora wysoko kwalifikowanych usług czy kształtowanych przez ten sektor postaw społecznych. Jeśli budowniczy infostrady zrzekłby się kontroli nad charakterem i treścią przekazywanych nią informacji, dowiódłby, że nie ma pojęcia, gdzie w McŚwiecie znajduje się władza. Błędu tego nie popełniają takie giganty przemysłowe, jak IBM, Sony, Toshiba, Matsui i Nintendo. Poprzez fuzje i wykup innych firm poszerzają zakres swojej działalności – z produkcji sprzętu (czyli brukowania infostrady) na wytwarzanie szeroko pojętego oprogramowania (przez co uzyskują kontrolę nad ruchem drogowym oraz nad „pasażerami” i „towarami” przewożonymi infostradą). Firmy telefoniczne (Baby Bells), tele-

wizje kablowe, wytwórcy *software* (studia filmowe) oraz dystrybutorzy (Blockbuster Video) łakomie się sobie nawzajem przypatrują. Kieruje nimi społeczny darwinizm oraz świadomość, że w kapitalizmie chodzi w ostatecznym rozrachunku o monopol i że niewiele z nich wyjdzie zwycięsko z rozpoczynającej się batalii na froncie *software*.

Jeśli spojrzymy na to wszystko z perspektywy rywalizacji rozgrywającej się w samej Ameryce, okaże się, że rosnąca rola usług to tendencja, która się przejawia w całej gospodarce. Gospodarka amerykańska bynajmniej nie podupada, jak by się to na pierwszy rzut oka zdawało. To prawda, że w produkcji sprzętu straciła monopol na rzecz Europy i Japonii. W 1974 roku Stany Zjednoczone były na przykład jedynym producentem kości pamięci DRAM, zasadniczej części komputerów. W 1980 roku udział Amerykanów w ich światowej produkcji spadł do 56 procent, a Japończyków wzrósł do 40 procent. Siedem lat później Amerykanie wytwarzali już tylko niespełna jedną piątą, a Japończycy ponad trzy czwarte kości DRAM [1]. Podobnie było z półprzewodnikami: w 1980 roku Stany produkowały ich dwa razy więcej niż Japonia, dziś ich produkcja amerykańska nie dorównuje japońskiej. W dziedzinie sprzętu telekomunikacyjnego Japonia przesunęła się z czwartego miejsca, jakie zajmowała w 1980 roku, na pierwsze, Stany Zjednoczone znalazły się na trzecim, ledwo wyprzedzając Szwecję [2]. Nawet nakłady na badania naukowe, którymi Ameryka tak długo się szczyciła, osiągnąwszy w 1989 roku rekordową kwotę 94 mld dolarów, spadły w latach dziewięćdziesiątych poniżej 90 mld [3]. Rozmaicie wyjaśnia się te tendencje, między innymi tym, że w Stanach państwo nie dokłada wysiłków, by dorównać japońskiej polityce przemysłowej, w grę wchodzą ponadto nieuczciwe praktyki handlowe, a także wydatki na obronę, z których Japonia w znacznej mierze jest zwolniona.

Ale tam, gdzie coś się dzieje, wkraczają usługi i towary niematerialne, w tej zaś dziedzinie sytuacja Ameryki

wygląda inaczej. Z ubogiego krewnego światowej gospodarki usług stała się pierwszym obywatelem. Magazyn „Fortune", który od wielu lat śledził korporacje wytwarzające „twarde" produkty, zorientował się w końcu, że usługi to już nie tylko gastronomia i transport, lecz także finanse, informacja i telekomunikacja. Mają ponad 60 procent udziału w produkcie krajowym brutto i zatrudniają 8 z każdych 10 amerykańskich pracowników[4]. W rezultacie powstała nowa, ogłaszana co roku lista „Największych firm usługowych świata". W wykazie 500 takich firm z 1990 roku przodowały Stany Zjednoczone ze 150 przedsiębiorstwami (na drugim miejscu była Japonia – 106, Wielka Brytania – 49 i Niemcy 41. W roku 1992 Ameryka nadal utrzymywała się w czołówce (135 firm), choć w kategorii banków handlowych i towarzystw ubezpieczeniowych spadła na dalsze miejsce (jeśli chodzi o banki, 8 z pierwszych 10 i 31 z pierwszych 100 należało do Japończyków; w pierwszej setce znalazło się tylko 8 banków amerykańskich, a pierwszy z nich, Citicorp, zajmował dopiero 27. miejsce; w pierwszej dziesiątce towarzystw ubezpieczeniowych 7 było japońskich). Japonia, która wśród głównych 500 ma już 128 firm, najwyraźniej zagraża amerykańskiemu przywództwu, ale w takich dziedzinach, jak oprogramowanie, informacja i rozrywka Ameryka nie ma sobie równych[5].

Chcąc się przekonać, jaką pozycję zajmuje dziś w gospodarce światowej nowy sektor usług inforozrywkowych, wystarczy się przyjrzeć amerykańskiemu deficytowi handlowemu, nad którym niektórzy tak często ubolewają. Deficyt z 1992 roku – 40 mld – to w istocie średnia, na którą składa się 60 mld dolarów deficytu w wymianie towarowej i 56 mld dolarów nadwyżki w handlu usługami. W sektorze usług gospodarka Stanów Zjednoczonych nie ma sobie równych. W światowym handlu usługami, którego obroty szacuje się obecnie na ponad 600 mld dolarów rocznie, przewaga ta nabiera coraz większego znaczenia. Dochody z eksportu reklam konkurują z do-

chodami z eksportu samochodów. Są to ponadto ostrożne kalkulacje: departament handlu przyznaje, że tradycyjnie większą uwagę zwracał na towary, a więc eksport usług może być grubo niedoszacowany[6].

Sceptyk mógłby w tym momencie wskazać, że nawet w usługach, gdzie pozycja Ameryki wydaje się niepodważalna, przoduje ona wyłącznie w handlu detalicznym (głównymi molochami są tutaj Sears i Wal-Mart). W bankowości i ubezpieczeniach inni wysforowali się na pierwsze miejsce. Należy jednak stwierdzić, że w kształtującej się postmodernistycznej gospodarce McŚwiata nie wszystkie działy usług mają jednakowe znaczenie. Z punktu widzenia twardej ekonomii banki i towarzystwa ubezpieczeniowe mogą się wydawać najważniejsze, ale w ekonomii wirtualnej główne miejsce zajmuje telekomunikacja, informacja i rozrywka. Dwie pierwsze (a może i trzecia) wzmacniają zresztą realną potęgę banków i firm ubezpieczeniowych. W tej dziedzinie supremacja Stanów Zjednoczonych jest niepodważalna i w znacznej mierze nie dostrzegana, a skutki, jakie z tego wynikają dla globalnej demokracji, należałoby dokładnie przeanalizować.

Na liście „Fortune" z 1992 roku spośród 100 największych firm świadczących „zróżnicowane usługi" 11 specjalizuje się w rozrywce, telekomunikacji i informacji – 8 to firmy amerykańskie, poza tym 1 japońska, 1 brytyjska i 1 kanadyjska. W pierwszej setce amerykańskich kompanii świadczących zróżnicowane usługi tylko 17 ma związki z rozrywką, telekomunikacją lub informacją, ale ich sprzedaż osiąga wartość 140 mld dolarów, czyli jedną trzecią sprzedaży wszystkich stu firm z tej listy (412,5 mld dolarów)[7]. Innymi słowy: jedna szósta pierwszej setki zarabia jedną trzecią łącznych dochodów. W następnym rozdziale wykażę, iż dochody to nie wszystko, co się składa na dominującą pozycję tych firm.

Rozwój ekonomii, od tuż powojennych do postmodernistycznych form, to w gruncie rzeczy historia dość

banalna: od towarów do usług, od nieskomplikowanej do bardzo złożonej technologii, od rzeczywistego do wirtualnego, od duszy do ciała. Na dzisiaj lekcja przedstawia się następująco: w jutrzejszym McŚwiecie zasoby naturalne będą się mniej liczyć niż towary, produkty przemysłowe mniej niż dobra związane z telekomunikacją i informacją, towary mniej niż usługi, usługi w ogólnym pojęciu mniej niż usługi z branży informacyjnej, telekomunikacyjnej i rozrywkowej, oprogramowanie jako takie mniej niż oprogramowanie kulturalne zawierające się w bitach obrazów i dźwięków wytwarzanych przez agencje reklamowe i studia filmowe. Gdy podążamy za tą logiką i śledzimy opisywane przez nią ekonomiczne spektrum, Stany Zjednoczone zaczynają prezentować się lepiej, rosną w potęgę, a twierdzenie, że Ameryka wypadła z ekonomicznej łaski staje się coraz bardziej podejrzane. Co więcej, konsekwencje tej logiki, choć tak dobrze wróżą gospodarczemu przywództwu Ameryki, źle wróżą demokracji. Kapitalizm państwa narodowego przyczynił się niegdyś do stworzenia podstaw demokracji, dzisiejszy globalny kapitalizm McŚwiata może zapowiadać jej upadek.

Ale nie dopowiedziano jeszcze wszystkiego do końca. Nowa gospodarka oparta na usługach informacyjnych kształtuje globalny marketing i sprzedaż, a co za tym idzie – kształtuje, i w gruncie rzeczy stanowi, nową ideologię McŚwiata. Niegdyś kapitalizm musiał zdobyć instytucje i elity polityczne, by uzyskać kontrolę nad polityką, filozofią i religią i za ich pośrednictwem wspierać ideologię sprzyjającą osiąganiu przezeń zysków. Dzisiaj sama ideologia należy do jego głównych i najbardziej rentownych produktów. Komunizm załamał się z wewnętrznych przyczyn politycznych i ekonomicznych, ale naciski zewnętrzne też odegrały swoją rolę. Dzięki Hollywood i Madison Avenue rewolucja burżuazyjna stała się w praktyce niepotrzebna, a rewolucja proletariacka wręcz niemożliwa: nie ma „robotników”, są tylko konsumenci,

a miejsce interesów klasowych zajęła globalna kultura masowa, która wygładza kontury ekonomiczne i niweluje duchowe boisko. Telewizja, fotokopiarki i faksy, podróże międzynarodowe i ideologia zabawy przyspieszyły upadek skazanych na klęskę komunistycznych reżimów. Cały wymieniony tutaj sprzęt to tylko tak liczne nośniki. Przekazują one wideologię McŚwiata, która należy nie do sfery towarów, lecz do sfery usług.

Sektor usług: jak to naprawdę wygląda

Usługi to osobliwa hybryda, która mieści w sobie zarówno najstarsze i najbardziej podstawowe branże (m.in. zaopatrzenie w żywność, edukacja i ochrona zdrowia), jak i informacyjne i komunikacyjne technologie nowej ery, odkrywane i wprowadzane do użytku szybciej niż da się to opisać. Wrzuca się tutaj jak do jednego worka licho opłacany, nie zorganizowany w związki personel szpitalny i niewykwalifikowanych pracowników barów z *fast food* razem z programistami komputerów, pilotami linii lotniczych i specami od informacji. Kategoria „usługi" to zarówno banki handlowe, gdzie Japonia dawno wyprzedziła Amerykę i Europę, jak i branża rozrywkowa, gdzie światowe przywództwo Ameryki umacnia się i zanosi się na to, że jeszcze długo w następnym stuleciu nic mu nie zagrozi. Analizując sektor usług przekonamy się, jak trafne jest retoryczne skojarzenie McDonalda, Macintosha i MTV – restauracji szybkiej obsługi, oprogramowania komputerowego i wideo. W tym bowiem sektorze McŚwiat produkuje swoją wideologię, skrojoną na miarę XXI wieku. Kiedy McDonald w otoczce mętnych haseł o wielokulturowości, ochronie środowiska czy rekonstrukcji wymarłych gadów sprzedaje kasety wideo z *Tańczącym z wilkami* i *Parkiem Jurajskim* wraz z przeróżnymi związanymi z tematyką tych filmów drobiazgami, albo kiedy wynajmuje Michaela

Jordana, żeby skojarzyć swoje produkty z wielkim sportem, miejsce zwyczajnej usługi świadczonej ciału zajmuje złożona usługa dla duszy. McŚwiat to przede wszystkim wytwór kultury masowej napędzanej przez niepohamowaną komercję. Wzornik jest amerykański, forma – szykowna, towarami są obrazy. To nowy świat globalnych transakcji, gdzie zamiast starego zawołania „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się" rozbrzmiewa całkiem nowe: „Konsumenci wszystkich krajów, łączcie się! Wszystko, czego wam potrzeba dostaniecie, gdy zakujemy was w nasze kajdany!".

Chcąc skupić się na McŚwiecie muszę jednak najpierw posegregować osobliwych współmieszkańców wielkiej krainy usług. Możemy tu wyodrębnić trzy odrębne sektory, które pod wieloma względami bardziej się różnią między sobą, niż usługi jako takie różnią się od przemysłu wydobywczego i wytwórczego. Gdy weźmiemy pod uwagę przygotowanie zawodowe, dochód, perspektywy życiowe i poczucie własnej wartości, „kucharka" w Burger Kingu, opiekająca na grillu gotowe mrożone kotlety więcej ma wspólnego ze szwaczką szyjącą tanią konfekcję niż z programistą komputerowym, który opracowuje gry rozgrywające się w rzeczywistości wirtualnej, choć kucharka i programista należą do sektora usług, a szwaczka do przemysłu wytwórczego. Proponuję następujący podział sektora usług, przyjmując za kryterium klientów, jakim są świadczone:

Tradycyjny sektor usług, skupiający pracowników, którzy bezpośrednio obsługują ludzi, zapewniając jedzenie, transport, ochronę zdrowia, dach nad głową. Włączam więc tutaj kucharzy i kelnerów, hotelarzy i personel hoteli, pilotów linii lotniczych i konduktorów pociągów, lekarzy i pracowników socjalnych oraz wszystkich innych, którzy świadczą usługi *indywidualnemu ludzkiemu ciału.*

Sektor obsługi instytucji, czyli wszystkich tych struktur politycznych, ekonomicznych i społecznych, dzięki któ-

rym funkcjonuje nowoczesne społeczeństwo. Zaliczam tutaj prawników, księgowych, ekonomistów, bankierów, pracowników ubezpieczeń, operatorów komputerów, pracowników telefonii, specjalistów od polityki i wszystkich innych, którzy ułatwiają pracę i współdziałanie narodowych i globalnych instytucji. Obsługują oni organizm korporacji

Nowy sektor informacji, który nazwę inforozrywkowym telesektorem. Jego pracownicy kreują i organizują świat znaków i symboli, służących jako nośniki informacji, komunikowania się i rozrywki. Będą to więc wyrobnicy słowa i twórcy obrazów: pracownicy reklamy, reżyserzy i producenci filmowi, dziennikarze, intelektualiści, pisarze, nawet programiści komputerowi, a także – na tyle, na ile funkcjonują w omawianej tu dziedzinie – nauczyciele, kaznodzieje, politycy, uczeni i wszyscy inni, którzy obsługują *duszę*, zarówno pojedynczego człowieka, jak i zbiorową duszę korporacji.

Te trzy podsektory, z których każdy posiada swoją wykwalifikowaną (lub nie tak bardzo wykwalifikowaną) klasę pracowników, mają się do siebie mniej więcej tak, jak trzy podstawowe działy gospodarki (zasoby naturalne, przemysł i usługi). Ich hierarchiczny układ odzwierciedla także hierarchię ekonomiczną. Nowy sektor informacji znajduje się w awangardzie ekonomicznego rozwoju, kontrolujące go państwa lub korporacje będą najpewniej przewodzić światu w nadchodzącym stuleciu. Tradycyjny sektor usług to „Trzeci Świat" tego całego działu, opierający się na niewykwalifikowanej raczej sile roboczej i nieskomplikowanej pracy. Stanowi pierwszy stopień na drodze do władzy, ale może też być ostatnim, z całą pewnością nie tędy wiedzie droga do panowania nad światem. Choć lekarzy i specjalistów od transportu zaliczamy do pierwszego sektora, bo bezpośrednio obsługują konsumentów, to biorąc pod uwagę ich przygotowanie zawodowe i zasób wiedzy można ich przynajmniej częściowo przypisać do najbardziej rozwiniętego sektora

informacji. Na podobnej zasadzie pracowników restauracji szybkiej obsługi można uznać za nisko wykwalifikowanych robotników przemysłu wytwórczego („robią” przecież hamburgery). Między tymi biegunami działu usług znajduje się potężny nowy świat bankierów, księgowych, prawników i programistów, pracujących na potrzeby ogromnej korporacji, częściowo realnej, częściowo wirtualnej, jaką jest globalny rynek McŚwiata. Choć jest to sektor przynoszący duże zyski i zawodową satysfakcję, nietrudno go przecenić. Ani nie świadczy on konkretnych usług ludzkim zbiorowościom, ani nie sprawuje nad nimi rządu dusz, bo nie kontroluje usług informacyjnych i telekomunikacyjnych, od których jest całkowicie uzależniony. W światowym biznesie pełni rolę portiera, i choć jest świetnie opłacany i wprawia całą tę machinę w ruch, nie wie, jak to się dzieje i dokąd zmierza. To już zadanie telesektora inforozrywkowego, z którego McŚwiat czerpie swoje nieformalne i niesprecyzowane normy.

Niemodna już analiza klasowa łączyła środki produkcji ze strukturą klasową. Marks twierdził, że stosunek między niewolnikiem a jego panem opierał się na suwerenności ludzkiej pracy (ten, kto był właścicielem pracy, był panem swojego świata, zyskiwał też w końcu władzę polityczną). System feudalny opierał się na własności ziemi (kto posiadał ziemię, rządził światem), a system kapitalistyczny na własności kapitału (kto dzięki kapitałowi nabył maszyny i pracę, mógł się wkupić do klasy rządzącej). Na tyle, na ile zależność między kontrolą ekonomicznych środków produkcji a dostępem do władzy politycznej rzeczywiście istnieje (a pewna zależność tu z pewnością występuje, choć nie w tak bezpośredniej formie, jak wyobrażał sobie Marks), w dzisiejszym postmodernistycznym świecie zaczyna dominować telesektor inforozrywkowy należący do działu usług. Kontrolując informację i telekomunikację w skali globalnej, zdobywa panowanie nad planetą. Jest to władza „miękka”, która rządzi raczej za pomocą perswazji niż nakazów, a wpływy

zyskuje przez zdobywanie sympatii, a nie przez przymus. Ledwo dostrzegalna, niełatwo daje się rozliczyć. Konsekwencje, jakie stąd płyną dla demokracji, są pod pewnymi względami o wiele bardziej niszczycielskie niż skutki anarchii zrodzonej przez Dżihad (patrz część III).

A ponieważ „świat to informacja", jak głosiła reklama MCI z 1994 roku, nowym władcą tego świata staje się w pewnym stopniu klasa specjalistów od informacji i komunikacji, którzy wytwarzają, posiadają i kontrolują oprogramowanie naszej cywilizacji globalnej: książki, filmy, programy komputerowe, czasopisma, kasety wideo, parki tematyczne, reklamy we wszelkich postaciach i programy telewizyjne. Ted Turner i Jane Fonda to wzorowa para nowej ery, podczas gdy tacy twórcy, jak prezes Disneya Michael Eisner, reżyser Steven Spielberg, superagent reklamowy Michael Ovitz i król telekomunikacji Michael Malone są prawdziwymi kapitanami przemysłu. Nie sprawują kontroli nad materialnymi wytworami (kasetami, oprawionymi maszynopisami, automatami do gier czy taśmami filmowymi, które mogą być własnością różnych „amerykańskich" czy „japońskich" wielonarodowych korporacji), ale nad słowami, obrazami, dźwiękami i smakami, które tworzą sferę myśli i uczuć, ona zaś interpretuje i kontroluje otaczający nas fizyczny świat materialnych rzeczy, i kieruje nim. To w ich wyobraźni powstają pomysły produktów zaspokajających domniemane „potrzeby". Pod nieobecność świadomej woli politycznej na puste miejsce wkraczają nieuchronnie pracownicy telesektora inforozrywkowego. Nie muszą ubiegać się o władzę ani nawet jej pragnąć, ale nieuchronnie przypadnie im ona w udziale.

Nie widzę tu żadnych spiskowców ani zamaskowanych tyranów wykorzystujących informację do umocnienia swej władzy. Mamy raczej do czynienia z polityką nieuwagi i nie zamierzonych konsekwencji, kiedy to nieszkodliwa z pozoru rynkowa pogoń za rozrywką, twórczością i zyskiem wyrządza szkody całym kulturom

i podważa autonomię jednostek i narodów. W miarę jak rzeczywistość nadąża za science fiction, metafory autorstwa piewców cyberprzestrzeni stają się coraz mniej wyszukane. Pat Cadigan w powieści *Synners* rozgrywającej się w cyberprzestrzeni, pisze: „napierw widzisz wideo. Potem ubierasz się w wideo. Następnie jesz wideo. A potem ty być (*sic!*) wideo" [8]. Uczestnicy rynkowej gry dobrze rozumieją, o jaką stawkę tutaj idzie. Dlatego Hollywood jako siedziba Columbia Pictures wyprzedza Tokio, siedzibę Sony, partnera Columbii. I chociaż firma Sony poruszyła niebo i ziemię, żeby w 1988 roku wykupić CBS Records, a w 1989 roku Columbia Pictures za blisko 7 mld dolarów, nabyła coś, czym nie była w stanie zawładnąć.

Sony spodziewała się, że uzyska kontrolę nad tym, co jest odtwarzane na jej walkmanach i watchmanach, na których zbudowała swoje imperium, i że będzie z tego czerpać zyski. Tymczasem film zawsze jest właścicielem kamery, nawet kiedy kamera opłaca film i zawiera go w sobie. Sedno tkwi w żywych obrazach, a nie w zimnym jak metal, gładkim jak plastik sprzęcie. Hollywood, które jest światem samym w sobie – *Hollyworld* – to miękkie podbrzusze McŚwiata, ale potrafi strawić tych, którym się zdaje, że je połykają. Tokio może kupić Hollywood, lecz nigdy nie będzie jego właścicielem. Robert Altman proroku je, że Japończycy znikną z Hollywoodu. „Władowali tu masę forsy, ale w końcu sprzedadzą ten interes. Wyszli na głupków i myślę, że zaczyna to do nich docierać. Mówią, że nie wnoszą żadnego wkładu artystycznego ani kulturalnego, no to co tu robią? Są po prostu bankierami, tak właśnie się ich tutaj traktuje i wkrótce przestanie im się to podobać" [9]. Już im się nie podoba. W 1995 roku Matsushita odsprzedała MCA z powrotem firmie amerykańskiej (Seagram Edgara Bronfmana). Bez względu na to, czy japońskie pieniądze odejdą, czy zostaną, Japończycy będą mogli tylko czerpać zyski z amerykańskiej pop kultury – nie rozwiną jej ani nie zastąpią, wcale zresztą nie mają

zamiaru. Inny stosunek do ideologicznych konsekwencji amerykańskiej dominacji w inforozrywce mają Francuzi. „Amerykański przemysł filmowy to wielki biznes – stwierdza francuski producent filmowy Marin Karmizt – ale aspekt ekonomiczny to nie wszystko, jest jeszcze aspekt ideologiczny. Propaganda zawsze wykorzystywała obraz i dźwięk. Dziś prawdziwa bitwa toczy się o to, kto będzie kontrolował obrazy tego świata, a co za tym idzie, sprzedawał określony styl życia, kulturę, produkty i idee"[10].

Ta dzisiejsza supremacja telesektora inforozrywkowego zakrawa na paradoks. Żaden z trzech tradycyjnych działów gospodarki ani żaden inny z przedstawionych tutaj sektorów usług nie wywiera w skali świata tak wielkiego wpływu ideologicznego i politycznego na państwo narodowe i jego demokratyczne instytucje. A przy tym najmniej ze wszystkich poddaje się nakładanym przez państwo ograniczeniom i regulacyjnym mechanizmom demokracji uwzględniającym dobro publiczne. W największym też stopniu rządzą nim wymogi globalnego rynku. Przewidując, że Dżihad zostanie w końcu (choć nie tak prędko) pokonany przez McŚwiat, wychodzę z założenia, że globalna informacja i globalna kultura w przyszłości okażą się zdolne do przezwyciężenia zaściankowości i zintegrowania lub zatarcia tożsamości małych grup. Jeśli ostatecznie ludzie staną przed wyborem „albo lokalny ajatollah, albo coca-cola", jak to określił francuski pisarz Regis Debray[11], jeśli „antena satelitarna to wróg Proroka, wróg samego Koranu"[12], mułłowie przegrają, bo na dalszą metę nie mają czym się bronić przeciw telewizji satelitarnej i kasetom wideo. Czy w dłuższej perspektywie czasowej postawilibyście na serbski nacjonalizm czy na Paramount Pictures? Na szejka Omara Abd ar-Rahmana czy Shaquille O'Neala? Na islam czy na Disneyland? Czy religia, którą się oswoi, przekształci w towar i strywializuje, przedstawiając jako coś w rodzaju ciekawej opowiastki i bajki na użytek konsumentów, będzie nadal w stanie pełnić rolę siły

napędowej fundamentalizmu? Religia może oczywiście uciekać się do pomocy telewizji, a fanatycy Dżihadu nie zawsze stronią od nowoczesnej technologii, ale sama przeważnie pada ofiarą teleewangelizmu: środek przekazu utożsamia się z samym przesłaniem, a skutki oddziaływania mierzone są kwotami napływających datków, a nie liczbą zbawionych dusz.

Poza wszystkim, nowoczesna telekomunikacja i przemysł rozrywkowy nie lekceważą ani nie niszczą duszy. Można raczej stwierdzić, że ją wchłaniają, rozbierają na części i składają na nowo. W ich rękach dusza staje się bardziej skutecznym mechanizmem konsumpcji niż ciało, które ma swoje fizyczne ograniczenia. Pragnienie i głód zbyt łatwo zaspokoić, dusza jest nienasycona. Może zapewnić nieograniczony rynek zbytu [13]. Nawet z Dżihadu da się zrobić towar, jeśli żarliwą potrzebę wspólnoty opartej na więzach krwi i pragnienie zbawienia zdołamy przemienić w dążenie do zaspokojenia sztucznie wywołanych pragnień.

W roboczej analizie globalnych rynków McŚwiata, będącej tematem części I tej książki, pozostaje nam przyjrzeć się szczegółowo sektorowi informacji. Będzie to równoznaczne z opisaniem amerykańskiego monopolu w kulturze, czy też w kulturze masowej. Niektórzy nie zgodziliby się, że mamy tu w ogóle do czynienia z „kulturą". Ariane Mnouchkine z paryskiego Théâtre du Soleil, zapytana o EuroDisneyland, określiła go jako „kulturalny Czernobyl". Ale ta wypaczona, skomercjalizowana, nawet radioaktywna kultura jest mimo wszystko kulturą, to znaczy zbiorem symboli i wyobrażeń, które łączą ludzi i mogą nawet wytworzyć społeczność.

Ktoś mógłby stwierdzić, że globalna kultura masowa nie jest w gruncie rzeczy amerykańska, nie jest też monokulturą. Nabrała międzynarodowego charakteru, bo składa się na nią angielska muzyka pop, francuska *haut couture*, włoski styl, skandynawska prostota i japońska technologia. Racja, ale jeśli pod pojęciem „międzynarodowość" rozumiemy to, że zbiór zachodnioeuropejsko-

-angielsko-amerykańskich obrazków przygotowuje się i reklamuje w Nowym Jorku, po czym przenosi na taśmę magnetyczną i filmową w Memphis i Hollywood, „międzynarodowy" oznacza po prostu globalno-amerykański, a przez to monokulturowy.

Co więcej, językiem tej globalnej kultury jest angielski, a właściwie amerykański[14]. W McŚwiecie poprawna brytyjska angielszczyzna (*the Queen's English*) stała się czymś w rodzaju afektowanego dialektu, którym posługują się autorzy reklam, chcąc zrobić wrażenie na snobistycznych amerykańskich konsumentach z wyższych sfer. American English to dziś główny ponadnarodowy język, zarówno kutury i sztuki, jak i nauki, techniki, handlu, transportu i bankowości. Po angielsku dyskutuje się, czy światu przewodzi Ameryka czy Japonia. W telewizyjnych wideoklipach śpiewa się, krzyczy i rapuje po angielsku, w tym języku jest też wiele francuskich reklam filmowych (dla Francuzów amerykański angielski jest tym, czym brytyjski angielski dla Amerykanów). Krytycy Nowej Ery Informacyjnej atakują hegemonię światowych serwisów CNN i BBC, ale czynią to po angielsku. Przywódcy somalijskich klanów i haitańscy attachés na użytek środków masowego przekazu przeklinają Amerykę po angielsku. Wojna przeciw twardej hegemonii amerykańskiego kolonializmu oraz politycznej i gospodarczej dominacji Stanów prowadzona jest w taki sposób, że toruje drogę miękkiej hegemonii amerykańskiej kultury masowej i języka angielskiego.

Tak więc kultura McŚwiata mówi po angielsku, ale ma też bardziej podstawowe esperanto, po które może sięgnąć, kiedy angielski zawodzi. Czy istnieje gdzieś na świecie zakątek tak odległy, że nie zrozumieją w nim podróżnika, który posłuży się leksykonem marek i znaków handlowych? Wystarczy, że powie: „Marlboro? Adidas... Madonna... Coca-Cola... Big Mac... CNN... BBC... MTV... IBM!" i już po wieży Babel. Pewien snajper polujący na mieszkańców Sarajewa, zapytany,

co sprawiło, że strzela na oślep do ludzi, odpowiedział: „Bronię was przed muzułmańskim fundamentalizmem, ktoś musi przecież wykonać tę brudną robotę. A tak przy okazji, jak się ma Michael Jordan?". Esperanto McŚwiata wkracza więc nawet na pola śmierci Dżihadu.

Twierdzenie o miękkiej hegemonii amerykańskiej kultury masowej nie opiera się na wyrywkowych obserwacjach. Potwierdzają to konkretne dane dotyczące czterech głównych składników tej kultury: filmu, telewizji, książek i parków tematycznych. Nie ogranicza się ona jednak do tych elementów, są one tylko fragmentami hipnotyzującej globalnej mediologii, która wszędzie przenika do świadomości. Wykorzystując wstępniakoreklamy i infomercjale, literaturę faktu i fikcję literacką, mitotwórstwo i pokrewne mu współczesne kupczenie obrazami, mediologia przemienia życie w konsumowanie, konsumowanie w znaczenie, znaczenie w fantazję, fantazję w rzeczywistość, tę zaś z kolei w rzeczywistość wirtualną, a zamykając krąg z powrotem przetwarza rzeczywistość wirtualną na prawdziwe życie, tak że zaciera się granica między rzeczywistością a jej wirtualną odmianą. W gruncie rzeczy zamazują się wszelkie różnice: w sieci ABC dzienniki i wiadomości sportowe znajdują się w jednym dziale, czasopisma poświęcone telewizji zlewają się z programami rozrywkowymi, tworząc nowe telemagazyny konkurujące z rzeczywistością (w całkiem nowej mowie), filmy pokazują logo korporacji (za odpowiednią opłatą), prezydenci grają w filmach (jak prezydent Ford w pewnym filmie telewizyjnym), zdetronizowani gubernatorzy (Cuomo i Richard) biorą udział w reklamach, żartując sobie z własnej wyborczej porażki, gwiazdy Hollywood startują w wyborach (Sonny Bono, a nie Ronald Reagan został w 1994 roku wybrany do Kongresu), a wszechwiedzący komentatorzy telewizyjni stają się aktywnymi politykami (David Gergen i Pat Buchanan odbyli tę drogę tam i z powrotem, lekko tylko zbesztani przez kolegów po fachu). Politycy nie mogą zrobić nic dobrego, sławni ludzie nie mogą zrobić

nic złego, z zabójstwem włącznie. Nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Świadome potęgi tych sił korporacje z równoległych światów wydawnictw, sprzętu i oprogramowania telekomunikacyjnego oraz rozrywki walczą zażarcie i połykają się wzajemnie. Łączą się, dokonują fuzji, wykupują jedna drugą w tempie, na które pozwalają dostępne zasoby finansowe i przekupywanie akcjonariuszy. Sądy interweniują nie po to, by chronić interes publiczny czy ukrócić monopolistyczne praktyki, ale tylko po to, by zagwarantować, że jedynym kryterium transakcji będzie zysk akcjonariuszy (na przykład sąd najwyższy stanu Delaware naciskał, by Paramount odrzuciła niższą, „przyjacielską" ofertę Viacomu, wzięła natomiast pod uwagę droższą ofertę QVC). Pod hasłami synergii (czyli jak Myszka Miki wyrolowuje konkurencję) robią wszystko, co się da, i wydają, ile się da, by zapewnić sobie monopolistyczną kontrolę nad całym tym zespolonym mediologicznym pakietem, który może zdominować światową gospodarkę i jej wszystkie niegdyś zróżnicowane działy. Podczas gdy megakorporacje walczą ze sobą, rządy (w tym rząd Stanów Zjednoczonych) siedzą bezczynnie, coś tam tylko cicho gdacząc o wolnym rynku, jak gdyby w grę nie wchodziło dobro publiczne albo jakby wypaczone rynki McŚwiata miały same z siebie doprowadzić do sensownych rozwiązań. Nie mogą tego zrobić i nie zrobią.

Nadal nie wiadomo, kto ma reprezentować dobro publiczne w rządzącym się prawami Darwina świecie korporacyjnych drapieżników, którzy – tak się składa – sprawują kontrolę nad podstawowymi symbolicznymi elementami składającymi się na kształt cywilizacji. Niewielu nawet zadaje to pytanie. Rozmaitych bytów nadawczych i kablowych jest już tak wiele, że dawne pojęcie uczciwej gry straciło sens, a FCC – Federalna Komisja Łączności – niebawem przestanie cokolwiek znaczyć. Kongres w 1994 roku nie ukończył prac nad skromną ustawą uwzględniającą nowoczesne technologie. Zresztą nawet

ten projekt, wysunięty przez senatora Ernesta F. Hollingsa, w równej mierze dotyczył ograniczania, jak i inicjowania przepisów mających związek z tworzeniem infostrady. Nawet Baby Bells (lokalne firmy telefoniczne), które podlegałyby przepisom tego aktu prawnego, rozczarowane były jego nieuchwaleniem. Od niego bowiem miał zależeć ich dostęp do telewizji kablowych i połączeń międzymiastowych.

Regulacje prawne w imieniu dobra publicznego są już jednak prawie nie do pomyślenia w dziedzinie telekomunikacji. Zmiana, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich lat, jest wręcz namacalna. Kiedy nowojorska rozgłośnia WNCN, nadająca muzykę klasyczną, próbowała w latach siedemdziesiątych przestawić się na muzykę rockową, rozgniewani słuchacze znaleźli sojusznika w FCC i stacji nakazano pozostanie przy dawnym repertuarze. Kiedy w 1993 roku podjęła ponowną próbę pozbycia się klasycznego balastu, FCC już przy tym nie było. Właściciele WNCN użyli absurdalnego argumentu twierdząc, że dwie rozgłośnie nadające muzykę klasyczną w wielomilionowym mieście, gdzie działa mnóstwo stacji, „nasyciły" rynek, więc jedna wystarczy. Co ma więc zająć miejsce FCC, rządowego nadzoru czy demokratycznych uregulowań?[15] Czy w epoce, kiedy nowy, opanowany przez republikanów Kongres ma zamiar zlikwidować lub sprywatyzować rozgłośnie publiczne i zdemontować resztki federalnego aparatu kontroli, pozostaje nadzieja na uchwalenie „elektronicznego aktu praw obywatelskich", jak to kilkanaście lat temu określił Fred Friendly? Jak społeczeństwo może być reprezentowane przez rynki, które uprzywilejowują konsumpcję indywidualną, ale w żaden sposób nie reprezentują dobra publicznego – tego, co jest wspólne wszystkim jednostkom i dzięki czemu są czymś więcej niż konsumentami? Jakie bodźce rynkowe nakazują chronić interes publiczny?[16]

Przyjrzymy się najpierw po kolei czterem głównym składnikom kultury masowej – filmowi, telewizji, książ-

kom i parkom tematycznym – by się przekonać, jak się jednocześnie internacjonalizują i amerykanizują. Pytania, które powyżej postawiłem, każą się jednak także zastanowić nad zachodzącymi w szaleńczym tempie fuzjami w sektorze informacji. Ten szał jednoczenia się, w imię wolnego wyboru i wolnych rynków, może wytworzyć monopol, który bardziej zagrozi wolności, niż by to się mogło kiedykolwiek przyśnić takim megamonopolistom od surowców i dóbr trwałych jak John Rockefeller (senior) czy Andrew Carnegie[17].

6
Hollyworld: wideologia McŚwiata

Jak najtrafniej określić kończące się właśnie stulecie? Stulecie Ameryki? Być może. Wiek wojen światowych i holocaustu? Z pewnością. Wiek nauki? Bez wątpienia. Jednakże moim zdaniem stoi ono pod znakiem taśmy filmowej i jej młodszej krewnej – taśmy magnetowidowej. Jest to przede wszystkim Stulecie Kina, epoka, w której film, wideo i przekazywane przez nie obrazy wypierają druk, książki i słowa, będące do tej pory głównym środkiem komunikacji międzyludzkiej, perswazji i rozrywki. Informacja została przetworzona na postać cyfrową i skomputeryzowana, komunikacja uległa przyspieszeniu, ale to dźwięki i obrazy składają się obecnie na „wiedzę" przekazywaną większości ludzi na całym świecie. Nawet gazety zaczęły naśladować formy telewizyjne, na przykład „USA Today" to nic innego jak telewizja w postaci pisma ilustrowanego. Nawet szacowny „New York Times" zastosował kolor w przeładowanym reklamami wydaniu niedzielnym. Wiele czasopism jest już dzisiaj dostępnych w Internecie.

To Hollywood zastawiło stół dla McŚwiata. Gdy czcionki drukarskie (a także proch strzelniczy i sztuka nawigacji) doprowadziły do załamania stanowego, zhierarchizowanego świata średniowiecznego, w którym panowała powszechna ciemnota umysłowa, i dały początek wielkiej Reformacji człowieczego losu przeprowadzając ludzkość przez próg ery nowożytnej, to ruchome klatki filmowe (a potem wiązki jonów) rzuciły wyzwanie światu

słowa drukowanego i wprowadziły nas w postnowoczesność. Zmieniły się formy i opakowania (telewizja, wideo, ekran komputerowy), ewolucji uległy przekazywane treści (wideoklipy, wstępniakoreklamy, infomercjale), pojawiły się nowe wynalazki w dziedzinie technologii przekazu (kable, satelity, telefoniczne łącza komutowane, światłowody), ale efekt jest wciąż ten sam: ruchome obrazki przesuwające się przed oczami. Zarejestrowany dźwięk wzmacnia ich oddziaływanie, zajmują miejsce słów, liczb i innych szyfrów, za pomocą których ludzie tradycyjnie się porozumiewali. Abstrakcyjność języka ustępuje miejsca dosłowności obrazu, a odbywa się to kosztem wyobraźni, która obumiera, bo cała praca zostaje za nią wykonana. Te nie ustalone jeszcze koszty ponosi społeczność, której tradycyjnym spoiwem było słowo, ponosi je także dobro publiczne, wymagające aktywnego komunikowania się rozumnych obywateli, uzbrojonych w umiejętności pisania i czytania.

Filmy i kasety wideo, podobnie jak inne składniki kultury McŚwiata, stają się coraz bardziej ujednolicone pod względem treści, w miarę jak ich dystrybucja nabiera coraz bardziej globalnych wymiarów. Coraz więcej ludzi na całym świecie ogląda filmy, które coraz mniej się od siebie różnią. Amerykańska monokultura nigdzie nie przejawia się wyraźniej niż w filmie i wideo, tam też budzi największe obawy. Co więcej, monokultura rozkwita coraz bardziej, w miarę jak zacierają się różnice między firmami telefonicznymi, sieciami kablowymi, stacjami radiowymi i telewizyjnymi oraz producentami oprogramowania, a gigantyczne korporacje łączą się ze sobą. Zróżnicowanie ustępuje miejsca uniformizacji, konkurencję wypiera monopol. Kilka potęg o światowym zasięgu stanowi o tym, co jest tworzone, kto to rozpowszechnia, gdzie jest pokazywane, jak przyznaje się licencje na dalszy użytek. W takich warunkach nie ma mowy o prawdziwie konkurencyjnym rynku idei i obrazów. Zatraca się jedyna niezaprzeczalna przewaga rynku nad demokratycznymi

strukturami zarządzania, a mianowicie takie jego cechy, jak pluralizm, różnorodność, nieprzewidywalność, przypadek i spontaniczność.

Spece od technologii, jak Jeff Miller, który na pytanie „czy firmy telefoniczne powinny robić filmy" odpowiada „nie", biorąc pod uwagę wydajność i specjalizację, nie rozumieją, o co naprawdę chodzi[1]. Bodźcem skłaniającym do fuzji nie jest wzajemna zależność równych partnerów, lecz absolutny prymat, jaki uzyskało szeroko pojęte oprogramowanie: treść zdominowała różnorakie formy, jakie może przybierać w epoce McŚwiata. Rockefeller wykupywał linie kolejowe i sieci dystrybucji, żeby zagwarantować przepływ ropy naftowej, ówczesnego czarnego złota. Czarnym złotem McŚwiata jest informacja, właściciele informacyjnych „rurociągów" całkiem zasadnie ubiegają się o zakup przesyłanych nimi treści. Dla gospodarki, w której branża audiowizualna stanowi drugi co do wielkości dział eksportu (po technice lotniczej), nie jest to sprawa błaha. W 1992 roku do samej tylko Europy wyeksportowano z tej branży „towary" za 3,7 mld dolarów. Niewykluczone, że właśnie dlatego Europejczycy (a zwłaszcza Francuzi) poczuli się na tyle zaniepokojeni, iż w 1993 roku narazili na szwank układ GATT, by uzyskać wyłączenie materiałów audiowizualnych z nowych przepisów o wolnym handlu[2]. Jak stwierdził pewien francuski obserwator: „w światowym handlu kino było sałatką podawaną do głównego dania. Stało się befsztykiem"[3].

Kraje o pięknych tradycjach niezależnej produkcji filmowej, jak Francja, Anglia, Szwecja, Indie, Indonezja i Japonia, stawiając mniejszy lub większy opór, ulegają stopniowo nieodpartemu urokowi produktu, który nie tylko jest w większości amerykański, ale nawet będąc rodzimym czerpie z uwodzicielskich wzorców stylu życia, na który składa się nierozłączna trójca: seks, przemoc i pieniądze. A wszystko to w oprawie amerykańskiego rock and rolla. Rodzima produkcja filmowa, tam gdzie

jeszcze przetrwała, to przeważnie niskobudżetowe imitacje albo kasowe repliki wytworów Hollywoodu. Nowy uniwersalizm okazuje się ni mniej, ni więcej tylko wszechobecnym amerykańskim prowincjonalizmem, zdubbingowanym na różne języki i finansowanym przez wielonarodowych koproducentów. Prywatyzacja ogranicza pomoc państwa dla twórców filmowych i wydaje ich na pastwę nierównej konkurencji z filmami zagranicznymi, podczas gdy wolny rynek pozbawia kruchą rodzimą kinematografię wszelkiej ochrony. Lokalni producenci nie mogą rywalizować z monopolistycznymi międzynarodowymi gigantami, sprawującymi kontrolę nad produkcją, rozpowszechnianiem i salami kinowymi (nowe multipleksy) na całym świecie. Niegdyś ratunku dla lokalnych kinematografii upatrywano w koprodukcji, umożliwiającej łączenie potencjału finansowego i twórczego różnych państw. W rzeczywistości przyspieszyła ona tylko likwidację prawdziwie narodowych filmów. Z faktu, że niezależna telewizja francuska CIBY 2000 finansowała *Fortepian* raczej nie wynika, że nagrodzone dzieło Jane Campion można nazwać filmem francuskim.

Kinematografia węgierska, należąca tradycyjnie do najbardziej twórczych we wschodniej Europie i działająca nadal, nawet przy finansowych ograniczeniach typowych dla okresu postkomunistycznego, odkryła, że węgierska publiczność nie ma zamiaru popierać rodzimych twórców. Powstają co prawda dziesiątki krajowych filmów, ale oglądać je można tylko w kilku małych kinach studyjnych w Budapeszcie. Ekrany wielkich sal kinowych zarezerwowane są dla filmów amerykańskich. W 1991 roku, podobnie zresztą jak w latach poprzednich, zajęły one pierwsze osiem miejsc na liście najbardziej kasowych filmów (patrz Aneks B). Amerykańscy producenci wyciągają stąd wygodny dla siebie wniosek, że nareszcie przemówił rynek. Ich konkurenci obawiają się, że pieniądze i „twarda pięść” rynku odebrały im głos, poza tym rynek i pieniądze promują powszechny (czytaj: zły) gust.

Nawet kraje prowadzące aktywną politykę protekcjonizmu w kulturze, jak Indonezja czy Francja, nie potrafią, jak się okazało, zatrzymać amerykańskiego potopu. Indonezja, z politycznych i kulturalnych względów, próbowała chronić rodzimą kinematografię. Przemysł filmowy stał się jednak pionkiem w większej gospodarczej rozgrywce, i został w końcu przehandlowany przez rząd w Dżakarcie za cenę zagwarantowania dalszego eksportu indonezyjskich tkanin do Stanów Zjednoczonych[4].

Francuzom od dawna nie podobały się amerykańskie zakusy na francuską publiczność, a ich gniew sięgnął zenitu w 1991 roku, kiedy filmy zza oceanu nie tylko wyprzedziły krajową produkcję w konkursach kina masowego, ale zdołały również zdominować festiwal w Cannes (z *Bartonem Finkiem* braci Coen na czele), zagarniając nagrody przyznawane przez krytykę działającą w sferze kultury wyższej. Zdesperowanym francuskim filmowcom udało się uzyskać zakwalifikowanie filmów do tej samej kategorii, co owoce i warzywa, czyli „żywotnego działu gospodarki narodowej". Dzięki temu, podobnie jak produkty rolne, nie byłyby objęte postanowieniami o wolnym handlu, narzuconymi przez rundę urugwajską GATT i przez Wspólny Rynek. Były minister kultury, Jack Lang, wypowiedział wojnę totalną hollywoodzkiemu panoszeniu się w kulturze. Na początku lat dziewięćdziesiątych wydano przepisy nakazujące, by 60 procent programów w telewizji francuskiej było europejskiej produkcji, a 40 procent muzyki nadawanej w radiu i TV stanowiła muzyka francuska. Skąd ta protekcjonistyczna panika? W latach osiemdziesiątych filmy amerykańskie przejmowały nie więcej niż jedną trzecią wpływów francuskiego kina i były naprawdę chwalone przez wybitnych krytyków, którzy pozostawali pod wrażeniem wczesnych „czarnych" melodramatów gangsterskich i wodewilowego stylu aktorów komediowych w rodzaju Jerry'ego Lewisa.

Obecnie, choć Francuzi produkują jeszcze 150 filmów rocznie (Hollywood – dla porównania – 450), prawie 60

procent dochodów odpływa do Ameryki. Tolerancja się wyczerpuje. Amerykanie kontrolują ponad 80 procent rynku europejskiego, Europejczycy – niespełna 2 procent amerykańskiego[5]. Amerykański hit, *Park jurajski*, w czasie premierowego weekendu był wyświetlany w prawie jednej czwartej z 1800 francuskich kin w większych miastach. Wywołało to oburzenie obrońców rodzimej kultury, takich jak następca Langa na ministerialnym stanowisku Jacques Toubon[6]. Lang zakazał ubiegania się o nagrodę Cezara (francuski odpowiednik Oscara) filmom w innym języku niż francuski, choć w rezultacie doprowadziło to do wykluczenia z konkursu wielu francuskich reżyserów robiących filmy w angielskiej wersji językowej (w tym Jacquesa Annauda z *Kochankiem*, na podstawie powieści M. Duras, i Louisa Malle'a ze *Skazą*). Wypowiedział wojnę amerykańskim przedstawicielom handlowym i podczas rundy GATT pod koniec 1993 roku znów podniósł sprawę „produktów" audiowizualnych. W ostatniej chwili Francja wygrała batalię z GATT, zachowując swoje kwoty i utrzymując subsydia państwowe dla kinematografii na poziomie 350 mln dolarów rocznie. Trudno sobie jednak wyobrazić, by w sytuacji, gdy tuż pod Paryżem na długo usadowił się EuroDisneyland (choć jego początki finansowe były bardzo niepewne), a amerykańskie filmy i programy zapełniają nowe „francuskie" płatne sieci telewizyjne, Canal Plus i CIBY 2000, dało się przywrócić minioną chwałę francuskich twórców filmowych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Produkując rocznie 150 filmów, z których może dwadzieścia kilka nadaje się na eksport, Francja nadal zalicza się do światowych potęg kinematograficznych. Kontroluje prawie połowę repertuaru kinowego i produkuje filmy typowo francuskie, ale rozpowszechniane na całym świecie i spotykające się wszędzie z dobrym przyjęciem. W porównaniu z Berlinem czy Budapesztem, gdzie niepodzielnie rządzi Hollywood, w kinach Paryża nadal można

obejrzeć bardzo dużo rodzimych filmów [7]. Główne studia jednak się zamykają, nie pomagają okrzyki rozpaczy, nikt nie wie, jak powstrzymać amerykański potop. Grupa europejskich reżyserów wystosowała list do „Martina" (Scorsese) i „Stevena" (Spielberga) błagając, by dostrzegli, że „Europejczycy podejmują tylko rozpaczliwe próby uratowania europejskiego kina przed całkowitą zagładą". Jeśli filmy nie zostaną wyłączone z wolnego handlu, „w roku 2000 przestanie istnieć europejski przemysł filmowy" [8]. Jack Lang musiał jednak wiedzieć, co się dzieje, bo nawet kiedy w imieniu kultury wytaczał działa przeciw amerykańskim celuloidowym gigantom, dekorował jednocześnie Sylvestra Stallone Legią Honorową.

Vincent Malle, brat Louisa Malle'a, producent filmowy, też dostrzega przyszłość. Obserwując francuski sukces filmu dla młodzieży, w którym Beethoven to pies, bernardyn, zżyma się: „W VI dzielnicy Paryża zachwycają się tym samym, co w Chattanooga. Trochę to smutne" [9]. Może rację miał inny francuski producent Charles Grassot, który stwierdził: „trzeba przyznać, że publiczność oglądająca filmy amerykańskie jest infantylna" [10]. Ale wychodzi na to, że cały świat, jako potencjalny odbiorca amerykańskiej kultury masowej, postanowił się cofnąć do etapu uniwersalnego dzieciństwa tak miłego Hollywoodowi [11]. McŚwiat bardzo sobie ceni infantylizm jako stan umysłu, bo to przecież dziecko woła „chcę!" i „daj!", tak też brzmią naczelne hasła konsumeryzmu. Nie jest to „trochę smutne", ale bardzo przygnębiające.

Obserwując katastrofę tak niegdyś ambitnego kina europejskiego, krytyk David Straton zauważył z goryczą, że przeminęły z wiatrem entuzjazm i odkrywczość lat sześćdziesiątych, kiedy Bergman, Antonioni, Visconti, Truffaut, Godard i Buñuel tworzyli swoje wielkie dzieła w krajach, gdzie istniały silne narodowe kinematografie [12]. Ubolewał, że „chociaż dzisiaj tyle samo ludzi chodzi do kina, będą raczej oglądali filmy głównego nurtu kina amerykańskiego niż nowe dzieła następców Bergmana,

Godarda i innych"[13]. Pozostaje więc amerykański moloch, który miażdży nie tylko lokalne kinematografie, ale i konkurentów z zagranicy. Jeśli w 1976 roku wśród wyświetlanych w Niemczech Zachodnich 255 zagranicznych filmów tylko 86 było amerykańskich, to w 1991 roku stanowiły już prawie dwie trzecie repertuaru – 162 na 262 zagraniczne filmy[14]. W dzisiejszej Europie filmy amerykańskie zgarniają prawie 85 procent wpływów – około 1,7 mld z 2 mld opłat za bilety[15]. Europa robi, co może: pod kierownictwem Francji uchwalono w ramach Wspólnoty Europejskiej zarządzenie, nakazujące, by wszystkie narodowe stacje telewizyjne miały w repertuarze co najmniej 50 procent programów rodzimej produkcji (włączając w to filmy i seriale). Telewizje płatne i satelitarne mało sobie jednak z tego robią. Chociaż zarządzenie przeżyło rundę GATT z 1993 roku, ustąpi nieuchronnie przed siłami rynku wspomaganymi przez satelity, domowe wideo czy inne nowe technologie. Nie tak odległy jest dzień, w którym będziemy mieli do czynienia z jednym, jedynym obrazem – stworzonym przez Amerykanów wizerunkiem Ameryki. Będzie to coś takiego, jak ujęcie Ronalda Reagana rozpoczynające jego słynny film *It's Morning in America*, albo hamburger skwierczący na rozpalonej pustynnym słońcem karoserii chevroleta – obraz tak ogólnikowy, poruszający emocje, wszechobecny i tak przy tym wyprany z treści, że nikt już go nie określi jako amerykański. Po prostu będzie[16].

Ponura historia europejskiego filmu powtarza się na całym świecie. W Indiach, które mają własny potężny przemysł filmowy, na 124 importowane w 1991 roku filmy 78 było amerykańskich[17]. W rewolucyjnym Iranie, gdzie nadgorliwi cenzorzy stawiają tamę importowi filmów i promują „banalne, oportunistyczne, pseudorewolucyjne filmy pełne nadętych politycznych sloganów", dopuszczono na ekrany *Tańczącego z wilkami* i *Wożąc Miss Daisy*, które zdobyły szeroką publiczność[18]. Wygląda to dość niewinnie, ale w kraju, gdzie „nawet rządzący

nie wiedzą dokładnie, na czym ma polegać muzułmańskie kino" (jak stwierdził irański reżyser Bahram Bayxai), takie włożenie nogi w drzwi może się zakończyć potężnym kopniakiem wymierzonym zamkniętej muzułmańskiej kulturze, która próbuje się bronić przed politycznymi i kulturalnymi wpływami Zachodu [19].

Te ogólne tendencje widoczne są w prawie wszystkich krajach świata, gdzie produkuje się filmy i wyświetla je w kinach i w telewizji. To samo się dzieje na wielkich rynkach, np. w Japonii i Niemczech, mających silne rodzime tradycje kulturalne, a także w krajach zamkniętych przed filmami z Zachodu, jak Chiny czy Kuba. Chociaż nie importują one amerykańskiej tandety, wytwarzają własny chłam imitujący amerykańskie opery mydlane czy filmy pełne seksu i przemocy, a więc to, co propaganda tych krajów potępia, a na co cenzura nie zezwala. Amerykanie zauważają wybitne chińskie filmy, jak *Żegnaj, moja konkubino* Chena Kaige'a (pierwszy chiński film, który zdobył Złotą Palmę w Cannes w 1993 roku) czy *Zawieście czerwone latarnie* Zhanga Yimou, ale żaden z nich nie był pokazywany w Chinach w nie okrojonej wersji, a cenzorzy surowiej traktują rodzimy ambitny repertuar niż filmy karate z Hongkongu czy krwawe amerykańskie melodramaty sensacyjne, których pirackie kopie rozchodzą się za cichym przyzwoleniem chińskich władz, mimo grożących sankcji handlowych ze strony Ameryki. Chińskiemu filmowcowi Chenowi daleko do optymizmu: „Ćwierć wieku temu wariowaliśmy na punkcie polityki. Teraz szalejemy na punkcie robienia pieniędzy. Obawiam się, że pewnego dnia staniemy się chuliganami z forsą, bez żadnej kultury" [20]. Za rozkwitem gospodarczym wkracza McŚwiat, nie będzie więc tak, że pozostaną bez żadnej kultury, utracą tylko swoją własną. Jej miejsce zajmie kultura chuliganów z forsą.

Hegemonia amerykańskich filmów na światowym rynku wyprzedza przywództwo Amerykanów we wszystkich innych dziedzinach. Wydawca głównego rosyjskiego ma-

gazynu filmowego Peter Szepotinik ubolewa: „dzisiaj taniej wypada zakup i rozpowszechnienie jakiegoś nie znanego, trzeciorzędnego filmu amerykańskiego niż wyprodukowanie filmu rosyjskiego" [21]. Zestawienie filmów, które w 1991 roku przyniosły największe wpływy w 22 krajach (patrz Aneks B) mówi samo za siebie. W piętnastu krajach na pierwszym miejscu widzimy albo *Tańczącego z wilkami* (dziewięć razy) albo *Terminatora 2* (sześć razy). W kolejnych ośmiu albo jeden, albo drugi z tych filmów plasuje się na drugim miejscu. Inne filmy z pierwszej piątki są także amerykańskie, w tym *Robin Hood* i *Kevin sam w domu*, które w wielu krajach zajmują drugie lub trzecie miejsce. W pierwszej trójce najbardziej kasowych filmów w 22 krajach (razem 66 filmów) 58 to produkcja amerykańska. Ze wszystkich 222 filmów ujętych w tym wykazie 191 jest produkcji amerykańskiej.

Nic się nie zmieniło w 1991 roku, kiedy w pierwszej piątce hitów kasowych w tych samych krajach znalazły się takie filmy, jak *Nagi instynkt*, *Piękna i bestia* oraz sequele – *Zabójcza broń 3* i *Kevin sam w Nowym Jorku*, a 7–8 tytułów wymienianych w pierwszej dziesiątce też powstało w Hollywood [22]. Monopolizując lokalne rynki, Ameryka przyczyniła się do unicestwienia innych eksporterów, stwarzając dodatkowe problemy konkurentom z krajowych kinematografii. Spodziewano się, że koprodukcja osłabi trochę amerykański impet, ale skutek był odwrotny [23]. Czy komukolwiek przyszłoby na myśl, że film *Pamięć absolutna*, który kilka lat temu rozsławił Arnolda Schwarzeneggera, powstał za francuskie pieniądze, że reżyserem był Holender, a gwiazdor pochodzi z Austrii? Zagraniczne pieniądze, talent imigrantów, nieamerykańska firma dystrybucyjna to tylko niewidzialne nitki wplecione w szatę, która z punktu widzenia użytkownika wygląda jak amerykańska i już [24]. Hollywood nad Sekwaną może przynieść Europie gigantyczne zyski na kalifornijską skalę, ale raczej poszerzy niż ograniczy zasięg oddziaływania McŚwiata [25].

Amerykańscy filmowcy nie opuszczają na ogół kraju, by robić filmy za granicą. To najwybitniejsi i najbardziej utalentowani twórcy filmowi z całego świata ściągają do Hollywood[26]. Na przykład Chen Kaige, reżyser filmu *Żegnaj, moja konkubino*, podawanego często za przykład rozkwitu sztuki filmowej poza Hollywood, pojechał za swoim dziełem do Ameryki, gdzie w jednym z wywiadów stwierdził, że chce zrobić amerykański film na wzór *Ojca chrzestnego*[27]. Powinien się obejrzeć na Paula Verhoevena: oto wybitny reżyser stara się dorównać hollywoodzkim wzorcom, tworząc taki pozbawiony cech autorskich zestaw „dzieł" jak *Robocop*, *Pamięć absolutna* i *Nagi instynkt*. Michel Ciment daremnie załamuje ręce nad „kretyńskimi filmidłami produkowanymi masowo w Hollywood dla nastoletniej publiczności, którymi w okresie letnich upałów zaśmieca się francuskie ekrany"[28]. Tymczasem europejscy reżyserzy spieszą do Hollywood po pieniądze i sławę[29].

W zdominowanym przez Amerykę świecie filmu zdarzają się pewne wyjątki. Odrodzenie sztuki filmowej obserwujemy w Meksyku – przykładem może być sukces *Like Water for Chocolates*. I tam jednak przemysł filmowy produkuje głównie pełne przemocy soft-pornosy dla Latynosów zamieszkujących wschodnie przedmieścia Los Angeles oraz opery mydlane dla prywatnej sieci TELEVISA i mnożących się w szybkim tempie hiszpańskojęzycznych programów amerykańskiej telewizji kablowej. Podobnie jak dzieje się we Francji i innych krajach, gdzie uchował się rodzimy przemysł filmowy, kino meksykańskie zależne jest od wydatnej pomocy państwowej (ze strony Instituto Mexicana de Cinematográfica – IMCINE). Innowację tę, sprzeczną zapewne z etosem wolnego rynku, wprowadził prezydent Gortari, który nie wiadomo jak długo zachowa swój urząd. Jeśli chodzi o silne narodowe kinematografie, normą jest raczej to, co się dzieje w Indonezji, a nie w Meksyku. Krajowe kino umiera, „przyduszane przez amerykańskiego giganta", jak to

określił krytyk filmowy Philip Shenon[30]. W październiku 1992 roku w 66 z 81 kin w Dżakarcie wyświetlano zagraniczne filmy. Klejnoty rodzimej produkcji, jak *My Sky, My Home*, film nagrodzony w Niemczech, we Francji, a nawet, jak na ironię, w Ameryce, nie mogą się przebić na indonezyjskie ekrany. „Mając do czynienia z taką masą amerykańskich filmów całe pokolenie nabrało przekonania, że Indonezja nie potrafi stworzyć niczego wybitnego" – pisze Shenon. Pewien 29-letni Indonezyjczyk (Franky Boyoh) stwierdził: „ja i moi koledzy oglądamy tylko filmy amerykańskie. Nie ma dobrych indonezyjskich filmów"[31].

Miażdżąca przewaga amerykańskiego kina na światowym rynku filmowym nie musi oczywiście pociągać za sobą określonych skutków kulturowych: wszechobecność na rynku to nie to samo, co decydujący wpływ. Tyle że filmy amerykańskie są wszędzie, globalną telewizję zdominowały w większym jeszcze stopniu niż światowe ekrany[32]. Służą rozrywce, ale prezentują też określony styl życia, mogą wpływać na nawyki i postawy[33]. Hollywood to bajarz McŚwiata. Zaszczepia sekularyzm, bierność, konsumeryzm, doznania z drugiej ręki, popęd do kupowania i przyspieszone tempo życia, i to nie poprzez podejmowane tematy i wątki, ale przez to, czym samo jest i jak konsumowane są jego produkty. Historie opowiadane plemieniu siedzącemu wokół ogniska bez względu na swoją treść łączą ludzi i są odbiciem wspólnego dziedzictwa. Historie przepuszczone przez magiczną latarnię i pojawiające się na nowo na ekranach kinowych i telewizyjnych warunkowane są szczególnym kontekstem środków przekazu. Filmy Disneya i Disneyland splecione są ze sobą pajęczymi nićmi, stanowiącymi tworzywo bajek o animowanych postaciach. Na pozór oddają hołd wielokulturowości, nawet gdy zacierają wszelkie prawdziwe różnice. Aktywne uczestnictwo przemieniają w nowy rodzaj wirtualnego kibicowania, żywą ciekawość przeobrażają w bezmyślną konsumpcję. Pod koniec 1993 roku

spółka Warner Brothers Films otworzyła w Nowym Jorku wielki sklep – Warners Brothers Studio Store – gdzie można „spróbować nowego doświadczenia, jakim są rozrywkowe zakupy". Impreza była poprzedzona kampanią promocyjną. Dzisiaj podobne „studio stores" można znaleźć wszędzie. McŚwiat to jedne wielkie rozrywkowe zakupy. Domy towarowe, multipleksy, parki tematyczne, stadiony sportowe, sieć restauracji szybkiej obsługi (gdzie odbywa się wiązana sprzedaż filmowych gadżetów) i telewizja, z coraz liczniejszymi telesklepami, łączą się w jedno ogromne przedsiębiorstwo, które w pogoni za zyskiem przekształca ludzkie dusze.

Wielu ludzi (w krajach rozwiniętych jest to przeważająca większość, w rozwijających się – mniejszość, która niedługo stanie się większością) o wiele za dużo czasu spędza codziennie w którymś z komercjalnych przybytków nowego świata – przed telewizorem, w centrum handlowym, w kinie, w restauracji szybkiej obsługi, gdzie pospiesznie coś żują, przyglądając się promocji nowego filmu albo kupują jakieś licencjonowane gadżety. Hollywood i jego satelity poddają ich oddziaływaniu „inżynierii obrazu" (tak to nazywają ludzie Disneya). O wiele krócej przebywają w szkole, kościele, bibliotece, lokalnym ośrodku usługowym, w sztabie politycznym, siedzibie organizacji społecznej czy na boisku. A tylko te miejsca są środowiskiem sprzyjającym aktywności publicznej, tylko tam wymaga się od nas, byśmy się określali jako autonomiczni członkowie obywatelskiej wspólnoty, której szczególnymi cechami są kultura, religia lub inne społeczne wartości. Tak jak kowale słowa ustępują przed inżynierami obrazu, tak i zamiłowani czytelnicy i uczestnicy publicznych debat zaczynają się czuć jak wymierający gatunek. Gingrich, przewodniczący Izby Reprezentantów, usilnie się stara, żeby rząd zostawił sektor prywatny w spokoju, ale kto obroni społeczeństwo obywatelskie przed sektorem prywatnym?

McŚwiat domaga się od nas, żebyśmy widzieli siebie jako odrębne, izolowane jednostki, kontaktujące się mię-

dzy sobą przede wszystkim poprzez transakcje handlowe, w których pojęcie „ja" zastępuje pojęcie „my". Umożliwia to prywatnym korporacjom, zainteresowanym jedynie pomnażaniem zysku, zaoczne definiowanie najwyższego dobra obsługiwanych przez nie jednostek i społeczności. NAFTA – amerykańskie wcielenie globalnej strategii McŚwiata – przynosi korzyści zarówno amerykańskiemu biznesowi, jak i światowym rynkom. Jest to bez wątpienia polityka nastawiona na przyszłość, ale nie służy i nie może służyć interesom Amerykanów czy ludności świata, jeśli chodzi o takie kwestie jak pełne zatrudnienie, godność pracy, twórcze wykorzystanie narzuconego czasu wolnego, ochrona środowiska, sieć zabezpieczeń społecznych i zabezpieczenie emerytalne. Rzecznicy McŚwiata wysuną argument, że rynek służy obywatelom, bo umożliwia im dokonywanie wyboru, ale wybór ten dotyczy wyłącznie artykułów, które kupuje się i konsumuje, nie zaś decydowania, czy w ogóle coś kupować i konsumować. Nie pozostawia też miejsca na decydowanie o prawie do zarobku umożliwiającego konsumpcję, ani o regulowaniu i ograniczaniu konsumpcji tak, by jej ofiarą nie padł interes społeczny, którego przy braku demokratycznych instytucji nic nie broni. Na globalnym rynku McŚwiata „nadanie władzy" ogranicza się do możliwości wyboru sosu do pieczonego kartofla, cała reszta sprowadza się do biernej konsumpcji. Kiedy zysk staje się jedynym kryterium, jakim mierzymy każdy towar, każde działanie, postawę, produkt kulturalny, wkrótce poza zyskiem nie pozostaje nic innego. W imperium rynku książętami są chuligani z forsą, a królem ten, kto najhojniej sypie pieniędzmi.

Filmy mają podstawowe znaczenie dla ideologii rynku. Oglądając je odkrywamy jednakowość, tak typową dla McŚwiata. Wydaje się ona równie przytłaczająca, jak niewidzialny „eter", rozproszony, jak niegdyś wierzono, po całym kosmosie i tworzący jego niewidzialną strukturę, co uwiarygodniło fizykę Newtona. Odwiedźcie

protestancki zbór w szwajcarskiej wiosce, meczet w Damaszku, katedrę w Reims, buddyjską świątynię w Bangkoku. Choć w każdym z tych miejsc kultu napotkacie tę samą atmosferę pobożności, zorientujecie się bez trudu, że każde z nich należy do innej kultury. Potem siądźcie w fotelu multipleksowego kina – możecie równie dobrze odwiedzić stadion sportowy, centrum handlowe, nowoczesny hotel czy restaurację szybkiej obsługi w jakimkolwiek mieście świata – i spróbujcie sobie wyobrazić, gdzie jesteście. Okaże się, że nigdzie i wszędzie. W środku abstrakcji. W cyberprzestrzeni. Pochłonięci telewizyjną grą Nintendo polujecie na piksele: otaczający was świat przestaje istnieć. Oglądacie MTV: uniwersalne obrazy atakują oczy, uniwersalne dźwięki atakują uszy, a w tym dudniącym łomocie nie sposób się zorientować, w jakim kraju akurat przebywacie. Gdzie jesteście? W McŚwiecie.

W teatrze wystarczy, że kurtyna pójdzie w górę, a zaraz wiadomo, z jakim regionem, miastem, kulturą ma się do czynienia. Telewizję można oglądać przez wiele dni z rzędu i wciąż człowiek nie wie, na jakiej planecie się znajduje, chyba że chodzi o Planetę Reebok. Lokale McDonalda w Moskwie, Budapeszcie, Paryżu i Londynie mają nieco odmienny wystrój, dzięki czemu można je odróżnić od oryginalnej restauracji otwartej przez Raya Kroca w Des Plaines w stanie Illinois w 1955 roku. Ale wystarczy przymrużyć oczy, a te drobne różnice znikną i pozostanie tylko Złoty Łuk, który prześladuje nas jak demon i dostrzegamy go nawet na Polach Elizejskich, skąd w rzeczywistości został wygnany. Spełniły się prorocze słowa reżysera Alaina Corneau o świecie, w którym pozostał tylko jeden obraz.

W restauracji szybkiej obsługi czy nawet w kinie cyberprzestrzeń to przenośnia. Ale w telewizji staje się ona rzeczywistością, to znaczy rzeczywistością wirtualną.

7
Telewizja i MTV: hałaśliwa dusza McŚwiata

Ulubionym oprogramowaniem McŚwiata są filmy, ale jeśli chodzi o media, przedkłada on telewizję nad kino. W przypadku telewizji mamy bowiem układ, jeden na jednego: samotna jednostka jest absolutnie sam na sam z cyberprzestrzenią, a ekran pełni rolę doskonale bezpośredniego pośrednika[1]. Pokaz filmu w kinie odbywa się w określonym miejscu i czasie, telewizja natomiast umożliwia nieustanne oglądanie filmów, w każdym czasie i w każdym miejscu. Jest osobistym oknem na McŚwiat – przez komputery, satelity, sieci kablowe i linie telefoniczne umożliwia dostęp do źródeł informacji, zbiorów danych, telemarketów, banków. Osławiony Internet – to kłębowisko połączonych ze sobą komputerów i interaktywnych BBS, gier wideo, banków informacji, wirtualnych sklepów i zwyczajnych użytkowników – ma podobno wkrótce w mniejszym lub większym stopniu zastąpić wszelkie międzyludzkie kontakty. Wyobrażamy sobie infostradę jako drogę, po której można się przemieszczać z miejsca na miejsce, ale przemysł informatyczny zamierza zastąpić sztywny rozkład elektronicznych pociągów wszechstronnością właściwą samochodom. Ray Smith, prezes Bell Atlantic, na konferencji prasowej poświęconej nieudanej próbie przejęcia największej amerykańskiej sieci kablowej TCI powiedział: „Zapewniamy elastyczność samochodu. Będziecie mogli dojechać wszędzie, gdzie chcecie, kiedy tylko przyjdzie wam ochota"[2]. Ale wielu z nas,

podobnie jak włóczędzy, awanturnicy i rozbójnicy z dawnych czasów, nie wie dokładnie, dokąd chce dojechać. Może się skończyć na tym, że będziemy prowadzić życie wagabundów, zadowalając się samą jazdą bez celu, tak jak samotni rowerzyści, którzy przemierzali kiedyś Amerykę drogą nr 1, nigdzie konkretnie nie dojeżdżając. Posłużę się jeszcze inną przenośnią: otóż ekran kinowy tak się ma do komputera podłączonego do infostrady jak samolot do ptaka. Samolot jest niezawodny, kiedy trzeba się dostać z punktu A do punktu B, a pasażer dokładnie zna termin i cel swojej podróży. Ptak również lata, ale na dodatek potrafi zbudować gniazdo, siedzieć na jajach, zdobywać pożywienie i karmić pisklęta, lądować wszędzie, na każdej powierzchni, wzlatywać do góry, spadać w dół, ćwierkać, dziobać i grzebać w ziemi. Poza tym nie musi mieć określonego celu. Na kinowym ekranie pokazuje się filmy i to wszystko. Telewizja to bramka wjazdowa na infostradę; na swój szczególny elektroniczny sposób potrafi wzlatywać, spadać w dół, ćwierkać, dziobać i grzebać w ziemi.

Filmy wyświetlane na dużym ekranie w sali kinowej docierają tylko do niewielkiego odsetka ziemskiej populacji, a odbywa się to w określonym i raczej ograniczonym miejscu i czasie. Nowe interaktywne systemy pozwolą użytkownikom na ściąganie dowolnych filmów – rozrywkowych i naukowych, informatycznych i pornograficznych, służących zabawie i edukacji. Każdy będzie mógł, kiedy tylko zechce, obejrzeć i zakupić, co mu się żywnie spodoba. Poprzez telewizję filmy będą mogły teoretycznie docierać przez całą dobę do każdego mieszkańca ziemskiego globu[3].

Kino i telewizja przyjęły wspólną strategię, jeśli chodzi o przekazywane treści, co umocniło jeszcze monopol Hollywoodu. Amerykanizacja światowej telewizji postępuje nawet szybciej niż globalizacja amerykańskich filmów. W Anglii, gdzie główną pozycją sobotnich programów sportowych były niegdyś mecze piłki nożnej

i krykieta, dziś telewidzowie mogą oglądać Mecz Tygodnia NFL – Ligi Amerykańskiego Futbolu. Nawet we Francji transmituje się cotygodniowy mecz amerykańskiego futbolu, komentowany przez amerykańskiego sprawozdawcę, który francuszczyzną z koszmarnym amerykańskim akcentem (to zamierzone) nadaje bez wytchnienia: „alors, quelle finesse! Regardez le quarterback sneak de Dan Marino, ça marche vraiment parfaitment, n'est – ce pas? Tiens! Touchdown! Eh, oui, je suis étonné! Quelle jeu! Quel grand show!". Sam jankeski urok i czar.

Anglofilia, tak typowa dla amerykańskiej kultury wysokiej, odwzajemniana jest Amerykanom przez Brytyjczyków w sferze niskiej kultury. Telewizja wzoruje się na Hollywoodzie, mamy między innymi imitacje *Gladiators* i programu Ophrah Winfrey (w postaci Crystal Rose), serial *Brighton Belles* (licencjonowana wersja *Golden Girls*) oraz kretyńsko amerykanocentryczny magazyn młodzieżowy *The World*, prezentujący rewelacje z życia takich sław, jak supergwiazda koszykówki Shaquille O'Neal, gwiazda porno Jeff Stryker czy pewien policjant z Albuquerque, który przedłużył sobie członka (niestety, nie pokazano tego na ekranie)[4].

Europa Wschodnia dogania zachodnich sąsiadów w tym pościgu za Ameryką. Jak stwierdza węgierski dziennikarz Miklos Vamos: „Węgrzy, Czesi, Słowacy i Bułgarzy próbują naśladować wszystko, co amerykańskie – dosłownie wszystko. Państwowy system dotowania kultury przestał istnieć, ale nie ma też żadnych fundacji czy innych prywatnych sponsorów wspomagających sztukę, jak na Zachodzie. Rodzime kino i literatura nie mogą rywalizować z amerykańską konkurencją. Jeśli tak się będzie nadal działo, nasze niewielkie kraje utracą stopniowo kulturalną tożsamość"[5]. Mieszkańcy Budapesztu oglądają *Bill Cosby Show* – co prawda w niemieckiej wersji językowej, bo nie zdubbingowano go jeszcze na węgierski. W Jelcynowskiej Rosji telewidzom udostępniono tandetną imitację *Koła Fortuny* (tutaj nazywa się to

Cudowne pole). Szczęśliwcy wygrywają magnetowidy Sony, na których będą sobie mogli odtwarzać pirackie kasety z niesamowicie popularnymi w Rosji amerykańskimi filmami[6].

Lepiej powiodło się Polakom, bo oprócz oryginalnego *Wheel of Fortune* mają swoją własną, licencjonowaną wersję. We wtorkowe wieczory *Koło Fortuny* dociera do 70 procent polskich domów. 25 procent gospodarstw domowych odbiera telewizję kablową lub satelitarną po stosunkowo niewielkich kosztach[7]. Kiedy Dżihad i McŚwiat ścierają się na telewizyjnym ekranie, łatwo zgadnąć, kto wygra. Kościół katolicki może umocnić swe wpływy, gdy chodzi na przykład o aborcję (zakazaną w Polsce w 1993 roku), komuniści mogą powrócić na arenę polityczną, ale wojnę kulturalną wygrywa w przedbiegach amerykańska telewizja. Kościół ustępuje bez walki, i tylko przez sieci telewizyjne VH1 i MTV ogłasza w całej Europie, że szuka kandydatów do stanu duchownego, prezentując go jako modny styl życia, wolny od zagrożenia AIDS.

W Azji, gdzie ze względów finansowych okablowanie domów czy doprowadzenie światłowodów jest jeszcze niewykonalne, główną rolę odgrywa telewizja satelitarna. Setki tysięcy Hindusów z górnych warstw społecznych, wzdychających do zachodniego stylu życia, odbierają programy azjatyckiej (obecnie należącej do Murdocha) sieci Star. Talerze anten satelitarnych pojawiają się w Chinach, pomimo zakazów wydawanych przez władze, które prowadzą wojnę z „duchowym skażeniem". W 1993 roku na mocy dekretu Rady Państwa nr 129 zabroniono zakupu i posiadania anten satelitarnych, ale miliony elektronicznych przestępców całkiem to sobie zlekceważyły i obecnie szacuje się, że za pośrednictwem ponad pół miliona „niebiańskich nici" (tak się dosłownie nazywa po chińsku antena satelitarna) 15 mln odbiorców zapoznaje się z tą stroną kapitalizmu, której reżim nie ma zamiaru propagować. Pomimo ostrych wypowiedzi premiera Li Penga

anten jak dotąd nie usunięto i trudno sobie wyobrazić, żeby wygrał wojnę z McŚwiatem, zwłaszcza że w innych dziedzinach gospodarki usilnie się stara, by doń dołączyć[8]. Chiński premier nie bez powodu się martwi, bo dzięki antenom Chińczycy mogą oglądać oryginalny zachodni repertuar takich między innymi stacji, jak BBC, CNN, MTV oraz anglojęzyczny program sportowy. Firmy telekomunikacyjne działające na rynku azjatyckim nie zaprzątają sobie głowy jakąkolwiek dywersyfikacją, nie próbują wynajdywać programów odpowiednich dla Indii czy Chin. Przeciwnie, im więcej jest odbiorców i kanałów, im bardziej poszerza się rynek, tym bardziej homogeniczne stają się przekazywane treści. Komercjalnych dostawców telewizji satelitarnej obchodzi przede wszystkim zysk, nie polityka. Rupert Murdoch nie sprzeciwiał się wycofaniu dzienników BBC z programów Star Television, kiedy trzeba było się przypodobać chińskiemu rządowi.

Sieć telewizji satelitarnej Star, mająca siedzibę w Hongkongu, wyglądała początkowo na azjatycką konkurentkę firm zachodnich, ale 4 z jej 5 kanałów nadają w języku angielskim, a pod koniec 1993 roku została kupiona za niecałe pół miliarda dolarów przez News Corporation Ruperta Murdocha. W samych Stanach do tego Amerykanina australijskiego pochodzenia należą Fox Television, Twentieth Century Fox Film, TV Guide, wydawnictwo HarperCollins oraz „New York Post". Ten magnat prasowy ma również 50 procent udziałów brytyjskiej stacji Sky Broadcasting (główna europejska telewizja satelitarna). Zagarnąwszy Star TV, dołączył do swego imperium jeszcze 38 państw, zamieszkanych przez dwie trzecie ludności świata[9]. Liczba potencjalnych odbiorców idzie więc w miliardy. Niewiele da się powiedzieć o intencjach, jakimi kieruje się Murdoch, z wyjątkiem jednego: z całą pewnością nie zależy mu na zachowaniu lokalnych kultur ani używaniu środków przekazu i sieci telekomunikacyjnych w służbie demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. W Chinach czy w Singapurze, gdzie nie wolno

posiadać anten satelitarnych (ale wojsko je produkuje i są w masowym użytku), Murdoch może się wydawać niebezpieczny. Zgodził się jednak wycofać serwis BBC z telewizji Star w zamian za złagodzenie oporu Chińczyków, bo wie zapewne, że prawdziwym koniem trojańskim McŚwiata, zagrażającym obcym kulturom i nieprzyjacielskim państwom, nie jest CNN ani BBC, tylko MTV.

Wideoklipy – hałaśliwa dusza McŚwiata

MTV to fascynujący przykład szybkich przemian, którym amerykańska telewizja i amerykańska muzyka zawdzięczają panowanie nad publicznością na całym świecie. Wideoklipy narodziły się dopiero w 1981 roku, jako produkt (jak na ironię) uprawianej na marginesie kultury *performance art* i telewizji eksperymentalnej. Prezentowane były z początku w nowatorskich studiach *performance*, jak nowojorskie Kitchen. W ciągu pięciu lat sieć MTV rozrosła się do kolosalnych rozmiarów, a jej właściciel, firma Viacom, znalazła się w samym środku sceny mediów. Od tej pory jej łupem padają coraz liczniejsi konkurenci. Odniósłszy zwycięstwo nad siecią telemarketową QVC Barry'ego Dillera w wojnie o Paramount, Viacom stał się jednym z najpotężniejszych gigantów wśród światowych mediów. QVC, choć zmiażdżony przez Viacom, nadal działa jako telewizyjny dom towarowy. Największym elektronicznym domem towarowym nie jest jednak telewizja kablowa ani telewizyjna sieć sklepowa, ale sama MTV, będąca wyłącznie instrumentem marketingu dla przemysłu muzycznego. Jak stwierdził John Seabrook: „MTV stanowi punkt zwrotny w historii mediów między innymi dlatego, że zatarła się w niej zupełnie granica między rozrywką a reklamą"[10].

MTV wyszła na arenę międzynarodową w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy grupa Dire Straits wylansowała dzięki niej swój wielki przebój *Money for Nothing* (towa-

rzyszyła temu sprzedaż wiązana różnych gadżetów). Na początku roku 1993 jej światowa widownia składała się z blisko ćwierci miliarda gospodarstw domowych (w Stanach Zjednoczonych 60 mln), czyli ponad pół miliarda widzów w 71 krajach. Widzów z każdym dniem przybywa, MTV pozostawia w tyle CNN, która co prawda odbierana jest w 130 krajach, ale nie dociera do tak wielu domów, a jej widownię stanowi raczej pokolenie dnia wczorajszego, ludzie po czterdziestce, nie zaś jutrzejsze pokolenie dwudziestoparolatków. MTV Europe zaczęła nadawać z Niemiec Wschodnich na dwa dni przed upadkiem Muru Berlińskiego – w pewien przewrotny sposób sprawiła, że obalenie go nie było aż takie konieczne[11].

W większości krajów można odbierać programy MTV w narodowych językach, i chociaż Orlando Patterson woli sobie wyobrażać, że muzyka na świecie wcale nie ulega homogenizacji, to młodzi widzowie najczęściej oglądają program amerykański, promowany w końcu przez MTV. Jej właściciel Sumner Redstone, trzy razy starszy niż większość pracowników, zupełnie w stylu Zeiena, szefa Gillette, stwierdza, że „dzieciaki na ulicach Tokio mają więcej wspólnego z dzieciakami z ulic Londynu niż z własnymi rodzicami"[12]. W Belgii program MTV w języku flamandzkim został skasowany i zastąpiony wersją anglojęzyczną. Nastąpiło to na skutek skarg miejscowych flamandzkich widzów[13]. Większość programów MTV wypełnia amerykańska muzyka pop, kiedy zespoły z innych krajów w przyznanym im czasie antenowym naśladują na ogół Amerykanów. Krytyk Helmut Fest ubolewa, że zespoły europejskie występujące w MTV „są z góry zaszufladkowane – coś w stylu «patrzcie, ale dziwaki z tych facetów z kontynentu»"[14]. W Berlinie widz znudzony oglądaniem MTV może się przełączyć na inny kanał z programem Davida Lettermana *Late Night*, w którym występują najlepsi wykonawcy.

Azja udaje, że wkracza na własną drogę, przy czym podąża za Ameryką. Nowa sieć Asia Television Network

(ATN) ma w założeniu dbać o zachowanie rodzimej kultury. Jej program w języku hindi odbierany jest na całym subkontynencie indyjskim, ale retransmituje ona również MTV Europe, żeby nie oddać pola głównej konkurentce, telewizji Star [15]. Star ma własną azjatycką wersję MTV (z mnóstwem amerykańskich przebojów), mieszkańcy Indii, Malezji i Pakistanu mogą więc wybierać między dwoma „lokalnymi" kanałami MTV, prezentującymi ten sam kiczowaty repertuar amerykańskiej muzyki pop albo jej azjatyckie imitacje. Bez względu na to, jak konserwatywnie nastawieni byliby odbiorcy, wraz z wkroczeniem nowych mediów otwierają się szeroko drzwi na świat zewnętrzny [16].

Publiczność MTV, niezależnie od różnic ideologicznych i idiosynkrazji kulturowych zjednoczona przez satelitę i United Colors of Benetton, to nie tylko widzowie z Tajwanu, ale i z Chin, nie tylko z Izraela, lecz także z Iranu i Arabii Saudyjskiej, z separatystycznej Gruzji i postępowych Węgier, Brazylii i Meksyku, Bangladeszu i Wietnamu, Indii i Hongkongu, a także Korei Południowej i Północnej. Satelity niewiele sobie robią z Dżihadu, wnoszą posłanie McŚwiata w najbardziej zamknięte enklawy etniczne. Młody muzułmanin, bliski histerii, zwierza się dziennikarzowi irańskiej gazety: „Nie mogę się uczyć, jest mi słabo, stałem się niecierpliwy i nerwowy. Czuję się okaleczony przez te wulgarne i podniecające obrazy z zachodnich telewizji i MTV nadawane przez satelity" [17].

Część nie pozbawionych samokrytycyzmu Amerykanów wyraża zatroskanie z powodu „kulturalnego kolonializmu" MTV [18], ale kiedy usiłują ostrzegać jego potencjalne ofiary w Europie Wschodniej, te ani myślą słuchać i upierają się, że muzyka rockowa to symbol wolności – broń przeciw dawnym komunistom i nowym nacjonalistom. Do pewnego stopnia mają oczywiście rację. W dzisiejszym reakcyjnym Belgradzie dysydenckie stacje radiowe, jak B-92, nadają zachodniego rocka, by zamanifes-

tować niechęć wobec etnicznej parafiańszczyzny. Podobnie rosyjscy dysydenci, chcąc zdenerwować komunistycznych władców, nosili niegdyś dżinsy, palili winstony i wypowiadali się poprzez muzykę rockową. Nie dalej jak kilka lat temu europejski reżyser MTV Bill Roedy pisał o „wkładzie w proces demokratyzacji w Europie Wschodniej". Jego zdaniem MTV „to coś więcej niż kanał telewizyjny. Niektórym widzom zapewniamy kontakt z resztą świata. Jesteśmy oknem na Zachód, na swobodny przepływ informacji i wolność ekspresji" [19]. Wolność ekspresji może, ale jaka „informacja"? Jaka „demokratyzacja"? Niemieckie grupy neofaszystowskie bynajmniej nie gardzą muzyką pop, a Władimir Żyrinowski, przywódca skrajnie nacjonalistycznej Partii Demokratyczno-Liberalnej w Rosji (wszystko można o niej powiedzieć, z wyjątkiem tego, że jest demokratyczna i liberalna) założył klub dla „fanów hardrocka, którym bliska jest sprawa rosyjskiego nacjonalizmu" [20].

Wideologia McŚwiata z łatwością fabrykuje zwodniczą retorykę. Dawni władcy byli gruboskórnymi tyranami, co każdy widział, i nikt nie wątpił, że sprawują władzę bezprawnie. Nowi są niewidzialni, śpiewają uwodzicielskie pieśni rynku, gdzie słowo „wolność" powtarza się w każdym refrenie. Może właśnie dlatego władze Serbii nie tylko tolerują radio B-92, ale i przyznały mu dogodne pasmo czasu w programie publicznej rozgłośni. Kierownictwo rozgłośni nalega, żeby zostawić „dysydentów" w spokoju – w ten sposób rządzący mogą łatwo udowodnić Zachodowi swój rzekomy liberalizm. Ale te same władze zdają sobie zapewne sprawę, że rock naprawdę nie wyrządzi większej szkody ich polityce i imperialistycznemu programowi. MTV wspiera wolność... szczególnego rodzaju. Z pewnością chodzi o swobodę wyboru dóbr konsumpcyjnych, ale czy ma to coś wspólnego ze swobodami obywatelskimi, to już całkiem inna historia. MTV przeprowadza wywiady z Clintonem, sponsoruje kampanię „Rock the Vote" mającą zachęcić młodzież do udziału

w wyborach, ale podobnie jak inni wyjadacze reklamowej branży rozgrywa grę, którą cynicy mogliby wziąć za niezbyt szczerą wersję poprawności politycznej.

Można się spotkać z opinią, że nie należy traktować MTV zbyt poważnie. Zwolennicy tego poglądu ukuli kalambur „empty-V" („pusta TV"). Ich zdaniem jest to bezmyślna muzyka nastolatków, którzy z czasem dorosną i przestawią się na BBC, CNN i NBC. Ale MTV nie tylko ma udział w wideologii McŚwiata, lecz pomaga ją tworzyć. Pewien rosyjski reżyser, zastanawiając się, czy życie kulturalne Hollywoodu jest naprawdę lepsze od sytuacji kultury w reżimie komunistycznym, stwierdza: „Przedtem, jak tylko udało mi się oszukać cenzora, mogłem kręcić film. Teraz muszę sam szukać pieniędzy i materiałów. Pisarz i artysta przestał być szanowanym inżynierem dusz, stał się wytwórcą kulturalnych wartości"[21].

Podstawowym imperatywem McŚwiata jest wytwarzanie kulturalnych wartości niezbędnych dla rozwoju konsumpcji materialnej. Przed trzydziestu laty disneyowskie stworki melodyjnymi głosikami oznajmiały gościom parku tematycznego: „To taki mały świat". Ten coraz mniejszy świat zagłuszany jest dziś przez Beavisa i Butt-heada oraz muzykę heavy metal. Raper wzywający do zabijania policjantów syczy w ucho nastoletniej widowni na całym świecie, jak to fajnie jest wykańczać gliny, kobiety traktować z góry, i że wcale nie trzeba dorastać – przestrzegające zasad politycznej poprawności kierownictwo MTV zapewnia co prawda, że nikt tego poważnie nie traktuje. Jedno jest pewne: MTV to medium wielce złożone, przekazujące zróżnicowane treści. Na poziomie podprogowym oferuje migawki, które kojarzą się z wolnością i pogardą dla autorytetu (przemawiające więc do wszelkiego rodzaju kontestatorów), działa jak katalizator konsumpcji (dlatego MTV jest tak atrakcyjna dla reklamodawców), umacnia tożsamość („my jesteśmy światem") nawet wtedy, gdy podkreśla różnice (Dis – United Colors of Benetton), flirtuje z przemocą, a z seksu robi sport,

niekiedy dość brutalny (kobiety to „laski i dupy", a mężczyźni – maszyny do pieprzenia). Wynosi pod niebiosa młodość, propagując wiecznie infantylny tumiwisizm i życie, które polega na biernym konsumowaniu. Oddziałując bardziej świadomie, angażuje się w powierzchowne, lecz trafiające do przekonania kampanie polityczne, o pozornie liberalnym wydźwięku, choć często kontrkulturowe, czasem kontrowersyjne (jak w przypadku czarnego rapu i stylu hip hop), w gruncie rzeczy jednak równie jałowe jak bezmyślnie tendencyjne słowa najbardziej skandalicznych piosenek[22]. „Rock the Vote" nawołuje, owijając Madonnę w narodową flagę i wzywając młodzież do brania udziału w wyborach. W kampaniach pod hasłami w rodzaju „Live Aid", „Free Your Mind", „Choose or Lose" muzycy rockowi prężą swe niedorozwinięte polityczne mięśnie, propagując sprawy tak oczywiste i ogólne, że nie są w stanie wyrządzić większego zła, choć nic dobrego również z tego nie wynika.

Kontekst polityczny w MTV rzadko wynika z przemyślanych zasad, jest to raczej kwestia estetyki, gustu – nazwijmy to fanaberią w stylu hip hop. Kiedy latem 1993 roku niesforni młodzi nowojorczycy zaczęli ze zdwojoną energią obmacywać dziewczęta w przepełnionych miejskich basenach, burmistrz David Dinkins namówił grupy raperów do wyśpiewywania mało przekonujących kawałków w rodzaju „Don't dis your sis" – „Nie napadaj swojej siostry"[23]. Słowa piosenek mogą równie dobrze propagować miłość jak nienawiść, wychwalać miłość bliźniego lub nawoływać do rzezi, sławić „jeden świat", którym jesteśmy my (*we are the world*), a także budzić paranoiczny strach przed obcymi, glinami, czarnymi, białymi, a nawet Żydami (stary, ulubiony motyw). Kiedy Madonna owijała się w narodową flagę, wzywając młodych do głosowania w rytmie rocka, znany raper z Karaibów nawoływał do wykańczania homoseksualistów, a niemieccy skinheadzi podrygiwali w takt synkopowanej nienawiści do obcych. Popularny raper Dr Dre namawia

swych słuchaczy, żeby się nie wahali przyłożyć czarnuchowi, a równie znany Just-Ice podpowiada chętnej widowni, jak przy pomocy spluwy lub kija baseballowego rozprawiać się z „pedałami i ciotami".

Ale nie chodzi tu w końcu o słowa (konia z rzędem temu, kto potrafi nadążyć i zrozumieć): gansta raperzy wyobrażają sobie, że przy pomocy rocka prowadzą wojnę z oficjalną kulturą. Tymczasem oni sami razem z całym swoim rockiem są własnością oficjalnej kultury i to oni są wykorzystywani. Nie chodzi przecież ani o słowa, ani o muzykę, tylko o obrazy ilustrujące muzykę i o sprzedaż, jaką zapewniają. Na MTV składa się amerykańskie „super" i amerykański „odlot", styl i oddziaływanie, nic tam nie jest dokładnie takie, jak się wydaje: „złe" jest dobre, kochankowie to dranie, zabijanie podnieca, polityka się nie liczy, ale obrazy są polityką. Frank Biondi, dyrektor Viacomu, firmy Redstone'a, która w 1994 roku wygrała walkę o Paramount i jest właścicielką MTV, tak próbuje tłumaczyć: „Będą filmy MTV, towary MTV. Czemu nie? Disney organizuje rejsy po morzu. Może będą też rejsy MTV i specjalne imprezy MTV. Naszą misją jest nawiązanie kontaktu z publicznością, z Pokoleniem MTV. Chcemy mu zaproponować określony punkt widzenia. Po co czytacie «Timesa», skoro te same informacje można znaleźć w sieci komputerowej? Bo interesuje was punkt widzenia, otoczka emocjonalna. My to właśnie sprzedajemy"[24]. Trudno dokładnie ustalić, jaki wpływ na Amerykę czy na setki narodowych kultur w krajach, gdzie młodzież namiętnie ogląda MTV, wywrze to propagowanie muzyki rockowej w otoczce określonej atmosfery. Łatwo potępiać naładowane agresją słowa piosenek, ale w sytuacji, gdy tak wielu muzyków rockowych trafia do policyjnych kartotek pod zarzutem napaści, gwałtu czy nawet morderstwa, to raczej nie te słowa tworzą brutalną rzeczywistość, którą odzwierciedlają lub karykaturują. Kierownictwo MTV z pewnością nie wyobraża sobie, że ich telewizja podsyca anarchię i brutalność – tak wiele przecież

mówią o propagowaniu „wolności, wyzwolenia, twórczości, nieskrępowanej zabawy i nadziei na całkiem inną przyszłość”[25].

Bardzo pożądane byłyby wnikliwe badania muzykologiczne i socjologiczne, bo nie da się zaprzeczyć, że nadawane teksty wywrą określony wpływ, chociaż nie potrafimy przewidzieć, jaki on będzie. Prawdopodobnie pokrzyżuje plany tradycyjnym państwom narodowym, które próbują chronić dobro publiczne czy zachować rodzimą kulturę. MTV nie ubiera się w tyrolskie spodenki ani chłopskie bluzy, nie mówi po serbochorwacku ani po chińsku, nie czci ani Buddy, ani Jezusa, nie troszczy się ani o rodzinę, ani o państwo. Handluje w końcu dolarami, a zysk jest dla niej jedynym sędzią. Rockerzy i raperzy mogą skończyć w więzieniu, ale wytwórnie płyt i stacje kablowe będą nadal zgarniać forsę[26]. Robert Scheer, komentując ostatnią aferę Michaela Jacksona, stwierdził: „nie da się zaprzeczyć, że nie jest on ani chłopcem, ani mężczyzną. To produkt. Przez całe swoje trzydziestopięcioletnie życie – z wyjątkiem pięciu lat – był obiektem agresywnego marketingu prowadzonego przez zachłannych dorosłych, którzy patrzyli przez palce na jego dziwactwa dopóty, dopóki dawały się sprzedawać”[27].

Z wypowiedzi niektórych obserwatorów wynika, że wierzą oni naiwnie w populistyczny z zasady charakter telewizji. Michael J. O'Neil jest żarliwym wyznawcą poglądu, że telewizja stanowi rodzaj „władzy ludu”. Twierdzi z przekonaniem: „Mężowie stanu nie kontrolują już politycznej sceny, to scena ich kontroluje”. Tak jego zdaniem być powinno[28]. Ale niebezpiecznym złudzeniem jest wiara w to, że „lud” uzyskał władzę nad telewizją, ponieważ państwo ją straciło. Silvio Berlusconi doszedł do władzy we Włoszech dzięki kontroli nad medialnym monopolem, poprzez który mógł sprzedawać „cuda i sny” i udawać, że jest populistą[29]. Ale układ był jasny: to nie lud rządził Berlusconim, ale Berlusconi rządził ludem. Nie Berlusconi kierował telewizją, lecz ona nim

kierowała i w końcu obaliła go równie bezdusznie, jak wyniosła do władzy. W Ameryce często się zdarza, że telewizja robi politykę. Jedno ujęcie, przedstawiające sponiewierane zwłoki amerykańskiego żołnierza w Somalii, doprowadziło do wycofania się Amerykanów z tego kraju, a Pentagon za wszelką cenę stara się unikać strat w ludziach nie tylko z powodu nadal trwającego urazu z czasów wojny w Wietnamie, ale i z obawy przed mediami. Żadna abstrakcyjna doktryna, żadna polityka powstrzymywania, demokracja, antykomunizm czy nawet imperializm nie wytrzymają konfrontacji z utrwalonym na taśmie filmowej obrazem umierającego amerykańskiego chłopca.

Niektórzy mogliby stwierdzić, że działa to w interesie pokoju, a przynajmniej zwykłych ludzi, bo telewizja prezentuje przecież ich punkt widzenia. Tymczasem telewizja nie przedstawia żadnych innych obrazów niż swoje własne. Jeśli jest tak, jak napisał Gore Vidal w swojej wspaniałej historii kina, że „historię tworzy ten, kto ją przenosi na ekran", władza należeć będzie nie do tych, których historia pojawia się na ekranie, ale do tych, którzy ją filmują [30]. Środek przekazu ma własny program określany przez wideologię Hollyworld i korporacyjne bilansy McŚwiata. Trupy Amerykanów pokazuje nie po to, by tworzyć historię czy wpływać na amerykańską politykę zagraniczną, ale żeby sprzedawać czas reklamowy i utrzymywać widzów przed ekranem. „Telewizji chodzi głównie o jedno – pisze krytyk Mark Crispin Miller – żeby ludzie cały czas ją oglądali". Dlatego stara się „zapuszkować" widzów, zastępując otaczającą ich rzeczywistość swoją własną [31]. Jest jak przypływ zalewający równinę: woda pokrywa wszystko, a choć morze, jakie w rezultacie powstało, jest płytkie, można też odnaleźć tradycyjne elementy krajobrazu, jak drzewa gazet, wieże książek i wiele przyciągających oko dachów słowa drukowanego, miliony ludzi tracą orientację i pogrążają się w migoczących obrazkach. Nikt tego nie zauważa, a już najmniej oni sami. Wiadomo,

że dzieci mogą się utopić w wodzie o głębokości kilkunastu centymetrów. Płycizny telewizji są jeszcze bardziej zgubne.

Państwa uznały niegdyś znaczenie telewizji jako narzędzia propagandy, socjalizacji i wychowania obywatelskiego (Berlusconi, Murdochowie i Turnerowie McŚwiata nadal to uznają). Na początku prawodawcy mówili o „publicznym eterze" i próbowali regulować „publiczne nadawanie". Państwo miało monopol na telewizję nie tylko w krajach komunistycznych, ale i w wielu demokracjach Zachodu. Uważano bowiem, że jej potencjalny wpływ, pozytywny lub negatywny, jest zbyt znaczący, by pozostawiać to sektorowi prywatnemu. Ten ostatni bowiem reprezentuje sobą niewiele więcej poza obsesyjną żądzą zysku oraz koszmarnie złym gustem, przedstawianym jako zaspokajanie upodobań szerokiej publiczności. W Stanach Zjednoczonych wydano w 1934 roku federalną ustawę o łączności (Federal Communication Act), na mocy której powołano Federalną Komisję Łączności (FCC). Opracowywano zasady bezstronności, dostępu, odpowiedzialności społecznej (obowiązek programowania dzienników informacyjnych). Federalna Komisja Łączności miała w założeniu prawodawców „badać nowe możliwości zastosowania radia, zapewniać eksperymentalne korzystanie z częstotliwości i popierać jak najszersze i najbardziej skuteczne wykorzystywanie radia w publicznym interesie".

Mało dziś wskazuje na to, żeby ktokolwiek, a już zwłaszcza rząd federalny, miał zamiar popierać jak najszersze i najskuteczniejsze wykorzystywanie kabli, satelitów, światłowodów, komputerów i banków danych w publicznym interesie. Eksplozja mediów stworzyła dla rządu dogodną wymówkę, zwalniając go od brudnej roboty. Chociaż wiceprezydent Al Gore próbował swojego czasu wzbudzić zainteresowanie nowymi technologiami w kontekście spraw obywatelskich, władze federalne, które kiedyś nawoływałyby do podjęcia działań przeciwko

trustom, przymykają oko na powstawanie nowych monopoli skupiających środki masowego przekazu. Dawne przepisy brały pod uwagę ograniczoną liczbę dostępnych częstotliwości i kanałów transmisyjnych, ale niesamowity rozwój środków telekomunikacji – światłowodów, które mogą przekazywać miliony bitów zdigitalizowanych informacji i obrazów, systemów kablowych o pojemności setek kanałów, satelitów – wraz z naszą aktualną namiętnością, jaką żywimy dla prywatyzacji i wolnego rynku sprawił, że samo pojęcie publicznej regulacji straciło sens. Doszło do tego, że nie jesteśmy w stanie wykorzystać telewizji, głównego wynalazku McŚwiata, do obrony naszej tożsamości i dobra publicznego przed wartościami tegoż McŚwiata. A nawet kiedy chcemy użyć publicznych częstotliwości do publicznych celów politycznych (wybory) musimy zapłacić miliony dolarów prywatnym firmom, którym udzieliliśmy koncesji. Kenichi Ohmae, najsłynniejszy japoński guru od zarządzania, najpełniej wyraża sens wideologii, kiedy z przekonaniem mówi o „władzy konsumentów, którzy potrafią pokonać człowieka-kontrolera, bo właśnie kontrolerów powinniśmy się obawiać"[32].

Kilka krajów próbuje zachować pewną kontrolę nad radiem i telewizją, ale przy różnicowaniu się technologii wspierających nowe media mają niewiele szans. Kiedy miejsce fal eteru i kabli zajmują faksy komputerowe, linie telefoniczne i satelity, samo pojęcie państwowej (a co dopiero „totalitarnej") kontroli traci wszelki sens. Amerykański Kongres grozi ostatnio sprywatyzowaniem lub likwidacją publicznej telewizji. Teoretycznie wygląda to na godne pochwały posunięcie: podkopując monopol państwa, wolny rynek kładzie kres monopolowi w ogóle. W praktyce eliminuje monopol publiczny, a wraz z nim możliwość rozliczania i odpowiedzialność przed społeczeństwem. Tymczasem sprawa wygląda tak, że na polu walki pozostają nowi, niewidzialni prywatni monopoliści, których, w odróżnieniu od państwa, nie można rozliczyć

nawet w teorii, a cóż dopiero w praktyce. Monopoliści, o których mowa, stają się ostatnio coraz bardziej widoczni: są to kompanie, które niegdyś działały w odrębnych dziedzinach, jak tworzenie programów (*software*), ich rozpowszechnianie (sieci i stacje telewizyjne), techniczne środki łączności (kable, telefony, satelity) i sprzęt (produkcja telewizorów i komputerów). Teraz pożerają się wzajemnie. News Corporation Ruperta Murdocha ma siedzibę w Sydney, ale jest właścicielem rozmieszczonych na całym świecie firm związanych z mediami i usługami. W samych Stanach Zjednoczonych do Murdocha należą: Fox Television, Fox Video, magazyn „New York", TV Guide, wydawnictwo HarperCollins Publishers, sieć Delphi Internet Services, wydawnictwo oświatowe Scott Foresman, przedsiębiorstwo usług informatycznych News and Electronics Data, korporacja Kesmai produkująca gry telewizyjne, Etak Inc., firma kartograficzna Digital, magazyn mody „Mirabella", dziesiątki gazet i stacji telewizyjnych. W innych krajach własnością koncernu są między innymi: londyński szacowny „The Times" i brukowy „The Sun", lotnicze linie towarowe Ansett Transport, angielska telewizja satelitarna B Sky B, azjatycka sieć satelitarna Star TV, o której już była mowa, przedsiębiorstwo kartograficzne Geographia Ltd, a także Fox Video w Hiszpanii, Japonii, Francji, Niemczech, Nowej Zelandii i Australii. News Corporation, jedna firma jednego człowieka, to cały telesektor inforozrywkowy sam w sobie.

W myśl teorii wolnego rynku, z rozmontowaniem państwowego monopolu w dziedzinie środków przekazu znika monopol, a interes publiczny pozostaje. W rzeczywistości oznacza to koniec dbałości o interes publiczny i utrwalenie monopolu w nowej postaci, prywatnej, a więc nie odpowiadającej przed nikim. Zysk jako taki nie jest niczym złym. Jako siła napędowa kapitalizmu przynosi korzyści udziałowcom, konsumentom i całemu społeczeństwu. Okazało się jednak, że sprawuje władzę nie mniej

dyktatorską, a znacznie mniej ożywianą duchem dobra publicznego niż państwo. Narzuca swoją własną uniformizację, ukrytą jednak za zasłoną wolnorynkowej konkurencji. Mało kto potrafi rozpoznać, a tym bardziej odczuć globalny wpływ Murdocha. Hegemonia Hollywoodu może być nawet przyjemna, na pewno bardziej niż rządy Stalina, Denga czy Honeckera, ale pochodzące stamtąd wzorce bywają równie ponure w swej jednolitości jak socrealistyczne pomniki. Seks i przemoc, ta wspólna waluta nie znającego przymusu (choć pracowicie manipulowanego) prywatnego rynku mediów, dewaluuje się równie szybko, jak zielone banknoty drukowane przez państwo, które wyzbyło się złotej waluty. Utwory poetów-dysydentów publikowano w komunistycznym Związku Radzieckim potajemnie i czytano w niewielkim gronie znajomych. W kapitalistycznej Rosji wierszy dysydentów nie wydaje się w ogóle, częściowo dlatego, że pojęcie „dysydent" straciło znaczenie, ale przede wszystkim dlatego, że poezja nie przynosi zysku i nie może konkurować ze Stephenem Kingiem. Francuski politolog Dominique Moisi biadał nad Francją: „coraz mniej mamy Francji za granicą i coraz więcej zagranicy we Francji" [33]. Słowa te można odnieść do całego świata.

Programy telewizyjne i komputerowe zaczynają być przekazywane po drutach telefonicznych, które z kolei zastępowane są przez światłowody albo łącza komutowane o ogromnej przepustowości, dzięki czemu staromodna sieć telefoniczna może obsługiwać coraz intensywniejszy ruch w obie strony. Umożliwi to producentom oprogramowania jeszcze szerszy dostęp do odbiorców na całym świecie [34]. Chcą stworzyć interaktywną, holograficzną sieć wirtualną przekazującą komputerowo ulepszone dźwięki i obrazy, poprzez którą każdy mieszkaniec naszej planety będzie mógł się łączyć z każdym innym, zostanie także podłączony do każdej firmy, która miałaby mu coś do powiedzenia albo do sprzedania. Mogą to być dobra trwałe, usługi, informacje, rozrywka czy wyraźne politycz-

ne przesłanie, choć w wideologii McŚwiata rozrywka *jest* przesłaniem politycznym. Czy w ten sposób poszerzą się możliwości wyboru? Pomnożenie dróg dostępu i zróżnicowanie systemów transmisji nie musi być równoznaczne z różnorodnością produktów czy programów. Może oznaczać tysiąc nowych sposobów promocji i sprzedaży jednego uniwersalnego produktu – coca-coli, Simpsonów (tu można wybierać między rodziną a niejakim O.J.), Michaela Jacksona czy kandydata na urząd prezydenta.

Jeszcze zanim QVC podjął daremną próbę przejęcia Paramount Pictures, a Internet umożliwił zakupy przez komputer, zmniejszył się wydatnie dystans między wytwórnią Paramount a Home Shopping Network. Widzowie mający do dyspozycji 500 kanałów niekoniecznie czują się bardziej wolni od tych, co mają dostęp do 50 albo 5. Ta sama co zawsze garstka dostarczycieli programów nie gwarantuje większego zróżnicowania, tylko odmienny i o wiele wydajniejszy monopol i radykalną segmentację tego, co jeszcze pozostanie z tych samych dawnych rynków. A więc będziemy mieli amerykańską pop kulturę zamiast indonezyjskiej, politykę globalną kształtowaną przez rynek zamiast francuskiej polityki państwowej kształtowanej przez technokratów, nieoficjalną estetykę MTV zamiast oficjalnej indyjskiej polityki kulturalnej. Różnice te, wbudowane w specjalne ukierunkowane programowanie polegające na tworzeniu coraz to nowych kanałów, podzielą widzów na poszczególne segmenty rynku: odbiorców kanału dla sportowców i kanału dla kanapowych leni, dla akcjonariuszy pochodzenia latynoskiego i dla Żydów inwestujących w złoto, dla homoseksualistów – zwolenników Partii Republikańskiej i dla Demokratów – palaczy.

Nie rodzimy się z umiejętnością wybierania, lecz ją nabywamy. Aby wolny rynek oferował prawdziwy wybór, konsumentów trzeba nauczyć sztuki wybierania i przedstawić im prawdziwie zróżnicowany program, a nie tylko różne możliwości zakupów. Strategia, jaką posługuje się

McŚwiat przy tworzeniu globalnego rynku, polega w znacznej mierze na systematycznym eliminowaniu wszelkiej autonomii konsumenta czy też kosztownego zróżnicowania programowej oferty. Jednocześnie stwarza się pozór nieograniczonej różnorodności. Sprzedaż zależy od ustalonych gustów (ustalanych przez sprzedającego) i ukierunkowanych (też przez niego) pragnień. Koncern produkujący colę, jak się już przekonaliśmy, nie może sobie pozwolić na zachęcanie Indonezyjczyków do picia herbaty. Na tej samej zasadzie Fox Television nie będzie propagować spędzania wieczorów w czytelni i wypożyczania, a nie kupowania książek, a Paramount, choć jest właścicielem wydawnictwa Simon & Schuster, w ogóle nie jest zainteresowany rozwojem czytelnictwa, chyba że w grę wchodzą książkowe wersje filmów nakręconych przez tę wytwórnię. Disneyland, choć tyle w nim plastikowych katedr, nie może sobie pozwolić na zachęcanie nastolatków do spędzania weekendów w synagodze, kościele czy meczecie, gdzie będą prosić Boga, by dał im siłę do zmiany stylu życia na mniej materialistyczny, z daleka od parków tematycznych i filmów. Można wybrać produkt innego wytwórcy i zapewnić mu zysk (i na tym polega zróżnicowanie), w żadnym wypadku jednak nie wolno *nie* wybrać żadnego produktu i nie zapewnić zysku nikomu.

Kiedy Channel One wprowadza telewizyjną reklamę do szkoły, nauczyciele mogą być pewni, że nie chodzi o dostarczenie pomocy audiowizualnej do wyrabiania w uczniach krytycznego myślenia [35]. Bez skomasowanego wysiłku pedagogów telewizja raczej nie będzie zachęcać do uczenia się: umiejętniej unicestwia zdolność do krytycyzmu, niż ją rozwija. Konsumpcyjne nastawienie nie idzie w parze z zainteresowaniem sprawami publicznymi, które mogłoby podkopać podstawy McŚwiata. Telewizja uwikłana w komercję dostrzega w dzieciach wyłącznie przyszłych konsumentów, a nie ludzi samodzielnie myślących i obywateli [36].

Nie ma co liczyć na to, że edukacja wygra kiedykolwiek w „wolnorynkowej" rywalizacji z rozrywką. To, co „trudne", nie może przecież konkurować na równej stopie z tym, co „łatwe", a dla ludzi nie wdrożonych w dyscyplinę uczenia się „swoboda" zawsze będzie utożsamiać się z tym, co łatwe. Pewnie dlatego Tocqueville twierdził, że wolność jest rzemiosłem wymagającym największego wysiłku. Aby dorosnąć i w pełni się zrealizować musimy wyrobić w sobie pewne cechy, do czego niezbędne są normy moralne, odpowiednie wychowanie i poczucie dobra publicznego. Konsumpcja nie wymaga od nas pracy nad sobą, bierze nas takimi, jacy jesteśmy, im bardziej chciwi i zachłanni, tym lepiej. Proces kształcenia ogranicza wrodzone impulsy, zachłanności przeciwstawia poczucie wspólnoty i wyższego dobra, będącego udziałem wszystkich. Władze federalne i stanowe odpowiedzialne za szkolnictwo publiczne brały kiedyś na siebie (w dawnych czasach, kiedy „oni" równało się „my") obowiązek równoważenia wpływów rynku i dbania o lepszą stronę naszej istoty. W dzisiejszych czasach rynek zaczął zagrażać szkolnictwu publicznemu. Ten smutny stan rzeczy nie jest dziełem żadnych złoczyńców ani tępych prostaków. Aż za bardzo naturalnie wyrasta z kultury McŚwiata w epoce zmierzchu państw narodowych, kiedy rządy przestały bronić dobra publicznego, a nawet uznawać to pojęcie.

8
Teleliteratura i parki tematyczne McŚwiata

Książki są dziś reliktem zanikającej powoli kultury słowa, tej wartości, bez której demokracja nie może się obejść. Stanowią chwiejący się ostatni szaniec obrony przed nowym światem obrazów, migających na ekranach z szybkością, która nie pozostawia czasu na żadne refleksje. Demokracja zaś wymaga czasu, jak dobra książka. Cierpliwość to jej najmniej dostrzegana, ale najbardziej chyba nieodzowna zaleta. Telewizja i komputery są szybkie, szybkie, coraz szybsze, a więc z samego założenia wrogie niemrawemu tempu rozważnych przemyśleń, na których powinny się opierać wszelkie debaty i podejmowanie decyzji mających na względzie dobro publiczne. Szybkie jak światło medium, jakim jest telewizja, trudno wykorzystać do celów wychowania obywatelskiego z tego między innymi powodu, że telewizja chce wciąż lecieć dalej, a wychowanie to proces niezmiernie powolny, obciążony nudnym brzemieniem rozważnej pedagogiki. Procesu tego nie da się obserwować na bieżąco, chyba że uczenie się i dojrzewanie uznamy za cel. Telewizja edukacyjna to sprzeczność sama w sobie[1]. Gdzie więc w naszym chaotycznym wideolandzie jest miejsce na książkę? Nigdzie – chyba że pozwoli się ona zasymilować i przekształcić w jeszcze jeden gatunek spełniający wymogi inforozrywkowego telesektora i komercyjnej kultury. Wtedy nazwiemy ją teleliteraturą.

Asymilacja taka oznacza dla wydawców modyfikację (czytaj: skundlenie) ich produktu za pomocą tych samych technologii, które wypierają zawód wydawcy i drukarza. Szczególnie zagraża to samej formie książki. TECHNOLOGIA NIESIE ZAGŁADĘ ŚWIATU PODRĘCZNIKÓW AKADEMICKICH krzyczy wielki tytuł w „Wall Street Journal", gdzie możemy wyczytać ponurą przestrogę: „Jeśli wydawcy podręczników nie obudzą się wreszcie i nie nauczą wytwarzać, promować i rozpowszechniać innych produktów poza książką, stracą nieodwołalnie grunt pod nogami"[2]. Stowarzyszenie Autorów (*the Authors Guild*) przejęło się wystarczająco, by ostrzec swych członków. W „Stanowisku na temat praw autorskich w przypadku publikacji elektronicznych" oznajmia, co następuje: „technika wydawnicza ulega szybkim zmianom i dzieło pisarza może być dzisiaj udostępnione w wielu formach: w bazie danych, na CD-ROM, na interaktywnym CD-ROM. Nowe wynalazki ułatwiają łączenie publicystyki, literatury, sztuki, fotografii, muzyki, filmu i wideo w multimedialnych i interaktywnych formach". Produkcja takich form kosztuje o wiele mniej niż tradycyjne wydawanie książek, dodaje Stowarzyszenie[3].

Producenci płyt kompaktowych wolą, rzecz jasna, nie płacić tantiem autorskich. Firma Bureau Development zebrała setki fragmentów starych, często okrojonych i niedbale opracowanych wydań klasyki literackiej, do których prawa autorskie wygasły, i umieszcza je na CD-ROM pod tytułem „Wielka literatura". Postmodernistyczny czytelnik klasyki musi mieć „komputer PC lub kompatybilny z napędem CD-ROM odpowiadającym standardowi ISO-9660, z interface, kablem i oprogramowaniem, wersja Microsoft Extension 2.0 lub późniejsza, minimum 640K RAM i DOS 3.1 lub nowszy". Trochę to bardziej skomplikowane niż otwarcie książki, ale kiedy już się dysponuje takim sprzętem „można odtworzyć «Wielką Literaturę» bezpośrednio z CD-ROM. Wystarczy uruchomić napęd CD-ROM i wpisać LIT"[4]. „Wielka

Literatura" w elektronicznym wydaniu może być równie mało czytana jak oprawione w sztuczną skórę dzieła stanowiące od tylu lat dekorację domów, w których namiętnie ogląda się telewizję, a niczego się nie czyta. Zapisywanie książek na CD-ROM nie musi też zmieniać ich treści, tak jak podręczniki na wideokasetach przekazują to samo, tylko że nie słowami.

Ale kiedy stare i nowe książki zostaną już przeniesione na CD-ROM, znajdują się pod taką samą presją sprzymierzonych technologii. Meg Cox pisze w „Wall Street Journal", że multimedia nie tylko zastępują podręczniki, ale będą coraz szerzej wkraczać do bibliotek, „łącząc słowa z dźwiękiem i animacją"[5]. Opracowana przez Bureau Development podręczna biblioteka na CD-ROM zawiera elementy audiowizualne, które z wielkich dzieł literatury światowej czynią istne widowiska w stylu „światło i dźwięk". Kiedy książka zostaje podporządkowana projektowi multimedialnemu, a słowom towarzyszą miłe obrazki, zagrożona jest kultura słowa drukowanego.

Obecna sytuacja książki w McŚwiecie uczy nas, do jakich zgubnych skutków prowadzi zapuszczanie się producentów obrazów w świat słowa drukowanego i dalej, w świat demokracji. Kiedy pozwalamy Chrisowi Whittle'owi zamieszczać reklamy w książkach, a telewizję (z reklamami) wpuszczamy do szkół publicznych, nie służy to upowszechnianiu czytelnictwa ani kształceniu gustów literackich. Kiedy jedno zdjęcie zmasakrowanych zwłok żołnierza zastępuje wyważony dyskurs w debacie o priorytetach polityki zagranicznej, pojawia się niebezpieczeństwo dla demokracji, która polega przecież na dyskusji i naradzaniu się.

Telewizja i film nie rugują książek całkowicie, raczej na nich pasożytują. Zamiast przejmować wartości literackie na swój użytek, telewizja pozbawia książki takich wartości. Howard Stern i Rush Limbaugh „piszą" bestsellery będące rozwinięciem ich radiowych i telewizyjnych programów. Czytanie staje się nową formą plotkowania – weźmy chociażby „książkę" O.J. Simpsona, która po-

wstała na kanwie procesu o morderstwo pokazywanego w telewizji. Przy niewielkiej liczbie czytelników sztuka polega na tym, żeby wydawać książki, które kupią ludzie, co nigdy książek nie czytają. Nieważne, czy zajrzą do nich, czy też nie. W McŚwiecie chodzi o to, żeby produkt został kupiony, a to, czy będzie wykorzystany, nie ma już takiego znaczenia. Wielu produktów wcale przecież nie potrzebujemy.

Wobec istnego potopu popularnych poradników, sprzedających się aż za dobrze, „The New York Times Book Review" przestał je umieszczać na liście bestsellerów, wyparły z niej bowiem „prawdziwe" książki. Ale na miejsce poradników nie wkroczyły prawdziwe książki, lecz szczególna kategoria powieści, jawnie obliczonych na wspieranie biznesu filmowego. Jesienią 1993 roku w pierwszej dziesiątce beletrystyki „The New York Timesa" figurowało 7 thrillerów, które posłużyły jako filmowe scenariusze, pióra dwóch autorów, Michaela Crichtona i Johna Grishama. Ich poprzednie książki to zarazem hollywoodzkie superhity: *Firma* i *Park jurajski.* W 1994 roku obaj sprzedali Hollywoodowi za miliony dolarów swoje nie napisane jeszcze (cóż dopiero mówić o wydaniu) książki.

Kryminały i thrillery, na których podstawie powstawały filmy, od dawna widniały na listach bestsellerów, ale medialne kazirodztwo rozpowszechniło się jeszcze bardziej, obejmując także literaturę faktu. Na liście „The New York Timesa" z 28 listopada 1993 roku w pierwszej piętnastce literatury faktu mamy 5 książek tak związanych z mediami, w tym „dzieła" konserwatysty Rusha Limbaugha, gwiazdy brukowych stacji radiowych Howarda Sterna i aktora komediowego Jerry'ego Seinfelda (odpowiednio – pierwsze, drugie i czwarte miejsce). Dziewiąte miejsce zajmują *Star Trek Memories* Williama Shatnera, a piętnaste – pamiętniki Michaela Jordana *Rare Air*. Tak się przedstawia lista książek w twardej oprawie, natomiast wśród bestsellerów w miękkiej oprawie pamiętniki Jordana zajęły drugie miejsce, za wcześniejszą

książką Limbaugha. Limbaugh znalazł się więc w czołówce obu list. W tym samym tygodniu czwarte miejsce na liście poradników zajmował komiks *MTV's Beavis and Butt – head*, oparty na serialu nadawanym w MTV (który z powodu banalnego okrucieństwa i infantylnej bezmyślności został przesunięty z pory najlepszej oglądalności na późniejsze godziny). Tak zawsze wybredny „The New York Times" nie tylko relacjonował ten spektakl miernoty, ale wziął w nim udział, zamieszczając w codziennych i niedzielnych wydaniach recenzje z pornograficznych wynurzeń Howarda Sterna (w ciągu kilku tygodni książka osiągnęła nakład ponad miliona egzemplarzy, jest to chyba najlepiej sprzedająca się pozycja w historii ruchu wydawniczego). Recenzenci okazali się zadziwiająco uprzejmi, jakby mieli do czynienia z trochę tylko szokującym, ale nie budzącym niesmaku dziełem epoki postmodernistycznego sceptycyzmu, które wyszło spod pióra uroczego ekscentryka, istnego Oscara Wilde'a fal ultrakrótkich[6]. Sam Howard Stern przekonał się, jak lękliwy jest rynek „literacki". Wyznał swoim słuchaczom, że sztukę radiową opanował do mistrzostwa, a wszystko, czego się dowiedział o książkach i wydawcach przekonało go, że łatwo tych ostatnich zrobić w balona. I tak się w istocie okazało. Literatura będąca przyczółkiem McŚwiata to teren wcale nietrudny do zdobycia przez typów tak bezczelnych jak Stern czy tak zarozumiałych jak Limbaugh.

Pisarze i sławni ludzie (a sedno w tym, że różnica między nimi zanika)[7] liczą się dla McŚwiata jako strawa zaspokajająca nienasycony apetyt telewizji i filmu, które łakną wciąż nowych „historii", intryg, bohaterów, dziwaków i nadających się do sprzedania skandali z „prawdziwego życia". Dlatego Viacom i QVC chcąc przejąć Paramount zasadzały się także na wydawnictwo Simon & Schuster, a niemiecki moloch wydawniczy Bertelsmann kupił drapacz chmur przy Times Square, w nowojorskim centrum rozrywki i obrazu. Dlatego robi się filmy już nie

tylko o zwycięzcach wyborów, ale i o personelu, który za kulisami nakręca ich karierę (*The War Room*, o barwnej roli Jamesa Carville'a w kampanii wyborczej Clintona) i stają się one kultowymi hitami. Norman Ornstein, rozważny i umiarkowany konserwatywny komentator polityczny z Waszyngtonu, stwierdza: „Ostatnio zacierają się granice między Hollywoodem, Nowym Jorkiem i Waszyngtonem – nie wiadomo, kim tak naprawdę są sławni ludzie. Aktorzy bawią się w osobistości polityczne, politycy bawią się w aktorów. W moim przekonaniu ani jedno, ani drugie nie jest szczególnie zdrowe dla demokracji"[8].

Inwazja amerykańskiej książki przypomina to, co się dzieje z filmem i telewizją. Bestsellery czytane w Rosji, Szwajcarii, Brazylii, Anglii i Holandii, tak jak najbardziej kasowe filmy, są wyłącznie amerykańskie. Wśród publikacji czołowego holenderskiego wydawnictwa Der Boekerij 90 procent stanowią przekłady, prawie wszystkie to tłumaczenia amerykańskich książek. Bez najmniejszego skrępowania wydawca przebył długą drogę od Anny Frank do Amy Fisher. Pamiętnik tej ostatniej, „zabójczej Lolity", znalazł się pod koniec 1993 roku na pierwszym miejscu listy bestsellerów[9].

W Europie Wschodniej i w Rosji perspektywy literatury rysują się jeszcze bardziej ponuro. Realizm socjalistyczny stanowił wyzwanie, dzięki któremu narodziła się znakomita literatura opozycyjna. Realizm komercyjny podlega wyłącznie przemożnej potędze rynku. Jak stwierdza pewien rosyjski komentator: „wydawcy, zarówno starzy, uwolnieni spod jarzma polityki partyjnej, jak i nowi, prywatni, nie szukają wybitnych i oryginalnych tekstów. Potrzebny im jest towar, który będzie się dobrze sprzedawał"[10]. Półki w księgarniach uginają się pod pirackimi tłumaczeniami science fiction, kryminałów i literatury erotycznej, które wypierają rodzimą książkę, z wyjątkiem imitacji zachodnich poradników, w rodzaju *Jak smacznie i zdrowo żywić rodzinę* albo *Seks w życiu kobiety*. Nowe wydawnictwa wyrastają jak grzyby po deszczu,

korzystając z gospodarczej anarchii (przez kilka ostatnich lat powstało ich kilkaset), ale czytelnictwo zamiera, a czytelnicze gusta pogarszają się wprost proporcjonalnie do rozwoju rynku. Bodźce, jakie oferuje komercja, mają dla literatury bardziej niszczycielskie skutki niż niegdysiejsze zakazy cenzury. To prawda, że niezmiernie ciężko było żyć i w Rosji carów, i w Rosji komisarzy, ale represje w pewien sposób wzbogacały duszę. Jean-Paul Sartre powiedział kiedyś, że nigdy nie czuł się tak wolny, jak pod hitlerowską okupacją. Literatura powstająca w opozycji ma jakiś cel, w warunkach rynku musi ubiegać się o dolary, schlebiać przeciętnym gustom i gwarantować wydawcom odpowiednie zyski. Dawne sowieckie ministerstwo kultury stało się za prezydentury Jelcyna ministerstwem kultury i turystyki.

W byłej NRD pewien hurtownik z Lipska zareagował na nadejście wolnego rynku spaleniem 10 mln egzemplarzy tanich książek wydanych za dawnego reżimu. Były wśród nich dzieła ówczesnych dysydentów, Stefana Heyma i Christy Wolf (która uciekła do Malibu, sądząc być może, iż lepiej dobrowolnie rzucić się w objęcia McŚwiata niż zostać porwaną wbrew swojej woli). W świetle wideologii McŚwiata palenie książek dyktowane względami handlowymi (w krajach Zachodu nie sprzedane książki w miękkich okładkach oddaje się na przemiał) nie ma nic wspólnego z ich paleniem w ramach represji politycznych (co w latach trzydziestych robili hitlerowcy), ale autorom i czytelnikom nie tak łatwo dostrzec różnicę, dla kultury literackiej zaś to, co stało się w Lipsku w roku 1991, może się okazać bardziej złowieszcze niż wydarzenia z roku 1934. Bertold Brecht w wierszu *Palenie książek* z właściwą sobie ironią zwraca się do podpalaczy: „Spalcie mnie! Nie możecie mi wyrządzić takiej krzywdy!"*. Ale czy dzisiejszemu autorowi przyszłoby na myśl, by dla zachowania twarzy prosić o wrzucenie jego książek w ogień, który

* Przekład Roberta Stillera.

rozpalono, by podnieść ich cenę? Smutnym postscriptum do tego, co stało się w Lipsku, była decyzja Towarzystwa Literackiego z Getyngi, które przyznało swoją doroczną nagrodę pastorowi Martinowi Weskottowi. Uratował on pół miliona książek przed „oddaniem na przemiał i wyrzuceniem na śmietnik", sprzedał je na aukcjach dobroczynnych, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze przeznaczył na akcję „Chleb dla świata"[11]. Miecze na lemiesze, a książki na chleb.

Ruch wydawniczy naśladuje nie tylko metody dystrybucji typowe dla przemysłu filmowego. Równie ochoczo imituje jego praktyki monopolistyczne. Warunkiem swobody i demokracji jest konkurencja idei i zróżnicowanie środków przekazu, tymczasem od lat sześćdziesiątych nieustannie zmniejsza się liczba wielkich wydawnictw prasowych i książkowych, są coraz mniej zróżnicowane, a powstające monopole ogarniają cały świat. Ben Bagdikian od lat śledzi tendencje do łączenia się mediów, a jego zestawienia statystyczne jednoznacznie potwierdzają nasilającą się koncentrację[12]. Po II wojnie światowej 80 procent amerykańskich gazet było niezależnych, w 1989 roku 80 procent znajdowało się w posiadaniu wielkich korporacji. W 1981 roku 20 korporacji kontrolowało ponad połowę z 11 000 czasopism o ogólnokrajowym zasięgu, w roku 1988 z dwudziestu pozostały 3[13]. Według ocen Bagdikiana 23 korporacje kontrolują większość biznesu wydawniczego, prasowego i filmowego[14]. Oto ich lista:

1. Bertelsmann, A.G. (książki)
2. Capital Cities/ABC (gazety, radio i TV)
3. Cox Communications (gazety)
4. CBS (radio i TV)
5. Buena Vista Films (Disney, filmy)
6. Dow Jones (gazety)
7. Gannet (gazety)
8. General Electric (telewizja)

9. Paramount Communications (książki, filmy)
10. Harcourt Brace Jovanovich (książki)
11. Hearst (gazety, czasopisma)
12. Ingersoll (gazety)
13. International Thomson (gazety)
14. Knight Ridder (gazety)
15. Media News Group (Singleton; gazety)
16. Newhouse (gazety, książki, czasopisma)
17. News Corporation Ltd (Murdoch; gazety, czasopisma, filmy)
18. New York Times (gazety)
19. Reader's Digest Association (książki)
20. Scripps-Howard (gazety)
21. Time Warner (czasopisma, książki, filmy)
22. Times Mirror (gazety)
23. Tribune Company (czasopisma).

Proces integracji odbywa się zarówno w pionie, jak i w poziomie, chodzi o to, by pogłębić stan posiadania i poszerzyć wpływy. Producent filmów kupuje wydawnictwa, parki tematyczne i zespoły sportowe (na tej zasadzie wytwórnia Paramount nabyła wydawnictwo Simon & Schuster, Viacom kupił Paramount). Producent sprzętu kupuje wytwórnię oprogramowania (Sony wchłonęła Columbię). Właściciel stacji telewizyjnych nabywa filmoteki (Turner zagarnął zbiory MGM). Firma telekomunikacyjna kupuje oprogramowanie. Nie chodzi o wyeliminowanie konkurentów, którzy mogliby zarabiać na tym samym, co dana firma: kupuje się wszystkich ludzi, którzy zajmują się czymś zupełnie innym, ale mającym związek z jej biznesem. Jeśli kontrolujesz łącza telefoniczne, zdobądź oprogramowanie, które będzie po tych łączach wędrowało. Jak masz studio filmowe, nabądź stację telewizji satelitarnej, by kontrolować prawa do nadawania. Jeśli masz wydawnictwo prasowe, kup sieci kablowe i satelitarne, a będziesz rządzić wiadomościami nadawanymi przez wszystkie media. Jeśli produkujesz filmy, kup wydawni-

ctwo, a uzyskasz wpływ na pisarzy. Jeśli działasz na własną rękę, stwórz nowego molocha, wzorem niech będą dla ciebie Steven Spielberg, najbardziej wzięty reżyser na świecie, Jeffrey Katzenberg, bogaty i potężny producent filmowy, który niedawno rozstał się z Disneyem, i miliarder David Geffen, właściciel wytwórni płyt. Wejdź w spółkę, wyczaruj trochę synergii: zawrzyj kontrakt z Billem Gatesem, szefem Microsoft, na wytwarzanie interaktywnych multimedialnych produktów służących rozrywce. Namów Gatesa na zainwestowanie pół miliarda dolarów i nazwij waszą spółkę *joint venture* „Dreamworks" – „Wytwórnia Snów" (jakżeby inaczej?). Prasa porównywała kontrakt zawarty przez ten triumwirat do przedsięwzięcia Mary Pickford i jej przyjaciół, którzy sześćdziesiąt lat temu powołali do życia United Artists. Byłoby to jednak porównywanie floty wojennej do dzieciaków na łódce uzbrojonych w pistolety na kapiszony. Bliższe prawdy było przejęzyczenie Stevena Spielberga, który oświadczył, że powołuje do życia „nowy kraj"[15].

Sceptycy, mając przed oczami niepowodzenia Sony i Matsushity w biznesie filmowym, będą się upierać, że dla niezależności produkcji artystycznej tożsamość właściciela nie ma znaczenia. Taką opinię wygłosił Richard Snyder, długoletni dyrektor wydawnictwa Simon & Schuster, kiedy patronująca mu wytwórnia Paramount została przejęta przez Viacom. Nie minął rok, a niezastąpiony Snyder, człowiek nie do ruszenia, już w firmie nie pracował. Obserwatorzy nie wierzyli własnym oczom, a agent Mort Janklov skomentował, że w pojęciu Viacomu sprzedawanie książek to coś takiego, jak sprzedaż prażonej kukurydzy[16]. Rzecz w tym, że Viacom wie, iż na globalnych rynkach McŚwiata handel książkami nie różni się od handlu prażoną kukurydzą. Po co by w przeciwnym razie kupował Paramount? Już będąc częścią Viacomu Paramount przejął inne wielkie wydawnictwo, Macmillan Publishing Co. Przed fuzją zapowiedział, że „zreorganizuje wszystkie działy, zredukuje liczbę wydawanych tytułów i zwolni do 10 procent pracowników" (z ogólnej liczby 10 000)[17].

Biznes wydawniczy bynajmniej się nie uchował przed szaleństwem fuzji, postępuje zgodnie z ogólną regułą. Już w latach sześćdziesiątych wielkie korporacje, z których sporo pracowało na potrzeby przemysłu obronnego, jak IBM, ITT, Litton, RCA, Raytheon, Xerox, General Electric i Westinghouse, dokonały inwazji na dziedzinę wydawania podręczników. Firmy telekomunikacyjne i wytwórnie filmowe, nawet kiedy same padały łupem większych korporacji przemysłowych, żerowały na wydawnictwach. *Book in Print* Bowkera wymienia prawie 26 000 wydawnictw, ale według ustaleń Bagdikiana najwyżej 2500 publikuje rocznie co najmniej jedną książkę. Sześć korporacji przejmuje natomiast ponad połowę dochodów ze sprzedaży książek: Paramount (Simon & Schuster, dawniej pod dyrekcją Snydera, oraz Ginn & Company), Harcourt Brace Jovanovich (Academic Press), Time Warner (Little, Brown, Scott Foresman), Bertelsmann, A.G. (Doubleday, Bantam, a także RCA Records i Arista), Reader's Digest Association oraz Newhouse (Random House, „The New Yorker")[18]. Pięć z nich działa także w dziedzinie innych mediów, z telewizją włącznie, dwie zajmują się produkcją filmów, jedna – Time Warner – to największa korporacja środków przekazu na świecie, druga co do wielkości firma kablowa i jedna z najbardziej znaczących potęg wydawniczych.

Podobne tendencje występują po drugiej stronie Atlantyku, gdzie Bertelsmann (Niemcy), News Corporation Murdocha (Australia i Anglia) oraz Hachette (Francja) stały się Goliatami na skalę globalną w świecie, gdzie nie ma znów tak wielu potencjalnych Dawidów branży wydawniczej. Bertelsmann był niegdyś wydawcą niemieckim, tak jak Honda japońską fabryką motocykli. Dziś ma niebotyczny budynek przy Times Square w Nowym Jorku, kieruje klubami książki w Anglii, wydaje amerykańskie czasopisma, takie jak „Parents", jest właścicielem wydawnictw Doubleday, Bantam i Dell, przejął Literary Guild, działa też w branży fonograficznej (RCA i Arista).

Francuska Hachette wydaje 74 czasopisma w różnych krajach świata, w tym „Paris Match”, kontroluje blisko jedną trzecią książek wydawanych w języku francuskim, wydaje *Encyclopedia Americana*, zarządza największą firmą kolporterską na obszarze hiszpańskojęzycznym i zajmuje się kolportażem gazet i czasopism w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Belgii i Stanach Zjednoczonych[19]. O jednoosbowej ośmiornicy – News Corporation Ltd Ruperta Murdocha – już wspominałem. Dodam tylko, że poza wydawnictwem HarperCollins ma jeszcze udziały w Vikingu, Penguinie i Reuterze, rządzi ponadto obiegiem dwóch trzecich gazet wydawanych w Australii, połowy w Nowej Zelandii i jednej trzeciej w Wielkiej Brytanii. Tak się też składa, że Murdoch jest największym na świecie dystrybutorem wideokaset, przynoszących coraz większą część zysku, jaki dają filmy. Od tych dochodów zależy w coraz znaczniejszym stopniu żywotność wydawniczych interesów Murdocha.

Kiedy książki stają się produktem ubocznym molochów w rodzaju Murdocha czy firmy Viacom, tych gigantycznych ośmiornic z mackami rozrywkowymi, telewizyjnymi i wydawniczymi, ale pozbawionych obywatelskiego czy literackiego tułowia, trudno myśleć spokojnie o przyszłości słowa oraz opartej na nim kultury demokratycznej i literackiej. Demokracja raczej nie korzysta na podporządkowaniu słowa obrazom (filmowym, telewizyjnym czy na wideokasetach), których producenci nastawieni są na zysk. Proszę sobie tylko wyobrazić, a dzisiaj nie jest to takie trudne, salę sądową, gdzie jedynymi argumentami są obrazy. Czy w jakikolwiek sposób da się zagwarantować sprawiedliwość? Wyobraźcie sobie dyskusję polityczną prowadzoną w rytmie migających obrazków, jak w MTV: czy znajdzie się czas na głębszą refleksję? Wyobraźcie sobie wyobraźnię pozbawioną słów: będzie uszlachetniona czy upodlona? A może po prostu przestanie istnieć? Wyobraźcie sobie ontologię, naukę o strukturze rzeczywistości, stworzoną

w cyberprzestrzeni: sama rzeczywistość ulega przemianie w swą wirtualną krewniaczkę, odmianę nie do końca jeszcze wymarłego gatunku, składającą się po równo z pozoru, złudzenia i oszustwa. Rzeczywistość wirtualna zastępuje prawdziwą, a Platońska jaskinia, w której cienie tańczące na okopconej ścianie są jedynym odbiciem realnego świata, staje się całym naszym światem. Słowa otwierają okno duszy na idee, umożliwiają nam rozmowę, kiedy zaś z rozmowy da się wyeliminować nierówności i ukryte dominacje, na wymianie słów opiera się wszelka współpraca, koegzystencja z innymi, a nawet sprawiedliwość. Demokracja rozkwita dzięki słowom, stwarzającym warunki dla racjonalności, wspólnoty i równości. Handel woli obrazy, bo to one napędzają potrzeby, a nawet je wyczarowują. I tak jak potrzeba przebija rozum, tak obrazy przebijają słowa, przynajmniej tam, gdzie zabrakło wykształcenia i żmudnego wysiłku. Przemiana książek na obrazki ma niszczycielskie skutki dla literatury. Przejęcie kontroli nad książką przez fabryki obrazów ma tragiczne skutki dla demokracji.

McŚwiat jako park tematyczny

Parki tematyczne, coraz bardziej zaśmiecające krajobraz, to najlepszy chyba symbol transformacji, jakiej handel poddaje rzeczywistość, i zastępowania czytelnika o aktywnej wyobraźni przez biernego widza. Są świątyniami nowoczesności, naszymi świeckimi kościołami, w których niewyszukana liturgia uświęca wartości zabawy, zdrowia, podróży, czasu wolnego i amerykańskiego stylu życia, łącząc w jedno rozrywkę, informację i nie wymagający wysiłku instruktaż. Tematy owych parków to tematyka McŚwiata.

Pojęcia „park tematyczny" używam tutaj w szerokim znaczeniu, mając na myśli nie tylko parki sieci Six Flags, Disneyland i studia Metro Goldwyn Meyer, lecz także

handlowe odcinki autostrad, centra handlowe i sieci restauracji szybkiej obsługi. McDonald's jest w pewnym sensie parkiem tematycznym, ze swoją własną Myszką Miki w postaci Ronalda McDonalda, przyległymi „krainami zabaw" w zmniejszonej skali, gadżetami związanymi ze sławnymi postaciami w rodzaju Michaela Jordana czy Larry Birda, oraz filmowymi przebojami, jak *Tańczący z wilkami*, *Powrót Batmana* i *Park jurajski*, a także nachalnym lansowaniem amerykańskiego stylu życia. Wszystko to czyni zeń coś więcej niż zwykłą restaurację szybkiej obsługi[20]. W rocznym raporcie McDonalda słusznie podkreśla się rolę „jednego z najbardziej znanych na świecie znaków firmowych, który wszyscy natychmiast rozpoznają". Firma stara się zdobyć pozycję „głównego dostawcy usług żywieniowych na światowym rynku konsumenta"[21]. Co roku otwiera tysiąc nowych placówek[22] i może się pochwalić tym, że jedna z najnowszych znajduje się przy placu Tiananmen, w miejscu, gdzie całe, wydawałoby się, wieki temu pewien młody człowiek chciał zatrzymać kolumnę czołgów i zginął pod ich gąsienicami. Cały świat wstrzymał wtedy oddech.

McDonald's wydaje na reklamę 1,4 mld dolarów rocznie. Przewiduje, że planeta Ziemia pomieści 42 000 restauracji (do tej pory zbudowano zaledwie 15 000)[23].

Jim Cantalupo, szef działu operacji międzynarodowych, tłumaczy, dlaczego McDonald's to coś więcej niż posiłek, za który się płaci: „To szereg doznań, jakich spodziewają się nasi klienci. Możliwość wjazdu samochodem, plac zabaw, uśmiech zza lady – to wszystko składa się na szczególne doznanie"[24]. Dzięki nazwom firmowym sprzedaje się doznania, które stają się głównym atrybutem jadłodajni będącej jednocześnie teatrem konsumpcji i parkiem tematycznym określonego stylu życia. Na doznanie musi składać się coś więcej niż szybko spożyty lunch. *Fast food* pasuje do szybkiej ścieżki komputerowego świata, kawałki jedzenia i kawałki informacji napędzają nasze ciała i umysły pozwalając przebyć dzień

w karkołomnym tempie, nie ma wszak ani sekundy do stracenia. Trzeba szybko zjadać i służyć czczonemu przez świat biznesu bożkowi wydajności. Obsłuż się sam – pomóż zredukować etaty. Posil się na stojąco albo zabierz swoją porcję na wynos, przemieniając społeczny dotąd rytuał jedzenia w czynność odbywaną w samotności. Przerzuć się z ryżu lub jarzyn na mięso (dotyczy krajów Wschodu), zwiększ spożycie tłuszczu, koszty opieki lekarskiej, wymagania stawiane rolnictwu (przy zasiewie zbóż na paszę dla bydła rzeźnego zużywa się dziesięć razy więcej ziarna niż potrzeba do wykarmienia ludzi będących na diecie wegetariańskiej). Styl jedzenia w McDonaldzie to cały styl życia, ideologia o wiele bardziej inwazyjna, choć przy tym nieporównanie subtelniejsza, niż jakikolwiek marksizm czy maoizm[25]. Metafora parku tematycznego zasadza się na jego realności.

Parkom tematycznym dały początek wielkie światowe targi i wystawy przemysłowe. W wieku XIX i na początku XX były to przedsięwzięcia wywodzące się z ducha epoki Oświecenia, miały zwiastować lepszą przyszłość, a były dziełem ludzi, którzy naukę przekształcali w przemysł, technologię zaś w towar dla rynku, który zaczynał już wtedy obejmować cały świat. W błyskotliwym eseju „See You in Disneyland" Michael Sorkin cytuje wystąpienie księcia Alberta na otwarciu Wystawy Londyńskiej w 1851 roku. Gingrich, przewodniczący Izby Reprezentantów, nie miałby tu nic do dodania. Futurologiczny entuzjazm małżonka Wiktorii brzmi całkiem współcześnie:

„Żyjemy w epoce najwspanialszej przemiany, która szybko zmierza do urzeczywistnienia wielkiego historycznego celu – zjednoczenia całej ludzkości. Odległości dzielące różne narody i części świata kurczą się pospiesznie dzięki współczesnym wynalazkom. Możemy je pokonywać z niewyobrażalną dotąd łatwością. Myśli przekazywane są z szybkością błyskawicy, a także dzięki jej potędze. Produkty wszystkich części ziemskiego globu stoją do naszej dyspozycji, nam pozostaje tylko wybór najlep-

szych i najtańszych. Konkurencja i kapitalizm stały się bodźcem napędzającym siły produkcji"[26].

Jeśli, jak twierdzi Sorkin, słowa Księcia Małżonka o świecie kurczącym się dzięki technologii i podziałowi pracy stanowią podstawowy motyw parku tematycznego, to są również motywem przewodnim McŚwiata, a książę Albert może być uznany za antenata Ronalda McDonalda (Sorkin nazywa księcia „myszkieterem *avant la lettre*") oraz cyberentuzjasty Gingricha.

Niezależnie jednak od genealogii parków tematycznych, dziś najbardziej typowym ich przykładem nie są tereny targowe w miastach Anaheim i Orlando, ale centra handlowe (*malls*) rozrzucone po całym kraju. Stanowią one bowiem ośrodki rozrywki skonstruowane wokół czynności kupowania, dostarczającej tak bardzo różnorodnych przyjemności. Kiedyś sklepy czy domy towarowe znajdowały się w pobliżu śródmieścia, wśród warsztatów, kościołów, restauracji, teatrów, szkół i ratuszy, stanowiąc architektoniczny element przestrzeni publicznej, gdzie zakupy były zintegrowane z innymi społecznymi czynnościami, handel zaś pełnił właściwą, uzupełniającą i użytkową rolę. Odizolowanie przestrzeni handlowej od wszystkich innych rodzajów publicznej przestrzeni, czemu początek dały targi światowe, rozwój wielkich centrów handlowych zaś zjawisko to utrwalił, umożliwiło zdominowanie tej ostatniej przez komercjalną konsumpcję. Wszelkie czynności stają się na takim obszarze wariantami kupowania i sprzedawania. Margaret Crawford, wnikliwa badaczka subkultury centrów handlowych, odnotowała, że ich architekci wyraźnie dążą do zawarcia całego świata w obrębie takiego centrum. Cytowany przez nią budowniczy jednego z największych na świecie obiektów handlowych chwalił się na ceremonii otwarcia: „Zapewniamy wam to, że nie musicie jeździć do Nowego Jorku, Paryża, Disneylandu czy na Hawaje. Mamy dla was wszystko w jednym miejscu, tutaj, w Edmonton, w kanadyjskiej prowincji Alberta!"[27]. Według pisarki

Joan Didion centra handlowe działają jak narkotyk, jest to przestrzeń, którą człowiek przemierza „znajdując się przez jakiś czas w stanie zawieszenia: rozproszona jest nie tylko świadomość, ale i zdolność wydawania sądów, nie tylko to, ale i osobowość"[28]. Granice oddzielające centrum od reszty świata są tak pomyślane, by usunąć wszelkie rozgraniczenie między tym, co dzieje się wewnątrz supermarketu, a tym, co robi się na zewnątrz. Sprzyja temu bardzo mała liczba wyjść i brak zegarów. Bary szybkiej obsługi dostarczają konsumentom energii niezbędnej do dokonywania zakupów (normalny posiłek zabiera czas, który można poświęcić na kupowanie), kina multipleksowe zapewniają rozrywkę pobudzającą do konsumpcji, odpowiednią rolę pełni też architektura całego obiektu: rozmieszczenie schodów, pogrupowanie sklepów według poziomu dochodów klientów i asortymentu sprzedawanych towarów, ukierunkowanie ruchu pieszego. Jedynym celem jest ułatwienie konsumpcji[29].

Centrum handlowe stanowi nie tyle część przedmieścia, co samą jego zasadę, same przedmieścia bowiem dążą do tego, by stać się parkiem tematycznym. Prospekt wydany przez kalifornijskie Biuro Turystyki zachęca do przyjrzenia się świeżym okiem okręgowi Orange (został wydany, zanim okręg zbankrutował, co zwiększa jeszcze efekt komiczny cytowanego tutaj tekstu):

„To park tematyczny o powierzchni 786 mil kwadratowych, a jego hasło przewodnie brzmi: «możesz dostać wszystko, czego zapragniesz».

To najbardziej kalifornijska ze wszystkich Kalifornii: najbardziej podobna filmom, opowieściom i marzeniom.

Okręg Orange to Kraina Jutra i Kraina Pogranicza, połączone ze sobą i nierozłączne.

Odwiedzajcie okręg Orange. W domu czegoś takiego nie znajdziecie"[30].

Centra handlowe to parki tematyczne, parki tematyczne to całe podmiejskie okręgi, które z kolei są centrami handlowymi. Te ostatnie, rzecz jasna, afiszują się z własnymi „tematami" i specjalizują w impulsywnym kupowa-

niu. Nie ma tu prawie wcale sklepów czy stoisk z artykułami codziennego użytku, takimi jak drobne wyroby metalowe, znaczki pocztowe, wyroby farmaceutyczne czy rozmaita drobna galanteria. Zamiast nich pojawiają się sklepy pod hasłem „Natura", antykwariaty, butiki z akcesoriami New Age, studia fonograficzne i sklepiki sprzedające rzeczy kompletnie niepotrzebne, ale budzące chęć ich posiadania, skoro tylko przekroczysz próg. Obok nich mamy sklepy znanych firm i filie wielkich parków tematycznych. Setki sklepów Disneya, które wcześnie wkroczyły na teren centrów handlowych, rywalizują dziś z butikami Warner Brothers czy MGM. Na wielkim otwarciu domu handlowego Manhattan Warner Studio konkurenci Myszki Miki, Królik Bugs i Ptak Tweetie, zapraszali przeróżnych nowojorskich wytwornisiów (ludzi i zwierzęta) w cylindrach do „zapoznania się z najnowszą formą rozrywkowych zakupów, jaką oferuje Nowy Jork". Na pytanie „kiedy dom towarowy jest parkiem tematycznym?" można więc udzielić prostej odpowiedzi: „wtedy, gdy oferuje rozrywkowe zakupy".

Dla zapewnienia jak największej atrakcyjności centrów handlowych wielu projektantów wyposaża je w bardzo kosztowne automaty do gier rozgrywających się w wirtualnej rzeczywistości (cena takiego automatu sięga 2 mln dolarów). Jeszcze bardziej zaciera się przez to różnica między Disneylandem, McDonaldem (który też eksperymentuje z automatami do gier) a podmiejskim domem towarowym. Specjalista od analizy inwestycji przepowiada, że „tego rodzaju atrakcje mogą się stać w centrach handlowych niezbędnym elementem przyciągającym klientelę"[31]. Przekształcanie całych obszarów w centra handlowe, a następnie w parki tematyczne niewątpliwie sprawia, że ciągnie do nich klientela płci obojga, zwłaszcza że w rejonach podmiejskich (gdzie obecnie mieszka ponad połowa Ameryki) centrum takie stanowi jedyną „okolicę", a przestrzeń handlowa to jedyna dostępna przestrzeń publiczna.

Parki tematyczne, będące w rzeczywistości centrami handlowymi, i centra handlowe, nie różniące się od parków tematycznych znajdują się wszędzie. Studia filmowe wznoszą tego rodzaju obiekty jako pomniki z tego świata stawiane ich fantazjom nie z tego świata, producentom dóbr trwałych służą jako narzędzia realizacji strategii sprzedaży poprzez rozrywkę (patrz przykład Nike Town, o którym była mowa), rządy i stany finansują je, by upiększyć swój wizerunek, upamiętnić przeszłość lub ciągnąć zyski. Rząd francuski, któremu udało się wyłączyć rodzimy przemysł audiowizualny spod postanowień ostatniej rundy GATT, kilka lat wcześniej przyczynił się w znacznym stopniu (wraz z przodującymi instytucjami finansowymi Francji) do uregulowania spraw własności i budowy hoteli dla EuroDisneylandu. Władze sfinansowały nawet budowę stacji na trasie szybkiej kolei, którą Francja tak się szczyci. Francuski sektor prywatny ma dzisiaj 51 procent udziałów w EuroDisneylandzie, choć początkowe kiepskie wyniki tego przedsięwzięcia zniesmaczyły inwestorów, a Disneyowi po raz pierwszy dały poznać smak ewentualnej porażki.

Zachowując się niepewnie, jak rząd ostro atakowany przez opozycję, państwo przeważnie trzyma się z boku, gdy w grę wchodzi budowa parków tematycznych. Władze lokalne, udzielające przecież zezwoleń budowlanych, mają prawo domagać się ustępstw od projektantów i wykonawców, ale jak dotąd wolały ich kokietować niż regulować, i wymagały niewiele. H. Wayne Huizenga, magnat w branży wideokaset, a także właściciel zawodowych klubów sportowych, który zdecydował się niedawno na fuzję swojej firmy Blockbuster z Viacomem, zdołał namówić władze stanu Floryda, by udzieliły mu zezwolenia na budowę „Parku Blockbuster" na 2500 akrach bagnistego terenu na północ od Miami. Ma to być coś w rodzaju sześćdziesiątego ósmego okręgu w tym stanie. Władze stanowe nazywają go „specjalnym dystryktem turystyki, sportu i rozrywki, podlegającym wielostronnej

jurysdykcji", miejscowa ludność nadała mu nazwę „Wayne's World" – „Świat Wayne'a". Zarządzać nim będzie pięcioosobowa rada reprezentująca właścicieli ziemi. W rzeczywistości jest tylko jeden właściciel – Blockbuster. Przewodniczący rady okręgu Dade, zwolennik parków tematycznych, oświadczył: „balansujemy na krawędzi znanej nam demokracji – dokonujemy prywatyzacji rządu"[32]. Nie tak dawno temu ta sarkastyczna uwaga zabrzmiałaby jak oksymoron albo wręcz niedorzecznie. Jeśli istnieje instytucja z samej definicji niepodważalnie publiczna, to jest nią przecież rząd. Suwerenność państwa kończy się jednak najwyraźniej u bram parku tematycznego. Coś, co nie ma granic i nie odpowiada przez żadnym publicznym autorytetem, przestało być na Planecie Reebok metaforą.

Przekształcanie rzeczywistości w parki tematyczne ma wielu zagorzałych zwolenników i za oceanem. Biznesmeni ze wschodnich landów, pod wodzą berlińskiego impresaria Franka Georgiego (który uciekł z NRD w 1989 roku) omawiają aktualnie projekt stworzenia „Ossi Park", który miałby się mieścić w dawnej bazie wojskowej o powierzchni 500 akrów. Znajduje się ona koło Wandlitz w Branderburgii, nad dawnym schronem atomowym Ericha Honeckera. Nazwa „Ossi Park" nawiązuje do pogardliwego przezwiska nadanego mieszkańcom Niemiec Wschodnich jeszcze podczas zimnej wojny. Zwiedzających czekałyby następujące atrakcje: „skondensowane przeżycie «roku w komunistycznej NRD», włącznie z organizowanymi przez państwo masowymi uroczystościami, między innymi z okazji 1 Maja. Zwiedzanie zajmie cały dzień, goście będą mogli opuścić park dopiero o północy. Granica będzie pilnowana przez strażników, próba ucieczki będzie karana kilkugodzinnym więzieniem. Każdy zwiedzający będzie musiał wymienić określoną kwotę zachodniej waluty na marki wschodnie. Komentarze polityczne będą nadawane przez zrekonstruowane radia – kołchoźniki, jak w NRD. Zakłócane programy telewizji

zachodnioniemieckiej, czarny rynek i działająca w podziemiu opozycja to kolejne atrakcje. Inne planowane «eksponaty» tego parku, otoczonego zasiekami z drutu kolczastego i wysokim murem, to źle zaopatrzone sklepy, tajna policja państwowa (Stasi) i chropowaty papier toaletowy zwany «zemstą Stalina», który gwarantował, jak żartowano w byłej NRD, że «każda ostatnia dupa miała kolor czerwony»" [33].

Nie wiadomo, czy w nękanych problemami podatkowymi Niemczech dojdzie do realizacji tego idiotycznego projektu (choć wcale nie jest bardziej idiotyczny od niektórych wcielanych obecnie w życie przedsięwzięć Disneya). Sam fakt, że ktoś mógł wpaść na taki pomysł, świadczy, iż ideologia parków tematycznych daleko się posunęła od czasów wystawy londyńskiej z 1851 roku i pierwszego Disneylandu, który zbudowano w Anaheim w 1955 roku [34].

Walt Disney World to salon McŚwiata. Przerobienie rzeczywistości na komiks, co zrobił Disney w swoim pierwszym parku tematycznym w Anaheim blisko pół wieku temu, było zapowiedzią przyrządzonej przez McŚwiat uwodzicielskiej mieszanki handlu, iluzji, manipulowanych pragnień i zastępczego zadowolenia. Jeden z pierwszych prospektów oznajmiał:

„Disneyland będzie poświęcony ideałom, marzeniom i konkretnym faktom, które stworzyły Amerykę. Nada im dramatyczny wymiar, dzięki czemu posłużą jako źródło inspiracji i odwagi dla całego świata.

Disneyland będzie wielką wystawą, placem zabaw, ośrodkiem kultury, muzeum wiecznie żywych wydarzeń oraz przybytkiem piękna i magii. Zobaczycie tutaj osiągnięcia, radości i nadzieje świata, w którym żyjemy. Pokaże nam, jak te wszystkie cuda włączyć w nasze życie" [35].

Okazało się jednak, że niezupełnie chodzi o „konkretne fakty" i „część naszego życia". Eileen Orgintz w artykule w „Los Angeles Times", który miał być zapewne apoteozą Disneylandu, pisze: „Świat Disneya to miejsce niereal-

ne, nie oczekujcie, by wkroczyła doń rzeczywistość. Każdy jest szczęśliwy i dobrze odżywiony. Wszystko jest czyste. Wszyscy są niezwykle uprzejmi. Wyzbądź się podejrzeń. Poczekaj, aż wrócisz do domu – tam możesz się do woli zamartwiać problemami tego świata" [36].

Niegdyś słońce nie zachodziło nad posiadłościami brytyjskiego imperium. Dzisiaj Disney się chwali, że „zabawa podąża za słońcem naokoło kuli ziemskiej" [37]. Disneyland w Anaheim, stanowiący wzorzec dla wszystkich następnych, będzie niedługo obchodził złoty jubileusz, Walt Disney World ma już ponad dwadzieścia lat, Disneyland w Tokio ponad dziesięć. Do 1992 roku zwiedziło go 16 mln osób (w ciągu poprzednich dziewięciu lat odwiedziło go w sumie ponad 100 mln). Japońskie młode pary wybierają Disneyland na miejsce swych postmodernistycznych uroczystości weselnych. Wyjątkiem od reguły okazał się EuroDisneyland pod Paryżem. Nie stał się co prawda pierwszą disneyowską Krainą Bankructwa, ale na bezlitosnym rynku europejskim czekają go ciężkie czasy. W Europie bowiem marzenia umierają, wszyscy marzyciele wyemigrowali do Ameryki, gdzie znaleźli cieplejszy klimat. Floryda, ten wielki amerykański plac zabaw, to miejsce jakby stworzone dla Disneya: co prawda niektórzy ostrożni europejscy turyści czują się tutaj trochę jak w Krainie Mordu, ale jest to również kraina Walt Disney World, parku tematycznego Disney-MGM, Disney's Dixie Landings Resort, Bonnet Creek Gold Club, Disney Vacation Club Resort, Epcot Center, planuje się również wybudowanie całkiem nowego disneyowskiego miasteczka Celebration. Parki tematyczne Disneya w różnych krajach świata przynoszą roczny dochód 3,3 mld dolarów, podczas gdy cały dochód firmy wynosi 7,5 mld, w tym z filmów – 3,1 mld, a ze sprzedaży maskotek i gadżetów związanych z parkami i filmami – 1,1 mld. Wszystkie te 3 branże czerpią inspirację z jednego zestawu animowanych obrazków, które w nieskończonych odmianach wytwarza Imageering Department, zajmujący się przekształcaniem otaczającej nas rzeczywistości.

Disney Company zajęła się ostatnio przerabianiem historii Stanów Zjednoczonych na postać wirtualną, a polityki amerykańskiej – na komiks. W słynnej Sali Prezydentów w Walt Disney World na Florydzie pojawił się Bill Clinton. Tak jak Abraham Lincoln i inni jest animowanym robotem, który potrafi chodzić i mówić. Odciąża prawdziwego Clintona od wygłaszania niektórych zdumiewająco zwięzłych wypowiedzi[38]. Firma zamierzała zbudować w Manassas park tematyczny poświęcony wojnie secesyjnej. Prawie się to udało. Najkrwawsza z amerykańskich wojen miała zostać odtworzona jako wysoce realistyczny (zgodnie z duchem naszych czasów) spektakl, wiernie przedstawiający bratobójczą rzeź na użytek widzów, którzy za to zapłacą. Polityczna opozycja w stanie Wirginia i Dystrykcie Kolumbia oraz ogólnonarodowa kampania rozpętana przez oburzonych historyków zdołała udaremnić to przedsięwzięcie w ostatniej chwili, ale ludzie od Disneya nie zaprzestali starań o utworzenie parku tematycznego amerykańskiej historii. Niedoszły park poświęcony wojnie secesyjnej „z makietami indiańskich wiosek, repliką farmy, udawanymi bitwami wojny secesyjnej oraz fałszywym targiem", który miał się znaleźć nieopodal „autentycznych pozostałości po Indianach, prawdziwych farm, terenów targowych i miasta zdobytego niegdyś i spalonego przez oddziały Unii", został zatwierdzony przez szanowanych historyków[39]. Podczas gdy uczeni dyskutują na temat poznawczych zalet nowych parków tematycznych, firma Disneya próbuje zbliżyć się do wytyczonych przez nich standardów. Nie chodzi tu jednak o żadne uwiecznianie historii, a akademickie certyfikaty dla wirtualnej rzeczywistości kształtowanej nieopodal autentycznych zabytków wojny secesyjnej budzą po prostu śmiech.

Celem disneyowskich wytworów nie jest jednak oddanie prawdy, ale stworzenie jej pozorów: wirtualnej metaprawdy. Rzeczywistość wirtualna polega wszak na tym, że po prostu naśladuje rzeczywistość, którą nie jest i być nie

może. Nie da się uprawiać seksu w Jaskini Piratów, znaleźć się w Niemczech wchodząc do zamku Ludwika Bawarskiego w Disneylandzie ani zamordować Lincolna w Sali Prezydentów. Można tylko kupić bilet i patrzeć do woli, bez żadnych konsekwencji, bez angażowania się, bez odpowiedzialności. Zapewne z tych właśnie powodów Dexter King (najmłodszy syn Martina Luthera Kinga) napotkał na takie opory, kiedy wpadł na pomysł przekształcenia domu swego ojca w Atlancie w iście disneyowski park tematyczny – „Podróż w Czasie: Interaktywne Muzeum Martina Luthera Kinga"[40].

Rodzina Kingów to jedno, Disney to drugie. Trudno od niego wymagać, by brał na siebie więcej obowiązków niż wynika z funkcji dostarczania rozrywki. Firma stawia sobie cel niewinny, nawet chwalebny: nie żadne tam przemienianie rzeczywistości, ale parę godzin, dni (albo i tygodni – tak byłoby najlepiej, jeśli disneyowskie hotele mają się utrzymać) eskapistycznego odpoczynku z dala od zmęczonego tłumu. Parki tematyczne nie tylko kształtują większy McŚwiat, którego wartości reprezentują, ale są przezeń kształtowane. Sam McŚwiat jest w istocie rzeczy parkiem tematycznym, Krainą Rynku, gdzie wszystko jest na sprzedaż, odpowiedzialność zawsze ponosi ktoś inny, nie ma czegoś takiego, jak dobro publiczne czy wspólny interes i wszyscy są równi dopóty, dopóki stać ich na bilet wstępu i mają ochotę patrzeć i konsumować.

McŚwiat – Kraina Rynku – nie jest jednak naturalnym bytem stworzonym przez wyobraźnię jakiegoś dobroczynnego bóstwa. To sztuczny wytwór, który ma swoich właścicieli, a charakter tej własności mówi nam bardzo wiele o jego naturze.

9
Do kogo należy McŚwiat?

Obłąkańcze fuzje w świecie mediów

Sercem McŚwiata jest telesektor inforozrywkowy, który w coraz większym stopniu staje się własnością garstki potężnych korporacji. Tych z kolei z każdym miesiącem robi się coraz mniej, za to ich ambicje rosną niepomiernie. Idea, przyświecająca szaleńczemu dążeniu nowych mediów do łączenia się, nosi modną nazwę „synergii". Ma to oznaczać artystyczną kreatywność i ekonomiczną produktywność osiąganą dzięki zlewaniu się w jedno rozmaitych branż, które niegdyś, działając osobno, kontrolowały trzy segmenty telesektora inforozrywkowego: oprogramowanie (w szerokim tego słowa znaczeniu, a więc wszystkie przekazywane treści), kanały dystrybucji oraz sprzęt, na którym oprogramowanie odtwarzano. W idealnej ekonomii McŚwiata firmy producenckie, sieci telefoniczne oraz kablowe i satelitarne, a także firmy wytwarzające telewizory, komputery i sprzęt projekcyjny znajdują się w rękach jednej korporacji o globalnych wymiarach. „Synergia" okazuje się eufemizmem oznaczającym monopol, w sferze informacji zaś „monopol" to eufemizm na uniformizację, a to słowo z kolei jest złagodzoną formą pojęcia wirtualnej cenzury. Nie chodzi tu o cenzurę wynikającą z opcji politycznych, ale będącą rezultatem nieelastycznych rynków, niedoskonałej konkurencji i tendencji oszczędnościowych – dążenia do tego, by jeden produkt

będący własnością jednego posiadacza mógł być sprzedawany wszystkim mieszkańcom naszej planety.

Tradycyjne ambicje korporacji, zmierzających do zdobycia monopolu na jeden określony środek przekazu, zastąpiła tendencja do monopolizacji różnych mediów. Jak podaje Bagdikian, w latach dziewięćdziesiątych 17 wielkich konglomeratów intermedialnych zgarniało połowę globalnego zysku „ze wszystkich mediów", z nagraniami, sieciami kablowymi i wideokasetami włącznie[1]. Proces łączenia się doprowadził do tego, że z 46 uczestników gry działających w 1981 roku, w 1991 pozostało 23, z czego garstka to prawdziwe intermedia[2]. Należy dodać, że Bagdikian opisuje sytuację, jaka istniała przed wkroczeniem Japończyków i przed całkiem niedawnym zatarciem się granic między transmisją przy wykorzystaniu linii telefonicznych, kabli i na falach eteru, co jeszcze bardziej przyspieszyło proces konglomeracji.

Korporacje dążą do uzyskania kontroli nad każdym etapem powstawania obrazu, od pierwszego wytwórcy do konsumenta. Kiedyś było tak, że autor pisał książkę, potem sam lub za pośrednictwem agenta sprzedawał ją wydawcy, ten ją drukował, sprzedawał niezależnemu czasopismu prawo do druku w odcinkach, a poprzez jeszcze innych niezależnych dystrybutorów i księgarzy wprowadzał ją na rynek. Zdarzało się też, że autor, agent lub wydawca proponował książkę Hollywoodowi, tam kupowało ją niezależne studio, kręciło na jej podstawie film, znajdowało następnie niezależnego dystrybutora, który go rozpowszechniał, a niezależny właściciel kina lub sieci kin pokazywał go publiczności. Studio filmowe sprzedawało niezależnej firmie prawa do wyświetlania filmu w telewizji. W całym tym złożonym procesie, po drodze od powstania dzieła do zaprezentowania go publiczności poprzez różne środki przekazu, mogło uczestniczyć i kilkadziesiąt rozmaitych, niezależnych jednostek. Odbywało się to w sposób umożliwiający uczestnictwo różnych sił twórczych i czynników finansowych, a także stwarzający

zarówno twórcom, jak i odbiorcom kultury maksimum szans i możliwości wyboru. Dzisiaj dzięki cudom synergii jedna instytucja kontroluje cały ten proces. Właściciel koncernu ma na ogół nie tylko całą stajnię wydawców, z których jeden opublikuje daną książkę, jego własnością jest także agencja praw autorskich, magazyn, który książkę opublikuje w odcinkach, studio filmowe, które przerobi ją na film, dystrybutor filmu, sieć sal kinowych, wytwórnia wideokaset, a prawdopodobnie również sieć satelitarna i kablowa, która będzie film transmitować, oraz telewizor i magnetowid, na których ktoś będzie go oglądał, dajmy na to w Indonezji czy Nigerii. To nie żadna synergia tylko komercjalny totalitaryzm, gdzie występuje jedno tylko kryterium (zysku) i jeden właściciel (monopolista), przez co zacierają się wszelkie różnice, a możliwość wyboru staje się pozorna. Nic więc dziwnego, że nawet gorliwych Republikanów zdenerwowało spotkanie Newta Gingricha z Rupertem Murdochem. Nic też dziwnego, że inni krytycy mieli Gingrichowi za złe nie tylko kontrakt opiewający na 4,5 mln dolarów za nie napisaną jeszcze książkę (obecnie zawieszony), ale i samo spotkanie.

Proces prowadzący do konglomeryzacji wydaje się całkiem naturalny: nadawcy chcą kontrolować nadawane treści i czerpać z nich zyski, twórcom kultury marzy się to samo w odniesieniu do instytucji (stacji i sieci) transmitujących ich dzieła, dostawcy oprogramowania chcą mieć nadzór nad sprzętem i na nim zarabiać. Każdy chciałby zdobyć kawałek „kreatywnego jądra", w którym wytwarza się treść napędzającą wszystko inne. Dlaczego mam być kanałem transmisji czyjejś muzyki, skoro mogę przejąć na własność kompozytora i jego dzieło? W rezultacie jednak prowadzi to do zamazywania konceptualnych cech odróżniających od siebie branże omówione w tej części książki – filmy, radio, telewizję, książki i parki tematyczne. Rząd zaś biernie się temu przygląda. „Cała rzecz w tym – podaje „Newsweek" – żeby zdobyć kawałek każdego tortu. Sony daje ci słuchać Mariah Carey na

walkmanie, pokazuje *Koło Fortuny* na Trinitronie i daje oglądać *Bezsenność w Seattle* w sali kinowej wyposażonej w aparaturę dźwiękową Sony"[3]. Z kolei Alex J. Mandl (prezes zarządu AT&T Communications Services Group) mówiąc o projekcie wykupienia przez jego firmę telefonii komórkowej McCaw Cellular Communications Inc. za 12,6 mld dolarów (co zresztą nie doszło do skutku), stwierdził: „Chcielibyśmy, żeby AT&T stała się firmą ogólnonarodową. Jesteśmy w stanie zaoferować całościowe usługi"[4]. Informacja lub dzieło twórcy, to co określam ogólnym mianem oprogramowania (*software*), jest kluczem do wszystkiego. Sumner Redstone wyraził to dosadnie: „ta gra nazywa się *software*"[5].

Wertykalna integracja mediów to zjawisko stosunkowo nowe. Ze starannych wykazów Bagdikiana wynika, że od końca II wojny światowej do lat siedemdziesiątych większość gazet i magazynów zachowywała niezależność. Pierwsze fuzje miały miejsce w poszczególnych branżach, powstawały w ten sposób wielkie koncerny prasowe, imperia wydawnicze i ogromne studia filmowe. Ale ta niepożądana monopolizacja odbywała się przynajmniej w obrębie granic oddzielających od siebie różne branże informacji i rozrywki. Starannie przy tym unikano wkraczania na obszary produkcji dóbr trwałych, to jest sprzętu użytkowanego przez widzów i konsumentów. Jeszcze w latach siedemdziesiątych działały setki niezależnych wydawnictw prasowych i książkowych, z których każde zajmowało własną niszę, było mnóstwo niezależnych studiów filmowych (a także prężne kinematografie w kilkudziesięciu krajach świata), trzy wielkie sieci informacyjne obok wielu niezależnych stacji, jedna ogólnokrajowa kompania telefoniczna, która zajmowała się wyłącznie usługami telefonicznymi, oraz dziesiątki firm produkujących dobra trwałe, dzięki którym publiczność mogła odbierać konkurujące ze sobą wytwory producentów rozrywki i dostarczycieli informacji – telewizory, przewody telefoniczne, magnetofony, tunery, komputery itd.

Granice między gatunkami zaczęto przekraczać na początku lat osiemdziesiątych. Częściowo było to reakcją na ogólną fuzjomanię, przede wszystkim jednak przyłożyli się do tego ambitni i wizjonerscy twórcy imperiów w świecie mediów, jak Robert Maxwell i Rupert Murdoch. Ich wizje były zaborcze, ambicje zaś nie znały granic. Naśladując precedens, jaki w 1966 roku stworzyła firma Gulf & Western, która nabyła Paramount za 125 mln dolarów, News Corporation Murdocha, Matsushita i Sony obrały za cel branżę rozrywkową, dążąc nie tyle do dywersyfikacji, co torując sobie drogę do przybytku władzy w wyłaniającej się cywilizacji McŚwiata. W połowie lat dziewięćdziesiątych włączyły się do rywalizacji stosunkowo młode firmy, jak Home Shopping Network, Viacom i Blockbuster Video, dokonując kolejnych przejęć i kontrprzejęć i plasując się na pozycjach głównych dostawców rozrywki w nadchodzącym tysiącleciu.

Całe to szaleństwo zaczęło się na początku lat osiemdziesiątych, kiedy doszło do kilkuset połączeń i zakupów firm. W załączonej tabeli zamieszczam tylko najbardziej reprezentatywne przykłady.

Podczas gdy wszyscy wokół rozprawiają o synergii, działania wskazują na jeden kierunek: prawie wszystkie firmy będące przedmiotem fuzji to producenci dóbr intelektualnych, bez których ani wytwórcy sprzętu, ani właściciele systemów transmisyjnych nie mieliby czego pokazywać ani transmitować. Margo L. Vignola, specjalistka od analizy mediów u Salomon Brothers, przytomnie zauważa, iż u podstaw fuzji i przejęć legł „niedostatek twórczych talentów i dostępnej produkcji artystycznej, przy ogromnym rozwoju środków technicznych". Obserwując wojnę między Viacomem i QVC o Paramount, dochodzi do wniosku: „lokalne firmy telefoniczne [Bells] i sieci kablowe kuleją z powodu braku produktu do rozpowszechniania, podczas gdy wytwórnia o niezbyt pewnej pozycji finansowej jak Paramount staje się perłą w koronie. Każdy chce ją mieć"[6].

Data	Obiekt	Nabywca	Cena (w mld USD)
1966	Paramount (pierwsza runda)	Gulf & Western (w 1989 zmienił nazwę na Paramount)	0,125
1982	Columbia Pictures	Coca-Cola	0,750
1985	Fox Broadcasting	News Corporation Murdocha (20th Century Fox, Fox Television, Fox Broadcasting Co.)	0,575
1985	MGM/United Artists	Turner Broadcasting (zatrzymuje filmotekę MGM, resztę sprzedaje za 0,8 mld dolarów)	1,5
1986	NBC Network (RCA)	General Electric	6,5
1988	CBS Records	Sony (jako wstęp do przetargu o Columbię)	2
1989	Columbia Pictures	Sony (cena – w gotówce – nie obejmuje przejęcia długów na sumę 1,3 mld i zakupu pakietu kontrolnego akcji Coke 49 procent)	3,8
1989	Warner Communications (Warner Bros. Pictures)	Time Inc., przyjmuje nazwę Time Warner (Paramount próbował nie dopuścić do tej transakcji, składając ofertę zakupu Time Inc.)	14
1990	MCA (pierwsza runda) (Universal Pictures and Music), w tym MCA Records, Geffen Records, Motown; wydawnictwa, m.in. Putnam, Berkley, Jove, Grosset & Dunlap, Coward-McCann; parki tematyczne, m.in. Universal City Studios w Hollywood na Florydzie	Matsushita (Panasonic – japoński gigant elektroniczny)	6,1
1992	Videoland (sieć wypożyczalni wideokaset)	Philips (holenderski gigant elektroniczny, producent chipów)	0,148

1992	MGM (studio filmowe)	Crédit Lyonnais (bank francuski, przejął MGM od zbankrutowanego włoskiego nabywcy i musi odsprzedać w ciągu 5 lat)	1,3
1993	Time Warner	U.S. West nabywa 1/4 udziałów	2,5
1993	McCaw Cellular Communications	AT&T	12,6
1993	Hauser Communications (sieć kablowa)	Southwestern Bell	0,650
1993	Grupo Iusacell (druga co do wielkości telefonia komórkowa w Meksyku)	Bell Atlantic	1,04
1993	MCI (międzymiastowa sieć telefoniczna)	British Telecom (kupuje 1/5 udziałów)	4,3
1993	Sprint	France Telecom	2,1
		Deutsche Telecom	2,1
1994	Wometco & Georgia Cable TV	U.S. West	1,2
1993	Castle Rock Films i New Line Cinema	Turner Broadcasting	0,672
1993	Republic Pictures (dystrybutor)	Blockbuster Video (sieć wypożyczalni wideo, poparła Viacom w przetargu o Paramount)	0,100
1993	Liberty Media	Tele-Communications Inc., jako wstęp do fuzji z Bell Atlantic kupuje na powrót Liberty, której się wcześniej pozbył	8,3
1993	T.C.I. (Tele-Communications Inc., największa korporacja kablowa na świecie, pokrywa 25 procent Stanów Zjednoczonych)	Bell Atlantic (transakcja zagrożona)	26
1994	Nextel	Motorola	1,76
1994	Times Mirror Cable	Cox Cable	2,3
1994	Paramount (druga runda)	Viacom, imperium kablowe Redstone'a, po długiej batalii przetargowej z Home Shopping Network (QVC) Barry'ego Dillera 1	0
1994	Blockbuster	Viacom	7,6
1995	Houston Industries	Time Warner	2,3
1995	Cablevision Industries	Time Warner	2,2

Przyjrzyjcie się sami: chociaż większość tych transakcji to fuzje, a nie przejęcia, prawie w każdym przypadku chodzi o przyłączenie firmy kontrolującej produkty artystyczne wytwarzane na użytek McŚwiata: raz jest to studio filmowe, innym razem filmoteka, dystrybutor wideokaset, sieć telewizyjna lub kablowa. Wymieniam tylko wybrane przykłady największych tego typu kontraktów. Każda z firm biorących udział w tej grze uczestniczyła w fuzjach i przejęciach na mniejszą skalę, i dlatego na przykład studio filmowe, jakim w zasadzie jest Paramount, stało się właścicielem różnych jednostek. Paramount przedstawia sobą prawdziwy festiwal dóbr i produktów McŚwiata. W 1989 roku, kiedy próbował zapobiec połączeniu Time z Warner Communications stając do przetargu o Time, miał już w posiadaniu wydawnictwo Simon & Schuster (też będące wydawniczym konglomeratem, zawierającym w sobie między innymi Prentice Hall), a także Madison Square Garden razem z grającymi tam drużynami koszykówki i hokeja (Knicks i Rangers, odstąpione obecnie przez nowego właściciela, Viacom, jeszcze innej kompanii inforozrywkowej, Cablevision System Chucka Dolana mającej finansowe zaplecze w ITT). Time Inc., do której Paramount robił nieudane podchody, kontrolowała tymczasem, obok tych co zawsze czasopism (m.in. „Life", „People", „Sports Illustrated", „Fortune", „Money"), sieć kablową Home Box Office, Cinemax, American Television and Communication Corporation, Time Life Books i wydawnictwo Little, Brown and Company. W momencie, gdy pod koniec 1993 roku Paramount sam stał się obiektem przetargowej batalii między zaprzyjaźnionym konkurentem Viacomem (który w końcu odniósł zwycięstwo) a nieprzyjaznym napastnikiem QVC, był już posiadaczem Trans-Lux Theater Corporation, sieci USA, Famous Music Corporation, wyborów Miss Universum i Paramount Theme Parks. Żaden konglomerat nie jest kompletny, jeśli nie może się wylegitymować własnym parkiem tematycznym.

W apogeum zmagań z Viacomem i QVC Paramount zdążył jeszcze wchłonąć inne wielkie wydawnictwo – Macmillan Publishing Co. Inc. – i dokładnie rozważyć kontrakt z Chris-Craft na utworzenie piątej sieci telewizyjnej (Fox to czwarta). U najważniejszych konkurentów Paramountu, m.in. Time Warner, Sony Columbia, Matsushita-MCA, News Corporation Murdocha, Advance Publications/Newhouse Broadcasting S.I. Newhouse'a i Capital Cities/ABC stan posiadania wygląda bardzo podobnie. Dodajmy do tego niezależne firmy, które się jeszcze uchowały (MGM/United Artists pod tymczasową kuratelą finansową Crédit Lyonnais oraz korporację Disneya, ostatnią naprawdę niezależną), 7 regionalnych kompanii telefonicznych Bella z ich nowymi nabytkami kablowymi i zagranicznymi, starających się przejąć wytwórców oprogramowania, ponadto kilka molochów wydawniczych w rodzaju Bertelsmanna (ostatnio nabył Bantam Books, RCA Records i wieżowiec w Nowym Jorku), Dow Jones i the New York Times Company, a także potęgi komputerowe – Intela i Microsoft, a okaże się, że zaledwie dwadzieścia kilka firm kontroluje prawie każdy piksel w ogromnym telesektorze inforozrywkowym. Wolnym rynkiem, jego zaletami i wadami zajmę się jeszcze obszerniej w ostatniej części książki, ale w omawianym tutaj telesektorze z wolnego rynku niewiele pozostało. Brak ingerencji rządu nie doprowadził i najwyraźniej nie doprowadzi do wytworzenia się prawdziwej konkurencji czy autentycznego zróżnicowania produktu i własności. Tutaj, jak i w wielu innych dziedzinach, zaniechanie regulacji w imię konkurencji oznacza w praktyce konglomerację i monopol.

Wielce złożone, przeplatające się wzajemnie struktury tych korporacji nie są w stanie zaćmić blasku, jaki bije od nielicznej grupki luminarzy, którzy śladem Cecila B. De-Mille'a i Sama Goldwyna wspięli się na hollywoodzki Olimp. Na samym szczycie, wysoko ponad niepewnymi przypływami i odpływami korporacji, stoją obecnie Mi-

chael Eisner, Ted Turner, Rupert Murdoch, Sumner Redstone, Barry Diller, Martin S. Davis, David Geffen, George Lucas, Michael Ovitz, Bill Gates, Jeffrey Katzenberg, H. Wayne Huizenga, John C. Malone i Steven Spielberg. To rekiny, które pływają w Golfstromie (Gulf & Western, obecnie Paramount), marząc o świecie, jaki tylko one mogą sobie wyobrazić i wykreować w postaci obrazów[7]. Zmienne są alianse, przypływy i odpływy, ale uczestnicy gry pozostają wciąż ci sami: Katzenberg, zniechęcony do Eisnera, przyłączył się do Geffena i Spielberga, Redstone, wchłonąwszy Paramount, zamierza wybrać się na kolację z Huizengą, Diller, źle potraktowany przez Davisa, wchodzi w spółkę z Murdochem, lecz sam się zwalnia i staje do przetargu o Paramount Davisa.

Barry Diller z QVC może być symbolem drapieżnej polityki monopolów skupiających nowe media. Nie da się wykluczyć, że na krótką metę polityka ta służy interesom udziałowców (jedyny to chyba interes publiczny, o który troszczą się sądy), ale nie jest korzystna dla konkurencyjności, możliwości wyboru, twórczości ani też dla dobra publicznego, w bliskiej lub dalszej perspektywie. Przez wiele lat Barry Diller był w Hollywood potęgą. Na początku lat osiemdziesiątych, zdobywszy praktykę w zawodzie producenta filmowego, wylądował w Paramount, gdzie wkrótce objął kierownicze stanowisko i stał się mistrzem młodych producentów, m.in. Scotta Rudina. Z powodu konfliktów z Martinem Davisem, ówczesnym i obecnym szefem Paramountu, został wymanewrowany. Przeniósł się do Foxa, gdzie założył sieć Fox Television i dobrze prosperował, do czasu zakupu Foxa przez Ruperta Murdocha w 1992 roku. Proszono go o pozostanie, ale zażądał finansowych udziałów, których Murdoch nie chciał mu przyznać, odszedł więc i przejął sieć sprzedaży wysyłkowej QVC, co wielu obserwatorów uznało za ślepy zaułek i koniec jego kariery. Tymczasem QVC wcześniej od większości uczestników gry odkryła jedną z najprostszych i najgłębszych prawd

rządzących McŚwiatem: telewizja *jest* konsumpcją, a reklamy zaliczają się do najpopularniejszych programów. Niech kupują to, co oglądają – w ten sposób będziemy mieli za jednym zamachem telewizję i centrum handlowe, dwie najpotężniejsze branże McŚwiata. Jak wykazuje MTV oraz nowsze, bardzo popularne półgodzinne i godzinne programy sponsorowane (infomercjale), przynoszące duże zyski, publiczność kiepsko się orientuje, gdzie kończy się komercyjne programowanie, a zaczynają programy ściśle komercyjne. A nawet, o ile potrafi dostrzec różnicę, może przedkładać te drugie nad to pierwsze. Dla Dillera QVC nie tylko ucieleśniała korporacyjną filozofię czystego zysku napędzającą fuzje, stała się fundamentem pod jego własne imperium. Kiedy Summer Redstone latem 1993 roku wystąpił z przyjacielską ofertą zakupienia Paramountu, Barry Diller dostrzegł szansę przekształcenia swojej dość symbolicznej firmy w prawdziwą potęgę hollywoodzkiego świata, a przy okazji załatwienia porachunków z Martinem Davisem, który przesądził o jego losach w Paramouncie. Ambicje personalne wzmocnione synergią środków łączności i przekazu wytworzyły jeszcze silniejszą synergię. Mając po swojej stronie decyzje sądu krytycznie oceniające faworyzowanie Viacomu przez Paramount, Barry Diller znalazł się o krok od zwycięstwa i zaanektowania ostatniego wielkiego niezależnego studia, nie licząc Disneya.

W Hollywood, gdzie żaden człowiek nie jest odrębną wyspą, a za każdym przejęciem firmy stoi co najmniej archipelag korporacji, Diller miał na kogo liczyć. Viacom Redstone'a uzyskał wsparcie finansowe w wysokości 600 mln dolarów od Blockbuster Video H. Wayne'a Huizengi (z którym w końcu wszedł w fuzję, i który już kontrolował Republic Pictures and Spelling Entertaiment oraz trzy drużyny sportowe w Miami). Mógł też liczyć na 1,2 mld dolarów od firmy Nynex, która zawarła właśnie inny synergiczny kontrakt z japońską Tom Corporation na rozbudowę kablowej i interaktywnej telewizji w Japo-

nii. „Dzieci" wielkiego Bella poszukiwały produktów, które mogłyby transmitować przez swoje linie telefoniczne i systemy komórkowe. Diller zwrócił się więc do Cox Enterprises i Advance Publications S.I. Newhouse'a (ten ostatni kontroluje m.in. 26 gazet, system kablowy i Random House Inc.) o zabezpieczenie w wysokości po 500 mln od każdego na początek. Zdecydował się także, choć niezbyt chętnie, na sojusz z Johnem C. Malone, „królem kabli", jednym z najbogatszych Amerykanów, z Tele-Communications (firmą, która zaangażowała się później w gigantyczny plan fuzji z Bell Atlantic, choć nie wiadomo, czy przedsięwzięcie to się uda), a także z wytwórnią programów telewizyjnych Liberty Media, do której należy Black Entertaiment Television, Family Channel i 22,5 procent udziałów w QVC. Wraz z Time Warner (25 procent udziałów), Tele-Communications Malone'a (25 procent udziałów) kontroluje także Turner Broadcasting System. Ta ostatnia firma musiała się zwrócić o dofinansowanie z zewnątrz, bo liczne nowe nabytki wyczerpały zasoby Turnera. QVC, jako ewentualny nabywca Paramountu żywiący wobec niego nieprzyjazne zamiary, należy już więc nie tylko do Barry'ego Dillera (12,6 procent), ale i do Johna C. Malone'a (poprzez Malone Liberty Media, które mają 22,2 procent udziałów w QVC) i Briana Roberta z jego Comcast Cable (12,5 procent udziałów). Time Warner, który wraz z koncernem Malone'a jest współwłaścicielem Tuner Broadcasting, kontroluje 9 procent udziałów. Nic nie jest takie, jak się wydaje. Każdy jest właścicielem kawałka kogoś innego, a na zewnątrz nie ma tak naprawdę nikogo. Jak w prawdziwym centrum handlowym, wszystko mieści się w środku.

Nie będziemy wdawać się w szczegóły tych powiązań i zależności. Za rok fuzje i sojusze znów się zmienią, niektórzy ze zwycięskich nabywców staną się łupem innych korporacji. Uczestnicy gry pozostaną jednak ci sami, choć rozkład ulegnie zmianie. Nadal będzie

mnóstwo przeplatających się wzajemnie struktur korporacyjnych przemieszczających się niepewnie po grząskim gruncie. W szczelinach między tymi strukturami nadal będzie kursować nieliczna grupka wybitnych indywidualności, z których zaledwie garstka będzie odgrywać znaczącą rolę w zarządzaniu bądź twórczości. Malone to zasobny w pieniądze menedżer („lokaj-miliarder", jak sam się określił obejmując funkcję wiceprezesa Bell Atlantic), Diller to domniemany geniusz twórczy[8]. W przetargowej wojnie między QVC i Viacomem obaj zostali wyprowadzeni w pole, a Sumner Redstone i Martin Davis zyskali tymczasową przewagę. W trakcie tego wszystkiego znowu zawęził się jednak krąg uczestników gry, nic natomiast nie zyskał ogół odbiorców, w których interesie leży pełen dostęp do infostrady i jak największe zróżnicowanie dostępnego repertuaru i treści kulturowych.

Triumf dolara nad wszelkim dobrem publicznym lub prywatnym oznacza nie tylko wprowadzenie idiotycznej komercji na miejsce wartościowej informacji i zróżnicowanej rozrywki, ale i monopolistyczną antytezę społeczeństwa demokratycznego i wolnej cywilizacji, a może i samego kapitalizmu. Założenie spółki przez „geniuszy twórczości" w rodzaju Spielberga, Katzenberga i Geffena spędza sen z powiek ich rywalom, ale niekoniecznie podsyca konkurencję czy dostarcza twórczych podniet, choć obserwatorzy mogą znów wiwatować na cześć synergii. Jakże jednak taki Edward Bronfman (Seagram) może przejąć Matsushitę/MCA/Universal Picture nie stwarzając własnego megamonopolu? Typowe dla McŚwiata połączenia zachodzące w tak ważnym telesektorze inforozrywkowym nie służą ani kulturze, ani wolności, ani demokracji.

Doszedłszy do tego ponurego wniosku, wracamy do kwestii poruszonych w poprzednim rozdziale, a dotyczących ogólnie wpływów rynku w McŚwiecie. Widzowie mogą głosować dolarami, mogą mieć swoje poglądy czy

preferencje ujawniające się przy zakupach, ale kto w hollywoodzkim obszarze McŚwiata ujmie się za społeczeństwem? Czy istnieje jakiś globalny ekwiwalent nawet tak słabej instytucji, jak Federalna Komisja Łączności? Jeśli twórcy parków tematycznych mówią dziś o „prywatyzowaniu rządu" i przejmowaniu wielu funkcji państwa, czy jest jakiś sposób na to, by obywatele mogli się zrewanżować i „upublicznić prywatne rynki", wymóc na nich odpowiedzialność i liczenie się z dobrem publicznym w jakimś przynajmniej stopniu? Jakie instytucje są w stanie, kierując się względami jakości, różnorodności lub wspólnoty, wywrzeć równoważący nacisk na centra handlowe, parki tematyczne czy monopole środków przekazu?

Państwa, które usiłowały w ostatnich latach wprowadzać skromne regulacje w tym względzie, zyskały sobie opinię merkantylistycznych potworów, a zwolennicy wolnego handlu i fanatycy rynku naciskają, by pozwolono im działać – jak mówiono dawniej, *laissez-faire*. Niewiele jest dzisiaj demokratycznych rządów, a już na pewno nie w Ameryce ani Anglii, którym chciałoby się coś regulować lub kontrolować w imię dobra publicznego. Rządy stały się obiektem ataku ze strony wyalienowanych i niezadowolonych klientów i trudno przypuszczać, by mogły posłużyć obywatelom jako narzędzie okiełznania dzikiego kapitalizmu. Rynek wyszedł zwycięsko z wojny, jaką co najmniej od czasów Adama Smitha prowadzi przeciwko państwu narodowemu i reprezentowanemu przezeń interesowi publicznemu. Kenichi Ohmae z Japonii, Herbert Henzler z Niemiec Zachodnich i Fred Gluck ze Stanów Zjednoczonych – trzech rywali poszukujących consensusu – uzgodniło w 1990 roku „Deklarację Wzajemnej Zależności – Ku Światu w 2005 Roku". Nowym elementem o fundamentalnym znaczeniu jest w niej apel o zmianę roli rządu centralnego, który powinien: „zapewnić jednostkom dostęp do najlepszych i najtańszych towarów i usług z różnych krajów świata, pomagać korporacjom, niezależnie od ich narodowej przynależności, w tworzeniu

stałych i dobrze opłacanych miejsc pracy na całym świecie, koordynować z innymi rządami działania mające na celu zminimalizowanie konfliktów wynikających z wąskich interesów, unikać przeprowadzania gwałtownych zmian w podstawach porządku ekonomicznego i społecznego"[9]. Czy te gwałtowne zmiany to demokratyzacja? A wąskie interesy to polityka ochrony środowiska i pełnego zatrudnienia? Deklaracja wzywa państwo narodowe, by przyłożyło ręki do samolikwidacji. Wygląda na to, że w wielu rejonach świata zachodniego państwo się do tego stosuje, przy współudziale zniewolonych mężczyzn i kobiet, wyraźnie przedkładających swoje prawa klientów i konsumentów nad obowiązki i swobody obywateli.

Niewykluczone, że z konieczności robi się cnotę, tam bowiem, gdzie rządy nadal próbują coś regulować, cenzorować, subsydiować lub interweniować, idzie im to coraz gorzej. Rynek na rozrywkę i informację stał się tak globalny, technologia tak odporna na lokalną kontrolę, a ideologia wolnego handlu tak wszechobecna, że nie może być inaczej. W Stanach Zjednoczonych zwolennicy regulacji, jak wiceprezydent Gore, domagają się „powszechnego dostępu" do infostrady, twierdząc uparcie, że „uczeń z Carthage w stanie Tennessee, niezależnie od dochodu jego rodziny, powinien mieć możliwość podłączenia się do Biblioteki Kongresu i pracowania w domu, w swoim własnym tempie"[10]. Gingrich, przewodniczący Izby Reprezentantów, wystąpił nawet z pomysłami na zaopatrzenie w komputery ubogich warstw społeczeństwa. Niezła idea, ale raczej niemożliwa do zrealizowania w klimacie tak bardzo nieprzychylnym rządom, przy dominacji transnarodowych rynków.

I tak znów pojawia się nasze zasadnicze pytanie: jak ma przetrwać demokracja w świecie, gdzie rozbijackie siły Dżihadu osłabiają państwo narodowe i jego demokratyczne instytucje, a jednocześnie, za sprawą integrujących sił McŚwiata, to państwo i te instytucje zostają uznane za zbyteczne i przestarzałe? Gdzie na tak zachwalanej info-

stradzie znaleźć drogi wiodące do sprawiedliwości i kanały, które będą transmitować *vox populi*? Jak społeczeństwa, które obaliły imperium despotów i skostniałych politycznych ideologii, mają bronić publicznego dobra przed imperium zysku i monopolu kulturalnego? Jaka demokratyczna ideologia jest w stanie stanąć do rywalizacji z „wolnym" rynkiem, który, jak twierdzi, daje możliwość „wyboru", i przywrócić nam możliwość wspólnego wybierania publicznego dobra, co wyzwoliłoby nas od ubocznych społecznych konsekwencji rynkowych wyborów, które pragną uchodzić za wolność? Czy rozważna publiczna dyskusja nad tymi zagadnieniami jest w ogóle możliwa, skoro w systemach komunikowania się McŚwiata zakodowane są preferencje, które bez żadnej dyskusji modyfikują społeczne postawy i indywidualne zachowania?

Niemądre byłoby sugerowanie, iż mamy do czynienia ze spiskiem bądź jakimiś bezwzględnymi zakusami politycznymi. McŚwiatem kieruje automatyczny pilot: na tym właśnie polega rynek. Skutki nie podlegają imperatywowi kontroli, tylko imperatywowi sprzedaży. Chcąc tę logikę doprowadzić do absurdu otrzymalibyśmy jedną korporację wytwarzającą jeden produkt, który zaspokaja wszystkie potrzeby: but sportowy wyposażony w przewód doprowadzający pożywienie, połączony z okularami przeciwsłonecznymi, które wstrzykują coca-colę prosto do żył ucha wewnętrznego, a szeroko rozwartym oczom prezentują migające wideoklipy. Logika ta rodzi nieobliczalne konsekwencje polityczne: swego rodzaju totalitaryzm bez totalitarnej władzy, gdzie każdy jest poddanym, a rządzących nie ma. Kobietami i mężczyznami rządzą ich własne apetyty, nie zaś mniej bezwzględni tyrani, których się zawsze obawiano – „dyktatorzy" czy „monopartie".

Sama idea społeczeństwa tak się ściśle skojarzyła z państwem narodowym, że koncepcja „globalnego społeczeństwa" wydaje się nie do pomyślenia, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę dalsze rozbijanie lokalnych

społeczności przez neotrybalizmy Dżihadu. W solipsystycznej rzeczywistości wirtualnej w cyberprzestrzeni samo pojęcie wspólnotowości wydaje się zagrożone. Jak znaleźć wspólny grunt, skoro sam grunt przestaje istnieć, a ludzie stają się mieszkańcami abstrakcji? Być może wśród miriadów pojedynczych istot tkwiących przed ekranami komputerów i połączonych jedynie koniuszkami palców z wirtualną siecią Internetu wytworzy się jakaś nowa forma wspólnoty, ale politykę takiej „społeczności" trzeba będzie dopiero wynaleźć, i raczej trudno stwierdzić, że będzie miała demokratyczny charakter. Użytkownicy Internetu gadają co prawda o swojej społeczności, ale kiedy ostatnio któryś z nich rozmawiał z sąsiadem? Jeśli „dobrym płotom zawdzięczamy dobrych sąsiadów", jak mówi przysłowie, to sąsiedzi wirtualni gwarantują dobre płoty – przeciw sąsiadom prawdziwym.

Woody Guthrie śpiewał kiedyś na cześć potencjalnej amerykańskiej wspólnotowości (mniej kierując się przekonaniem, bardziej nadzieją): „To jest twój kraj, to jest mój kraj". Czyim krajem jest Disneyland? Albo „nowy kraj" Stevena Spielberga? Do kogo powinien należeć McŚwiat, i czy właściciele będą w stanie wyrwać go z rąk nieodpowiedzialnych i całkiem przypadkowych jednostek, czy też nieodpowiedzialnych i ultramonopolistycznych korporacji, będących jego aktualnymi posiadaczami? Poeci mniej utalentowani niż Guthrie zaproponowali niedawno własną odpowiedź: „My jesteśmy światem". Ale czyim? I gdzie są ci „my" w McŚwiecie, który uznaje cały galimatias pojedynczych „ja", działających impulsywnie na anonimowym rynku, ale nie daje żadnych wskazówek co do wspólnej tożsamości czy miejsca wspólnoty na tymże rynku. Nic więc dziwnego, że nowe plemiona zadające ciosy państwu narodowemu dostrzegają w McŚwiecie wyłącznie destrukcję wszystkiego, co się składa na ich tożsamość. W każdym wypadku wychodzi na to, że przegrywa demokracja. Dżihad uznaje całkiem inne cnoty, McŚwiat pomija ją w swoich priorytetach.

Czy w takich warunkach uda się jej znaleźć nowe formy wyrazu, nowe instytucje i nowe postawy, które pomogą jej przetrwać?

Od strony praktycznej są to zagadnienia, którymi powinna się zająć teoria polityki i politologia. Przenoszą nas do ostatniej części tej książki przedstawiającej Dżihad i McŚwiat, stawiając pytanie: czy demokracja możliwa jest w warunkach któregoś z nich? Zanim zostanie udzielona odpowiedź, powinniśmy jednak przyjrzeć się zjawiskom, które nazwałem siłami Dżihadu z równą uwagą, jak dotąd McŚwiatowi. Dżihad stanowi bowiem to drugie wyzwanie, przed jakim stanie demokracja w trzecim tysiącleciu naszej ery, a w niedalekiej przyszłości może bardziej zagrozić wolnym instytucjom.

CZĘŚĆ II

STARY ŚWIAT DŻIHADU

10
Dżihad kontra McŚwiat czy Dżihad poprzez McŚwiat?

Pod względem psychologicznym ludzie tak są uzależnieni od wspólnoty, tak bardzo jej potrzebują, tak tęsknią za braterstwem krwi nie uznawanym przez komercyjną konsumpcję, tak pragną więzi siostrzanej, sprzecznej z wymogami bycia osobą ludzką, że McŚwiat nie ma innego wyjścia, jak obsługiwać Dżihad, a nawet ozdobnie go pakować i wystawiać na sprzedaż. Widzieliśmy już, jak odbywa się akwizycja sportowego obuwia dzięki wykorzystaniu subkultury amerykańskich czarnych gett. American Express traktuje dalekie podróże (przywilej McŚwiata) jako safari do egzotycznych zakątków globu, gdzie tubylcze kultury uchowały się jeszcze prawie nietknięte, choć American Express umożliwił kontakty z nimi i ich destrukcję. McDonald's „adaptuje się" do lokalnych zwyczajów, serwując we Francji wino, a w Rosji miejscową wołowinę, choć za sprawą narzucanego przezeń stylu życia krajowe wino i wołowina tracą jakiekolwiek znaczenie. McŚwiat nie może się obejść bez Dżihadu: zaściankowe kultury potrzebne mu są do zaspokajania nienasyconego apetytu. Ale Dżihad też byłby niczym bez McŚwiata, bo czymże jest kultura bez producentów, którzy potrafią ją sprzedać, i bez systemu informacji i łączności, dzięki którym daje znać o sobie? *Nowocześni* fundamentaliści chrześcijańscy (to już nie oksymoron) mają więc dostęp do Forum Religijnego poprzez usługi CompuServe, a muzułmanie mogą sobie buszować po

Internecie, aż trafią na cybermuzułmański dokument Mas'ooda Cajee. To nie błąd komputerowy: „Cybermuslim" to autentyczny tytuł![1] I religia, i kultura potrzebują technologii i rynków McŚwiata. Bez nich nie byłby im pisany długi żywot.

Zastrzegam się, że utożsamiłem McŚwiat z procesami o zasadniczym znaczeniu, jakie stały się możliwe dzięki wynalazkom w dziedzinie technologii i środków łączności, które pojawiły się dopiero pod koniec XX wieku. W pewien sposób McŚwiat jest jednak naturalną kulminacją procesu modernizacji (nazywanego przez niektórych westernizacją), który rozpoczął się od narodzin nowożytnej nauki w dobie Renesansu, czemu towarzyszył paradygmat uznania wiedzy za potęgę. Jeśli się bliżej przyjrzymy, okaże się, że niewiele jest w McŚwiecie elementów, które nie byłyby zapowiedziane, jeśli nie przez Renesans, to przez Oświecenie: wiara w rozum, namiętne umiłowanie wolności i (nie pozostająca bez związku z tym umiłowaniem) fascynacja możliwością kontroli, wyobrażenie o ludzkim umyśle jako *tabula rasa*, białej tablicy, która może zostać zapisana, a więc i wyposażona w odpowiednie kody przez rządzące elity techniczne i naukowe. Inne elementy to zaufanie do rynku, sceptyczny stosunek do wiary i obyczaju, wreszcie kosmopolityczna pogarda dla kultury zaścianka. Wolter żywił pogardę dla historii, którą uważał co najwyżej za rejestr błędów i szaleństwa ludzkości. Oświeceniowa psychologia zakładała istnienie jednej, uniwersalnej natury ludzkiej, obdarzonej rozumem i osadzonej w większej harmonii łańcucha bytu. Bogata wyobraźnia Alexandra Pope'a tak to przedstawiała w *Wierszu o człowieku**:

Wszystko wielkiej całości jest tylko wydziałem,
Której Bóg sam jest duszą, a natura ciałem...

---

* Przełożył Ludwik Kamiński, Nakładem Zawadzkiego i Węckiego, Warszawa 1816, s. 11 i 25–26.

Patrz na świat, jak nad nami i na tym padole
Wszystko łańcuch miłości w jednem trzyma kole.
Patrz! Jak w tym celu działa przyrodzenie płodne,
Jak się wzajemnie twory przyciągają zgodne...

Nic nie jest próżnem, z cząstek całość ta się składa;
Jeden duch dobroczynny, który wszystkim włada,
W małych i wielkich tworach równą zgodność budzi,
Nas przeznaczył dla zwierząt, a tamte dla ludzi.
Wszystko wsparte i wspiera, nic nie jest osobno,
Gdzie się kończy ten łańcuch, zgadnąć niepodobno.

Blichtr McŚwiata, jego otępiający komercjalizm i wirtualne niesamowitości, które postawiły pod znakiem zapytania samo pojęcie rzeczywistości, mogą się wydawać czymś nowym. Nasuwają się w związku z tym pytania, czy na przykład wspólnoty wirtualne zorganizowane wokół Internetu mają w jakimkolwiek sensie polityczny czy społeczny charakter i czy sieci informatyczne zwiększają czy ograniczają dostęp ogółu do informacji i obywatelski potencjał. Bez względu jednak na to, czy w grę wchodzą nowinki, czy też nie, mało jest rzeczy w naszej postmodernistycznej epoce, które mogłyby zaskoczyć oświeceniowych i postoświeceniowych pionierów modernizacji, takich jak Pope, Wolter, John Stuart Mill czy Max Weber. Niewiele też rzeczy podniosłoby na duchu zwolenników kasandrycznych wizji – Rousseau i Nietzschego – którzy dość dokładnie przewidzieli, jak będzie wyglądała ciemna strona Oświecenia. Allan Bloom, narzekając na nasz zaszargany świat, mógł się w znacznej mierze oprzeć na uduchowionych żalach ludzi z dawnej epoki [2].

To, co nazwałem siłami Dżihadu, może sprawiać wrażenie nawrotu do czasów sprzed epoki nowożytnej: próba rekonstrukcji świata, który istniał przed kosmopolitycznym kapitalizmem, a jego elementami były misteria religijne, zhierarchizowane społeczności, myślenie magiczne, stagnacja. Wydawałoby się, że w takiej postaci stanowią

dokładne przeciwieństwo sił McŚwiata, ale Dżihad stoi nie tyle w zdecydowanej opozycji do tego ostatniego, co stanowi jego kontrapunkt, będąc dialektyczną reakcją na modernizację. Wśród jego cech znajdujemy zarówno odbicie, jak i wzmocnienie zalet i wad współczesnego świata – jest to raczej Dżihad poprzez McŚwiat niż Dżihad kontra McŚwiat. Siły Dżihadu nie tylko żyją we wspomnieniach wrogów McŚwiata i są przez nich wskrzeszane, ale rodzą się także w wyobraźni jego sprzymierzeńców i rzeczników i są przez nich powoływane do życia.

Proces modernizacji wyprzedza swoich krytyków, są więc od niego zależni. I chociaż w walce z nowoczesnością mogą podejmować próby wskrzeszania dawnych zwyczajów i tradycyjnych pojęć, to zwyczaje te i pojęcia – takie na przykład, jak etniczność, fundamentalizm religijny, nacjonalizm i kultura – same, przynajmniej po części, są wytworem niespokojnych umysłów epoki nowożytnej.[3] Dżihad jest nie tylko adwersarzem McŚwiata, ale i jego dzieckiem. Oba zwarły się ze sobą w swego rodzaju Freudowskim momencie nieustających kulturowych zmagań – nie chcą ze sobą koegzystować, ale jeden bez drugiego nie jest kompletny. Benedict Anderson trafia w sedno, określając siłę napędową Dżihadu, naród, mianem „wyobrażonej wspólnoty politycznej"[4]. I tak dochodzimy do kwestii o kluczowym znaczeniu, kwestii nacjonalizmu i jego roli w walce Dżihadu przeciw McŚwiatowi.

Znaczenie (znaczenia) nacjonalizmu

Religia może być najbardziej szlachetną, a zarazem najbardziej toksyczną siłą, wśród tych, które napędzają współczesną Świętą Wojnę, ale żadna z nich nie odgrywa tak doniosłej roli jak nacjonalizm, będący, zgodnie z określeniem Waltera Russella Meada i wielu innych autorów, „najpotężniejszą dziś siłą polityczną na ziem-

skim globie"[5]. Problem w tym, że choć istnieje zgoda co do mocy oddziaływania nacjonalizmu, nie ma zgody co do jego definicji. Mamy więc stary nacjonalizm i nowy nacjonalizm, dobry i zły, obywatelski i etniczny, nacjonalizm jako twórcę wielkich mocarstw i jako ich grabarza, nacjonalizm wschodnioeuropejski, skierowany przeciw wielkim imperiom (Turcji, Rosji, Austrii) i zachodnioeuropejski, wymierzony przeciw partykularnym tendencjom hamującym proces tworzenia narodu, nacjonalizm liberalnego państwa narodowego i nacjonalizm *ethnosu* – zaściankowej i plemiennej wspólnoty[6].

Nacjonalizm, jako składnik wrogiego nowoczesności Dżihadu, kojarzy się z takimi pojęciami, jak ograniczoność, antagonizm, skłonność do podziałów. Odnieść można wrażenie, że istnieje w formie z zasady negatywnej: etnicznego i kulturowego partykularyzmu, który stawia sobie za cel rozbicie państwa narodowego i wielokulturowych całości w imieniu monokulturowych części. Zwolennicy wolnego handlu i jednego McŚwiata posługują się terminem „nacjonalizm" w jadowicie pejoratywnym znaczeniu, przywodzącym na myśl frakcyjny i antykosmopolityczny trybalizm, który kojarzy się z „bratnią więzią" o krwawych konsekwencjach, zawiera też w sobie równie toksyczne elementy ciemnogrodu i prymitywu.

Byłoby to jednak wypaczanie o wiele bardziej dialektycznej koncepcji nacjonalizmu, jaką obserwujemy na przestrzeni dziejów. Chociaż dzisiaj może się wydawać, że nacjonalizm rozbija istniejące państwa, niegdyś przyczynił się do ukształtowania tych, które stały się kolebką Oświecenia. Zrodzone z idei Oświecenia racjonalistyczne (choć niewolne od irracjonalizmu) rewolucje we Francji, Ameryce i Niemczech nadały nacjonalizmowi znaczny impet oraz znamię nowoczesności. Jakobini i amerykańscy „ojcowie-założyciele" kierowali się ideą „liberalnego nacjonalizmu" jednoczącego w sobie kosmopolityczne ideały wolności i równości ze wspólnotowymi ideałami braterstwa i solidarności. Ta idea umożliwiła ludom mającym

swe własne kulturowe i historyczne ograniczenia stworzenie konstytucji opartych na prawach i rozumie. Powstanie Greków przeciw władzy ottomańskiej, w którym tak widowiskową śmierć poniósł w 1824 roku lord Byron, cieszyło się na przykład niekłamanym poparciem ze strony angielskich romantyków i liberałów, bo narodowe samostanowienie uważano za warunek wolności, wolność z kolei pojmowano jako najszlachetniejszy cel, do jakiego zmierza nacjonalizm. To przecież liberał J.S. Mill dostrzegał związek między wolnością a tożsamością narodową, który uważał za niezbędny, a jego słowa były niejako echem twierdzenia Rousseau, w myśl którego tylko zintegrowany naród może udźwignąć republikańską konstytucję[7]. Liberalni i romantyczni nacjonaliści, od Herdera po Mazziniego, wyznawali religię ludzkości, uświęcającą uniwersalną koncepcję natury ludzkiej *oraz* aktywną świadomość narodową. Mazzini stwierdzał w górnolotnych słowach, że „narodowość to rola, jaką Bóg wyznaczył każdemu ludowi w wielkim dziele człowieczeństwa"[8].

Podczas krótkiego okresu łaski (w czasie rewolucji francuskiej i po niej), kiedy „patriotyzm" oznaczał zarówno umiłowanie współobywateli, jak i kraju (Rousseau), a pojęcie *la patrie* odnosiło się do demokratycznej republiki i do narodu, ten wzniosły amalgamat ideałów indywidualistycznych i wspólnotowych – synteza religii ludzkości i świeckiej historii narodów – umożliwił, jak się wydawało, zakorzenienie się idei rozumu, która stała się pełnoprawnym elementem tożsamości nacjonalistycznego ciała i kulturalnej krwi. Francuska ideologia postępu i rewolucji połączyła w sobie partykularyzm i kosmopolityzm*, prawdziwym zaś kosmopolitą był, jak przyznaje Paul Hazard, „ten, kto myślał *à la française*"[9]. Dzięki takiemu rozumieniu narodu mogło powstać pań-

* Autor konsekwentnie używa terminu „kosmopolityzm" w znaczeniu zbliżonym raczej do polskiego „uniwersalizmu" – przyp. tłum.

stwo konstytucyjne, w którym władzę sprawował „lud" (*Volk, gens, peuple* lub *nation*) – czyli to, co określamy jako państwo narodowe (*nation-state*). Ono z kolei stworzyło prawny grunt dla demokracji. Państwo narodowe, w takim zakresie, w jakim związane są z nim współczesne instytucje demokratyczne, stanowi owoc tego właśnie związku między nacjonalizmem a liberalizmem.

Był to jednak szczególny mariaż, partnerstwo od samego początku nacechowane brakiem równowagi. O ile z początku historia była mu przychylna i w pierwszej połowie XIX wieku dało się zaobserwować stabilizowanie się ambitnych państw narodowych w Kanadzie i Ameryce (na pewien sposób również we Francji), a także ich powstanie we Włoszech i Prusach, o tyle pod koniec stulecia drogi liberalizmu i nacjonalizmu zaczęły się rozchodzić. Chociaż u podstaw ich związku legła zasada możliwości osiągnięcia harmonii między wolnością i partykularną tożsamością, to w przypadku Ameryki, Francji i Kanady w tożsamość narodową wbudowano element pluralizmu, będący dla tych państw nieodzownym spoiwem. Nie doszło do tego we Włoszech, w Niemczech, w Grecji i na Bałkanach, gdzie z czasem wspomniany mariaż rozpadł się, a konsekwencje okazały się szczególnie tragiczne. Jak opisuje Eric Hobsbawm, pod koniec XIX wieku nacjonalizm „z doktryny kojarzonej z liberalizmem i lewicą przemienił się w szowinistyczny, imperialistyczny i ksenofobiczny ruch prawicy – i to prawicy w radykalnym wydaniu"[10].

Przeminięcie liberalnego nacjonalizmu jako eksperymentu historycznego nie oznaczało jednak końca jego kariery jako teorii społecznej. Argumentem otwartego liberalnego nacjonalizmu szermują po dziś dzień idealiści, dla których przynależność państwowa jest zbyt wątłą i abstrakcyjną podstawą dla tożsamości, z drugiej jednak strony uznają, że nacjonalizm w dotychczasowej postaci zapisał zbyt wiele krwawych kart i ma zbyt zamknięty charakter, by mógł stanowić

bazę dla równości wszystkich obywateli. W latach dwudziestych, w epoce rozpadu imperiów i wyłaniania się aspiracji „nacjonalistycznych", które poprzedziły bałkanizację Wschodu (wiele tu analogii do naszych czasów) Ortega y Gasset wskazywał, że nacjonalizm, odniósłszy zwycięstwo na polu integrowania narodów, musi zmienić swoją strategię: „W okresach konsolidacji nacjonalizm ma, jako norma, wartość pozytywną. Ale we współczesnej Europie wszystko jest aż zanadto skonsolidowane, a nacjonalizm to już nic innego, jak tylko głupia mania"[11]. W naszej dobrze skonsolidowanej epoce, gdzie nowy nacjonalizm przybrał najwyraźniej postać toksycznego obłędu rozbijającego państwa, nadal spotykamy głosy opowiadające się za modelem otwartym. Yael Tamir żywi przekonanie, iż „tradycja liberalna, z jej poszanowaniem dla autonomii jednostki, refleksji i wyboru, oraz tradycja narodowa, kładąca nacisk na przynależność, lojalność i solidarność, choć w przekonaniu ogółu wykluczają się wzajemnie, mogą się do siebie przystosować". Autorka tych słów jest pewna, że, bez względu na historię, umiejscowienie i możliwość wyboru nie muszą być z zasady sprzeczne"[12].

Z zasady może i nie, ale w historii zbyt często się to zdarzało. W naszym stuleciu rzeczywistość częściej zaprzeczała regułom dialektyki, niż je potwierdzała. Wolność i braterstwo to bratnie konstrukty rewolucji francuskiej, ale – na podobieństwo Kaina i Abla – zrodzone, by z sobą walczyć. Umiejscowienie, jeśli nawet nie oznacza wyłącznie podporządkowania się szerszej wspólnej tożsamości, równa się uczestnictwu w zbiorowościach ograniczających możliwość wyboru. Wbrew temu, co twierdził John Stuart Mill, potężne stare dęby nie potrafią fruwać, o czym mógł mu przypomnieć Edmund Burke. Burke wiedział bowiem, że „ludzi nie łączą papiery i pieczęcie. Więzi między nimi powstają za sprawą podobieństw, wspólnoty zachowań i uczuć"[13]. Wbrew temu, co twierdził Rousseau, motyle nie mogą zapuszczać korzeni, tak

jak związane kontraktem osoby prawne nie będą żywić wspólnych uczuć. Każdy naturalizowany obywatel zaświadczy, że wybór własnych korzeni to nie to samo, co zakorzenienie dzięki urodzeniu lub więzom krwi. Dobrowolne członkostwo może być szczególnie doceniane – „stałem się Amerykaninem" – nie zapewnia jednak poczucia przypisanej raz na zawsze tożsamości, jakie posiada rodowity mieszkaniec danego kraju: „Jestem Amerykaninem". Jeżeli naród „zawsze jest pojmowany jako głębokie, obejmujące wszystkich członków grupy braterstwo", którego podstawą jest wspólny język, pozwalający formułować wyobrażenia o wspólnej przeszłości, to wolność i otwartość będą w najlepszym wypadku przypadkowymi elementami tego krajobrazu, w najgorszym zaś postrzegane będą jako elementy wrogie[14].

Dziewiętnastowieczny socjolog Ferdinand Tönnies w fundamentalnej pracy z antropologii społecznej – *Wspólnota i społeczeństwo* (*Gemeinschaft und Gesellschaft*) dochodzi do wniosku, że ewolucja podążająca wyłącznie naprzód doprowadzi do tego, iż tradycyjne społeczności połączone więzami krwi i lojalnością klanową nieuchronnie ustąpią miejsca takim, które oparte są na dobrowolnej przynależności i umowie. Ewolucja zmierza od tradycji, religii i mistycyzmu ku umowie, sekularyzmowi i racjonalizmowi, a celem ostatecznym może być tylko to, co Max Weber nazywał odarciem świata z tajemnic. Zimny racjonalizm nowożytnego społeczeństwa sprzyjał tęsknocie za odbudowaną i na powrót zmistyfikowaną wspólnotą, zaprzeczając jej zarazem, tak jak bliżej naszych czasów postmodernizm McŚwiata pobudził Dżihad do działania, będąc równocześnie jego zaprzeczeniem.

Pod koniec ubiegłego stulecia eksperyment, jakim był liberalny nacjonalizm, choć zdał egzamin we Francji i Ameryce, zawiódł na całej linii wszędzie indziej. Jego miejsce zajęła opisywana przez Ortegę „głupia mania" fragmentacji. W warunkach imperium nacjonalizm stał

się bardziej zacietrzewiony i nacechowany zaściankową wrogością, a kapitalizm odebrał go liberalnym jednostkom działającym na burżuazyjnym rynku i przekazał braciom połączonym więzami krwi, dziedzicom wyimaginowanych starodawnych klanów. Nowoczesność oznacza modernizację, ta zaś z kolei równoznaczna jest z agresywną ekspansją praktycznej mentalności racjonalizacji, biurokratyzacji i sekularyzacji. W takich warunkach świat zostaje nie tylko odarty ze złudzeń i zdemitologizowany, ale rodzi się psychologia indywidualnego samostanowienia i skomercjalizowanej konsumpcji, która zastępuje tożsamość wspólnotową i przynależność do grupy. Można stwierdzić, że najbardziej rzucającym się w oczy osiągnięciem nowoczesności jest konsument, będący istotą samotną. Joel Kotnik, naciągając metaforę do granic możliwości, twierdził co prawda, że doszukał się całkiem nowych „plemion", którymi są ludy rządzące ekonomiczną infrastrukturą McŚwiata (np. Żydzi, Japończycy, Hindusi, Brytyjczycy i Amerykanie – *sic*!), ale kupujących i sprzedających nie da się raczej zrozumieć przedstawiając ich w kategoriach prowincjuszy powiązanych braterstwem krwi [15].

Wielu postmodernistów, przeciwstawiając się mało wyrazistej postaci stosunków opartych na umowie, podejmowało próby zrekonstruowania wspólnoty. Odwoływali się do przeszłości, ale, jak zauważa Eric Hobsbawm, „historia to surowiec dla nacjonalistów czy też ideologii etnicznych lub fundamentalistycznych, tak jak mak stanowi surowiec do wyrobu heroiny". Ponieważ „z natury rzeczy nie ma przeważnie przeszłości, która by całkowicie pasowała, zawsze więc można ją wymyślić, kiedy trzeba" [16]. Również wspólnota bywa często wytworem rozpamiętywania zmyślonych krzywd z wyimaginowanej przeszłości. Jak stwierdza Tony Judt, „większość Węgrów nie miała pojęcia, że ich naród zrodził się w 896 roku naszej ery. Uświadomili to im dopiero patrioci z końca XIX wieku" [17]. Taka wersja wielokulturowości, nasączająca pluralistyczną „wielość" nową ideologią monokul-

tury – na przykład białych protestantów albo Afro-Amerykanów – to jeden przykład tworzenia fikcyjnych wspólnot historycznych (Weberowski mit wspólnego pochodzenia), mających funkcjonować jako nowoczesna polityczna platforma tożsamości grupowej. „Nacjonalizm" o etnicznym podłożu stanowi inny, o wiele bardziej toksyczny przykład. Polski publicysta i socjolog Adam Michnik sarkastycznie zauważa, że w Polsce, gdzie trudno się doszukać etnicznych problemów, „potrafimy stworzyć konflikt polsko-litewski, polsko-białoruski i polsko-ukraiński, nie mówiąc już o sporze polsko-niemieckim w Opolu, pogromie Cyganów w Mławie i kampanii antysemickiej w kraju, gdzie praktycznie nie ma Żydów" [18]. Gdy w grę wchodzi nacjonalizm, potrzeba najwyraźniej pozostaje matką wynalazków.

Marks stwierdził ponad sto lat temu, że rozbicie feudalnych okowów przez nowożytny kapitalizm doprowadziło do podziału tradycyjnej wspólnoty. Mówił o rozpadzie wszystkich więzi i przepowiadał postępujące zlewanie się kultur. „Wszystko, co trwałe – ostrzegał – ulatnia się w powietrze" [19]. Pół wieku później upowszechniły się niepokoje modernistów. Jeden z bohaterów klasycznej już przedwojennej sztuki Williama Saroyana *The Time of Your Life* mógł powtarzać: „nic trwałego, cały czas w dół" i spodziewać się, że zyska sympatię publiczności rozgoryczonej procesem modernizacji, choć było to jeszcze przed holocaustem i bombą atomową.

W Niemczech nie poprzestano na jękach i skargach. W odpowiedzi na bezmyślne ujednolicanie (*Gleichschaltung*), zachodzące w burżuazyjnym społeczeństwie, partia nazistowska odrodziła średniowieczne mity teutońskiej moralności (wartości rodzinne w feudalnym wydaniu) i niemieckiej tożsamości (odwołując się, jak na ironię, nie do drugiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, ale do pierwszego Imperium Rzymskiego, które z Niemcami niewiele miało wspólnego). Doszła w końcu do władzy szermując rewanżystowską ideologią doznanych krzywd,

z dodatkiem roszczeń wywiedzionych ze spreparowanej przeszłości. Składniki tej ideologii nie różnią się zbytnio od systemu poglądów przyjmowanego obecnie przez skrajną prawicę we Francji, Włoszech i Stanach Zjednoczonych, a także (znowu) w Niemczech. Naziści zdołali wyłącznie przyspieszyć proces unicestwiania tych pośrednich związków, dzięki którym wspólnota mogła się niegdyś utrzymać. To ironiczny komplement dla ich mimowolnego wkładu w modernizację, którą wyklinali. Paradoks się dzisiaj powtarza, o czym świadczy historia Silvia Berlusconiego: wzlot ku gwiazdom i raptowny upadek. Magnat w świecie korporacyjnych mediów, właściciel AC Milan, pierwszej we Włoszech drużyny piłki nożnej, wykorzystując władzę, jaką dały mu media, dopuścił do głosu podatną na demagogię klientelę z tego właśnie zaścianka, który jego świat mediów systematycznie niszczy. Następnie został obalony z powodu podsycanych przez media oskarżeń o korupcję, które dowiodły, że niczym się nie różni od innych polityków. Ten sam paradoks przejawia się w zjednoczonych Niemczech, gdzie mamy dla odmiany szokujące zestawienie muzyki heavy metal, będącej specjalnością MTV, z tekstem, którego nie powstydziłby się młody Goebbels. Oto fragment reakcyjnego Dżihadu przystrojony na modłę McŚwiata – piosenka niemieckiego zespołu Final Stage:

Ciężkie czasy nastały dla niemieckiego narodu
Obce wojska wciąż okupują nasz kraj
Czterdzieści lat niedoli i korupcji

W RFN jest zima
Czy doczekamy się znowu Niemiec
W których warto będzie żyć?

Gdzie jest dzisiaj niemiecka kultura?
Spotykamy się w budzie o nazwie McDonald's
Żądza zysku i władzy zatruwa nasze środowisko

To państwo się wstydzi niemieckiej historii

Cudzoziemców mamy tyle, co ziaren piasku
Pełno alfonsów i wszelkiej swołoczy
Wierzcie mi, chrześcijanie, modlitwa na nic się zda

W RFN jest zima
Czy doczekamy się znowu Niemiec
W których warto będzie żyć?[20]

Siły, które zaliczam do Dżihadu, natarczywie domagają się dziś odpowiedzi na pytanie, czy nastanie znowu Serbia, Flandria, Quebec, Osetia, Tutsiland lub Katalonia, w której warto będzie żyć. Imigranci ze starego do Nowego Orleanu, ze starej do Nowej Anglii, ze starej do Nowej Zelandii chcą wiedzieć, czy kraje ich pochodzenia, tak rozpalające wyobraźnię, mogą przybrać realną postać. Odizolowani od siebie nawzajem, lecz toczący wspólną walkę przeciw komercji i kosmopolityzmowi, jednoczą się przyjmując za podstawę rozmaite etniczne, religijne i rasowe składniki tożsamości, pamiętane jak przez mgłę, ale żywo funkcjonujące w wyobraźni. Mają one ukorzenić błąkającą się duszę epoki postmodernizmu i przygotować do walki z jej odpowiednikami w McŚwiecie. „Spuśćmy z łańcucha bojowe psy" i poszczujmy wszelką „hołotę" „dziką bestią niemieckiej krwi" śpiewa zespół Stoerkraft (Niszczycielska Siła)[21]. Nie każdy zwolennik Dżihadu ucieka się do takich gróźb (i nie każdy wyraża się bez osłonek), a ten akurat zespół zdradził w końcu prawicę i śpiewa dziś piosenki wychwalające tolerancję i wzajemną życzliwość[22]. Ale chociaż demokracja nie zawsze przedstawiana jest jako wróg, rzadko kiedy uchodzi za sprzymierzeńca. Nawet nowi nacjonaliści, którzy nie wyrażają się o niej z nienawiścią, przesądzili sprawę: jeśli w walce z modernizacją nowoczesne liberalne państwo z jego demokratycznymi instytucjami musi zostać wyrzucone

za burtę, czy będzie to uzasadniona cena, jaką należy zapłacić za wskrzeszenie wspólnoty i wyizolowanie jej z McŚwiata.

Niezależnie od tego, czy stworzone na nowo, samozwańcze plemiona, które uczestniczą w Dżihadzie, określają się mianem fundamentalistów chrześcijańskich, buntowników z Rwandy czy bojowników islamskiej świętej wojny, posługują się najczęściej tym samym językiem – językiem nacjonalizmu. Religia może być siłą głębiej zakorzenioną w ludzkiej duszy, ale w sferze polityki przybiera postać nacjonalizmu[23]. Jednakże nacjonalizm potrafi wymykać się wszelkiej definicji, a jego liczne postacie przejawiają się w tak rozmaitych formach, że nie wiadomo, czy naprawdę przemawia wspólnym językiem. Jeśli wierzyć Michelowi Ignatieffowi, że „głównym wątkiem nowego ładu światowego jest dezintegracja państw", głównym zaś „językiem" tego procesu etniczny nacjonalizm, to czy mamy zakładać, że jest to nacjonalizm w wydaniu Mazziniego i Yael Tamir?[24] Czy też w wydaniu nazistów i Władimira Żyrinowskiego? Ignatieff ostrożnie mówi o „nowym" nacjonalizmie, ale w gruncie rzeczy rozmaici oponenci McŚwiata nie są, jak się okazuje, ani nacjonalistami, ani fanatykami religijnymi. Posługują się retoryką zbyt świecką jak na prawdziwą religię i o wiele za bardzo sekciarską i zamkniętą jak na prawdziwych nacjonalistów. Krzyżowcy byli zbrodniczy w swoim fanatyzmie, ale ich aspiracje miały uniwersalistyczny i ekspansjonistyczny charakter – bardziej byli imperialistami niż reakcjonistami, dlatego zresztą dopuszczali się tak krwawych czynów. Hołdowanie uniwersalistycznym ideałom może doprowadzić do powszechnej rzezi, zaściankowy fanatyzm miewa na ogół skromniejsze skutki. Nowe plemiona naszej epoki płoną żądzą mordu i są fanatyczne, ale przy tym ograniczone i zajmujące defensywną postawę. Próbują ochronić wysepki prowincjonalnego braterstwa na morzu, które bezlitośnie wymywa wszelką esencję i rozmywa braterskie więzi.

Pytanie o zasadniczym znaczeniu brzmi: czy „nowy" nacjonalizm, wymierzony przeciw państwu narodowemu, da się zasymilować przez nacjonalizm tradycyjny, będący podstawą tego państwa? Zamiast dawać odpowiedź wywiedzioną z ducha fenomenologii (*obie* odmiany uchodzą za nacjonalizm) albo esencjalizmu (tylko jedno z dwojga może być nacjonalizmem) chcę zaproponować inną, bardziej dialektyczną. Nie ulega wątpliwości, że nacjonalizm ma obecnie dwa aspekty (i zapewnie tak było zawsze): z jednej strony składa się nań tożsamość grupowa i wyłączenie obcych, z drugiej zaś element nie mniej znaczący – integracja i otwarcie. Dzisiejsi „nacjonaliści" chełpią się swoim dekonstrukcyjnym potencjałem i upajają się nienawiścią do państwa i wszystkiego, co się na nie składa. Jednakże w swoich wczesnych przejawach nacjonalizm ery nowożytnej umożliwił Europie wydźwignięcie się z feudalizmu i położenie podwalin pod państwo narodowe. W pierwszych atlasach Europy, jak *Kartografia* z XVI wieku, widzimy Macedończyków i Bułgarów, Duńczyków i Wandalów, Sycylijczyków i Węgrów zarówno jako części składowe większego organizmu (feudalnego imperium), jak i całości umożliwiające włączenie prowincjonalnych plemion w większe narodowo-państwowe jednostki, takie jak Włochy czy Niemcy.

Dwa aspekty nacjonalizmu są przeto odbiciem dwóch aspektów feudalizmu, na który nacjonalizm był z początku reakcją [25]. Byty polityczne, które obaliły feudalizm i zajęły jego miejsce, musiały podzielić i zarazem zintegrować starą Europę, rozmontować imperium Kościoła, a jednocześnie połączyć ze sobą poszczególne prowincje. Lojalność klanowa i więź krwi stanowiły zbyt wąską bazę dla nowych państw narodowych, imperialna umowa i wspólnota religii były z kolei bazą zbyt szeroką. Naród wydawał się idealną całością, łączącą plemiona w większe jednostki, które mimo wszystko dopuszczały istnienie czegoś w rodzaju wspólnej kultury i obywatelskiej współzależności [26]. Nie był to stosunek lenniczej wierności, lecz

umowa, taka, o jakiej nowym językiem pisał Thomas Hobbes z Malmesbury. Przedstawiał on władzę króla jako ucieleśnienie woli ludu będącego raczej zbiorem jednostek niż braćmi połączonymi więzami krwi. Bezpośrednim źródłem władzy suwerena była umowa zawarta przez jego poddanych, posłusznych, lecz w gruncie rzeczy niezależnych. Na mocy tej umowy kreowali władcę. Nowo stworzeni poddani korony brytyjskiej czy państwa francuskiego, wyzwoleni od zaściankowej lenniczej wierności wobec rodu i klanu, nie będący już przypisańcami panów feudalnych, przekształcali się stopniowo z indywidualnych poddanych w wolne jednostki. Ich posłuszeństwo wobec korony i poczucie obowiązku względem współobywateli brało źródło z praw, które nabywali z mocy urodzenia oraz swobód należnych im z natury – tak przynajmniej sądzili. Essex symbolizował zaściankowe braterstwo, Anglia – swobody Anglików. Feudalne miasta Burgundii i krajów Basków były otoczone murami, Francja ucieleśniała ideę otwartą na *kosmopolis*, cały świat. System feudalny tworzył całą zawikłaną sieć zobowiązań, gdzie urodzenie raz na zawsze wyznaczało tożsamość, a od niej z kolei zależała wolność dostępna jednostce (wolność przechodziła z ojca na syna w obrębie jednej tylko klasy). W nowym państwie narodowym niewolnicy stali się obywatelami. Zrównując ludzi państwo to stworzyło grunt pod polityczną teorię praw, sprzeciwu i umowy społecznej, a co za tym idzie, pod praktykę polityczną, która miała w końcu przybrać postać egalitaryzmu i demokracji.

Nacjonalizm porównać można do zbiorowego wspominania starych historii o wspólnych początkach, a początki te często stały pod znakiem bratobójczych walk. Krwawa lekcja Nocy Świętego Bartłomieja nauczyła jednak historyka Micheleta, że świadomość narodowa wymaga również świadomego puszczenia pewnych rzeczy w niepamięć. Potrzebne jest nie tylko wspólne wspominanie, ale i wspólne zapomnienie[27]. W pomyślnie rozwijających się

zróżnicowanych wspólnotach różnice są jakby zawieszone. Takimi wspólnotami są te państwa obywatelskie, które pomyślnie się rozwinęły. Zawiera się w tym więc pewna doza przemyślanego roztargnienia wobec historii. Zbyt dobrze pamiętane rany nie mogą się zagoić. Tym, co najbardziej dziś zagraża amerykańskiej kulturze obywatelskiej, jest pamięć niewolnictwa, utrzymywana przy życiu przez uprzedzenia i zinstytucjonalizowany rasizm. Jeśli nie da się o niewolnictwie zapomnieć, nie będzie szans na osiągnięcie rasowej harmonii. Odpowiedzialność spoczywa, rzecz jasna, na spadkobiercach właścicieli niewolników, nie na potomkach tych ostatnich.

W osobliwej transformacji dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu szczególną, mitygującą rolę odgrywał imperializm. Wielkie imperia stworzone przez Austro-Węgry, Rosję, Osmanów (a także, choć w mniejszym stopniu, zamorskie posiadłości Francji, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i Holandii) represjonowały wyrażanie tożsamości narodowej w politycznej formie i wymuszały współzależność, która stwarzała warunki dla solidarności bardziej otwartej na obcych. Państwa te przyznawały jednak kulturze jej własny obszar i neutralizowały, jak się wydaje, jej toksyczny wpływ, pozostawiając miejsce na różne gusta. Ignatieff i inni zbytnio się chyba skupiają na metodach, jakimi imperium tłumiło walkę kulturalną i hamowało etniczne aspiracje, nie ma jednak raczej wątpliwości, że metody te powstrzymywały Dżihad.

Bardziej kontrowersyjne jest zagadnienie, czy to samo da się powiedzieć o ideologicznym imperium komunizmu lub ekonomicznym imperium kapitalizmu. Nie ulega wątpliwości, że w warunkach reżimu komunistycznego kwestia narodowościowa, która tak niepokoiła Lenina i przerażała Stalina, utrzymywana była pod kontrolą, choćby nawet za pomocą propagandy i brutalnej siły [28]. I podobnie jak upadek wielkich dziewiętnastowiecznych europejskich imperiów po I wojnie światowej przyspieszył proces bałkanizacji, który tak niepokoił Ortegę, załamanie się

komunizmu dało najwyraźniej wolną rękę nowym siłom Dżihadu. Widzimy je w akcji w Europie Wschodniej oraz na pograniczu Europy i Azji. Czy stało się tak dlatego, że komunistyczne represje pogorszyły sytuację (represje nieuchronnie prowadzą do wybuchu), czy też mogłyby w końcu wyeliminować kontrolowane przez siebie siły – to kwestia dyskusyjna, której nie rozwiążemy. Wiadomo natomiast, że imperium, nawet w komunistycznej wersji, zdołało opóźnić wybuch o kilka pokoleń, oszczędzając rodzicom i dziadkom krwawej łaźni, której doświadczają dzisiaj ich potomkowie (chociaż komunizm bez wątpienia wymusił własną krwawą daninę).

Imperium kapitalistyczne nie odniosło takich sukcesów w roli nadzorcy tańczących derwiszów etnicznego nacjonalizmu, ponieważ stosowało słabsze środki przymusu, a poza tym, jak się już przekonaliśmy, handel i rynek mogą zarówno pobudzać, jak i łagodzić aspiracje etniczne i związany z nimi antymaterialistyczny zapał. I na tym właśnie polega Dżihad.

Czasy się jednak szybko zmieniają. Kilka lat temu wnikliwi komentatorzy w rodzaju Conora Cruise'a O'Briena wskazywali na Bliski Wschód, Południową Afrykę i Irlandię jako główne groźne punkty zapalne świata. Kto by się dzisiaj z nimi zgodził? Wczoraj Libia spędzała Europie sen z powiek, dzisiaj większy niepokój wywołuje Algieria, choć jeszcze niedawno uchodziła za najbardziej „udaną" z francuskich ekskolonii. Diabeł może tkwić w szczegółach, ale w polityce światowej diabeł jest kameleonem i żadna teoria powołująca się na jeden czy dwa szczególne przypadki nie przeżyje kolejnej politycznej niespodzianki [29].

Dlatego szkicując tutaj typologię Dżihadu przedstawiam co najwyżej materiał ilustracyjny uchwycony w chwili bieżącej. Danych nie można uznać za ostateczne, bo zbyt szybko się zmieniają, a badania, mające na celu objaśnianie zdarzeń, mogą wpływać na ich przebieg, nie da się więc ująć tych zdarzeń w normatywne kategorie, za

pomocą których chcemy je uchwycić. Jest to zresztą generalny problem, który wynika przy próbach przedstawienia teorii społecznych i politycznych w kategoriach typowych dla nauk ścisłych. Zdając sobie sprawę, że ani prezentacja przypadków, ani problemów, jakie z nich wynikają, nie będzie do końca pełna, skupiam się więc, nie pretendując do naukowego ujęcia, na czterech różnych odmianach reakcji na modernizację, reprezentujących cztery rozmaite perspektywy Dżihadu.

11
Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje”

W okrzepłych demokracjach Europy pokusa do stawiania oporu modernizacji stanowi nerwową reakcję modernizacji na siebie samą. Dżihad w dość bladym europejskim wydaniu przejawia się w dwóch formach: jako prowincjonalizm, podżegający peryferie przeciwko władzy centralnej, i jako tendencja zaściankowa, gardząca kosmopolityzmem. Obie są wrogie stolicy i wszystkiemu, co ona reprezentuje. W pojęciu obu zdecentralizowana władza mniej zagraża wolności i w większym stopniu daje się kontrolować niż władza centralna. Prowincjonalizm ma w sobie coś z demokratycznego ducha Jeffersona. Władze miejskie czy okręgowe czci jak świętość, i tak jak Tocqueville uznaje, iż wolność może mieć zasięg lokalny lub municypalny i raczej nie będzie rozkwitać pod rządami obejmującymi wielkie terytorium i przy stosunkach społecznych opartych całkowicie na umowie. Zgodnie z tą logiką, Barcelona i Lyon byłyby bardziej wolne niż Madryt czy Paryż, a okoliczne wioski – bardziej niż Barcelona i Lyon.

Tendencja zaściankowa uzupełnia prowincjonalizm o element krytyki kulturowej, upatrując w kosmopolityzmie i komercjalizmie wielkich miast siły, które wywierają niszczycielski wpływ na więzi międzyludzkie. Są to: atomizacja, agnostycyzm, anarchia i anomia – występujący w nich przedrostek „a” akcentuje brak zakorzenienia, jaki cechuje nowoczesne społeczeństwo, zredukowane do

najdrobniejszych elementów składowych i pozbawione wspólnotowej spójności, bo nie ma w nim Boga, ładu, prawa ani sprawiedliwości. Sedno zaściankowej krytyki znajdujemy w zgryźliwej charakterystyce osiemnastowiecznych stolic, jaka wyszła spod pióra Rousseau. W wielkim mieście – grzmiał francuski filozof – „roi się od intrygantów, nierobów, bezbożników, ludzi pozbawionych zasad, których wyobraźnia, znieprawiona nieróbstwem, pogonią za przyjemnościami i wielkimi wymaganiami rodzi tylko potwory i zachęca do zbrodni"[1].

Okcytańska Francja

Francja reprezentowana przez Paryż i Francja prowincjonalna („la France profonde") pozostawały w konflikcie przez znaczną część historii tego kraju. Lokalne parlamenty występowały przeciw monarchii Burbonów, arystokracja ziemska i wspierany przez nią Kościół przeciwko jakobinom. Kiedy podczas II wojny światowej upadł ośrodek władzy państwowej, a Paryż i północ znalazły się pod hitlerowską okupacją, peryferie pod kolaboranckim rządem Vichy podjęły się zachowania Francji, redefiniując na swoją modłę francuskiego ducha. Jedyną kulturą, na jakiej kultywowanie mógł sobie pozwolić pod okupacją uczciwy Francuz, była kultura agrarna. Paryżanie, którzy w latach dwudziestych i trzydziestych tak pogardzali życiem wiejskim, w latach czterdziestych odkryli niespodziewanie dawno zapomnianych krewnych na prowincji, kuzynów ze wsi, z którymi można się było na nowo utożsamić.

Nawet współcześni Paryżanie starają się o letnie domy na prowincji, dokąd uciekają nie tyle przed francuską nowoczesnością, co przed krzykliwymi przejawami inwazji McŚwiata na Paryż i przed Myszką Miki, która się do nich szyderczo wykrzywia z oddalonego o parę mil EuroDisneylandu. Paradoks polega na tym, że szybkie

koleje i superautostrady, umożliwiające weekendowym tradycjonalistom wydostanie się z Paryża na peryferie, niszczą sielski krajobraz, któremu Paryżanie oddają taką cześć, a obecność mieszczuchów w cichych wioskach zaraża te ostatnie zgubnym kosmopolityzmem, choć daje kosmopolitom złudzenie wytchnienia od McŚwiata. Tutaj Dżihad i McŚwiat się spotykają: zmęczeni konsumenci McŚwiata, którzy najwyżej przez długi weekend potrafią się obejść bez podwójnych dawek dwudziestowiecznego konsumpcjonizmu i technologii rodem z XXI wieku, co jakiś czas biorą urlop od miasta i przedmieść, by „dans la campagne" lub „auf das Land" przybrać na siebie etniczną tożsamość sprokurowaną przez Dżihad.

McŚwiat zniża się do poziomu Dżihadu stwarzając złudzenie tożsamości kulturowej swym pozbawionym korzeni lokatorom, którzy odgrywają „tutejszych" w sposób nieautentyczny i zastępczy, nie mając ku temu żadnych podstaw. W Europie, gdzie takie lokalne tożsamości współistnieją ze scentralizowaną władzą państwową, zachowały się głównie w postaci odrębności językowych, a warunki koegzystencji z McŚwiatem są wciąż w fazie negocjacji. Jeśli, jak twierdzi Ignatieff, „kluczowym językiem naszej epoki jest etniczny nacjonalizm", to kluczem do etnicznego nacjonalizmu jest język[2]. W łagodnej zachodnioeuropejskiej wersji Dżihadu język stanowi o odłączaniu się części od całości. Kwestia pierwotnego czy ojczystego języka to nie tylko zmartwienie Amerykanów. We Francji, jak i w innych krajach Europy, prowincjusze odkryli na nowo lokalne dialekty i uczynili z nich talizman swojego obudzonego na nowo subnacjonalizmu kulturowego. Nowocześni francuscy patrioci zastanawiają się, co pozostanie z Francji, jeśli zostanie znów pocięta na Normandię, Bretanię i kraj Basków.

Jak na ironię, sama Francja też znalazła się w oblężeniu. Ministerstwo Kultury Narodowej w Paryżu namówiło ostatnio ustawodawców do wyjęcia spod prawa popularnych zwrotów obcojęzycznych, zwłaszcza mnożą-

cych się amerykanizmów rodem z McŚwiata. Miejsce *talk-show, chewing gum, software, prime time* i *cheeseburgerów* mają teraz zająć takie terminy, jak *causerie, gomme a macher, logiciels, heures de grande écoute* oraz... *quelque chose* (coś) *à la fromage* (ekwiwalent zostanie dopiero wynaleziony) albo nie będzie się o tego typu towarach mówić w ogóle (co w odniesieniu do towaru nie da się zaakceptować). Reklamy z modnymi anglicyzmami będą musiały być tłumaczone, a jeśli francuscy naukowcy chcą używać w mowie lub w piśmie terminów dotyczących nowej technologii globalnej, będą musieli utworzyć francuskie neologizmy[3]. W tym mini-Dżihadzie rządu francuskiego przeciw zuchwałemu esperanto McŚwiata (ostatnio został osiągnięty pewien kompromis) wyczuć można zaściankowego ducha ożywiającego działania prowincjuszy, którzy trwają na pozycjach nieprzyjaznych francuszczyźnie. Mamy tutaj dwie linie na piasku: jedną nakreśliła Francja, by powstrzymać inwazję McŚwiata, drugą zaś francuskie prowincje, by odgrodzić się od Francuzów.

Najbardziej znaną jednostką terytorialną przejawiającą separatystyczne tendencje jest kraj Basków (rozciąga się po obu stronach granicy francusko-hiszpańskiej, gdzie jeszcze do niedawna dokonywano aktów terroru). Są jednak mniej słynne, a przez to bardziej wymowne przykłady kulturowego i językowego Dżihadu. Chociaż w Bretanii dawno już nie słyszano o separatystach rzucających bomby, a i secesja przestała być problemem, nacjonalizm kulturowy jest prawdopodobniej silniejszy niż kiedykolwiek w tym stuleciu[4]. Kto słyszał o *francuskich* dudach? Mało kto, ale w celtyckim miasteczku Quimper są dudy *bretońskie*. Bretania, w której po II wojnie światowej było zaledwie stu dudziarzy, dziś może się poszczycić pięcioma tysiącami[5].

Podobnie wygląda sytuacja w Prowansji. Współcześni rzecznicy łagodnego Dżihadu próbują anulować niektóre przynajmniej cechy, jakie się wytworzyły w ciągu czterystu lat dziejów Francji, i przywrócić dialekty i kultury

dawnej Okcytanii. Okcytania obejmowała region prowansalski, kataloński i baskijski w południowej Francji, wzdłuż Pirenejów i Morza Śródziemnego. Mówiono tam dialektami, w których słowo „tak" miało formę „oc", a nie „oui", jak w północnej Francji. Rząd francuski, jak tylu innych udręczonych lokatorów McŚwiata, usiłujących potwierdzić swoje tradycyjne wielokulturowe referencje bez oddawania miejsca przy bankietowym stole nowoczesności, udziela obecnie poparcia lokalnym językom. Być może dlatego, że zdaje sobie sprawę, iż globalna amerykańska nowomowa McŚwiata potrafi wykorzystać wszystkich wrogów, jakich sobie zdobywa.

Dialekty prowincji mogą zagrozić centralistycznej kulturze francuskiej, ale to one składają się również na wielokulturową Francję, są więc zarazem orężem francuskiego nacjonalizmu, jak i bronią wymierzoną w jego serce. Europa, rywalka Francji ubiegająca się o względy nowo uprawomocnionych społeczności lokalnych, także spieszy z pomocą. Utworzone w 1982 roku Zachodnioeuropejskie Biuro ds. Języków podsyca kulturowe aspiracje prowincji wspierając nie tylko prowansalski i inne dialekty „oc" we Francji, lecz także fryzyjski w Holandii, gaelicki w Irlandii, a gdzie indziej aktualne lingwistyczne mody [6]. Działalność biura i uznawana przez nie rzeczywistość kazała niektórym krytykom określić dzisiejszą Europę mianem „nowej wieży Babel" [7]. Inni dopatrują się w poczynaniach Biura utajonej strategii narodowej dekonstrukcji, która polega na tym, że Europa jako całość bierze pod opiekę subnarodowe ułamki, by udaremnić opór państw narodowych wobec całości. Prowansja może więc liczyć na pomoc Europy przeciwko francuskim centralistom.

Niezależnie od strategii będącej w użyciu, prowincjonalna kultura raczej nie rozkwita. Pomimo wsparcia, pomimo dwujęzycznych szkół otwieranych w Nîmes i gdzie indziej, trudno powiedzieć, żeby prowansalski stał się żywym językiem. Po bretońsku mówi niespełna 50 000

ludzi, a zaledwie połowa z nich potrafi pisać w tym języku. Nie jest to niestety taka sytuacja, jaką ma język flamandzki w Dunkierce, francuska wersja katalońskiego, niemiecki we włoskiej Górnej Adydze, francuskiej Alzacji czy rosyjskim Kaliningradzie – w każdym z tych przypadków lokalne języki przetrwały, bo mówiła nimi duża populacja po drugiej stronie pobliskiej granicy. Bretoński i prowansalski, tak jak korsykański i ladino, są w całkowitej izolacji jako ułamki wygasłej już kultury. Bez względu na to, czy naprawdę trzy miliony ludzi znają po parę słów z któregoś z sześciu okcytańskich dialektów, i czy ktoś słucha nadawanych z Tuluzy i Marsylii dzienników radiowych w oficjalnej wersji okcytańskiego, wysiłki zmierzające do ożywienia tego języka to część szerszej kampanii wymierzonej przeciw paryskiemu centrum należącemu do McŚwiata. Ma uaktywnić prowincje i potwierdzić ich istnienie. Podobnie dzieje się w Belgii i Szwajcarii. Na przykład w Alpach w kantonie Graubünden uchowało się prawie 40 000 ludzi posługujących się językiem retoromańskim i ladino. Pomimo wysiłków władz wspierających pluralizm, ocalałe dialekty wywodzące się z łaciny pozostaną co najwyżej fragmentem kantonalnego skansenu [8].

Hiszpańska (?) Katalonia

Intelektualiści, którym leży na sercu troska o ożywienie lokalnych kultur Europy Zachodniej, są wyjątkowo niekonsekwentni w swoich poczynaniach. Z jednej strony nie uważają się za wrogów kosmopolityzmu i zaprzeczają, jakoby istniał jakikolwiek związek między tym, czego sami bronią, a wojnami etnicznymi toczącymi się trochę dalej na wschodzie. Niektórzy są we własnym przekonaniu obrońcami twierdz demokracji lokalnej, stwarzającej ramy dla autentycznego udziału w paneuropejskiej federacji, która zapewne wyłoni się kiedyś w nadchodzącym

stuleciu, jeśli nie zaistnieje natychmiast. Katalonia szczyci się tym, że jest „krajem w Europie", przez co może służyć zarówno Dżihadowi, jak McŚwiatowi, integruje się bowiem z Europą separując od Hiszpanii. Nie jesteśmy Hiszpanami, tylko Katalończykami, ale jako Katalończycy jesteśmy Europejczykami – lepszymi od Hiszpanów!

W trakcie kampanii promocyjnej, która rozpoczęła się przed igrzyskami olimpijskimi w Barcelonie w 1992 roku i trwa do dzisiaj, władzom tej prowincji udało się zaakcentować oba wspomniane tu aspekty. Rozgniewały Madryt, drukując mapy, na których Katalonia figurowała jako część Europy, a Hiszpanii nie było w ogóle. To tak, jakby Kalifornia rozpowszechniała w Japonii reklamy prezentujące ją jako część wybrzeża Pacyfiku, która przez niedopatrzenie znalazła się na bezimiennym północnoamerykańskim kontynencie[9]. Przywódca katalońskich nacjonalistów, gubernator prowincji, Jordi Pujol odegrał dość hałaśliwą rolę w hiszpańskiej polityce. Ulegając inspirowanym przez niego naciskom, przemyślny król Hiszpanii Juan Carlos wygłosił na otwarciu igrzysk olimpijskich przemówienie po katalońsku. Zaledwie trzy lata przed tą ceremonią lubiany powszechnie monarcha został za przyzwoleniem pana Pujola wygwizdany podczas uroczystości poświęcenia stadionu olimpijskiego w Barcelonie, a wielu Katalończyków domagało się, żeby katalońscy sportowcy mogli występować w odrębnej drużynie[10]. Sam Pujol jest zajadłym nacjonalistą. Przyczynił się między innymi do uznania katalońskiego za język oficjalny używany w szkołach i na uczelniach (nie-Katalończycy muszą go opanować, jeśli chcą uczyć lub wykładać w Katalonii), co więcej, według niego „Katalonia powinna być państwem, jak Słowenia czy Estonia"[11]. Podobnie jak w przypadku tylu innych zachodnioeuropejskich subnacjonalistów, katalońskim ukłonom w stronę Europy i McŚwiata towarzyszy tendencja do separowania się od państwa narodowego, w tym wypadku Hiszpanii.

Katalonia bynajmniej nie zamierza stawiać oporu rynkom McŚwiata, chce z nimi wejść w specjalne relacje.

W odróżnieniu od Katalonii regiony okcytańskie nie uświadomiły sobie jeszcze, że mogą bojkotować stolicę nie odwracając się plecami od McŚwiata. Gerard Gouiran, profesor języka okcytańskiego na Uniwersytecie Montpellier, twierdzi, że jego zainteresowanie lokalnym językiem nie ma nic wspólnego z duchem separatyzmu. Wyjaśnia, że „popieranie rozwoju tego języka ma żywotne znaczenie dla zachowania charakteru regionu, południe Francji bowiem szybko się zmienia. Trwa inwazja przemysłu opartego na wysoko rozwiniętych technologiach, obcy przybysze wykupują całe wsie przekształcając je w letniska, telewizja bombarduje młodych ludzi obrazami, w których nigdy nie pojawia się świat, w jakim żyją"[12]. Gouiran nie stwierdza jednoznacznie, że wrogiem jest McŚwiat, ale otwarcie mówi o powstrzymaniu amerykanizacji Francji i Europy. W odróżnieniu od Pujola nie pojął jeszcze, że inwazja wysoko rozwiniętego przemysłu może stać się katalizatorem lokalnej dumy i zapewnić ekonomiczne wsparcie dla zaściankowych aspiracji do autonomii. Mimo to, jak wszyscy rzecznicy lokalnej kultury, Gourain zajmuje wobec McŚwiata wielce ambiwalentną postawę. To samo obserwujemy w Szwajcarii, a także w Quebecu, będącym najbardziej dobitnym przykładem separatyzmu na kontynencie północnoamerykańskim.

Niemcy–Szwajcaria

Szwajcaria stanowi przykład problemów, przed którymi stoi cała Europa. Zdecydowała się wystąpić przeciw Europie i nieuchronnym podobno naciskom rynków McŚwiata, występując z kontrowersyjnych pozycji państwa, które wyjątkowo skutecznie uprawia gospodarkę rynkową. Doprowadziło to zarazem do ujawnienia się głębokich wewnętrznych pęknięć, które grożą destabiliza-

cją konfederacyjnej równowagi Szwajcarii. Szwajcarzy, tworzący od dawna luźno sfederowane państwo, które składa się z części niemieckiej, francuskiej i włoskiej (oraz retoromańskiej), podobnie jak Amerykanie uważają swój kraj za wyjątkowy – *Sonderfall Schweiz*! Jedyne w swoim rodzaju usytuowanie geograficzne w samym środku Europy oraz zachowywana od dawna neutralność w konfliktach zbrojnych pozwoliły stawiać skuteczny opór wysiłkom zmierzającym do zintegrowania ich kraju z Europą jako większą całością. W powszechnym referendum w 1967 roku wypowiedzieli się przeciw wstąpieniu do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pod koniec 1992 roku, po tym, jak Duńczycy powiedzieli swoje niepokojące „nie" Traktatowi z Maastricht, Szwajcarzy także odmówili przystąpienia do Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (EFTA), co miało być wstępem do członkostwa we Wspólnym Rynku. Podczas głosowania wystąpiły rysy w szwajcarskim monolicie, część francuska opowiedziała się bowiem za Europą, a część niemiecka przeciw niej [13]. Niemieckim Szwajcarom z niejakim trudem przyszło już raz wyrzec się na rzecz rządu federalnego tak drogiej ich sercu quasi-suwerenności. Było to w 1848 roku, kiedy „nowoczesna" konstytucja naruszyła niektóre podstawowe przywileje kantonów. W 1992 roku opór stawiła nie tyle Szwajcaria, której elity – rząd federalny, główne partie, zarówno konserwatywne, jak i liberalne, korporacje, bankierzy i nawet wielu przywódców związkowych – opowiedziały się całkowicie za Europą, ile kantony i lokalne wspólnoty, które były przeciwne zjednoczeniu z Europą. Elity nie szczędziły pieniędzy, żeby odwieść obywateli od demokratycznego prowincjonalizmu. Ostrzegały, że ,negatywny wynik referendum podkopie interesy szwajcarskich firm wielonarodowych (albo doprowadzi do tego, że wyniosą się ze Szwajcarii), a kraj stanie się „Nepalem Europy" [14].

Obserwatorzy o proeuropejskiej orientacji, czyli znaczna część europejskiej prasy, byli całkiem zbici z tropu

i ponuro coś mamrotali o „instynktownym tradycjonalizmie" Szwajcarii i jej samobójczym „neoizolacjonizmie". Przepowiadali, że jeśli Szwajcaria nie pozwoli sobie, by przebudził ją europejski „elektrowstrząs" gospodarczy, skazana będzie na przekształcenie się w „kraj Trzeciego Świata" [15]. Tymczasem Szwajcarzy pod względem poziomu życia znajdują się w światowej czołówce (wyprzedzają Stany Zjednoczone), są zagorzałymi zwolennikami wolnego handlu i przyczynili się do położenia finansowych podwalin pod McŚwiat. Wcale nie są głupi. W przypadku szwajcarskich Europejczyków niechętnych Europie nie wchodziła w grę reakcyjna Święta Wojna przeciwko modernizacji. Niemieccy Szwajcarzy, ale także włoscy (w kantonie Ticino prawie 62 procent głosowało przeciw) występowali raczej przeciw Europie w imieniu autonomii kulturalnej i regionalnej demokracji. Te dwie wartości, które na ogół nie chodzą w parze, w Szwajcarii splotły się ze sobą z powodu unikatowych uwarunkowań historycznych. W najstarszej i najbardziej zdecentralizowanej europejskiej demokracji nie tylko kantony, ale i gminy cieszą się prerogatywami, jakie niewiele konstytucji na świecie przyznaje społecznościom lokalnym. *Gemeindefreiheit* (wolność gminy) i *Kantönligeist* (lokalny duch kantonu) wciąż uznawane są za wartości, o które warto walczyć, nawet gdyby trzeba się było wyrzec korzyści wynikających z integracji gospodarczej. Tradycja, do której tak przywiązani są Szwajcarzy, to demokracja lokalna, a przywiązanie to może w jakiejś mierze wynikać z obserwacji eurotechnokratów i rynkowych rycerzy McŚwiata – nie stwarzają oni wrażenia, by demokracja liczyła się w rozgrywanej przez nich globalnej grze.

Opór stawiany McŚwiatowi przez Szwajcarię jest więc do pewnego stopnia walką prowadzoną w imieniu prowincjonalnej kultury, która – tak się złożyło – splotła się organicznie z samorządem i wolnością regionalną. Wśród bojowników Dżihadu Szwajcarzy są chyba jedynymi, którzy bronią tradycyjnej kultury przeciw modernizacji

w imię demokracji. Podczas gdy wszędzie indziej izolacjoniści zwalczają zarówno rynek, jak i demokrację, jako bliźniacze wytwory homogenizującej modernizacji, która budzi ich lęk, mieszkańcy Alp opierają się tendencjom do homogenizacji, bo zagrażają one demokracji. Nastała ona w Szwajcarii na długo przed epoką Oświecenia, więc nawet najbardziej zaciekli jego krytycy uważają demokrację raczej za sprzymierzeńca niż za wroga.

W lutym 1994 roku Szwajcarzy jeszcze raz stanowczo odmówili wkupienia się do McŚwiata, do czego predestynował ich przecież sukces ekonomiczny. W kolejnym referendum przegłosowali zakaz samochodowego ruchu towarowego przez Alpy. Do roku 2004 ma on zostać całkiem wyeliminowany, towary przewożone będą koleją. W ten sposób przesunęli wskazówki zegara o sto lat wstecz, do czasów, kiedy obywatele kantonu Graubünden wydali ustawę zakazującą ruchu wszelkich pojazdów samochodowych na rozległym i wciąż jeszcze dziewiczym terytorium ich prowincji (stanowiącej jedną czwartą obszaru Szwajcarii). Mieszkańcy Davos, St. Moritz i Chur zgodnie doszli do wniosku, że samochód zagraża regionalnej autonomii i lokalnym swobodom [16]. Większość Europejczyków uważa Szwajcarię za niezrozumiałego dziwoląga: oto bogate państwo gotowe zaryzykować swoje bogactwo w obronie zasad. Zawzięty naród, którego upór stwarza niekiedy wrażenie umiejętności przewidywania, a dar przewidywania klasyfikowany jest jako upór.

Przy całej swojej odważnej przedoświeceniowej mądrości, która każe stawiać opór McŚwiatu, Szwajcarzy narażają jednak rozważną wielokulturową równowagę swego kraju. Ludność frankofońska jest o wiele mniej przywiązana do lokalnych tradycji tak drogich niemieckojęzycznym Szwajcarom, o wiele zaś bardziej od współobywateli niemieckich, włoskich czy mówiących językiem ladino skłonna, by w ślad za Francją podążyć do wielkiej Europy. Kiedy tylko część kraju wyraża wolę walki o narodową autonomię całości, tej ostatniej zagraża dezintegracja.

Byłoby to dla konfederacyjnej demokracji szwajcarskiej równą klęską jak upokarzające poddanie się Europie.

Suwerenny Quebec wewnątrz Kanady?

Podobną ambiwalencję możemy dostrzec po drugiej stronie Atlantyku wśród separatystów z Quebecu. Ostatnie sukcesy gospodarcze wzmogły jeszcze separatystyczne tendencje tej prowincji, która przysparza tyle kłopotów federalnej Kanadzie. Oporna część jest i tutaj tak samo, a nawet i bardziej zgodna z McŚwiatem niż całość, reprezentowana przez rząd kanadyjski [17]. Quebec chciałby najwyraźniej pogodzić dwie raczej niemożliwe do pogodzenia rzeczy: „suwerenny Quebec w ramach zjednoczonej Kanady", jak głosi wymowny żart. Być może jest tak dlatego, że mieszkańców Quebecu można postrzegać (i sami niekiedy tak się postrzegają) nie tyle jako blisko siedmiomilionową społeczność frankofońską (jeszcze jeden milion francuskojęzycznych Kanadyjczyków mieszka poza Quebekiem), co jako francuską diasporę w Ameryce Północnej. W wydaniu diaspory, społeczności określającej swą tożsamość w odniesieniu do odległej ojczyzny, z której się wywodzi, walka o autonomię kulturalną przedstawia się inaczej niż takie samo dążenie ludności miejscowej, podbitej lub wchłoniętej przez większą całość.

Mniejszości żyjące w diasporze, jak Francuzi w Kanadzie, zamorscy Hindusi czy Chińczycy oraz Żydzi poza Izraelem, wypracowały bardziej przyjazne i ekonomicznie zaawansowane relacje z McŚwiatem. Stało się tak zapewne dlatego, że ich utrzymanie się przy życiu zależało od handlu, a zachowanie tożsamości kulturowej – od systemu łączności na obczyźnie. Mieszkaniec Quebecu, który próbuje udawać, że Francja nie ma dlań znaczenia, będzie równie zagrożony jak polski Żyd, który żyje tak, jakby Izrael w ogóle nie istniał. Bezpieczeństwo można sobie zapewnić przez związek z McŚwiatem, w którym

panuje wzajemna zależność, a ojczyste kultury mogą odwołać się do swych korzeni [18]. Quebec podkreśla więc swoje francuskie dziedzictwo kulturowe, a jednocześnie szczyci się poziomem gospodarczego rozwoju, dzięki któremu stał się wysoko wydajnym partnerem ekonomicznym nie tylko dla innych prowincji Kanady, ale i dla giganta zza południowej granicy, a także wielu zamorskich kontrahentów. „Quebec libre" przestał być ubogą i zacofaną frankofońską prowincją, zmuszoną do izolowania się od wysoko rozwiniętej anglojęzycznej Kanady. Na angielskim kontynencie stanowi dumną francuską enklawę, której gospodarka dynamicznie się rozwija dzięki coraz liczniejszym powiązaniom ze światem zewnętrznym. Dżihad, odrzucając wielokulturowe państwo narodowe, sprzęga się w tym wypadku z nowoczesnością w sferze gospodarczej.

Niełatwo umiejscowić Quebec w ramach Dżihadu, bo występuje tu dodatkowy problem dwóch społeczności, których cała ta sprawa dotyczy. Są to Indianie Cree, rdzenni mieszkańcy prowincji, oraz mniej więcej milion francuskich Kanadyjczyków żyjących w innych prowincjach. Ich status w Kanadzie zależy jednak od Quebecu, podobnie jak Quebec zależy od Francji. Indianie Cree wysuwają własne separatystyczne żądania wewnątrz Quebecu, choć formułują je językiem, który świadczyłby, że uważają się raczej za gości niż właścicieli tej ziemi. Francuzi z Quebecu odnoszą się do nich z nacechowanym wyjątkową hipokryzją brakiem zrozumienia. Nie są w stanie pojąć związku między własnymi roszczeniami wobec Kanady a roszczeniami Indian Cree przeciw nim samym. Jeszcze bardziej kłopotliwa jest kwestia blisko miliona mówiących po francusku Kanadyjczyków zamieszkałych poza Quebekiem. Na przykład dla 300 000 Akadian z prowincji Nowy Brunszwik Quebec stanowiący część Kanady gwarantuje równe traktowanie wszystkich frankofonów. Akadianie przez ponad czterysta lat żyli sobie pomyślnie na wybrzeżu Zatoki Świętego Wawrzyńca. Przetrwali

pomimo rozproszenia ich przez Anglików po klęsce, jaką Francja poniosła w Ameryce Północnej w 1763 roku. Wielu z nich udało się wtedy w okolice Nowego Orleanu, gdzie osiedlili się, przyjmując nazwę *Cajuns*. Dzisiaj Akadianie znaleźli się w paradoksalnej sytuacji: trybalizm Quebecu zagraża ich własnej odrębności[19].

Prawie zawsze okazuje się, że Dżihad, nawet w swych najbardziej pokojowych przejawach, nie jest zwykłą walką jakiejś grupy etnicznej o samostanowienie, ale skomplikowanym konfliktem wewnątrz tej grupy. Niesie to ze sobą ryzyko dalszych podziałów i mnóstwo zamieszania. Gdy już części poczują się upoważnione do wyrzucenia całości za burtę, Dżihad nie zawsze zatrzymuje się po pierwszym podziale. Jeśli Quebec wyłączy się z Kanady, nie związani z Quebekiem frankofoni mogą utracić równy status w Nowym Brunszwiku. A jeśli Quebec odejdzie od Kanady, to dlaczego Indianie Cree nie mieliby wyłączyć się z Quebecu? Czemu tego samego nie miałyby następnie zrobić znajdujące się w Quebecu anglojęzyczne wsie? Albo zażądać odłączenia się od realizującego swoje prawo do samostanowienia narodu Cree, jeśli na jego terytorium się znajdą? Jaki będzie status garstki frankofonów mieszkających we wsiach z przewagą ludności anglojęzycznej na terenie z przewagą Indian Cree we frankofońskim Quebecu? Wielokulturowe konstytucjonalne państwo narodowe miało zapobiec takim właśnie absurdom. Przy jego demontażu wychodzą znów na jaw wszystkie paradoksy, a przejawiają się z zapałem wprost proporcjonalnym do siły, z jaką je przez wieki tłumiono.

Niemcy: wschodni i zachodni, starzy i nowi, prawicowi i czerwoni, obciążeni winą i prawdziwi

Niemcy nie wyglądają z pozoru na kandydata do Dżihadu. Nadal są obciążeni historyczną winą i mają więcej powodów niż jakikolwiek inny naród na świecie,

by trzymać się z dala od nacjonalizmu. Nacjonalizm bowiem, będący przyczyną tak wielu katastrof w dziejach Niemiec, pozostanie na zawsze pojęciem podejrzanym. Co więcej, Niemcy niedawno się zjednoczyły, są demokratyczne i jak każdy inny kraj zakorzenione są w McŚwiecie i propagującej go amerykańskiej kulturze masowej. Tymczasem Dżihad, dlatego być może, że jest sprzymierzeńcem i bliźniakiem McŚwiata, będąc jego przeciwnikiem, ze zdumiewającą zajadłością ogarnia nowe Niemcy[20]. W dzisiejszych Niemczech ci, którzy chcą odrodzić prawdziwie niemiecką tęsknotę za wyrugowaniem wszelkiego, co cudzoziemskie, komercjalne i materialistyczne, śpiewają:

Przyznajcie Adolfowi Hitlerowi Nagrodę Nobla,
Podnieście czerwony sztandar, podnieście
czerwony sztandar,
Podnieście czerwony sztandar ze swastyką.

Jak na starych niemieckich sztandarach
Prowadzi mnie słuszną drogą
Nie zmieniło się dla mnie to, co naprawdę ważne:
Rasa, duma i swastyka![21]

Nowym nacjonalistom obcy jest oficjalny wstyd związany ze zbyt poważnym, śmiertelnie poważnym traktowaniem Niemiec. Taka bojaźliwość powoduje raczej to, że wstydzą się posądzenia o odczuwanie jakiegokolwiek wstydu. W jakim innym kraju – pytają – najbardziej niewinne przejawy uczuć narodowych traktowane są jak prowokacja, której można tylko zakazać? Dlaczego niedawna przeszłość musi być tabu? Nawet Japończykom pozwolono mieć cesarza, szczycić się wyższością kulturową i odczuwać dumę z nieocenzurowanej historii, włącznie z własną wersją Dnia Hańby. Rockowe zespoły skinheadów prezentują więc w swoich piosenkach brutalny, lecz dojmująco szczery zbiór poglądów, które w bardziej

dyplomatycznej wersji przedstawia skrajnie prawicowa Partia Republikańska Franza Schoenhubera: „To państwo się wstydzi niemieckiej historii...”[22]. Zdelegalizowano wiele skrajnie prawicowych grup, w rodzaju Narodowej Alternatywy, ale to tylko wzmogło ich poczucie alienacji i wolę oporu.

Stwierdziłem już, że nędza podsyca gniew bojowników świętej wojny, którzy tym zacieklej zwalczają McŚwiat, im bardziej nie chciał im przyjść z pomocą. Niemieccy „wściekli” to najczęściej albo zawsze bezrobotni lub częściowo zatrudnieni przy nisko opłacanych zajęciach, na ogół lub zawsze niedokształcona młodzież, prawie zawsze lub zawsze „Ossi”, czyli mieszkańcy dawnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, z dnia na dzień pozbawieni pracy i zabezpieczeń społecznych, które mogły złagodzić bezrobocie[23]. Dołączyliby zapewne do McŚwiata, gdyby tylko mogli, a na razie zadowalają się używaniem jego instrumentarium (w postaci oświadczeń formułowanych na brytyjską modłę, całkiem dochodowych zespołów rockowych czy BBS w Internecie, w rodzaju Sieci Thule) jako broni w swej walce[24].

Niemieccy neofaszyści stanowią w pewnym sensie reakcję na zjednoczenie. Zapełnili próżnię, której nie zdołała zagospodarować antykomunistyczna rewolucja. Gdyby miejscowe ruchy polityczne, które na samym początku przyczyniły się do usunięcia żelaznej kurtyny i obalenia muru berlińskiego zdołały przetrwać traumatyczny proces zjednoczenia Niemiec i odniosły choć niewielki sukces w wyborach zdominowanych przez Zachód, udałoby się zapewne zapobiec ekstremizmowi „Ossi”. Ale ruch obywatelski, który ukonstytuował się w Neues Forum oraz intelektualiści i robotnicy poszukujący „trzeciej drogi”, jakiegoś wariantu społeczeństwa obywatelskiego pośredniego między represyjnym państwowym komunizmem a wolnorynkowym kapitalizmem, utonęły w tak zwanej drugiej fali przypływu wolności[25]. W niemieckim programie politycznym prywatyzacja rychło zajęła miejsce

demokratyzacji. Dla mieszkańców wschodnich Niemiec oznaczało to całkowitą utratę regionalnej autonomii w zamian za wolność jednostki. Po czterech latach tego procesu trudno się dziwić, że tak wielu Niemców Wschodnich, zdegustowanych Zachodem i w głębi duszy obawiających się prawicy, na powrót przylgnęło do odnowionej partii komunistycznej, która opowiedziała się przeciwko McŚwiatowi. Gdy „trzecia droga" społeczeństwa obywatelskiego okazała się nierealna, a druga (kapitalistyczna) przyniosła tyle rozczarowań, ludzie na nowo przemyśleli pierwszą (komunistyczną). W czerwcu 1994 roku w wyborach do władz lokalnych w Niemczech (a także na Węgrzech, na Litwie i w kilku innych krajach) komuniści, występujący pod szyldem Partii Demokratycznego Socjalizmu, zajęli przodujące miejsca w wielu regionach, a w saksońskim mieście Hoyerswerda, gdzie wcześniej skinheadzi dopuszczali się aktów przemocy przeciwko cudzoziemcom, członek partii został burmistrzem[26].

Tam, gdzie stara lewica na nowo zwiera szeregi pod hasłami zwalczania niedogodności kapitalizmu, nowa prawica, resentyment, który przybrał postać patologii, prowadzi Kulturkampf przeciw cudzoziemcom i materializmowi. Większość neonazistów i skinheadów znajduje się dzisiaj poza zasięgiem McŚwiata czy opozycyjnej wobec niego socjaldemokracji. Tym z nich, którzy wywodzą się z Niemiec Wschodnich, zubożonych i coraz bardziej popadających w nostalgię, z bezrobociem w wysokości 16 procent albo i więcej (co ponaddwukrotnie przekracza narodową normę, wśród młodzieży zaś sytuacja wygląda jeszcze gorzej) bez trudu przychodzi uznanie Niemców z Zachodu za „obcych" – agresywnych agentów McŚwiata i zdrajców prawdziwych Niemiec (podobnych zdrajców zrobiono z Żydów w latach dwudziestych). Uważa się, że prawie 25 procent Niemców ze Wschodu w wieku poniżej 25 lat ulega prawicowym nastrojom. Ci, którzy nie chcą pomstować na kuzynów z Zachodu, mają pod ręką gastarbeiterów, głównie z Turcji oraz ze Wschodu i z Połu-

dnia, wyróżniających się swoją „innością" (odmienne obyczaje, obcy akcent, ciemniejszy odcień skóry) i stanowiących fizycznie obecną zbiorowość, na której można się wyżyć[27]. Bieda pogłębia jeszcze alienację. Przypomnijmy sobie już cytowaną pełną rozgoryczenia piosenkę prawicowego zespołu rockowego. Przebija z niej także ekonomiczny aspekt sprawy:

Ciężkie czasy nastały dla niemieckiego narodu
Obce wojska wciąż okupują nasz kraj
Czterdzieści lat niedoli i korupcji...

Agresywni bojownicy to Zieloni w czarnych koszulach. Ubolewają, że „żądza zysku zatruwa nasze środowisko". Choć sami przejawiają typowe dla nastolatków zamiłowanie do kiczu i gust bardziej obliczony na szokowanie rówieśników niż przejmowanie tradycji przodków (żadnych tyrolskich spodenek czy korporanckich dekli), wiedzą, że McDonald's to „śmieciowisko" i oburzają się na inwazję globalnej kultury, choć na największy paradoks zakrawa fakt, że nie są w stanie się jej oprzeć.

Prawdziwi cudzoziemcy (w odróżnieniu od symbolicznych – bogatych Niemców z Zachodu, Jankesów, kupców z McŚwiata) to co innego. Łatwiej sprzedać hasło „Cudzoziemcy won!" niż „McDonald's won!". W Niemczech przebywa prawie 2 mln Turków, z tego 140 000 w samym Berlinie. Można przeciw nim nie tylko protestować, ale i pomiatać nimi, napadać ich i podpalać ich nędzne baraki[28]. W 1990 roku było kilkaset takich ataków, w dwa lata później szły już w tysiące. Tylko w okresie od stycznia do października 1992 roku naliczono 1636 „prawicowych aktów kryminalnych"[29]. W dzisiejszych Niemczech jest prawdopodobnie najwyżej 50 000 prawicowych ekstremistów, w tym nie więcej niż 6500 neonazistów[30], ale tak jak partyzant ukrywa się w morzu ludu, tak i niemiecka radykalna prawica wyraża na głos resentymenty wielu Niemców (choć z pewnością mniejszości).

Mieszanych małżeństw niemiecko-tureckich jest w istocie rzeczy więcej niż napadów[31]. Tymczasem niemiecki tygodnik „Der Spiegel" przytacza badania opinii publicznej, z których wynika, że w przekonaniu 73 procent Niemców obcokrajowcy stanowią problem, z którym kraj „musi się uporać"[32], choć 85 procent konsekwentnie potępia akty przemocy przeciw gastarbeiterom. Nie wszyscy napastnicy są skinheadami, a nie wszystkie ofiary cudzoziemcami. Atakowano również Żydów, reporterów i liberałów.

Napady na tureckie noclegownie w Magdeburgu, Solingen, Moelln czy Rostocku, miastach na terenie byłej NRD, to środek służący określonemu celowi. Tak jak w Polsce udało się wyhodować nowy antysemityzm bez Żydów, tak i niemieccy skinheadzi umieją podtrzymać niechęć do cudzoziemców, nie mając pod ręką Turków. Ci ostatni stanowią tylko widoczny i łatwy do atakowania podrzędny symbol nadrzędnej klasy rodem z McŚwiata (a zwłaszcza zachodnioniemieckiej klasy wyższej), która sprzedała Niemcy. A ponieważ napastnicy to nie tylko sfrustrowani nastoletni, lecz bojownicy politycznej sprawy, ich ostatecznym celem nie są tak naprawdę Turcy ani Grecy, ale Niemcy, które skapitulowały przed McŚwiatem[33]. Reakcja Niemców na te napaści nie ogranicza się do mówienia o sprawiedliwości i prawach człowieka. W pewien sposób przyznaje się słuszność skrajnie prawicowej krytyce, bo Niemcy martwią się o swój wizerunek, atrakcyjność dla inwestorów, i o to, czy akty przemocy nie pomniejszą ich szans w olimpijskim (czy też raczej McŚwiatowym) przetargu o organizację igrzysk olimpijskich w 2000 roku[34].

Nie zaliczam się do zwolenników poglądu, jakoby Niemcy byli szczególnie podatni na wszystko, co najgorsze. Przypuszczam, że setki tysięcy niemieckich obywateli, masowo demonstrujących przeciw prawicowej przemocy i rasizmowi, wygrają walkę o duszę Niemiec epoki postmodernizmu. Mniej optymistycznie zapatruję się jednak

na to, czy Niemcy (lub ktokolwiek inny) okażą się zdolni do powstrzymania McŚwiata albo jego zdemokratyzowania. A może się okazać, że najbardziej znaczący i niebezpieczni następcy niemieckich nastoletnich faszystów i rockowych nazistów wyłonią się w trakcie walki przeciw McŚwiatowi.

12
Chiny i niekoniecznie demokratyczne wybrzeże Pacyfiku

Poza Europą i Ameryką Północną, w krajach, które mogą się poszczycić względnymi sukcesami gospodarczymi i politycznymi, lokalni protagoniści Dżihadu najbardziej są oburzeni agresywnością McŚwiata w obszarze kultury. W wielu państwach azjatyckich Dżihad rozwija się bez obawy o to, co pomyślą o nim demokraci, demokracja bowiem mało miała wspólnego z procesem modernizacji. W tych częściach świata sztuka polega na tym, jak wynaleźć sposób na korzystanie z dobrodziejstw modernizacji ekonomicznej i kapitalistycznych rynków bez kapitulowania przed związanymi z nimi wartościami politycznymi (otwartość, prawa człowieka, wolność, demokracja) czy obyczajowością (materializm, konsumpcjonizm, mentalność przedmieść). Łatwiej było stawić czoło politycznym ideom Zachodu niż kuszącemu stylowi życia, jaki oferuje McŚwiat. Eksperymenty podejmowane przez komunistyczne i niekomunistyczne dyktatury w Wietnamie, Singapurze, Korei i Chinach dowodzą, jak łatwo oddzielić wolny rynek od wolnych instytucji politycznych. Państwa demokratyczne, jak Indie i Japonia, dowodzą z kolei, jak trudno oddzielić wolny rynek od McŚwiatowego stylu życia.

Niedemokratyczna Azja dość ostrożnie przyjęła wolny rynek, który przyczynił się do ustanowienia rozważnego

merkantylizmu. W systemie tym rządy najpierw powołują do życia wyzwalane zazwyczaj przez rynek siły produkcyjne w elementarnej postaci, potem zaś próbują wziąć je pod kontrolę. Niemile widziane są demokratyczne instytucje, zdaniem ludzi z Zachodu niezbędne do funkcjonowania rynku. Liberalni zwolennicy rynku, wyznawcy Miltona Friedmana lub Jeffreya Sachsa, zapewniali nas, że w dłuższej perspektywie jednego od drugiego nie da się oddzielić, ale ta perspektywa może się pojawić dopiero za kilka pokoleń, zbyt późno na wykazanie słuszności ich argumentów[1]. W istocie nic tak dokładnie nie obala twierdzenia wspomnianych liberałów, jak żywiołowy rozwój kontrolowanej przez państwo kapitalistycznej gospodarki Wietnamu, Chin, Singapuru i Indonezji. Pewien zachodni dyplomata przebywający w Pekinie stwierdził, że Chiny marzą, by stać się drugim Singapurem – „pociąga ich to, że Singapur osiągnął zachodni poziom życia, lecz nie został skażony zachodnimi normami politycznymi"[2].

W ostatnich latach Chiny odnotowały najszybsze na świecie tempo rozwoju gospodarczego, pomimo brutalnego zdławienia praw jednostki i swobód politycznych podczas straszliwych wydarzeń na placu Tiananmen (a może dzięki temu?), a także potem[3]. Podobnie jak kraje sąsiednie, Chiny opierają się westernizacji, walcząc jednocześnie o produktywność gospodarczą i ubiegając się o nawiązanie kontaktów handlowych z resztą McŚwiata. Rozumiejąc priorytety swoich japońskich i amerykańskich partnerów handlowych, a także logikę rynku, która wymaga uniezależnienia się od polityki, przez co jest obojętna na formy organizacyjne państwa, Chiny za nic nie chcą ustąpić w kwestii praw politycznych. Prawa, wraz z towarzyszącą im ideologią politycznego indywidualizmu, postrzega się bowiem jako akcesoria kultury, którą można odrzucić (łatwo dającej się oddzielić od rynku, któremu oprzeć się nie można). Udany akces Chin do gospodarki wolnorynkowej bez

ulegania wpływom kulturowym dowodzi, że chińscy przywódcy trafnie ocenili sytuację. Jak pisze Perry Link, Deng Xiaoping zaproponował Chińczykom korzystną transakcję, która sprowadza się do słów: „Gęby na kłódkę, a zrobię was bogaczami”[4]. Formuła ta sprawdziła się nie tylko w odniesieniu do jego poddanych, ale i amerykańskiego Departamentu Stanu[5]. Wiosną 1994 roku Chiny uzyskały w stosunkach handlowych ze Stanami klauzulę największego uprzywilejowania (bez której towary chińskie eksportowane do Stanów byłyby obłożone dwa razy większym cłem), nie czyniąc żadnych znaczących ustępstw politycznych. Jak na ironię, Amerykanie zastosowali w końcu sankcje handlowe wyłącznie z powodu nieodpowiedzialnego podejścia Chińczyków do kwestii praw własności intelektualnej (Chiny odmówiły ukrócenia działalności pirackich wytwórni wideokaset i nagrań). Skutkiem sankcji przeprowadzono w 1995 roku akcję przeciw piratom.

Rację ma zapewne znawca tematyki chińskiej, Thomas B. Gold, który uważa, że „partia komunistyczna ma zamiar zająć się wyłącznie tym, co we własnym przekonaniu najlepiej potrafi, a więc kontrolą polityczną, środkami przekazu, oświatą, a gospodarce pozwoli funkcjonować zgodnie z rządzącą nią logiką”[6]. Ironia losu polega jednak na tym, że walka z demokracją okazała się jak dotąd skuteczna, ale nie daje się zwalczyć stylu życia i kultury, a to dlatego, że „logika rządząca gospodarką” jest logiką McŚwiata i prędzej przyniesie z sobą wady Zachodu – kulturowy sztafaż, ideologię konsumpcji, a także płynącą z „logicznych” przesłanek tolerancję wobec społecznej niesprawiedliwości i nierówności[7] – niż jego zalety (demokrację i prawa człowieka). Zanim w Rosji ustanowiono wolną prasę, zdążyła się tam zakorzenić mafia. Wietnamem nadal rządzi hegemoniczna partia komunistyczna, ale buduje się tam również pięciogwiazdkowy hotel Hilton i siedem pól golfowych, na które funkcjonariusze partyjni mają wolny wstęp. W Singapurze można dostać

prawie wszystko, czego dusza zapragnie – oprócz uczciwego procesu sądowego. O Chinach po Deng Xiaopingu da się z całą pewnością powiedzieć tylko jedno: Kentucky Fried Chicken będzie nadal w rekordowym tempie otwierać nowe restauracje. Jest ich już 28 w kilku chińskich miastach.

Walka rzeczników autonomii kulturalnej, zarówno członków kół rządzących, jak i kulturalnych elit, nie może być więc wymierzona przeciw samej demokracji, bo ta nie zdołała wedrzeć się na dużą skalę, ale przeciwko cudzoziemskiej kulturze, która dokonuje zmasowanej inwazji. Prawdziwym zagrożeniem ze strony „barbarzyńców" (tak Chińczycy przez setki lat określali cudzoziemców) jest nie tyle prowadzona przez nich otwarta kampania na rzecz demokracji, co zamaskowany program McŚwiata. Na zbudowanym przed tysiącami lat Wielkim Murze, który miał powstrzymywać barbarzyńców, aż się dzisiaj roi od ich potomków, coraz bardziej wszędobylskich turystów. Przemysł turystyczny to jedna z nowych gałęzi chińskiej gospodarki. Odpowiedzią Chińczyków na wyzwanie McŚwiata jest tak zwany „rynkowy socjalizm", czy też, jak to sarkastycznie określił były szef biura „New York Timesa" w Pekinie, „market-leninizm"[8]. Działające na zasadach leninizmu instytucje polityczne mogą z początku całkiem dobrze koegzystować z rynkowym kapitalizmem, a te 30 czy 40 rolls-royce'ów, które co roku importuje się do Chin, nie zachwiało jakoś podstawami komunistycznej władzy. Ale komunistycznym i przedkomunistycznym wartościom kultury chińskiej zagrażają przesłania odtwarzane z płyt kompaktowych i obrazy przekazywane przez aparaturę, którą importuje się jako wyposażenie rolls-royce'ów (a także landroverów i mercedesów). Chińczycy mają nadzieję, że uda im się oswoić importowane wytwory obcej kultury przez połączenie artefaktów McŚwiata z obrazami tradycyjnego chińskiego komunizmu. Malarz Wang Guangyi wplata na przykład zachodnie logo reklamowe w rewolucyjne plakaty, a na obrazach Feng

Mengbo z serii Video End Game rewolucyjne opery z epoki Mao przedstawione są w postaci gier wideo[9].

Popularne są także opery mydlane, Chińczycy zaczęli więc produkować swoje własne i odnieśli znaczny sukces. Serial *Aspiracje* składający się z 50 odcinków był hitem 1991 roku i stał się poważną konkurencją dla nadawanych w tym czasie oper mydlanych z Hongkongu, Tajwanu i Meksyku. W szybko rozwijających się miastach, takich jak Szanghaj, niewiele pozostało śladów rodzimej kultury, co w mniejszym lub większym stopniu jest wodą na młyn Dżihadu. Szanghaj nie „przypomina" Hongkongu i Singapuru – *jest* Hongkongiem i Singapurem, z tą tylko różnicą, że więcej tu korków w ruchu ulicznym. Chu Chia Chien wróciła z nowojorskiego wygnania do miasta swej młodości i tak mówi o nowych sąsiadach: „Bardzo dobrze znają się na modzie, ale teraz chcą mieć rzeczy markowe. To bardzo ważne, bo stanowi wyznacznik bogactwa"[10]. Tymczasem „China Cultural Gazette", organ Ministerstwa Kultury, przybrał estetyczną formę i poszedł za modą, publikując zdjęcia biuściastych zachodnich piękności oraz otwarte dyskusje na temat seksualności i erotyzmu. Redaktor Zhang Zuomin promując interesy rynku posługuje się językiem Czerwonej Gwardii z czasów rewolucji kulturalnej: „W moim przekonaniu musimy rozwalić chińską kulturę i zastosować w naszej pracy dziennikarskiej «wielkiego ducha, który nie zna strachu»"[11].

Gdy oficjalne poparcie dla rynku doprowadziło do szerzenia się takich postaw, nietrudno zrozumieć, dlaczego władze zarówno komunistycznych, jak i niekomunistycznych krajów azjatyckich upierają się przy kontroli państwa nad informacją i mediami, choć wysiłki ich idą przeważnie na marne. W ostatnich latach brak tolerancji dla niezależnych środków przekazu przejawił się ostro w Indonezji, gdzie chodziło głównie o to, by uprzedzić powstanie opozycji politycznej. Rząd czuje jednak potrzebę roztoczenia kontroli nad mediami, by przeciwstawić

się obcej kulturze. To przecież producenci coli wydali wojnę indonezyjskiej tradycji picia herbaty. Filozofia wolnego rynku obstaje co prawda przy swobodzie dla reklamy, ale nie zajmuje stanowiska wobec interwencji cenzury wymierzonej przeciw swobodnemu stylowi życia, jaki reklama propaguje.

Chiny, które w kulturze przyjmują pozycję nie mniej defensywną niż Francja, z jeszcze większym zapałem niż Francuzi zaostrzają kontrolę nad produkcją i wyświetlaniem filmów. Tylko 30 procent mogą stanowić filmy zagraniczne. Chociaż władze próbują utrzymać całkowitą kontrolę nad ideami politycznymi, jest to jak łapanie komarów siatką na motyle w sytuacji, gdy przepływ treści kulturowych i informacji komercyjnej pozostawia się wolnemu rynkowi. W długim okresie czasu kulturowe komary prędzej obalą reżim niż polityczne motyle, które udaje się wyłapać. W oficjalnych publikacjach w rodzaju „Cultural Gazette" pilnuje się, żeby żadna polityczna krytyka nie wkradła się między plotki i podobizny nagich piękności, ale twórcy nauczyli się posługiwać ironią zamiast gniewem. Władze rozumieją, że to, czemu bronią dostępu zamknięte na wszystkie spusty frontowe drzwi z napisem „polityka", wdziera się często otwartymi na oścież tylnymi drzwiami z napisem „rynek", ale co na to poradzić? Uświadomiwszy sobie na przykład, jak wszechobecne stały się satelity McŚwiata, władze zakazały używania anten satelitarnych do odbioru wszelkich programów z wyjątkiem chińskich, nie zakazując przy tym posiadania samych anten, które widnieją na wszystkich obskurnych blokach mieszkalnych w Pekinie i Szanghaju. Zarządzenie jest równie skuteczne, jak prawny zakaz oglądania rozebranych dziewczyn przy zalegalizowaniu sprzedaży „Playboya". Chińczycy mogli oczywiście zabronić sprzedaży i używania samych anten, ale podkopałoby to podstawy intratnego przemysłu. Ministerstwo Elektroniki trudni się bowiem wyrobem „talerzy", a sztab generalny i Ministerstwo Radia, Filmu i Telewizji sprzedają je użytkownikom.

Gdy jedni urzędnicy państwowi grzmią przeciwko skorumpowanej zachodniej kulturze, ich koledzy zaopatrują ludność w narzędzia korupcji. Sukces nowej gałęzi przemysłu – antena na każdym domu – będzie równoznaczny z klęską na froncie kulturalnym: McŚwiat w każdym domu.

Wojny „gorące" toczy się przy użyciu broni, orężem Zimnej Wojny była propaganda i obrazy oddane w służbę ideom politycznym w walce o serca i umysły ludzi. McŚwiat prowadzi swoją wojnę jakby od niechcenia, pomija serca i umysły, nastawia się natomiast na trzewia i zmysły, uwodząc ludzi syrenimi pieniami, które sławią własny interes i pragnienie. Ów własny interes definiowany jest wyłącznie w kategoriach życzeń, zachcianek i zdolności do konsumpcji. Po wydarzeniach na placu Tiananmen chińscy widzowie „powinni" być zainteresowani rzetelnym, opisującym prawdę dziennikarstwem, ale wydani na pastwę wideologii McŚwiata deklarują, że chętniej oglądają seriale i widowiska o policjantach i złodziejach niż dzienniki telewizyjne. Jak twierdzi Zhang Zedong, kierownik państwowego sklepu z antenami satelitarnymi, „ludzie pragną rozrywki. Bardziej ich interesuje MTV niż BBC" [12].

Chiny borykają się z innym jeszcze problemem: jak narzucić motywowane ideologicznie nakazy władzy centralnej regionom cieszącym się znacznym zakresem geograficznej autonomii? Regiony te (zgodnie z instrukcją) większą wagę przywiązują do gospodarki niż do ideologii i często ignorują zarządzenia polityczne, realizują natomiast ekonomiczne. Jedne i drugie wydawane są przez tę samą władzę centralną, ale bywają sprzeczne. W dynamicznie rozwijających się prowincjach Południowych Chin, Szanghaju, Rzeki Jangcy i Mandżurii prowadzona przez władze centralne święta wojna przeciw westernizacji nie odnosi skutków. Regiony te, podobnie jak Katalonia czy Lombardia, uniezależniły się do pewnego stopnia od reżimu w Pekinie dzięki kontaktom handlowym ze świa-

tem. Wydawane w stolicy zarządzenia nakazujące bankom zaprzestania spekulacji są całkowicie ignorowane, nakazy ograniczenia spożycia ropy, narzucane przez lokalne organa kontroli, łatwo się obchodzi zwiększając import. Pewien państwowy ośrodek planowania rodziny poszedł całkiem pod prąd oficjalnej ideologii (jedno dziecko w rodzinie), kiedy się okazało, że więcej zarobi jako klinika leczenia bezpłodności [13]. Niektórzy przewidują, że prowincje znajdujące się na dalekich peryferiach, jak Tybet czy bogata w ropę naftową Xinjiang mogą stać się chińskim Quebekiem i całkiem oderwać się od Chin, choć brutalne represje zastosowane w Tybecie dowodzą, iż władze za wszelką cenę chcą tam zachować kontrolę [14]. Załamanie się centralnej władzy komunistycznej może oznaczać anarchię – po argument ten aż nazbyt skwapliwie sięgała każda władza przeciwstawiająca się demokracji, od czasów cesarzy. Pewien wysoki urzędnik stwierdził: „W dziejach Chin zawsze tak bywało, że osłabienie władzy sprowadzało chaos i rządy dygnitarzy wojskowych. Jeśli będziemy próbowali zaprowadzić zbyt wiele demokracji, wszystko się znowu rozpadnie. Chiny ulegną dezintegracji, a okaże się to jeszcze gorsze niż w Związku Radzieckim" [15].

Żaden rozsądny obserwator nie będzie oczywiście twierdził, że wewnętrzny Dżihad wymierzony przeciw centralnej, modernizującej kraj władzy zagraża Chinom w równym stopniu, jak niektórym obszarom wschodniej Europy i byłych republik radzieckich. Niespełna 10 procent populacji Chin (mniej niż 100 mln ludzi) zalicza się do którejś z 55 mniejszości etnicznych, a skoncentrowane są w zachodniej części kraju. Istnieją jednak obawy, że podobnie jak państwo chińskie walczy z westernizacją, odległe prowincje – np. Xinjiang, Tybet i Mongolia Wewnętrzna – przystąpią do walki z sinizacją. W Xinjiangu, gdzie przeważają muzułmanie, etniczni Ujgurowie więcej mają wspólnego z sąsiadami zza dawnej radzieckiej granicy niż z funkcjonariuszami z Pekinu. W przeszłości

władze chińskie siłą utrzymywały takie prowincje jak Tybet. Z pewnością uciekną się znów do użycia siły, zwłaszcza w regionach słabo rozwiniętych. Trudniejsza do opanowania może się jednak okazać sytuacja na południu, gdzie rozwój ekonomiczny w połączeniu z autonomią regionalną stanowi katalizator dążeń do większej niezależności. Poza tym strach przed „ponownym rozpadem" ma swoje głębokie korzenie w dziejach Chin sprzed epoki komunizmu, historii zwalczających się klanów i dygnitarzy wojskowych. Waśnie odżyły zresztą w tych prowincjach, gdzie zelżała kontrola partii komunistycznej [16]. W sytuacji, gdy krajowi zagrażają trzy dezintegrujące czynniki: secesja pogranicznych regionów, waśnie rodowe we wsiach i względna niezależność ekonomiczna wysoko rozwiniętych prowincji, władze centralne będą wykazywać daleko idącą ostrożność. I nie ma tu znaczenia, czy określają przeciwników pojęciami ze słownika Dżihadu, czy też nie.

Chiny stanowią, rzecz jasna, bardzo szczególny przypadek: ogromny kraj o długiej historii, spadkobierca wielkiej cywilizacji, kraj komunistyczny, tradycyjnie wrogi cudzoziemcom i ich barbarzyńskim kulturom, i chociaż w swych dziejach był na ogół zdecentralizowany, a kultura wiejska odgrywała znaczącą rolę, nigdy nie był tak naprawdę demokratyczny. Dżihad i McŚwiat w chińskim wydaniu mają cechy szczególne. Zadziwiające jest to, że nawet tam, gdzie lokalna kultura miałaby prawdopodobnie największe szanse, by stawić opór dziedzicom europejskiego Oświecenia, McŚwiat wydaje się nie do pokonania. Podobnie jak w przypadku Katalonii i Quebecu, do McŚwiata dołączyły te prowincje, którym najskuteczniej udało się wywalczyć względną niezależność od interwencji władz centralnych i wścibstwa partii komunistycznej. Suzhou upodabnia się do Nankinu, Nankin do Szanghaju, a Szanghaj do Hongkongu. Z każdym dniem Chiny wyglądają coraz bardziej tak, jakby wcielały w życie swoje marzenie, o którym wspominał cytowany już polityk.

Stają się gigantycznym wariantem Singapuru, gdzie każdy może robić wszystko, co mu się podoba – a zwłaszcza wielkie pieniądze – pod warunkiem, że trzyma gębę na kłódkę i nie zajmuje się polityką.

Chinom udało się powstrzymać wewnętrzny Dżihad i zewnętrzny McŚwiat w większym stopniu niż na przykład Sri Lance, gdzie władzom niegdysiejszej rajskiej wyspy spędza sen z powiek rewolta Tamilów na północy (Tamilskie Tygrysy) i przybierający ekstremalne formy kontr-Dżihad syngaleskiej większości [17]. Równie niespokojnie jest w Indonezji, gdzie wrze jak w bałkańskim kotle, 350 grup etnicznych, z których większość mówi własnymi językami, zamieszkuje archipelag składający się z 13 000 wysp. Całość utrzymywana jest przy pomocy siły zbrojnej przez autorytarny reżim [18]. Jego założyciel, skuteczny dyktator, generał Suharto, wsławił się zarówno likwidacją pół miliona komunistów jeszcze w latach sześćdziesiątych, krwawą inwazją Timoru Wschodniego w latach siedemdziesiątych (porównywaną do zajęcia Kuwejtu przez Irak), jak i gwałtownym przyspieszeniem rozwoju gospodarki narodowej w latach osiemdziesiątych. Co prawda Indonezja znana jest głównie jako przybytek taniej siły roboczej wytwarzającej dla Zachodu konfekcję i obuwie (robotnicy zarabiają 700 dolarów rocznie), ale pod kierownictwem B.J. Habibiego, wykształconego w Niemczech ministra badań naukowych i technologii, zamierza dołączyć do hightechu McŚwiata. Produkuje już helikoptery i małe samoloty na użytek komunikacji lokalnej i ma nadzieję przeskoczyć inne uprzemysłowione państwa, wkraczając na obszary wysoko rozwiniętej technologii XXI wieku. Będąc krajem wielokulturowym, mniej się obawia kulturowych wartości McŚwiata niż pluralistycznych i demokratycznych idei politycznych rodem z Zachodu. Demografia i topografia sprzyjają rozdrobnieniu, Suharto walczy więc o to, by utrzymać kraj w całości za pomocą rozwoju gospodarczego i siły zbrojnej.

Azjatyckie demokracje – Japonia, Indie i od niedawna Korea – to także szczególne przypadki, ale z innych powodów niż Chiny. Uznały potęgę myśli zachodniej i wysoko cenią jej ideały – choćby nawet z tego tylko powodu, że były kiedyś koloniami zachodnich mocarstw albo zostały przez nie pokonane. Walka, jaką toczą, jest przeciwieństwem walki prowadzonej przez Chiny. Państwa te traktują podejrzliwie nie tyle idee polityczne Zachodu, co odmianę zachodniej kultury promowaną przez agresywną komercję, a także wersję ekonomii *laissez-faire* w wydaniu liberalno-rynkowym. W Indiach trwa wewnętrzny Dżihad prowadzony przez hinduskich i muzułmańskich fundamentalistów, których wzajemna nienawiść jest chyba silniejsza niż obawa przed nacierającym McŚwiatem. Swoją świętą wojnę toczą też separatyści w Assamie.

Japonia sprawia wrażenie azjatyckiego państwa, które odniosło największe sukcesy, najpierw w modernizacji gospodarki, a następnie w wysforowaniu się na czoło potęg ekonomicznych świata. Nie uległa przy tym całkowitej westernizacji. Demokracja przybrała japońską formę, a nawet w sferze gospodarki złagodzono brutalny zachodni kapitalizm rynkowy dobraną mieszaniną merkantylistycznego wsparcia ze strony państwa i korporacyjnego paternalizmu. Bardziej wspólnotowy, konsensualny, a nawet rodzinny styl japońskich korporacji znalazł na Zachodzie naśladowców wśród zaślepionych wielbicieli niegdysiejszego cudu gospodarczego. Choć Japonia nie jest tak jednolita pod względem etnicznym, jak sobie niektórzy wyobrażają, udało jej się uniknąć nawet tak łagodnych form Dżihadu, jak te, które obserwujemy we Francji, Włoszech czy w Chinach. James Fallows przekonująco udowodnił, że potężna, wyspiarska kultura Japonii osłabiła moc oddziaływania ekonomii i pozwoliła krajowi zdystansować się na nie spotykaną gdzie indziej skalę od kulturowych wytworów McŚwiata [19].

Japonia całkiem się jednak od jego wpływów nie uchroniła. Jej rzekoma oporność na McŚwiat może w większym

stopniu odzwierciedlać zachodnie obawy przed przewagą Japończyków niż stan rzeczywisty. Poza wszystkim, kraj ten asymiluje przecież amerykańską kulturę co najmniej od czasu długiej okupacji amerykańskiej, która nastąpiła po II wojnie światowej i wywarła swoje wpływy. Karl Taro Greenfeld kreśli kapitalny obraz „gangsterów, muzyków rockowych, hostess, gwiazd porno, narkomanów, hakerów komputerowych, bywalców nocnych klubów, dostawców narkotyków i motocyklistów", który sugerowałby, że współczesne japońskie Pokolenie X (Greenfeld nazywa ich *Speed Tribes* – Szybkie Plemiona) może stanowić punkt graniczny między tradycyjną, wyspiarską przeszłością Japonii a zadziwiająco zdolną do asymilacji globalną (McŚwiatową) przyszłością[20]. Coraz więcej jest japońskich zespołów rockowych (o takich nazwach, jak SOB* czy Niebieskie Serca), ale krytyk muzyczny Neil Strauss ocenia je jako „kulturowe gąbki, które wchłaniają brazylijską bossa novę, brytyjski hard core i amerykański rockabilly, zapożyczając idiomy popu zewsząd – z wyjątkiem Japonii"[21]. Znawcom problematyki japońskiej należałoby pozostawić ocenę, na ile głębokie są zmiany przejawiające się w najnowszej japońskiej muzyce, literaturze i kulturze masowej, i w jakim stopniu modyfikacja zachowań związana z tym, że McDonald's i KFC zajęły pierwsze i drugie miejsce wśród japońskich restauracji, podkopie fundamenty starej kultury[22].

Japonia, jak wiele innych państw odnoszących się podejrzliwie do McŚwiata i prowadzących dyplomatyczną walkę (rodzaj łagodnego Dżihadu) przeciw jego kulturowej inwazji, ma też do czynienia z wystąpieniami własnych mniejszości, które dążą do oderwania się. Jest dla nich tym, czym dla niej samej McŚwiat, a ten staje się ich sojusznikiem. Powodów do niepokoju dostarczyła na przykład Okinawa (zaanektowana przez Japończyków w 1879 roku, zajęta podczas II wojny światowej przez

---

* Skrót od „son of a bitch": sukinsyn – przyp. tłum.

Stany Zjednoczone i zwrócona Japonii w roku 1972), próbowano tam bowiem reaktywować lokalny język i miejscowe obyczaje. Separatystyczny ruch mieszkańców Okinawy przyjmuje tę samą feudalną dynamikę, którą obserwujemy wszędzie tam, gdzie grupa etniczna wchodząca w skład pluralistycznego państwa narodowego wykorzystuje kulturę światową i globalną gospodarkę do wsparcia swoich dążeń do samostanowienia, podczas gdy wspomniane państwo, w imię własnej autonomii, opiera się globalnym tendencjom. W swej walce o niezależną od Japonii tożsamość mieszkańcy Okinawy sięgnęli po rocka, tworząc hybrydyczne formy oparte na dorobku Boba Dylana, Johna Lennona, Boba Marleya i miejscowej muzyce ludowej[23]. Cofając się pod prąd swojej własnej historii, mała Okinawa śmiało wkracza w McŚwiat. Takie są paradoksy Dżihadu.

Nawet przypadkowi obserwatorzy mogą wyciągnąć wniosek, że w japońskim kontekście Dżihad (z paradoksami lub bez nich) oznacza nie tylko walkę mniejszości z dominacją japońskiej kultury, ale i opór stawiany przez samą Japonię zgubnym wpływom kultury globalnej, w której zasięgu kraj się znalazł dzięki sukcesom ekonomicznym. Ale w przypadku Japończyków sprawdza się szczególnie to, co się odnosi do większości narodów toczących ambiwalentną walkę z McŚwiatem. Nosicielami zarazy nie okazują się w końcu obcy przybysze ani barbarzyńcy, lecz sama japońska młodzież. Nawet gdy podlega procesowi socjalizacji w ramach rodzimej kultury, okazuje się pojętnym uczniem, szybko przyswajającym sobie globalne praktyki McŚwiata.

Ta krótka relacja z frontów walki przeciw McŚwiatowi w państwach, gdzie kapitalizm odniósł największe sukcesy, ukazuje nam, że główną areną, na której Dżihad ściera się z McŚwiatem nie jest ani miasto, ani wieś, ani śródmiejskie slumsy, ani bogate przedmieścia, lecz niespokojna dusza młodego pokolenia. Atak może być przypuszczany na państwa, ale głównym celem jest młodzież.

Na Okinawie, w Tokio, we wszystkich krajach świata młode pokolenie rozdarte jest między przeszłość a przyszłość. To młodzi chwytają za karabin, by walczyć w szeregach IRA i serbskich milicji; to młodzi mają na głowie słuchawki Sony i grają w Nintendo. To oni kołyszą się w takt hałaśliwej muzyki MTV i Star Television, oni też pląsają przy jeszcze hałaśliwszej syreniej pieśni sławiącej tożsamość etniczną i nienawiść do obcych. Do bitwy przeciw zgniłym komercyjnym kolonialistom wyruszają w wygodnych syntetycznych butach Nike lub Reebok. Korzystają z przerwy w plemiennej masakrze, by się orzeźwić pepsi albo colą. Na ludowych cytrach wygrywają pieśni na pohybel pogardzanej centralistycznej i inwazyjnej kulturze Francji, Niemiec czy Japonii, po czym wydobywają ze swoich staromodnych instrumentów melodie jeszcze bardziej centralistycznej i inwazyjnej kultury globalnej. Knują spiski przeciw obcym imigrantom, posługując się przenośnymi komputerami i modemami wyprodukowanymi przez cudzoziemców i zmontowanymi przez imigrantów. Tęsknią za zbiorową intymnością, jaką zapewnia plemię albo gang, a jednocześnie rozkoszują się anonimowością i samotnością cyberprzestrzeni. Na równi zafascynowani więzami krwi, które ich łączą, jak i krwią, którą przelewają, bez trudu poruszają się w bezkrwawym świecie reklamy i towarów, jak gdyby po to się urodzili (i tak jest w istocie). Bez względu na to, czy należą do Bloods lub Crips – rywalizujących gangów z południowo-centralnych dzielnic Los Angeles, do berlińskiej neofaszystowskiej Narodowej Alternatywy czy Szybkich Plemion z Tokio, czy strzelają do nastolatków usiłujących się wydostać z bośniackich stref śmierci, czy sami są celem dla snajperów, czy są małymi Hutu mordującymi Tutsi, czy młodziutkimi francuskimi spadochroniarzami próbującymi rozdzielić mordujących się nawzajem braci – to oni będą twórcami XXI wieku, a także jego ofiarami. Dżihad i McŚwiat pozostają w zawieszeniu w rozdartych duszach, które nie są w stanie ani odrzucić jednego lub drugiego,

ani obydwu przyjąć. Młodzi, którzy niechętnie dali się wyrwać z przeszłości definiowanej w kategoriach kultury i plemienia, wleczeni w przyszłość, gdzie całą tożsamością staje się szybkie tempo, spieszą ku granicom natury (interakcje w cyberprzestrzeni określane są prędkością światła) poszukując paliatywu na złagodzenie swego niepokoju (a może katalizatora?). Wynik walki, jaka się toczy w ich duszach, przesądzi prawdopodobnie o ostatecznym kształcie globalnej cywilizacji, której perspektywy nie rysują się w związku z tym zbyt zachęcająco.

13
Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje okresu przejściowego"

Paradoksalna interakcja między Dżihadem i McŚwiatem nigdzie nie przejawia się wyraźniej niż za połamaną żelazną kurtyną, w tak zwanych nowych demokracjach czy też „krajach przeżywających transformację". Choć kraje te z całą pewnością wyszły z komunizmu, a transformacja zmierza w jakimś kierunku, większości z nich nie da się zaliczyć do demokracji i nic nie wskazuje, aby się wkrótce nimi stały. Jeśli coś można o nich powiedzieć, to raczej to, że zachodzi tam regres, a nie postęp. Dragoslav Bokan, wydawca i reżyser filmowy, który objął przywództwo tak zwanych Białych Orłów – oddziałów serbskiej prywatnej milicji – wyznaje wprost: „Nie wierzę w demokrację, bo nie wierzę, żeby jakakolwiek grupa mogła kiedykolwiek zmienić dobrowolnie kierunek i cele wytyczone przez jej przodków"[1]. Pewien były akademik stwierdza: „... za wiele zaszłości historycznych na zbyt małej przestrzeni. Tu nie ma liberałów, są wyłącznie nacjonaliści. Jesteśmy ofiarami idei narodowej, która ma długi żywot i niepodobna się jej pozbyć"[2]. Idea narodowa, której tak wielu wschodnich Europejczyków obawia się i czci ją zarazem, nie ma nic wspólnego z dziewiętnastowiecznym ideałem integrowania i tworzenia narodu. Jak twierdzi Zarko Domljan, wybrany w 1991 roku na przewodniczącego chorwackiego Zgromadzenia Narodowego,

„Jugosławia nie jest narodem – to składanka dawnych plemion", a w nagłówkach prasowych często określa się ten obszar jako „powietrzną trąbę nienawiści"[3].

Nie znajdzie się w rozwiniętym świecie, do którego tak bardzo chcą należeć te szczątki dawnego sowieckiego imperium, drugiego regionu, gdzie Dżihad przyjmowałby wstrętniejszą czy bardziej rozbijacką postać. Jako walka przeciw wielokulturowym państwom narodowym, którym udawało się niegdyś łagodzić napięcia etniczne (tak było w Jugosławii, Czechosłowacji i Związku Radzieckim), a także jako opór przeciw kulturowej inwazji nieubłaganych rynków McŚwiata, Dżihad znalazł sobie naturalną siedzibę w Europie Środkowej i Azji Zachodniej. Obszar ten obejmuje wielki łuk rozciągający się od Adriatyku przez Albanię i Jugosławię – tereny zamieszkane przez wojujące plemiona – następnie Bułgarię od południowej i Węgry od północnej flanki, dalej sięga na północny wschód, przez Rumunię i Transylwanię do Mołdawii i Besarabii, po Ukrainę i Krym, po czym otacza Morze Czarne i opada w dół w stronę Zakaukazia, gdzie Azerbejdżanie walczą z Ormianami. Dalej jest już Morze Kaspijskie i Europa ustępuje miejsca Azji. Ten krwawy półksiężyc zawsze był sercem europejskiej strefy zamętu. Wyżej rozciąga się drugi łuk, trochę tylko mniej krwawy – od Czech i Słowacji i Polski ku północy, gdzie ogarnia kraje bałtyckie – Litwę, Łotwę i Estonię, po czym wygina się w dół obejmując Białoruś, właściwą Wielką Rosję i Ukrainę, nawiedzaną przez własne wielokulturowe koszmary.

Pod panowaniem wielkich imperiów – ottomańskiego, austro-węgierskiego i rosyjskiego – te kipiące od plemiennych namiętności obszary były zgrabnie podzielone na pluralistyczne strefy tolerancji. Lokalna kultura rozkwitała pod bacznym okiem monarchii, które nie dopuszczały do rozlewu krwi, wyjąwszy krwawe łaźnie będące skutkiem ich własnej polityki. Neoimperialni komuniści także narzucili represyjną politykę narodowościową nie toleru-

jącą partykularyzmu. Ten wytwór imperialnego rękodzieła całkiem się dziś rozpada, dając początek Dżihadowi w dwóch wściekłych postaciach – wymierzonej przeciw pluralizmowi i przeciw modernizacji. Klęska komunistycznego imperializmu obróciła się w triumf irredenty i ludobójstwa, a demokracja została za drzwiami.

Na obszarze tego krwawego łuku McŚwiat jest zarazem celem i przyczyną niepohamowanego Dżihadu. Szerząca się przestępczość, którą czasem trudno odróżnić od anarchii nowych rynków, dostarcza ideologicznej amunicji antyzachodnim gorącogłowym i nowemu-staremu szczepowi komunistów-nacjonalistów. Wolny rynek w Rosji kojarzy się ze spekulacyjnymi przedsięwzięciami, które pozbawiły oszczędności miliony ludzi. Ludzie ci raz na zawsze stali się wrogami kapitalizmu, który w ich pojęciu jest chaotyczny i zdeprawowany – „dziki" według określenia Sołżenicyna[4]. Na Ukrainie, jak podają niektóre źródła, mniej więcej połowa działalności gospodarczej jest nielegalna[5]. Przestępczość tak się rozpowszechniła na terenach byłego Związku Radzieckiego, że co najmniej jeden komentator zasugerował jej zalegalizowanie na najwyższych szczeblach władzy. „Rosjanie są przyzwyczajeni do rządów silnej ręki. Gdyby opanowany przez mafię aparat urzędniczy zaoferował przywrócenie względnego spokoju, jaki panował za czasów komunistycznych, wielu ludzi chętnie by na to przystało"[6].

Nie chcąc jednak powierzyć władzy kryminalistom z sektora prywatnego, nowo wyzwolone ludy oddały ją z powrotem kryminalistom z sektora publicznego, byłym komunistom i nacjonalistom sprawującym rządy za dawnego reżimu, którzy wymienili dawne przywileje nomenklatury na dobre miejsce w nowym porządku kapitalistycznym, a stare dogmaty Leninowskie zastąpili jeszcze starszymi, plemiennymi. Okazali większą gotowość do przywrócenia rządów silnej ręki niż mógłby sobie tego życzyć zrozpaczony i zmęczony elektorat. Nowa arytmetyka polityczna stawia znak równości między

przestępczością i McŚwiatem (a niekiedy między przestępczością i demokracją), nadając plemiennemu Dżihadowi status wojny prowadzonej w imię przyzwoitości i uczciwości. W takich krajach, jak Litwa, Białoruś, Ukraina, Polska, Węgry, Serbia, Chorwacja, Bułgaria i Mongolia sfrustrowani obywatele wybrali w drugich wolnych wyborach „nowe" władze złożone ze starych komunistów, oddanych takim czy innym narodowym i etnicznym ideałom. Tam, gdzie okazali się zbyt umiarkowani, znaleźli się radykalni prawicowi nacjonaliści i antysemici (jak Istvan Csurka na Węgrzech lub członkowie rumuńskiego parlamentu, którzy przegłosowali niedawno uczczenie pamięci Iona Antonescu, przywódcy rumuńskich faszystów z czasów wojny), co wobec umiarkowanych i ich systemu parlamentarnego mają takie zamiary, jak Hitler wobec Republiki Weimarskiej[7]. Czekają, aż gniew ludu obali słabe i nie ukorzenione instytucje polityczne. Z braku społeczeństwa obywatelskiego nie miały się bowiem gdzie zakorzenić i nie ma ich kto bronić.

Najsłynniejszy z fanatyków tego nowego-starego świata, Władimir Żyrinowski, wie dobrze, w jaką nutę uderzyć, by zaściankowe interesy skrajnego rosyjskiego nacjonalizmu połączyć z walką przeciw McŚwiatowi. Jego bojowe okrzyki brzmią z pozoru całkiem roztropnie: „Było im (mocarstwom zachodnim) wszystko jedno, kto rządził Rosją, carowie czy komuniści. Dążyli do zniszczenia Rosji". Podczas gdy w dwóch wojnach światowych Niemcy posługiwali się bezwzględną siłą i *blitzkriegiem*, nowi agresorzy dokonują inwazji „pod pięknymi hasłami demokracji i praw człowieka. Amerykanie są sprytni" – grzmi Żyrinowski. W jednym z pewnością ma rację: „Wiedzą, że lepiej tu przyjść z gumą do żucia, rajstopami i McDonaldem"[8]. Te pochodzące z czasów II wojny światowej aluzje do słodyczy i nylonów są co prawda trochę przestarzałe, ale pozostawmy McDonalda, gumę do żucia i rajstopy zastąpmy Macintoshami i adidasami,

a oddziały szturmowe McŚwiata zostaną całkiem trafnie określone.

Żaden kraj Europy Wschodniej i Środkowej, żadna z byłych republik Związku Radzieckiego nie uchowały się przed zarazą Dżihadu. Wszystkie też ucierpiały od niej w sferze polityki i ekonomii [9]. Rozkwitły tam różne odmiany małych, ale jadowitych Dżihadów, zrodzonych ze strachu i braku poczucia bezpieczeństwa, podsycanych przez niepowodzenie niezręcznych i ryzykanckich prób narzucania ekonomicznych i politycznych instytucji Zachodu społeczeństwom nie przygotowanym do ich przyjęcia. Nigdzie nie natrafimy na przekonujący sukces. Nie odnotowała go ani Republika Czeska, mimo bezkrwawej (choć nie do końca „aksamitnej") rewolucji i prezydenta-poety, byłego dysydenta, któremu nie udało się jednak zapobiec rozwodowi ze Słowacją, ani Węgry, choć są krajem prawie monokulturowym i jednolitym etnicznie, powinny więc być odporne na skutki trybalizmu [10]. Nie da się tego również powiedzieć o Polsce, która co prawda odniosła względny sukces na polu gospodarczym, a za sprawą tradycji katolickich i związkowych (Solidarność) związana jest z Zachodem. Z całą pewnością nie powiodło się Rosji. W każdym z tych krajów napięcia etniczne, obudzone na nowo fanatyzmy, pomruki separatystów lub radykalny nacjonalizm zagrażają rządom, zobowiązanym teoretycznie do przestrzegania europejskich zasad konstytucyjnych i reguł rynków McŚwiata.

Jest tragicznym paradoksem, że żaden kraj nie może rywalizować z Jugosławią, której sama nazwa bardziej wymownie ewokuje pełne znaczenie Dżihadu na obszarze McŚwiata niż cała biblioteka. Było to jedyne komunistyczne państwo trochę przynajmniej podziwiane przez lewicowych demokratów i idealistów na Zachodzie, dość odważne, by odrzucić Stalina, na tyle obdarzone wyobraźnią, by nadać ustrojowi socjalistycznemu formę federacji i przekazać władzę w ręce robotników, dość zaradne, by utrzeć nosa wrogim elementom etnicznym,

dość rozważne, by stworzyć silną pluralistyczną armię, lojalną wobec Jugosławii[11]. Jego klęska – zwycięstwo wyimaginowanej historii nad realnymi osiągnięciami – stała się po wiek wieków hańbą Zachodu. Belgradzkie obietnice przyszłości przehandlowano na wskrzeszone wspomnienia dziewiętnastowiecznego panslawizmu, w rodzaju wizji Nikolaja Danilevskiego o ortodoksyjnej rosyjskiej duszy będącej na bakier z katolickim Zachodem, która to idea rozpalała nie tylko wyobraźnię Rosjan, ale i Bułgarów, Macedończyków i Serbów. Carska Rosja wysyłała w 1877 roku ochotników na odsiecz powstańcom serbskim i czarnogórskim walczącym z Turkami. Bardzo całą rzecz upraszczając, można stwierdzić, że Serbowie zrewanżowali się w 1914 roku, wciągając Rosję do I wojny światowej w imię swych dążeń do uniezależnienia się od monarchii austro-węgierskiej. Dzisiejsza Serbia uzasadnia etniczne czystki w regionie, odwołując się do antywatykańskich i antyniemieckich nastrojów i narzeka, że została „zdradzona" przez Rosję (chociaż grupa rosyjskich ochotników – tak zwane Carskie Wilki – brała udział w serbskiej kampanii w Bośni)[12].

Nie będę tu jednak relacjonował tragicznej rzezi, która stała się udziałem Jugosławii. Od 3 czy 4 lat nie znika ona z nagłówków prasowych. Wystarczy rzut oka na absurdalne mapy, nakreślone przez zrozpaczonych rozjemców z Bożej łaski, którzy próbowali trzymać się z daleka od najgorszej pożogi, nie ustępując do końca przed brutalną siłą, by się przekonać, jak bardzo nieszczęsna Jugosławia pogrążyła się w przeszłości, naznaczonej barbarzyństwem i konfliktami, a zarazem będącej w znacznej mierze tworem wyobraźni. Trudno stwierdzić, co trąci większym cynizmem – samooszukiwanie się i spokój ducha, z jakim pozbawieni kręgosłupa „zatroskani" outsiderzy kreślą kolejne mapy, czy hipokryzja i oszukańcze manewry protagonistów konfliktu, którzy bawią się tymi mapami, by je ostatecznie odrzucić. Być może nie ma to znaczenia. W końcu cynizm wszystkich negocjacji prowadzonych

w tym regionie jest odpowiednią reakcją na ich całkowitą bezskuteczność.

Chcąc opisać samą Jugosławię, a cóż dopiero mówić o dziesiątkach wyłaniających się plemiennych elementów, musiałbym opracować środkowoeuropejską encyklopedię podziałów etnicznych i wojen domowych, która z pewnością rozrosłaby się do kilkudziesięciu tomów. Nie ma po prostu skutecznego sposobu na zrelacjonowanie tak wielu Dżihadów, które wybuchły wewnątrz McŚwiata, a są przeciw niemu wymierzone, na obszarze znajdującym się w jego granicach, lecz nie będącym McŚwiatem. Ograniczę się do jednego jedynego przypadku z samiuteńkiego środka omawianego regionu. Choć istnieje tu silne państwo narodowe, znajdziemy też prawie wszystkie toksyczne elementy Dżihadu, które już oddziałują lub zagrażają. Mam na myśli Ukrainę. Ta największa i najpotężniejsza z byłych nierosyjskich republik radzieckich, od niedawna niepodległa, określana bywa mianem „chorego człowieka regionu"[13]. Szczyci się posiadaniem broni atomowej (która prawdopodobnie zostanie rozmontowana), floty wojennej (przypuszczalnie zostanie przehandlowana Rosji za paliwo i gaz) i statusem wielkiego mocarstwa (w negocjacjach)[14]. Dniepr, nad którym leży Kijów, stolica Ukrainy, dzieli kraj na część wschodnią i zachodnią. Tę pierwszą zamieszkuje znaczna liczba Rosjan (prawie 11 mln, czyli ponad 20 procent całej ludności Ukrainy liczącej 52 mln), jest to rejon ściśle związany z Rosją, szczególnie Krym, gdzie Rosjanie stanowią 60 procent populacji. W części zachodniej, której „stolicą" jest Lwów, Ukraińcy radośnie świętują niepodległość, choć po drugiej stronie granicy mają etnicznych rywali: Rumunię od zachodu, wzdłuż Dniestru, i Węgry, Słowację oraz Białoruś od północnego zachodu. Status wielkiego mocarstwa ukrywa obywatelską kruchość: Ukraina jest nie tylko skłócona z większością sąsiadów, ale i głęboko podzielona od wewnątrz. Pewien wytrawny zachodni dyplomata ostrzegał: „Jeśli

Ukraina się rozpadnie, ten sam los spotka całą Europę Środkową i rejon Morza Czarnego"[15].

Dżihad zagraża więc Ukrainie zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz. Jej pierwszym prezydentem w epoce postsowieckiej został Leonid M. Krawczuk, ideowy komunista, który po uzyskaniu przez kraj niepodległości nawrócił się, podobnie jak Milošević, na śmiercionośny nacjonalizm. Wywołało to obawy 11 mln Rosjan zamieszkujących wschodnią Ukrainę i Krym. Pod rządami Krawczuka inflacja doszła do 40 procent miesięcznie (w Rosji w tym samym czasie osiągnęła 25 procent). Choć kraj posiada wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą, zasoby naturalne i potencjał wytwórczy, produkcja przemysłowa spadła o jedną trzecią, a potem o połowę (między 1991 a 1993 rokiem). Eksperci Banku Światowego określili to jako „hiperdepresję"[16]. W 1994 roku Krawczuka wyrugował reformator Leonid D. Kuczma i ku zaskoczeniu rdzennych Ukraińców z zachodnich rejonów kraju zaczął znowu umizgać się do Rosji. Ukraińscy nacjonaliści nie zapomnieli polityki Stalina, który po krótkim okresie „ukrainizacji", kiedy wspierano lokalną kulturę, a język ukraiński został oficjalnie uznany, zwrócił się przeciw nim, mordując miliony i likwidując miejscową inteligencję.

Chociaż Kuczma był u Krawczuka premierem, dzisiaj nie cieszy się zaufaniem ani na Zachodzie (rozmyślił się w kwestii podpisania układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej, a poza tym wygląda na to, że sprowokuje gwałtowne reakcje antyrosyjskie), ani w zachodniej części Ukrainy. Tereny te zostały włączone do Związku Radzieckiego dopiero po II wojnie światowej i były solą w oku władz w Moskwie w jeszcze większym stopniu niż część, która padła ofiarą stalinowskich czystek. Tam to właśnie Kuczma zyskał sobie miano zdrajcy – jak łatwo przychodzi bojownikom Dżihadu szermowanie tym epitetem! Z drugiej strony, według niektórych ocen prawie połowa Ukraińców jest niezadowolona z niepodległości, a zbliże-

nie Kuczmy z Moskwą znajduje silne poparcie we wschodniej części kraju, zwłaszcza na Krymie.

Krym, będący niegdyś ojczyzną Tatarów, przeżył w 1944 roku czystkę etniczną. Stalin wymordował ludność pochodzenia tureckiego albo przesiedlił do Tatarstanu nad Wołgą (z ludnością liczącą 5 mln Tatarów jest to dzisiaj największy z autonomicznych rejonów Rosji). Krym stał się czysto rosyjski, jednakże po załamaniu się komunistycznego imperium wróciło tu ćwierć miliona Tatarów. Trzy czwarte z nich pozostaje bez pracy, komplikując i tak już niepewną sytuację Krymu będącego częścią Ukrainy. Większość krymskich Rosjan wolałaby zapewne, by doszło do zjednoczenia z Rosją, ale mniejszość tatarska, ze swymi historycznymi roszczeniami do krymskiej ojczyzny, nie chce ani ukraińskiego, ani rosyjskiego panowania. W rezultacie wytworzył się jeszcze bardziej enigmatyczny układ polityczny na wzór bizantyjski. Obecny przywódca Krymu Jurij Mieszkow nie rozstaje się ani na chwilę z uzbrojoną w kałasznikowy gwardią przyboczną (co najmniej pół tuzina polityków poniosło już śmierć od kuli), a choć skłania się ku Moskwie, to zapewne dlatego, że nie ma innego wyboru.

Po drugiej stronie Dniepru, gdzie Rosjan jest niewielu, a rdzenni Ukraińcy spoglądają na zachód, dojrzewa inny konflikt, a mianowicie z Rumunią. Rumuni i Ukraińcy od wieków toczyli wojny o Mołdawię (wraz z Besarabią). Podczas II wojny światowej popierany przez nazistów reżim rumuński, po krótkim interludium w roku 1940 (pakt między Hitlerem a Stalinem był wtedy w mocy), kiedy utracił Transylwanię na rzecz Węgier, Mołdawię zaś zagarnęli Sowieci, wyrwał Bukowinę i Besarabię, przyłączając na powrót całą Mołdawię do Wołoszczyzny. Przejął także kontrolę nad czysto ukraińskim rejonem zadniestrzańskim, z Odessą włącznie. Po wojnie Ukraina odzyskała swoje tereny, ale Mołdawia znów się stała republiką radziecką. Był to bufor między Ukrainą i Rumunią, a zarazem punkt zapalny. Uzyskanie przez nią

niepodległości w 1989 roku wzmogło dawne napięcia, zwłaszcza po ostrzelaniu przez Ukraińców ze wschodniej strony Dniestru rumuńskojęzycznych Mołdawian po jego zachodniej stronie. Trwa nadal kampania na rzecz niepodległości autonomicznego rejonu Naddniestrza, rozpalając namiętności zarówno w Rumunii, jak i na Ukrainie. Chociaż rumuński prezydent Ion Iliescu z uporem twierdzi, że priorytetem jego kraju jest pełne zintegrowanie się z zachodnią i światową gospodarką, konflikty etniczne bardziej absorbują Rumunię niż Ukrainę [17]. W północno-zachodniej Transylwanii mieszka półtora mln Węgrów (cała ludność Rumunii liczy 23 mln), stanowiących potencjalną armię w kampanii Csurki o „Wielkie Węgry". Choć umitygowano ich ostatnio ustawą zezwalającą na posługiwanie się ojczystym językiem, nacjonaliści rumuńscy nadal określają Węgrów mianem „mongolskich wandali" [18].

Rumuni nie zaprzestali także prześladowań Cyganów, którzy podczas wojny tak jak Żydzi stali się ofiarą rasistowskiej polityki prohitlerowskiego reżimu. Rumunia nie jest oczywiście jedynym krajem prześladującym Cyganów, czyli Romów – ankieta przeprowadzona przez „Times Mirror" wykazuje, że niechęć do tego ludu wspólna jest Zachodowi i Wschodowi Europy [19] – ale nigdzie indziej uprzedzenia takie nie są wspierane przez oficjalne władze. Największy rumuński tygodnik „Romania Mare" wystąpił niedawno z postulatem wysiedlenia z kraju wszystkich Cyganów (jest ich w Rumunii 2,5 mln). Cygańskie osiedla wielokrotnie podpalano, zdarzały się też mordy na Cyganach [20]. Na Węgrzech partia Wolnych Demokratów wspomina w swoim programie o sprawiedliwym traktowaniu Cyganów, partie rumuńskie wymownie przemilczają tę kwestię.

Rumuński premier Roman jest Żydem (tak jak były ambasador tego kraju w USA, Sylviu Brucan), ale Front Ocalenia Narodowego, partia prezydenta Iliescu, nie ma zamiaru potępić Iona Antonescu, przywódcy z czasów

wojny, którego Żelazna Gwardia aktywnie pomagała hitlerowcom w eksterminacji Cyganów i Żydów [21]. Rumunia była poza Niemcami jedynym państwem, które podczas II wojny zbudowało obozy zagłady. Na zachodniej Ukrainie siepacze Antonescu grzebali żywcem małe dzieci, żeby oszczędzać amunicję, co w końcu rozgniewało samego Adolfa Eichmanna (*sic!*), zaszokowanego mało wydajnym, tępym okrucieństwem rumuńskich oprawców [22]. Bliżej końca wojny, kiedy wiadomo już było, co się święci, Antonescu zmienił barwy, ale nie dość szybko, by uniknąć egzekucji z ręki Rosjan w 1946 roku. Dzisiaj przywrócono mu jednak dobre imię (uchodzi za „wielkiego patriotę"), podczas gdy Żydzi znów są oskarżani o zdradę rumuńskich interesów narodowych, ponieważ podczas holocaustu opowiedzieli się po stronie Sowietów. Sami są więc odpowiedzialni za swoją zagładę! Historia w rewizjonistycznym ujęciu obarcza Rosjan i ich sojuszników Żydów winą za masowe mordy na Ukrainie.

Bram Stocker, autor *Drakuli*, tak pisał o tym burzliwym regionie zamieszkanym przez setkę ludów zadziwiająco związanych ze sobą, pożenionych i zwalczających się wzajemnie: „W łuku Karpat napotkać można wszystkie znane na świecie przesądy, jakby był to środek jakiegoś fantastycznego wiru. Życie polityczne cechuje tutaj osobliwy mistycyzm i teatralność" [23]. Wyobraźnia dodała do tego zmitologizowaną często historię, stwarzającą najrozmaitsze powody do antagonizmów, a nieznacznym, zmieniającym się, czasem wręcz niedostrzegalnym różnicom nadającą morderczą siłę nienawiści do innych. Eric Hobsbawm powtarza jak echo słowa Stockera, gdy stwierdza: „Historia to nie pamięć przodków ani zbiorowa tradycja. Tworzy ją to, czego ludzie dowiedzieli się od duchownych, nauczycieli, autorów książek do historii oraz kompilatorów przygotowujących artykuły prasowe i programy telewizyjne" [24].

Namiętności rozdzierające region są równie często wyuczone, jak zapamiętane, częściej zainspirowane przez

podżegające do nienawiści programy etnicznych stacji radiowych, niż wynikające z dawnych waśni. Tożsamość prawdziwa ma najczęściej wielokulturowy charakter. „Starszy wiekiem mieszkaniec środkowoeuropejskiego miasta nierzadko ma dokumenty tożsamości wydane przez trzy kolejne państwa. Człowiek w moim wieku pochodzący z Lwowa lub Czerniowic żył pod panowaniem czterech różnych państw, nie licząc wojennej okupacji. Ktoś mieszkający w Munkascu mógł nawet przeżyć pięć takich rządów"[25]. Niestety, logika terrorystów usuwa dzisiaj w cień to sprzyjające tolerancji dziedzictwo. Wraz z zanikiem więzi imperialnych, które w monarchii austro-węgierskiej czy w imperium osmańskim łagodziły partykularne odrębności, współczesne grupy subnarodowe dążą do redukcji do najmniejszych form określanych przez lokalny dialekt, religię w sekciarskim wydaniu i tożsamość etniczną. Ciasna logika etnicznego samostanowienia wytwarza niewielką narodowość, dla której wspólnym mianownikiem staje się nie tyle historia, co troskliwie podsycana nienawiść do „innych". Bośniak mówiący po serbochorwacku, którego prapradziadek za czasów Osmanów przyjął islam, staje się obcym elementem zasługującym na wysiedlenie. Wspólna religia i skuteczne partnerstwo gospodarcze nie wystarczyły, jak się okazało, by powstrzymać Czechów i Słowaków ożywianych odgrzewanymi namiętnościami „historycznymi" przed zaprzepaszczeniem wspólnego dorobku. Poza wszystkim przecież, „jeśli nie ma przeszłości, która by pasowała, można ją zawsze wymyślić, kiedy trzeba"[26]. Wszystko, co tutaj przytoczyłem, każe myśleć, iż poddana rewizji przeszłość została użyta do wydania wojny teraźniejszości w sposób, który przyszłości nie wróży nic dobrego.

Pesymiści z góry spisali cały ten region na straty jeszcze zanim wyzwolił się od komunizmu. Janos Vorzsak, wiceprzewodniczący Demokratycznego Związku Węgrów w Rumunii, oznajmił nie dalej jak w 1990 roku: „Większość Rumunów nie jest przygotowana do demokracji.

Tak długo żyli w iście piekielnych ciemnościach, że łatwo ich prowadzić za rękę. Ich psychika jest prymitywna"[27]. Ale jest to prawdą tylko dlatego, że przywódcy chcą, aby było prawdą, dlatego także, iż elektroniczna i cyfrowa maszyneria McŚwiata używana jest w służbie Dżihadu, a pamięć połączona jest z dawnymi urazami. Może być jednak od nich odłączona, co wykażę dalej. Jeśli bowiem Dżihad podkopuje fundamenty demokracji, to i demokracja może podkopać podwaliny Dżihadu. Ale czy naprawdę?

14
Dżihad właściwy: islam i fundamentalizm

Konflikt między demokracją a Dżihadem nigdzie nie przejawia się tak dobitnie, jak w świecie muzułmańskim, gdzie zrodziła się sama idea Dżihadu, choć świat ten z pewnością nie ma na nią monopolu. Wiadomo, że islam to religia złożona i w żadnym wypadku nie można go z Dżihadem utożsamiać, z drugiej jednak strony jest względnie niegościnny wobec demokracji, a co za tym idzie, tworzy środowisko sprzyjające zaściankowości, oporowi wobec modernizacji, odrębności i wrogości wobec „innych". A wszystko to składa się na zjawisko, które nazwałem „Dżihadem".

O ile pojęcie *dżihad* kojarzy się z moralną (czasem także zbrojną) walką wiernych przeciwko niewierze i niewiernym, używam tego terminu na ogólne określenie fundamentalistycznej opozycji wobec nowoczesności, której elementy można odnaleźć w większości światowych religii. Martin E. Marty i R. Scott Appleby w swej wielkiej, pięciotomowej pracy o fundamentalizmie omawiają islam w sunnickim i szyickim wydaniu, ale tyle samo uwagi poświęcają protestantyzmowi i katolicyzmowi w rozmaitych europejskich, północnoamerykańskich i południowoamerykańskich odmianach, hinduizmowi, Sikhom, buddyzmowi Theravada, odrodzonemu konfucjanizmowi i syjonizmowi. Według Marty'ego i Appleby'ego religie fundamentalistyczne są wojownicze, zaangażowane w nieustającą *walkę*, „zarówno, gdy ich orężem jest słowo, idea

czy karta do głosowania, jak i – w skrajnych sytuacjach – ostra amunicja”[1]. Jest to walka przeciw teraźniejszości toczona w imię przeszłości. Fundamentaliści bronią swojej religijnej koncepcji świata przed sekularyzmem i relatywizmem, sięgają po broń wszelakiego rodzaju, czasem zapożyczoną od wroga, ale pieczołowicie dobraną, by gwarantowała ich tożsamość. Walczą pod wodzą Boga o sprawę, która, choć jeszcze nie wygrała, przegrać nie może, bo jest święta. Święta wojna nie jest więc wyłączną cechą islamu, ale wszystkich fundamentalizmów. Niezależnie od tego, *dżihad* to pojęcie wywodzące się z kręgu kultury islamu, a swoją moc czerpie nie tyle ze skojarzeń z fundamentalizmem w ogóle, co z fundamentalizmem muzułmańskim oraz zbrojną walką prowadzoną przez takie ugrupowania, jak Hamas i Islamski Dżihad. Są w islamie prądy umiarkowane i liberalne, ale obecnie mniej dają o sobie znać niż nurt wojowniczy.

Islam jako religia ma tendencje uniwersalistyczne. Trudno określić go jako ekumeniczny, ale przyznać trzeba, że inne religie, nawet wyznawane przez mniejszości zamieszkałe w krajach muzułmańskich, traktował z dużą tolerancją. Na przestrzeni swych dziejów nie wykazywał takich zakusów do nawracania innych, jak chrześcijaństwo. Istniały muzułmańskie imperia, ale nie oparły się krucjatom i kolonialnym potęgom Anglii i Francji. Jednakże w świecie islamu religia i państwo powstały równocześnie i są nierozdzielne. Zdaniem niektórych obserwatorów mniej tu miejsca na sekularyzm niż w jakiejkolwiek z głównych światowych religii. Chociaż więc w obrębie każdej z nich istnieją fundamentalistyczne tendencje, w islamie od XVIII wieku odgrywają one przodującą rolę. Stworzyło to szczególne problemy dla demokracji i praw człowieka w muzułmańskich krajach Bliskiego Wschodu, Północnej Afryki i Azji. Co więcej, w krajach tych walka Dżihadu z McŚwiatem to coś o wiele więcej niż metafora określająca trybalizm czy zaniepokojony antymodernizm. Była to zawsze wojna

w sensie dosłownym przeciw wartościom społeczeństwa liberalnego, jego kulturze i instytucjom. Nawet prozachodnio nastawieni Arabowie kwestionują zachodnie wartości, choć czynią to z pewnym skrępowaniem. W płatnym ogłoszeniu, które miało rozwiać wątpliwości Amerykanów co do sojusznika, ambasador Arabii Saudyjskiej książę Bandar Ibn Sultan poczuł się jednak zmuszony napisać: „import w postaci błyskotek czy wysoko rozwiniętej technologii to wspaniała rzecz, ale nieuchwytne instytucje społeczne i polityczne mogą być śmiertelnym zagrożeniem"[2]. Urzędnik irańskiego Ministerstwa Kultury i Orientacji Islamskiej może sobie pozwolić na większą szczerość. Programy satelitarne nadawane do Teheranu są jego zdaniem „przygotowywane przez międzynarodowy imperializm i stanowią element zakrojonego na szeroką skalę spisku, który ma unicestwić nasze religijne i święte wartości"[3]. Kiedy *Dynastia*, *Donahue Show*, *Dinky Dog* i *Rodzina Simpsonów* transmitowane dzięki Star TV zaczynają stanowić konkurencję dla, jak to określają irańscy sceptycy, „człowieka na balkonie" (przywódca rewolucji islamskiej ajatollah Chomeini miał zwyczaj wygłaszać z balkonu nie kończące się przemówienia), trudno się dziwić, że władze Iranu uznają telewizję satelitarną za „broń wymierzoną przeciw szlachetnemu Prorokowi" i próbują zakazać importu, wyrobu i używania anten[4].

W całej tej książce pojęcie „Dżihad" używane jest jako metafora określająca walkę z Zachodem i uniwersalizmem. Zachodzi pytanie, czy w kulturze muzułmańskiej, która to pojęcie stworzyła, jest ono czymś więcej niż metaforą. Praktyczne zapoznanie się z systemami rządów w państwach muzułmańskich bez wątpienia potwierdza pewien brak powinowactwa między islamem a demokracją. W prawie wszystkich tych państwach albo nigdy demokracji nie popróbowano, albo zarzucono ją po nieudanych eksperymentach. W ogromnym niebezpieczeństwie znajduje się w Algierii, gdzie unieważniono wybory, ponieważ zwyciężyli w nich fundamentaliści. W Egipcie,

gdzie jej nigdy w pełni nie zaprowadzono, minimum swobód jest stale ograniczane przez zatrwożone władze, które tropią fundamentalistyczną opozycję. Nie widać demokracji w Kuwejcie, nawet po wojnie o „wyzwolenie" tego kraju od irackich najeźdźców. Pakistan, Afganistan i Sudan, gdzie muzułmańscy fundamentaliści rosną w siłę, są lub stają się nawet mniej demokratyczne niż były. Sojusznicy Ameryki – Arabia Saudyjska, Jordania i emiraty naftowe – znajdują się pod silną presją, muszą udawać, że są państwami demokratycznymi, a jednocześnie toczą walkę przeciw fundamentalistom, choć czynią to w imię demokracji.

Tak już się składa, że fundamentalizm ma na swoim koncie więcej sukcesów jako przeciwnik bliskowschodnich despotów, niż mogły odnotować systemy świeckie, które miały obalić fundamentalizm i zrealizować aspiracje Zachodu. Tylko że fundamentalizm nigdy nie ustanowił demokracji, chociaż często występował przeciwko tyranii. Powołując się na doświadczenia historyczne, niektórzy obserwatorzy, jak John Waterbury, wysuwają niecodzienną tezę: otóż islam tworzy warunki na tyle wyjątkowe, że wyklucza zaistnienie demokracji w krajach muzułmańskich, które skazuje na nieustającą walkę przeciw Oświeceniu i jego liberalnemu i demokratycznemu dziedzictwu [5]. Hilal Chaszan stwierdza po prostu: „W świecie arabskim nie ma żadnych przesłanek do ustanowienia demokracji. Arabska demokracja na zachodnią modłę to tylko pobożne życzenie" [6].

A jednak, czego się zresztą można było spodziewać, w samym świecie islamu istnieją różne interpretacje tej religii i na każdy niepodważalny argument znajdą się kontrargumenty. Chociaż w językach kręgu kultury islamu nie ma rodzimego słowa oznaczającego demokrację i używane jest zapożyczenie z greckiego (ale tak się składa, że i nas sytuacja jest identyczna) i chociaż demokratyczny system polityczny często uznaje się za wyłączną cechę Zachodu – po arabsku jest to słowo o mrocznych,

budzących lęk konotacjach („Gharb”), obszar, gdzie zachodzi słońce i mieszkają obce, agresywne ludy – islam ma także swoje nurty oświeceniowe. Przynajmniej jedna wersja historii islamu mówi o walce między rozumem i wiarą, między consensusem i autorytaryzmem, oporem wobec tyranii i tyranami. Fatima Mernissi, socjolog z Maroka, jest zdania, że „przez całe dzieje islamu przewijają się dwa główne nurty: jeden intelektualny, zastanawiający się nad filozoficznymi założeniami świata i rodzaju ludzkiego, oraz drugi, uciekający się do użycia siły przy rozstrzyganiu spraw politycznych”. Pierwszy w swych rozważaniach dotyczących rozumu ludzkiego podobny był do zachodniego humanizmu, przedstawiciele drugiego „wyobrażali sobie, że zmienią bieg spraw, jeśli zbuntują się przeciw imamowi lub go zamordują” [7]. Oba zajmowały się tymi samymi kwestiami, które dzisiaj w świecie islamu określa się jako import z Zachodu – zagadnieniami oporu i odpowiedzialności, czyli demokracji.

W pewnym więc sensie islamscy fundamentaliści autentycznie się buntują przeciw skorumpowanej świeckiej władzy politycznej, podobnie jak pierwsi chrześcijanie. Fanatycy, którzy w 1981 roku zamordowali Anwara Sadata, należeli do ugrupowania o nazwie „Dżihad” (tak, dosłownie). Kiedy po dokonaniu swego krwawego czynu wznieśli okrzyk: „Zabiłem faraona, nie boję się śmierci!”, przemawiali językiem męczenników walki wyzwoleńczej [8]. W Algierii fundamentaliści zwyciężyli w 1991 roku w wyborach powszechnych, a świecka partia – Front Wyzwolenia Narodowego – wolała z pomocą armii zlikwidować demokratyczne instytucje, niż przekazać je przeciwnikom. Obserwatorzy nadal wyobrażają sobie, że demokracja w świecie islamu ma przyszłość. W 1992 roku na konferencji zorganizowanej przez amerykański Instytut Pokoju (United States Institute on Peace) mówiono o „nowej syntezie”: „ze ścierania się opinii na temat relacji między islamem a demokracją może się zrodzić nowa syntetyczna koncepcja. Pojęcia wywodzące się

z kręgu kultury islamu przyczynią się do rozwoju koncepcji demokracji nadając im nowe znaczenie, poza przyjętym aktualnie na Zachodzie"[9].

Jak dalece realna jest ta perspektywa? Czy, jak utrzymuje Edward W. Said i jemu podobni, demokracja w krajach muzułmańskich jest w większym stopniu ofiarą kolonialnych represji i postkolonialnego wyzysku niż rodzimych sił islamskich?[10] Czy też islam jest zjawiskiem wyjątkowym, wykluczającym istnienie wolnego społeczeństwa obywatelskiego i prawdziwej demokracji? Jeśli demokracja może być tylko zachodnia, a modernizacja oznacza westernizację, mało byłoby nadziei na pojednanie, jako że w pojęciu muzułmanów świecka kultura Zachodu jest do cna zepsuta, a jej wartości nie dają się pogodzić z etyką islamu. Jeżeli jednak demokracja przyjmuje różnorodne formy, stanowiąc odwieczną manifestację dążenia do samorządnej wspólnoty, może da się zaadaptować do występujących w Koranie pojęć, takich jak *umma* (wspólnota), *szura* (konsultacja) i *al-maslaha* (interes publiczny). Zdaniem innych muzułmańskich uczonych, islam w takim ujęciu nie musi być „antytezą zbioru [*telos*] wartości demokratycznych"[11]. Fundamentaliści mogą obstawać przy twierdzeniu, że skoro wola Allaha jest suwerenna, wola ludu taką być nie może, ale fundamentaliści umiarkowani podkreślają, iż mimo to pozostaje jeszcze dość miejsca dla sprawowania władzy politycznej przez większość, dopóki odbywa się to przy uznaniu ostatecznej zwierzchności boskiej władzy. Ani Francja, ani Włochy nie mają formalnego rozdziału Kościoła od państwa zapisanego w konstytucji, lecz w obu tych krajach powstały stosunkowo żywotne demokracje. Posłuszeństwo Bogu jako instancji najwyższej może hamować zapędy autorytarnej władzy świeckiej, a ludziom stosującym się do nakazów wiary stwarzać możliwość demokratycznego zarządzania swymi sprawami, jak w Genewie za czasów Kalwina czy wśród purytanów stanu Massachusetts przed rewolucją.

Takie pojednanie jest jednak o tyle problematyczne, że fundamentalistyczny islam przeciwstawia się przede wszystkim nie tak demokracji, co modernizacji, zwłaszcza pod postacią westernizacji. Tradycje demokracji sięgają daleko w przeszłość, jej formy sprzed epoki nowożytnej czy ery liberalizmu niekoniecznie muszą być sprzeczne z fundamentalistycznym islamem czy chrześcijaństwem. W obu tych religiach Państwo Boże składa się z braci w wierze, równych przed obliczem Boga-Ojca. W przeciwieństwie jednak do demokracji, która da się pogodzić z religią (Tocqueville uważał, iż w gruncie rzeczy opiera się ona na religii), modernizacja jest równoznaczna z sekularyzacją i niejako z definicji niesie zgubę każdej religii, a zwłaszcza takiej, która zakłada, iż „posłanie od Boga przedstawione w Koranie ma wszechstronny i powszechny charakter" [12]. Ta wszechstronna i powszechna suwerenność Boga stwarza dla islamu wielce złożone problemy, które chrześcijaństwo zdołało obejść dzięki doktrynie „dwóch mieczy", w myśl której Bóg i człowiek rządzą odpowiednio podległymi im obszarami (w tym ostatnim wypadku poprzez władzę królewską). Odwołanie się przez papieża Grzegorza do maksymy „oddajcie Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie" stanowiło przedkonstytucyjny rozdział Kościoła od państwa nie mający odpowiednika w islamie, który woli, by ludzie we wszystkich sprawach, i duchowych, i doczesnych, zdawali się na Allaha. Taki monolityczny system może pomieszać szyki demokratom, ale także i królom (ani jedni, ani drudzy nie rozporządzają bowiem obszarem wyłączonym spod władzy Allaha, gdzie mogliby rządzić suwerennie lub despotycznie. Allah nie toleruje rywali).

Demokracja zawsze jednak potrafiła dostosować się jakoś do religii, Dżihad zaś zacieklej zwalcza McŚwiat niż demokrację. W latach dwudziestych założyciel Bractwa Muzułmańskiego Hasan al-Banna ostro potępiał zalewającą Egipt „falę ateizmu i rozwiązłości", która to fala pod pretekstem wolności jednostkowej i intelektualnej „za-

częła niszczyć religię i moralność"[13]. Łatwo sobie wyobrazić, że al-Banna mógłby kierować swoje pełne wyrzutów słowa pod adresem Ruperta Murdocha czy Barry'ego Dillera. Atakował bowiem ludzi Zachodu za importowanie „swoich półnagich kobiet, napitków alkoholowych, teatrów, dansingów, rozrywek, opowieści, gazet, książek, kaprysów, dziecinnych gier i grzechów". Potrafił ocenić McŚwiat na długo przedtem, zanim ten ostatni przybrał na tyle określone kształty, by mógł sam siebie ocenić. Pojął, że wiedza jest silniejsza od broni, a środki łączności od armii, i już w latach dwudziestych ostrzegał, że „kultura Zachodu stanowi o wiele większe zagrożenie niż kampanie polityczne i militarne". Przewidział, że McŚwiat zwycięży tam, gdzie imperia kolonialne poniosły klęskę.

Gniewne słowa al-Banny to samo sedno kampanii Dżihadu przeciw wszystkiemu, co nowoczesne, świeckie i kosmopolityczne. Odzwierciedlają podstawową zasadę fundamentalizmu, który od XVII wieku rozwijał się równolegle do diabelskich tendencji modernizacyjnych. Znają go purytanie i muzułmanie, buddyści i „nowo narodzeni" baptyści. Wystarczy porównać płomienną retorykę al-Banny z obłąkańczym kaznodziejstwem angielskiego purytanina z XVII wieku, Prynne'a. W *Histriomastix*, histerycznej filipice wymierzonej przeciw grzechom teatru, potępia przedstawienia teatralne jako „obrzędy Diabła, których my, baptyści, się wyrzekamy (...) grzeszne, pogańskie, wyuzdane, bezbożne widowiska szerzące najbardziej zgubne Zepsucie". Potępia następnie, jako „niegodziwe i niechrześcijańskie spędzanie czasu", cały szereg nowomodnych rozrywek i zjawisk, do których zalicza między innymi: „zniewieściałe tańce, grę w kości, nieprzyzwoite obrazy, wyuzdaną modę, malowanie twarzy, pijaństwo, długie włosy, zalotne loki, peruki, zakręcanie i podcinanie włosów przez kobiety, ognie sztuczne, podarunki na Nowy Rok, zabawy majowe, miłosne opowieści z życia pasterzy, rozwiązłą zniewieściałą muzykę, zbyt częsty

śmiech, rozrzutne obchodzenie Świąt Bożego Narodzenia..." i wiele innych rozrywek, zapowiadających to, co miał przynieść McŚwiat [14]. Czy jest na tej liście coś, czego nie potępiłby również pełen zapału mułła? Echa gniewu al-Banny słyszymy również w tyradach Jana Jakuba Rousseau przeciw wielkim miastom, które są jego zdaniem grobowcami prawdziwej sprawiedliwości i moralności, zamieszkanymi przez gnuśnych, bezbożnych intrygantów wyzbytych wszelkich zasad [15]. Biadania Rousseau to narzekania prowansalskich chłopów na zblazowanych paryskich dworaków i zaprowadzających nowe porządki jakobinów, to utyskiwania farmerów z Alabamy na elity kulturalne Hollywoodu i Nowego Jorku i niedosięgłych „facetów od polityki" uprawiających swoje gierki „wewnątrz obwodnicy", czyli w wielkich miastach. Bunt przeciw nowoczesności kieruje się bowiem przeciw kosmopolityzmowi, kulturze miejskiej i miejskim rozrywkom. Antykosmopolityczny duch ożywiający wszelkie fundamentalizmy nie bez powodu za głównego wroga uznał Oświecenie – rozwój ekonomiczny powoduje bowiem mnożenie się nowych doczesnych potrzeb i obsesję ich zaspokajania, a sztuka i nauka zagrażają prostocie i naturalnej wierze zwykłych kobiet i mężczyzn. Owocem Oświecenia jest sekularyzm, który podkopuje nie tylko religię, lecz i opartą na niej moralność, niszcząc tym samym tkankę społeczną utrzymującą ludzkie wspólnoty.

Al-Banna nie odbiega daleko od Pata Robertsona, Pata Buchanana i kampanii chrześcijańskiej prawicy na rzecz powrotu do dziewiętnastowiecznych wartości rodzinnych, wynikających ponoć bezpośrednio z faktu chodzenia do kościoła i odmawiania modlitwy w szkole, będących emanacją protestanckiej Ameryki. I tak jak Bractwo Muzułmańskie widziało w chrześcijaństwie przyczółek krucjaty zepsucia, tak amerykańscy protestanci z ugrupowania Know-Nothing uważali w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, że katoliccy imigranci z rejonu Morza Śródziemnego stanowią poważne zagrożenie dla republiki

amerykańskiej. Dziś z kolei mieszkańcy Kalifornii denerwują się z powodu napływu nielegalnych imigrantów latynoamerykańskich, którzy w ich mniemaniu są nie tylko obciążeniem dla ich portfeli, ale i niebezpieczeństwem dla porządku publicznego. Amerykanie często uważają Dżihad za zjawisko obce, typowe dla polityki bliskowschodniej i świętej wojny między muzułmanami a syjonistycznymi osadnikami, mającymi jednakową obsesję na punkcie Ziemi Świętej. Dziś możemy jednak mówić także o amerykańskim Dżihadzie. Nie jest to ten, nad którym obszernie rozwodzą się media, skupiające swe zainteresowanie na sprawcach zamachu bombowego na World Trade Center czy zamieszkałych w Ameryce Arabach popierających Hamas (sprawom tym Stephen Barboza poświęcił swą niedawno wydaną książkę)[16]. Amerykański Dżihad, który naprawdę się liczy, to wrogi establishmentowi fundamentalizm chrześcijańskiej prawicy, święta wojna prowadzona przez wrogie wszelkiej modernizacji odłamy protestantów, buntujących się przeciw wytwarzanej przez McŚwiat kulturze niewiary[17]. A ten McŚwiat zewsząd ich otacza, odkrywają go w programach telewizyjnych transmitowanych w najlepszym paśmie nadawania, i dają mu odpór w radiowych tyradach. Z kolei w świeckiej przestrzeni publicznej pogardzani politycy „liberalni" podkopują religijny światopogląd za pomocą podręczników traktujących o ewolucji i szkół zakazujących modlitwy.

Muzułmańska święta wojna nie jest więc jedynym wrogiem modernizacji, która ma przeciwników także na amerykańskiej ziemi – w ojczyźnie McŚwiata. Od lat trzydziestych XVIII wieku (co najmniej), kiedy nastąpiło „wielkie przebudzenie" protestanckiego fundamentalizmu, religijny ferwor co jakiś czas daje o sobie znać. Liderzy głównych chrześcijańskich ugrupowań prezentują dzisiaj względnie umiarkowaną odmianę Dżihadu. Jerry Falwell, przywódca Moralnej Większości (Moral Majority) potępia w swoich kazaniach Sąd Najwyższy za „pogwałcenie

Konstytucji, wiary chrześcijańskiej i kościołów" i wzywa swych zwolenników do walki „przeciw radykalnym mniejszościom, które próbują usunąć Boga z naszych podręczników, a Chrystusa z naszego narodu. Nie możemy dopuścić, by nasze dzieci zapomniały, że jesteśmy narodem chrześcijańskim. Musimy rewindykować to, co na mocy prawa nam się należy"[18]. Pat Buchanan w wystąpieniu na konwencji Republikanów w 1992 roku stwierdził, że kraj toczy kulturową wojnę o przetrwanie, a zwycięscy Republikanie po wyborach w 1994 roku oskarżyli Clintona o nieamerykańską postawę i uleganie wpływom kontrkultury. Bojownicy stosujący mniej konwencjonalne metody, jak Randall Terry, uczestnik antyaborcyjnej krucjaty, są w swoich wypowiedziach o wiele bardziej otwarci: „Chcę, żebyście dali się ogarnąć fali nietolerancji, fali nienawiści. O tak, nienawiść to właściwe słowo... Naszym celem jest stworzenie chrześcijańskiego narodu. Obowiązek ten nakłada na nas Biblia, sam Bóg nas powołał do podboju tego kraju"[19]. Tych chrześcijańskich bojowników, toczących zaciętą walkę przeciw swoim czasom i współczesnemu światu, cechuje to samo oburzenie, ta sama nietolerancja dla moralnego rozprzężenia, ta sama święta nienawiść, co fanatyków z Teheranu i Kairu. McŚwiat tolerują tylko po to, by wykorzystywać jego wysoko rozwinięte systemy łączności do organizowania wyborców, a muzykę rockową jako podkład pod przesłodzone teksty o zbawieniu. Są też grupy, jak na przykład Gospel Gangstas, czy A-1 S.W.I.F.T., które wychwalają strzelanie z przejeżdżającego samochodu na chwałę Chrystusa, śpiewając „W tej walce słowem Boga jest mój automat wycelowany w twoją głowę"[20].

In this scrap the Word of God's my A-K
Pointed at your Dome
'Cause my aim is straight, hey...
You wanna be set free
Then you gotta be saved

Better do it now
Move with the quickness
Or else I'll hit you with the
Drive by Witness.

Ci pobożni[21], głoszący Ewangelię kowboje nie są zapewne aniołami, ale nie są też szaleńcami. Wygrywają w lokalnych wyborach, w 1994 roku przyczynili się do zwycięstwa Republikanów w wyborach do Kongresu i popychają tę partię coraz bardziej na prawo. Zebrali miliony dolarów dla pułkownika Oliviera Northa, gdy ubiegał się w Wirginii o fotel senatorski i prawie go zdobył. Okazują przebiegłość nie tylko w taktyce politycznej, ale i w ocenie McŚwiata. Jest w nim wiele odrażających elementów, wiele obraża elementarne poczucie sprawiedliwości i narusza zasady moralne, poniża religię i przekonania religijne, przynosi ujmę człowiekowi pozbawiając go szerszego duchowego wymiaru. Amerykanie z przedmieść tęsknią za pojmowanymi dosłownie pewnikami Nowego Testamentu równie szczerze i autentycznie, jak arabscy męczennicy świętej sprawy za pewnikami Koranu. I jedni, i drudzy pragną narodzić się ponownie – wczoraj, w minionej epoce, zanim Nietzsche oznajmił śmierć Boga. Chcą polec na polu chwały, zanim spełni się proroctwo Webera o rozwianiu wszelkich złudzeń przez racjonalistów i biurokratyczne rządy. Niektórzy przystępują do fundamentalistycznych wspólnot, inni działają w pojedynkę, jak pionierzy, walcząc zza węgła z „nowym ładem światowym", który w ich przekonaniu zagraża tak przez nich cenionym dawnym wartościom[22]. Walcząc przeciw czasowi mogą rozbić sobie głowę, ale sam czas w ostatnich stuleciach nie był sprzymierzeńcem religii ani moralności. Nawet pragmatycy przygotowani do życia w warunkach, jakie historia im stworzyła, mogą szukać wybawienia od egzystencji, która przypadła im w udziale.

Pojawiła się poza tym nowa odmiana amerykańskiego pragmatyka. Jest to straszliwy pragmatyk świętej wojny,

wyładowujący wściekłość, którą w sobie pieczołowicie wyhodował na glebie głębokiego poczucia krzywdy. Może (ale nie musi) być weteranem wojny wietnamskiej, nie poprzestaje prawdopodobnie na przynależności do National Rifle Association, należy również do którejś z fanatycznych grup w rodzaju White Aryan Resistance (Biały Aryjski Opór), Order (Porządek) albo do „milicji", których jest coraz więcej i działają już w prawie każdym stanie. Choć globalizm McŚwiata utożsamia z utratą swoistej „prawdziwie amerykańskiej" wolności, fascynuje go destrukcyjna technologia – broń i materiały wybuchowe. Jego gniew to szczególna, perwersyjna odmiana religii obywatelskiej. Konstytucja sprowadza się dla niego do drugiej poprawki (dotyczącej prawa do posiadania broni), wolność oznacza, że prawo przestaje działać na progu jego posiadłości (urzędnicy federalni to agenci totalitarnego reżimu), rząd to demoniczni „oni", wysługujący się komunistom i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Trzeba wypowiedzieć mu wojnę obronną, by nie opanował całego kraju. Bohaterami tego paranoicznego nurtu są opętani samotnicy, w rodzaju Roberta Jaya Matthewsa, przywódcy ugrupowania Order, który w 1984 roku zamordował Alana Berga prowadzącego znany w Denver talk-show, i sam zaraz potem zginął w strzelaninie. Należy do nich również zwolennik supremacji białych Randy Weaver, którego żona i syn zostali zabici podczas wymiany strzałów z policją w 1992 roku, David Koresh, „męczennik", którego śmierć podczas szturmu oddziałów rządowych na Waco w 1993 roku wywołała żądzę ·zemsty wśród tysięcy pariasów McŚwiata, a także pozujący na nazistę Richard Wayne Snell, morderca czarnego policjanta, skazany na śmierć i stracony 19 kwietnia 1995 roku.

To pamiętna data – tego samego dnia, dokładnie w dwa lata po tragedii w Waco, grupa fanatyków, chcąc „uczcić" pamięć członków sekty Koresha, wysadziła w powietrze siedzibę władz federalnych w Oklahoma

City. Był to najkrwawszy akt terroru w dziejach Stanów Zjednoczonych. Podejrzenia skierowały się w stronę Dżihadu i były słuszne, choć błędnie przypuszczano, że w grę wchodzi Dżihad zagraniczny, muzułmański, arabski lub irański. Tymczasem Dżihad osiedlił się w Ameryce, nawiązując do rodzimych brutalnych tradycji. Wyhodowany na rodzimej glebie, czeka na dogodny moment.

O ile McŚwiat w najbardziej podstawowych negatywnych przejawach odznacza się zwierzęcą zachłannością, zaspokajaną z agresywną i nieopanowaną energią, o tyle Dżihad można porównać do zwierzęcego strachu napędzanego niepokojem, jaki się odczuwa w obliczu nieznanego. Łagodzeniu tego strachu służy gotowy do wszelkich poświęceń fanatyzm – ucieczka z historii[23]. Historia bowiem, będąca dziejami indywidualizacji, zachłanności, sekularyzacji, agresywności, atomizacji i zaniku wartości moralnych, jest w oczach wyznawców Dżihadu pochodem niegodziwości i nośnikiem zepsucia, trzeba ją więc odrzucić, tak samo, jak odrzucić trzeba czas, którego upływ do tego wszystkiego doprowadził. Strażnicy dawnej moralności, czy to w Ameryce, czy w Izraelu, Iranie lub Indiach, nie mają innego wyboru, jak wypowiedzieć wojnę teraźniejszości, by stworzyć przyszłość bardziej podobną do tego, co było: wykorzenić pluralizm i sceptycyzm, zaprowadzić jedną kulturę, przywrócić złudzenia. W takich właśnie warunkach rozkwitały niegdyś homogeniczne wartości, zgodnie z którymi kobiety i mężczyźni prowadzili uporządkowane, nieskomplikowane życie. Dzisiaj żyjemy jak bohaterowie brukowych magazynów – *pulp fiction* – a *Pulp Fiction* jako powieść, film czy sposób na życie nie obiecuje żadnych cudów. McŚwiat przedstawia sobą zbyt chudy wikt dla wygłodniałych moralistów, sprawy duchowe obchodzą go zaledwie pobieżnie. Choć czyny popełniane przez Dżihad mogą być odrażające, są oznaką buntu przeciw niemniej odrażającym przemianom.

Z przedstawionej tutaj moralnej topografii Dżihadu można wysnuć wniosek, że McŚwiat – duchowe ubóstwo rynków – ponosi zapewne w jakiejś mierze odpowiedzialność za ekscesy świętej wojny, a w Dżihadzie będącym formą negacji przejawia się także Dżihad będący swego rodzaju afirmacją. Dżihad pielęgnuje duszę, której McŚwiat się wyrzeka, i ma na względzie zdrowie moralne, lekceważone przez McŚwiat zaabsorbowany wyborami w sferze konsumpcji, które mylnie utożsamia z wolnością. Dżihad rusza więc do wojny z McŚwiatem, a ponieważ każdy z nich obawia się, że ten drugi przeszkodzi w realizacji jego celów i w końcu ją udaremni, walka między nimi staje się świętą wojną. Tu nie kreśli się linii na piasku, lecz wykuwa je w kamieniu. Język nienawiści nie tak łatwo dopuszcza kompromisy; trudno sobie wyobrazić, by „inny", będący wrogiem, mógł się stać partnerem dialogu. Ale tak samo, jak McŚwiat jest „innym" w oczach Dżihadu, tak i Dżihad jest „innym" dla McŚwiata. Rozsądne komunikowanie się postawione jest pod znakiem zapytania, skoro zwolennicy Dżihadu i rozsądek, i komunikowanie się uważają za kusicielskie narzędzia diabła, a dla zwolenników McŚwiata są to z kolei kusicielskie narzędzia konsumpcjonizmu. Albowiem bez względu na swą dialektyczną interakcję, z której wynikają określone konsekwencje dla demokracji, w sferze moralności Dżihad i McŚwiat wykluczają się wzajemnie. W meczecie nie ma miejsca dla Nintendo, a w Internecie – dla Jezusa, bez względu na to, jak szybko przybywa rozmaitych „religijnych" kanałów. Nie można równocześnie brać życia na poważnie i traktować go jako zabawy, zabiegać o zaspokojenie potrzeb zachłannego ciała, a zarazem o chwałę gotowej do poświęceń duszy. Albo jest tak, że Prawdę mówi Koran, albo też Prawdą jest quiz telewizyjny. Historia wytworzyła Dżihad jako przeciwwagę dla McŚwiata, oba splecione są w sposób niemożliwy do rozwikłania, ale pojedynczy ludzie nie mogą żyć w obu obszarach naraz, i muszą się na coś zdecydować.

Wcale nie jest, niestety, oczywiste, że jakakolwiek decyzja stworzy perspektywy dla zwolenników demokracji i wolnego społeczeństwa obywatelskiego.

Czy przyszli demokraci powinni więc postawić na McŚwiat, z którym szli wspólną drogą do modernizacji, ale, jak się okazało, tak mało go obchodzą? Czy też podjąć próbę dostosowania się do Dżihadu, którego wzniosłe ideały moralne dobrze współgrają z powagą demokracji, ale bardzo niewiele miejsca pozostawiają jej swobodom? Jak się okazuje, ani Dżihad, ani McŚwiat – a już na pewno nie konflikt między nimi – nie zostawiają dla demokracji wiele przestrzeni.

CZĘŚĆ III

DŻIHAD KONTRA McŚWIAT

15
Dżihad i McŚwiat w warunkach Nowego Nieładu Światowego

Kłócące się narody rozprawiają o nowym ładzie światowym, ale starcie Dżihadu z McŚwiatem stwarza nowy światowy nieład, w którym niewiele miejsca pozostaje dla demokracji. Państwo narodowe ani na swoim terenie, ani samo z siebie nie gwarantowało nigdy demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego i prawdopodobnie wcale nie jest niezbędnym warunkiem rozkwitu ludzkich swobód. Takie czy inne demokracje powstawały przecież w małych miastach-państwach, *polis* (do których, jak się zdaje, idealnie pasowały) na długo przed wytworzeniem się państw narodowych. Demokracja funkcjonowała także w imperiach, które wchłonęły państwa narodowe. Jednakże na przestrzeni ostatnich stuleci demokratyczne i egalitarne instytucje były przeważnie ściśle związane z integralnymi państwami narodowymi, a cnoty obywatelskie (warunek *sine qua non* demokracji) stały się atrybutem przynależności do takiego państwa. Demokratyczne cnoty obywatelskie znalazły się pod podwójnym ostrzałem – ze strony wojowniczych sił Dżihadu oraz ekspansywnych rynków McŚwiata, co podkopuje podwaliny demokratycznych instytucji. Kwestia o zasadniczym znaczeniu polega więc na tym, czy instytucje te zdołają sobie zapewnić nowe fundamenty, albo w prowincjonalizmie tożsamości etnicznej (której nieodłącznie towarzyszy polityka pamięci doznanych krzywd), albo w uniwersalizmie motywacji zysku (z towarzyszącą temu polityką komercji).

Elementarna odpowiedź, którą w kolejnych rozdziałach będę się starał rozwinąć, brzmi: ani Dżihad, ani McŚwiat nie zwiastują w dalszej perspektywie przyszłości dla demokracji. Przeciwnie, konsekwencje dialektycznej interakcji między tymi zjawiskami zdają się nieść z sobą nowe, dość przerażające formy mimowolnej tyranii – od konsumpcjonizmu, krępującego ludzi niewidzialną siecią, do aż nazbyt namacalnego barbarzyństwa. Niewidzialna ręka rynku jest zakończeniem manipulatorskiego ramienia, którym nie kieruje żadna suwerenna głowa, tylko nieprzewidywalne odruchy spontanicznej chciwości. Tyrania jest w tym wypadku pośrednia, sprawia nawet miłe wrażenie. Jej charakter pojął jako pierwszy Alexis de Tocqueville, który 160 lat temu napisał: „Tyrania sięgała niegdyś po brutalne narzędzia, nakładała kajdany i zatrudniała katów, ale cywilizacja naszej epoki doprowadziła do perfekcji sam despotyzm. Królowie... byli materialnym ucieleśnieniem opresji; w wydaniu dzisiejszych demokratycznych republik stała się ona kwestią dotyczącą umysłu... ciało jest wolne, w niewoli znalazła się dusza"[1]. Ideologia wyboru pozornie wyzwala ciało (można wybrać jeden z szesnastu gatunków pasty do zębów, jedenastu modeli pikapów, jedną z siedmiu marek obuwia sportowego), ale tragicznie ogranicza możliwość prawdziwego wyboru, jakiego dokonuje dusza (nie wolno się zdecydować na to, żeby *nie wybierać*, czyli wycofać się z rynku – odrzucić wymagania ciała).

Rynki McŚwiata ograniczają zdolność do wydawania niezależnych sądów i lekceważą wolę wspólnoty, dobro publiczne podporządkowują interesom prywatnym, a społeczności i ich interes – jednostkom. W miarę jak ewidentnie poszerza się zakres możliwości wyboru dokonywanego przez indywidualnego konsumenta, zawęża się pole wyborów społecznych i narzucone zostają zmiany infrastruktury, na jakie nie decyduje się świadomie (ani ich nie odrzuca) żadna grupa społeczna. Na przykład amerykańską wolność wybierania jednej z wielu marek

samochodów osiągnięto kosztem swobody wyboru między transportem prywatnym a publicznym. Nadano mandat światu, którego nieuchronnymi i wszechobecnymi elementami stały się centra handlowe, przedmieścia, wysokie zużycie benzyny i korki uliczne (żeby wymienić tylko część z nich). A nie zadecydowało o tym świadomie żadne demokratyczne gremium, lecz indywidualni posiadacze samochodów. Taka „polityka towaru" oferuje sztucznie zwielokrotnione możliwości wyboru w ściśle wyznaczonych ramach, zrzekamy się za to prawa do określania tychże ram. Daje poczucie wolności, ograniczając zakres wyboru i możliwość wpływania na szerszy świat. Czy na tym naprawdę polega wolność?

To samo dzieje się w skali międzynarodowej. McŚwiat wiele mówi o dokonywaniu wyboru, ale oddziela „wolność" kupowania i sprzedawania od prawa do wspólnego decydowania o wspólnym interesie czy też społecznym charakterze świata, w którym żyjemy. Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy promują rynki, ale do upowszechniania demokracji podchodzą nader ostrożnie (jeśli są nim w ogóle zainteresowane). Dowiodły, że gotowe są poświęcić stabilizację i równość społeczną dla czysto ekonomicznych celów, jak prywatyzacja i wolny handel. Kruchym, tworzącym się dopiero demokracjom narzucają bezwzględne plany ekonomiczne. Odpowiadają one co prawda strategiom inwestycyjnym państw członkowskich Funduszu i Banku (a także, co ważniejsze, członkowskich banków), ale budzą powszechne niezadowolenie i wywołują nostalgię za dawną siatką bezpieczeństwa, jaką zapewniał reżim komunistyczny. W ostatecznym rozrachunku okazuje się często, że jest to woda na młyn Dżihadu i tendencji neoplemiennych. W krótkim okresie czasu nie da się wykluczyć, że porozumienia w rodzaju GATT mają regulujący wpływ, oddają bowiem władzę w ręce zbiorowości państw – takich na przykład, jak stworzona przez GATT Światowa Organizacja Handlu (WTO) – i narzucają poszczególnym

państwom międzynarodowy majorat. Choć ogranicza to możliwości regulowania przez te państwa ich własnych gospodarek, dzieje się tak, przynajmniej z założenia, w imię sprawiedliwego podziału w skali światowej i ponadnarodowego dobra publicznego[2]. Jednakże na dalszą metę, w miarę jak słabnie suwerenność państw, władzę przejmują rynki nie podlegające żadnemu demokratycznemu nadzorowi. W skali świata ograniczeniu ulegają możliwości podejmowania zbiorowych decyzji mających na względzie podstawowe wartości społeczne.

Jack Heinkman, przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Konfekcyjnego i Tekstylnego stwierdził z ubolewaniem, że GATT sankcjonuje wyzysk 200 mln pracujących dzieci, a w Europie i Ameryce wyraźnie widać, jak złowieszcze skutki dla środowiska naturalnego ma zrzekanie się suwerenności[3]. W perspektywie to nie państwa, skłócone i coraz mniej suwerenne, lecz wielonarodowe firmy i ich globalne rynki będą dyktowały Ameryce i innym krajom co można, a czego nie można: czy pięcioletnie pakistańskie dzieci mają pracować przez 13 godzin dziennie za 20 centów, czy pozbawione filtrów (żeby było taniej) kominy fabryczne w jednym azjatyckim kraju będą niweczyć działanie urządzeń zainstalowanych za duże pieniądze w kraju sąsiednim[4]. Nawet odpowiedzialne amerykańskie firmy, jak Levi Strauss and Co., które z własnej woli opracowały wytyczne na temat ochrony zasobów naturalnych w skali światowej, zmuszone są przez konkurencję i pogoń za zyskiem szukać rynków taniej siły roboczej, gdzie wyzysk jest zjawiskiem endemicznym, a o regulacji myśli się poniewczasie, na użytek *public relations*[5].

Niewiele lepiej spisuje się Dżihad, określający siebie przez opozycję do obcych, a z polityki czyniący ćwiczenie w wykluczaniu „innych" i przywoływaniu pamięci dawnych krzywd. Popiera wspólnotę, ale przeważnie kosztem tolerancji i wzajemności. Tworzy tym samym świat, w którym przynależność staje się ważniejsza od nadania

ludziom władzy, a wspólne cele wytyczone przez charyzmatycznych przywódców zajmują miejsce wspólnej platformy wypracowanej w demokratycznej debacie. Dżihad używa słów z leksykonu samostanowienia, ale oddziela niepodległość wspólnoty od aktywnej wolności indywidualnych obywateli. Bośniaccy Serbowie kupują sobie swoistą wersję „samostanowienia" ograniczając swobody obywatelskie.

W Europie Środkowej i w Azji zniknięcie żelaznej kurtyny wystawiło niezliczone ludy na jednoczesne oddziaływanie Dżihadu i McŚwiata. Upadek marksizmu nie okazał się równoznaczny z końcem historii, tylko z końcem sowieckiego imperializmu. Przed wynędzniałymi państwami byłego komunistycznego imperium otworzyły się oczywiście pewne nowe możliwości. W politycznej praktyce marksizm tłumił bowiem wolność, w której imieniu wybuchały marksistowskie rewolucje. Tylko że jego koniec oznaczał również triumf niektórych bardziej pustych koncepcji Oświecenia – materializmu, solipsyzmu, skrajnego indywidualizmu – nad szlachetniejszymi ideałami owej epoki: cnotą obywatelską, sprawiedliwą wspólnotą, równością społeczną i zniesieniem ekonomicznego jarzma, pod którym uginały się klasy określane niegdyś jako pracujące. Idee te zrodziła właściwa Wiekowi Rozumu wiara w wyzwalającą moc ekonomii i postępowy, demokratyczny kierunek procesu historycznego. Stały się inspiracją społecznych rewolucji we Francji, a potem w Niemczech i w Rosji, z których żadna nie okazała się szczególnie udana. Niepowodzenie rewolucji marksistowskich (zapoczątkowane przez porażkę rewolucji jakobińskiej, która zrodziła marksizm) oznacza w pewnej mierze klęskę Oświecenia, która skompromitowała właściwy tej epoce idealizm i wiarę w postęp. Znaleźliśmy się przez to dzisiaj w bardziej cynicznym i samolubnym świecie, gdzie nasze aspiracje ograniczyły się do przyziemnej chęci zysku i ujętego w skróconej perspektywie zasięgu konsumenckiej ręki. Wydaje się czasami, że powszechna wiara

w demokrację zginęła w bagażu wyrzuconym za burtę, gdy pozbywano się balastu wiary w socjalizm[6].

Przez demokrację rozumiem nie tylko rządy ludu, poprzez lud i dla ludu, ale rządy obywateli. Cnoty obywatelskie stanowią polityczną walutę władzy, to dzięki nim demokracja może być obywatelsko wypłacalna. Ani Dżihadowi, ani McŚwiatowi nie zależy na demokracji. Thomas Friedman, używając argumentów typowych dla stylu McŚwiata, sugerował, że globalny rynek odwróci być może uwagę bojowników toczących bratobójcze walki w Irlandii, Afryce Południowej i na Bliskim Wschodzie od morderczych sporów i że „siły ekonomiczne zmuszą ich wszystkich równocześnie do przekucia mieczy na lemiesze"[7]. Pokój nie jest jednak równoznaczny z demokracją. Mieszkańcy McŚwiata to konsumenci i klienci, których wolność sprowadza się do kupowania na rynkach pozostających poza ich kontrolą, a tożsamość narzucona jest im przez konsumpcjonizm, co ledwie zauważają. Palestyńczycy, Zulusi i katolicy z Irlandii Północnej będą mieli większą swobodę robienia interesów w swoich ustabilizowanych krajach i poza nimi, ale nie musi to oznaczać, że staną się bardziej wolni.

Nie tak długo po zakończeniu II wojny światowej Victor Lebow przyznał, że „nasz nadzwyczaj produktywny system gospodarczy wymaga, żebyśmy konsumpcję przyjęli jako styl życia, ze sprzedawania i kupowania towarów uczynili rytuał, a duchowej satysfakcji i osobistego zadowolenia poszukiwali w konsumowaniu"[8]. Dzisiaj, jak zauważa Alan Durning, „słowa „konsument" i „osoba" stały się synonimami. Światowy system gospodarczy zorganizowany jest tak, że 1,1 mld ludzi żyje według konsumpcyjnego stylu – „opływają w rzeczy, ale czasu mają niewiele. Wysoki poziom konsumpcji ani nie zapewnia pełnego zatrudnienia, ani nie likwiduje nędzy"[9]. Konsumenci z Irlandii, Palestyny i Afryki Południowej mogą się teraz swobodnie przyłączyć do takiego właśnie świata. Ale pełne zatrudnienie, sprawiedliwość społeczna i styl życia, w którym jest czas, by się cieszyć dobrami,

jakie nam zapewnia bogactwo i edukacja, to kwestie, które obchodzą obywateli, lecz nie konsumentów. Uwolnienie od Dżihadu nikogo automatycznie nie przemieni w obywatela. Dopóki McŚwiat nie znajdzie sposobu na równie skuteczne wychowywanie obywateli, jak nabywców i sprzedawców, dopóty wspomniane tutaj cele będą systematycznie zaniedbywane, i sytuacji tej nie zmieni wprowadzanie nowych ponadnarodowych instytucji. Nie znaczy to bynajmniej, że cnoty obywatelskie rozkwitają w ogniu nacjonalistycznej wojny domowej czy etnicznego bratobójstwa.

Obywatele mają niewiele więcej pożytku z Dżihadu niż z McŚwiata. Na jego obszarach żyją bracia i siostry połączeni więzami krwi, określani przez tożsamości, których sami sobie dobrowolnie nie wybrali. Można być zarazem siostrą i producentką, bratem i konsumentem, ale żadna z tych tożsamości nie umożliwia jednostkom naprawdę suwerennego wytyczania planów życiowych. Decyduje o tym z jednej strony pochodzenie i więzy krwi, z drugiej zaś – produkcja i konsumpcja. Suwerenność wywodzi się z cnót obywatelskich. Suwerenność demokratycznych państw, gdzie polityka pełni regulatorską rolę w odniesieniu do wszystkich innych dziedzin, to nic innego, jak suwerenność obywateli, podejmujących rozważne wspólne decyzje, które porządkują nierozważne skutki, jakie wynikają z postępowania tychże obywateli jako jednostek i konsumentów. W przyszłym świecie, gdzie jedyną możliwą tożsamością będzie albo status brata we wspólnocie połączonej więzami krwi, albo pojedynczego konsumenta, demokracja nie ma większych szans na udział w zwycięstwie którejkolwiek ze stron toczących walkę o ludzką duszę. Ani polityka towaru, ani polityka resentymentu nie zwiastują prawdziwej wolności. Połączenie ich obu, jakie się wyłania z dialektycznej interakcji Dżihadu i McŚwiata – nazwijmy to utowarowieniem resentymentu – nie zapowiada nic innego, jak nową, misterną formę zniewolenia.

Jednakże, pomimo całego mojego sceptycyzmu dotyczącego dialektyki Dżihadu i McŚwiata, nie sądzę, żeby demokracja była niemożliwa do osiągnięcia w epoce, jaka nastąpi po zaniku państwa narodowego. Historia udanych demokratycznych eksperymentów dowodzi, że demokracja to powolny proces rozwojowy, że nie powstaje w jakimś jednym, magicznym momencie jej proklamowania, ale w trakcie długiej ewolucji, gdzie proklamowanie to tylko symboliczny moment. Ci, którzy chcą zaprowadzić jakąś formę globalnej demokracji, muszą się zdobyć na cierpliwość. Muszą też być uparci, bo utrzymanie (a cóż dopiero mówić o rozszerzeniu) demokracji w tak szybko zmieniającym się świecie będzie wymagać śmiałej wyobraźni politycznej i świadomej politycznej woli. Nie można się zaś spodziewać, że wyłonią się one z interakcji Dżihadu z McŚwiatem. Cierpliwość, wola polityczna i śmiałość: zestawienie cech, które nie tak łatwo w sobie pielęgnować, zwłaszcza kiedy demokracja jest pod presją zagrożeń.

Tradycyjne globalne instytucje w warunkach Nowego Nieładu Światowego

Na trudne pytanie – jak uporządkować świat ponadnarodowy – udzielano łatwej odpowiedzi: trzeba nadać prawu wymiar globalny. To znaczy: ustanowić nowe instytucje międzynarodowe albo wzmocnić już istniejące, jak Organizację Narodów Zjednoczonych i Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Od dziewiętnastowiecznej wiary w Zgodę Narodów, poprzez 14 Punktów Woodrowa Wilsona i zrodzoną z doświadczeń I wojny światowej Ligę Narodów (do której Ameryka nigdy nie przystąpiła), po Organizację Narodów Zjednoczonych, która powstała po II wojnie jako symbol współpracy Sprzymierzonych w zwycięstwie nad faszyzmem, żyła wciąż na-

dzieja, że suwerenne państwa wzniósłszy się ponad własne interesy i sekciarską politykę, zrzekną się cząstki swojej suwerenności na rzecz gremiów ponadnarodowych, które będą w stanie zapewnić pokój i współpracę. Chociaż prawo przemawia głosem suwerennej władzy, w dążeniach do ustanowienia ładu światowego uwierzono, iż może zaistnieć prawo międzynarodowe, zdolne skutecznie funkcjonować przy braku globalnego suwerena. Niestety, chociaż prawo jest uroczystym głosem władzy legitymizującym stosowanie przez nią brutalnej siły, władza stanowi niezbędny warunek skuteczności prawa, które bez niej okazuje się bezsilne. W rezultacie prawo okazało się ubogą markietanką armii przekraczających państwowe granice; przedtem wlokło się za armiami imperializmu, komunizmu, międzynarodowego handlu i rynków, dziś ciągnie się w ogonie telekomunikacji, ekologii, rynków finansowych i walutowych oraz globalnej kultury masowej. Nie ogranicza potęg, którym służy, raczej ułatwia ich działanie. Prawo międzynarodowe dzieli więc los państw narodowych.

Paradoksalnie, układ taki upośledza prawo, kiedy państwa są silne, bo nie chcą dopuścić, by prawo międzynarodowe ograniczało ich suwerenność. Ale kiedy słabną, nie ma kto prawa międzynarodowego wymusić. Prawo nie wyprzedza realnej władzy, lecz utykając wlecze się za nią. Zadaje to kłam wszelkim jego roszczeniom do skutecznego regulowania spraw międzynarodowych. Entuzjaści powołują się na przykład prawa mórz, konwencji praw człowieka, traktatów dotyczących przestrzeni kosmicznej i na najnowsze dążenia do unormowania kwestii ochrony środowiska w skali światowej (Układ z Montrealu czy Układ z Rio). Wychwalają – mając ku temu pewne podstawy – rolę, jaką odegrał Europejski Trybunał Sprawiedliwości w tworzeniu podstaw integracji europejskiej. Ale to, co nastąpiło w Europie już po Maastricht (a właściwie od czasu powołania Ligi Narodów)[10], ukazuje raczej, że władza zawsze ma pierwszeństwo przed

prawem. Dzieje się tak zarówno wtedy, gdy w grę wchodzi władza państwa, która nie chce się podporządkować prawu międzynarodowemu, jak wtedy, kiedy działa potęga międzynarodowych rynków, naruszających i obchodzących przepisy dotyczące rybołówstwa czy ochrony środowiska.

Tam, gdzie dochodzi do zawarcia skutecznych umów międzynarodowych, mamy do czynienia albo z rzadkim przypadkiem zgody interesów państw-sygnatariuszy (przykład prawa mórz), albo dominacją interesów instytucji ponadnarodowych, w rodzaju firm o światowym zasięgu, które zdołały uzyskać poparcie patronujących im państw. Weźmy świeży przykład: Układ Ogólny w Sprawie Ceł i Handlu (GATT) wykorzystuje swoje klauzule, by nie dopuścić do wprowadzenia w życie przez państwa kolidujących z handlem środków ochrony środowiska. „Prawo" służy jako parawan dla promocji czysto ekonomicznych interesów, których uwzględnienie układ wymusza na suwerennych państwach. Takie prawo ma w najlepszym wypadku charakter utylitarny, wysługując się interesom państw lub rynków, w najgorszym zaś – jest po prostu racjonalizacją stosowania ukrytej przemocy. Nauki Hobbesa po dziś dzień zachowują aktualność: „pakty bez miecza" to tylko słowa, które nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa ludziom ani państwom. Organizacje międzynarodowe nie mają innych mieczy, jak te będące w posiadaniu ich suwerennych członków, nie mogą więc wymusić na potężniejszych państwach członkowskich, by podporządkowały się prawu. Wielonarodowe korporacje nie są uzbrojone, ale działają w warunkach ponadpaństwowej anarchii politycznej, gdzie siła ekonomiczna starcza za wszelką potęgę.

W każdym razie prawo przekroczyło granice wyobraźni Hobbesa, przede wszystkim dlatego, że stosunki międzynarodowe przestały już być głównie stosunkami między narodami reprezentowanymi przez państwa. Czasopisma naukowe poświęcone prawu międzynarodowemu usilnie

podkreślają, że państwa i granice państwowe stają się przenikalne dla ekologii, handlu i technologii, które z konieczności opierają się wszelkim regulacjom, choć tak się o nie proszą. Maurice F. Strong pisze na przykład: „Trzeba uznać za fakt, że w wielu dziedzinach, zwłaszcza w kwestiach ochrony środowiska, suwerenność po prostu nie może być skutecznie sprawowana przez poszczególne państwa"[11]. Sprawy wymykają się spod kompetencji państw, ale nie ma żadnych gremiów, które by je mogły zastąpić. Oscar Schachter ubolewa, że prawo dotyczące ochrony środowiska to w znacznej mierze „bliżej nieokreślony zbiór zasad i norm postępowania, które nie są wyraźnie przyjęte jako obowiązujące, a ich stosowanie jest niepewne"[12]. Geoffrey Palmer jeszcze bardziej rozpacza: „Brak nam mechanizmów instytucjonalnych i prawnych, które mogłyby się uporać z degradacją środowiska ponad granicami i w biosferze. Przy obecnym stanie rzeczy brak nam wielu niezbędnych przepisów, nie wiadomo, jak je opracować, brak też instytucji, które byłyby w stanie zapewnić skuteczność przepisów już istniejących"[13]. Odwoływanie się do tradycyjnych instytucji międzynarodowych to apelowanie w imieniu słabych o dobrą wolę bezsilnych.

To, co dotyczy kwestii ochrony środowiska, gdzie transnacjonalizm i subnacjonalizm grożą anarchią, sprawdza się w jeszcze większym stopniu w innych dziedzinach. Nowe technologie telekomunikacyjne dowolnie przekraczają granice, z technicznego punktu widzenia nie sposób poddać ich żadnym ponadnarodowym uregulowaniom, nawet gdyby istniały skuteczne instrumenty. Stworzone przez te technologie wirtualne sieci, gdzie odbywa się obrót akcjami, obligacjami i walutą, są również poza kontrolą wszelkich państwowych czy międzynarodowych instytucji. Jeśli totalitarne państwa nakazowe, jak Związek Radziecki i Albania, nie były w stanie roztoczyć kontroli nad pirackimi wideokasetami, wszechobecnymi sieciami komputerowymi, coraz liczniejszymi fotokopiarkami i faksami

oraz telewizją satelitarną (wszystko to przyczyniło się do ich upadku), to czy dokonają tego podporządkowane wolnemu rynkowi, pozbawione silnej motywacji państwa w rodzaju Wielkiej Brytanii czy Kanady? I czy możemy się tego spodziewać po jeszcze bardziej anemicznych bytach, które uchodzą za organizacje międzynarodowe, a często bywają co najwyżej promotorami handlowych i rynkowych grup interesów? [14]

Problem instytucji ponadnarodowych czy międzynarodowych sprowadza się do tego, że instytucja o prawdziwie światowym zasięgu zależna jest od współpracy suwerennych państw, których niezależność z konieczności ogranicza każdy jej ruch. Tymczasem słabnięcie tychże samych suwerenności, które ją krępują, w znacznym stopniu upośledza skuteczność jej działania na arenie międzynarodowej, dana instytucja nie ma bowiem innego źródła politycznej legitymizacji czy siły wykonawczej. Instytucje międzynarodowe są więc jako byty autonomiczne bezsilne z powodu suwerenności państw, ale przy jej braku są także bezsilne, ponieważ bez zdolności działania, dobrej woli, a przede wszystkim możliwości zbrojnej interwencji hegemonów, od których zależą, nie są w stanie w ogóle nic zrobić. Organizacje międzynarodowe nie mogą dojść do ładu ze swoimi niesfornymi suwerennymi państwami członkowskimi, ani nie mogą się bez nich obejść, czego dowodem jest chociażby paraliż ONZ i NATO w Bośni.

W niezwykle ciekawej książce postulującej położenie kresu ideologii leseferyzmu w gospodarce światowej Robert Kuttner wzywa do utworzenia „prawdziwego banku światowego, który wymagałby scedowania znacznego zakresu suwerenności monetarnej, a to oznaczałoby z kolei zrzeczenie się w dużym stopniu suwerenności politycznej" [15]. Ale *komu* ta suwerenność miałaby zostać scedowana? Grupie państw finansujących ów bank? Państwowym bankom będącym jego członkami (to one by go w rzeczywistości finansowały)? Bankierom, którzy pochodzą z tego czy innego kraju, mają własne interesy i wyznają

określone ideologie? Kuttner wspomina o potrzebie zaistnienia regulatorskich instytucji międzynarodowych, ale w ogóle nie podejmuje kwestii ich demokratycznej legitymizacji. Kogo takie instytucje naprawdę reprezentują? Kto je rozlicza? Czyje interesy będą promować? Nie jest nawet jasne, przed kim mają się opowiadać takie kolektywne byty w rodzaju nowej „Europy". Przed rządami państw członkowskich? Obywatelami reprezentowanymi przez te rządy? A może, na co nalegają niemieckie landy i inne silne jednostki regionalne w rodzaju Lombardii i Katalonii, przed prowincjami i skonfederowanymi częściami państw narodowych? [16]

W swojej obecnej organizacyjnej postaci Unia Europejska rozlicza się przed elitami: poprzez Radę Ministrów przed rządami państw członkowskich, a poprzez mnożących się biurokratów przed technokratami i innymi profesjonalistami, którzy mają własne normy i interesy. Może w końcu dojdzie do tego, że Parlament Europejski będzie bezpośrednio reprezentował mieszkańców Europy, ale na razie wyłaniany jest w bardzo upolitycznionych wyborach lokalnych, w których główną rolę nadal odgrywają elity i partie ideologiczne. Znalazło się w nim kilkoro ekscentrycznych posłów reprezentujących szczególne poglądy na demokrację (przeważnie są to Zieloni, a nie czerwoni lub czarni). Należy do nich na przykład Eve Quistorp z Berlina, działaczka miejscowego ruchu Zielonych. Na obecnym etapie jej wybór to jednak raczej wyjątek niż reguła. Ponadnarodowa forma suwerenności będzie się musiała w końcu wyłonić z ponadnarodowej formy tożsamości grupowej i patriotyzmu, ale nie istnieje jeszcze międzynarodowe społeczeństwo obywatelskie, w którym mogłoby się rozwinąć poczucie przynależności określane przez związek z ruchem Zielonych, komunitarianami czy zwolennikami światowej federacji. Jeżeli na poziomie państwa najpierw wyłaniają się cnoty obywatelskie, potem zaś dopiero obywatelskie instytucje, to gdzie są ci obywatele świata zdolni do walki o demokrację w skali światowej?

Stoicki kosmopolityzm musi dopiero przemówić do wyobraźni i pobudzić uczucia przeciętnych kobiet i mężczyzn, pomysły utworzenia rządu światowego to w najlepszym wypadku piękne mrzonki [17]. Wielu lokalnych europejskich działaczy postawiło swoje demokratyczne żagle przeciwko wiatrom integracji.

Ponad dwadzieścia lat temu James Tobin wystąpił z propozycją opodatkowania międzynarodowych transakcji walutowych. Pochodzące stąd pieniądze zostałyby przeznaczone na rozwój krajów ubogich. Niedawno zaś sekretarz pracy Robert Reich wystąpił z ciekawym pomysłem utworzenia „czegoś w rodzaju GATT dotyczącego bezpośredniego inwestowania". Instytucja ta regulowałaby udział poszczególnych państw w przetargach na kosztowne „inwestycje globalnych korporacji obłożone wysokim podatkiem" i sprzyjała „uczciwej taktyce, zapobiegającej ewentualnym groźbom zamknięcia lokalnych rynków, jeśli nie podejmie się na nich określonych inwestycji" [18]. Propozycje te musiałyby jednak zyskać poparcie tych samych państw, które odnoszą korzyści z dzisiejszych nieuczciwych praktyk. W obecnej sytuacji lukratywnymi kontraktami nagradzane są te państwa, które gotowe są poświęcić jak najwięcej w dziedzinie taniej siły roboczej, wysokich subsydiów, niskich podatków i przymknąć oko na ochronę środowiska. W rezultacie sprawiedliwość społeczna i wspólne dobro zostają przehandlowane na rzecz światowej gospodarki. Uczciwe praktyki proponowane przez Reicha wykluczyłyby tego typu konkurencję, ale żeby mogły zadziałać, musiałyby zostać zabezpieczone przez międzynarodową instytucję zdolną do ich wprowadzenia w życie i wymuszenia. Rządom Stanów Zjednoczonych za czasów obu Rooseveltów wystarczająco trudno było opanować i unormować działalność pierwszych monopoli w branży naftowej, węgla, stali i kolei żelaznych. Gdzie znaleźlibyśmy poparcie polityczne i zmobilizowany ogół obywateli, by mogły powstać porównywalnie potężne organizacje międzynarodowe

zdolne do kontroli międzynarodowych transakcji takiego na przykład Microsoftu, AT&T czy Coca-Coli, która 80 procent swoich interesów prowadzi poza granicami Stanów Zjednoczonych? Powojenna niemiecka Ustawa Zasadnicza, podobnie jak konstytucja Danii, przewiduje scedowanie niektórych kompetencji państwa instytucjom międzynarodowym, ale przepis ten nie zdołał zapobiec zamieszaniu w polityce suwerennego niemieckiego państwa w kwestiach stosunków Niemiec z Europą. Nie przyznał też Unii Europejskiej żadnej szczególnej władzy nad niemieckimi decydentami [19].

Sprawiedliwość i dobro publiczne w skali światowej wymagają rzeczy dość oczywistych: między innymi pokoju, zapobieżenia ludobójstwu, ochrony praw człowieka, pełnego zatrudnienia z uczciwą strukturą płac, możliwej do zastosowania w skali świata polityki rozwoju z określonymi ograniczeniami ze względu na ochronę środowiska, wyrównania szans państw posiadających rozmaite zasoby naturalne i znajdujących się w różnych stadiach ekonomicznego rozwoju. Nietrudno wyobrazić sobie odpowiednie traktaty, w rodzaju tych, które proponowali Tobin i Reich. Jest to kwestia woli politycznej, a ta z kolei zależy od aktywnego udziału obywateli oraz podtrzymującej go obywatelskiej i edukacyjnej infrastruktury (społeczeństwo obywatelskie i edukacja obywatelska). Wśród państw-sygnatariuszy Konwencji o Zapobieganiu Ludobójstwu znajdują się wszystkie te kraje zachodnie, które biernie przyglądały się ludobójstwu w Rwandzie i nie potrafiły temu zapobiec (Rwanda jest państwem – sygnatariuszem tego aktu!). Nietrudno pojąć, dlaczego taki układ zawarły – każdy wie, jak wygląda ludobójstwo i udaje, że jest świadom, jakie to złe. Wspomniana Konwencja, jako świstek papieru, nie może jednak stworzyć woli i zdolności do wymuszenia czegokolwiek [20].

W krajach, gdzie aktualnie stacjonują oddziały Narodów Zjednoczonych (najczęściej na pierwszej linii znajdują się wojska wielkich mocarstw, Stanów Zjednoczonych

i Francji), mało jak dotąd przyniosło to korzyści, a przykłady Somalii i Bośni są aż nazbyt typowe. Sekretarz Generalny ONZ Butros Ghali stwierdza, że większość dzisiejszych lokalnych konfliktów mogłaby zostać rozwiązana dzięki stanowczej interwencji Narodów Zjednoczonych za ułamek kosztów wczorajszej zimnej wojny, ale jest na tyle realistą, że przyznaje, iż „brak ku temu politycznej woli”[21]. Interwencja ONZ w Somalii wraz z równoległą amerykańską operacją „Przywrócić Nadzieję” byłaby w swej nieudolności wręcz komiczna, gdyby nie wymiary tragedii. W amerykańskich ulotkach przetłumaczonych na łamany język somalijski przez emigrantów, którzy dawno stracili z nim kontakt, Narody Zjednoczone określone były jako „Naród Niewolników”. Nietrudno zrozumieć, że względny porządek i pokój dało się zaprowadzić tylko w północno-wschodnich i północno-zachodnich rejonach Somalii, gdzie cudzoziemcy nie zaznaczyli specjalnie swojej obecności[22].

Jeszcze jeden fakt komplikuje zadanie tradycyjnych instytucji międzynarodowych, które usiłują interweniować w kryzysowej sytuacji: otóż brak jest przeważnie wyraźnego punktu nacisku. Tam, gdzie winowajcy nie są ani państwami, ani plemionami kryzys może być całkiem realny, lecz sprawców nie widać. W wypadku ludobójstwa jest przynajmniej dokonująca rzezi armia, czy będący jej odpowiednikiem maruderzy. Z terrorystami jednak sprawa nie jest taka prosta. A gdzie znaleźć punkty nacisku na międzynarodowych rynkach, będących przedmiotem zainteresowania Roberta Kuttnera? Wiele ponadnarodowych sił podkopujących narodowe społeczeństwa obywatelskie nie podlega żadnym nakazom. To, co jeszcze kilka lat temu Robert Reich nazywał „nadchodzącym brakiem znaczenia państwowej przynależności korporacji” nie jest już zjawiskiem nadchodzącym[23]. Stało się faktem.

Słowa Thomasa Jeffersona, który przestrzegał, że kupcy nie mają ojczyzny, także stały się faktem w odniesieniu do wielonarodowych korporacji McŚwiata. Rynki, na

których działają, są zaś jeszcze bardziej anonimowe. W jaki sposób państwa mogą skontrolować rynek pirackiego oprogramowania komputerowego czy szmuglowanego plutonu? Kto jest w stanie utrzymać porządek w światowej wymianie walutowej? Czy ma ona w ogóle jakiś adres? Do kogo pisać, gdy chcemy powstrzymać Dżihad? I w jakim tonie ma być utrzymany list? „Drogi terrorysto nuklearny, być może po kryjomu wspierany przez Iran, niewykluczone, że szkolony w Irlandii (albo w Libii?), zaopatrujący się zapewne w Rosji lub na Ukrainie, związany z Hamasem, ale to nie takie pewne... Proszę zaprzestać swoich akcji, bo jak nie, to..." I tutaj powstaje kłopotliwe pytanie, co mianowicie możemy mu zrobić? Korporacje zanieczyszczające środowisko naturalne w skali światowej mają co prawda adresy, ale skutki ich działań trudno ustalić czy określić, zależą one od biologicznych interakcji z produktami innych firm, nie można więc nikogo obarczyć odpowiedzialnością, nie ma też na kogo nałożyć sankcji.

Wygląda na to, że nie można raczej pokładać nadziei w tradycyjnych instytucjach międzynarodowych jako zbawcach demokracji w epoce oscylującej między Dżihadem a McŚwiatem. Europie, która dzięki regionalnym radom, parlamentom i trybunałom osiągnęła znaczny stopień integracji ekonomicznej, nadal brak demokratycznej wiarygodności uznawanej przez obywateli poszczególnych państw. Większość z nich ani nie uczestniczy w niedoświadczonej polityce europejskiej, ani nie ma obywatelskiego europejskiego poczucia tożsamości odpowiadającego dobrze uświadamianej ponadnarodowej tożsamości handlowej, a tym bardziej lokalnej – jako Bawarczyków, Walonów, Basków czy Lombardczyków. Zachodzi więc pytanie, czy Dżihad i McŚwiat (albo jeden z nich) mogą same zapewnić powszechne swobody w postpaństwowej epoce. Czy przyniosą rozwiązania polityczne wychodzące z przesłanek subnarodowych lub ponadnarodowych dla subnarodowych i ponadnarodowych problemów, jakie

stwarzają? Odpowiedź, jak się wydaje, brzmi następująco: o ile świadomość etniczna i prowincjonalizm z jednej, a rynki z drugiej strony wyrastają w okolicznościach, które niekoniecznie muszą być wrogie demokracji, a niekiedy mogą ją nawet wspierać, o tyle żadne z tych zjawisk nie da się z demokracją utożsamić, każde zaś na swój sposób ogranicza ludzką wolność.

Dżihad w warunkach Nowego Nieładu Światowego

Pod pojęciem Dżihadu rozumiemy walkę lokalnych ludów o utrzymanie grupowej solidarności i tradycji zagrożonych przez abstrakcyjny legalizm i pluralizm państwa narodowego, a także nowy komercyjny imperializm McŚwiata. W takim ujęciu Dżihad nie musi z konieczności wykluczać warunków, które sprzyjają demokracji, ta jest przecież o wiele starsza od państwa narodowego. W starożytnej Grecji rozkwitała w homogenicznych *polis* – małych miastach-państwach, o wspólnej kulturze, religii i historii. Demokracja europejska o lokalnym, klanowym charakterze zaczęła się wyłaniać już od średniowiecza w helweckich kantonach i kupieckich miastach Włoch i Niemiec, na długo zanim znalazła oparcie w większych państwach narodowych. W klanie plemiennym przejawia się braterska solidarność, nieobce mu są też zbiorowe debaty, co wskazuje na istnienie elementarnej formy demokracji bezpośredniej. „Republiki-okręgi" (*ward republics*) Jeffersona były utopijnymi demokratycznymi modelami zorganizowanymi wokół władz lokalnych. Zdaniem niektórych za wzór posłużyła tutaj Federacja Plemion Irokeskich. Rosyjskie *sowiety*, zanim przejęli je bolszewicy, były lokalnymi radami reprezentującymi zróżnicowane interesy robotników. System przedstawicielski w pierwotnym, prowincjonalnym wydaniu znany był również

w miastach Nowej Anglii[24]. Robert Putnam w swojej niezwykle interesującej relacji o tradycjach obywatelskich we Włoszech przedstawia związek między tradycyjnymi chórami wiejskimi a narodzinami demokracji. Przy istnieniu odpowiednich instytucji obywatelskich, w małych, jednolitych społecznościach mogą się pomyślnie rozwinąć demokratyczne formy życia[25].

Krótko mówiąc, małe i względnie jednolite grupy, nastawione antycentralistycznie i antymodernistycznie, a przez to skłonne do wstąpienia na drogę Dżihadu, są potencjalnymi kandydatami do lokalnej demokracji opartej na zasadach uczestnictwa. Nawet ich toksyczna eksluzywność polegająca na odrzucaniu „obcych" może się przyczynić do wykształcenia wewnętrznego consensusu, niezbędnego do wytworzenia wspólnej woli. Skoro w procesie modernizacji powstały instytucje zbyt wielkie, by mogła się w nich odbywać bezpośrednia debata każdego z każdym i wspólnotowe interakcje, przeciwne modernizacji siły związane z Dżihadem mają skalę bardziej sprzyjającą demokracji.

Problem jednak w tym, że – stwarzając warunki dla życia politycznego w stosunkowo niewielkiej wspólnocie – Dżihad niszczy jednocześnie postawy, które pozwalają na funkcjonowanie demokracji. Tradycyjne wspólnoty bywały przeważnie bardzo niedemokratyczne: zamknięte, konformistyczne, hierarchicznie zorganizowane. Ich ekskluzywność oznaczała niedopuszczanie nikogo z zewnątrz i brak tolerancji dla różnorodności. Przypisane do określonej tożsamości (więzy krwi, rasa, religia), z trudnością akceptowały tożsamość wybraną dobrowolnie. Raczej nie chciano słyszeć o tym, by kobiety i mężczyźni mogli swobodnie wchodzić w społeczne relacje czy przyłączać się do spontanicznie tworzonych grup. Z powodu hierarchicznej struktury i zależności od charyzmatycznego przywództwa tradycyjne społeczności miały charakter nieegalitarny, stawiały opór mobilności społecznej. Spersonalizowany model relacji społecznych, nie opartych

na umowie, powodował z kolei to, że w społecznościach takich kwitła plotka, częste były kłótnie, szerzyła się korupcja. Wsie w Wisconsin zbyt szybko stały się widownią samobójstw, kazirodztwa i przedwczesnej śmierci, z kolei w miastach Vermontu, słynących ze swobód typowych dla Nowej Anglii, rozkwitał konformizm [26].

Prowincjonalny charakter Dżihadu ogranicza także jego dostęp do prawdziwej władzy w scentralizowanym i wzajemnie zależnym świecie. Hutu mogą wyrzynać Tutsi, ale nie poradzą sobie z degradacją środowiska naturalnego, jaka dotyka całą Afrykę. Bośniaccy Serbowie mogą jednostronnie wypowiedzieć wojnę Muzułmanom, nie zwiększą jednak importu magnetowidów mocą jednostronnej decyzji. W McŚwiecie, czy to się komuś podoba, czy nie, uczestnictwo pozostaje lokalne, ale władza jest jeszcze bardziej scentralizowana. Rzeczywistość zadaje kłam hasłu Zielonych „myśl globalnie, działaj lokalnie" – lokalne działanie rzadko kiedy wpływa na prawdziwie globalne problemy. Plemiona stosujące w polityce regionalnej taktykę „tylko nie na moim podwórku" (gdzie zlokalizować rafinerię ropy naftowej?, ośrodek rehabilitacji narkomanów?, schronisko dla uchodźców?) same okazują się bezsilnymi ofiarami regionalnej, ogólnokrajowej i międzynarodowej polityki innych organizacji, nad którymi lokalna społeczność czy instytucja plemienna, nawet demokratyczna, nie sprawuje prawie żadnej kontroli.

Etniczne plemiona i klany religijne nie są więc całkiem pozbawione demokratycznego potencjału, ale trudno sobie wyobrazić, by Dżihad mógł im dostarczyć tego rodzaju demokratycznych wartości i instytucji, jakie zapewniały niegdyś tradycyjne państwa narodowe, do których rozmontowywania przyczyniają się wspomniane grupy. Czy znajdziemy dzisiaj choć jeden organizm powstały w wyniku rozpadu państwa narodowego (do którego doprowadziły aspiracje etniczne, bratobójcze walki i wojny domowe Dżihadu), który choć z dala wyglądałby na demokratyczny? Nawet tam, gdzie importuje się politycz-

ne struktury demokracji – wielopartyjny system parlamentarny, niezależne sądownictwo, regularne wybory, nominalnie wolną prasę – brak jest postaw społecznych sprzyjających wykształceniu się takiej odmiany demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego, która umożliwiłaby skuteczne funkcjonowanie owych instytucji. Trybalizm jest tylko trochę mniej od konsumpcjonizmu nieprzyjazny społeczeństwu obywatelskiemu. A bez takiego społeczeństwa nie będzie obywateli, a co za tym idzie, demokracji w pełnym tego słowa znaczeniu.

Możemy podziwiać wysiłki zachodnich specjalistów od prawa konstytucyjnego starających się przeszczepić znane im tradycje prawne na grunt Europy Wschodniej i byłego Związku Radzieckiego. Ośrodek Badań nad Konstytucjonalizmem w Europie Wschodniej przy Wydziale Prawa (Law School) Uniwersytetu Chicago i Uniwersytecie Środkowoeuropejskim (ufundowanym przez finansistę i filantropa George'a Sorosa) skupia się przede wszystkim na opracowywaniu podstaw konstytucji. Mile to kontrastuje z ekonomicznym redukcjonizmem, którego wyznawcy głoszą, że wolny rynek i prywatyzacja absolutnie wystarczą do zaprowadzenia demokracji. Ale czysto prawnicze podejście okaże się zapewne równie nieskuteczne, jak czysto ekonomiczne. Cienka warstewka parlamentaryzmu położona na niespokojną plemienną strukturę społeczną nie wytworzy demokracji.

Ograniczenia te rozumie Stephen Holmes z Ośrodka Badań nad Konstytucjonalizmem w Europie Wschodniej. Do niedostatecznie rozpoznanych przeszkód na drodze demokratyzacji zalicza on „najświeższe rady zachodnich ekspertów", w tym zapewne i swoje własne. Zdaniem Holmesa, Europie Wschodniej mogłoby przynieść pożytek „odroczenie na jakiś czas proklamowania nowych konstytucji". W tym okresie przejściowym elastyczność i możliwość adaptacji do miejscowych warunków miałyby pierwszeństwo przed formalistycznym wprowadzaniem w życie abstrakcyjnych zasad konstytucyjnych [27]. Ubolewając nad

przeminięciem spontanicznych ruchów społecznych w rodzaju Solidarności czy Forum Obywatelskiego, Holmes nadal jednak uważa, iż społeczeństwo obywatelskie może zostać stworzone odgórnie za pomocą odpowiednio giętkich i starannie opracowanych innowacji legislacyjnych. Bagatelizuje potrzebę stworzenia oddolnej bazy w postaci szkół, stowarzyszeń, fundacji i innych instytucji społecznych, które mogłyby wesprzeć demokratyczne rozwiązania konstytucyjne. Ludzie z Zachodu albo ubolewają nad brakiem społeczeństwa obywatelskiego w Rosji, albo go po prostu nie dostrzegają, nie zwracając uwagi na coraz liczniejsze organizacje pozarządowe, które zwiastują powstawanie nowego postsowieckiego „trzeciego sektora".

W centrum uwagi środków przekazu znajdują się burzliwe stosunki między nastawioną reformatorsko ekipą prezydenta Jelcyna a parlamentem, w którym przeważają nacjonaliści, konserwatyści i komuniści. Skąd więc obserwatorzy zainteresowani sytuacją w Rosji mają się dowiedzieć o dziesiątkach organizacji pozarządowych, które stały się elementem rosyjskiego krajobrazu? Ich obecność podaje w wątpliwość dwubiegunowy układ rywali partyjnych. Można tu między innymi wymienić nie tylko dobrze znane odpowiedniki organizacji zagranicznych, jak Big Brother/Big Sister, lecz także Pedagogiczne Stowarzyszenie „Tęcza", Fundację Dobroczynną „Dusza Człowieka", Wszechrosyjską Fundację na rzecz Społecznej i Prawnej Ochrony Niepełnosprawnych, Społeczny Związek Ekologów, Międzynarodowy Bank Idei, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Dobroczynne, Fundację Międzynarodowej Dyplomacji i Współpracy, ANIKA (Stowarzyszenie Kobiet – Cywilnych Pracowników Wojska), Rosyjskie Stowarzyszenie Praw Człowieka „Ojcowie i Dzieci", Niezależne Forum Kobiet, Stowarzyszenie Rodziców Głuchych Dzieci, Międzynarodową Fundację Studiów Politycznych i Prawnych[28].

Wyłonienie się w Rosji tej nowej pozarządowej infrastruktury świadczyłoby o tym, że lokalny system organi-

zacji społecznej i zaściankowa wspólnota potrafią zrodzić nie tylko Dżihad, ale i nowe formy społeczeństwa obywatelskiego. Nie zachodzi to jednak spontanicznie. Dżihad pozostawiony samemu sobie ani nie tworzy własnej demokracji, ani innym nie pozwala się zdemokratyzować w drodze importu mechanizmów konstytucyjnych wypracowanych przez wieki w państwach narodowych, gdzie w długim procesie historycznym ukształtowały się społeczeństwa obywatelskie. Przeciwnie, zmierza raczej do podkopywania instytucji młodego społeczeństwa obywatelskiego, które w Rosji zaczęło się dopiero tworzyć.

16
Dziki kapitalizm a demokracja

Choć doszukiwanie się demokratycznego potencjału w rumowisku państw narodowych, jakie pozostawił po sobie Dżihad, jest niezwykle żmudnym zajęciem, jeszcze trudniej się zorientować, w jaki sposób jednostronne angażowanie się po stronie wolnych rynków McŚwiata (które Sołżenicyn nazwał „dzikim kapitalizmem") może przynieść zwycięstwo demokracji. Rynek bynajmniej nie wygląda na idealny instrument regulacji i kontroli dobra publicznego, a niedoszli demokraci, którzy upatrują w nim źródło regulatorskich norm i demokratycznych wartości, całkiem chyba stracili rozum. Historyk John Pocock zadaje pytanie: „Czy podporządkowanie suwerennej wspólnoty obywateli globalnej działalności postindustrialnych sił rynkowych stanowi złe czy dobre posunięcie w architekturze postnowoczesnej polityki?" [1]. Moja odpowiedź brzmi: złe. Co więcej, tragiczne.

Nie chcę przez to sugerować, że siły rynku i ideologia liberalna nie są modne wśród postindustrialnych postmodernistów albo że nie służą produktywności i tworzeniu bogactwa. Ideologia *laissez-faire*, rozwinięta przez prepostmodernistów w rodzaju Friedricha Hayeka i Miltona Friedmana, zakłada jednak nie kończącą się „walkę między kolektywizmem i indywidualizmem", w której każde poszerzenie zakresu władzy rządu, czy to w ramach reżimu stalinowskiego, czy w demokratycznie zorganizowanym mieście, ma charakter „kolektywistyczny", a więc jest *a priori* zamachem na wolność [2]. Rząd, w tym demo-

kratyczny, bywa zawsze podejrzany, rynek – zawsze nieszkodliwy. W opinii tej odmiany liberałów poszerzenie demokracji może oznaczać wyłącznie ograniczenie kompetencji rządu. W mniejszym stopniu wynika z ustanowienia niezależnego społeczeństwa obywatelskiego niż z rozbudowania rynku poprzez osłabienie władzy państwowej, sprywatyzowanie przemysłu i poszerzenie zakresu wolnego handlu. Kiedy ekonomiczni reformatorzy myślą w ogóle o rządzie, to w kategoriach odwrotności norm konstytucyjnych – polityka jest w ich ujęciu brakiem polityki, prawo zaś zbiorem ograniczeń władzy sprawowanej przez lud, a nie zbiorem zasad umożliwiających jej sprawowanie[3].

Badacze, którzy poważnie zajmują się rynkiem i potrafią odróżnić totalitarny kolektywizm od demokratycznego dążenia do wspólnego dobra, będą chcieli podważyć te quasi-anarchistyczne liberalne dogmaty[4]. Bez względu na odrodzenie popularności liberalizmu gospodarczego w Anglii i Ameryce w ciągu ostatnich dziesięcioleci (spotęgowane jeszcze przez głęboką awersję do polityki i polityków), istnieje dawna i szlachetna tradycja, nie związana z kolektywizmem ani nawet z doktryną państwa dobrobytu. Tradycja ta kwestionuje powszechnie uznaną skuteczność rynku i tak wychwalaną zdolność ekonomicznej samoregulacji[5]. Andrew Bard Schmookler i Robert Kuttner ostro dziś krytykują politykę *laissez-faire* epoki Reagana i Thatcher za koszty społeczne, ale nawet Adam Smith nie uważał, że rynek potrafi wszystko załatwić[6].

Stosunki rynkowe nie mogą po prostu zastąpić stosunków społecznych, a co dopiero ich demokratycznej formy. Tylko fanatyczni propagatorzy kapitalizmu w skrajnym leseferystowskim wydaniu (które Robert Kuttner nazywa jego utopijnym wcieleniem) mogą utrzymywać, że jest inaczej. Chociaż korelacja między demokracją i kapitalizmem da się na przestrzeni dziejów zauważyć, to demokracja wytworzyła kapitalizm, a nie odwrotnie. Anglia, w XVII wieku merkantylistyczna, zdemokratyzowała się

w ciągu XVIII stulecia, a dopiero w wieku XIX, jako państwo demokratyczne, przyjęła politykę pełnej industrializacji, wolnego handlu (anulowanie tzw. Praw Zbożowych w 1846 roku) i budowy ekonomicznego imperium. Po dziś dzień gospodarka państw kapitalistycznych zależy od silnych demokratycznych rządów, które nie tylko poskramiają aktywnie ekscesy rynku i dbają o dobro publiczne, będące – co zrozumiałe – poza zakresem zainteresowań kapitalizmu, ale i nadal troszczą się o same rynki. Państwa „kapitalistyczne", które mogą się poszczycić największymi sukcesami, stosują subtelny, lecz stanowczy merkantylizm.

I Japonia, i Niemcy pod osłoną powojennej „rewolucji wolnorynkowej" prowadziły agresywną politykę państwową w ekonomii. *New Deal* Franklina Delano Roosevelta uratował zarówno kapitalizm przed samozagładą, jak i Amerykanów przed bezwzględnością kapitalizmu w sferze społecznej. Ani Ameryka Reagana, ani Anglia pani Thatcher nie mogłyby trwać przy złudzeniu powrotu do doktryny *laissez-faire* w czystym wydaniu, gdyby nie dorobek kilku interwencjonistycznych rządów i gospodarka mieszana (Reagan uświadomił to sobie, kiedy przez krótki czas zachciało mu się poigrać z systemem opieki społecznej). Prawdziwie wolna gospodarka bywała zawsze w naszym stuleciu gospodarką mieszaną – demokratyczne rządy znajdowały równowagę między względami ekonomicznej użyteczności gospodarczej a sprawiedliwością społeczną. Norman Birnbaum opisuje niemiecki cud gospodarczy jako „rynek ściśle związany z państwem. Subsydia i system podatków stwarzający bodźce gospodarcze, ogromny sektor publiczny, znaczne nakłady państwa na badania naukowe, jego ważna rola w kształceniu zawodowym, udzielanie kredytów eksportowych – oto skoordynowane elementy polityki gospodarczej państwa. Główne banki prywatne, rząd i Bank Federalny ściśle ze sobą współdziałały. Była to w znacznym stopniu kontynuacja tradycji państwa dobrobytu, zmodernizowanego przez Bismarcka"[7].

To, co sprawdziło się w Niemczech, można odnieść do wszystkich państw kapitalistycznych, które po wojnie odniosły sukcesy gospodarcze. Dobrze rozumiały, że gospodarka oparta na zasadach liberalnych w czystej postaci szybko się załamuje i ulega samodestrukcji, do czego przyczyniają się konflikty pracowników z pracodawcami, bezrobocie, cykle handlowe i monopole. Dopiero nowym demokracjom okresu przejściowego zagraniczni doradcy wmówili (albo międzynarodowe banki siłą je przekonały), że kapitalizm w wydaniu *laissez-faire* to samowystarczalny system społeczny. Skutki, jak łatwo było przewidzieć, okazały się fatalne. Jak dalej zobaczymy, to, co Aleksander Sołżenicyn nazywa „dzikim kapitalizmem" – system, dla którego typowe są „bezproduktywnie barbarzyńskie i odrażające formy zachowania oraz grabież bogactwa narodowego" – uczynił z nowej Rosji kraj, gdzie „bezwstydne korzystanie z uprzywilejowanej pozycji społecznej i nieograniczona władza pieniądza" (a więc zjawiska, które miały zniknąć wraz z upadkiem komunizmu!) prezentują się dzisiaj gorzej niż kiedykolwiek [8].

Nawet w idealnych warunkach, gdy wybryki dzikiego kapitalizmu są kontrolowane, a gospodarka osiąga pewien stopień samoregulacji, rynek jest w stanie zaspokoić potrzeby społeczeństwa tylko w ograniczonym zakresie [9]. Idealne warunki oznaczają wyłącznie to, że kupujący i sprzedający wchodzą ze sobą w określone stosunki, a fluktuacja cen sprawia, że towary, konsumenci i pracownicy wzajemnie na siebie oddziałują w produktywny sposób. W najlepszym razie zapewnia to tylko maksimum ekonomicznej wydajności w zakresie produkcji i dystrybucji dóbr trwałych. Nic ponadto. Tymczasem rzecznicy doktryny liberalizmu gospodarczego jako strategii politycznej utrzymują, że załatwia ona o wiele więcej. I tu właśnie leży problem.

Mamy do czynienia z katastrofalnym pomieszaniem pojęć. Czym innym jest umiarkowana, mająca podstawy w rzeczywistości opinia, zgodnie z którą elastycznie regu-

lowany rynek to najskuteczniejszy instrument produktywności ekonomicznej i akumulacji kapitału, czym innym zaś prostackie twierdzenie, iż nagi, nieokiełznany rynek stanowi jedyny środek pozwalający wytwarzać i dystrybuować dosłownie wszystko, czego człowiek może zapragnąć, od dóbr trwałych do wartości duchowych, od inwestycji kapitałowych po sprawiedliwość społeczną, od rentowności po zachowanie środowiska naturalnego, od prywatnego bogactwa po dobro publiczne. Wychodząc z tych założeń opętani żądzą zysku szermierze prywatyzacji upierają się, że tak różne i bez wątpienia publiczne dobra, jak edukacja, kultura, wymiar sprawiedliwości, pełne zatrudnienie, dobrobyt społeczny i równowaga ekologiczna mogą być regulowane przez rynek [10]. W prywatyzacji widzą nie tylko sposób do ograniczenia tonącej w samozadowoleniu biurokracji państwowej, ale i unicestwienia demokracji.

Wiara we wszechmoc rynku znalazła w Ameryce wyraz w polityce zagranicznej, która zakłada, że umiędzynarodowienie rynków równa się ich demokratyzacji i że wolność człowieka zostanie zagwarantowana z chwilą, gdy najmniejsze narody czy plemiona przyjmą dogmaty wolnego rynku. Friedmanowie sławią rynek pod hasłem *Free to Chose* – „Wolnego wyboru" – jakby można było zaliczyć do jednej kategorii wybieranie marki czy znaku firmowego i wybór stylu życia lub wspólnych wartości kulturowych [11]. Niedawno zaś Jeffrey Sachs, fanatyczny uczeń Friedmanów i wielce ambitny ambasador kapitalistycznej reformy w państwach przeżywających okres transformacji, oświadczył, że Europa Wschodnia „zrzuciła z siebie jarzmo systemu komunistycznego" nie po to, by stworzyć społeczeństwo otwarte, ale żeby przyjąć kapitalizm. Jeśli tak się sprawy mają, jej celem musi być „gospodarcze zharmonizowanie z Europą Zachodnią" – coś, co wymaga radykalnej reformy ekonomicznej i nieustającej „terapii szokowej" [12]. Doktryna gospodarczego liberalizmu może zagrozić państwu narodowemu, ale państwo

to przynajmniej posiada na tyle władzy, że może się przeciwstawić konsekwencjom, jakie niesie wprowadzanie kapitalizmu w nieokrzesanym wydaniu. W gospodarce międzynarodowej leseferyzm ma fatalne skutki, nie ma tu bowiem żadnych suwerenów, a agresywne instytucje ponadnarodowe wcielają w czyn strategie rynku nie podlegając kontroli żadnych ciał pełniących funkcje regulacyjne. Kuttner zauważa, że „triumf etyki leseferyzmu zbiegł się ze względnym osłabieniem jej głównego rzecznika – Stanów Zjednoczonych"[13]. O ile dawniej powstałe międzynarodowe instytucje, takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy umożliwiały Stanom Zjednoczonym demonstrowanie siły na arenie światowej, o tyle słabnięcie amerykańskiej potęgi pozostawia te same instytucje na łasce prawdziwych wielonarodowców naszej epoki, ponadnarodowych korporacji i niezliczonych pozarządowych grup interesu oraz stowarzyszeń, tworzących rynek światowy.

Nie dajmy się zmylić specom od *public relations*. Bank Światowy mniej jest zainteresowany ochroną środowiska czy umacnianiem samodzielnych gospodarek narodowych państw-dłużników niż stwarzaniem szans (choć bynajmniej nie równych) dla międzynarodowego biznesu. Udzielane przezeń pożyczki często doprowadzają klientów do bankructwa. Całkowite zadłużenie Polski wynosiło w 1993 roku ponad 60 procent jej produktu krajowego brutto, a zadłużenie Węgier – prawie 80 procent PKB[14]. Uganda winna jest Bankowi Światowemu 62 procent swego zadłużenia zagranicznego, koszty kontrowersyjnego projektu – finansowanej przez Bank tamy Chixoy w Gwatemali – stanowią 40 procent jej długu zagranicznego. Wiadomo również, że Bank wymuszał przesiedlenia ludności w krajach, których narody nie miały nic do powiedzenia w kwestii projektów irygacyjnych czy transportowych realizowanych rzekomo w imię ich rozwoju[15].

Ci, którzy wierzą, iż państwo narodowe mimo wszystko przetrwa, nie muszą się martwić. Na przykład Robert

Kuttner wciąż uważa, że „chociaż światowi inteligenci mogą myśleć o sobie jako o bezpaństwowcach, a globalny kapitał może dostrzegać w państwach narodowych anachroniczne zawalidrogi, państwo pozostaje ośrodkiem organizacji politycznej stanowiącym strukturę najlepiej przygotowaną do przeciwstawienia się ekscesom rynku”[16]. Nie ulega wątpliwości, że państwo jest „najlepiej przygotowane” do równoważenia dzikiego kapitalizmu, ale zachodzi pytanie, czy nadal jest w stanie to robić albo czy ma ochotę próbować. Rzeczywistość wygląda raczej tak, jak zauważył Paul Krugman, ekonomista z Uniwersytetu Stanford: „Rządy pogodziły się z systemem, który pozwala rynkowi na uzyskanie hegemonii”[17]. Nowy rząd Republiki Czeskiej chwali się, że ma zamiar „stworzyć równe szanse dla inwestorów, zarówno krajowych, jak i zagranicznych” i opowiada się zdecydowanie za minimum interwencji władzy państwowej[18]. Nowe państwa, w których „społeczeństwo obywatelskie zostało z czasem opanowane przez zorganizowaną przestępczość” musiały w końcu odkryć, że „użycie siły [władzy] w pozytywnym sensie” jest nie na rękę zarówno dawnym wrogom państwa – ofiarom komunizmu, jak i jego nowym nieprzyjaciołom – doradcom forsującym doktrynę gospodarczego liberalizmu, którzy podżegają tych pierwszych przeciw instytucjom państwowym, a przecież tylko one mogłyby sprawować jakiś nadzór nad bezwzględnym rynkiem[19].

Zdarza się co prawda, że państwa interweniują na rzecz społeczeństwa obywatelskiego, ale na arenie międzynarodowej nie ma odpowiedniej struktury (z pewnością nie są nią bezsilne ponadnarodowe imitacje państw) zdolnej do przeciwstawienia się wielonarodowym korporacjom i rynkom, na których one działają. Znany biznesmen Walter B. Wriston stwierdza, iż rządy nie są już nawet w stanie „wymierzyć” tworzenia się kapitału, ponieważ nowy kapitał jest w znacznej części intelektualny[20]. Jak więc mogą regulować go czy kontrolować? Wriston sarkastycznie stwierdza, że magik od komputerów z całkiem nowym

programem w głowie może przekroczyć granicę, nikt go nie obłoży cłem, a tymczasem twór jego umysłu będzie miał większą wartość kapitałową niż towar przewożony przez tysiąc frachtowców. Wiemy już (była o tym mowa w części I), że nowe towary mają raczej wirtualny niż trwały charakter, a ich producenci – „specjaliści od analizy symboli", jak ich nazywa Robert Reich – stanowią nową klasę ponadnarodową, znajdującą się poza zasięgiem jakiejkolwiek państwowej suwerenności. Komisja Senatu do spraw bankowości może zaglądać przez ramię narodowym bankom (nawet jeśli robi to niezbyt mądrze albo nieskutecznie), ale kto ma na .tyle władzy (lub wyobraźni) by spojrzeć przez ramię międzynarodowym bankierom i specom od transakcji walutowych? Albo programistom i analitykom zapewniającym funkcjonowanie banków i rynków walutowych? Obroty na tych rynkach sięgają biliona dolarów dziennie, żaden bank państwowy ani nawet cała ich grupa nie może mieć na to większego wpływu. Kiedy latem 1994 roku 17 największych centralnych banków świata (w tym amerykański Bank Rezerwy Federalnej) próbowało wydźwignąć dolara, zdołały zgromadzić zaledwie 5 mld USD. Jak się uroczo wyraził Thomas Friedman, można to było porównać do „starań dozorcy w zoo, który próbuje uspokoić wygłodniałego goryla podając mu na obiad jedną rodzynkę"[21].

Rzecznicy wolnego rynku, jak Wriston, zadowoleni są z niepowodzenia Układu Bretton Woods (na mocy którego suwerenne państwa próbowały uporządkować międzynarodową wymianę walutową po II wojnie światowej). Ma to być dowodem, że „Wielki Brat" (karykaturalne wyobrażenie państwa, zarówno demokratycznego, jak i autokratycznego) został wykopany z biznesu. Niestety, skończyła się wraz z tym rola Wielkiego Brata jako gwaranta sprawiedliwości społecznej, a liczni młodsi braciszkowie, którzy zajęli jego miejsce, okazali się zarówno groźniejsi, jak i niemożliwi do rozliczenia. Państwowe komisje są w stanie ograniczyć wyzysk pracowników

w danym kraju, wprowadzając takie regulacyjne posunięcia, jak ustalenie płacy minimalnej, ubezpieczenie od bezrobocia i przepisy BHP, ale kto mógłby ustanowić i wymusić takie standardy na rynku globalnym, gdzie firmy nie związane z żadnym państwem mogą polować na tanią siłę roboczą to w tym, to w tamtym kraju? Dziś w o wiele większym stopniu niż w XIX wieku istnieje potrzeba, by proletariusze wszystkich krajów zjednoczyli się przeciw wyzyskowi ze strony monopolistycznego kapitalizmu działającego w skali globalnej. Tylko że nigdy jeszcze nie było to tak mało prawdopodobne.

Nie można mieć pretensji do wielonarodowych koncernów, że dążą do osiągnięcia wysokich zysków za cenę masowego bezrobocia czy poświęcania środowiska naturalnego na ołtarzu wolnego handlu. Stanie na straży wspólnego dobra i zagwarantowanie, że ci, którzy czerpią zyski z eksploatacji naszej wspólnej planety, zapłacą należny udział jej wspólnym użytkownikom, to zadanie społeczeństwa obywatelskiego i demokratycznego rządu. Kiedy rządy ustępują przed rynkiem, ogłaszają tym samym *désinteressement* co do dziedziny, w której powinny przede wszystkim stanąć w szranki. Po drodze przehandlowują prawa ludów, którymi rządzą.

Rynki nie są po to, by załatwiać sprawy, którymi zajmuje się demokratyczna polityka [22]. Narzucają prywatne, a nie publiczne formy dyskursu. Pozwalają nam jako konsumentom przemawiać za pośrednictwem pieniędzy do producentów dóbr materialnych, ale ignorują nas jako obywateli rozmawiających ze sobą o społecznych konsekwencjach naszych prywatnych rynkowych wyborów (za wiele materializmu?, za mało sprawiedliwości społecznej?, za dużo monopolów?, za mało miejsc pracy?, czego *my* chcemy?). Promują cele indywidualistyczne, a nie społeczne, pozwalają każdemu z osobna powiedzieć: „Chcę parę butów do biegania", „Potrzebny mi nowy magnetowid", „Kupuj jeny i pozbądź się marek", ale nie dopuszczają mówienia wspólnym głosem o tym, że „Społeczność ubo-

giej dzielnicy potrzebuje nowych urządzeń sportowych" albo „W telewizji i w kinach pokazują za dużo przemocy", czy też „Powinniśmy okiełznać Bank Światowy i zdemokratyzować Międzynarodowy Fundusz Walutowy". Rynek wyklucza myślenie i działanie w kategoriach „my", wierząc, że potęga skumulowanych indywidualnych wyborów (niewidzialna ręka) jakoś tam ochroni wspólne dobro. Retoryka konsumentów opiera się na słowie „ja", obywatele mają wspólny język jako „my".

Rynki to nie wspólnoty, oparte są raczej na umowie. Dopieszczają nasze indywidualne *ego*, ale nie zaspokajają tęsknoty za zbiorowością. Oferują dobra trwałe i ulotne marzenia, ale nie dostarczają wspólnej tożsamości czy przynależności do wspólnoty, co zapewniają z kolei zrodzone przez Dżihad społeczności połączone więzami krwi, tym bardziej spójne, im mniej są w nich rozwinięte stosunki rynkowe. Rynek, bardziej cybernetyczny i zautomatyzowany niż oparty na debacie i dobrowolny, tworzy zbiorowe konsekwencje, które trudno przewidzieć, gdy ma się o nim uproszczone wyobrażenie (sprzężenie zwrotne między konsumentami dokonującymi indywidualnych wyborów a rynkiem, który na nie reaguje). To, co Ludwig von Mises radośnie określał jako „codzienny plebiscyt, w którym każdy grosz daje konsumentom prawo do decydowania o tym, kto powinien posiadać fabryki, sklepy i farmy i nimi kierować", jest ładnie brzmiącym oszustwem. Osobiste motywy, jakimi kierują się konsumenci wydając swoje grosze, nie mają żadnego wpływu na kwestie własności i kierowania, a cóż dopiero na kształt społeczeństwa obywatelskiego, w którym ci sami konsumenci chcieliby żyć, albo na wspólne cele, jakie razem sobie wytyczają w obywatelskim działaniu na demokratycznej arenie politycznej, chcąc kontrolować społeczne i polityczne konsekwencje swoich prywatnych konsumenckich decyzji[23]. Przypomnijmy sobie ostrzeżenie Felixa Rohatyna: „rynek rządzi się brutalną, darwinistyczną logiką. Jest nerwowy i zachłanny. Żąda

stabilności i jasnych reguł, ale to, co daje w zamian, nie zawsze można uznać za formę demokracji, jakiej byśmy najbardziej sobie życzyli"[24].

Demokracja woli rynek, ale rynek nie chce demokracji. Stworzywszy warunki umożliwiające zaistnienie rynku, demokracja musi również nadrobić to wszystko, co rynek likwiduje, albo czego nie jest w stanie załatwić. Musi nauczyć obywateli, jak mądrze korzystać z rynku i dawać sobie radę z jego nadużyciami. Musi wspierać wartości i wspólną kulturę, którymi rynek się nie interesuje i których nie ma zamiaru nagradzać. Musi wypracować mechanizmy zapobiegające samounicestwieniu rynku przez anarchię lub monopolizację. Musi zapewnić alternatywną formę wyboru umożliwiającą wspólne jego dokonywanie – jako środek zaradczy na mimowolne społeczne konsekwencje indywidualnych wyborów.

Weźmy rozpatrywaną już kwestię transportu. Decydując się na kupno samochodu postanawiam, że będę skutecznie i raczej wygodnie przemieszczał się z miejsca na miejsce. Wśród ewentualnych skutków mojej decyzji można jednak wymienić: zanieczyszczenie powietrza, wyczerpywanie się surowców, deprecjację transportu publicznego, tłok w szpitalach, niszczenie środowiska naturalnego przez budowę autostrad. Jako konsument mogę temu wszystkiemu zapobiec w jeden tylko sposób – powstrzymując się od kupna samochodu, co z wąskiej ekonomicznej perspektywy jest działaniem irracjonalnym i oznacza włożenie kija w szprychy gospodarki rynkowej. Wchodzę więc w rolę konsumenta i kupuję samochód. Kapitalizmowi i mnie – jako konsumentowi – zostało oddane to, co należne. W społeczeństwie demokratycznym jestem jednak nie tylko konsumentem, ale i obywatelem. Jako obywatel mogę podjąć wraz z innymi działania na rzecz złagodzenia niefortunnych skutków mojego prywatnego wyboru. Możemy zakazać używania benzyny z zawartością ołowiu, finansować badania nad silnikami poruszanymi elektrycznością, subsydiować transport pub-

liczny, wprowadzić ubezpieczenia celem refundacji kosztów opieki szpitalnej dla kierowców, ograniczyć budowę autostrad w malowniczych regionach. Te wszystkie obywatelskie działania nie krępują naszej rynkowej swobody, lecz ją ułatwiają. Dzięki demokracji rynek funkcjonuje i umożliwia nam podejmowanie konsumenckich decyzji, ale wiemy przy tym, że możemy przeciwdziałać jego złym stronom. W tym celu jednak musimy mieć alternatywne instytucje nierynkowe, a na arenie międzynarodowej takich demokratycznych instrumentów w ogóle nie ma.

Nawet w państwach narodowych rezygnujemy ze stosowania instrumentów, które posiadamy. Dogmaty wolnokonkurencyjnego kapitalizmu, przenikające politykę amerykańską i europejską w ostatnich kilkudziesięciu latach, zostały wzmocnione przez resentymenty wyobcowanego elektoratu, który utracił zaufanie do własnych instytucji demokratycznych. Przekonano nas, że demokratyczne rządy ani nie są „nasze", ani nie funkcjonują na tyle skutecznie, by ograniczać działanie rynku lub je wspomagać. Zgon marksistowskich dogmatów i gospodarki nakazowej tchnął nowe życie w wolny rynek i dogmaty liberalizmu gospodarczego, co stawia nas znowu przed Friedmanowskim wyborem między radykalnym kolektywizmem a radykalnym indywidualizmem. Potępiamy polityków, jakbyśmy sami ich nie wybrali spośród nas, napadamy na rządy, jakbyśmy nadal żyli w osiemnastowiecznej monarchii absolutnej, a struktury konstytucyjne miały służyć jedynie ograniczaniu tyranii, nie zaś ułatwianiu wspólnego demokratycznego działania. Obywatele wyrzekają się zbiorowego „my", pozwalają, by pojęcie to identyfikowano wyłącznie ze skorumpowanymi politykami lub totalitarnymi despotami. Władza demokratyczna i nadużycia przez nią popełniane stały się synonimami.

Społeczeństwa krajów wyzwolonych od komunizmu, sfrustrowane dzikim kapitalizmem, nie zwracają się do zdyskredytowanych instytucji parlamentarnych, ale do aparatczyków partyjnych, co wyszli cało z upadku tych

samych komunistycznych reżimów, których dziedzictwo kompromituje system parlamentarny[25]. Oznacza to, że w państwach narodowych zarażonych radykalną ideologią rynku demokracja przeżywa coraz cięższe chwile. Zachodni eksperci tak nalegali na liberalizację rynku, że „kontrolowane przez państwo dziecko wylali razem z kąpielą”[26].

Skoro ideologia leseferyzmu aż do tego stopnia utrudniła wyłonienie się niekolektywistycznej demokracji, jak można sobie w ogóle wyobrazić demokrację ponadnarodową? Gdyby nawet udało się nam przezwyciężyć polityczny brak zaufania we własne siły, to jakie mechanizmy mogłyby nam, obywatelom, stworzyć szansę na odwrócenie niedobrych skutków działania globalnego rynku? Wystarczająco dużo kłopotów przysparza zanik państwowo-narodowego „my” w cieniu Dżihadu i McŚwiata. Stawiamy czoło konsekwencjom obu tych zjawisk pod nieobecność jakiejkolwiek globalnej wspólnoty – globalnych „nas” – przygotowanej do działania ponad granicami państwowymi. Kiedy jedyne możliwe ponadnarodowe pojęcie „my” trzeba dobywać ze zanarchizowanej masy zachłannych „ja”, rynek przestaje być skuteczny. Otrzymujemy towary, ale nie żyjemy tak, jak chcielibyśmy; jedni opływają w bogactwa, ale bardzo wielu wegetuje w rozpaczliwych warunkach, a godność nie jest zapewniona nikomu. Ponad 26 000 działających w McŚwiecie międzynarodowych organizacji pozarządowych nie jest żadnym partnerem dla 500 wielonarodowych korporacji z listy McŚwiatowego tygodnika „Fortune”. Kartele mało względów okazują obywatelom. McŚwiat nie jest układem samoregulującym się i być nim nie może. Nie wygląda też na to, żeby mógł wytworzyć demokratyczne ciała obywatelskie, jakich sam potrzebuje, by dalej funkcjonować. W tym się zawiera paradoks McŚwiata. Nie może przetrwać w świecie, który sam nieuchronnie stwarza, jeśli nie przeciwstawią mu się obywatelskie i demokratyczne siły, które nieuchronnie osłabia.

W kategoriach makroekonomii wspomniane tutaj ułomności wcale ułomnościami być nie muszą[27]. Są nimi, jeśli je ujmiemy w kategoriach polityki. Stają się jednak defektami rynku, kiedy się pozwala, by makroekonomia i rynek uzurpowały sobie rolę polityki. Tragiczne konsekwencje przeprowadzania reform politycznych w myśl makroekonomicznych teorii można wyraźnie dostrzec w krajach Ameryki Łacińskiej i Afryki, gdzie sektor publiczny popada w ruinę wraz z rozkwitem sektora prywatnego. W przekonaniu Guillermo O'Donnella, wybitnego politologa – znawcy spraw Ameryki Łacińskiej – sprawa jest prosta: „prywatyzacja nie równa się demokratyzacji"[28]. Nie trzeba nic dodawać.

Nie jestem w stanie opisać całokształtu tragicznych skutków, jakie pociąga za sobą narzucanie ekonomicznych rozwiązań problemów demokracji w krajach rozwijających się, chciałbym natomiast zaprezentować krótkie szkice sytuacji w dwóch krajach postkomunistycznych, gdzie pomylono prywatyzację z demokratyzacją i dziki kapitalizm jest od pięciu lat głównym arbitrem wartości obywatelskich. W rezultacie zarówno stara demokracja (w nowych, zjednoczonych Niemczech), jak i nowa, *in statu nascendi* (w starej Rosji) stoją przed niełatwą próbą.

17
Kapitalizm a demokracja w Rosji

Obserwatorzy rosyjskiego eksperymentu polegającego na demokratyzacji kraju z dnia na dzień za pomocą pospiesznie wprowadzanego kapitalizmu (między innymi Sołżenicyn) mają mnóstwo dowodów na poparcie swoich wielce krytycznych uwag. Niewielu się znajdzie uczestników tego procesu, którzy nie byliby szczerze zatroskani skutkami „terapii szokowej", zarówno dla rosyjskiej konstytucji – określanej jako „dokument o bardzo ograniczonej prawomocności, a co za tym idzie, niewielkim autorytecie"[1] – jak i dla przyszłości demokracji w Rosji, „która nigdy dotąd nie wyglądała bardziej niepewnie"[2]. John H. Fairbanks jr. wyraża pogląd, że „w Rosji już istnieje albo wkrótce się pojawi wiele warunków wstępnych sprzyjających faszyzmowi: hiperinflacja, masowe bezrobocie, głębokie resentymenty związane z utratą statusu, rozczarowanie demokracją, społeczeństwo zdechrystianizowane, lecz wciąż stęsknione za «duchowością», ostre konflikty graniczne, nieustanne walki toczone nie przez armię państwową, lecz przez grupy zorganizowane na podobieństwo freikorpsów, utrzymujące się sentymenty socjalistyczne i nacjonalistyczne"[3]. Nie każdy obserwator tak dramatycznie postrzega sytuację, ale nawet trzeźwi ekonomiści w rodzaju Padmy Desaia dochodzą do wniosku, że terapia szokowa „nie zadziałała i nie zadziała"[4]. Ocenił on zmniejszenie się rosyjskiego produktu narodowego brutto na 19 procent, a w 1993 roku o dalsze 11 procent. W 1992 roku inflacja osiągnęła 2500

procent, od tamtego czasu wynosi 25 procent miesięcznie. W całej Europie Wschodniej, nawet w krajach, które odnotowały sukcesy gospodarcze, nastąpił radykalny spadek produkcji przemysłowej (ponad 50 procent na Węgrzech, w Republice Czeskiej i Słowacji i ponad 75 procent w Bułgarii), ogromny wzrost cen, nieustająca inflacja i bezrobocie rzędu 10–20 procent tam, gdzie go przedtem nie było.

W samej Rosji, gdzie doradcy, między innymi eksperci z konserwatywnego Instytutu Hoovera, bankierzy – Goldman, Sachs i spółka i radykalni rzecznicy wolnego rynku, jak Jeffrey Sachs, narzucili terapię szokową, w ciągu pierwszego półrocza 1994 roku produkcja przemysłowa spadała o 25 procent na kwartał (szybciej niż podczas Wielkiej Depresji w Ameryce), a produkcja rolna osiągnęła punkt najniższy od 30 lat [5]. Według niektórych ocen jedna czwarta ludności Rosji żyje w ubóstwie, a 40 procent poniżej minimum socjalnego [6]. Kiedy bogacze kupują telefony komórkowe, homary i zakazane narkotyki, robotnik w przemyśle zarabia przeciętnie od 40 do 70 dolarów miesięcznie, za co można wynająć na godzinę samochód w dobrym hotelu [7]. Luksusowe, długie limuzyny po 150 000 dolarów i zegarki Cartiera po 30 000 dolarów sprzedaje się, przeważnie za gotówkę, w sklepach, które kiedyś przeznaczone były dla cudzoziemców, dziś zaś obsługują głównie Rosjan. Mniej więcej milion (z 150 mln populacji) może sobie pozwolić na luksusowe dobra. Pod koniec 1993 roku było w Moskwie zarejestrowanych prawie 40 000 zagranicznych samochodów [8]. Na terenach Wystawy Osiągnięć Ekonomicznych, gdzie niegdyś prezentowano wyśnione cuda radzieckiego przemysłu i nauki, dziś w hołdzie dla McŚwiata wzniesiono wielkie pawilony handlowe. Mieszkańcy Moskwy wprost rozchwytują nowiutkie telewizory Sony i Panasonic, a któryś ze zwiedzających woła: „Coś niesamowitego! Jesteśmy już chyba pięćdziesiątym pierwszym stanem Ameryki” [9]. *Nagłost'* (bezczelność, termin o wyjątkowo

pejoratywnych podtekstach) zajęła miejsce *glasnosti* jako hasło nowego kapitalizmu, w którym spekulacyjne „piramidy finansowe" uchodzą za okazje do inwestycji, spalający wnętrzności bimber sprzedaje się w butelkach od Chivas Regal, a żeby wejść do biznesu trzeba zapłacić odpowiednią daninę i otoczyć się ochroniarzami.

Tymczasem ponad 15 mln ludzi pozostaje bez pracy (w dawnym Związku Radzieckim bezrobotnych było niespełna milion), a krytycy, z których nie wszyscy są konserwatystami, nacjonalistami czy rozgoryczonymi komunistami, twierdzą, że terapia szokowa okazała się samym szokiem, który niczego nie uleczył. Konserwatywny wydawca Aleksander Prochanow ubolewa: „gospodarka umiera, rozpadają się społeczne więzi. Niedługo dojdzie to tego, że nie da się już w ogóle rządzić tym społeczeństwem"[10]. Wiktor Czernomyrdin, który został premierem po załamaniu się radykalnej reformy, oznajmił, że „etap rynkowego romantyzmu mamy już za sobą". Musi jednak jakoś sobie poradzić z tą częścią zagranicznego zadłużenia, której spłata została odroczona (2,5 mld dolarów). W większości składają się na to kredyty inwestycyjne zaciągnięte przez zagranicznych inwestorów[11]. Obiecana przez państwa zachodnie bilateralna pomoc w wysokości 11 mld dolarów (na rok 1993 i 1994) też uprzywilejowuje zachodnich eksporterów, a z 4,5 mld dolarów realnej pomocy przyrzeczonej przez organizacje międzynarodowe skapują zaledwie niewielkie sumy. Tak samo przedstawia się sytuacja w całej Europie Wschodniej[12].

James Sterngold z „New York Timesa" w swojej relacji ze szczytu gospodarczego w Japonii w 1993 roku donosił, że wynegocjowany tam pakiet pomocy dla Rosji „prawie się nie zwiększył – było to tylko inne przemieszczenie obiecanych wcześniej środków"[13]. Rosja czeka na poważnych inwestorów gospodarczych, a tymczasem wkracza do niej McŚwiat. Największa na świecie restauracja McDonalda znajduje się blisko placu Czerwonego. Obsługuje ludzi dobrze sytuowanych, bo lunch z Big Macem

(który można zamówić po angielsku albo po rosyjsku) kosztuje równowartość tygodniowych zarobków. Na prowincji działa sieć Ben and Jerry's, w przeciwieństwie do Pizza Hut trzyma się z dala od Moskwy. Avon rozprowadza swoje kosmetyki wśród gospodyń domowych, których próżność pracowicie rozbudzają nowe media, mające w swym repertuarze zachodnie filmy gangsterskie, opery mydlane i teleturnieje. Firmy z całego świata, produkujące sprzęt elektroniczny i oprogramowanie, starają się zająć miejsce na tym nowym rynku konsumenckim, który według przewidywań będzie najbardziej obiecującym rynkiem w nadchodzącym stuleciu.

Chwiejące się w posadach stare monolity kolektywistyczne i etatystyczne powoli znikają, ale na ich miejsce, obok nowych, walczących o utrzymanie się firm rosyjskich, wkraczają spółki dokonujące przejęć w amerykańskim stylu. Stanowią one ochronę dla rosyjskich kompanii, które za ruble kupują surowce i zbywają je za granicą za dolary po niebotycznych cenach. Obserwatorzy z Zachodu cieszą się z nieprzyjaznych przejęć, jakby były decydującymi krokami na drodze do demokratyzacji. Joseph Blasi, ekonomista z Uniwersytetu Rutgers, z ukontentowaniem opowiada o fabryce traktorów koło Moskwy, gdzie „rosyjski biznesmen z dyplomem MBA z Harvardu wykopał dyrektora. Pomogła mu grupa inwestorów z Nowego Jorku, która przejęła jedną szóstą kapitału zakładowego"[14]. To, co w Nowym Jorku uchodzi za bezwzględną żądzę zysku, w Moskwie okazuje się modernizacją gospodarki – tutaj żądza zysku jest prawdopodobnie zaletą. Wiele rosyjskich firm inwestycyjnych handluje świadectwami udziałowymi, które w procesie prywatyzacji otrzymali wszyscy Rosjanie jako akt własności kawałka starej sowieckiej skolektywizowanej skały. Firmy te wykorzystują fakt, że większość ludzi nie może sobie pozwolić na zatrzymanie tych świadectw i tanio sprzedaje je spekulantom, żeby opędzić niezbędne wydatki. Podobnie jak ich amerykańskie odpowiedniki,

firmy, o których mowa, niczego nie wytwarzają – nie licząc nie pochodzących z pracy zysków. Inne spółki, jak osławiona MMM, która w 1994 roku spowodowała spektakularne zamieszanie, to spekulacyjne „piramidy finansowe", w których naiwne babcie lokowały oszczędności całego życia, a pieniądze te służyły przywabieniu klientów inwestujących w przedsięwzięcie, które ani niczego nie posiadało, ani nie wytwarzało – jeśli nie liczyć produkowania złudnych nadziei oszukanych inwestorów [15]. Dla bogaczy, którzy chcieliby zasmakować prawdziwego hazardu, otwarto w Moskwie kilkanaście nowych kasyn, gorzej sytuowani mają do dyspozycji automaty do gry przy każdym prawie sklepie spożywczym [16].

Dziki kapitalizm pożenił ze sobą biznes i przestępczość, nie wiadomo, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Uliczne napady i mafijne egzekucje to tylko wierzchołek góry lodowej: przestępcza infrastruktura przenika biznes i system władzy. Dawni dyrektorzy państwowych przedsiębiorstw stali się w wielu przypadkach ich „prywatnymi" właścicielami, podczas gdy inni byli komunistyczni zarządcy pomagają likwidować firmy, które mieli prywatyzować – towary wyciekają za granicę, na czarny rynek, a przemyt ropy, niklu i kadmu przynosi zyski, z których nie korzysta ani Rosja, ani rosyjscy posiadacze świadectw udziałowych [17]. Spekulanci-amatorzy krążą po moskiewskim metrze obnosząc napisy „Skupuję świadectwa udziałowe", podczas gdy profesjonaliści, nie oglądając się na centralną giełdę papierów wartościowych, nie skrępowani żadnymi przepisami regulującymi obrót tych walorów, entuzjastycznie oznajmiają: „Robimy pieniądze z niczego!" [18]

Pieniędzy jednak nie robi się z niczego, lecz wyciąga z kieszeni Rosjan, których dochody nie pozwalają na luksus zajęcia się spekulacją. Potępiane przez Roberta Reicha zjawisko „wycofywania się bogaczy" z amerykańskiego sektora publicznego nabiera coraz większej ostrości w Rosji. Powstają dwa społeczeństwa: bogate, osadzone w sektorze prywatnym, bezpiecznie wyizolowane, oraz

ubogie, zależne od sektora publicznego, narażone na wszystkie nieszczęścia, jakie spotykają rosyjskie państwo (czyli rosyjski rynek). Podczas gdy pierwszemu, które działa w zmowie z zagranicznymi inwestorami, wiedzie się coraz lepiej, drugie (w tym 40 procent ludzi oficjalnie uznanych za ubogich) zdane jest na łaskę zbankrutowanego sektora publicznego, niezdolnego do zapewnienia zabezpieczenia społecznego, zatrudnienia czy godziwej płacy. Nawet zwolennicy prywatyzacji przyznają obecnie, że subsydia do płac mogły uchronić pracowników przed masowymi redukcjami przeprowadzanymi przez wykonawców prywatyzacji. Chcą oni doprowadzić do tego, by firmy państwowe lepiej się prezentowały wobec nowych inwestorów, którzy prawdopodobnie nie mieliby na tyle politycznej odwagi, by zwolnić połowę załogi nowo nabytych przedsiębiorstw[19]. Spora część nowej klasy składającej się z ludzi ubogich i bezrobotnych to rozbitkowie miotani falami prywatyzacji: robotnicy odrzuceni przez system, który nowym prywatnym właścicielom przynosi większe zyski, gdy pozbędą się części siły roboczej. Prawdziwa historia demokratyzacji w Rosji i wszystkich innych krajach Europy Wschodniej będzie się prawdopodobnie kształtować pod wpływem napięć między wspomnianymi tu dwoma przeciwstawnymi „społeczeństwami”.

Skutkiem pochopnego przyjęcia przez Rosję kapitalizmu w surowej postaci jest choroba społeczna, którą najlepiej chyba podsumuje krótka relacja o podwójnym ataku – na rosyjskie ciało i rosyjską duszę. Upadek „ciała zbiorowego”, jakim jest państwo, przejawia się dobitnie w malejącym udziale społeczeństwa w polityce i żywiołowym odradzaniu się nacjonalistycznej oraz neokomunistycznej antyzachodniej demagogii. Władimir Żyrinowski jest tylko jednym, najbardziej znanym jej głosicielem. Jeszcze bardziej przerażające jest zagrożenie rosyjskiego organizmu w dosłownym znaczeniu: statystyki demograficzne wykazują alarmujący spadek liczby urodzeń i skracanie się przeciętnej długości życia (co stanowi odbicie

ponurej teraźniejszości i braku perspektyw na przyszłość), a struktury przestępcze przenikają chwiejący się aparat państwowy i skorumpowany rynek. Zagrożona jest rosyjska dusza, bo McŚwiat zatruwa rosyjską kulturę i historię kiczowatą kulturą masową i wszechobecnym materializmem, którego postępy są najwyraźniej uznawane za kryterium sukcesu nowego rosyjskiego kapitalizmu epoki postindustrialnej. Pozwolę sobie pokrótce omówić te zjawiska, zanim przedstawię wnioski, jakie płyną z rosyjskiego przykładu.

Po zimnym prysznicu ekonomicznym życie polityczne Rosji nie może dojść do ładu. Podczas wyborów 1993 roku, będących kamieniem milowym w dziejach kraju, elektorat zamanifestował swe niezadowolenie z polityki gospodarczej pozostając w domu: ponad połowa nie głosowała w ogóle, co oznaczało, że od razu osiągnięto tak tragicznie niski poziom uczestnictwa, jakiego Ameryka dopracowała się dopiero po dwustu latach. Ci, którzy udali się do urn wyborczych, dali wyraz swym resentymentom zadając cios reformatorskiej partii Wybór Rosji związanej z Jelcynem (sam Jelcyn przezornie nie angażował się w kampanię na jej rzecz). Otrzymała ona zaledwie 15 procent głosów. Prawie połowę głosów oddano na najbardziej radykalnych krytyków Jelcyna: 23 procent na skrajnie nacjonalistyczną Partię Liberalno-Demokratyczną Żyrinowskiego, ponad 12 procent na reaktywowaną niedawno Partię Komunistyczną i 8 procent na Partię Agrarną[20]. Może się wydać zaskakujące, że komuniści zdobyli 32 miejsca w parlamencie wkrótce po tym, jak Jelcyn skierował czołgi na moskiewski Biały Dom i przywódców komunistycznych osadził w areszcie, ale należy wziąć pod uwagę, że komuniści albo powrócili do władzy, albo zapewnili sobie udział w niej w prawie wszystkich krajach byłego sowieckiego imperium, z wyjątkiem pięciu[21]. Niewykluczone, że rynek posiada moc wyzwalającą, ale akurat na Wschodzie wyzwolił reakcyjne resentymenty.

Media wystarczająco wiele uwagi poświęciły fenomenowi Żyrinowskiego, ograniczę się więc do paru uwag. Jegor Gajdar, reformator gospodarki, przywódca Wyboru Rosji, porównał go do Hitlera. W autobiograficznej „epopei" Żyrinowskiego *Ostatni skok na Południe* można znaleźć sporo dowodów na poparcie tezy o pewnym umysłowym pokrewieństwie z führerem. Na firmowanych przez jego partię stoiskach z książkami sprzedaje się pamiętniki Goebbelsa i *Mein Kampf*. W swoich pismach i wystąpieniach Żyrinowski ucieka się do płomiennej retoryki w stylu: „Nie wykluczam, że będę musiał odstrzelić sto tysięcy ludzi, ale za to trzysta milionów (w odrodzonej Wielkiej Rosji – przyp. aut.) będzie żyć w pokoju" [22]. Zdaniem niektórych obserwatorów Żyrinowski uosabia rodzący się faszyzm, ale sam zagrożenia nie stanowi (ma podobno żydowskich przodków i jest przede wszystkim politycznym oportunistą). W parlamencie, którego rola została ograniczona przez Jelcyna i jego ekipę, zbyt nieobliczalny i rozgadany Żyrinowski jest obecnie izolowany. Przestał uchodzić za poważnego kandydata w wyborach prezydenckich 1996 roku, choć niegdyś za takiego go uważano. Może się jednak przyczynić do zgładzenia rosyjskiej demokracji w zarodku, co powinno stanowić ostrzeżenie dla optymistów. Nie jest wytworem wolnego rynku, ale nie da się zaprzeczyć, że został wyniesiony do góry przez niszczycielskie skutki, jakie dla wielu Rosjan miało wprowadzenie gospodarki rynkowej.

Szaleńczo przyspieszone przejście do kapitalizmu odbiło się fatalnie na rosyjskim życiu politycznym, co wyraźnie widać, ale jeszcze wyraźniejsze są namacalne skutki. Trwa degradacja środowiska naturalnego, która już w czasach komunizmu przybrała tragiczny obrót [23]. Jeszcze gorzej wiedzie się ludziom żyjącym w tym środowisku. Tabele śmiertelności podają, że średnia długość życia rosyjskich mężczyzn nie przekracza 60 lat – a więc mniej niż w Indonezji czy na Filipinach. Dzietność kobiet spadła do zastraszającego poziomu 1,4 dziecka na kobietę

(pod koniec okresu sowieckiego wynosiła 2,17), co da się porównać z wyjątkowo niskimi wskaźnikami we wschodnich rejonach Niemiec[24]. Społeczeństwo, gdzie współczynnik zgonów osiągnął poziom krajów Trzeciego Świata, a przyrost naturalny wygląda jak w starzejących się państwach Pierwszego Świata, ma sceptyczny stosunek nie tylko do demokracji, ale i do własnej przyszłości[25].

Kolejnym zagrożeniem dla fizycznego bytu – „ciała" – Rosji jest narastająca w zawrotnym tempie przestępczość. Najwięksi pesymiści szacują, że prawie 40 procent produktu narodowego brutto powstaje w jakimś związku z przestępczością, a około 40 000 sklepów i małych firm należy do któregoś z ponad tysiąca syndykatów zbrodni albo jest przez nie infiltrowane. Sto pięćdziesiąt spośród kilku tysięcy przestępczych „rodzin" szczyci się poważnymi zagranicznymi koneksjami. Jak stwierdził sam Jelcyn, 80 procent banków i prywatnych przedsiębiorstw płaci daninę nowej rosyjskiej mafii[26]. Rosyjscy kryminaliści sami się tym mianem określają, naśladując ubiór i zachowania gangsterów z zachodnich filmów, które oglądają na wideo – *Ojca chrzestnego*, *Chłopców z ferajny*, czarnych filmów z lat trzydziestych o Al Capone i innych (jeszcze jeden dowód przenikania się Dżihadu i McŚwiata)[27].

W jednym ze szpitali miejskich w Moskwie codziennie udziela się pomocy 40 poważnie poturbowanym ofiarom napadów. A nie są to tylko ofiary ulicznych rzezimieszków[28]. W latach 1989–1992 ponad tysiąc policjantów zginęło w potyczkach z przestępcami, a w samym tylko roku 1993 zamordowano dziesięciu dyrektorów największych rosyjskich banków handlowych[29]. W 1994 roku rząd Jelcyna przystąpił do frontalnego ataku na „przestępcze bagno", ale te środki zaradcze są dla demokracji równie groźne, jak choroba, którą mają zwalczyć, bo zakładają między innymi zawieszenie swobód obywatelskich, zatrzymywanie podejrzanych w areszcie do miesiąca bez formalnego aktu oskarżenia, dopuszczają także sprzeczne z konstytucją przeszukania i konfiskaty[30].

Dżihad, reprezentowany przez takie postacie, jak Żyrinowski, nadal czyha na rosyjskie społeczeństwo. Ale duszy rosyjskiej trudno się obejść bez słowianofilstwa i nacjonalizmu, bo czym innym zdoła się rozgrzać wśród mroźnej zimy McŚwiata? Zachodnia muzyka rockowa wypiera ludowe pieśni, nawet rosyjskie zespoły rockowe nie wytrzymują tego zmasowanego ataku. Borys Grebieszczikow sprzedawał kiedyś miliony albumów swoich płyt; dziś, konkurując z „prawdziwym rockiem", może się cieszyć, jeśli sprzeda 15 000 [31]. Czy można się więc dziwić, że nawet Rosjan-światowców dręczy pewna nostalgia za dawną Wielką Rosją? Albo że ta nostalgia musi konkurować z zachłannym pragnieniem jutrzejszych wielkich rynków i pozostawać za nim daleko w tyle? Nacjonaliści stawiają opór zachodniej kulturze, ale wszędzie naokoło widać krzykliwe reklamy papierosów West: „*Test the West*" (dosłownie: „Spróbuj Zachodu"). Słowa polskiego dramaturga Janusza Głowackiego, odnoszące się do sytuacji w Polsce, trafnie opisują kryzys kultury w Rosji i innych byłych państwach komunistycznych: „Teatry upadają jeden po drugim. Hurtownie są zawalone książkami, za których czytanie można było kiedyś trafić do więzienia, a mimo to ludzie ryzykowali. Tygodniki literackie bankrutują. Wszędzie pełno tylko książek Harlequina i filmów ze Schwarzeneggerem i Stallone" [32].

Dziś w Rosji sprzedaje się więcej laleczek Barbie niż babuszek i więcej Weronik (rosyjska imitacja Barbie) niż rosyjskich niedźwiadków [33]. Czy to oznacza rozszerzenie czy zawężenie możliwości wyboru? Tradycyjne drewniane zabawki ustępują miejsca klockom Lego, plastikowym wojownikom i grze elektronicznej Gameboys. Gameboys to tajna sieć kulturowa, która przenika do rosyjskich domów i do dziecięcych umysłów, niosąc wciąż ten sam repertuar zachodnich gier i komiksowych bohaterów, promując rywalizację, przemoc, konsumpcję i nastawienie na wygrywanie – postawy nieodzowne marketingowej strategii McŚwiata. Słynne rosyjskie ministerstwo kultury

– obecnie kultury i turystyki – jest na dobrej drodze do przekształcenia kulturalnego dziedzictwa narodowego w park tematyczny, pod hasłem zachowania dziedziny, która nie może już dłużej być subsydiowana przez państwo. Sześć drużyn, o takich nazwach, jak Łabędzie czy Niedźwiedzie, rozgrywa regularnie mecze w moskiewskiej lidze amerykańskiego futbolu, a Coca-Cola korzystając z przywileju monopolisty robi wszystko, by Coke, Fanta i Sprite stały się w Rosji napojami narodowymi [34]. Żyrinowski nadal skupia na sobie uwagę prasy, ale prawdziwy konserwatysta – słowianofil, autor *Jednego dnia w życiu Iwana Denisowicza*, jest przez ogół ignorowany lub wyśmiewany. Zachodnie media bardziej się interesowały powrotem Sołżenicyna do Rosji w 1994 roku niż prasa rosyjska. Co prawda Sołżenicyn ma obecnie własny talk-show w telewizji. To tyle o rosyjskiej duszy.

Oczywiście niezmiernie trudno wymierzyć w walutach ciała i duszy koszty, jakie poniosła rosyjska demokracja w związku z pochopnym wejściem w orbitę kapitalizmu i rynków McŚwiata. Społeczeństwa w okresie przyspieszonych przemian zawsze przeżywają stres, a 75 lat bolszewizmu okaleczyło naród rosyjski tak, że długo jeszcze będzie płacił ogromne koszty, bez względu na to, jaki ustrój uda się zaprowadzić. Samo tworzenie demokracji też kosztuje, towarzyszy mu często przemoc, nieład i okres niepewności, nawet chaosu. Niesłuszne byłoby więc zwalanie całej winy za wszystkie obecne niedomagania Rosji na ekonomiczne bóle porodowe okresu przejściowego. Należy jednak zdać sobie sprawę, że rynek nie wytworzył w Rosji społecznych mechanizmów dostosowawczych, które mogłyby rekompensować szkodliwe w skali publicznej konsekwencje indywidualnych wyborów podejmowanych na rynku. Oznacza to, że perspektywy demokracji rysują się gorzej, niż można się było spodziewać. Sceptycy, którzy mają w pamięci, jak wielką rolę w wykształcaniu instytucji demokratycznych odgrywa cnota cierpliwości i rozumieją relację między władzą

publiczną a rozwojem wolności, mogą zadać pytanie, czy Chińczykom nie uda się stworzyć prawdziwego społeczeństwa obywatelskiego wcześniej niż Rosjanom.

Mało jest oczywiście dowodów na to, że nagła transformacja z systemu gospodarki nakazowej do radykalnej gospodarki rynkowej, jaka zachodzi w Rosji, sama w sobie przyczynia się do rozwoju demokracji. Przestępczość, drobnomieszczańskie samozadowolenie i rozpacz podkopują postawy obywatelskie. W rezultacie, jak twierdzi antropolog David Lempert, może się w nowej Rosji wykształcić mentalność typowa dla „kultu cargo" – tubylcy wypatrują egzotycznych, bogom podobnych przybyszy zza oceanu, którzy dostarczają magicznych towarów z zachodnich rynków i amerykańskiej kultury masowej[35]. Lempert w swej przenośni posuwa się zbyt daleko, jest ona wręcz obelżywa, ale fakt, że w Rosji odradza się nie tylko zorganizowana religia, lecz i wiara w uzdrowicieli, telewizyjnych hipnotyzerów, kult UFO i napędzany przez media ekstremizm polityczny, który wini Zachód za wszystkie stare i nowe nieszczęścia Rosji, świadczy o zabójczym fatalizmie. Pewien rosyjski socjolog ostrzega: „W tym kraju jest więcej całkowicie biernych ludzi niż we wszystkich innych krajach świata razem wziętych. Nie planują popełnienia zbiorowego samobójstwa tylko dlatego, że nie są w stanie zdobyć się na żaden wysiłek"[36].

A zatem diagnoza opłakanego stanu, w jakim znajduje się rosyjskie społeczeństwo to coś więcej niż biadania nacjonalistów czy resentymenty wydziedziczonych aparatczyków, a poglądy Żyrinowskiego czy konserwatywnego mistyka-słowianofila w rodzaju Sołżenicyna nie są jedynym punktem odniesienia. Kiedy Aleksander G. Niewzorow, trzydziestosześcioletni prezenter telewizyjny z liberalnego St. Petersburga krzyczy: „Reforma przyniosła tylko żebractwo, bandytyzm i rozlew krwi, nic nie dała emerytowi mieszkającemu koło sklepu, gdzie sprzedaje się wasze importowane jedzenie!" i zostaje wybrany z listy nacjonalistycznej do nowego parlamentu (1994), jego

stwierdzenia można złożyć na karb wyborczej hiperboli i prawicowej propagandy, ale mamy prawo się dziwić, że tego rodzaju hiperbola spotyka się z uznaniem w najbardziej mieszczańskim i prozachodnim okręgu wyborczym Rosji[37]. Niepokoją się nawet dysydenci żyjący na emigracji, którzy nie są stronnikami ani reżimu sowieckiego, ani skrajnie nacjonalistycznych krytyków obecnej władzy. Nikołaj Pietradow, zwolennik radykalnych rozwiązań ekonomicznych z czasów Gorbaczowa, ubolewał niedawno: „Potrzebujemy reformy z ludzką twarzą. Jeśli reforma będzie wobec ludzi tak okrutna, jak do tej pory, Żyrinowski tanecznym krokiem wejdzie na Kreml"[38]. A oto, co mówi Edward Limonow, zamieszkały w Paryżu dysydent znany z kosmopolitycznych poglądów (w 1992 roku wrócił do Rosji, żeby przeciwstawić się Jelcynowi):

„Jestem nacjonalistą wbrew sobie, bo chociaż kocham światowy charakter kultury, nie mam wyboru. Być nacjonalistą w dzisiejszej Rosji to znaczy odrzucić egoizm i pomagać własnej rodzinie, tak jak ja zrobiłem, kiedy podczas podróży po Syberii zobaczyłem biblioteki publiczne pozamykane z braku pieniędzy, orkiestry, które musiały zamilknąć, nędzę, która stała się narodową tragedią. Demokratyczni pretendenci do władzy niczym nie ryzykują – jeśli nie liczyć samobójstwa cywilizacji"[39].

Czuć w tym powiew Dżihadu. Limonow martwi się, że „tak jak 69 lat partyjnej dyktatury skompromitowało komunizm, tak Jelcyn skompromitował demokrację w zachodnim wydaniu. Demokracji nie można pozwolić na gwałcenie ludzi". Bardzo drogo przychodzi płacić za kapitalizm, kiedy dochodzi do tego, że kosmopolici zaczynają uważać demokrację za demona, a nowy premier Jelcyna Wiktor Czernomyrdin oznajmia: „Skończył się okres rynkowego romantyzmu. Mechaniczne przeniesienie zachodnich metod ekonomicznych na rosyjski grunt wyrządziło więcej złego niż dobrego"[40]. Być może właśnie dlatego Borys Jelcyn stwierdził, że „kapitalizm po prostu

nie pasuje do Rosji. Rosja to kraj wyjątkowy. Nie będzie ani socjalistyczna, ani kapitalistyczna"[41].

Historia się jednak nie skończyła, problem zaś nie w tym, czy Rosja będzie socjalistyczna, czy kapitalistyczna, ale czy stanie się demokratyczna. Sytuacja w Rosji jest tak ponura, że niektórzy przychylni temu krajowi obserwatorzy sugerują, iż należałoby nadać jakąś formę prawną faktycznej kontroli świata przestępczego nad władzą i rynkiem! Michael Scammell, profesor literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Cornell zarzuca nam, że zbytnio się rozczulamy nad „upadkiem wydawnictw, czasopism, teatrów, klubów artystycznych, nad zubożeniem instytucji akademickich w związku z redukcją lub odebraniem państwowych subsydiów", ponieważ wszystkie tego typu instytucje były w czasach sowieckich nadmiernie rozbudowane. Nie powinniśmy się wzdrygać na wieść o czymś, co w końcu jest tylko odpowiednikiem „prymitywu i zamętu, jaki przed wiekiem panował w Ameryce", kiedy to „nowa klasa biznesmenów, przedsiębiorców i awanturników, nie uznających żadnej władzy" nadawała ton, co ostatecznie wszystkim wyszło na dobre. Dla Scammella „obecność mafii stanowi nieomylny wskaźnik stopnia demokratyzacji danego społeczeństwa... Kiedy zniknie mafia, przestanie też istnieć odzyskana na nowo wolność Rosji"[42]. W podobnym tonie wypowiada się Nikołaj Złobin, który twierdzi, że o przywódcach grup przestępczych „sprzymierzonych ze skorumpowanymi urzędnikami, którzy są autentycznie zainteresowani w rozwoju demokracji i gospodarki wolnorynowej" nie można powiedzieć, że zależy im na „chaotycznym rozkradaniu kraju. Chcą raczej stworzyć zorganizowany system, który im umożliwi kontrolę nad tym, co się dzieje i umocni ich pozycję w przyszłości". Złobin dochodzi do wniosku, że ponieważ „kontrola w Rosji pod wieloma względami przeszła w ręce nowej sieci przestępczej, która zajęła miejsce starych struktur komunistycznych" i ponieważ „gdy skończy się okres przejściowy, mniej będą zapewne potrzebowali się

uciekać do przemocy i więcej będą inwestować w kontrolowanie anarchii" można byłoby uczynić cnotę z nędzy i pozwolić mafii na sprawowanie władzy[43]. Wcale nie trzeba wybierać między mafią a demokracją czy też mafią a wolnym rynkiem. Mafia *jest* wolnym rynkiem. Mafia równa się demokracji[44].

Na szczęście ani McŚwiat, ani jego przestępczy „towarzysze podróży" nie są jedynymi siłami, jakie działają dziś w Rosji. Są tu i inne ważne czynniki, w tym wyłaniające się nowe społeczeństwo obywatelskie, cała infrastruktura stowarzyszeń, nie związanych ani z władzą, ani z rynkiem (część z nich wymieniłem pod koniec rozdziału 15.), warstwa młodych profesjonalistów – pracowników wyższych uczelni, prawników i innych specjalistów oddanych idei społeczeństwa obywatelskiego i rządów prawa. Rośnie zainteresowanie „trzecim sektorem", którego nie da się zaliczyć ani do kapitalizmu, ani do socjalizmu państwowego. Daje się odczuć troska o sprawy konstytucyjne nie związane z polityką, a także rosnące poczucie, iż należy wzmocnić władzę ustawodawczą (nawet jeśli znajduje się w „niedobrych" rękach) przeciw arbitralnym prerogatywom władzy wykonawczej (choćby sprawowali ją zwesternizowani entuzjaści rynku).

Przemawiając w 1994 roku przed Zgromadzeniem Narodowym prezydent Jelcyn w części wystąpienia zatytułowanej „Osoba w państwie demokratycznym", w podrozdziale „Pomoc państwa dla instytucji społeczeństwa obywatelskiego" wypowiedział słowa, które więcej znaczą, niż wszystko inne, co kiedykolwiek powiedział na temat demokracji: „Pod nieobecność rozwiniętego społeczeństwa obywatelskiego władza państwowa nieuchronnie przybiera despotyczny, totalitarny charakter. Tylko dzięki takiemu społeczeństwu władza służy jednostce i staje się mechanizmem chroniącym wolność"[45]. Gdy w kręgach oficjalnych dają o sobie znać takie odczucia, a instytucje, które mogą te słowa wprowadzić w czyn, właśnie się kształtują, spisywanie Rosji na straty jako potencjal-

nego przybytku demokracji byłoby samospełniającym się fałszywym proroctwem. Ale, jak świadczą przytoczone tutaj fakty, błędne byłoby także wyobrażanie sobie, iż sam rynek, szczególnie w postaci promowanej przez agresywnych zachodnich inwestorów, którzy ciągną zeń zyski, może choć na jotę być wsparciem dla instytucji obywatelskich czy demokracji, do której dążą.

Stephen Cohen, jeden z najbardziej wnikliwych obserwatorów nowej Rosji, uczony, na którego wyjątkowo nie oddziałują argumenty o ekonomicznej drodze do demokracji, zastanawia się, czy Rosja tak naprawdę stała się mniej, czy bardziej demokratyczna. Niepokoi go atak Jelcyna na siedzibę parlamentu i jego skłonność do rządzenia *ukazami* – dekretami wykonawczymi, które stosowali zarówno carowie, jak i komisarze, by obejść wybrane przez lud zgromadzenie narodowe i dumę. Cohen obawia się, że może to wzmocnić aż nazbyt typową dla Rosji tendencję do wyniesienia władzy wykonawczej ponad ustawodawczą, która zawsze jest podstawowym źródłem demokracji, nawet gdy nie podobają nam się wybrani przedstawiciele. Stawia on zasadnicze pytanie (o posmaku tabu): „Czy wszystko, co stworzono w okresie władzy radzieckiej należy odrzucić jako zbrodnicze lub bezwartościowe, i wszystko budować od zera?" Pytanie to oczywiście zawiera w sobie odpowiedź, która brzmi „nie"[46].

Wyrzucając lata bolszewizmu poza nawias, Rosjanie i ich przyjaciele stają przed dość ponurym wyborem: albo wyłaniający się z mgieł przeszłości słowianofilski nacjonalizm z hasłem „*Wsiegda Rossija*" (zawsze Rosja), albo nowe hasło „*Wsiegda Coke*", którym obklejono całą Moskwę podczas „Cokefest-94", gdy otwierano pierwszą rozlewnię coca-coli. To oczywiście żart – niemożliwy do zrealizowania wybór między Dżihadem a McŚwiatem, którego Rosja musi uniknąć, jeśli ma przetrwać jako demokracja.

W teorii rynek może być wolny albo nie. W praktyce, w jednym przynajmniej państwie usiłującym uciec od cieni

obałonego bolszewizmu, okazał się nie tyle drogą do wolności, co do nowych, wyrafinowanych form zależności. Ta sama melodia, choć w innej tonacji, dobiegnie nas, gdy się wsłuchamy w historię „reintegracji" Niemiec Wschodnich do zjednoczonych na nowo, „demokratycznych" Niemiec.

18
Kolonizacja Niemiec Wschodnich przez McŚwiat

Na kilka miesięcy przed zburzeniem Muru Berlińskiego i nagłym upadkiem rządu, którego despotyzm ów mur symbolizował, powstała w NRD opozycyjna grupa o luźnej strukturze i zadziwiającym składzie, skupiająca wschodnioniemieckich intelektualistów, studentów, duchownych, a nawet robotników (niektórzy byli dysydentami, ale bynajmniej nie wszyscy). Przybrała ona nazwę Neues Forum. Przynależność do niej była odważnym aktem opozycji wobec tak zwanej „demokracji ludowej". Bertolt Brecht powiedział kiedyś z właściwą sobie przewrotnością, że dla partii komunistycznej demokracja znaczy tyle, że nadszedł czas, by rozwiązać naród i wybrać sobie nowy. Dysydenci żywili nadzieję, że uda się ustanowić właściwe stosunki między władzą a społeczeństwem, co nie miało jednak oznaczać zwykłego importowania zachodnich instytucji. Odważnej postawie opozycyjnej towarzyszył równie silny sceptycyzm co do łatwych zachodnich alternatyw. Celem grupy było ustanowienie nowego porządku obywatelskiego, w ramach którego dałoby się uratować od piętna stalinizmu niektóre nie zrealizowane ideały socjaldemokracji i przenieść je na grunt autentycznie otwartego społeczeństwa obywatelskiego, opartego na nie zawsze w pełni zrealizowanych ideałach Zachodu. Rola *Neues Forum* nie ograniczyła się do przewodzenia masowemu ruchowi (choć w żadnej mierze nie powołało go do życia), który

nie tyle obalił komunistyczny reżim w Niemczech Wschodnich, co stworzył uroczystą oprawę dla jego spontanicznego upadku. Równocześnie, co miało zapewne większe znaczenie, nowe forum obywatelskie starało się wytyczyć nową drogę, ku takim Niemcom Wschodnim, gdzie zgromadzenia, lokalne środki przekazu, populistyczne pamflety, odrodzone społeczeństwo obywatelskie i aktywna inteligencja, usiłująca (choć nie zawsze z powodzeniem) współdziałać z przemysłową klasą robotniczą, stworzyłyby demokratyczne społeczeństwo o specyficznych cechach niemieckiej lewicy. Ze zjednoczeniem należałoby poczekać do czasu, aż Niemcy Wschodnie stałyby się bardziej równorzędnym partnerem, znalazłszy oparcie we własnych instytucjach demokratycznych.

Nie ma powodu wysławiać Neues Forum ponad miarę. Popełniło poważne błędy, wśród których można wymienić typowe dla intelektualistów niedocenienie tęsknot mieszkańców byłej NRD do materialnych dóbr Zachodu, które im przedstawiano jako premię za natychmiastowe zjednoczenie. Forum miało także wyidealizowane wyobrażenie o klasie robotniczej, która nigdy nie podzielała ważnych aspektów jego programu. W zabójczo naiwny sposób nie doceniało potęgi McŚwiata w niemieckim wydaniu: niezwykle zamożnych partii politycznych, wpływowych niemieckich i międzynarodowych koncernów prasowych, zachłannych bankierów i menedżerów, dla których Niemcy Wschodnie były tym, czym byłby przed wiekami nowo odkryty kontynent, opiniotwórców i naginaczy umysłów, którzy potrafią opakować czyjeś ambicje w efektowne i uwodzicielskie opakowanie demokracji rynkowej.

To, co potem nastąpiło, trudno z czymkolwiek porównać. 9 listopada 1989 roku upadł Mur Berliński, zaledwie cztery miesiące później, 18 marca 1990 roku, koalicja konserwatywnych partii zachodnioniemieckich pod wodzą chrześcijańskich demokratów kanclerza Helmuta Kohla odniosła miażdżące zwycięstwo, a socjaldemokraci

(których triumf przepowiadano kilka miesięcy wcześniej, ale jak się okazało, byli zbyt ostrożni w kwestii zjednoczenia Niemiec) dostali tęgie lanie, zdobywając tylko 22 procent głosów[1]. Pozostałości Neues Forum utworzyły koalicję – Bündnis 90 (Przymierze 90) – z innymi lokalnymi grupami demokratów i Zielonych, jak Demokracja Teraz czy Inicjatywa na Rzecz Pokoju i Praw Człowieka, założona przez byłego dysydenta-marksistę Roberta Havemanna. Bündnis 90 nie chciało się jednak ukonstytuować w normalną partię polityczną i zdobyło niespełna 5 procent głosów.

Gdy patrzymy z perspektywy czasu, nie ma wątpliwości, że sytuacja nie mogła rozwinąć się inaczej. Bündnis 90 proponowało wymagającą i trudną „trzecią drogę" – alternatywę kapitalistycznego konsumpcjonizmu i komunistycznej dyktatury – która miała zachować demokratyczną tożsamość Niemiec Wschodnich. Chrześcijańscy demokraci Kohla na wiecach przedwyborczych rozdawali banany, piwo i kiełbaski, obiecując natychmiastowe zjednoczenie i natychmiastowe korzyści. Jak podsumował lider Neues Forum Jens Reich, „zachodnioniemiecki hipopotam zdeptał kruche sadzonki wschodnioniemieckiej demokracji". Inny rozczarowany wyborca stwierdził: „Przez całe życie marzyłem o dniu, w którym zawali się mur, ale z chwilą, gdy do tego doszło, wiedziałem, że jest już po rewolucji"[2]. Publicysta berlińskiego dziennika „Tageszeitung" ubolewał: „Niemcom udaje się właśnie przekształcić wielką historyczną szansę w doświadczenie beznadziei, strachu i deprywacji"[3]. Kto zapłaci za tę porażkę?

Każdy – w mniejszym lub większym stopniu. To, co nastąpiło, nie oznaczało bowiem zwycięstwa ani pokonanych demokratów z Neues Forum, ani niezgrabnego hipopotama zachodnioniemieckiego kapitalizmu rynkowego. Zjednoczenie przeprowadzono tak pochopnie, że zanim się ktokolwiek obejrzał, Zachód wchłonął cały Wschód. Po pięciu latach Niemcy nadal cierpią na chroniczną ekonomiczną niestrawność. Serię czystek,

mających wymazać wszelkie ślady komunizmu na uczelniach, w sądownictwie i służbie publicznej byłej NRD przeprowadzono tak brutalnie i dokładnie, że denazyfikacja, jaka miała miejsce po II wojnie światowej, wyglądała przy tym jak maźnięcie gąbką. Gdyby kolaborantów hitlerowskiego reżimu tropiono i usuwano równie skutecznie, jak współpracowników i sprzymierzeńców reżimu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, powojenne Niemcy zostałyby całkiem pozbawione kadry specjalistów i biznesmenów[4]. W takiej sytuacji musiałyby prawników, polityków i menedżerów importować z zagranicy, zwłaszcza że niemieccy antyfaszyści walczący z Hitlerem – potencjalny kontyngent nie skażonych kadr dla powojennego rządu Zachodnich Niemiec – przyłączyli się do komunistycznego reżimu na Wschodzie. Dzisiaj ich dzieci i wnuki usuwane są ze stanowisk[5].

Niemcy Wschodnie również przeszły podczas procesu prywatyzacji przez ekonomiczną kąpiel w kwasie solnym. Wraz z Rosją stanowią dobitny przykład destabilizujących skutków terapii szokowej. Przy pomocy specjalnie utworzonej agencji powierniczej (*Treuhandanstalt*) Niemcy Zachodnie zlikwidowały znaczną część wschodnioniemieckiego potencjału przemysłowego. Ta radykalna dezindustrializacja pociągnęła za sobą likwidację 3 z 4,5 mln miejsc pracy. Kobiety, przyzwyczajone do tego, że mogą oczekiwać równego traktowania i równej płacy za pracę takiej samej wartości, a także przywilejów związanych z macierzyństwem (reżim komunistyczny, mimo całej swej bezwzględności, urzeczywistnił jednak kilka szczytnych haseł) znalazły się na łasce rynku, który nie ma szczególnych względów dla równości płci.

W chwili pisania tej książki wiadomo, że *Treuhandanstalt* ma zakończyć funkcjonowanie w roku 1995 i do tego czasu sprzeda lub zlikwiduje prawie 15 000 przedsiębiorstw, w tym wszystkie główne wschodnioniemieckie gazety i czasopisma, które zostały przejęte przez konkurentów z Zachodu i stały się tubą dziennikarstwa

w zachodnioniemieckim stylu. Tylko kilka obiektów zostało do wystawienia na sprzedaż, między innymi miasteczko Amerika w Saksonii (liczące setkę mieszkańców). *Treuhand*, świadomy, co dla McŚwiata znaczą parki tematyczne, reklamuje je jako wspaniałe miejsce na Park Dzikiego Zachodu. Prawie cały przemysł wschodnioniemiecki został wykupiony przez nabywców zachodnioniemieckich lub zagranicznych, którzy zapłacą ponad 122 mld dolarów, ale koszty *Treuhandanstaltu* wynoszą 217 mld, podatnicy byłej NRD zostali więc z ogromnym długiem[6]. Według niektórych ocen, przed zakończeniem procesu prywatyzacji deficyt osiągnie 275 mld dolarów[7]. Wraz z destabilizacją społeczną wynikającą z braku miejsc pracy przyczyni się to niewątpliwie do zaognienia resentymentów. W zjednoczonych Niemczech już Wschód zwrócił się przeciw Zachodowi, młodzi przeciw starszym, a Niemcy przeciw cudzoziemskim robotnikom[8].

System podatkowy dyskryminuje pięć wschodnich landów, których władze lokalne otrzymują zaledwie 85 procent tego, co ich zachodnie odpowiedniki. Przepisy federalne dopuszczają, by zachodnie landy ograniczały nakłady z budżetu państwa przypadające landom wschodnim[9]. Wygląda to na niemiecką wersję uprawianej przez klasę średnią polityki secesji, o której pisał Reich – sektor publiczny bankrutuje, ponieważ bogacze wymigują się od obywatelskich obowiązków.

Przy tak ponurym stanie rzeczy nie trzeba być ekskomunistą, żeby zgodzić się z twierdzeniem Partii Demokratycznego Socjalizmu: „Nigdy w czasach pokoju nie uległo zniszczeniu tyle społecznego bogactwa". Znalazło się wystarczająco wielu Niemców, by tej odnowionej partii komunistycznej zapewnić spektakularne zwycięstwo w wyborach lokalnych w 1994 roku. W Berlinie Wschodnim 40 procent wyborców głosowało na Czerwonych, a komunista Horst-Dieter Brahmig został burmistrzem Hoyerswerdy, pokonując sprzymierzone siły wszystkich pozostałych partii[10].

Dwa lata przed wyborami, które przyniosły tak zaskakujący wynik, wielu niekomunistów przyłączyło się do byłych komunistów, by powołać do życia Komitet na rzecz Sprawiedliwości, którego dokument programowy głosił: „Zniszczenie naszego przemysłu i rolnictwa, masowe bezrobocie, absurdalna podwyżka czynszów, niesprawiedliwie niskie płace, upadek organizacji społecznych, naukowych, kulturalnych i sportowych, wyprzedaż narodowego majątku, odmawianie nam prawa do mieszkań, domów i ziemi, demoralizacja społeczeństwa, a zwłaszcza kobiet – wszystko to przekreśliło w znacznym stopniu nadzieje wiązane ze zjednoczeniem Niemiec"[11]. Do komitetu weszli ludzie z PDS, jak Gregor Gysi, ale także chadecki działacz Peter Diestel, były burmistrz Berlina Zachodniego Heinrich Labertz i wydawca „Berliner Tageszeitung" Michael Sontheimer oraz byli wschodnioniemieccy dysydenci: pisarz Stefan Heym i piosenkarka rockowa Tamara Danz[12]. Artystka Bärbel Bohley, w czasie upadku wschodnioniemieckiego reżimu nazywana „matką rewolucji", nie przystąpiła do komitetu, ale wypowiadała się w ostrych słowach: „Przez pół wieku nie pozwalano nam decydować o sobie. Kiedy pytaliśmy, dlaczego musi być tak i tak, odpowiadano nam «ponieważ tak to się robi we wspaniałym Związku Radzieckim». Teraz, po zjednoczeniu, wmawiają nam, że wszystko musi być tak jak w Niemczech Zachodnich"[13].

Niemcy ze Wschodu, którzy w gorących dniach 1989 roku wspinali się na mur, trzymają się teraz wschodniego Berlina i okolic, gdzie zachodnie bistra i butiki nie zajęły jeszcze wszystkich lokali. Robotnicze knajpy i sklepy spożywcze w większości się nie zmieniły, tylko przy drzwiach pojawiły się automaty do gry, a drogie zachodnie towary stopniowo wypierają z półek tańsze lokalne produkty. Jak wszędzie na obszarze McŚwiata, gdzie ekspansja sektora prywatnego odbyła się kosztem sektora publicznego, nie ma państwowych pieniędzy na sfinansowanie prawdziwego zjednoczenia. Rozległą pustą prze-

strzeń na Potsdamerplatz, gdzie wznosił się kiedyś mur berliński i gdzie znajdowały się strefy ostrzału, przekazano prywatnym firmom wielonarodowym, jak Sony i Mercedes-Benz, do wykorzystania i zagospodarowania w celach czysto komercyjnych. Cele publiczne się nie liczą. Berlińscy taksówkarze mówią o nowym „Mauer im Kopf" – „murze w głowie" – który oddziela Wschód od Zachodu o wiele skuteczniej (bo bez widocznego przymusu), niż czynił to kiedykolwiek rzeczywisty mur. Zarozumialcy z Zachodu chwalą się, że potrafią rozpoznać pobratymców z byłej NRD po sposobie chodzenia, i kupują stare dwusuwowe trabanty do swoich „nostalgicznych kolekcji" [14].

Nostalgia – zwana „ostalgią" (tęsknotą za Wschodem) – ogarnia wschodnią część Niemiec, czego wyrazem jest między innymi dość idiotyczny plan utworzenia parku tematycznego byłej NRD („Ossipark"), wykoncypowany przez Franka Georgiego. Wielu Niemców ze Wschodu (80 procent) żywi swego rodzaju patriotyczny sentyment do lokalnych produktów, choć w porównaniu z zachodnimi prezentują się one dość zgrzebnie. Napoje z czasów komunistycznych, jak Club Cola czy „Tutejsze Piwo" rywalizują z gigantami McŚwiata. Ich reklamy głoszą: „Hura! Jeszcze żyję. Club Cola: nasza Cola". W sklepach można dostać popularne w byłej NRD papierosy F-6, w takich jak niegdyś opakowaniach i o takim samym smaku [15]. Tylko że, jak na ironię, produkuje je teraz Philip Morris, jeden z gigantów McŚwiata, starający się nadrobić straty na rynku amerykańskim, gdzie palenie wyszło z mody. W notatce marketingowej na temat papierosów F-6, najwyraźniej podyktowanej potrzebą utowarowienia polityki tożsamości, dyrekcja firmy przypomina pracownikom, że marka ta stanowi „ważny element kulturalnej historii Niemiec Wschodnich i ich tożsamości" [16].

W odpowiedzi na społeczne zapotrzebowanie przywrócono nawet „Jugendweihe", świecki rytuał przejścia odbywany niegdyś przez komunistycznych pionierów.

W pierwszym półroczu 1994 roku ponad 17 000 czternastolatków wzięło udział w tej ceremonii, będącej odpowiednikiem konfirmacji. Na przekór panującym gdzie indziej trendom na ekrany wracają rodzime filmy, jak *Opowieść o Paulu i Pauli* z 1973 roku. Ten powrót do przeszłości jest w znacznej mierze reakcją na arogancję Zachodu, podobne resentymenty żywią gniewne plemiona Dżihadu. Pewien ośrodek badań rynku ostrzegał, że „obraz Niemców z Zachodu w oczach Niemców Wschodnich jest tak negatywny, iż nie da się go określić mianem «dezaprobaty». Bardziej pasowałoby tu słowo nienawiść”[17]. Czy można się dziwić, że w słynnej już ankiecie przeprowadzonej przez „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w 1991 roku, na pytanie o najlepszą formę rządów demokrację wymieniało ośmiu na dziesięciu Niemców z Zachodu, a tylko trzech Niemców ze Wschodu? Z tych ostatnich 82 procent, co jest liczbą przytłaczającą, stwierdziło, że uważa się w nowej demokratycznej ojczyźnie za obywateli drugiej kategorii.

Zachodnioniemieckie uprzedzenia i agresywna komercja podkopały zarówno kulturę dysydencką, jak i tradycje kulturalne Niemiec Wschodnich. Latem 1990 roku, niedługo po wyborach i zaledwie w pół roku po upadku wschodnioniemieckiego reżimu, dziennikarze zwołani do miasteczka Kommlitz koło Lipska byli świadkami wielkiego całopalenia książek. W płomienie rzucono 10 mln egzemplarzy, w tym dzieła takich autorów znanych z dysydenckiej postawy, jak Christa Wolf, Stefan Heym, Hermann Kant i Anna Seghers. Nie był to akt politycznego odwetu, ale szybkie i ostateczne pozbycie się zapasu książek, z którymi wydawcy nie chcieli już mieć do czynienia. Stare książki były tanie i poważne. Nowe są drogie i ładne. Nowe hurtownie książek wolą mieć na składzie Stephena Kinga niż Stefana Heyma, wolą przewodniki po obcych krajach, poradniki podatkowe i podręczniki do nauki języków niż klasykę literacką. Książki, które można było kiedyś kupić za 4 dolary, dzisiaj kosz-

tują 30 (równowartość miesięcznego czynszu w dawnej NRD)[18].

Miejsce radykalnych pamfletów i czasopism politycznych wydawanych przez *samizdaty* zajęły magazyny należące do właścicieli z Zachodu, które całkiem unikają tematyki politycznej. Lubos Beniak z czeskiego tygodnika „Mlady Svet" tak pisze o przemianach wspólnych dla całej Europy Środkowej: „Ludziom niedobrze się robi od polityki. Chcą być zabawiani, pragną błyskotliwych, lekkich materiałów, nawet kiczu"[19]. Najbardziej prestiżowa radykalna gazeta węgierska, „Reform", która osiągała nakład 400 000 egzemplarzy, została w 1990 roku wykupiona przez Ruperta Murdocha. W 1992 roku jej redaktor naczelny Peter Toke przyznał: „Za czasów komunistycznych było i ciekawiej, i łatwiej, bo wiadomo było, co atakować. Od czasów rewolucji przeżywamy kryzys tożsamości, a pan Murdoch bynajmniej nie jest zadowolony". Nowi niemieccy wydawcy prasy zgłaszają zapotrzebowanie na „piszących przystępnie znawców muzyki rockowej, efektowne i dowcipne nagłówki, dobre krzyżówki, ogłoszenia poklasyfikowane według różnych dziedzin"[20]. To powinno ułagodzić pana Murdocha.

Utrzymywanie się podziału na wschodnią i zachodnią część Niemiec, wraz z narzuconymi wschodnim landom kosztami prywatyzacji (bezrobocie utrzymuje się tam na poziomie 16 procent, a w rzeczywistości przekracza 30 procent) budzi poważny niepokój. Niepokojący jest także spadek przyrostu naturalnego, większy jeszcze niż w Rosji. W Niemczech Wschodnich w okresie między 1989 a 1993 rokiem wskaźnik urodzeń na 1000 ludności obniżył się o 60 procent, przy gwałtownym wzroście śmiertelności. W związku z tym demograf Nicholas Eberstadt ostrzega, że przejście z gospodarki planowanej do wolnorynkowej wymaga „dalekosiężnych, traumatycznych wręcz dostosowań"[21]. Te ponure statystyki nie oddają jednak całej prawdy. Prywatyzacja doprowadzi ostatecznie do poprawy produkcji przemysłowej, a rynek stwarza

szanse nabycia towarów ludziom, którzy nigdy nie mieli do nich dostępu. Zjednoczenie stanie się w końcu rzeczywistością, oporną na wszelkie resentymenty. Przypadek Niemiec wskazuje jednak dokładnie na to samo, co przypadek Rosji: rynki McŚwiata, tym razem sprzężone z zachodnioniemieckim politycznym i ekonomicznym molochem, nie wytworzyły demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego i prawdopodobnie nie są w stanie tego dokonać. Prawda jest taka, że w Niemczech Wschodnich zniszczyły takie społeczeństwo w zarodku. McŚwiat to problem, a nie rozwiązanie.

19
Zapewnienie globalnej demokracji w świecie McŚwiata

Przykłady Rosji i Niemiec ukazują, że rynek raczej nie zdaje egzaminu jako narzędzie wprowadzania demokracji, ale rynek to przecież nie wszystko. McŚwiat wnosi także technologiczne nowinki inforozrywkowe, nie tak znowu nieprzyjazne demokracji. Stare twierdzenie Bacona, że wiedza to potęga, a nauka pozwala nam rządzić światem, wiara w to, że naprawa ludzkich umysłów i poprawa ludzkiego losu są w gruncie rzeczy tożsame, legła u podstaw oświeceniowego przekonania, zgodnie z którym rozum ucieleśniony w nauce i technologii może wyzwolić rodzaj ludzki od przesądów, ignorancji i niesprawiedliwości, zaprowadzić powszechną wolność i przyczynić się do demokratyzacji instytucji społecznych. Walter B. Wriston to tylko ostatni z licznej rzeszy natchniętych Panglossowym duchem Oświecenia futurologów, od Condorceta po Alvina Tofflera, którzy układali panegiryki na cześć wyzwalającej i demokratyzującej mocy wspaniałych wynalazków technicznych, które napędzają McŚwiat. Za sprawą nowych technologii kapitalizm z systemu obsługującego potrzeby zmienił się w taki, które je tworzy i manipuluje nimi. Ostatni rozdział swej książki *The Twilight of Sovereignty* Wriston zatytułował „Władza w ręce ludu". Będąc najwyraźniej wiernym wyznawcą stworzonej przez siebie mitologii, twierdzi on, iż „w wieku informacji władza szybko przechodzi w ręce ludu", a droga ku wolności coraz szybciej się skraca[1].

Mandarynowie technologii mają niewątpliwie rację, upatrując w rozwoju informacji i telekomunikacji niezbędny warunek rozwoju demokracji. Od czasów starożytnych Greków, którzy wierzyli, że ogień wykradziony bogom przez Prometeusza rozświetlił drogę ku cywilizacji (ale także ku tragedii), rozmaite wynalazki techniczne sprzyjały demokratyzacji. W dawnych Atenach przy wyborach składu sądu używano maszynek do losowego rozrzutu czarnych i białych kulek. W epoce Renesansu (odnotował to Bacon) wynalezienie czcionki drukarskiej, prochu strzelniczego i kompasu przekształciło społeczeństwo dzięki demokratyzacji sztuki czytania (gdy stała się powszechna, skończył się monopol książąt i duchownych na suwerenne słowo), zrównaniu szans na polu walki (zbroja rycerza przestała być gwarancją władzy nad prostym człowiekiem, teraz każdy mógł uzbroić się w muszkiet) i otwarciu nowego świata odkryć geograficznych (każdy mógł uciec na morze przed pańszczyzną czy prześladowaniami politycznymi). W godzinie przeznaczenia, całe wieki po śmierci Bacona, radio, telewizja, a w końcu masowo produkowane komputery, umożliwiły nieustającą demokratyzację Słowa. Z upowszechnieniem się umiejętności czytania i pisania oraz wiedzy politycznej demokratyczny elektorat zyskał większe możliwości oddziaływania.

Projektowana superautostrada informacyjna może potencjalnie zapewnić każdemu z mieszkańców naszej planety dostęp do nieskończonej liczby banków danych i wymiany opinii na światową skalę. BBS (tablice elektroniczne) umożliwiają ludziom o podobnych poglądach kontaktowanie się i tworzenie grup interesów, tym zaś, którzy nie dopracowali się jeszcze wspólnych wartości, stwarzają szansę włączenia się do szerszej dyskusji. Dzięki telekonferencjom zgromadzenia w małych miastach mogą się kontaktować z podobnymi zgromadzeniami w regionie, kraju czy na świecie. Kontakt twarzą w twarz traci prowincjonalny charakter, zachowując przy tym wymiar osobowy. Interaktywna telewizja przekształca środek

przekazu nakierowany na biernych konsumentów rozrywki i reklam w aktywną scenę społecznego dyskursu i politycznego sprzężenia zwrotnego, stwarzając możliwość udziału w powszechnym referendum bez wychodzenia z domu. Dzięki antenom satelitarnym o rozmiarach zwykłego talerza ludzie uwięzieni we władzy najbardziej despotycznych reżimów mogą się dowiadywać, co się dzieje na świecie. Anteny zdały egzamin w takich krajach, jak Chiny i Iran, gdzie mimo oficjalnych zakazów przybywa ich coraz więcej i przekazują niezafałszowane obrazy coraz liczniejszym odbiorcom[2].

Wszystkie wymienione tutaj technologie ułatwiają kontakty między obywatelami, otwierają dostęp do informacji i umożliwiają komunikowanie się na odległości, które wykluczały niegdyś demokrację parlamentarną czy jakikolwiek rodzaj społecznych interakcji. O ile w czasach starożytnych demokracja ograniczała się do terytorium, które człowiek mógł w ciągu jednego dnia przejść pieszo w drodze na zgromadzenie, o tyle dzisiejsze środki łączności z prędkością światła zmieniają naszą planetę w podłączone do wspólnej sieci miasto zamieszkane przez potencjalnych sąsiadów – globalną wioskę McLuhana. Jeśli demokracja ma być pojmowana jak debata z udziałem odpowiedzialnych obywateli, musi rzecz jasna oprzeć się nowoczesnym formom demagogii, którym mogą służyć najnowsze technologie. Głosowanie z domu poprzez interaktywną telewizję może doprowadzić do jeszcze większego sprywatyzowania polityki, a rozważną publiczną debatę zastąpić pochopnym wyrażaniem osobistych uprzedzeń. Demokracji potrzebne są nie tylko głosy, ale i zdrowy rozsądek, nie tylko poglądy, ale ich racjonalne uzasadnienie. Gadanina w radiu i wrzaski w telewizji zdążyły już zdeprecjonować naszą polityczną walutę, a najnowsze technologie mogą równie dobrze wzmocnić, jak i przyhamować tę tendencję.

Futurologiczny idealizm należy więc traktować z pewnym sceptycyzmem. Historia nauki i techniki jest w najlepszym

wypadku ambiwalentna. Podając tu rozmaite przykłady mówiliśmy tylko o możliwości, nie o rzeczywistości. Technologia to miecz obosieczny, o czym wiadomo co najmniej od czasu Mary Shelley, która opowiedziała nam historię potwora stworzonego przez doktora Frankensteina. Środki techniczne, jakimi dziś rozporządzamy, kryją w sobie równie potworny potencjał.

Technologie telekomunikacyjne mogą umacniać społeczeństwo obywatelskie, ale umożliwiają także obserwację i nadzór na nie spotykaną dotąd skalę, mogą zostać użyte do manipulowania informacją i jej krępowania równie dobrze, jak do zapewniania do niej dostępu. Potwory wypuszczone na rynek, któremu McŚwiat pozostawia technologię, są w stanie zdobyć władzę przynoszącą im ogromne zyski. Jak już stwierdziliśmy, rynek nie jest specjalnie zainteresowany zastosowaniami technologii w interesie społeczeństwa obywatelskiego, chyba że można coś na tym zarobić (a na ogół nie można). Kiedy pierwszoplanowym celem staje się opłacalność, innowacje techniczne będą raczej utrwalać istniejące nierówności. Niskie dochody będą oznaczać ograniczenie dostępu do informacji. Umiejętność posługiwania się komputerem stała się na rynku pracy równie ważna, jak umiejętność wysławiania się i liczenia, będzie też miała zasadnicze znaczenie dla funkcjonowania w społeczeństwie obywatelskim. Podział na pracowników zajmujących się analizą symboli oraz siłę roboczą bardziej tradycyjnego sektora dóbr trwałych i usług przyspieszył w istocie pogłębianie się nierówności społecznych w Ameryce.

Robert Reich nakreślił niepokojący obraz współczesnej Ameryki, gdzie uprzywilejowani pracownicy sektora informacji i telekomunikacji coraz bardziej się wyalienowują z szerszego społeczeństwa. W swej ponurej analizie Reich ukazuje, jak się przenoszą do podmiejskich dzielnic izolowanych niczym wyspy, a w tych zamkniętych enklawach mają własny prywatny system szkolnictwa, wypoczynku, bezpieczeństwa i usług sanitarnych, na jakie

ogółu społeczeństwa po prostu nie stać. Z takiej pozycji mogą odmawiać płacenia podatków na podupadające usługi publiczne, których już nie potrzebują. Ta, jak to określa Reich, „polityka secesji" sprawia, że ubodzy jeszcze bardziej ubożeją, sektor publiczny się załamuje, a nierówności ekonomiczne się pogłębiają[3]. Podobną „secesję" nowych elit pracujących w sferze symboli można zaobserwować w skali całego świata, gdzie należące do elity państwa wycofują się z globalnych obowiązków publicznych, tak samo jak wewnątrz tych państw czyni to elita profesjonalistów. Trzeci Świat to już nie tylko ubogie państwa – getta w społeczności międzynarodowej, ale i getta miejskie obecne w każdym społeczeństwie Pierwszego Świata. „Restrukturyzacja" światowej gospodarki zgodnie z wymogami sektora informacji i rozrywki nowej ery wykopuje jeszcze głębszą przepaść między uprzywilejowanymi a całą resztą.

Nawet gdy pozostawimy na boku kwestie społeczne i klasowe, stwierdzić należy, iż wolny rynek technologii może mieć tragiczne konsekwencje. Technologia równie dobrze może być narzędziem zniewolenia, jak wyzwolenia. Thoreau ubolewał nad tym, jak łatwo stajemy się „narzędziami swoich narzędzi". Nowe narzędzia postgutenbergowskiej epoki elektroniki potwierdzają jego obawy. Telewizja interaktywna to potężny instrument nadzoru. Gdy konsumenci zawiadamiają sieci sklepowe, co chcą kupić, wydają bankom dyspozycje dotyczące gotówki i zwierzają ankieterom swoje poglądy na kwestię aborcji, odbiorcy takich informacji uzyskują dostęp do ogromnego zasobu wiedzy o nawykach, postawach i zachowaniach konsumentów. Informację tę można następnie wykorzystać do kształtowania nawyków i postaw w interesie producentów i sprzedawców manipulujących rynkiem. Gorączkowy opór przeciw regulacji, jakiego obecnie jesteśmy świadkami, oznacza, że nowe banki informacji powstające w procesie interakcji i obserwacji nie są w żaden sposób badane przez władze, nie podlegają

żadnym ograniczeniom ani kontroli (nie ma na przykład przepisów nakazujących likwidowanie nagromadzonej informacji po upływie określonego czasu). Federalna Ustawa o Łączności z 1934 roku zapowiadała „popieranie szerszych i bardziej efektywnych zastosowań radia w publicznym interesie", ale gdy w elektronicznym spektrum namnożyło się kanałów transmisji, rząd wycofał się z funkcji regulatora.

Fred Friendly od kilku lat apeluje o uchwalenie „elektronicznego aktu praw obywatelskich", ale rząd zmierza w odwrotnym kierunku. Administracja Clintona, choć deklaruje poparcie dla otwartego dostępu do informacji, w istocie zezwala rynkowi na działanie przy minimum regulacji. „Pasma publiczne" są nadal sprzedawane na licytacji prywatnym nabywcom, którzy podczas kampanii wyborczej odsprzedają je po zawrotnych cenach, zwiększając tym samym koszty demokracji i uzależnienie wyborów od pieniędzy. Odbywa się to właśnie wtedy, gdy rząd wycofuje się z funkcji regulacyjnych. Na mocy Ustawy o Sieciach Kablowych z 1984 roku kontrolę nad tymi sieciami sprawują w większym stopniu lokalne spółki niż władze stanowe czy federalne, pozostawiono więc tę dziedzinę siłom wolnego rynku, które raczej niewiele sobie robią z dobra publicznego[4]. W 1994 roku senator Inouye zgłosił w Kongresie projekt ustawy zobowiązującej Federalną Komisję Łączności, by wymagała „zarezerwowania w sieciach komunikacyjnych pewnej przestrzeni dla celów publicznych". Chciał zagwarantować społeczeństwu możliwość wypowiedzenia się w kwestii rozwoju informacyjnej superautostrady. Projekt spotkał się z nikłym zainteresowaniem środków przekazu i z końcem 103. kadencji Kongresu wygasł, jako że nie podjęto żadnego działania. Strach przed rządem obezwładnił jedynego rzecznika skierowania nowych technologii w publiczne kanały. Na przykładzie Channel One, szkolnej sieci (zapoczątkowanej przez Whistle Communications, a obecnie kontrolowanej przez K-III Corporation), która w zamian za

dostawy sprzętu dla zubożałych szkół rezerwuje sobie podczas szkolnych lekcji czas reklamowy, widać, że nowe technologie służą społeczeństwu tylko w takim zakresie, w jakim ktoś może na tym zbijać grubszy pieniądz[5].

Możemy się cieszyć, jak podkreśla Walter Wriston, że dzisiaj obywatel obserwuje Wielkiego Brata, a nie odwrotnie. W większości krajów postkomunistycznych, a także w naszych społeczeństwach rynkowych, Wielki Brat na nikogo już nie patrzy, ale nie ma na oku także tych, którzy obserwują obywateli. Nawet przeciwnicy regulacji mogą z tego powodu odczuwać zaniepokojenie. Jeśli klasyczne pytanie liberałów brzmiało: „Kto będzie policją dla policji?", to w dzisiejszym McŚwiecie należałoby zapytać: „Kto będzie obserwował tych, którzy nas obserwują? Kto uchroni klientów i konsumentów przed kontrolą ze strony mediów? Kto przejmie funkcje rządu, który nie ma zamiaru reprezentować publicznych interesów?".

Mniej byłoby zapewne powodów do niepokoju, gdyby rynki technologii i telekomunikacji były naprawdę zróżnicowane i konkurencyjne. Przekonaliśmy się już jednak, że fuzje spółek zajmujących się oprogramowaniem, informacją, telekomunikacją i rozrywką sugerują, iż dawny Wielki Brat, czyli rząd, został sprowadzony do wymiarów karzełka przez Papę Bella i jego przerośnięte dzieci, które wykupują rynek kablowy i starają się pospiesznie przejmować firmy działające w branży rozrywki i oprogramowania. Chcą dotrzymać kroku wielkim firmom inforozrywkowym w rodzaju Time Warner. Spółka telefoniczna US West (wraz z Toshibą i C. Itoh) nabyła znaczące udziały w studiu filmowym Warner Brothers i Home Box Office po to tylko, by nakłonić Time Warner do zakupu Cablevision (za 2,2 mld dolarów) i Houston Industries (za 2,5 mld) w 1995 roku, przez co odzyskała kontrolę nad tym rynkiem. Im bardziej rząd amerykański stara się trzymać na uboczu rozbudowy wolnorynkowej infostrady, tym zacieklej wielonarodowe korporacje starają się na

nią dostać. Jeśli nawet nie uda im się przejąć całkowitej kontroli nad cyfrowym ruchem drogowym, będą przynajmniej pilnować bramek wjazdowych i rogatek.

Demokraci nie powinni być luddystami, jakimi stali się niespokojni wojownicy Dżihadu. Nie mogą sobie pozwolić na to, by technologię i nowoczesność przeciwstawiać samostanowieniu i wolności. Technologia jako narzędzie jest neutralna. Jako sprzymierzeniec demokracji może ułatwić kontakty między obywatelami i upowszechnić świadomość obywatelską. Pozostawiona rynkowi, wzmocni zapewne najmniej wartościowe imperatywy McŚwiata, w tym nadzór nad ludźmi, manipulowanie opiniami i kształtowanie potrzeb związanych ze stylem życia, który nie ma nic wspólnego z prawdziwymi potrzebami ekonomicznymi, społecznymi czy duchowymi.

Niedawno historyk J.G.A. Pocock stwierdzał przewidująco: „Znajdujemy się dzisiaj w świecie postindustrialnym i postmodernistycznym, gdzie coraz więcej z nas stało się konsumentami informacji, a coraz mniej – producentami lub posiadaczami czegokolwiek, z własną tożsamością włącznie. Kiedy świat osób, działań i rzeczy przemienia się w świat osób, działań oraz lingwistycznych lub elektronicznych konstruktów pozbawionych autorów, to rzeczy – rosnące w potęgę, bo przestają być realne – mnożą się i przejmują kontrolę nad ludźmi i działaniami. Ludzie i działania przestają panować nad rzeczami, przestają je nawet produkować"[6].

Świat opisywany przez Pococka to McŚwiat, przez innego uczonego krytyka tyranii technologii nad jej twórcami, Neila Postmana, nazwany technopolem. Technopol polega na „podporządkowaniu wszystkich form życia kulturalnego władzy techniki i technologii"[7]. Postman nie jest wyznawcą technologicznego determinizmu i przyznaje, że technologia może być zarówno przyjacielem, jak i wrogiem. Uwolniona spod władzy wspólnie podejmowanych demokratycznych decyzji i pozostawiona rynkowi,

ukaże nam jednak raczej twarz wroga. Dlatego być może John Pocock jest zdania, iż kluczem do życia w postindustrialnym, postmodernistycznym świecie jest znalezienie „sposobów na to, by potwierdzić, że jesteśmy obywatelami, osobami ludzkimi, które stowarzyszają się z innymi osobami, by zabrać głos i działać na rzecz tworzenia naszych światów”[8].

Wielu ludzi nastawionych sceptycznie do McŚwiata krytykuje przede wszystkim jego wyuzdany materializm. Są wśród nich tradycyjni rzecznicy moralnej świętej wojny przeciw zachodniej kulturze konsumpcji, jak Aleksander Sołżenicyn, jego bardziej bojowi muzułmańscy pobratymcy, a także najbardziej zaciekli krytycy Dżihadu, między innymi Zbigniew Brzeziński. Ten ostatni zarzuca wyznawcom idei plemiennych zakusy na „permisywny róg obfitości” Zachodu, zachęcający do egoistycznego zaspokajania materialistycznych zachcianek i tworzący rzeczywistość kulturową określaną przez „dynamiczną eskalację pragnień zmysłowych i materialnych przyjemności”[9]. Dzieciaki z amerykańskich zabitych deskami małych miasteczek, wsłuchujące się w syrenie pieśni oddalonych o setki mil miejskich i podmiejskich centrów handlowych, niewiele się różnią od rosyjskich weteranów komunizmu, którzy dają się uwodzić słodkim melodiom konsumpcjonizmu, dobiegającym nieustannie z nowych japońskich telewizorów. „Mój stary nie chce się nawet podłączyć do MTV” – skarży się nastolatek z Nebraski. W pojęciu jego kolegów centrum handlowe to „wspaniały przybytek, dostępny dla całej reszty narodu, ale oni w swoim miasteczku go nie mają”[10]. Dzieciak z Nebraski i dzieciak ze Smoleńska trafiają więc w końcu do Los Angeles albo do St. Petersburga, gdzie odzierane są ze specyficznej kultury, jaką nasiąkły w młodości, jej miejsce zajmuje zaś wideologia McŚwiata, obojętna na wszelkie zróżnicowanie lub demokrację.

Takie postawy i zachowania są w równej mierze wytworem strategii McŚwiata, jak i ich siłą napędową.

Pozwalają zrozumieć, skąd bierze swą genezę sojusz wojowników Dżihadu przeciw globalnej kulturze McŚwiata, który w walce o wspólną sprawę łączy przednowożytnych wyznawców trybalizmu z postmodernistycznymi purytanami. Czyżby ci fanatyczni sympatycy Dżihadu naprawdę ze szczerym entuzjazmem potępiali materializm i apelowali o styl życia bardziej odpowiadający potrzebom ludzkiego ducha? Jak dalece różni się ich retoryka od bardziej powściągliwych i świeckich argumentów przywoływanych z takim zapałem przez Vaclava Havla? Prezydent Czech nie dopuścił do tego, by jego sława dramaturga przyćmiła otwarte zaangażowanie w sprawę ścisłej więzi między polityką a służbą społeczną. Havel apeluje o uświadomienie sobie „utajonego kosmicznego ładu", za którego sprawą „prawdziwe sumienie i prawdziwa odpowiedzialność dają się wyjaśnić tylko milczącym założeniem, że ktoś nas z góry obserwuje" [11].

Krytyka McŚwiata wyraża nie tylko zniecierpliwienie jego rynkami napędzanymi przez konsumpcję i technokratycznymi imperatywami, ale i cechującą go pustką nie stwarzającą podstaw dla egzystencji o znaczącym wymiarze moralnym. Te braki przekładają się na głębokie obywatelskie wyobcowanie – jednostki zostają odłączone od swoich społeczności i odizolowane od niematerialnych zasobów istnienia. Cnoty obywatelskie nie stanowią lekarstwa na niedomagania ducha, ale choroba ducha blokuje drogę do cnót obywatelskich, upośledzając zdolność do stworzenia społecznych instytucji, na których musi się opierać społeczeństwo obywatelskie i demokratyczna kultura.

Jak mądrze stwierdził Robert Putnam, „normy obywatelskiego zaangażowania i jego struktura mają ogromny wpływ na to, jak reprezentatywny rząd sprawuje swoje funkcje". Kiedy więc ludzie zaczynają grać w kręgle każdy na własną rękę, a nie w drużynach, nawet tak prozaiczna czynność może sygnalizować kłopoty dla demokracji [12]. Dlatego właśnie Harry C. Boyte i inni rzecz-

nicy odrodzonych cnót obywatelskich są zdania, że naukę bycia obywatelem zaczynamy nie na forum politycznym, ale w „swobodnych przestrzeniach", takich jak szkoła, kościół, klub młodzieżowy czy YMCA [13]. Kultura reklamy, programów komputerowych, filmów z Hollywood, MTV, parków tematycznych i centrów handlowych, otoczona wirtualną siecią informacyjnej superautostrady, zamyka swobodne przestrzenie. Nie da się zaprzeczyć, że wytwarza ona właśnie jakieś globalne *coś*, ale czymkolwiek by to było, nie jest demokracją. Demokracja opiera się bowiem na społeczeństwie obywatelskim i cnotach obywatelskich. Nowe technologie telekomunikacyjne nie muszą być wrogie jednemu ani drugim, ale żadnego nie tworzą, jeśli nie pokierują nimi ludzie żyjący już w społeczeństwie obywatelskim i jemu oddani.

Globalne społeczeństwo obywatelskie?

Państwo narodowe, jako środowisko demokracji, ma dwa poważne mankamenty. Po pierwsze – nie jest w stanie stawić czoła wyzwaniom globalnego McŚwiata i regionalnego Dżihadu. Po drugie – towarzysząca McŚwiatowi ideologia gospodarczego liberalizmu podkopuje resztki zdolności państwa do działania w imieniu dobra publicznego. Nastał naprawdę zmierzch suwerenności, skazanej na odejście do krainy cieniów przez tak licznych w epoce postmodernizmu antagonistów władzy państwowej – są między nimi zarówno ekskomuniści, jak postindustrialiści. W krajach byłego obozu komunistycznego władza państwowa za bardzo się kojarzy z totalitarnym despotyzmem: słowo „obywatele" wciąż jeszcze przywodzi na myśl żargon dawnych partyjniaków. Na demokratycznym Zachodzie rząd kojarzy się z kolei z biurokracją, nieudolnością i klasą zawodowych polityków, do których ludzie stracili zaufanie, choćby po części dlatego, że przestali ufać samym sobie. Dopóki nie odbudujemy instytucji

publicznych i nie przywrócimy im władzy, by mogły działać w naszym imieniu, rząd i jego technologie komunikacyjne będą częścią obcego, nieprzyjaznego świata „onych", nie zaś narzędziem, za pomocą którego możemy „onym" stawić czoło. Aby rząd stał się znowu „naszym", musimy odrodzić obywatelskie postawy, co jest możliwe tylko w zdrowym społeczeństwie obywatelskim, gdzie w jednolitej sieci społecznego samorządu prawa i obowiązki łączą się ze sobą.

Demokracja wymaga jednocześnie nowych, postpaństwowych instytucji i nowych postaw, bardziej akcentujących fakt, że ludzie ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za swoją wolność. Rząd światowy, a tym bardziej demokratyczny rząd światowy, to wciąż niedościgłe marzenie, ale pewne formy globalnego poczucia obywatelskiego niezbędnego dla jego powstania nie są aż tak odległe. Cnoty obywatelskie rozkwitają przede wszystkim w demokratycznym społeczeństwie obywatelskim. Aby poczucie obywatelskie mogło się wytworzyć w skali globalnej, musiałby zaistnieć obszar równoległy do McŚwiata, gdzie społeczności nastawione na współpracę robiłyby świadomie i dla dobra publicznego to, co mimowolnie robi dziś rynek działając w imieniu zespolonych interesów prywatnych. Niełatwe to zadanie. Ponad sześćdziesiąt lat temu John Dewey stwierdził już, że problem polega na zdefiniowaniu demokratycznego ogółu (*public*). „Nie chodzi o to, że nie ma takiego ogółu, wielkiej grupy ludzi, których łączy wspólne zainteresowanie skutkami transakcji społecznych. Rzecz w tym, że ogółu jest zbyt wiele, jest za bardzo rozproszony i podzielony, o zbyt skomplikowanym składzie. A poza tym jest za wiele ogółów, bo wspólne akcje o pośrednich, poważnych i trwałych konsekwencjach są wprost niezliczone"[14]. O ileż bardziej nieuchwytny od opisywanego przez Deweya „ogółu" zamieszkującego jedno państwo jest „ogół" globalny, będący nie tylko siecią organizacji pozarządowych, ale

obywatelskim zbiorowiskiem ponad granicami, nie tylko grupą w rodzaju Lekarzy bez Granic, lecz światem obywateli bez granic.

Stworzenie takiego ogółu to zadanie społeczeństwa obywatelskiego. Tylko w takich warunkach mogą się pojawić postawy sprzyjające demokracji i nie dające posłuchu syrenim pieśniom McŚwiata. Tylko tam możliwe są wspólnoty zaspokajające ludzką potrzebę prowincjonalnych interakcji, ale przy tym otwarte na innych i na poczucie światowego obywatelstwa. Jakże jednak zbudować społeczeństwo obywatelskie w skali międzynarodowej? Ci, którzy chcieliby tego spróbować – nie tylko Rosjanie i Niemcy, którym tak potrzebna jest cierpliwość i zmysł obywatelski, lecz także Amerykanie i Europejczycy z Zachodu, pogrążeni w samozadowoleniu co do obszaru spraw społecznych – muszą przypomnieć sobie historię tworzenia podstaw demokracji, a jednocześnie wynaleźć nowe instytucje odpowiadające aktualnej sytuacji na świecie. Demokraci z krajów o dawnych obywatelskich tradycjach często nie pamiętają nauk płynących z ich własnej historii, zapominają, jak gwałtownie może przebiegać proces demokratyzacji, jak długo trwa budowanie podstaw wolnego społeczeństwa, zanim stanie się zdolne do przyjęcia demokratycznej konstytucji. Niczym ostrożny senator, który nie pamięta, że był kiedyś skłonnym do ryzyka młodzieńcem, współczesny demokrata wypiera z pamięci wspomnienia rewolucji i zamętu, kiedy to po raz pierwszy jego stronnictwo zyskało niepewną większość. Udaje, że zawsze był rozważnym mędrcem i że sztuki wolności nie nauczył się w długim i bolesnym okresie dzieciństwa (jeśli w ogóle można się jej nauczyć).

Eksperci najwyraźniej żywią przekonanie, że skonstruowanie nowej demokracji, czy to dla Rosji, czy dla Somalii, wymaga co najwyżej wyeksportowania gotowej konstytucji i skrojonego na zamówienie systemu parlamentarnego. Świetnym przykładem jest tutaj Joshua Muravchik – tytuł jego książki *Exporting Democracy*

(„Eksportowanie demokracji") mówi sam za siebie[15]. Nadajcie *Federalistę** ekspresem na Białoruś, wyślijcie do Nigerii paczkę z systemem wielopartyjnym, przekażcie Chińczykom pocztą elektroniczną Akt Swobód Obywatelskich, wyślijcie pod flagą ONZ kontrolowany przez cywilów, ochotniczy, posłuszny, lecz cechujący się wrażliwym sumieniem kontyngent sił pokojowych z kraju, który odznacza się wysoką tolerancją na straty w ludziach i absolutną bezinteresownością, a w mgnieniu oka ziści się demokracja. To samo, tylko w skali światowej, należy zrobić, by utworzyć światowy rząd.

Nie ma tak dobrze. Demokracje buduje się powoli, w każdej kulturze wygląda to inaczej, każda ma swoje mocne strony i wymagania. Proces ten trwa całe wieki, dlatego Niemcy zachodni mogliby okazać większą ostrożność, zanim zniszczyli w zarodku obywatelskie struktury wschodnioniemieckiej opozycji w rodzaju Neues Forum. Rosjanie też mogliby zwrócić większą uwagę na rdzennie rosyjskie instytucje, jak *mir* (wspólnota wiejska) czy *sowiet* (rada) zamiast stawiać na import zachodnich rozwiązań. Historia demokracji na Zachodzie uczy, że niezbędna jest cierpliwość i samorefleksja. Od Wielkiej Karty, która po raz pierwszy potwierdziła prawa wasali angielskiego króla, do Rewolucji Chwalebnej 1688 roku, dającej początek supremacji parlamentu, upłynęło 450 długich lat, wypełnionych wojnami. Kolejne 150 lat musiało minąć, zanim parlament stał się demokratyczny, choćby z nazwy. Federalny system szwajcarskiej protodemokracji zaczął stawiać pierwsze kroki w 1291 roku, ale dopiero w roku 1848, czyli po upływie ponad 500 lat, otrzymał w pełni demokratyczną konstytucję (całkowicie zrewidowaną w roku 1874). We Francji pierwsze do-

* *Federalista* – zbiór 85 artykułów, które ukazywały się na łamach prasy nowojorskiej od października 1787 do kwietnia 1788. Ich autorzy, Alexander Hamilton, James Madison i John Jay, odpierali zarzuty przeciwników konstytucji i wyjaśniali, na czym polega określona w niej owa forma państwowości.

świadczenia z regionalnymi parlamentami arystokratów wyprzedziły o setki lat rewolucję 1789 roku. Jeszcze sto lat musiało minąć, zanim powstało coś na kształt zdolnej do funkcjonowania republiki demokratycznej.

W ciągu 150 lat, jakie upłynęły od założenia pierwszych osad w Jamestown i Plymouth Rock do powstania Stanów Zjednoczonych Ameryki w roku 1789, kilka pokoleń amerykańskich kolonistów nabywało doświadczeń mając do czynienia z edyktami królewskimi, rządami angielskiego parlamentu, miejskimi zgromadzeniami, a także życiem w specyficznej społeczności pogranicza, co ukształtowało ich poczucie niezależności i talenty samorządowe, niezbędne do właściwego funkcjonowania konstytucji federalnej. Młoda demokratyczna republika potrzebowała jednak jeszcze 75 lat i krwawej wojny domowej, by uporać się z kwestiami niewolnictwa i suwerenności stanów, których nie rozwiązała konstytucja z 1789 roku[16].

Naród zarażony trybalizmem i otępiony przez McŚwiat w równie małym stopniu jest przygotowany do przyjęcia gotowej konstytucji demokratycznej, jak naród, który dopiero co się wyzwolił spod wieloletniej tyranii. Demokracja nie może być czyimś prezentem dla ludzi bezsilnych. Sami muszą się jej dobić, bo nie godzą się żyć bez wolności i chcą zapewnić sprawiedliwość dla wszystkich. Aby przygotować dzisiaj grunt pod demokrację, czy to w społeczeństwach okresu przejściowego, czy w skali globalnej, trzeba przede wszystkim odrodzić obywatela, który będzie się domagał demokracji, a to oznacza stworzenie podstaw społeczeństwa obywatelskiego i kultury obywatelskiej. Demokracja to nie uniwersalny przepis na jakąś formę rządu o specyficznych cechach, polega ona na tym, że napomina się ludzi, by żyli w określony sposób: odpowiedzialnie, niezależnie, ale na wspólnych zasadach, w samookreślających się wspólnotach otwartych jednak na innych, z tolerancją i wzajemnym szacunkiem, mając jednocześnie mocne poczucie własnego systemu wartości. Kiedy John Dewey

stwierdził, że demokracja to w większym stopniu styl życia (sama idea życia we wspólnocie) niż sposób rządzenia, zwracał uwagę na jej pierwszorzędne znaczenie jako stowarzyszeniowego sposobu życia w społeczeństwie obywatelskim. Globalna demokracja zdolna przeciwstawić się antydemokratycznym tendencjom Dżihadu i McŚwiata nie może zostać wypożyczona ze składu towarów jakiegoś konkretnego państwa ani skopiowana z abstrakcyjnego konstytucjonalnego wzorca. Poczucie obywatelskie, czy to w skali globalnej, czy lokalnej, musi zaistnieć najpierw.

Nie byłyby to lekcje tak trudne do przyjęcia przez zadowolonych z siebie lokatorów McŚwiata i gniewnych braci z obszarów Dżihadu, gdyby idea społeczeństwa obywatelskiego odzyskała wartość w oczach tych, którzy określają się dzisiaj mianem demokratów. Tylko że społeczeństwo to, skotłowane przez historię, wciśnięte między dwa równie potężne molochy państwa i rynku, zakończyło swój żywot jako teoria i jako demokratyczna praktyka. Nawet w Ameryce, gdzie dziedzictwo Johna Locke'a powinno było nadać giętkość tej idei, skostniała ona i rozpadła się, a jej szczątki łatwo się odgarnia, by zrobić miejsce dla paru prostych, sprzężonych ze sobą przeciwieństw: państwo kontra jednostka, rząd kontra sektor prywatny, państwowa biurokracja kontra wolny rynek, skorumpowani politycy kontra gniewni wyborcy. Wyalienowani pod względem politycznym i znużeni konsumpcją ludzie, którym tak samo nie odpowiada zachłanny i obojętny w ich mniemaniu rząd, jak i rozdrobniony, zajęty swoimi sprawami sektor prywatny, czują się wręcz bezdomni. Ani rynek, ani biurokracja państwowa nie przemawiają w ich imieniu, nie służą też ich interesom jako zbiorowości. Chociaż ludzie w ostatecznej instancji rozliczają rząd podczas wyborów, uważają go za ciało niemal obce – zagrażającą sferę uprawomocnionego w pewnym stopniu przymusu, zarządzaną przez obojętnych na wszystko reprezentantów, zawodowych polityków i biu-

rokratów, którzy w znacznym stopniu utracili autorytet jako autentyczni przedstawiciele społeczeństwa. Głosowanie wyborców sprowadza się w najlepszym wypadku do wyrażenia niechęci czy zamanifestowania sprzeciwu wobec kandydatów na polityków.

Z drugiej strony sektor prywatny, reprezentujący komercyjne rynki, złożony z osób prywatnych i korporacji, przemawia w imieniu ogółu tylko w takim stopniu, w jakim osoby i firmy sobie tego życzą, wyrażając osobiste uprzedzenia i interesy grupowe, którym nadano status „publiczny", choć na to nie zasłużyły. „Publiczna korporacja" nic nie robi, by zasłużyć na tę prawną etykietkę. W każdym calu ma charakter prywatny – z wyjątkiem nazwy. Prawdziwa „publiczność" – ogół społeczeństwa – jest pozbawiona głosu i bezdomna, co więcej, ci członkowie władz, którzy w dobrej wierze chcieliby zasięgnąć opinii fantomatycznego dziś społeczeństwa, nie bardzo wiedzą, gdzie się zwrócić. Tak zwane badania opinii publicznej skupiają się na analizowaniu osobistych uprzedzeń, a grupy interesu reprezentują siebie i nikogo ponadto. W Ameryce i większości innych państw demokratycznych politycy, którzy byli niegdyś obywatelami sprawującymi tymczasowo urząd, ulegli za sprawą władzy metamorfozie i stali się zawodowcami, tracąc kontakt ze swoim elektoratem. Bezsilni obywatele zmienili się w użalających się antagonistów osób, które wybrali na urząd, albo w nadąsanych klientów usług publicznych, za które nie mają ochoty płacić. Fakt, że narody tak cynicznie nastawione do własnych instytucji demokratycznych zalecają demokrację kuzynom w państwach przeżywających okres transformacji, albo snują wyobrażenia o demokracji globalnej ponad granicami suwerennych państw, może w najlepszym wypadku budzić zdziwienie. Dzisiejsi niedorobieni obywatele zalecają bowiem innym demokrację, w którą sami nie wierzą: zrzekają się własnych uprawnień wynikających z faktu, że stanowią większość, na rzecz ograniczonych kadencji, poprawek do konstytucji

czy superwiększości. Podobnie rekomendują rynek, do którego nie są przekonani. Nie wierzą ani przez chwilę, żeby mógł chronić cnoty obywatelskie, zagwarantować wolność czy cokolwiek innego poza dobrami materialnymi, które przestały zaspokajać pragnienia wygłodniałych dusz.

By nakreślić wizję demokratycznego ustroju obywatelskiego, który umożliwi ludziom samodzielne zarządzanie własnymi sprawami, trzeba koniecznie wyjść poza dwubiegunowy model, do jakiego przywykliśmy: rząd przeciwstawiony sektorowi prywatnemu. Przywołując tradycyjny język społeczeństwa obywatelskiego musimy wyobrazić sobie, że ludzie, zajmując się swymi codziennymi sprawami, działają w trzech co najmniej obszarach, zarówno gdy dzieje się to w enklawie plemiennej, państwie narodowym, jak i społeczeństwie globalnym. Mamy więc obszar władzy państwowej rządu i obszar sektora prywatnego, lecz także obszar spraw społecznych, przestrzeń obywatelską, którą mieszkańcy Europy Wschodniej i Rosji nazywali społeczeństwem obywatelskim dopóty, dopóki się nie „zdemokratyzowali", a treserzy z Zachodu nie wmówili im, że lokalne instytucje przedstawicielskie nie pasują do rynkowych ambicji demokracji.

Społeczeństwo obywatelskie, przestrzeń obywatelska, zajmuje miejsce pośrednie między władzą państwową a sektorem prywatnym. To nie tutaj głosujemy i nie tutaj sprzedajemy i kupujemy, lecz rozmawiamy z sąsiadami na temat przeprowadzania dzieci przez jezdnię, planujemy imprezę charytatywną na rzecz szkoły, zastanawiamy się, czy nasza parafia mogłaby utworzyć schronisko dla bezdomnych, organizujemy letnie zawody sportowe dla dzieci. W tej sferze jesteśmy istotami „publicznymi", tak jak publiczny jest rząd, i tak jak on działamy na rzecz wspólnego dobra, tyle że w odróżnieniu od rządu nie pretendujemy do posiadania monopolu na prawomocne środki przymusu. Fakt, że działamy dobrowolnie, określa ten obszar jako „prywatny", odbywa się w nim zaś oparte

na współpracy (nie na przymusie) dążenie do wspólnego dobra. Wspólną cechą społeczeństwa obywatelskiego i sektora prywatnego jest wolność. Społeczeństwo to tworzą z własnej woli swobodnie stowarzyszone jednostki i grupy, jednakże w odróżnieniu od sektora prywatnego dąży ono do wytworzenia wspólnej płaszczyzny i uznaje konsensualne (tj. oparte na integracji i współpracy) sposoby działania. Ma więc charakter publiczny bez uciekania się do środków przymusu, jest dobrowolne nie będąc sprywatyzowanym. Do tego właśnie obszaru należą nasze tradycyjne instytucje obywatelskie, takie jak fundacje, szkoły, Kościoły i wszelkie stowarzyszenia społeczne. Do społeczeństwa obywatelskiego zaliczają się również środki przekazu, jeśli poważnie traktują swoje publiczne obowiązki, a wymogi komercji podporządkowują zobowiązaniom wobec społeczeństwa.

Niestety, dwubiegunowy układ władzy państwowej i rynku zepchnął w cień społeczeństwo obywatelskie, którego mediacyjny potencjał został wyeliminowany, a jego miejsce zajęło uproszczone przeciwstawienie państwa i jednostki, gospodarki nakazowej i wolnego rynku. Z tego właśnie powodu ci, którzy chcieli zająć pozbawioną przymusu przestrzeń obywatelską – zarówno w tradycyjnych demokracjach, jak i w nowych, a także w skali globalnej – zepchnięci zostali z powrotem w sferę sektora prywatnego, gdzie pojawiają się na nowo pod raczej nieodpowiednim szyldem rzeczników „grup interesu", którzy raczej nie wyglądają na troszczących się o wspólne dobro czy normy publiczne. We wszystkim, co robimy, musimy występować albo jako elektorat, albo konsumenci. Jeśli chcemy rządzić się sami, zamiast wybierać tych, którzy nami rządzą, nie mamy dokąd się zwrócić.

Przez cały wiek XIX, w Ameryce opisywanej przez Tocqueville'a i potem, Amerykanie czuli się jak społeczeństwo obywatelskie. Nie mamy zamiaru gloryfikować warunków społecznych owego okresu decentralizacji, ale możemy dostrzec, iż wolność miała wtedy bardziej

lokalny i obywatelski wymiar. Skromna sfera oddziaływania rządu i powściągliwy sektor prywatny były zepchnięte w cień przez sieć instytucji obywatelskich – szkół, kółek rolniczych, Kościołów, zgromadzeń miejskich, wspólnych terenów zielonych, wiejskich sklepów i wszelkiego rodzaju stowarzyszeń społecznych. To właśnie te instytucje „municypalne" tak oddziałały na wyobraźnię Tocqueville'a. Władza państwowa, zwłaszcza szczebla federalnego, pełniła skromną rolę (zapewne zbyt skromną jak na zadania, które powinna wykonywać), ponieważ wszystkie uprawnienia, które nie były jej przypisane, konstytucja pozostawiła stanom i ludowi. Skromne były także rynki, które miały charakter regionalny i zdominowane były przez różne stowarzyszenia.

Sytuacja taka utrzymywała się dopóty, dopóki jednostki, uważające się za obywateli, nie zaczęły postrzegać siebie jako konsumentów, a grupy uchodzące za dobrowolne stowarzyszenia nie zostały wyparte przez korporacje występujące pod szyldem „osób prawnych". Siły rynku zaczęły od strony sektora prywatnego nacierać na społeczeństwo obywatelskie i miażdżyć je. Na ekspansję rynku rząd odpowiedział agresywną kampanią na rzecz dobra publicznego, wymierzoną przeciw nowym monopolom, mimowolnie zadając społeczeństwu obywatelskiemu cios z drugiej flanki. Między kamieniami młyńskimi dwóch ścierających się monopoli, państwa i korporacji, społeczeństwo obywatelskie utraciło swoje wyjątkowe miejsce w życiu Ameryki. Do czasów obu Rooseveltów zdążyło już prawie zaniknąć, a jego mieszkańcy musieli sobie poszukać schronienia albo pod feudalną kuratelą wielkiej władzy, albo sektora prywatnego. W tej drugiej sferze szkoły, Kościoły, związki, fundacje i inne stowarzyszenia mogły przyjąć kształt korporacji, stając się co najwyżej grupami interesu, powołanymi do realizacji partykularnych celów swoich członków. Nieważne, czy takim celem była rentowność czy też ochrona środowiska, bo z samej definicji wszystkie stowarzyszenia prywatne miały

prywatne cele. Szkoły stały się grupami interesu skupiającymi ludzi mających dzieci (rodziców), a nie kuźniami wolnego społeczeństwa. Kościoły ze źródła przykazań moralnych dla szerokiego społeczeństwa (jakim powinny być zdaniem Tocqueville'a) zmieniły się w grupy interesu wspólnot wyznaniowych realizujących swoje odrębne programy. Organizacje społeczne stały się czymś w rodzaju prywatnych *lobbies*, tracąc charakter swobodnej przestrzeni, w której kobiety i mężczyźni uczyli się, co to w praktyce znaczy wolność.

Paradoks polega na tym, że z chwilą sprywatyzowania i skomercjalizowania społeczeństwa obywatelskiego, grupy, które się zorganizowały, by rozpaczliwie bronić dobra publicznego, same zostały zaliczone do grup nacisku działających na rzecz zachłannych interesów prywatnych. Na przykład związki zawodowe, choć zaangażowane w sprawy sprawiedliwego wynagrodzenia, pełnego zatrudnienia i godności pracy, stały się w sektorze prywatnym odpowiednikami korporacji i aż nazbyt dobrze nauczyły się z czasem odgrywać tę rolę. Kiedy próbowały uwolnić siłę roboczą ze szponów korporacji, uznano je za jeszcze jedną „grupę interesu", nie lepszą od tych, przeciw którym walczyły, a może i gorszą (zaatakowane przez nie firmy były bowiem wytwórcami bogactwa narodowego Ameryki). Niedawno podobny los spotkał organizacje ekologiczne. Chociaż działają, zdawałoby się, w publicznej sprawie, chcąc zapewnić czyste powietrze wszystkim, z zatruwającymi włącznie, postrzegane są jako bliźniaczy odpowiednik tych ostatnich – jeszcze jedna grupa interesu, stojąca na tej samej płaszczyźnie co składowacze toksycznych odpadów. Środki przekazu przestały się poczuwać do obowiązku informowania w interesie demokracji, obecnie sprzedają plotki i całkowicie się uzależniły od właścicieli sektora prywatnego, a jedynym ich obowiązkiem stało się pomnażanie zysków. W takich warunkach „dobro publiczne" jako możliwy do przyjęcia ideał nie mogło przetrwać i nie przetrwało. Jego epitafium wyszło

spod pióra Davida B. Trumana, który w swoim opublikowanym w 1951 roku wpływowym podręczniku *The Governmental Process* (książka ta przyczyniła się do utrwalenia paradygmatu dominującego w naukach społecznych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) napisał, że mając do czynienia z pluralistycznym systemem nacisków ze strony prywatnych grup interesu, jaki panuje w Ameryce, „nie potrzebujemy się rozliczać z interesu zbiorowego, bo nic takiego nie istnieje"[17]. McŚwiat postawił tylko wykrzyknik przy stwierdzeniu Trumana.

Cały ten smutny rozwój wypadków sprawił, że znaleźliśmy się w epoce, kiedy społeczeństwo obywatelskie jest w zaniku, a obywatele nie mają ani miejsca dla swoich instytucji, ani głosu, którym mogliby się wypowiedzieć. Dzieje się tak nawet w państwach, które formalnie zaangażowane są po stronie demokracji. Bądź bierny i daj się obsługiwać (albo prześladować) molochowi biurokratycznego państwa, dla którego słowo obywatel nic już nie znaczy, albo uznaj egoizm i radykalny indywidualizm sektora prywatnego, gdzie „obywatel" też nic nie znaczy. Głosuj, by odwołać z urzędu publicznego kanalie i/lub poprzyj swoim głosem i dolarami inne kanalie, które wprowadzone na urząd ochronią twoje prywatne interesy. Tak przedstawiają się jedyne obowiązki obywatela w krajach uchodzących za najbardziej utrwalone demokracje.

Jeśli tak niewesoło wygląda sytuacja w Ameryce i innych demokracjach Zachodu, to z całą pewnością ci, którzy chcą powołać do życia nowe demokracje, czy to w obszarze Dżihadu, czy McŚwiata, mają przed sobą nie lada zadanie. By stworzyć ramy dla wskrzeszenia demokratycznego statusu obywatela muszą przede wszystkim odbudować społeczeństwo obywatelskie, ten pośredni trzeci obszar między przerośniętym, lecz coraz mniej skutecznie funkcjonującym sektorem władzy państwowej, a rozrastającym się jak nowotwór prywatnym sektorem rynku. Naszych wyborów nie może ograniczać gra o zerowej sumie punktów między władzą państwową a komer-

cyjnymi rynkami, gdzie rozwój jednej strony oznacza uszczerbek dla drugiej (potężna biurokracja państwowa albo potężny McŚwiat). Choć taką właśnie alternatywę przedstawiono narodom Rosji i Niemiec Wschodnich, nie musimy optować ani za karykaturą Wielkiego Brata, który wymusza sprawiedliwość społeczną, lecz odgrywa rolę tyrana, ani za karykaturą nieokiełznanego wolnego rynku, który zapewnia wolność, lecz sprzyja pogłębianiu nierówności i niesprawiedliwości społecznej, odrzekając się uparcie od dobra publicznego. Byłby to bowiem wybór między McŚwiatem a tyranią. W miarę jak państwo narodowe traci suwerenność i ten wybór przestaje być aktualny: naszym przeznaczeniem staje się tyrania McŚwiata. Tylko jakiś wariant globalnego społeczeństwa obywatelskiego daje nadzieję na przeciwstawienie się jego mimowolnemu despotyzmowi.

Społeczeństwo obywatelskie stwarza grunt dla demokracji jako formy rządu, w której nie politycy czy biurokraci, lecz obdarzony władzą lud stosuje uprawomocniony przymus, by urzeczywistnić swoje swobody. Z wolnością łączy się społeczna odpowiedzialność, cnoty obywatelskie, a także prawa osób prawnych. Społeczeństwo takie nadaje nam jedyną w swoim rodzaju tożsamość, właściwą wyłącznie obywatelom, nie biurokratom państwowym ani prywatnym konsumentom. Łączy ona na nowo prawa z obowiązkami i umożliwia nam przejęcie kontroli nad rządami i rynkami. Przestrzeń obywatelska, położona między państwem i rynkiem, może powstrzymać zbyt natrętny rząd, bez zrzekania się dobra publicznego na rzecz sfery prywatnej. Na arenie międzynarodowej, gdzie państwa są słabe, a rynki mają przewagę, społeczeństwo obywatelskie ma do zaproponowania alternatywną tożsamość ludziom, którzy w innym układzie mogą być tylko klientami czy konsumentami, albo biernymi obserwatorami wydarzeń, na które nie mają żadnego wpływu. Internacjonalizm może stać się formą obywatelstwa. W ramach państw narodowych

zarówno władza państwowa, jak i sektor prywatny mogą zostać nieco poskromione przez rosnące w siłę społeczeństwo obywatelskie, gdzie samorząd daje w pewnej mierze ujście politycznym aspiracjom, społeczeństwo nie traci jednak przy tym liberalnego charakteru, pozostając dobrowolnym stowarzyszeniem ludzi równych. Członkowie takiego społeczeństwa, zajmujący się własnymi sprawami i bardziej odpowiedzialni za siebie, mniej się troszczą o wybory, przywódców, kadencje i skandale. Jednocześnie uwalniają się od „wolnego" rynku, który w innych warunkach narzuca ludziom komercjalną mentalność nie pozostawiającą miejsca na wspólnotę ani ducha.

Odtworzenie tak opisanego społeczeństwa obywatelskiego nie wymaga projektowania jakichś całkiem nowych struktur, oznacza raczej nadanie nowych treści i przywrócenie pozycji istniejącym już instytucjom albo znalezienie sposobów na odrodzenie ich w skali międzynarodowej [18]. W Stanach Zjednoczonych należałoby na przykład uczynić zwrot w stronę szkół, fundacji, stowarzyszeń, Kościołów i innych świątyń, ruchów społecznych, środków przekazu i niezliczonych innych obywatelskich instytucji, wyjąć je z sektora prywatnego i umieścić w społeczeństwie obywatelskim. Chodzi o to, by głos obywateli na forum publicznym zaczął się znowu liczyć, żeby zostali na powrót uprawomocnieni jako siła polityczna, wbrew tym, którzy spisali ich na straty twierdząc, że reprezentują wyłącznie obłudne grupy interesu. W Rosji i innych krajach przeżywających stadium transformacji polegałoby to na wsparciu nowej infrastruktury obywatelskiej. Należałoby większą wagę przywiązywać do aktywności ludzi w lokalnych stowarzyszeniach niż do wyników wyborów czy też rozgrywek między rywalizującymi partiami nacjonalistycznymi, socjalistycznymi, kapitalistycznymi i reformistycznymi. W skali globalnej oznaczałoby to poszukiwanie równoważących wpływ McŚwiata instytucji nie tyle w sferze prawa międzynarodowego czy organizacji międzynarodowych, co w nowej grupie po-

nadnarodowych organizacji obywatelskich, która tworzy się dzięki temu, że organizacje społeczne w poszczególnych krajach nawiązują ze sobą kontakty, a pojedynczy obywatele współpracują ponad granicami w ramach regionalnych i globalnych ruchów społecznych. Społeczeństwo obywatelskie potrzebuje zakorzenienia; musi stać się miejscem rzeczywistym, gdzie abstrakcyjny głos ogółu mógłby przemówić w innej konkretnej strefie geograficznej niż ta, którą określają bliźniacze mapy władzy państwowej i rynku.

W starciu między Dżihadem i McŚwiatem zaginęła bowiem przede wszystkim idea ogółu społeczeństwa (*public*), będącego czymś więcej niż przypadkowe zbiorowisko konsumentów, skupisko grup interesów czy wytwór polityki tożsamości. Głos ogółu okazuje się głosem społeczeństwa obywatelskiego, tego, co możemy nazwać amerykańskim, rosyjskim czy globalnym forum obywatelskim – interakcyjnym zgromadzeniem reprezentantów tego społeczeństwa. Stwierdziliśmy już, że wyłonienie się demokratycznego obywatela musi poprzedzić demokratyzację władzy państwowej. Teraz staje się jasne, że społeczeństwo obywatelskie stwarza ku temu warunki. Obywatel to jednostka, która zyskała głos na forum publicznym, we własnym rozumieniu należy do szerszej społeczności i zdaje sobie sprawę, że łączy ją z innymi wspólny interes, wspólne dobro. Status publiczny to klucz do statusu obywatelskiego, zasadnicze znaczenie dla definicji obywatela ma więc głos na forum publicznym. A głos taki nie jest jakąkolwiek wypowiedzią skierowaną do ogółu. Podżegająca do waśni hałaśliwa radiowa gadanina czy zacięte kłótnie telewizyjnych luminarzy stanowią idealny wręcz przykład tego, czym *nie jest* głos zabierany w publicznej sprawie.

Większość tego, co uchodzi za dziennikarstwo, jest w gruncie rzeczy zwyczajnym schlebianiem, ładnie przybraną plotką czy uprzejmym wyrażaniem uprzedzeń. Media zdradziły społeczeństwo obywatelskie dla sektora

prywatnego, który zapewnia większe zyski. Ich społeczna rola przestała w czymkolwiek ograniczać pogoń za komercyjnym sukcesem. Kobiety i mężczyźni wychowani w sektorze prywatnym i przywykli do tego, by stosunki wzajemne określać wyłącznie albo poprzez transakcje finansowe, albo w kategoriach wymaganego przez Dżihad braterstwa krwi, będą musieli przebyć długą drogę, by odnaleźć się w społeczeństwie obywatelskim i przemówić właściwym mu rozważnym głosem, szczególnie że głos ten musi odbić się echem na arenie międzynarodowej. To właśnie publiczny charakter tego głosu stanowi o obywatelskim charakterze społeczeństwa. Prawdziwy głos w sprawach publicznych może tym, którzy się wypowiadają, nadać większą władzę niż oficjalnie jednoznaczny głos władzy państwowej czy obsesyjnie sprzeczny bełkot dobiegający z Wieży Babel sektora prywatnego. Głos społeczeństwa obywatelskiego, rozważny głos obywateli, jest wyzwaniem dla irracjonalnej wrzawy Dżihadu, lecz także antytezą pretensji prywatnych rynków McŚwiata do reprezentowania jakiegoś zbiorowego dobra publicznego. Ani Dżihad, ani McŚwiat nie mają zrozumienia dla pojęcia „ogółu", którego idea, o ile zostanie wcielona w życie, stanowić będzie potężne lekarstwo na nieprzyjazne demokracji działania agresywnych plemion i agresywnych rynków.

Jeśli społeczeństwo obywatelskie jest kluczem do demokracji, jej utrwalenie w skali globalnej wymaga metodycznego umiędzynarodowienia takiego społeczeństwa, ono zaś z kolei musi na nowo odkryć odpowiednie formy organizacyjne na szczeblu krajowym, by proces globalizacji umożliwić. Za przykład mogłyby posłużyć Komitety Korespondencyjne utworzone podczas rewolucji amerykańskiej przez obywateli, którzy nie mieli możliwości legalnego wypowiedzenia się w kwestiach politycznych (Brytyjczycy kontrolowali oficjalne instytucje władzy). Były to nieformalne gremia, ani rządowe, ani prywatne, które mimo to zdołały przygotować materiał obywatelski

dla nowej republiki. Czy dałoby się utworzyć wirtualne komitety korespondencyjne w Internecie? Czy obywatele mogą się zalogować w społecznym BBS ponad granicami państwowymi? Oto punkt wyjścia dla prawdziwie obywatelskiej telekomunikacji.

W niedługi czas po tym, jak komitety korespondencyjne zapoczątkowały zwycięskie powstanie przeciw angielskiej tyranii, Thomas Jefferson zaproponował powołanie lokalnych zgromadzeń obywatelskich, będących kontynuacją bezpośredniego i zdecentralizowanego samorządu. „Tam, gdzie każdy ma wpływ na sprawy swojej lokalnej republiki i czuje, że bierze udział w zarządzaniu tymi sprawami, nie tylko przez głosowanie raz do roku, ale na co dzień, gdzie w całym państwie nie znajdzie się człowieka, który nie byłby członkiem jakiejś wielkiej czy małej rady, prędzej da on sobie wyrwać serce z piersi niż odebrać władzę"[19]. Tylko na szczeblu lokalnym i regionalnym, gdzie Dżihad rozgrywa swoją partię, można się dobić alternatywnej formy tożsamości, która w ostatecznej instancji będzie w stanie pohamować zakusy McŚwiata w skali globalnej. Ani krąg plemienny, ani kręgi handlowe, ani klan, ani dom towarowy nie zapewniają odpowiedniej przestrzeni publicznej dla takiego rodzaju demokratycznej społeczności, która może włączyć obywateli i nadać im tożsamość. Relacje wynikające ze stowarzyszania się na szczeblu lokalnym nie mogą być przeszkodą do tworzenia się więzi w skali regionalnej, krajowej i globalnej (co aż nazbyt często czynią plemiona i klany, zarówno istniejące od dawna, jak i będące sztucznym tworem). Za pomocą technologii da się zapewne stworzyć elektroniczne wspólnoty i telezgromadzenia zapewniające wzajemne kontakty odległych sąsiadów. Będzie to jednak możliwe tylko w takim wypadku, kiedy decydowania o rozwoju i rozpowszechnianiu technologii nie pozostawi się rynkom, a w komunikowaniu się na skalę globalną będą przestrzegane zasady rozważnej debaty i uprzejmości.

Utworzenie społeczeństwa obywatelskiego w środowisku międzynarodowym to nie lada wyzwanie, lecz samo uznanie, iż powinno zostać stworzone, stanowi pierwszy krok ku uratowaniu miejsca na silną demokrację w McŚwiecie.

Niezbędny będzie jeszcze jeden krok, o bardziej instytucjonalnym charakterze. Poszczególne elementy mogą być bardziej obywatelskie i uczestniczące, ale musi je łączyć jakaś forma organizacji globalnej, umożliwiająca współpracę bez naruszania autonomii. Globalne społeczeństwo obywatelskie stanowi podstawę pod światowy demokratyczny rząd, ale nie jest tym samym co on.

Demokracja i konfederalizm

Jak utrzymać w całości świat zjednoczony przez rynki, ale pod wszystkimi innymi względami rozpadający się, skoro ani rząd światowy, ani prawo międzynarodowe nie są, jak już stwierdziłem, instrumentem możliwym do użycia? W ostatnich latach, za sprawą polityki Dżihadu, główną formą reorganizacji świata jest podział. Jak wygląda alternatywa? Federalizm stanowi zapewne zbyt radykalne i centralistyczne rozwiązanie dla krajów tak podzielonych, jak Chorwacja czy Afganistan, nie jest nawet w stanie zapewnić integralności takiej na przykład Szwajcarii, Indii czy Niemiec. Konfederalizm sprawia wrażenie bardziej obiecującej strategii, pozwala bowiem już istniejącym państwom narodowym na oddolne stworzenie związku na skalę globalną. Alternatywne rozwiązanie, struktura władzy o charakterze odgórnym, wymagałoby ponadpaństwowego suwerena, jakiegoś globalnego legislatora, a tego właśnie brakuje.

Zrozpaczonym rządom, starającym się opóźnić proces podziałów i dezintegracji społecznej, zalecano lekturę *Federalisty*. O wiele odpowiedniejszą lekturą są *Artykuły Konfederacji*. Artykuł III, łącznie z odrodzeniem społeczeństwa obywatelskiego na szczeblu lokalnym, określa

skromne ramy, w których można utrzymać razem rywalizujące części państwa w luźnym przymierzu, jak to, które w 1291 roku „zjednoczyło" trzy pierwsze kantony Szwajcarii. Mowa w nim o pełnej autonomii państw członkowskich i poszanowaniu ich niezależności (rzecz nieodzowna dla tych, co wierni są polityce tożsamości), ale stwierdza się również, co następuje:

> „Wymienione stany, każdy z osobna, zawierają ze sobą trwałe przymierze przyjaźni, w celu wspólnej obrony, chronienia swoich swobód oraz wspólnego i powszechnego dobrobytu. Wiążą się ze sobą, by wspomagać się wzajemnie przeciwko wszelkim obcym siłom czy atakom, dokonywanym na wszystkie razem lub każde z osobna, pod pretekstem religii, suwerenności, handlu czy jakimkolwiek innym".

Byłby to niezły punkt wyjścia do obrony przez zachłannymi zakusami zarówno Dżihadu, jak i McŚwiata. Cytowany artykuł zakłada swego rodzaju status obywatelski przypisany do każdego stanu, prawdopodobnie mógłby zostać skutecznie wprowadzony w życie tylko pod warunkiem zaistnienia i zakorzenienia się społeczeństwa obywatelskiego. Artykuł IV stwierdza, że „wolni mieszkańcy każdego ze stanów będą cieszyli się wszystkimi przywilejami i immunitetami, jakie przysługują wolnym obywatelom w poszczególnych stanach, lud każdego ze stanów będzie mógł swobodnie wjeżdżać do każdego z pozostałych stanów i zeń wyjeżdżać, korzystając tym samym z dobrodziejstw uprawiania rzemiosła i handlu". Niedopuszczalne byłyby czystki etniczne i przesiedlenia, obowiązywałby równy status obywatelski i swoboda przemieszczania się.

Na podobnych założeniach oparła się Konfederacja Helwecka, co uczyniło ze Szwajcarii tak wyjątkowy przykład demokratycznego związku (nie mówiąc o możliwości nadawania obywatelstwa) na długo przedtem,

zanim instytucje parlamentarne w jakimkolwiek kraju przybrały charakter prawdziwie przedstawicielskiej władzy. Odłamkom niejednego zagrożonego rozpadem państwa nie zaszkodziłoby, gdyby sobie wyobraziły, że tworzą „trwałe przymierze przyjaźni" wokół wspólnych swobód (jeśli takie mają!). Jeśli Quebec i anglojęzyczne prowincje Kanady mają uniknąć wyczerpującej walki, niewykluczone, że będą musiały przyjąć takie rozwiązanie. Konfederalizm nie jest żadnym panaceum, ale może okazać się skuteczną alternatywą dla bardziej centralistycznych, opartych na przymusie, a przez to skazanych na niepowodzenie rozwiązań problemu dezintegracji państw. Rozwiązanie takie oparte jest nie tyle na konstytucji amerykańskiej, co na wcześniejszych od niej *Artykułach Konfederacji*, które zapewniły koloniom wystarczająco długie wspólne bytowanie, by mogła się ujawnić potrzeba bardziej integrujących kroków, a także zaufanie i tolerancja, bez których ściślejsza integracja jest nie do pomyślenia. Jest ono stopniową, dobrowolną strategią tworzenia struktury ponadpaństwowej, opartą na budowaniu zaufania. Tego typu otwarte formy konfederalnego związku ulegają ewolucji, tak jak sama demokracja, i zależą od powodzenia o wiele luźniejszych z początku więzi. Za model może tu raczej posłużyć Szwajcaria sprzed 1800 roku niż Unia Europejska, w kraju tym bowiem osiągnięto obywatelską żywotność poszczególnych części, zanim skupiły się w większą całość. Na status obywatela składają się atrybuty lokalne (do dzisiaj osoba ubiegająca się o obywatelstwo szwajcarskie musi najpierw zostać obywatelem lokalnej wspólnoty, dopiero potem otrzymuje szwajcarski paszport). Instytucje oparte na uczestnictwie obywateli gwarantowały demokratyczny charakter całej konfederacji.

Nowa Europa sprawia wrażenie bardziej demokratycznej nie dlatego, że sztywno reprezentuje państwa i rządy i z pewnością nie ze względu na technokratyczne uzależnienie od sił wolnego rynku. To raczej reprezentowanie

regionów nadaje jej demokratyczny charakter. Wspominałem już o dążeniach niemieckich landów i hiszpańskich prowincji do członkostwa w Unii Europejskiej, rozumianej jako konfederacja. Ewentualne przystąpienie takich regionów do Europy (jeśli centralne rządy w ogóle do tego dopuszczą) jest w stanie wytworzyć więzi, które dla obywateli mogą się okazać naprawdę znaczące.

We współczesnym świecie problem demokracji jest niezwykle skomplikowany. W kontekście dialektycznej interakcji, jaka zachodzi między Dżihadem a McŚwiatem, argumenty reformatorów przypominają błędne koło. Silna demokracja potrzebuje obywateli, obywatelom potrzebne jest społeczeństwo obywatelskie, społeczeństwo obywatelskie wymaga spoiwa, które nie byłoby związane z polityką tożsamości, spoiwem takim jest demokracja. Albo też: do ustanowienia globalnej demokracji potrzebny jest konfederalizm, dobrowolna forma zrzeszania się oparta na przyjaźni i wspólnych interesach, konfederalizm zależy od społeczeństwa obywatelskiego w państwach członkowskich i od obywateli, dla których „inny" nie jest synonimem wroga, społeczeństwo obywatelskie i cnoty obywatelskie są wytworem demokratycznego stylu życia. A jednak krąg demokracji jest nieprzerwany. Pierwsza, ostatnia i jedyna nauka, jaka płynie z tej książki, jest prawdopodobnie taka, że dopóki demokracja nie stanie się głównym celem tych, którzy zmagają się z okropnościami Dżihadu i niedomogami McŚwiata, trudno nam będzie nawet rozpocząć tę długą podróż wyobraźni, która wiedzie ludzi od elementarnej zwierzęcej egzystencji (słabość ekonomii) do opartego na współpracy życia w ludzkiej wspólnocie (siła prawdziwej demokracji). W Rwandzie, Bośni, we Wschodnim Timorze czy na Haiti błędnie zapewne pojmujemy zadanie, z jakim mamy do czynienia, kiedy pytamy, jak podzielić lub umiędzynarodowić rozpadający się kraj albo zaprowadzić w nim pokój. Powinniśmy zadać pytanie, jak go zdemokratyzować. Demokracja jest z pewnością pożądanym celem

finalnym tych, którzy próbują uratować naszą planetę, ale musi być także zasadą, jaką przez cały czas będą się kierować.

Jeśli opcja demokratyczna jako odpowiedź na Dżihad wydaje się niemożliwa do zrealizowania (a jest odpowiedzią!), pomyślcie o „realistycznych" dyskutowanych obecnie rozwiązaniach – zaprowadzenie pokoju i stabilizacji poprzez obcą inwazję, wypędzenie, podział, przesiedlenia, powiernictwo Narodów Zjednoczonych, interwencję zbrojną czy zwyczajne rozczłonkowanie. Czy zdołają powstrzymać szerzący się na całym świecie pożar Dżihadu? Jeśli zaś opcja demokratyczna brzmi utopijnie jako odpowiedź na inforozrywkowy telesektor, jego zaraźliwą wideologię i niewidzialne elektroniczne palce zaciskające się na ludzkich umysłach i sercach wszędzie tam, gdzie dociera telewizja satelitarna, wyobraźcie sobie alternatywę: kapitulację przed rynkiem i najmniej szlachetnymi aspiracjami cywilizacji ludzkiej, którym tak skutecznie służy ograniczenie naszej tak wychwalanej wolności do przeklętego wyboru, o którym pisał Regis Debray: „między lokalnym ajatollahem a coca-colą"[20].

Abraham Lincoln w czasie wojny domowej upatrywał w demokracji ostatnią i najlepszą nadzieję. Dziś na naszej pełnej paradoksów planecie, gdzie państwa jednocześnie rozpadają się i jednoczą, często z tych samych powodów, gdzie drżące ze strachu rządy i bezsilne prawo międzynarodowe nie są nawet w stanie wydobyć z siebie głosu, nie mówiąc o podjęciu stosownych działań, demokracja stała się być może naszą pierwszą i jedyną nadzieją.

Posłowie

W rok po opublikowaniu tej książki i Dżihad, i McŚwiat żyją i świetnie się mają. Ich paradoksalne więzi – Dżihad potrzebuje bowiem McŚwiata, jak cień potrzebuje słońca – umacniają się nieustannie. W Indiach wybrano niedawno parlament zdominowany przez partię hinduskich nacjonalistów, Bharaiya Janata. Po raz pierwszy w historii tego kraju premierem został hinduski nacjonalista (Atal Bihari Vajpayee), który, by rozwiać obawy przed nacjonalizmem, przyznaje, że jego ulubionym filmem jest *Król Lew*. Amerykańska prawica, izolacjonistyczna, podszczuwająca przeciw korporacjom, nienawidząca układu NAFTA, wysunęła jako własnego kandydata Pata Buchanana, który hałaśliwie manifestuje swoją wrogość do „góry". Buchanan, były telewizyjny luminarz, całe życie spędził w Waszyngtonie w kręgach establishmentu. Niczym oszalały apostata zrywający z klasą, która go stworzyła, odżegnuje się od „mitu *homo oeconomicus*, zgodnie z którym ekonomia rządzi podobno światem i określa politykę, a tę z kolei napędza pieniądz" i ślubuje, że będzie przewodził w imieniu „szczerych konserwatystów". Rozpętuje tym samym nowy amerykański Dżihad, kolejną batalię w wojnie kulturalnej, którą rozpoczął w 1992 roku[1].

Prezydent Iranu Rafsandżani stara się odnowić kontakty handlowe z Zachodem, ale muzułmańscy bojownicy, by zamanifestować swe oddanie dla kultury, w której imieniu Rafsandżani rządzi, podpalają kina i napadają na kobiety jeżdżące na rowerach. Niebawem zacznie się olimpiada w Atlancie, ale sponsorzy igrzysk, jak

Budweiser, sprzedają nie tyle wspólnego olimpijskiego ducha, co wspólną konsumpcję.[2]

Symbole imperium McŚwiata widać już wszędzie. Użytkownicy Internetu mogą brać udział w kolacjach sederowych w cyberprzestrzeni (http://www.emanuelnyc.org – spróbujcie sami). Firma Coke kupiła prawa do piosenki o obywatelskiej niegdyś wymowie – „We are the world", „żeby wyeliminować pojęcie coca-coli «lokalnej» i «międzynarodowej»"[3] Disney zakłada na Florydzie „szkoły" i „instytuty badawcze" budując jednocześnie całe nowe miasta w rodzaju „Celebration", które mają służyć promocji jego towarów, zarówno materialnych, jak niematerialnych[4]. Bill Gates, szef Microsoftu, przystąpił do wykupywania świata kultury. Nabył już prawa do publikowania w formie elektronicznej fotografii Ansela Adamsa i prac z Barnes Collection. Podkupił także nie tkniętego waszyngtońskiego luminarza prasowego (jest nim Michael Kinsley, niegdyś redaktor „New Republic" i filar „Crossfire"), który ma stworzyć nowe internetowe czasopismo „Slate" i uprawomocnić internetowy biznes Gatesa[5].

Trudno się w tych warunkach dziwić, że kiedy Klaus Schwab i Claude Smadja (ten pierwszy to założyciel, a drugi dyrektor organizacyjny Forum Davos, trustu mózgów globalnego rynku) spoglądają w lustro, poraża ich to, co widzą, i mimowolnie prorokują konflikt między McŚwiatem a fanatycznym populizmem, będącym nań reakcją:

„Globalizacja gospodarki wkroczyła w krytyczną fazę. Narastająca wroga jej skutkom reakcja, szczególnie w demokracjach przemysłowych, może się fatalnie odbić na działalności gospodarczej i stabilizacji społecznej w wielu krajach. We wspomnianych demokracjach panuje nastrój beznadziei i niepokoju, co częściowo tłumaczy pojawienie się nowej odmiany polityków-populistów. Może się to łatwo przerodzić w rewoltę"[6].

Albo w kontrrewolucję pod hasłami Dżihadu. Niedawne wybory w „demokracjach okresu transformacji" w by-

łym bloku sowieckim przywróciły do władzy wielu ekskomunistów, często w roli nowych nacjonalistów. Demokracja w tych krajach nie ukorzeniła się z powodu głębokiego rozczarowania będącego skutkiem kombinacji rynku z wolnością. Schwab i Smadja wiedzieli, co mówią. Świat nadal rozpada się i zbiera w całość. Choć siły dezintegrujące zajmują miejsce na czołówkach gazet, siły integrujące wciąż mają przewagę. Hezbollah nie wygra z siecią tanich sklepów Wal-Mart.

O ile aktualne wydarzenia nadal potwierdzają słuszność mojej analizy dialektyki Dżihadu i McŚwiata, o tyle niektóre kwestie podniesione przez polemistów zasługują na odpowiedź. Ponieważ odnoszę się krytycznie i do Dżihadu, i do McŚwiata z powodu ich obojętności (jeśli wręcz nie otwartej antypatii) wobec demokracji, może się wydawać, że oba jednoznacznie potępiam. Tymczasem dość wyraźnie stwierdzam przecież, że obok złych mają i dobre strony, nawet zalety. Modernizacja, którą zawdzięczamy McŚwiatowi, stworzyła zdrowszy, bogatszy świat, gdzie przynajmniej istnieją warunki do osiągnięcia większej równości. Obca mi jest tęsknota za Wiekiem Złotym, nie jestem też luddystą wrogim technologii i wszystkiemu dobremu, co nam przyniosła. Kapitalizm i nauka, z której ten system wyrasta, tworzą system władzy i kontroli wyjątkowo skutecznie tworzący bogactwo i postęp. Demokracji nie zagraża kapitalizm jako taki, ale jego nieokiełznana odmiana, której nie równoważy żaden inny system wartości. Moja krytyka McŚwiata wymierzona jest przeciw zjawisku, które można określić jako ekonomiczny totalitaryzm. O ile polityczne totalitaryzmy faszyzmu i komunizmu próbowały niegdyś podporządkować wszelką działalność ekonomiczną, społeczną, polityczną i kulturalną przytłaczającemu swym ogromem państwu, co pociągnęło za sobą ogromne ludzkie koszty, o tyle ekonomiczny totalitaryzm nieokiełznanego rynku usiłuje obecnie podporządkować politykę, społeczeństwo i kulturę wymogom przytłaczającego swym

ogromem rynku (koszty dopiero poznamy). Totalitaryzm polityczny uzasadniał swoją dominację powołując się na związki z wolnością – dyktatura proletariatu miała być wstępem do komunistycznej epoki nieograniczonej wolności. Dzisiaj rynek racjonalizuje swą hegemonię odwołując się do wolności wyboru, jaką podobno ma konsument[7].

Współczesny pluralizm uczy nas jednak (i o tym między innymi traktuje moja książka), że wolność ludzi zależy od różnorodności i różnic. Jesteśmy najlepiej dla nas rządzeni wtedy, gdy żyjemy w kilku sferach, z których każda ma swoje zasady i daje określone korzyści, żadna zaś nie jest zdominowana w całości przez inną. Sfera polityczna jest, rzecz jasna, „suwerenna", ale oznacza to tylko, że reguluje ona liczne obszary wolnego, pluralistycznego społeczeństwa w sposób pozwalający każdemu z nich na zachowanie autonomii. Uzurpatorskie panowanie McŚwiata doprowadziło jednak do tego, że suwerenność znalazła się w sferze globalnych korporacji i kontrolowanych przez nie rynków. Zagrożona została autonomia społeczeństwa obywatelskiego, jego kultury i życia duchowego, a także polityki. Alternatywą dla McŚwiata, o czym szczegółowo piszę w części III, nie jest społeczeństwo zdominowane przez państwo zamiast społeczeństwa zdominowanego przez rynek, lecz składające się z wielu sektorów społeczeństwo obywatelskie, w którym autonomia każdego z obszarów – z rynkiem włącznie – gwarantowana jest przez suwerenność demokratycznego państwa. Tylko demokratyczna struktura państwowa jest zainteresowana autonomią poszczególnych sfer, tylko ona władna jest ją zapewnić. Kiedy inne sfery, czy to religijne, czy ekonomiczne, wydzierają państwu suwerenność, powstaje swego rodzaju totalitarne koordynowanie ich działań. W średniowieczu miało charakter teokratyczny, w epoce McŚwiata – ekonomiczny.

Mając to wszystko na względzie powinniśmy zrozumieć, dlaczego tak bezpodstawne są wypady krytyków,

którzy nie potrafią odróżnić konsumpcjonizmu od demokracji[8]. W ich mniemaniu społeczeństwo konsumenckie w świecie rynku *jest* demokracją, a wszyscy, którzy wysuwają zarzuty pod adresem McŚwiata, choćby posługiwali się jak najbardziej „demokratyczną" retoryką, są zamaskowanymi zwolennikami elitaryzmu. Edward Shills próbował kiedyś zdewaluować Dwighta MacDonalda, Irvinga Howe'a i Theodora Adorno, przedstawiając ich jako „arystokratycznych" pobratymców Windhama Lewisa i Ortegi y Gasseta, bo zbyt byli nietolerancyjni dla kultury masowej. Podobnie postępują nowi rzecznicy nie kontrolowanego kapitalizmu, upierając się przy twierdzeniu, że krytyk konsumpcjonizmu McŚwiata, tego wcielenia demokracji, nie może, z definicji, uważać się za demokratę. Z czyjej to mianowicie definicji?

Wielbiciele nieokiełznanego kapitalizmu w wersji Miltona Friedmana chcieliby nam wmówić, że rynek jest surogatem demokratycznej suwerenności, ponieważ umożliwia nam „głosowanie" naszymi pieniędzmi[9]. Decyzje ekonomiczne mają jednak charakter prywatny, dotyczą indywidualnych potrzeb i pragnień, podczas gdy decyzje polityczne są publiczne i dotyczą publicznych interesów. Ktoś może jako konsument kupić sobie samochód o potężnym silniku, rozwijający prędkość ponad 200 km na godzinę, ale jako obywatel będzie głosował za ograniczeniami prędkości, w imię bezpieczeństwa publicznego i ochrony środowiska. Problem Disneya i McDonalda nie sprowadza się do estetyki, a krytykom masowych gustów, jak Horkheimerowi i Adorno (oraz mnie) nie chodzi o piętnowanie czyichś upodobań czy publicznej oceny, ale o zapobieżenie monopolistycznej kontroli nad informacją, o zahamowanie tego spokojnego, całkiem przyjemnego przymusu, za pomocą którego telewizja, reklama i rozrywka mogą ograniczyć prawdziwą wolność wyboru. „Autonomię" konsumenckiego wyboru traktuję podejrzliwie nie z tego powodu, że pokładam zbyt małą wiarę w ludziach o demokratycznych przekonaniach, ale

dlatego, że bardzo wierzę w potęgę maszynerii do obrabiania umysłów będącą w posiadaniu McŚwiatowych producentów wszelakiego oprogramowania. Trudno nie być sceptykiem, kiedy sobie człowiek przypomni ostatnie zdanie, jakie pada w filmie *Quiz Show*, opowiadającym o teleturniejowych aferach z lat pięćdziesiątych. Jeden z tych, którzy z powodzeniem podkopali publiczne zaufanie do telewizji, będącej jeszcze wtedy niewinnym środkiem przekazu, stwierdza: „Nie jesteśmy zatwardziałymi zbrodniarzami – po prostu robimy w show-biznesie!". Ci, którzy inwestują miliardy w reklamę, promocję, opakowania i wojnę kulturalną, by sprzedawać produkty, których nikt niezbędnie nie potrzebuje, także nie są zbrodniarzami, ale show-biznes w ich wydaniu ma na celu ni mniej, ni więcej tylko likwidację wszystkiego, co choćby z daleka trąci autonomią konsumenta, nie mówiąc o demokratycznej wolności. To nie kramarstwo i szwindle z pseudolekarstwami miał na myśli Jefferson, kiedy snuł wizje obywatelskiej republiki i oświeconych obywateli.

Występujące w telesektorze inforozrywkowym trendy do koncentracji, zakorzenione w mentalności show-biznesu, które omawiam w części I, nasiliły się od czasu opublikowania tej książki latem 1995 roku, prawie w tym samym momencie, kiedy Disney przejął ABC. W ciągu roku, jaki upłynął od tamtej pory, nastąpiło kilka nowych fuzji i przejęć na wielką skalę, przez co liczba właścicieli tego żywotnego sektora jeszcze bardziej się zmniejszyła [10]. Wraz z ustawą o telekomunikacji, która jeszcze bardziej ogranicza zakres regulacji państwa w tej dziedzinie i usuwa tradycyjne bariery zapobiegające fuzji przewoźników, nadawców i sieci kablowych oraz spółek obsługujących połączenia lokalne i międzymiastowe, ta dalsza koncentracja spowodować może niszczycielskie skutki dla różnorodności i swobody obywatelskiego komunikowania się. W XIX wieku stanowcze antytrustowe decyzje rządu doprowadziły w końcu do rozmontowania wielkich monopoli naftowych, stalowych, węglowych i kolejowych.

Ale Michael Eisner to nie Rockefeller, Bill Gates to nie Vanderbilt, a Steven Spielberg to nie Carnegie. Są o wiele bardziej potężni, bo sprawują władzę nie nad naftą, stalą i kolejami żelaznymi – zwyczajnymi mięśniami naszych nowoczesnych organizmów przemysłowych, ale nad obrazami, informacjami i ideami, które dają moc naszej postmodernistycznej duszy.

McŚwiat ma więc swoje zalety, ale nie równoważą one faktu, że pozwala rynkowi uzyskać suwerenność nad polityką, kulturą i społeczeństwem obywatelskim. Zalet nie jest też pozbawiony Dżihad, choć, jak przyznaję, niełatwo je dostrzec w kontekście mojej ostrej krytyki zła wyrządzanego przez prowincjonalizm. Tymczasem, jak wykazuje Robert Bellah i jego współpracownicy w opracowaniu poświęconym amerykańskiej tęsknocie za wspólnotą (*Habits of the Heart*), i jak wnikliwie dowodzi obdarzony historyczną intuicją Michael Sandel, oddając co należne „Skargom na demokrację" (*Democracy's Discontents*), materialne, prowadzące do podziałów siły naszej epoki sprawiają, że poszukujemy form wspólnoty i braterstwa, jakie zapewniały nam niegdyś społeczności etniczne, religijne i obywatelskie. Sukcesy ruchu komunitarianów każą myśleć, że jest to bardzo głęboko zakorzenione pragnienie.

Chociaż ludzie odczuwają głęboką potrzebę wspólnoty, a demokracja najbujniej rozkwita, kiedy opiera się na zgodnej woli zwartych grup społecznych (miasta-państwa i republiki wiejskie są jej naturalnym podłożem), warunki, jakie stwarza wspólnota, stawiają demokratów przed dylematem. Polega on na tym, że te formy wspólnotowego związku, które zapewniają najściślejszą zażyłość, poczucie przynależności, solidarność i braterstwo wynikają z silnych więzi łączących się z ograniczonością przekonań i hierarchizacją. Podstawą takiej więzi jest demonizacja obcych. Wspólnoty demokratyczne – jedyna bezpieczna forma wspólnoty – w miarę jak przybierają coraz bardziej otwarty, egalitarny i dobrowolny charakter, stają się

coraz mniej braterskie, oparte na solidarności i satysfakcjonujące. „Demokratyczna wspólnota" to swego rodzaju oksymoron. Wspólnoty, które określają się w sposób sztywny, przede wszystkim przez odniesienie do wrogów, potrafią zespolić ludzi w zwartą grupę, której nikt nie jest w stanie rozerwać. Takie, które na mocy wyobraźni określają się poprzez wspólny system wartości, wspólne działanie i wybrane cele, są otwarte i egalitarne, ale bywają często bardziej podatne na rozpad. Nadzieja społeczeństwa obywatelskiego, wyrażona w tej książce, zawiera się w tym, że umiłowanie wolności i imperatyw równości staną się dla demokratycznych wspólnot niezbędną siłą dośrodkową integrującą, jaką wspólnoty mniej otwarte posiadają z natury.

Z krytyką spotkało się podjęcie przeze mnie kwestii Dżihadu i samo użycie tego słowa w tytule książki. Choć wyjaśniłem, że posługuję się tym terminem w ogólnym sensie, niezależnie od jego związku z religią islamu, i choć podkreśliłem, że w samym islamie napotkać można zarówno demokratyczne, jak i niedemokratyczne zjawiska i potencjał, niektórzy czytelnicy uznali, że użyty przeze mnie termin odnosi się w szczególny sposób do islamu i został w sposób pejoratywny zastosowany do krytyki zjawisk spoza jego kręgu. Co prawda to ekstremistyczne grupy, jak Islamski Dżihad, skojarzyły to słowo z walką zbrojną przeciw niewiernym, rzecznikom świeckości i modernizacji, ale zdaję sobie sprawę, że przeważająca większość pobożnych muzułmanów, która nie żywi do Islamskiego Dżihadu większej sympatii niż pobożni chrześcijanie dla Ku-Klux-Klanu czy Milicji z Montany, mogła się niesprawiedliwie poczuć urażona tytułem mojej książki. Jestem im winien przeprosiny i mam nadzieję, że zajrzą także do środka książki, by zapoznać się z rozumowaniem, które wyjaśnia, że cały mój wywód mało ma wspólnego z islamem jako religią czy z klasyfikowaniem muzułmanów jako jedynych wrogów McŚwiata.

O wiele mniej jestem wyrozumiały dla tych, którzy przeczytali tylko jedną z części książki i oszczędzając sobie wysiłku umysłowego doszli do wniosku, że piszę tylko o Dżihadzie, albo tylko o McŚwiecie. Niektórzy krytycy wrzucili *Dżihad kontra McŚwiat* i jego autora do jednego worka z prorokami pandemonium, w rodzaju Roberta D. Kaplana (*The Ends of the Earth*) czy Samuela P. Huntingtona (*Starcie cywilizacji*)[11]. Każdy, kto przeczytał tę książkę od deski do deski dostrzeże jednak wyraźnie, że w gruncie rzeczy nie traktuje ona ani o Dżihadzie, ani o McŚwiecie, tylko o demokracji i zagrożeniach dla demokracji w świecie, gdzie siły komercji oraz siły reagujące na komercję zwarły się ze sobą w walce.

Najwyraźniej dostrzegł to prezydent Bill Clinton, który stwierdził: „Pan Barber dowodzi, że demokracja i możliwość integrowania ludzi zagrożone są dzisiaj przez globalizację ekonomii i przez świat, którego ludzie, jak im się wydaje, nie są w stanie kontrolować. Dlatego tym ważniejsze jest dzisiaj, by demokracja działała, by funkcjonowały jej podstawowe wartości, stając się rzeczywistością w życiu zwykłych obywateli"[12].

Prezydent Clinton zrozumiał to, co zostało przeoczone przez wielu krytyków: otóż dla zwykłych ludzi uwięzionych między Dżihadem a McŚwiatem walka tych dwóch zjawisk jest batalią o zachowanie demokracji i rozbudowę społeczeństwa obywatelskiego. Prawdziwym tematem tej książki jest więc walka o demokrację. Obchodzi mnie nie tyle kapitalizm, co społeczeństwo obywatelskie i to, co kapitalizm z nim wyczynia; nie tyle religia i poczucie etniczne, co cnoty obywatelskie i ich zagrożenie przez fundamentalistyczny fanatyzm. Potrzebne są nam rynki będące motorem produktywności, pracy i wytwarzania dóbr; potrzebujemy kultury i religii, by umacniać solidarność, tożsamość i spójność społeczną, a także poczucie wartości duchowych. Przede wszystkim jednak potrzebne są nam instytucje demokratyczne zdolne do zagwarantowania wolności nawet w zaściankowych

społecznościach, a także zdolne do zachowania naszej równości i cennego zróżnicowania nawet na kapitalistycznych rynkach. Gdy pośrednie instytucje obywatelskie umocnią swoją pozycję, a demokracja znów stanie się suwerennym gwarantem naszych zróżnicowanych światów, Dżihad będzie mógł się ograniczyć do zdrowych form kulturowych odrębności i tożsamości grupowej, a McŚwiat zajmie należne mu i ściśle określone miejsce ekonomicznego motoru dla świata, w którym ekonomia jest ważnym, ale tylko jednym z wielu wymiarów. Gdy ekscesy McŚwiata znajdą się pod kontrolą, wspólnoty krwi i ducha nie będą musiały wypowiadać mu wojny. Poza tematycznymi parkami komercji będziemy mogli odkryć swobodne przestrzenie, gdzie znajdzie się miejsce nie tylko dla konsumentów, ale i dla obywateli.

1 czerwca 1996
Piscataway Township

ANEKS A

Wskaźnik sprawiedliwego rozdziału energii (JEDI – Justice of Energy Distribution Index)

Głównym tematem tej książki nie jest analiza zużycia energii, ale należy zdać sobie sprawę, iż rażący brak równowagi w jej produkcji, dystrybucji i konsumpcji zagraża globalnej integracji w takiej postaci, do jakiej zmierza McŚwiat. Wystarczą dwa wskaźniki (oparte na danych statystycznych z *The Economist Book of Vital World Statistics: 1990*, Times Books, Nowy Jork 1990), by wyraźnie ukazać, jak niesprawiedliwie kształtuje się sytuacja.

Porównując ilość energii zużywanej przez dane państwo w przeliczeniu na odsetek światowego jej zużycia z liczbą jego mieszkańców, też przedstawioną w postaci odsetka ludności świata, otrzymamy wskaźnik sprawiedliwego rozdziału energii (JEDI – A). Nie ma mowy o sprawiedliwości, gdy wskaźnik ten jest wyższy niż 1. Państwa (47) ujęte w tabeli to reprezentatywna próba krajów Pierwszego, Drugiego i Trzeciego Świata. Niektóre są producentami i eksporterami, inne wyłącznie importerami paliw kopalnych.

Tabela 1. Zużycie energii i liczba ludności (1990)

Kolejność/Kraj		% ludności świata	% światowej energii	JEDI-A
1.	Czad	0,11	0,001	0,009
2.	Etiopia	0,94	0,01	0,01
3.	Mozambik	0,29	0,005	0,02
4.	Bangladesz	2,06	0,07	0,03
5.	Zair	0,66	0,02	0,03
6.	Sri Lanka	0,33	0,016	0,03
7.	Irak	1,02	0,12	0,12
8.	Pakistan	2,07	0,27	0,13
9.	Boliwia	0,14	0,02	0,14
10.	Indie	15,67	2,24	0,14
11.	Indonezja	3,44	0,49	0,14
12.	Filipiny	1,15	0,16	0,14
13.	Tajlandia	1,07	0,28	0,26
14.	Egipt	1,02	0,36	0,35
15.	Chiny	21,71	8,49	0,39
16.	Brazylia	2,84	1,13	0,40
17.	Zimbabwe	0,17	0,07	0,41
18.	Albania	0,06	0,04	0,67
19.	Malezja	0,33	0,22	0,67
20.	Kuba	0,20	0,15	0,75
21.	Wietnam	1,26	1,08	0,86
22.	Meksyk	1,63	1,43	0,88
23.	Korea Południowa	0,82	0,76	0,93
24.	Argentyna	0,63	0,63	1,00
25.	Hongkong	0,11	0,11	1,00
26.	Mongolia	0,04	0,04	1,00
27.	Hiszpania	0,77	0,85	1,10
28.	Jugosławia	0,46	0,59	1,28
29.	Puerto Rico	0,07	0,09	1,29
30.	Korea Północna	0,43	0,60	1,40
31.	Izrael	0,09	0,13	1,44
32.	Republika Południowej Afryki	0,58	0,85	1,47
33.	Libia	0,08	0,12	1,50
34.	Francja	1,10	2,15	1,95
35.	Węgry	0,20	0,42	2,10
36.	Japonia	2,41	5,12	2,12
37.	Wielka Brytania	1,12	3,03	2,70
38.	Szwecja	0,16	0,44	2,75
39.	Dania	0,10	0,29	2,90
40.	Belgia	0,19	0,57	3,00
41.	Arabia Saudyjska	0,28	0,90	3,21
42.	Związek Radziecki	5,58	19,56	3,51
43.	Australia	0,33	1,16	3,52

44.	Norwegia	0,08	0,30	3,75
45.	Kuwejt	0,04	0,18	4,50
46.	Stany Zjednoczone	4,84	24,24	5,01
47.	Kanada	0,51	2,65	5,20

Porównując z kolei ilość zużywanej przed dany kraj energii (jako odsetek światowego zużycia) z procentowym udziałem tego kraju w światowym PKB, otrzymamy wskaźnik sprawiedliwego rozdziału energii (JEDI-B). Jeśli przewyższa 1, oznacza to gospodarczą niewydajność, będącą także formą niesprawiedliwości (patrz tabela 2). Standardem nie jest jakaś absolutna sprawiedliwość, pytanie brzmi: jeśli dane państwo zużywa więcej energii, niż to by mu się należało ze względu na liczbę ludności, to czy produktywność jego gospodarki uzasadnia takie zużycie.

Tabela 2. Zużycie energii a PKB (1990)

	Kraj	Udział (%) w światowym PKB (%)	Udział (%) w światowym zużyciu energii	JEDI-B
1.	Czad	0,86	0,001	0,001
2.	Etiopia	0,03	0,01	0,33
3.	Japonia	16,00	5,12	0,32
4.	Hongkong	0,30	0,11	0,37
5.	Irak	0,30	0,12	0,40
6.	Francja	5,30	2,15	0,41
7.	Szwecja	1,00	0,44	0,44
8.	Hiszpania	1,90	0,85	0,45
9.	Dania	0,60	0,29	0,48
10.	Mozambik	0,01	0,005	0,50
11.	Sri Lanka	0,04	0,02	0,50
12.	Zair	0,04	0,02	0,50
13.	Brazylia	2,00	1,13	0,57
14.	Boliwia	0,03	0,02	0,67
15.	Izrael	0,23	0,13	0,57
16.	Norwegia	0,51	0,30	0,59
17.	Belgia	0,86	0,57	0,66
18.	Wielka Brytania	4,60	3,03	0,66
19.	Bangladesz	0,10	0,07	0,70
20.	Filipiny	0,22	0,16	0,73
21.	Korea Południowa	0,96	0,76	0,79
22.	Libia	0,14	0,12	0,86
23.	Tajlandia	0,32	0,28	0,88
24.	Australia	1,30	1,16	0,89
25.	Stany Zjednoczone	27,30	24,24	0,89
26.	Puerto Rico	0,10	0,09	0,90
27.	Kanada	2,70	2,65	0,98
28.	Kuba	0,15	0,15	1,00
29.	Indonezja	0,46	0,49	1,07
30.	Malezja	0,19	0,22	1,16
31.	Pakistan	0,23	0,27	1,17
32.	Argentyna	0,49	0,63	1,29
33.	Meksyk	0,97	1,43	1,47
34.	Indie	1,50	2,24	1,49
35.	Kuwejt	0,11	0,18	1,64
36.	Republika Południowej Afryki	0,49	0,85	1,73
37.	Jugosławia	0,30	0,59	1,97
38.	Albania	0,02	0,04	2,00
39.	Egipt	0,17	0,36	2,12
40.	Arabia Saudyjska	0,42	0,90	2,14
41.	Zimbabwe	0,03	0,07	2,33
42.	Węgry	0,16	0,42	2,63

43.	Mongolia	0,01	0,04	4,00
44.	Korea Północna	0,11	0,60	5,45
45.	Związek Radziecki	3,27	19,56	5,98
46.	Chiny	1,19	8,49	7,13
47.	Wietnam	0,06	1,08	18,00

W idealnie sprawiedliwym świecie państwo zużywałoby taki mniej więcej odsetek światowej konsumpcji energii, jaki stanowi liczba jego mieszkańców w skali globu, dla wytworzenia swego produktu krajowego brutto także potrzebowałoby jej tyle, ile wynosi jego proporcjonalny wkład do PKB w skali światowej. W świecie nie tak idealnie sprawiedliwym państwa mogą zużywać trochę więcej energii, niż wynikałoby to z liczby ich mieszkańców, ale nie więcej niż stanowi ich wkład do światowego PKB. Jak wynika jednak z powyższych tabel, większość krajów wysoko rozwiniętych i wcale nie tak mało mniej rozwiniętych zużywa nieproporcjonalne ilości energii w stosunku do liczby ludności i wytwarzanego PKB.
Z naszych zestawień wynika, że Dżihad raczej osłabia wydajność ekonomiczną. Kraje będące w jego zasięgu mają mniejszy produkt krajowy brutto. Z drugiej jednak strony zużywają mniej energii, przez co plasują się na lepszych miejscach w rankingu stosunku konsumpcji energii do liczby ludności. Siły McŚwiata powodują większe zużycie energii, poprawiają jednak wydajność, przez co dany kraj zajmuje lepsze miejsce w drugim zestawieniu. Ani Dżihad, ani McŚwiat nie mają zasadniczo interesu w zaprowadzaniu sprawiedliwości. Najbiedniejsze państwa, nie posiadające ani zasobów energii ani wydajnej gospodarki najgorzej wypadają. Pod względem zużycia energii zaliczają się automatycznie do kategorii „dobrych obywateli”, ponieważ w brutalnej rywalizacji McŚwiata nie są obywatelami w ogóle.

Aneks B

Pierwsza dziesiątka najbardziej kasowych filmów w wybranych 22 krajach w 1991 roku

Kraj	1	2	3
Argentyna	Terminator 2	Tańczący z wilkami	Ojciec chrzestny 3
Austria	Tańczący z wilkami	Kevin sam w domu	Robin Hood
Brazylia	Terminator 2	Tańczący z wilkami	Robin Hood
Chile	Terminator 2	Tańczący z wilkami	Dzika orchidea
Dania	Tańczący z wilkami	**The Crumbs**	Robin Hood
Egipt	Tańczący z wilkami	Duch	Zabójcza broń 2
Finlandia	**Mr. Numbskull**	Naga broń 2 1/2	Terminator 2
Francja	Tańczący z wilkami	Terminator 2	Robin Hood
Grecja	Hook	Milczenie owiec	Robin Hood
Hiszpania	Tańczący z wilkami	Terminator 2	Robin Hood
Holandia	Tańczący z wilkami	Robin Hood	Gliniarz w przedszkolu
Islandia	Tańczący z wilkami	Kevin sam w domu	Naga broń 2 1/2
Japonia	Terminator 2	Kevin sam w domu	Pretty Woman
Malezja	Terminator 2	**The Banquet**	**Armor of God 2**
Meksyk	Terminator 2	Robin Hood	**Pelo Suelto**
Niemcy	Kevin sam w domu	Tańczący z wilkami	Robin Hood
Polska	Tańczący z wilkami	Robin Hood	Pretty Woman
Szwajcaria	Tańczący z wilkami	Kevin sam w domu	Robin Hood
Szwecja	Pretty Woman	Mała syrenka	**The Gas Station**
Węgry	I kto to mówi 2	Terminator 2	Gliniarz w przedszkolu
Wielka Brytania	Robin Hood	Terminator 2	Milczenie owiec
Włochy	**Johnny Stecchino**	Robin Hood	**Women in Skirts**

(półgrubym drukiem wyróżniono filmy produkcji krajowej)

Kraj	4	5	6
Argentyna	Robin Hood	Sypiając z wrogiem	Naga broń 21/2
Austria	Terminator 2	Naga broń 21/2	Tylko razem z córką
Brazylia	Predator	Wojownicze Żółwie Ninja	Milczenie owiec
Chile	Wojownicze Żółwie Ninja	Wszystkie psy idą do nieba	Robin Hood
Dania	Kevin sam w domu	Sypiając z wrogiem	Gliniarz w przedszkolu
Egipt	Ojciec chrzestny 3	Pamięć absolutna	Robin Hood
Finlandia	Tańczący z wilkami	Kevin sam w domu	Robin Hood
Francja	Milczenie owiec	Biały Kieł	Alicja
Grecja	Terminator 2	Przylądek strachu	Naga broń 2 1/2
Hiszpania	Milczenie owiec	Kevin sam w domu	**Wysokie obcasy**
Holandia	Terminator 2	Naga broń 2 1/2	Milczenie owiec
Islandia	Milczenie owiec	Robin Hood	Kobieta i mężowie
Japonia	Pamięć absolutna	**Omoide Poroporo**	**Doraemon**
Malezja	Robin Hood	Tańczący z wilkami	**Oper. Scorpio**
Meksyk	**V. Peligroso**	Tańczący z wilkami	**Vacaciones 2**
Niemcy	Terminator 2	Tylko razem z córką	Naga broń 2 1/2
Polska	Indiana Jones 3	I kto to mówi 2	Gremlinsy 2
Szwajcaria	Terminator 2	Tylko razem z córką	Zielona karta
Szwecja	Tańczący z wilkami	Kevin sam w domu	Die Hard 2
Węgry	Hot Shots	Naga broń 2 1/2	Tańczący z wilkami
Wielka Brytania	Kobieta i mężowie	Kevin sam w domu	Tańczący z wilkami
Włochy	Terminator 2	**Christmas Vacation**	Dying Young

7	8	9	10
Kevin sam w domu	Duch	Tie Up/Down	Przebudzenia
Gliniarz w przedszkolu	Milczenie owiec	Sypiając z wrogiem	I kto to mówi 2
Dying Young	Sypiając z wrogiem	Gliniarz w przedszkolu	Kickboxer
Milczenie owiec	Kevin sam w domu	Doors	**La Frontera**
I kto to mówi 2	Milczenie owiec	Naga broń 2 1/2	Terminator 2
Terminator 2	Dzikość serca	Weekend at Bernie's	Wojownicze Żółwie Ninja
S.M. Kormy	Milczenie owiec	Gliniarz w przedszkolu	Hudson Hawk
Une Epoque	Hot Shots	**Op Corned Beef**	Thelma i Louise
Kochanek	Podwójne życie Weroniki	Książę przypływów	Thelma i Louise
Gliniarz w przedszkolu	Regarding Henry	Cyrano Bergerac	Duch
Sypiając z wrogiem	Kevin sam w domu	I kto to mówi 2	Mała syrenka
Sypiając z wrogiem	Terminator 2	**Child/Nature**	Misery
Dragon Ball	**Torajiro**	**Kyujitsu**	**Dragon Ball**
Tańczący z wilkami			
Tricky Brains	**Fist/Fury**	**Top Bet**	**Fruit Punch**
Milczenie owiec	Bronco	Kobieta i mężowie	**Como Fui**
Pappa Portas	Milczenie owiec	Zielona karta	I kto to mówi 2
Linia życia	Pogromcy duchów	Kopciuszek	Polowanie na Czerwony Październik
Naga broń 2 1/2	Gliniarz w przedszkolu	Mała syrenka	Milczenie owiec
Milczenie owiec	Kobieta i mężowie	Polowanie na Czerwony Październik	Sypiając z wrogiem
Kevin sam w domu	Oscar	-	-
Sypiając z wrogiem	Naga broń 2 1/2	Gliniarz w przedszkolu	Commitments
Thought Love	Hook	JFK	**Damn/Met**

Źródło: *Variety International Film Guide 1993*

Przypisy

Przedmowa

1. Francis Fukuyama, *Koniec historii*, przeł. Tomasz Bieroń, Marek Wichrowski, Zysk i Ska, Poznań 1996. Co prawda w tej książce mniej jest zachwycony swoją prognozą niż w artykule zamieszczonym w *National Interest*, który wywołał całą tę dyskusję. Patrz także: Walter B. Wriston, *Twilight of Sovereignty*, Scribner's, Nowy Jork 1992.
2. Patrz Georgie Anne Geyer, *Our Disintegrating World: The Menace of Global Anarchy*, Encyclopaedia Britannica, Book of the Year 1985 University of Chicago Press, Chicago 1985, s. 11–25; Daniel Patrick Moynihan, *Pandaemonium: Ethnicity in International Politics* Oxford University Press, Nowy Jork 1993, Zbigniew Brzezinski, *Out of Control: Global Turmoil on the Eve of the Twenty – First Century* Scribner's, Nowy Jork 1993. Także Tony Judt, *The New Old Nationalisms*, „The New York Review of Books", 26 maja 1994, s. 44–51.
3. Dwie wydane niedawno książki, cytowana powyżej praca Zbigniewa Brzezińskiego o „globalnym zamieszaniu" spowodowanym przez etniczny nacjonalizm (Dżihad), oraz Kevina Kelly'ego o komputerach i „powstaniu cywilizacji neobiologicznej" (McŚwiat) noszą tytuł *Out of Control* – „Poza kontrolą".
4. W swoim „nowym kursie na technologię", jak pisze dziennikarz *New York Timesa* Edmund L. Andrews, administracja Clintona chce tylko uniknąć działań, które mogłyby „wystraszyć inwestorów toporną regulacją". Spodziewa się raczej „zredukować bariery regulacyjne utrudniające konkurencję". Edmund L. Andrews, *New Tack on Technology*, „The New York Times", 12 stycznia 1994. Z zakończeniem kadencji Kongresu w 1994 roku wygasła sobie spokojnie Ustawa o Telekomunikacji, która mogła umożliwić w pewnym stopniu kontrolowanie informacyjnej superautostrady.
5. Rohatyna cytuje Thomas L. Friedman, *When Memory Talks, Governments Listen*, „The New York Times", 24 lipca 1994.
6. Steiner pisze, że demokratyczne rewolucje, jakich widownią była w ostatnich latach Europa Wschodnia, „nie były przepojone jakimś abstrakcyjnym umiłowaniem wolności czy sprawiedliwości społecznej". „Nowo wyzwoleni rzucili się na kasety wideo, porno, kosmetyki w amerykańskim stylu i *fast food*, a nie na dzieła Milla, Tocqueville'a i Sołżenicyna". Steinera cytuje Anthony Lewis, *A Quake Hits the Summit*, „International Herald Tribune", 2–3 czerwca 1990.

7. Cyt. w: Aleksa Djilas, *A House Divided*, „The New Republic", 25 stycznia 1993, s. 38.
8. W lutym 1994 roku około 80 000 żołnierzy sił zbrojnych ONZ stacjonowało w 18 krajach, z czego zaledwie garstka na granicach Izraela z wrogimi mu sąsiadami (Syrią i Libanem) oraz na granicach między Indiami i Pakistanem, i Irakiem, i Kuwejtem. Największe są jednak kontyngenty usiłujące (bez skutku) rozdzielić walczące frakcje w Somalii (ponad 26 000 żołnierzy), byłej Jugosławii (ponad 25 000), a także w Gruzji, na Cyprze, w Liberii, Angoli, Mozambiku, Rwandzie, na Saharze Zachodniej, Haiti, w Salwadorze i Kambodży. Bliższe dane podaje Brian Hall, *Blue Helmets, Empty Guns*, „The New York Times Magazine", 2 stycznia 1994.
9. David Binder, *Trouble Spots: As Ethnic Wars Multiply, U.S. Strives for a Policy*, „The New York Times", 7 lutego 1993.
10. Posługujący się tym terminem muzułmanie umyślnie zaciemniają niekiedy jego znaczenie. Występując przed arabskim audytorium w połowie 1994 roku, zaraz po wejściu z życie porozumienia dotyczącego Jerycho i Gazy, Jaser Arafat w bojowym tonie mówił o Dżihadzie na rzecz odzyskania Jerozolimy, potem zaś „wyjaśniał" zaniepokojonym Izraelczykom i ludziom z Zachodu, że miał na myśli walkę prowadzoną środkami pokojowymi.
11. Patrz Arthur Schlesinger Jr., *Disuniting America*, Norton, Nowy Jork 1993.
12. Na liście minimalisty znalazłyby się Holandia, Dania, Islandia, Luksemburg, Norwegia i Portugalia, czyli niespełna 1 procent ludności świata. Czasami do tej listy dodaje się również Japonię, i wtedy mamy prawie 5 procent.
13. „The Washington Post", tygodniowe wydanie ogólnokrajowe, 21–27 grudnia 1992, s. 28.
14. Cytowany przez Davida Bindera w *Trouble Spots*. Lansing nie był, rzecz jasna, przychylny wizji Wilsona i przeciwstawiał się niektórym aspektom jego polityki. Daniel Patrick Moynihan jest przekonany, że sam Wilson dostrzegł z czasem niebezpieczeństwa samostanowienia, bo przyznał pod koniec życia, że dał początek retoryce samostanowienia „nie zdając sobie sprawy, że narodowości istnieją", nie przewidział tym samym niszczycielskich sił, jakie idea ta wyzwoliła. Moynihan, *Pandaemonium*, s. 85.
    Nawet Amitai Etzini, gorący zwolennik komunitarianizmu, niepokoi się „złymi stronami samostanowienia". „Foreign Policy", nr 89, zima 1992–93, s. 21–35.
15. Mapa przyjęta na krótko przez walczące strony w 1994 roku była jeszcze gorszym ustępstwem na rzecz serbskich agresorów, chociaż przynajmniej próbowała połączyć ze sobą izolowane mikroskopijne etniczne enklawy. W czasie, gdy piszę tę książkę, wygląda na to, że zarówno NATO, jak i ONZ całkiem skapitulowały przed logiką siły.
16. Brytyjski dyplomata i historyk Harold Nicholson daje tragikomiczną relację z jednego z tych spotkań, jakie odbyły się po I wojnie światowej, w 1919 roku, kiedy to wykrojono państwa bałkańskie. Premier David Lloyd George przez pomyłkę wziął kolory stosowane na mapach fizycznych – zieleń oznaczającą niziny i brąz oznaczający wzniesienia – za obszary zamieszkane przez Greków i Turków. Wskazując na zielony

obszar Scala Nova powiedział do włoskich delegatów: „Nie możecie tego dostać – tu jest pełno Greków". Nicholson zwrócił swojemu szefowi uwagę, że jest tam pełno zielonych dolin, ale Greków bardzo mało. Negocjacje skończyły się smutnymi rezultatami, które, będąc „niemoralne i niepraktyczne", miały skazać Europę na nową wojnę. Harold George Nicholson, *Peace-Making: 1919*, Harcourt and Brace&Co., Nowy Jork 1939.

17. W swej nowej książce *Blood and Belonging*, której towarzyszył poruszający serial telewizyjny, Michael Ignatieff ukazuje nie tylko spektakl walk bratobójczych w Europie Wschodniej, lecz także Irlandię, Quebec i Niemcy. Zdaje sobie sprawę, że najbardziej skrajne przypadki mogą być po prostu zaawansowanym stadium choroby, która zakaża również zdrowe państwa. Michael Ignatieff, *Blood and Belonging: Journeys into the New Nationalism*, Farrar, Strauss & Giroux, Nowy Jork 1994.
18. Güntera Grassa cytuje Marla Stone, *Nationalism and Identity in (Former) East Germany*, „Tikkun", vol. 7, nr 6, listopad/grudzień 1992, s. 41–46.
19. Patrz Orlando Patterson, *Global Culture and the American Cosmos*, seria prac Andy Warhol Foundation for the Visual Arts, nr 2.
20. O tym właśnie pisze Walter B. Wriston w *Twilight*, zadając pytanie: „Jak rząd danego państwa może wymierzyć tworzenie się kapitału, skoro nowy kapitał ma w znacznej mierze intelektualny charakter?" (s. 12). Odpowiedź brzmi: nie może. Wriston, były dyrektor Citicorp, wchodzi jednak trochę za bardzo w rolę Panglossa technologii. Skłania się ku poglądowi, że wszystko się w końcu okaże, pod warunkiem, że uznamy nowe realia. Pomniejsza to w pewnym stopniu wartość dokonanej przez niego dokładnej analizy tychże realiów. Jest on pod głębokim wrażeniem wcześniejszych książek poświęconych rewolucji informatycznej i jej konsekwencjom dla państwowości (Ithiel de Sola Pool, *Technologies Without Boundaries*, Harvard University Press, Cambrigde 1990; Peter Drucker, *The New Realities*, Harper&Row, Nowy Jork 1989, George Gilder, *Microcosm*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1989). Wczesnym opracowaniem na podobny temat jest *Denationalisation of Money* F.A. Hayeka (Institute of Economic Affairs, Londyn 1976).
21. Były sekretarz stanu George Shultz, cytowany przez Wristona w *Twilight*, s. 10.
22. Ponowne przejęcie przez Partię Demokratyczną władzy wykonawczej nie zmieniło niczego w odniesieniu do ideologii rynkowej. Prezydent Clinton był ściśle związany z Democratic Leadership Council, której ekspertom zależało na odejściu od tradycyjnej antybiznesowej retoryki partii i doprowadzeniu do tego, by rząd i rynek wspierały się wzajemnie. W szeroko dyskutowanym oświadczeniu na temat zagranicznej polityki administracji Clintona doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Anthony Lake w kwiecistych słowach wychwalał mariaż rynku i demokracji, posługując się sformułowaniem „demokracja rynkowa" niczym jakimś historycznym terminem, występującym już w Wielkiej Karcie Praw czy w pismach federalistów. W wystąpieniu przed akademickim audytorium na Johns Hopkins University oświadczył ni mniej, ni więcej: „powstrzymaliśmy niebezpieczeństwo zagrażające w skali globalnej demokracjom rynkowym". Teraz Ameryka musi „skonsolidować nowe demokracje

i gospodarki rynkowe" oraz „przyczynić się do tego, by demokracja *oraz* gospodarka rynkowa zapuściły korzenie w tych częściach świata, gdzie kwestie humanitarne budzą największy niepokój". Te właśnie „siły wyzwalające (...) tworzą bogactwo i dają początek dynamice społecznej". Z drugiej strony, „państwa, które chcą zawrócić koło historii (...) rozkładają się od środka, zarówno pod gospodarczym, jak i duchowym względem". *Verbatim: A Call to Enlarge Democracy's Reach*, „The New York Times", 26 września 1993.

23. Sekretarz stanu prezydenta Clintona oświadczył w 1993 roku, że jego spotkanie z prezydentem Jelcynem jest wyrazem „poparcia dla demokracji i reformy wolnorynkowej w Rosji". Warrena Christophera cytuje Elaine Sciolino, *Clinton Will Visit Yeltsin*, „The New York Times", 23 października 1993.
24. „The New York Times" (12 września 1993) na pierwszej stronie działu ekonomicznego zamieścił artykuł Philipa Henona, w którym autor apelował do administracji Clintona o otwarcie się na wietnamski rynek. Artykuł nosił niedwuznaczny tytuł *Missing Out on a Glittering Market* („Niedostrzeganie wspaniałego rynku"). Tak się istotnie stało.
25. Aleksander Sołżenicyn, *To Tame Savage Capitalism*, „The New York Times", 28 listopada 1993.
26. Republika Czeska szczyci się, że dzięki aksamitnej rewolucji „reżim totalitarny został przekształcony w system demokratyczny i gospodarkę opartą na zysku", ale komu ten zysk przypadnie, na razie jeszcze nie wiadomo. Wkładka ogłoszeniowa Republiki Czeskiej w „The New York Times", 7 stycznia 1994, zamieszczona przed spotkaniem prezydentów Clintona i Havla w Pradze.
27. Robert McIntyre, *Why Communism Is Rising from the Ash Heap*, „The Washington Post", tygodniowe wydanie ogólnokrajowe, 20–26 czerwca 1994.
28. Brzezińskiego słusznie niepokoi zjawisko, które określa jako „permisywny róg obfitości" współczesnego świata, choć w odróżnieniu od Allana Blooma bardziej się skupia na analizowaniu samej trucizny niż badaniu przyczyn zagrożenia. Bliżej nieokreślony środek zaradczy, jaki proponuje, to odmiana Freudowskiej „powściągliwości", która pohamowałaby świat zachodni, równie wymykający się spod kontroli jak Trzeci Świat.
29. IRAN ZWALCZA NOWEGO WROGA: ZACHODNIĄ TELEWIZJĘ i SATELITY TRANSMITUJĄCE MTV SĄ DLA MUŁŁÓW GROŹNIEJSZE NIŻ KARABINY krzyczą wielkie nagłówki w *Wall Street Journal* (8 sierpnia 1994) nad artykułem Petera Waldmana, który cytuje irańskiego duchownego skarżącego się, że anteny satelitarne „szerzą zachodnią zarazę wrogą rodzinnym wartościom".
30. Jon Pareles, *Striving to Become Rock's Next Seattle*, „The New York Times", 17 lipca 1994.
31. Spośród prawie 15000 restauracji McDonalda blisko 4500, czyli jedna trzecia, znajduje się za granicą, z czego 1000 w samej Japonii. Gary Hoover, *Hoover's Handbook of American Business*, Reference Press, Austin 1994, s. 746–747.
32. Jack Lang, minister kultury w socjalistycznym rządzie Francji (do 1993 r.) wykazywał w tym względzie szczególną ambiwalencję. Osobiście prowadził kampanię przeciw językowi „franglais" i kaleczeniu francuszczyzny.

Domagał się ustaw chroniących język francuski (ustawa taka została przyjęta przez kolejny, konserwatywny rząd), walczył też podczas spotkań GATT o ochronę francuskiego przemysłu filmowego przed zakusami Hollywood, przy tym wszystkim jednak nie krył podziwu dla Amerykanów i ich kultury.

33. *All Things Considered*, audycja National Public Radio z dnia 2 grudnia 1993.
34. Slavenka Drakulic, *Love Story: A True Tale from Sarajevo*, „The New Republic", 26 października 1993.
35. Jest także „babuszka" przedstawiająca Michaela Jacksona, który ma w środku panterę, a ta z kolei szympansa.

CZĘŚĆ I. Nowy świat McŚwiata

1. Stary system gospodarczy i narodziny nowego McŚwiata

1. I dodaje: „Postanowiliśmy, że nie będziemy przystosowywać towarów do poszczególnych rynków, ale wszystkie rynki traktować tak samo". Cytuje go Louis Uchitelle, *Gillette's World View: One Blade Fits All*, „The New York Times", 3 stycznia 1994.
2. Grecja liczy około 10 mln mieszkańców, Irlandia 3,5 mln, a Szwajcaria 6,5 mln. McDonald's prowadzi obecnie około 15 000 restauracji w ponad 70 krajach, a 45 procent jego zysków pochodzi spoza Stanów Zjednoczonych. Andrew E. Serwer, *Mc Donald's Conquers the World*, „Fortune", 19 października 1994, s. 101–116.
3. W 1989 roku GM zatrudniał 775 000 pracowników w porównaniu z 876 000 w roku 1986. Dzisiaj jeszcze, pomimo dokonanych w ostatnich latach redukcji mających na celu ograniczenie kosztów, zatrudnia mniej więcej 700 000 osób.
4. Według ostatnich dostępnych danych statystycznych (1985–88) wydatki państwowe kształtowały się następująco: Senegal – 686 mln dolarów, Uganda – 327 mln, Boliwia – 619 mln, Islandia – 867 mln; łącznie około 2,5 mld. *The Economist Book of Vital World Statistics*, Times Books, Nowy Jork 1990, s. 136. Liczby dotyczące Domino podaje Gary Hoover, *Hoover's Handbook of American Business*, 1994, s. 243. Wydatki państwowe Portugalii wynosiły 17,4 mld, a Indonezji 17,2 mld dolarów.
5. W okresie 1985–88 wydatki państwowe Argentyny wynosiły przeciętnie 27,5 mld dolarów. *Vital World Statistic*, s. 137.
6. Roczny Raport Reeboka, 1992. Firma, niegdyś brytyjska, która ma główną siedzibę dyrekcji w Bolton w Anglii, i sprzedaje do 140 krajów świata obuwie produkowane w 6 państwach azjatyckich (m.in. w Tajlandii, Chinach i na Filipinach), jest amerykańska tylko w takim stopniu, jak dalece określa to sprzedaż jej wyrobów na rynku amerykańskim w danym roku (w 1992 było to 1,3 mld dolarów z ponad 3 mld sprzedaży globalnej).
7. Silnik jest jeszcze produkcji japońskiej. Podobne tendencje przejawiają się w całej branży: w roku 1993 Honda ujawniła, że o ile model accord pierwszej generacji z 1977 roku (produkowany w Marysville w stanie

Ohio) nie miał w sobie żadnych amerykańskich części, to w modelu z 1982 roku stanowiły one 50 procent, a nowa honda accord piątej generacji, której produkcję właśnie rozpoczęto, będzie już miała ponad 80 procent amerykańskich części. Doron P. Levin, *Honda Star Gets Another Sequel*, „The New York Times", 27 sierpnia 1993.

8. James Bennet, *Want a U.S. Car? Read the Label*, „The New York Times", 18 września 1994. Firma Mitsubishi w kampanii reklamowej na rynku amerykańskim szczyci się, że jej samochody „produkowane są w Ameryce", sprzedawane przez „stuprocentowo amerykańską korporację – Mitsubishi Motor Sales of America Inc." i że w swojej fabryce zatrudnia 37 000 Amerykanów – wszystko to składa się na „tradycję amerykanizacji"!
9. Jak podaje Robert Reich, kiedy Amerykanin kupuje pontiaca le mans produkcji General Motors za 20 000 dolarów, 6000 dolarów trafia do Korei Południowej (siła robocza, montowanie), 3500 do Japonii (silnik), 1500 do Niemiec (prace projektowe), 800 na Tajwan, do Singapuru i Japonii (drobne części) i 600 do Wielkiej Brytanii, Irlandii i na Barbados (usługi). Tylko 8000 dolarów zostaje dla udziałowców General Motors i amerykańskich prawników, zawierają się w tym również koszty ubezpieczenia i służby zdrowia. Patrz Robert Reich, *Work of Nations*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1991, s. 113–114.
   Podobnie wygląda sytuacja w innych gałęziach przemysłu. Boeing, przedmiot narodowej dumy Amerykanów, planuje obecnie rozpoczęcie produkcji Twinjeta 777, który ma zdominować rynek średnich samolotów u progu XXI wieku. W 20 procentach będzie on jednak produkowany przez Japończyków (firmy Mitsubishi, Kawasaki i Fuji), silniki będą od Rolls-Royce'a (oraz dwóch firm amerykańskich), płaty skrzydeł będą wyrabiane przez Alenię we Włoszech, brazylijska firma Embraer dostarczy stateczniki i końcówki skrzydeł, setki mniejszych przedsiębiorstw, m.in. z Korei, Singapuru, Irlandii Północnej i innych krajów także zaangażują się w ten projekt. Harvey Elliot, *Flying Foreign*, „The Economist: The World in 1993", wydanie specjalne „The Economist", 25 grudnia 1993–7 stycznia 1994.
10. Japońska firma Asahi Glass posiada 49 procent przedsiębiorstwa Corning, a Nippon Electric Glass jest właścicielem Owens-Illinois. Wspomniane amerykańskie firmy produkują większość kineskopów. Keith Bradsher, *In Twist, Protectionism Used to Sell Trade Pacts*, „The New York Times", 7 listopada 1993.
11. Bliżej własnego podwórka: ci, którzy przepowiadali całkowity upadek amerykańskiego przemysłu samochodowego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (w ich ślady poszli niektórzy historycy, jak Paul Kennedy, zapowiadając schyłek potęgi gospodarczej Stanów Zjednoczonych) musieli odwołać swoje proroctwa. Detroit wróciło do dawnej chwały, a Japonia, zadowolony z siebie „przywódca", musi teraz nadganiać. Patrz: Paul Ingrassia, Joseph B. White, *Comeback: The Fall and Rise of the American Automobile Industry*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1994.
12. Samochód doczekał się w Ameryce pomnika. W Alliance w stanie Nebraska atrakcją turystyczną stała się replika Stonehenge zbudowana z wraków samochodowych, tzw. „Carhenge". Pocztówki z Carhenge

można kupić w miejscowym McDonaldzie. Patrz *Fossil Fuels*, „U. Magazine", wrzesień 1994.
13. *Mondialisation et ségrégation*, „Le Monde diplomatique: Les frontieres de l'économie globale", maj 1993, s. 7.
14. Robert Kuttner, *Brave New Corporate „Workplace of the Future"*, „The Berkshire Eagle", 1 sierpnia 1993. Kuttner wystąpił na zorganizowanej przez Aspen Institute konferencji „Korporacja jutra".
Tom Peters w książce *Liberation Management*, będącej przykładem korporacyjnej utopii nowej ery, pisze: „zmienia się definicja każdego produktu i usługi. Są miękkie, coraz miększe. Stają się zmienne, efemeryczne, zależne od mody... Drogę toruje istna eksplozja nowych konkurentów i wszechobecne nowe technologie". Tom Peters, *Liberation Management: Necessary Disorganization for the Nano-second Nineties*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1993, s. 6.
15. Pojęcie cyberprzestrzeni (zaczerpnięte z klasycznej pracy Norberta Wienera o technologii interaktywnej komunikacji i cybernetyce, z lat czterdziestych) wprowadził do języka potocznego William Gibson, autor trylogii *Neuromancer*, *Count Zero* i *Mona Lisa Overdrive*, która ukazała się na początku lat osiemdziesiątych. Z technicznego punktu widzenia termin ten oznacza niewidzialną elektroniczną przestrzeń informacyjną między klawiaturą komputera (wejście) a komputerowym ekranem (wyjście). „The New York Times" w 1994 roku poświęcił prawie cały numer swego „Book Review" książkom powstającym w komputerach oraz literackiej kulturze cyberprzestrzeni. Od tamtej pory omawia również „książki" ukazujące się na CD-ROM.
16. Julie Edelson Halpert, *Technology: One Car, Worldwide, with Strings Pulled from Michigan*, „The New York Times", 29 sierpnia 1993.
17. IBM planuje restrukturyzację na ogromną skalę, doprowadzi to do likwidacji ponad 60 000 miejsc pracy. Choć jej koszty wyniosą prawie 9 mld dolarów, w dłuższej perspektywie pozwoli zaoszczędzić ponad 4 miliardy dolarów rocznie. IBM był w kiepskiej formie (40 mln dolarów strat w drugim kwartale 1993 roku), ale Procter & Gamble nie miał powodów do narzekań, a mimo to mniej więcej w tym samym czasie, latem 1993 roku, ogłosił likwidację 13 000 stanowisk pracy, czyli zwolnienie 12 procent personelu (z czego jednej trzeciej w Stanach Zjednoczonych). Inne korporacje, w tym General Electric, AT&T, Johnson & Johnson, Chubb Group, Eastman Kodak i Raytheon uznały ograniczanie siły roboczej za nieodzowny warunek konkurencyjności. Planowane przez administrację Clintona na 1997 rok zaprzestanie subsydiowania żeglugi morskiej może doprowadzić do likwidacji 20 000 miejsc pracy. Don Philips, *Pulling the Plug on American – Flag Ships*, „The Washington Post", 24–30 maja 1993.
18. Robert Samuelson, *The Global Village Revisited*, „Vital World Statistic", s. 4.
19. Przyczyniły się do tego takie państwa, jak Stany Zjednoczone, Niemcy, Francja, Wielka Brytania i Arabia Saudyjska, z których każde jest zapewne żywo zainteresowane nierozprzestrzenianiem broni atomowej. Głównym winowajcą są Niemcy Zachodnie (102 transakcje z Irakiem), ale Stany Zjednoczone, Szwajcaria i Wielka Brytania zawarły po dwadzieścia kilka transakcji, a Brazylia, Włochy, Austria, Francja i Japonia

od 5 do 14. Douglas Jehl, *The World: Who Armed Iraq? Answers the West Didn't Want to Hear*, „The New York Times", 18 lipca 1993. Interesy robią jednak nie państwa, tylko firmy występujące nominalnie pod państwową flagą. Jak zauważył znawca spraw Bliskiego Wschodu Anthony Cordesman: „Wystarczy jedno duże zamówienie zagraniczne, żeby firma stała się ślepa na przepisy prawa". Dotyczy to również, jak można przypuszczać, kwestii bezpieczeństwa „macierzystego" państwa. Tamże.

20. Patrz Uchitelle, *Gillette World Wiew...*, cyt. wyd.
21. Lester Brown i wsp. (red.), *Vital Signs 1993: The Trends That Are Shaping Our Future*, Worldwatch Institute, Waszyngton 1993, s. 74–75.
22. Andrew Pollack, *Honda Set to Increase U.S. Output*, „The New York Times", 20 września 1993.
23. Andrew Pollack, *Today's Corporate Game Plans Know No Boundaries: Mabuchi Motors; an Un – Japanese Model for Japan*, „The New York Times", 3 stycznia 1994.

2. Zasoby naturalne: koniec autarkii i zmierzch Zachodu

1. Poza krajami OECD i Koreą Południową (Samsung Group zajmuje 18. miejsce), bardzo niewiele firm innych państw figuruje w tej pięćsetce. Jest tych firm 17 (ranking z 1992 roku) i prawie wszystkie to kompanie naftowe, jak wenezuelska PDVSA (pozycja 56.), PEMEX z Meksyku (pozycja 57.), Indian Oil (pozycja 188.) i malezyjska Petronas (pozycja 226.) lub przedsiębiorstwa górnicze. Wśród tych ostatnich są jedyne na liście firmy z Afryki na południe od Sahary – kilka kompanii południowoafrykańskich oraz Industrial & Mining z Zambii (jedyna firma z kraju Czarnej Afryki – pozycja 457.). „Fortune", 26 lipca 1993, s. 191–204.
2. Od 1950 roku nawozy zaczęły odgrywać coraz większą rolę w wyżywieniu zwiększającej się liczby ludności świata. O ile z jej wzrostem kurczył się areał ziemi uprawnej w przeliczeniu na mieszkańca, o tyle zużycie nawozów na osobę systematycznie wzrastało i jeszcze kilka lat temu wyprzedzało przyrost ludności. Tendencje te faworyzowały rolnictwo w krajach wysoko rozwiniętych, działając niekorzystnie dla rolnictwa na tych obszarach, gdzie ludności w szybkim tempie przybywa. Udział rolnictwa w gospodarce oraz liczba zatrudnionych w tym sektorze nie są skorelowane z jego produkcją globalną. Kraje OECD przeznaczają na rolnictwo niespełna 3 procent produktu narodowego brutto, z nich pochodzi jednak 28 procent światowej produkcji zbóż (*The Economist Book of Vital World Statistics*, Times Books, Nowy Jork 1990, s. 56).
W Stanach Zjednoczonych w rolnictwie pracuje niespełna 2,5 procent siły roboczej, kraj ten jednak jeszcze w 1988 roku był drugim światowym producentem zboża (na pierwszym miejscu znajdowały się Chiny, gdzie w rolnictwie pracuje prawie 70 procent siły roboczej), owoców (po Brazylii, zatrudniającej w rolnictwie jedną czwartą siły roboczej) i czwartym producentem warzyw (po Chinach, Indiach i byłym Związku Radzieckim). *Vital World Statistics*, cyt. wyd., s. 62–66. Głównym elementem statystycznym jest tutaj „wydajność rolnictwa mierzona zużyciem

nawozów i zastosowaniem traktorów" – tamże, s. 58–59. Patrz także: *Vital Signs 1993: The Trends That Are Shaping Our Future*, Worldwatch Institute, Waszyngton 1993, s. 19.

3. *Vital World Statistics*, cyt. wyd., s. 36–38.
4. Jest kilka osobliwych przypadków, jak Albania, która po załamaniu się komunizmu z kraju Drugiego Świata stała się krajem Trzeciego Świata.
5. Paul Kennedy, *Preparing for the Twenty – First Century*, Vintage Books, Nowy Jork 1994, s. 193 [pol. wyd. *U progu XXI wieku (przymiarka ku przyszłości)*, tłum. Piotr Konczewski, Puls, 1994].
6. Christopher J. Schmitz, *World Nonferrous Metal Production and Prices: 1700–1976*, Frank Cassas & Co., Ltd, Totowa 1979, s. 48–53. W początkach industrializacji pierwsze miejsce wśród producentów zajmowała Francja, później wyprzedziły ją Jamajka, Surinam i Gujana, a następnie Australia.
7. *Historical Statistics of the United States: Colonial Times to 1970*, część 1 i 2, Department of Commerce, Bureau of the Census, Waszyngton 1975.
8. Dane z okresu po roku 1970 zaczerpnięto z *Metal Statistics Annual Reports (1993–1960)*, Metallgesellschaft AG, Frankfurt 1993. Nie są podane w tonach, lecz w tysiącach ton.
9. Schmitz, *World Nonferrous Metal*, s. 53. Wśród 6 największych światowych potentatów w branży aluminium znajdują się do tej pory 3 kompanie amerykańskie. Ze względu na wymogi ochrony środowiska oraz wysokie koszty siły roboczej, zakłady przetwórcze przenoszą się jednak za granicę, zwiększając tym samym uzależnienie Ameryki. Więcej informacji o firmach amerykańskich znajdzie czytelnik w książce Stevena Kendalla Hollowaya, *The Aluminium Multinationals and the Bauxite Cartel*, St. Martin's Press, Nowy Jork 1988; dane statystyczne o amerykańskiej produkcji zawiera *Aluminium, Alumina and Bauxite Annual Report*, Department of the Interior, Bureau of Mines, Waszyngton 1994.
10. Tak samo wygląda sytuacja w metalurgii, np. „Zastosowanie się do federalnych przepisów dotyczących ochrony środowiska pociąga za sobą koszty rzędu 6 centów przy produkcji tony ołowiu i 9–15 centów na tonie miedzi. W 1986 roku stanowiło to 20 procent ceny każdego z metali, ze zwyżką ich cen odsetek ten spadł obecnie do mniej więcej 10 procent". National Research Council, Committee on the Competitiveness of the Minerals and Metals Industry 1990, s. 14.
    Sytuacja może się zmienić przy zastosowaniu recyklingu. Ponad połowa śmieci z miejskich zwałowisk da się (po posortowaniu) spalić i użyć do produkcji energii (patrz Barry Meier, *Finding Gold, of a Sort, in Landfills*, „The New York Times", 7 września 1993). Jeśli chodzi o zużycie surowców mineralnych, od niedawna 25 procent udaje się w Ameryce uzyskiwać w drodze recyklingu. Jednakże w wielu wypadkach (na przykład ołowiu) nastręcza to trudności ze względu na wymogi bezpieczeństwa i ochrony środowiska. Patrz *Lead Annual Review: 1993*, Department of the Interior, Bureau of Mines, Waszyngton 1994.
11. Rocco Michael Paone, *Strategic Nonfuel Minerals and Eastern Security*, University Press of America, Lanham 1992, s. 57.
12. Clyde S. Brooks, *Metal Recovery from Industrial Wastes*, Lewis Publishers, Chelsea 1991, s. 5. Są jednak pewne granice, na przykład manganu,

niezbędnego przy produkcji żelaza i stali, nie da się odzyskiwać z odpadów, nie odkryto także jak dotąd odpowiednich substytutów. Patrz: *Manganese Annual Report: 1991*, Department of the Interior, Bureau of Mines, Waszyngton 1992, s. 3.

13. Niegdyś odzyskiwano tylko metale szlachetne, obecnie robi się to z miedzią, stopami miedzi, chromem, aluminium, kobaltem, kadmem, niklem, manganem, molibdenem, ołowiem, tytanem i cynkiem. Bardzo różne są uzyskiwane ilości – od całkiem nieznacznych w wypadku kadmu, manganu i molibdenu do 80 procent tytanu w postaci metalu (niezbędnego do produkcji podstawowych elementów samolotów i helikopterów). Tytan w postaci mineralnej, stosowany do wyrobu pigmentów (które z kolei występują w bardzo wielu produktach, takich jak farby, papier, tekstylia, pasta do zębów) nie może być odzyskiwany. Stany Zjednoczone są całkowicie uzależnione od jego importu. Patrz: Paone, *Nonfuel Minerals.*
14. W ostatnich latach odnotowano pewne sukcesy w dziedzinie odzyskiwania aluminium. W 1975 roku zaspokajano w ten sposób niespełna 10 procent amerykańskiego spożycia tego metalu, dziś zaspokaja się już 42 procent, głównie dzięki wtórnej obróbce odpadów. Wynika z tego, że na śmietniskach znajduje się rocznie 2 mln ton aluminium. Rozrzutne zużycie, które doprowadziło do uzależnienia od zagranicy, ma więc drugą stronę – dostarcza odpadów, których utylizacja umożliwia częściowe wyzwolenie się od tej zależności. Patrz: Brooks, *Metal Recovery.*
15. Paone, *Nonfuel Minerals*, cyt. wyd., s. 227. Nie zawsze, rzecz jasna, daje się łatwo znaleźć substytut. Na przykład chrom i kobalt mają dla współczesnej technologii podstawowe znaczenie. Stal nierdzewną da się wyprodukować bez niklu, ale chrom jest niezbędny, a nie uzyskano jak dotąd jego substytutu.
16. Bryłki zalegające dno Pacyfiku zawierają według szacunkowych ocen 359 razy więcej kobaltu, 83 razy więcej niklu i 9 razy więcej miedzi niż inne znane obecnie światowe zasoby. Tony Emerson, H. Takayama, *Into the Challenger Deep*, „Newsweek", 5 czerwca 1993.
17. Dokładne liczby i pożyteczny komentarz można znaleźć w *Vital Sign*, s. 46–63.
18. Stany Zjednoczone uzyskują na przykład prawie 75 procent energii elektrycznej ze spalania węgla, ropy i gazu, 17 procent z elektrowni jądrowych, 9,5 procent z hydroelektrowni i tylko 0,5 procent ze źródeł geotermicznych. Kilka zaledwie państw opiera się w głównej mierze na innych niż paliwa kopalne nośnikach energii. We Francji i Belgii 60 procent dostarczają elektrownie jądrowe, a w Nowej Zelandii, Kanadzie, Austrii i Szwajcarii energia elektryczna pochodzi w znacznej mierze z hydroelektrowni. Tymczasem dziesiątki krajów (zwłaszcza w Afryce i na Bliskim Wschodzie) wykorzystują wyłącznie paliwa kopalne. *Vital World Statistics*, s. 80–81.
19. Jeszcze do niedawna rowerów było w Chinach 250 razy więcej niż samochodów. Rower co prawda nadal służy jako podstawowy środek transportu, ograniczając uzależnienie od ropy naftowej, stali, kauczuku, aluminium itp. i nie przyczyniając się do zanieczyszczenia środowiska, ale Chiny planują znaczne zwiększenie produkcji samochodów. *Vital Signs*, s. 21.

20. C.A.S. Hall, C.J. Cleveland, R. Kaufmann, *Energy and Resource Quality: The Ecology of the Economic Process*, John Wiley and Sons, Nowy Jork 1986, s. 161.
21. The Energy Information Administration, *Annual Energy Review: 1991*, Department of the Interior, Waszyngton 1991.
22. Dane liczbowe według R. Samuelsona, *The Global Village*, wstęp do *Vital World Statistics*.
23. The Energy Information Administration, *Annual Energy Reports*, Department of the Interior, Waszyngton 1992.
24. W 1989 roku Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Kuwejt i Oman zajmowały (kolejno): 1. 2. 3. 8. i 9. miejsce w świecie pod względem zużycia energii na głowę ludności. Bez względu na skutki tego stanu rzeczy, nie były uzależnione od zagranicznych dostaw.
25. Niektóre państwa zachodnie pozbawione złóż paliw kopalnych przestawiły się na alternatywne źródła energii. Była już mowa o Szwajcarii, Austrii, Francji i Belgii (przypis 18). W Korei Południowej 49 procent, a w Japonii 27, 2 procent energii elektrycznej pochodzi z elektrowni jądrowych. *Vital World Statistics*, s. 81.
26. Prawie siedem ósmych zużywanych nośników pochodzi z importu – Francuzi za bardzo lubią jazdę samochodem! Kraj eksportuje poza tym znaczną część energii produkowanej w elektrowniach atomowych i musi importować, by pokryć lokalne zapotrzebowanie.
27. Patrz Aneks A.
28. *International Petroleum Encyclopedia*, Penwell Publishing, Tulsa 1993, s. 284–285.
29. Jane Perlez, *Ukraine Miners Bemoan the Costs of Independence*, „The New York Times", 17 lipca 1993.

3. Sektor przemysłowy i rosnąca potęga Wschodu

1. Paul Kennedy, *Mocarstwa świata. Narodziny, rozkwit, upadek*, przeł. Mirosław Kłuźniak, Książka i Wiedza, Warszawa 1994; Paul Kennedy, *U progu XXI wieku (przymiarka do przyszłości)*, przeł. Piotr Konczewski, Puls, 1994, David P. Calleo, *Beyond American Hegemony: The Future of the Western Alliance*, Wheatsheaf, Brighton 1987.
2. Wraz z Chinami są to faworyci magazynu „The Economist" na 1993 rok (*The World in 1993*).
3. *The Economist Book of Vital World Statistics*, Times Books, Nowy Jork 1990, s. 39. Do tej listy można dodać takie kraje, jak Puerto Rico, Kuba, Szwecja, Portugalia, Urugwaj, Zimbabwe, Meksyk, Brazylia i Turcja, gdzie co najmniej jedna czwarta produktu narodowego brutto pochodzi z przemysłu. Nie wymieniam tutaj państw Europy Wschodniej z lat osiemdziesiątych, ponieważ znaczenie sektora przemysłowego zostało tam wyolbrzymione, gdyż nie uwzględniano usług.
4. Joseph Nye, *Bound to Lead: The Changing Character of American Power*, Basic Books, Nowy Jork 1991, s. 33.
5. Zdaniem Nye'go, Huntingtona i innych przepowiednie o schyłku Stanów Zjednoczonych są przesadzone. Jeśli nowym kryterium rozwoju ma być ekonomia oparta na usługach, w informacyjno-telekomunikacyjnym

wydaniu (rynek inforozrywki), to takie kraje, jak Chiny i Japonia są mniej groźne, niż mogłoby się wydawać. W ujęciu Nye'go, Japonia, pomimo swego przemysłowego potencjału, to „jednowymiarowa potęga ekonomiczna". Nie utrzyma się na pozycji lidera, ponieważ brak jej zasobów kulturalnych i instytucjonalnych na skalę globalną – „miękkiej władzy" wywodzącej się z nowego sektora usług. Nye, *Bound to lead...*, s. 166.

6. Patrząc na dzieje Ameryki w dwudziestym wieku powinniśmy pamiętać, że dominująca pozycja w produkcji przemysłowej osiągnięta w czasie wojny była zawyżona, bo potencjał pozostałych państw uległ w tym czasie sztucznemu zaniżeniu. Nye sugeruje, że jeśli za punkt odniesienia przyjmie się rok 1938, a nie 1945, to nie odnotujemy żadnego upadku Ameryki, nawet w sektorze wytwórczym, tylko zejście z pozycji sztucznie wywyższonej w czasie wojny (Nye, *Bound to lead...*, s. 5–6). Dzisiaj pierwszych osiem największych banków świata to banki japońskie, amerykańskie są tylko dwa w pierwszej pięćdziesiątce – Citicorp na 25. pozycji i Chemical na 42. pozycji.
7. Przemysł ciężki nadal się, oczywiście, liczy. Jeszcze w 1970 roku Stany Zjednoczone wytwarzały 20 procent światowej produkcji stali, w 1985 roku ich udział spadł do 11 procent, ale od tamtej pory nie zmienił się lub nawet trochę zwiększył. *Statistical Abstract of the United States – 1992* (U.S. Bureau of Census, Waszyngton, s. 751, tabela 1266.
8. IBM znajduje się na miejscu 7., a General Electric na 9. Z pierwszych 100 korporacji 30 to firmy amerykańskie. Następna jest Japonia, ze 128 firmami spośród 500, potem Wielka Brytania (40), Niemcy (32) i Francja (30). „Fortune", 26 lipca 1993, s. 188.
9. „Business America", 6 kwietnia 1992.
10. Liczby podaję za: Gary Hoover, *Hoover's Handbook of World Business*, Reference Press, Austin 1994, s. 158–161.
11. Ameryka handluje głównie ze swoimi sąsiadami zrzeszonymi w NAFTA, podobnie kraje Wspólnoty Europejskiej i wybrzeża Pacyfiku ponad 60 procent obrotów handlowych mają z partnerami w obrębie tych regionów. *Vital World Statistics*, s. 152. W Europie obroty te regularnie się zwiększały od początku lat siedemdziesiątych.
12. Stwierdzenie o epoce historycznej to słowa byłego prezydenta Nigerii, generała Olusenguna Obasanjo. Pozostałe pochodzą z raportów także cytowanych przez Kennedy'ego, *Preparing for the Twenty – First Century*, Vintage Books, New York 1993, s. 210.
13. „Forbes", 19 lipca 1993, s. 182–184.
14. Wszystkie dane liczbowe podaję za G. Hooverem, *Hoover's Handbook of American Business*, Reference Press, Austin 1994, i *Hoover Handbook of World Business*.
15. Richard W. Stevenson, *IKEA's New Realities*, „The New York Times", 25 kwietnia 1993.

4. Od dóbr materialnych do niematerialnych

1. Bill Keller, *Transition in Africa*, „The New York Times", 25 września 1993.

2. „Fortune", 26 lipca 1993, s. 188–204. Oceny różnią się tak znacznie, bo uwzględniane są rozmaite media – słowo drukowane, radio i TV, tablice reklamowe (billboardy) i reklamowanie za pomocą poczty (*direct mail*).
3. Ben Bagdikian, *The Media Monopoly*, Beacon Press, Boston 1992, s. 246.
4. Lewis Cole, *Screenplay Culture*, „The Nation", 4 listopada 1991, s. 560–566.
5. Bernard Weinraub, *Ovitz Firm Gets AT&T Executive*, „The New York Times", 17 czerwca 1994.
6. Lester Brown i in. (red.), *Vital Signs 1993: The Trends That Are Shaping Our Future*, Worldwatch Institute, Waszyngton 1993, s. 80–81.
7. Tamże. Patrz też: Jackson Lears, *Fables of Abundance: A Cultural History of Advertising in America*, Basic Books, Nowy Jork 1994.
8. „Fortune", 26 lipca 1993, s. 188–204. Utrata prestiżu znanej marki może zrujnować firmę, o czym świadczą choćby przykłady Ovaltiny, papierowych ręczników White Cloud, papierosów Old Gold czy płynu do płukania ust Lavoris.
9. Luciano Benetton w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel", wrzesień 1994 („Krieg ist Realität"). Dodał, że firma przez szczerość nie straciła ani jednej akcji.
10. Reklama z motywem HIV była w istocie wstępem do kampanii wprowadzającej na rynek nowy magazyn pod znakiem firmowym Benettona, zatytułowany „Colors" („Kolory" – jakżeby inaczej?). Dlaczego firma konfekcyjna bierze się za wydawanie ekskluzywnego magazynu? Z tych samych powodów, dla których na stoiskach z prasą pojawił się „Sony Style" publikowany przez Sony: chodzi o nową formę reklamy, tak zwany „magalog". „Jest to po części magazyn mody, po części katalog. Wychodzi już ponad 100 takich hybryd; strategia polega na bezpośrednim docieraniu do konsumentów, każda strona jest traktowana jako okazja do reklamowania". Charles Lee, *Trends: Advertisers Move into Publishing*, „Newsweek", 1 listopada 1993.
11. Roddick musiała niedawno odwołać część swoich ekologicznych haseł.
12. Firma Quantum System Inc. z Ramsey w stanie New Jersey opatentowała system, który pozwala na słuchanie piętnastosekundowych reklam zamiast sygnału świadczącego o nieobecności abonenta albo o tym, że numer jest zajęty. Theresa Riordan, *Patents*, „The New York Times", 27 czerwiec 1994.
13. „Firma Space Marketing Inc. z Roswell wraz z Uniwersytetem Colorado mają zamiar umieścić na orbicie okołoziemskiej satelitę w postaci ekranu o szerokości jednej mili zrobionego z cienkiej plastikowej folii. Umieszczone na niej litery lub symbole pokryte aluminium odbijałyby promienie słoneczne. Informacja ta wywołała wiele szumu". Malcolm W. Browne, *City Lights and Space Ads May Blind Stargazers*, „The New York Times", 4 maja 1993.
14. Cytowane przez Donellę Meadows, *The Global Citizen*, „The Berkshire Eagle", 5 lipca 1993.
15. „Kup tego 24-latka, a zdobędziesz za darmo jego przyjaciół" – zachęca ogłoszenie MTV skierowane do reklamodawców. „Jeśli chłopak nic o tobie nie wie, tym lepiej. To on kształtuje opinię. Ogląda MTV, a to znaczy, że wie nie tylko, jakie płyty kompaktowe kupować i jakie filmy oglądać, ale o wiele więcej. Wie, jakim samochodem należy jeździć,

w co się ubierać i jakiej karty kredytowej używać. Do tego nie jest sam, ma za sobą całą paczkę". Ogłoszenie przytoczone w „Adbusters", vol. 3, nr 2, lato 1994. „Adbusters" to oryginalny kanadyjski kwartalnik poświęcony „naturalnemu środowisku umysłowemu" i walce z przemysłem reklamowym.

16. Reklama Nike sprzed kilku lat zamieszczona w jednym z czasopism dla kobiet przedstawiała na 12 stronach erotyczną „grę namiętności w sześciu aktach" pod tytułem „Zakochać się". Kolejne sceny nosiły takie tytuły, jak pożądanie, euforia, strach, odraza i prawda. Buty Nike odgrywały w tym wszystkim rolę (co najmniej) statystów.
17. Annetta Miller i Seema Nayyar, *Ads of Our Lives*, „Newsweek", 26 września 1994.
18. Stuart Elliot, *In Search of Fun for Creativity Sake*, „The New York Times", 3 stycznia 1994.
19. „Time", cytowany przez Stuarta Elliota, *Advertising*, „The New York Times", 1 czerwca 1994.
20. „The Look", program BBC poświęcony modzie.
21. Sallie Hofmeister, *In the Realm of Marketing, the Lion King Rules*, „The New York Times", 12 lipca 1994. Kierując się tą logiką Disney kupił sobie miejsce na Broadwayu (odremontowawszy teatr przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie *Piękna i Bestia* bije rekordy powodzenia). Nadal też szuka miejsca pod nowy park tematyczny związany z historią Ameryki – już nie w Wirginii, gdzie udaremniono plan wybudowania „parku wojny secesyjnej" koło Manassas, ale gdzieś między Orlando a cyberprzestrzenią.
22. Patrz: Frank Deford, *Running Man*, „Vanity Fair", sierpień 1993, s. 54; Donald Katz, *Just Do It: The Nike Spirit in the Corporate World*, Random House, Nowy Jork 1994.
23. Christine Brennan, *The Athletic Shoe Company That Won't Tread Softly*, „The Washington Post", 31 maja – 6 czerwca 1993.
24. Roczny Raport Nike – 1992.
25. Między innymi General Mills (płatki śniadaniowe), Wilson Sporting Goods i Sara Lee płacą mu po milionie, Gatorade – 2 mln, a Nike 20 mln dolarów rocznie. Czyżby kierownictwo Nike zwariowało? Chyba nie. Air Jordan przynoszą rocznie 200 mln dolarów, co stanowi 5 procent dochodów Nike za 1992 rok. Curry Kirkpatrick, *Up, Up, and Away*, „Newsweek", 18 października 1993.

    Dzieje reklamy barwnie opisuje Jackson Lears w książce *Fables of Abundance*, relację bardziej utrzymaną w duchu reklamy można znaleźć u Randalla Rothenberga w *Where the Suckers Moon: An Advertising Story*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1994.
26. W swoim rocznym raporcie Nike stwierdza z dumą: „ludzie niecierpliwie czekają na początek nowej kampanii reklamowej i entuzjastycznie na nią reagują. Na przykład kampania w amerykańskich czasopismach kobiecych zebrała wiele pochwał za szczerość i akcent na równouprawnienie". Celem reklamy jest „wytworzenie więzi emocjonalnych z konsumentami, umożliwienie im, by nabrali przekonania do produktów Nike i motywów, jakimi kieruje się firma".
27. Michael Lev, *Store of Future: It Also Sells Shoes*, „The New York Times", 17 czerwca 1991. Jak stwierdza P.K. Anderson, wydawca

magazynu „Visual Merchandizing and Store Design", „ludzie mają dzisiaj mniej wolnego czasu, potrzebują więc rozrywki. Trzeba się uciekać do wszelkich możliwych sztuczek, by zatrzymać kupujących".
Nike planuje zbudować do końca obecnej dekady jeszcze 14 podobnych „miast". W Ameryce powstało także 10 „minimiast" Nike, prezentujących wyroby firmy, a osiemdziesiąt ma zostać otwartych w różnych krajach świata. Niedawno firma otworzyła biuro w Wiedniu, mając na uwadze perspektywy, jakie stwarza rynek wschodnioeuropejski. Ken Hamburg, *Nike Planning Lay – offs Globally*, „The Oregonian", 21 września 1993.

28. „W Ameryce panuje dziś kryzys" – stwierdza prezes Knight, a Nike chce pomóc. Reebok ma własną wersję P.L.A.Y., Fundację Reeboka, sponsorującą Human Rights Awards Program, który ma zamiar „zmienić coś na świecie" (Paul Fireman, prezes Reeboka, w raporcie firmy za 1992 rok).
Filantropia uprawiana przez wielkie korporacje drenujące rynek ma w Ameryce dawne tradycje. W swej dzisiejszej postaci różni się tylko tym, że odwołuje się do haseł poprawności politycznej i nacelowana jest na tworzenie nowych grup konsumentów (kobiety, dzieci). Carnegie budował biblioteki, nie subsydiował nowych pokoleń nabywców stali.
29. Kampania reklamowa PepsiCo z 1993 roku zarzuciła stare hasło „Gotta have it!" („Muszę to mieć!") na rzecz „Bądź młody, zabaw się, pij pepsi". Wizjonerzy kierujący firmą żywią zapewne przekonanie, że konsumenci z mózgami rozmiękczonymi przez *soft drinki* odwrócą porządek tych słów i będą pili pepsi, żeby się zabawić i odmłodnieć. „Chcemy podtrzymać wrażenie, że pepsi jest dla ludzi, którzy chcą czuć się młodo i być młodzi" – oświadczył Phil Dusenberry, dyrektor ds. reklamy odpowiedzialny za nową kampanię. Patricia Winters, *Pepsi Harkens Back to Youth*, „Advertising Age", 25 czerwca 1993.
30. Roczny Raport Coca-Coli, 1993. Wpływem reklamy na kulturę zajmuje się Earl Shorris w książce *A Notion of Salesmen: The Tyranny of the Market and the Subversion of Culture*, Norton, Nowy Jork 1994.
31. Jak relacjonuje Mark Pendergrast w książce *For God, Country and Coca-Cola* (Scribner, Nowy Jork 1993), firma Coke na wszelkie sposoby starała się zdobywać rynki. Próbowała przypodobać się nazistom (którzy twierdzili, że jest firmą żydowską, bo sprzedaje koszerną colę) rozdając próbki napoju na wiecach Hitlerjugend. Stalinowi posłała pięćdziesiąt przezroczystych butelek „białej coli", pozbawionej karmelu, z białymi kapslami ozdobionymi czerwoną gwiazdą. Przedstawiciele firmy byli obecni przy obalaniu Muru Berlińskiego, gdzie rozdawano zestawy po sześć butelek. Pendergrast nie wdając się w sentymenty podsumowuje: „Podczas II wojny światowej cola była symbolem amerykańskiego imperializmu, koszernym napojem, podrabianym napitkiem komunistów, gasiła też pragnienie młodzieży z Hitlerjugend. W przekonaniu większości ludzi wojna toczyła się między dobrem i złem, rywalizującymi ideologiami i tak dalej, ale dla Coke sprawa była prostsza: więcej coli albo mniej coli". Patrz też: Mark Pendergrast, *A Brief History of Coca-Colonization*, „The New York Times", 5 sierpnia 1993.
32. A oto przykład z innego obszaru konsumpcjonizmu: czy kuchenki mikrofalowe to istotnie sprzęt „niezbędny"? Tak uważa 44 procent

mieszkańców Stanów Zjednoczonych, ale tylko 19 procent Meksykanów. Jeśli uda się przekonać jeszcze 25 procent Meksykanów, że nie mogą się obejść bez tych kuchenek, niezmiernie poszerzy się rynek zbytu dla amerykańskich mikrofalówek (zwłaszcza w epoce NAFTA). Cytowane tu liczby podaje Anthony de Palma, *Mexico's Hunger for U.S. Goods Is Helping to Sell the Trade Pact*, „The New York Times", 7 listopada 1993.

33. Roczny Raport Coca-Coli, 1992. Nosi on stosowny tytuł „Worlds of Opportunity" – „Światy szans".
34. „The New York Times Magazine", 25 grudnia 1994. Zapewne za sprawą ideologii zabawy doszło już do tego, że wszyscy wielcy producenci perfum sprzedają „wody toaletowe dla młodzieży" i „zapachy dla niemowląt", jak „l'eau des petits" Jacadiego. Paryski Shao Ko nazwał swoje perfumy dla dzieci imionami bohaterów popularnych kreskówek. Patrz: *L'esprit du Bébé*, „The New Yorker", 6 lutego 1995.
35. Patrz: Edward C. Banfield (przy współpracy Laury Fasano Banfield), *The Moral Basis of a Backward Society*, The Free Press, Nowy Jork 1958.

5. Od towarów niematerialnych do usług

1. Dane liczbowe podaje Bill Orr, *The Global Economy*, New York University Press, Nowy Jork 1992, s. 101.
2. Tamże, s. 99.
3. John Holusha, *The Risks for High Tech*, „The New York Times", 5 września 1993. Przyczyniły się do tego w znacznym stopniu cięcia finansowe w sektorze publicznym, ale i nakłady sektora prywatnego utrzymywały się na niskim poziomie.
4. „Fortune", 26 sierpnia 1991, s. 165–188.
5. „Fortune", 23 sierpnia 1993, s. 160–196.
6. Dane liczbowe i cytaty za: D.J. Connors i D.S. Heller, *Viewpoints: The Good Word in Trade is „Services"*, „The New York Times", 5 września 1993.
7. „Fortune", 31 maja 1993, s. 206–208.
8. Pat Cadigan, „Pretty Boy Crossover" (*Synners*, Bantam, Nowy Jork 1993) cytowany przez Johna Leonarda, *Gravity Rainbow*, „The Nation", 15 listopada 1993.
9. Cytat za: Bernard Weinraub, *Robert Altman*, „The New York Times", 29 lipca 1993.
10. Roger Cohen, *Aux Armes! France Rallies*, „The New York Times" 2 stycznia 1994.
11. Tamże.
12. Cytat za: Daniel Pipes, *The American Conspiracy to Run the World*, „The Washington Post", 14–20 listopada 1994.
13. Język ten szczególnie upodobały sobie korporacje. Szef General Electric, Jack Welch, określił założyciela Sony Akio Moritę (który niedawno dostał wylewu krwi do mózgu) mianem „człowieka uniwersalnego duchowo". Jolie Solomon, Peter McKillop, *We Have Lost a Very Important Player*, „Newsweek", 13 grudnia 1993.

14. W specjalnym wydaniu „International Political Science Review" (vol. 14, nr 3, lipiec 1993) Abram de Swaan w artykule pod wymownym tytułem *The Emergent World Language System* pisze: „W środku tej galaktyki znajduje się jeden język, którym mówi więcej osób wielojęzycznych w ponadnarodowych grupach językowych niż jakimkolwiek innym, jest to zatem najważniejszy język wśród wszystkich głównych języków. Chodzi, rzecz jasna, o angielski". David D. Daitin posuwa się jeszcze dalej w rozumowaniu będącym odbiciem konfliktu między Dżihadem a McŚwiatem: „Z logiki globalizacji wynika, że języki światowe, takie jak angielski, staną się dla języków narodowych poważnym wyzwaniem i zagrożą wręcz ich egzystencji". *The Game Theory of Language Regimes*, tamże, s. 226.
15. Nawet za pierwszym razem, w latach trzydziestych, zainteresowanie opinii publicznej w końcu zanikło, firmy osiągnęły bowiem kompromis. Patrz: Robert W. McChesney, *Telecommunications, Mass Media, and Democracy*, Oxford University Press, Nowy Jork 1993.
16. Historia się powtarza. Jak stwierdza William Leach w *Land of Desire: Merchants, Power and the Rise of a New American Culture* (Vintage Books, Nowy Jork 1994) rozwój konsumpcjonizmu w okresie od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do czasów Wielkiego Kryzysu był równoległy do rozwoju amerykańskiego kapitalizmu.
17. Brak zainteresowania ze strony amerykańskiego rządu jest zadziwiający, jeśli wziąć pod uwagę konsekwencje szaleńczych fuzji nowych mediów dla swobody informacji, równego dostępu do wiedzy oraz kwestii monopolów. Prywatna koalicja złożona z 60 nie nastawionych na zysk grup konsumenckich, zajmujących się prawami pracowniczymi i obywatelskimi, zwołała Okrągły Stół Polityki Telekomunikacyjnej, spodziewając się wszcząć debatę na temat nowych technologii i interesu publicznego. Trudno się jednak spodziewać, by mogło to stanowić przeciwwagę dla miliardowych transakcji zawieranych przez prywatne korporacje.

6. Hollyworld: wideologia McŚwiata

1. Jeff Miller, *Viewpoints: Should Phone Companies Make Films?*, „The New York Times", 2 stycznia 1994.
2. Roger Cohen, *Europeans Back French Curbs on U.S. Movies*, „The New York Times", 12 grudnia 1993.
3. Cytowane przez Rogera Cohena, *Aux Armes! France Rallies*, „The New York Times", 2 stycznia 1994.
4. Marselli Sumarno, *Indonesia*, w *Variety International Film Guide*, Samuel French Trade, Hollywood 1993, s. 210. Stany Zjednoczone zażądały ułatwień dla eksportu filmów amerykańskich do Indonezji w zamian za zagwarantowanie, że nie będą ograniczać importu indonezyjskich tekstyliów na swój rynek.
5. Roger Cohen, *Europeans Back French Curbs*.
6. Alan Riding, *French Film Industry Circles the Wagons*, „The New York Times", 13 września 1993.
7. Miejscowy hit ekranowy, jak *Les Visiteurs*, może więc przebić hit z importu w rodzaju *Parku jurajskiego*.

8. Bernard Weintraub, *Directors Battle Over Gatt*, „The New York Times", 12 grudnia 1993.
9. Paul Chutkow, *Who Will Control the Soul of French Cinema?*, „The New York Times", 9 sierpnia 1993.
10. Roger Cohen, *Barbarians at the Box Offices*, „The New York Times", 11 lipca 1993.
11. Stuart Elliot, *GATT in the VAT*, „The New York Times", 12 grudnia 1993.
12. Niemcy stanowią przykład bardziej typowy dla Europy niż Francja. Nie stawiały Hollywoodowi takiego oporu. Pod koniec lat pięćdziesiątych było tam ponad 7000 sal kinowych, sprzedawano ponad 750 mln biletów, filmy niemieckie przynosiły mniej więcej połowę dochodów, amerykańskie – jedną czwartą, francuskie zaś i włoskie po 10 procent. Istniał naprawdę zróżnicowany, wielokulturowy rynek kulturalny. Do roku 1975 za sprawą upowszechnienia telewizji i wzrostu cen biletów sprzedaż tych ostatnich spadła do 128 mln, a sal kinowych zostało już tylko 3200. Zyski z filmów amerykańskich wzrosły do 41 procent, z niemieckich zaś obniżyły się do zaledwie 13 procent. W latach osiemdziesiątych udział filmów niemieckich wahał się w granicach 10–20 procent, a filmów amerykańskich zwiększył się niepomiernie, osiągając 53 procent w 1981 roku, 66 procent w 1984 roku i 83 procent w 1992 roku, kiedy to w pierwszej dziesiątce najbardziej kasowych filmów wyświetlanych w Niemczech znalazło się dziewięć amerykańskich (pierwsze pięć miejsc zajęły: *Nagi instynkt*, *Hook*, *Piękna i Bestia*, *Kevin sam w domu* i *JFK*). Wszystkie powyższe dane pochodzą z raportu Departamentu Statystyki Spitzenorganisation der Filmwirtschaft e.V., 28 czerwca 1993. W Niemczech, jak i w innych krajach, kręci się jeszcze sporo filmów (3000 rocznie), ale tylko 10 procent to poważna produkcja z prawdziwym budżetem, a jeszcze mniej trafia na komercyjne ekrany.
13. David Stratton, *Gone with the Wind*, w: *Variety International Film Guide*, s. 14.
14. Liczby według raportu Departamentu Statystyki Spitzenorganisation der Filmwirtschaft e.V.
15. *Sleeping With the Enemy: Europe's Film Industry*, „The Economist", 26 października 1991. Ograniczanie liczby filmów amerykańskich nie zdoła zapobiec zgarnianiu przez wielkie hity filmowe nieproporcjonalnego odsetka dochodów.
16. Francuski reżyser Alain Corneau ostrzegał: „Wyobraźcie sobie świat, w którym jest tylko jeden obraz". Cytuje go Riding, *French Film Industry*.
17. Uma de Cunha, *India*, w: *Variety International Film Guide*, s. 205.
18. Deborah Young, *Iranian Cinema Now*, w: *Variety International Film Guide*, s. 30.
19. W *Tańczącym z wilkami* Kevin Costner ukazuje podbój Indian – rdzennych mieszkańców Ameryki – przez amerykańskich kolonistów. Czy islam lepiej sobie poradzi z Kevinem Costnerem? Okazuje się, że połowa dochodów, jakie przyniósł film, pochodziła z pokazów za granicą. Dotyczy to coraz większej liczby amerykańskich filmów, w tym tak, wydawałoby się, rdzennie amerykańskich hitów, jak *JFK*, *Pretty Woman* czy *Robin Hood*.

20. Cytowane przez Davida Hansena, *The Real Cultural Revolution*, „Newsweek", 1 listopada 1993.
21. Cytowane przez Andrew Hortona, *Russia*, w: *Variety International Film Guide*, s. 324. W Rosji produkuje się obecnie szmirowate „dzieła" o tytułach w rodzaju: *Mały olbrzym wielkiego seksu*, *Przemoc*, *Burdel* czy ukochany przez wszystkich *Nawet agenci KGB się zakochują*. Znane niegdyś studia filmowe jak Mosfilm czy Studio im. Gorkiego świadczą głównie płatne usługi dla producentów zagranicznych (na przykład przy produkcji amerykańskiego filmu *Russia House*).
22. O dominacji Hollywoodu na rynku światowym świadczą nie tylko jego dochody i sprzedaż biletów, ale coraz większy udział importowanych filmów na każdym rynku. Przegląd pierwszej dziesiątki zagranicznych filmów w Japonii, opublikowany przez „Kinema Jumpo" i obejmujący okres od 1924 roku, ukazuje rozkwit i upadek narodowych kinematografii w takich krajach, jak Indie, Szwecja, Francja i Włochy, których wybitne filmy trafiały kiedyś na japońskie ekrany. W okresie pierwszego monopolu Hollywoodu, w latach dwudziestych i trzydziestych, amerykańskich filmów było 77 (73 procent) wśród 106 najbardziej kasowych zagranicznych filmów. Następnie Ameryka stała się tylko jednym z wielu dostawców. W latach 1935–1940 wśród 60 filmów zagranicznych było 27 amerykańskich (45 procent). Po wojnie, w latach 1948–1968, było ich 28 procent. Na przykład w roku 1960 w pierwszej dziesiątce filmów zagranicznych znalazł się tylko 1 amerykański (*Dyktator* z Charlie Chaplinem), a poza tym 3 włoskie, 4 francuskie i 2 rosyjskie. Jeszcze w 1967 roku jedynym filmem amerykańskim w pierwszej dziesiątce był *W upalną noc*, resztę stanowiły koprodukcje europejskie, filmy radzieckie, włoskie itd. Jednakże od 1969 roku dzieł amerykańskiej kinematografii było już w tejże dziesiątce od 4 do 7 (70 czyli 54 procent spośród 130 filmów zagranicznych w latach 1969–1988), a w ciągu ostatnich pięciu lat – 8 lub 9.
23. Filmy robione w koprodukcji trudniej przypisać do określonej kultury narodowej, bardziej tu jednak chodzi o międzynarodowe finansowanie filmów niż nadanie twórczości artystycznej międzynarodowego wymiaru. Choć stało się tak w wypadku takich filmów jak *The Crying Game* i *Kochanek*, to głównym skutkiem koprodukcji okazała się regionalizacja, a więc pozbawienie narodowego charakteru dzieł typowych niegdyś dla kinematografii francuskiej, szwedzkiej, indonezyjskiej czy chińskiej. „Tak zwane nowe demokracje Europy Wschodniej dostają teraz gorzką lekcję. Państwowe subsydia wyschły, miejscowe kinematografie muszą więc chcąc nie chcąc wchodzić w spółki zagrażające ich narodowemu charakterowi. W Azji dawni wrogowie – Chiny i Tajwan – chcąc tchnąć życie we własne kinematografie musieli się uzależnić od przemysłu filmowego Hongkongu. Wspólne produkcje krajów skandynawskich całkiem zatarły pojęcie «narodowości» dzieła filmowego". David Stratton, *Gone With the Wind*, w: *Variety International Film Guide*, s.20.
24. Jak pisze Derek Elley, redaktor *Variety International Film Guide*, koprodukcja włosko-jugosłowiańska polega na tym, że całą rzecz planuje się w rzymskim bistro, szybko i tanio kręci w byłej Jugosławii, „aktora amerykańskiego, który od paru miesięcy nie miał pracy w Hollywood, obsadza się w głównej roli męskiej, angielski aktor charakterystyczny

przebywający na urlopie w Rzymie godzi się na niezbyt wygórowanych warunkach zagrać czarny charakter, bierze się włoską aktorkę, która potrafi wybąkać parę słów po angielsku i amerykańskiego reżysera, co ma właśnie przerwę między jednym a drugim serialem (wyjaśnia mu się mętnie, że we Włoszech nie będzie uznawany za reżysera). Producent płaci Jugosłowianom za wynajęcie studia, ci pokrywają koszty na miejscu, a w kieszeniach ekipy zostaje mnóstwo bezużytecznych dinarów". Derek Elley, *Coproductions: Who Need Them*, w: *Variety International Film Guide*, s. 19.

25. Francuzi przyjęli także strategię dubbingowania swoich filmów po angielsku (naśladując dubbingowanie po francusku filmów amerykańskich, czym Hollywood podbiło francuską publiczność). Ma to jednak ten skutek uboczny, że filmy francuskie zostają z lekka „zamerykanizowane", no i przyczynia się do dalszego upowszechniania języka angielskiego. Francuzi uciekli się do tej strategii, by zapobiec jeszcze bardziej destrukcyjnym posunięciom Hollywoodu, jakim są *remake* filmów francuskich – taki los spotkał *Trzech mężczyzn i dziecko* oraz *Nikitę* (w wersji amerykańskiej *Point of No Return*).
26. Niemiec Volker Schlöndorff, Australijczyk Peter Weir, Kanadyjczyk Bruce Beresford i Holender Paul Verhoeven to tylko kilku reżyserów, którzy swoje wielkie talenty przywieźli do Hollywoodu, gdzie zostały przykrojone do tamtejszych poślednich gustów i potrzeb. Wraz z Wimem Wendersem i innymi reżyserami europejskimi, Anglik David Putnam, który spróbował kariery w Hollywood i wrócił do kraju, wzywa do przyjęcia przez wszystkie kraje europejskie francuskiego systemu kwot i subsydiów. Jeśli jednak istnieje miejsce, skąd „nie ma powrotu", to jest nim prawdopodobnie Hollywood. Większość zagranicznych reżyserów myśli o podróży w drugą stronę.
27. Philip Weiss, *Hollywood at a Fever Pitch*, „The New York Times Magazine", 26 grudnia 1993. Ubiegał się o pracę ze Scottem Rudinem, znanym młodym producentem takich filmów, jak *Sister Act* i *Family Values*.
28. Raport dotyczący Francji, *Variety International Film Guide*, s. 163.
29. W przemyśle filmowym ważny jest marketing, a tutaj kryterium oceny stanowi DAT, zapis na taśmie cyfrowej reakcji publiczności na specjalnych pokazach organizowanych przez producentów. Kiedy Scott Rudin i jemu podobni muszą wybierać między wizją Chen Kaige a zapisem reakcji publiczności, powiedzą wam, że ten ostatni zawsze wygra.
30. Philip Shenon, *Indonesian Films Squeezed Out*, „The New York Times", 29 października 1992.
31. Dominacja kina amerykańskiego w skali światowej dopiero narasta. Jak stwierdza John Marcom Jr., „Hollywood stało się już jednym z największych światowych dostawców dóbr konsumpcyjnych, ale dopiero puka do bram zagranicznych rynków". John Marcom Jr., *Dream Factory to the World*, „Forbes", 29 kwietnia 1991.
32. Pomimo odnoszonych sukcesów, amerykańscy producenci ubolewają, że na świecie jest za mało sal kinowych. Chociaż połowa dochodów, jakie przynoszą filmy amerykańskie pochodzi z zagranicy, co stanowi 3,5 mld dolarów nadwyżki, w Stanach Zjednoczonych na jedną salę kinową przypada 10 233 osób, podczas gdy w Japonii 61 500 osób. Włoskie kina nie są klimatyzowane, a większość krajów świata nie poznała jeszcze

uroków kin multipleksowych, choć buduje się ich coraz więcej. Na przykład Time Warner planuje zbudowanie 30 takich obiektów w samej Japonii w latach 1993–1994. Alan Citron, *American Films Boffo Overseas*, „International Herald Tribune", 31 marca 1992.

33. Nie w sensie dosłownym, rzecz jasna. Bezpośredni wpływ filmów ma swoje granice. I bośniaccy, i serbscy oprawcy noszą adidasy, paradują z walkmanami i wiedzą wszystko na temat Michaela Jordana, ale nie przeszkadza im to w bezlitosnym mordowaniu sąsiadów. Muzułmanie w Arabii Saudyjskiej oglądają zachodnie filmy propagujące konsumpcję, lecz nie wyrzekają się swojej religii. Zarówno Hitler, jak i Stalin byli namiętnymi kinomanami. Przywódca OWP Jaser Arafat uwielbia amerykańskie westerny, ale nie znaczy to, że *W samo południe* czy *Gunfight at the OK Corral* wpłynęły na historyczny uścisk dłoni, jaki wymienił z premierem Rabinem w Waszyngtonie w 1994 roku.

7. Telewizja i MTV: hałaśliwa dusza McŚwiata

1. Jest sporo książek na temat roli telewizji i reklamy w życiu społeczeństwa amerykańskiego, między innymi: Marie Winn, *Plug – In Drug*, Grossman Publishers, Nowy Jork 1977; Frank Mankiewicz, Joel Swerdlo w: *Remote Control: Television and the Manipulation of American Life*, Ballantine Books, Nowy Jork 1979; Jerry Mander, *Four Arguments for the Elimination of Television*, Harvester Press, Brighton 1980; Todd Gitlin, *Inside Prime*, Pantheon, Nowy Jork 1983.
2. Geraldine Fabrikant, *Bell Atlantic's Acquisition*, „The New York Times", 14 października 1993.
3. Nie będę tutaj przytaczał wnikliwej krytyki telewizji pióra takich autorów, jak Marshall McLuhan, Neil Postman czy Todd Gitlin. Za zwięzłe podsumowanie mogą posłużyć słowa Johna Bergera: „Za sprawą *publicity* konsumpcja staje się substytutem demokracji" (*Ways of Seeing*, Penguin, Londyn 1972, s. 149).
4. Steven Daly, *London Is Dead: Invasions of U.S. Pop Culture*, „The New Republic", 14 czerwca 1993. Daly cytuje słowa piosenki Morriseya: „Chcąc się wysłowić spoglądamy w stronę Los Angeles/Londyn jest martwy/Londyn jest martwy".
5. Miklos Vamos, *U.S. Cultural Invasion: Hungary for American Pop*, „The Nation", 25 marca 1991. Przez ostatnie trzy lata sytuacja raczej się nie poprawiła.
6. Do repertuaru weszła też lokalna wersja *The Dating Game*, zatytułowana *Miłość od pierwszego wejrzenia* oraz dwustuodcinkowy meksykański serial *Bogaci także płaczą*. Nadeshda Azhginkina, *High Culture Meets Trash TV*, „Bulletin of the Atomic Scientists", styczeń/luty 1993, s. 42.
7. Polacy stanowią siódmą co do wielkości widownię telewizji kablowej w Europie – o 400 000 więcej odbiorców niż we Francji. Jane Perlez, *Poland Exercises the Right to Channel Surf*, „The New York Times", 14 listopada 1993. Pierwszy legalny komercyjny kanał telewizyjny Polsat zainaugurował w 1993 roku „krajowy" program, nadając nagrodzony Oscarami film Michaela Cimino *Łowca jeleni* (ze środkowoeuropejskimi wątkami), a także klasykę seriali – *Szpital miejski* i *Dallas*.

8. Patrick E. Tyler, *CNN and MTV, Hangin' by a Heavenly Thread*, „The New York Times", 22 listopada 1993.
9. Philip Shenon, *Star TV Extends Murdoch Reach*, „The New York Times", 23 sierpnia 1993.
10. „Dział promocji bywa często określany jako dusza MTV – pisze dalej Seabrook. – Wszystko w MTV służy promocji czegoś, a misją tego działu jest w pewnym sensie promowanie takiego właśnie stanu rzeczy". John Seabrook, *Rocking in Shangri – La*, „The New Yorker", 10 października 1994.
11. W praskich szkołach średnich na liście lektur zalecanych do egzaminu maturalnego widnieją między innymi słowa piosenek: *Lucy in the Sky with Diamonds* Beatlesów, *Woman* Johna Lennona, *Enter Sandman* Metalliki i *Happiest Days of Our Lives* zespołu Pink Floyd. „Harper's", czerwiec 1994, s. 22. Ale przecież *Love Story* Erica Segala też kiedyś uwzględniono na francuskich egzaminach uniwersyteckich.
12. W samych początkach MTV przeciętna wieku kadry kierowniczej wynosiła 25 lat, dziś zbliża się do 29. Zdaniem Redstone'a partyzanci to dzieciaki. „Właśnie dlatego bojownicy o wolność z różnych krajów świata identyfikują się z MTV". Cytowane przez Seabrooka, cyt. wyd.
13. Steve Clarke, *Rock Conquers Continent*, „Variety", 16 listopada 1992.
14. Helmut Fest, *MTV Europe Ignores Local Acts*, „Billboard", 7 marca 1992.
15. Uma de Cunha, *India*, w: *Variety International Film Guide*, s. 205–210.
16. Peter Manuel w *Casette Culture: Popular Music and Technology in North India* (University of Chicago Press, Chicago 1993) opisuje, jak przenośne magnetofony kasetowe wywołały szok kulturowy w Północnych Indiach, co miało dramatyczne skutki dla indyjskiej kultury ludowej. Magnetofon kasetowy pozostawiał przynajmniej jakąś możliwość wyboru, w przypadku telewizji satelitarnej o repertuarze i gustach przesądzają monopole, nawet gdy starają się dostosowywać do lokalnych rynków.
17. Cytowane przez Petera Waldmana, *Iran Fights New Foe: Western Television*, „The Wall Street Journal", 8 sierpnia 1994.
18. Patrz: Elisabeth A. Brown, *Music Television Turns 10*, „The Christian Science Monitor", 6 sierpnia 1991.
19. Clarke, cyt. wyd.
20. Celestine Bohlen, *Russia Parties Subdued by Early Vote Returns*, „The New York Times", 13 grudnia 1993.
21. Cytowane przez Azhginkhiną, *High Culture...*, s. 193.
22. MTV też nie należy brać poważnie, kiedy zgrywa się na „złego chłopaka", podobnie jak zespół Public Enemy („Wróg publiczny"). Zmyłka zaczyna się od nazwy zespołu (tak jak w przypadku N.W.A. – Niggers With Attitude, czyli „Czarnuchy o Odpowiednim Nastawieniu"), dalej idą tytuły piosenek, w stylu „Fight the Power" („Walcz z władzą"). Gniew wyrażany przez raperów to w znacznej mierze poza: decybele i skatologiczne słownictwo maskują ukrytą słabość, impotencja przybiera postać pornografii. Większość widzów na świecie i tak nie rozumie po angielsku, dla nich znaczenie ma dźwięk, styl i nastrój, a nie słowa.
23. Sieć sklepowa Nobody Beats the Wiz prowadzi wielką kampanię reklamową, której bohaterami są Beavis i Butt-head, kiczowate postacie z kreskówki wyświetlanej w MTV. Ubrani w koszulki MTV sprzedają

album *Death Rock*, niezdrową kolekcję piosenek o śmierci, przeznaczonych dla młodych ludzi ogarniętych instynktem samozniszczenia, którzy w zastraszającym tempie popełniają samobójstwa albo mordują się nawzajem. Reklama pojawiła się w głównych mediach w 1993 roku przed Świętem Dziękczynienia. Miesiąc przedtem kreskówka została przesunięta na późne godziny, bo dzieci oglądające jej głupkowatych bohaterów w najlepszym czasie oglądalności naśladowały ich i podpalały swoje pokoje. Album Beavisa i Butt-heada pod tytułem *Experience* zawiera między innymi takie utwory, jak „I Hate Myself and Want to Die" („Nienawidzę siebie i chcę umrzeć" – Nirvana), „Looking Down the Barrel of a Gun" („Patrząc przez lufę strzelby" – Anthrax), „99 Ways to Die" („99 sposobów umierania" – Megadeth), „Search and Destroy" („Znajdź i zniszcz" – Red Hot Chili Peppers) i „I Am Hell" („Jestem piekłem" – White Zombie).
24. Seabrook, cyt. wyd.
25. Cytat za Saebrookiem, cyt. wyd. Sporo raperów miało kłopoty z prawem, między innymi Tupac Shakur, który w albumie „2pacalypse Now" z 1991 roku nawoływał do „wykańczania glin". Podobno w październiku 1993 roku wprowadził swoje słowa w czyn, a pod koniec 1994 roku sam padł ofiarą strzelaniny. Flavor Flav z zespołu Public Enemy został w tym samym mniej więcej czasie aresztowany za usiłowanie zabójstwa – jak podają, strzelił do sąsiada. Prawdziwy zysk nie przypada jednak raperom dorabiającym się na opiewaniu życia w czarnym getcie, ale firmom płytowym i korporacjom, do których te firmy należą. Patrz: Toure, *Snoop Dogg's Gentle Hip-Hop Growl*, „The New York Times", 21 listopada 1993.
26. W barbarzyńskiej wersji McŚwiata w wydaniu MTV teksty piosenek przeplatają się z rzeczywistością. „Gansta rap" bywa często dziełem autentycznych gangsterów. W samym tylko 1993 roku Tupac Shakur został aresztowany za postrzelenie dwóch policjantów, Flavor Flav postrzelił podobno kochanka swojej dziewczyny, Snoop Doggy Dogg został oskarżony o nielegalne posiadanie dwóch sztuk broni, toczy się też przeciw niemu sprawa o morderstwo, inni mieszkańcy krainy MTV mają sprawy o napad i gwałt. Patrz: Nathan McCall, *The Rap Against Rap*, „The Washington Post", 14 listopada 1993 i *Rap and Race*, „Newsweek", 29 czerwca 1992.
27. Robert Scheer zauważa, że wszyscy ci spekulanci żyjący z Michaela Jacksona jakoś nigdy nie dostrzegli, iż „było coś głęboko złego w wyniesieniu kogoś tak niedostosowanego na piedestał uniwersalnego rzecznika dzieci w świętym obszarze Disneylandu i reklam Pepsi". *Mega-Michael*, „The Nation", 11 października 1993.
28. Michael J. O'Neill, *The Roar of the Crowd: How Television and People Power Are Changing the World*, Times Books, Nowy Jork 1993, s. 110.
29. Adrian Lyttelton, *Italy: The Triumph of TV*, „The New York Review of Books", 11 sierpnia 1994.
30. Gore Vidal, *Screening History*, Harvard University Press, Cambridge 1992, s. 81.
31. Mark Crispin Miller, *Boxed In: The Culture of TV*, Northwestern University Press, Evanston 1988, s. 19.
32. Kenichi Ohmae, *The Borderless World: Power and Strategy in the Interlinked Economy*, Harper Business, Nowy Jork 1990, s. XIV.

33. Moisi jest zastępcą dyrektora Francuskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Jego wypowiedź cytuje Roger Cohen, *The French, Disneyed and Jurassick, Fear Erosion*, „The New York Times", 21 listopada 1993. Moisi kojarzy Dżihad i McWorld (nie nazywając ich w ten sposób), kiedy zauważa: „raz będą to dinozaury, innym razem imigranci z Afryki Północnej, ale podstawowy strach pozostaje ten sam".
34. Chodzi o przesyłanie do każdego domu, na zasadzie interaktywnej, ogromnych ilości danych, obrazów i dźwięków. Stara „nowa" technologia wymaga światłowodów, które przekazują tysiące sygnałów i umożliwiają ośrodkom nadawczym wysyłanie informacji do każdego. Przy zastosowaniu nowej technologii – cyfrowej sieci usług zintegrowanych, ISDN – każdy dom uzyskuje tylko te dane, których potrzebuje (tak jak odbiera wyłącznie rozmowy skierowane pod dany numer telefonu, a nie wszystkie rozmowy z całego kraju). To właśnie dzięki tej możliwości fuzje spółek telefonicznych i sieci kablowych stają się potencjalnie tak bardzo zyskowne. Doprowadzenie światłowodów do amerykańskich domów pociągnęłoby za sobą koszty około 400 mld dolarów, przy zastosowaniu ISDN można wykorzystać istniejącą już sieć za ułamek tej sumy.
35. Poprzednim właścicielem była firma Whittle Communication, obecnym jest K-III specjalizująca się w edukacji i wydawnictwach nastawionych na zysk. Jej prezes, H. Kravis, jest jednym z asów telewizji publicznej.
36. Colgate-Palmolive wypróbowywała w szkołach, przed wprowadzeniem na rynek, perfumy dla nastolatków o nazwie „Maniac", a Randy Pernini z Miami wykreował stylowe pachnidło specjalnie dla chłopców w wieku od trzech do dziesięciu lat.

8. Teleliteratura i parki tematyczne McŚwiata

1. Piszę to jako ktoś, kto uczestniczył w przygotowywaniu poważnych edukacyjnych programów dla telewizji. Opracowaliśmy na przykład z Partickiem Watsonem dziesięcioodcinkowy serial *The Struggle for Democracy* (oparty na książce, która ukazała się w 1988 roku nakładem Little, Brown and Company). Odnosząc sukces w telewizji zaryzykowaliśmy porażkę na polu edukacji.
2. Robert Lynch, jeden z dyrektorów McGraw-Hill, cytowany przez Meg Cox, *Electronic Campus*, „The Wall Street Journal", 1 czerwca 1993.
3. The Authors Guild, *Electronic Publishing Rights: A Publishing Statement*. 18 października 1993.
4. *User's Guide for Great Literature*, Personal Library Series, Bureau Development, Inc. 1992. Dzieła literatury anglojęzycznej są skrócone, ale pod innymi względami nienaruszone, natomiast przekłady klasyków są stare, wybrano takie, za które nie trzeba już płacić, nie zaś opracowane starannie pod względem edytorskim.
5. Cox, *Electronic Campus*.
6. W ciągu pierwszych kilku tygodni sprzedano milion egzemplarzy *Private Parts* Sterna.
7. Warto się zapoznać z ciekawym esejem Johna Lahra na temat sławnych ludzi: *The Voodoo of Glamour* (przy współpracy Richarda Avedona), „The New Yorker", 21 marca 1994.

8. Wypowiedź Ornsteina cytuje Jennifer Senior w artykule *Hollywood on the Potomac* zamieszczonym, a jakże, w dziale „Styl" w niedzielnym wydaniu „The New York Times", 12 grudnia 1993.
9. Wydawcy angielscy kupują od Amerykanów o wiele więcej książek niż odwrotnie. To samo się dzieje we wszystkich innych krajach świata. Pisarze japońscy naśladują modnych amerykańskich autorów w rodzaju Jaya McInerny, przez co muszą wkomponowywać McŚwiat w realia, w których żyją ich japońscy bohaterowie. Postacie z książki *The Elephant Vanishes* Haruki Murakamiego palą marlboro, uwielbiają Bruce'a Springsteena i Woody Allena, a intryga zawiązuje się podczas spotkań u McDonalda – chodzi o autentyczną scenerię restauracji z hamburgerami, nie o metaforę. Murakami wprowadza motywy z amerykańskich filmów, w rodzaju *Czarodzieja z Oz*, jakby były trwałym elementem kultury japońskiej na progu XXI wieku.
10. Nadeshda Azhginkina, *High Culture*, cyt. wyd., s. 42.
11. German Information Service, *The Week in Germany*, 26 listopada 1993.
12. Bagdikian, poza monopolem mediów, śledzi równie niepokojące przemiany: „dyskretny, lecz głęboki wpływ masowej reklamy na formę i treść mediów subsydiowanych przez reklamę". Ben H. Bagdikian, *The Media Monopoly*, Beacon Press, Boston, 1992, s. XXX.
13. Tamże, s. 4.
14. Tamże, s. 21–22. Niemiecki koncern wydawniczy Bertelsmann zawarł w 1995 roku transakcję *joint venture* wartości 100 mln dolarów z America Online.
15. Cytowane przez Bernarda Weinrauba, *A Hollywood Recipe: Vision, Wealth, Ego*, „The New York Times", 16 października 1994.
16. Cytowane w M. Meyer, N. Hass, *Simon Says „Out!", Viacom Ousts Simon & Schuster CEO*, „Newsweek", 27 czerwca 1994.
17. Sarah Lyall, *The Media Business: Paramount Publishing to Cut Jobs and Books*, „The New York Times", 24 stycznia 1994.
18. Bagdikian, cyt. wyd., s. 19.
19. Tamże.
20. Paramount tak dobrze wyszedł na sprzedawaniu *Tańczącego z wilkami* przez sieć restauracji McDonalda, że zrobił to samo z *Rodziną Adamsów*, *Światem Wayne'a*, *Duchem* i *Charlotte's Web*. McDonald's jako punkt sprzedaży filmu i związanych z nim gadżetów umacnia jeszcze swój status parku tematycznego. Jest to relacja dwustronna: firma Amblin Entertainment sprzedała prawa do handlowania produktami związanymi z *Parkiem jurajskim* ponad stu koncesjonariuszom, z McDonaldem włącznie. Bernard Weinraub, *Selling Jurassic Park*, „The New York Times", 14 czerwca 1993. Krytyk filmowy Stuart Klawans podkreśla ironię zawartą w samym filmie, który traktuje przecież o parku tematycznym, gdzie w kiosku sprzedaje się takie same gadżety parku jurajskiego, jak w prawdziwym świecie. Który świat jest więc prawdziwy? Stuart Klawans, *Films*, „The Nation", 19 lipca 1993.
21. *1992 Report to Shareholders*, McDonald's Corporation, Oak Brook, Illinois. W 1992 roku obroty McDonalda w Stanach Zjednoczonych osiągnęły wartość 13,2 mld dolarów, za granicą – 8,6 mld.
22. Kapitał akcyjny podwoił się od 1991 roku, na 1995 rok firma planuje osiągnąć zysk rzędu 9 mld dolarów. „USA Today", 2 czerwca 1994.

23. Andrew E. Serwer, *McDonald's Conquers the World*, „Fortune", 17 października 1994.
24. Z raportu McDonalda za 1992 rok.
25. Przemysł napojów orzeźwiających też to świetnie rozumie: „Coke Light stara się propagować amerykański model kulturowy na międzynarodowych rynkach" – stwierdza Tom Pirko, nowojorski konsultant do spraw zarządzania. „Gaszenie pragnienia to według firmy element stylu życia, w tym podejściu może się zawierać jakiś przewrotny szyk". Daniel Tilles, *Coke Light Gears Up for a Hard Sell*, „The International Herald Tribune", 18 maja 1994. Randal W. Donaldson, rzecznik Coca-Coli w Atlancie, wypowiadając się za ogólnokrajową akcją na rzecz wprowadzenia *fast food* i napojów chłodzących do szkół, stwierdza bez osłonek: „Nasza strategia polega na tym, żeby być wszędzie. Chcemy podsunąć napoje każdemu, kto tylko ich zapragnie". Robert Pear, *Senator, Promoting Student Nutrition, Battles Coca-Cola*, „The New York Times", 26 kwietnia 1994.
26. Albert, Książę Małżonek, w wystąpieniu inauguracyjnym 1 maja 1851 roku. Cytuje go Michael Sorkin, *Variations on a Theme Park*, Noonday Press, Nowy Jork 1992, s. 209.
27. Margaret Crawford, *The World in a Shopping Mall*, w: Sorkin, cyt. wyd., s. 4.
28. Tamże, s. 14.
29. Gdy centra handlowe zaczęły się pojawiać w Europie Wschodniej i innych rejonach świata, lokalni inwestorzy twierdzili, naiwnie broniąc własnych interesów, że inwestują w „stworzenie warunków takich, jak w Ameryce, ale bez amerykańskiej mentalności". *The Week in Germany*, German Information Service, 8 października 1993, s. 5. Problem w tym, że warunki *określają* mentalność.
30. Cytowane i poddane błyskotliwej analizie przez Edwarda W. Soja, *Inside Exopolis: Scenes from Orange County*. W: Sorkin, cyt. wyd., s. 94.
31. Linda Killian z Renaissance Capital Corporation, cytowana przez Ann Imse, *Hang on for the Ride of Your Life*, „The New York Times", 12 grudnia 1993.
32. William Booth, *Wayne's World*, „The Washington Post", 29 sierpnia–4 września 1994.
33. Z artykułu w tygodniku „Der Spiegel" streszczonego w *The Week in Germany*, German Information Center, 5 listopada 1993.
34. Kraina zimnej wojny doczekała się realizacji pod koniec 1993 roku. Rosyjscy spece od lotnictwa wraz z amerykańskimi kolegami pobili Niemców na głowę, wcielając w życie pomysł, który nawet projektanci Ossi Parku uznaliby za dość niesamowity. W głównych amerykańskich gazetach ukazało się ogłoszenie MIGS Etc., Inc. z Sarasoty na Florydzie: „Poleć do Moskwy Migiem-29 z prędkością 2,5 liczby Macha. Nie musisz być pilotem!". Amatorom ogarniętym nostalgią za Imperium Zła firma oferuje „przejażdżki" myśliwcami Mig-29 i czołgami T-80 w cenie mniej więcej 100 tysięcy dolarów (wliczono w to walkę dwóch Migów). „The New York Times" nie tylko zamieścił ogłoszenie, ale i opublikował relację miłośnika mocnych wrażeń, który odbył taką przejażdżkę i zastanawiał się, co by na to powiedzieli Lenin, Stalin, John le Carré i Tom Clancy – „pewnie zadziwieni kiwają głowami". *Your Very Own Cold War*, „The New York Times", 25 października 1993.

35. Cytowane przez Michaela Sorkina, *See You in Disneyland*. Sorkin, cyt. wyd., s. 206.
36. The Disney Annual Report 1992, s. 14.
37. Tamże, s. 8.
38. Prezydent Clinton wypowiada podniosły tekst autorstwa Tima Rice'a, który napisał libretto do *Jesus Christ Superstar* oraz do filmów Disneya *Aladyn* i *Piękna i Bestia*. Stwierdza m.in., że szczęście narodu „wyrasta wciąż z wolności, z własności". Warto zapoznać się z cyniczną (co zrozumiałe) relacją Jona Wienera, *Disneyworld Imagineers a President*, „The Nation", 22 listopada 1993.
39. Opisuje to Michael Wine, *Yes, Virginia, the Past Can Be Plasticized*, „The New York Times", 28 listopada 1993. Sam artykuł jest mniej sceptyczny od tytułu, Wine cytuje m.in. Jamesa McPhersona (historyka wojny secesyjnej z Uniwersytetu Princeton, laureata Nagrody Pulitzera i zagorzałego obrońcę zabytków), który miał w tej kwestii „mieszane uczucia". Stwierdza, że w takich miejscach, jak Williamsburg (gdzie w 1994 roku odbyła się wielce kontrowersyjna impreza – rekonstrukcja aukcji niewolników) stworzono precedens dla tego, co Disney chciał zrobić pod Manassas.
    Prezes Eisner nie chce wyjść na wandala wypaczającego narodową historię. Wynajął jako konsultanta profesora Erica Fonera z Uniwersytetu Kolumbia, znanego historyka wojny secesyjnej. Jak pisze Jon Wiener w „The Nation", Foner skrytykował przedtem przemówienie wygłaszane przez animowaną postać Lincolna w Sali Prezydentów w Anaheim, nie było w nim bowiem ani słowa o niewolnictwie. Po wprowadzeniu przez Fonera stosownych poprawek nawet dziennikarz o radykalnych poglądach musiał przyznać: „W parku pełnym melodramatycznych, oryginalnych aż do obrzydliwości lub czysto komercyjnych atrakcji, osoby zwiedzające zaprojektowaną na nowo Salę Prezydentów znajdą tam wyjątkowo inteligentny program o wyraźnie postępowym charakterze". Jon Wiener, cyt. wyd.
40. Dexter King chciał za 60 mln dolarów zbudować ów „park tematyczny" na otwarcie olimpiady w Atlancie. O jego konflikcie z United States Park Service sprawującym do tej pory opiekę nad miejscami związanymi z pamięcią Martina Luthera Kinga pisze Ken Ringle, *A Dream Turned Nightmare*, „The Washington Post", 23–29 stycznia 1996.

9. Do kogo należy McŚwiat?
Obłąkańcze fuzje w świecie mediów

1. Ben H. Bagdikian, *The Media Monopoly*, Beacon Press, Boston, 1992, s. 19.
2. Tamże, s. 21–22.
3. Jolie Soloman, *Hollywood and Vice: Here Comes a New Golden Age*, „Newsweek", 23 sierpnia 1993.
4. Cytowane przez Cindy Skrzyki w artykule pod trafnym tytułem *Today, AT&T; Tomorrow, the Wireless World*, „The Washington Post", 30 sierpnia–5 września 1993. Autorka komentuje: „Klienci będą mogli zajść do sklepu AT&T i zamówić wszystko – od telefonu komórkowego

(produkowanego przez AT&T) poprzez usługi komórkowe (McCaw) po rozmowę międzymiastową (w sieci AT&T). Następnie oprogramowanie AT&T może powiadomić sieć, które rozmowy przesłać dalej, zatrzymać lub wprowadzić do systemu komunikatów. Pasmo fal radiowych, jakie AT&T uzyskuje dzięki transakcji, stwarza nieocenione możliwości wprowadzania nowych urządzeń do przekazywania głosu i danych".

5. Cytowane przez Kena Auletta, *The Last Studio in Play*, „The New Yorker", 4 października 1993.
6. Calvin Syms, *Synergy: The Unspoken Word*, „The New York Times", 5 października 1993.
7. Ted Turner jest dyrektorem rady nadzorczej i prezesem Turner Broadcasting TNT, Sumner Redstone to prezes – dyrektor Viacomu, uczestnik zażartej rywalizacji o Paramount, o Barrym Dillerze mowa jest w tekście, Martin S. Davis to były prezes – dyrektor Paramountu, Michael Ovitz kieruje Creative Artists Agency, należy do głównych uczestników transakcji między MGM a Crédit Lyonnais, z nazwiskiem Billa Gatesa kojarzy się potęga Microsoftu, John C. Malone jest prezesem Tele--Communication, kieruje też (na pół etatu) Liberty Media i jest właścicielem jednej czwartej Turner Broadcasting. Stanowi więc potężną siłę wspierającą QVC Network Barry'ego Dillera.
   Warto zapoznać się z biografią jednej z wybitnych postaci branży komunikacji i rozrywki, człowieka, który stał się przykładem dla wielu innych: Connie Bruck, *Master of the Game: Steve Ross and the Creation of Time Warner*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1994.
8. Według „Fortune", Malone jest dziś wart ponad miliard dolarów. Patrz też: Allen R. Myerson, *A Corporate Man and a Cable King*, „The New York Times", 14 października 1993.
9. Tekst deklaracji zamieszczony jest jako aneks w książce Kenichi Ohmae, *The Borderless World: Power and Strategy in the Interlinked Economy*, Harper Business, Nowy Jork 1990.
10. Cytowane przez Kena Auletta, *Under the Wire*, „The New Yorker", 17 stycznia 1994. Gore szczerze wierzy, iż rząd może odegrać rolę regulacyjną i wyrównywać szanse, ale po wyborach 1994 roku niewiele wskazuje na to, że uzyska poparcie w Kongresie lub od państwa.

CZĘŚĆ II. Stary świat Dżihadu

10. Dżihad kontra McŚwiat czy Dżihad poprzez McŚwiat?

1. Patrz David Gonzalez, *The Computer Age Bids Religious World to Enter*, „The New York Times", 24 lipca 1994.
2. Patrz Allan Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, przeł. Tomasz Bieroń, Zysk i Ska, Poznań 1997. Paradoksalne aspekty gorzkich przemyśleń Blooma poddałem analizie w książce *An Aristrocracy of Everyone: The Politics of Education and the Future of America*, Ballantine Books, Nowy Jork 1993, rozdział 5.

3. Zdaniem Susanne i Lloyda Rudolphów, „Clinton i inni zbyt pochopnie powołują się na «dawne nienawiści» chcąc wyjaśniać konflikty, które mają w istocie współczesny charakter. Innymi słowy, nie chodzi o odpowiedź na pytanie, dlaczego stare konflikty na nowo ożyły, ale dlaczego rozpadły się tradycyjnie harmonijne układy". Susanne H. Rudolph, Lloyd I. Rudolph, *Modern Hate: How Ancient Animosities Get Invented*, „The New Republic", 22 marca 1993.
4. Benedict Anderson, *Imagined Communities: Reflections on the Origins and Spread of Nationalism*, Verso, Londyn 1991.
5. Recenzja Waltera Russella Meada z książki Williama Pfaffa *The Wrath of Nations*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1993. „The New York Times Book Review", 7 listopada 1993.
6. Niektórzy obserwatorzy, jak Liah Greenfeld, próbują osiągnąć pewien consensus przekonując nas, że nacjonalizm to kwestia fenomenologii: po prostu wszystko, co mówią i robią ludzie, których określamy mianem nacjonalistów. Ta szeroka definicja pozwala umieścić w ramach nacjonalizmu rozliczne „drogi" do nowoczesności, stare i nowe. Filozofowie-normatywiści, jak Yael Tamir, przyjmują węższy, „esencjalistyczny" punkt widzenia, twierdząc, że najpierw musimy zdefiniować pojęcie od strony teoretycznej, następnie zaś wybrać tylko takie przypadki, które pasują do normatywnej koncepcji. W ujęciu autorki, „nacjonalizm liberalny" i „nacjonalizm etniczny" nie są dwiema odmianami jednego rodzaju, lecz pojęciami przeciwstawnymi, z których tylko jedno można przyjąć. Yael Tamir, *Liberal Nationalism*, Princeton University Press, Princeton 1993; Liah Greenfeld, *Nationalism: Five Roads to Modernity*, Cambridge University Press, Cambridge 1992. Nawet Greenfeld decyduje się w końcu uznać nacjonalizm za kolebkę modernizacji i zawęża swoją definicję tego zjawiska, całkiem wykluczając reakcyjne odmiany nacjonalizmu.
7. Najbardziej dobitne argumenty na rzecz nacjonalizmu jako niezbędnego warunku ustroju republikańskiego znajdujemy w rozprawie Rousseau *Uwagi o rządzie polskim* z 1771 roku. J.J. Rousseau, *Umowa społeczna oraz: Uwagi o rządzie polskim* (i inne eseje), przeł. Bronisław Baczko i in., PWN, Warszawa 1966.
8. G. Mazzini, *The Duties of Man and Other Essays* (Dent, Londyn 1917), cytowany w: S. Baron, *Modern Nationalism and Religion*, Meridian Books, Nowy Jork 1960, s. 49. Postaci Mazziniego jako liberalno-rewolucyjnego nacjonalisty poświęcił swą książkę Dennis Mack Smith (*Mazzini*, Yale University Press, New Haven 1994).
9. Paul Hazard, *European Thought in the Eighteenth Century*, Peter Smith, Gloucester 1972, s. 471–472. [pol. wyd. *Myśl europejska w XVIII wieku. Od Monteskiusza do Lessinga*, przeł. Halina Suwała, PIW, Warszawa 1972].
10. Eric Hobsbawm, *Nations and Nationalism Since 1780*, Cambridge University Press, Cambridge 1992, s. 121. Więź etniczna i język stały się głównymi wyznacznikami nowego nacjonalizmu.
11. José Ortega y Gasset, *Bunt mas*, przeł. Piotr Niklewicz, MUZA, Warszawa 1995, s. 192. Ortega wyrażał nadzieję, że ożywienie nacjonalizmu w latach dwudziestych może zwiastować jego kres. „Ostatni płomień jest zawsze najdłuższy, a ostatni oddech najgłębszy. W przeddzień całkowitej

likwidacji granice – gospodarcze i wojskowe – ulegają wzmocnieniu", tamże, s. 190. Moglibyśmy i dzisiaj żywić taką nadzieję, gdyby rozwój wydarzeń historycznych nie zaprzeczył w tak ponury sposób przepowiedniom Ortegi.

12. Yael Tamir, *Liberal Nationalism*, s. 6, 14.
13. Edmund Burke, *The Works*, Londyn 1907, VI, s. 155.
14. Anderson, *Imagined Communities*, s. 27.
15. Joel Kotkin, *Tribes: How Race, Religion, and Identity Determine Success in the New Global Economy*, Random House, Nowy Jork 1993. „Z chwilą, gdy globalne siły ekonomiczne osłabiły znaczenie konwencjonalnych barier między państwami narodowymi i między regionami, spodziewać się można, że takie rozproszone narody [Żydzi, Chińczycy, Hindusi itp.], prowadzące interesy na światową skalę i posiadające swoje sieci kulturalne, będą w coraz większym stopniu decydować o ekonomicznym losie ludzkości" (s. 4).
16. Eric Hobsbawm, *The New Threat to History*, wykład na nowym Uniwersytecie Europy Wschodniej w Budapeszcie, przedrukowany w „The New York Review of Books", 16 grudnia 1993.
17. Tony Judt, *The Old New Nationalism*, „The New York Review of Books", 26 maja 1994.
18. Adam Michnik, *„More Humility, Fewer Illusions" – A Talk Between Adam Michnik and Jurgen Habermas*, „The New York Review of Books", 24 marca 1994.
19. Marshall Berman użył tych słów Marksa jako tytułu dla swej wnikliwej książki poświęconej kondycji (i patologii) miejskiej Ameryki – *All That Is Solid Melts into Air*, Viking Penguin, Nowy Jork 1988.
20. „Zima w RFN", piosenka niemieckiego zespołu Endstufe (Ostatnie stadium), przełożona na angielski przez Elizabeth A. Jackson dla londyńskiego magazynu „Searchlight", przedrukowana w: Stephen Silver, *The Music of Hate*, „The New York Times", 8 lutego 1993.
21. Stephen Silver, cyt. wyd.
22. Co najmniej dwa zespoły – Stoerkraft i Böse Onkelz (Niszczycielska Siła i Zły Wujek) zerwały z prawicą. Patrz: Stephen Kinzer, *Berlin Journal*, „The New York Times", 2 lutego 1994. Patrz też przypis 21. do rozdziału 11.
23. Nowe realia, jakie nacjonalizm powinien uwzględniać, nie bardzo doń jednak pasują. Na przykład John Lukacs upatruje w nacjonalizmie „główną polityczną siłę XX wieku". John Lukacs, *The End of the Twentieth Century and the End of the Modern Age*, Ticknor and Fields, Nowy Jork 1993, s. 8.
24. Michael Ignatieff, *Blood and Belonging: Journeys into the New Nationalism*, Farrar, Straus & Giroux, Nowy Jork 1994, s. 5.
25. Feudalizm miał zarówno wymiar imperialny, jak i kosmopolityczny, określany z jednej strony przez Kościół, z drugiej przez pangermańskie Cesarstwo. Miał jednocześnie wymiar lokalny i prowincjonalny, co przejawiało się na przykład we francuskich prowincjach Burgundii i Prowansji czy angielskich hrabstwach Essex i Dorset, sprzed epoki państwa narodowego.
26. Podlegając nominalnie zwierzchności odległych władców, Burgundczycy, Normanowie, mieszkańcy północnej (strefa „Oui") i południowej Francji (strefa „Oc") żyli sobie według własnych obyczajów. Joanna d'Arc

usiłowała zjednoczyć ich przelaną krwią i siłą oręża we „Francję" wyrosłą z bratobójczych walk. Tak przynajmniej rzecz całą przedstawiają współcześni autorzy, na przykład George Bernard Shaw w *Świętej Joannie*, literackiej rekonstrukcji wydarzeń historycznych, gdzie Dziewica Orleańska pojawia się jako nacjonalistka i protestantka. W angielskiej Wojnie Dwóch Róż, której dzieje tak udramatyzował Szekspir, na trupach zwalczających się Lancasterów i Yorków wyrósł nowy naród angielski, lojalny wobec królewskiej korony, a nie feudalnych klanów.

27. Francuski historyk Renan napisał: „Or, l'essence d'une nation est que tous les individus aient beaucoup de choses en commun et aussi que tous assent oublie des choses" („Zasada tworząca naród polega na tym, że wszystkie jednostki mają wiele wspólnych cech, a przy tym o różnych sprawach zapomniały"). Cytowane w: Anderson, *Imagined Communities*, s. 199.
28. Skutki przesiedleń i rosyjskiej kolonizacji utrudniają proces przechodzenia państw bałtyckich do niepodległości i demokracji. Reakcją na kolonizację rosyjską z okresu komunizmu (wskutek której Łotysze stali się niemal mniejszością we własnym kraju, a na Litwie i w Estonii znajdują się pokaźne grupy rosyjskiej mniejszości) jest narzucanie przez władze tych krajów monokulturalnych praw dotyczących obywatelstwa. Jest to wręcz rodzaj określonej przez konstytucję czystki etnicznej, co może skłonić Rosjan do wyniesienia się.
29. Dlatego też nie będę tutaj przytaczał realistycznych opisów i analiz walk bratobójczych i wojen domowych, które czytelnik znajdzie w najnowszych książkach Erica Hobsbawma, Michaela Ignatieffa, Daniela Patricka Moynihana, Johna Lukacsa, Williama Pfaffa i Waltera Connora, a także wielu innych wybitnych historyków i socjologów. Do tytułów wymienionych w przypisach dodałbym jeszcze Waltera Connora, *Ethnonationalism: The Quest for Understanding*, Princeton University Press, Princeton 1994 i Williama Pfaffa *Wrath of Nations*.
Nie mam też zamiaru powtarzać szczegółowych relacji na temat życia codziennego w byłym Związku Radzieckim i Europie Wschodniej, jakie wyszły już spod pióra wybitnych publicystów, takich jak Timothy Garton Ash (seria artykułów dla „The New York Review of Books") czy Georgie Anne Greyer („Washington Times" i „The Wall Street Journal"). Geyer wcześnie i trafnie zaobserwowała zjawiska zwiastujące Dżihad, na dziesięć lat przed Danielem Patrickiem Moynihanem i Zbigniewem Brzezińskim i ich wizjami globalnego pandemonium opublikowała proroczy esej „Our Disintegrating World: the Menace of Global Anarchy", *Encyclopedia Britannica Book of the Year 1985*, University of Chicago Press, Chicago 1985, s. 11–25.

11. Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje"

1. J.J. Rousseau, *List o widowiskach*, przeł. Wiera Bieńkowska, W: *Umowa społeczna oraz: Uwagi o rządzie polskim* (i inne eseje), PWN, Warszawa 1966, s. 400.
2. Michael Ignatieff, *Blood and Belonging: Journeys into the New Nationalism*, Farrar, Straus & Giroux, Nowy Jork 1994, s. 5.

3. Francuski minister kultury Jacques Toubon niepokoi się z powodu „plemiennych" tendencji języka: kadra kierownicza mówi po angielsku, imigranci posługują się swoimi językami, zwykli ludzie mówią „językiem telewizji", pośrodku zaś znajduje się „język administracji – może też jeszcze intelektualistów i profesorów". Wszystko razem może doprowadzić do „katastrofy". *The Latest European News*, publikacja United Airlines, 29 listopada 1994.
4. Alan Riding, *Celts and Proud of It (Even If They Are French)*, „The New York Times", 2 sierpnia 1991.
5. Z 2,8 mln ludzi zamieszkujących ten niewielki półwysep, wcinający się w Atlantyk, mniej więcej 100 000 zaangażowanych jest w miejscowy ruch folklorystyczny. Bretońscy Celtowie byli niegdyś obiektem zabiegów ze strony nazistów, którzy obiecywali im niepodległość w zamian za sojusz z Niemcami. Później wyłonili Front Wyzwolenia Bretanii, a w 1968 roku mowa była nawet o rewolucji. Dzisiaj po bretońsku mówi więcej intelektualistów niż wieśniaków, choć istnieje szkoła z bretońskim jako językiem wykładowym, do której uczęszcza tysiąc dzieci, miejscowi przywódcy zachęcają dramaturgów do pisania sztuk w tym języku, a naukowców do opracowywania jego słowników.
6. Biuro powstało w 1982 roku, w 1993 roku miało budżet w wysokości 4,2 mln dolarów. Marlise Simons, *A Reborn Provençal Heralds Revival of Regional Tongues*, „The New York Times", 3 maja 1993. Cała idea polega nie tyle na podkreślaniu znaczenia tożsamości kulturowej, co na przekonaniu, że garstka intelektualistów zdoła ożywić języki nie będące w praktycznym użyciu ani w szkole, ani w handlu, ani w domu.
7. André Frossard, *L'Europe: une nouvelle tour de babel*, „Paris Match", Document 1993/4.
8. O przypadku Szwajcarii pisałem obszernie w *The Death of Communal Liberty: the History of Freedom in a Swiss Mountain Canton*, Princeton University Press, Princeton 1974. Warto też zapoznać się ze świetnym kompendium o miejscu Szwajcarii w Europie: *Can the Confederatio Helvetica Be Imitated?* Specjalne wydanie „Government and Opposition", vol. 23, nr 1, zima 1988.
9. W wersji tego ogłoszenia z 1994 roku, opłaconej przez Generalitat de Catalunya, widniała biała strona, na której znajdował się punkt z napisem „Barcelona" i przewrotne pytanie: „W jakim kraju umieścilibyście ten punkt?". Odpowiedź umieszczono kilka stron dalej: „Katalonia to kraina w Hiszpanii, o własnej kulturze, języku i tożsamości. Wiele zagranicznych przedsiębiorstw zainwestowało tutaj i nadal poważnie inwestuje. Kraina ta potrafiła doprowadzić do tego, że jej stolica gości igrzyska olimpijskie". Wcześniejsze ogłoszenie pojawiło się w „The New York Times" 17 lipca 1992 roku. Nowy etap kampanii rozpoczęto wiosną 1994, gdy 25 kwietnia ukazało się ogłoszenie na łamach „Newsweeka". Ambiwalentna postawa wobec McŚwiata przejawia się w akcentowaniu katalońskiego separatyzmu i dziedzictwa kulturalnego z jednej strony, z drugiej zaś podkreślaniu zalet Katalonii dla kapitalizmu i handlu oraz jej roli jako europejskiego centrum gospodarczego. Patron Barcelony Sant Jordi oraz wybitni Katalończycy – Dali, Miró i Casals – pojawiają się w materiałach promocyjnych katalońskich korporacji wielonarodowych. Tę samą ambiwalencję widzimy w innej wersji ogło-

szenia, którego nagłówek brzmi: „Katalonia – nowoczesny kraj z wielowiekową tradycją".

10. Zdaniem komentatorów król Juan Carlos mógł na krótko okpić Pujola, czarując audytorium wystąpieniem po katalońsku i nienagannymi manierami, a także przedstawiając jego próby przechwycenia olimpiady jako niezręczne posunięcie świadczące o fanatyzmie. W istocie jednak jego wystąpienie zostało wyreżyserowane przez katalońskich nacjonalistów i to oni okazali się zwycięzcami w dalszej perspektywie.
11. Alan Riding, *The Olympics Crown a King with Laurels*, „The New York Times", 12 sierpnia 1992. Nacjonaliści z innych regionów Hiszpanii ubiegają się obecnie o przywileje, jakie Pujol wywalczył dla Katalonii.
12. Za Marlise Simons, cyt. wyd.
13. W Genewie i Neuchâtel prawie 80 procent głosujących opowiedziało się za przystąpieniem, a w niemiecko-szwajcarskich kantonach Schwyz i Uri (które dały początek dzisiejszej Szwajcarii) prawie tyle samo (75 procent) było przeciw.
14. *Switzerland and Europe: Time to Join the Others*, „The Economist", 28 listopada 1992. Niedostatecznie zdyscyplinowane masy, bezpiecznie okopane w swoich europejskich Himalajach, jeszcze raz zlekceważyły stanowisko elit 6 grudnia 1992 r. Chociaż przeciw wypowiedziała się nieznaczna większość (50,3 procent), zdecydowane „nie" oznajmiło 18 z 26 kantonów, a tylko 8 (same frankofońskie) głosowało „tak". Do rozstrzygnięcia referendum potrzebne było „tak" 14 kantonów.
15. Patrz na przykład: *La vieille tradition du chemin solitaire* w lewicowym dzienniku „Liberation", 7 grudnia 1992, a także artykuł wstępny Gerarda Dupuy *Un nouveau coup contre l'Europe*.
16. Zakaz utrzymał się zaledwie przez kilka lat, popierały go z bardziej cynicznych względów miejscowe linie kolejowe, ale język, jakim te ograniczenia uzasadniano, przewidująco wyrażał zaniepokojenie skutkami ekonomicznej ingerencji i zniszczeniem środowiska naturalnego. Patrz: Barber, *The Death of Communal Liberty*.
17. O Quebecu pisze Michael Ignatieff w *Blood and Belonging*. Autor urodził się w Kanadzie, jego podejście do kwestii Quebecu jest więc chyba najbardziej przekonującą częścią tej książki.
18. Joel Kotkin wydobywa niektóre ambiwalentne cechy narodów żyjących w diasporze, stosując pojęcie „plemienia" do tych, które działają ponad granicami, zajmując się handlem – to jest Hindusów, Chińczyków i Żydów, lecz także (dość to dziwne) do Brytyjczyków i Amerykanów. Joel Kotkin, *Tribes: How Race, Religion, and Identity Determine Success in the New Global Economy*, Random House, Nowy Jork 1993.
19. Poprawka do konstytucji kanadyjskiej gwarantuje równość ludności anglo- i francuskojęzycznej w Nowym Brunszwiku, stanowi ona jednak próbę ułagodzenia mieszkańców Quebecu. Patrz Clyde Farnsworth, *Acadians Cling to Their Culture, and to Canada*, „The New York Times", 5 lipca 1994.
20. Nie jest być może zaskoczeniem, że ci sami umęczeni ludzie, którzy tak pomstowali na komunistyczne symbole górujące nad Karl Marx Platz w Berlinie Wschodnim, będą dziś wyklinać widniejące na Augustus Platz (obecna nazwa) symbole komercyjne. Tam, gdzie powiewała kiedyś flaga z imperialnym sierpem i młotem, wznosi się teraz błyszczące

„imperialistyczne" logo firmy Mercedes-Benz. W Budapeszcie znak południowokoreańskiego molocha elektronicznego GoldStar umieszczono na domu, w którym mieszkał niegdyś marksistowski teoretyk George Lukacs.

21. Piosenkę o swastyce śpiewa zespół Radikahl. Niektóre zespoły rockowe zerwały jednak z prawicą. Ingo Hasselbach, członek-założyciel i wiceprzewodniczący zdelegalizowanej Narodowej Alternatywy opublikował niedawno książkę *Die Abrechnung: Eine Neonazi Steigt Aus*, Aufbau Verlag, Berlin 1994, w której formułuje myśl, że neonazistowskie pozy bywają w pewnych przypadkach skutkiem frustracji ekonomicznej, a nie głębokich ideologicznych przekonań.
22. Schoenhuber unika brutalnych wypowiedzi w neonazistowskim stylu, woli efektowne uwagi w rodzaju: „Lubię Turków, ale najbardziej w Turcji". Zamiast oddawać cześć Hitlerowi, mówi o wielkiej partii faszystowskiej, którą Hitler „zdradził". Philippe Boulet-Gercourt, *Franz Schoenhuber: un SS trés frequentable*, „Le Nouvel Observateur/Monde", 16–22 kwietnia 1992.
23. Od lipca 1991 do lipca 1992 roku w Niemczech Wschodnich zlikwidowano prawie połowę stanowisk pracy w przemyśle wytwórczym (45,6 procent), w Zachodnich zaś 2,5 procent porównywalnych miejsc pracy. „The Week in Germany", 25 września 1992. W roku 1991 Treuhandanstalt (zachodnioniemiecka agencja prywatyzacyjna) ułatwił zachodnioniemieckim wydawcom zakupienie dziesięciu wschodnioniemieckich gazet. „The Week in Germany", 19 kwietnia 1991.
24. Ignatieff zwraca uwagę na to, że niemieccy skinheadzi zapożyczają niektóre wzorce od skinheadów brytyjskich, chociaż popada w przesadę i wyraża typową dla niektórych Kanadyjczyków wrogość do Anglii, kiedy stwierdza, że „kultura skinheadów może się okazać najbardziej trwałym wkładem Brytyjczyków w Niemczech i Nowej Europie". Ignatieff, cyt. wyd., s. 83. O wykorzystywaniu przez nazistów sieci komputerowych pisze Jon Wienier, *Free Speech on the Internet*, „The Nation", 13 czerwca 1994.
25. Analizuje to z krytycznej perspektywy Norman Birbaum, *How New the New Germany?*, część I, „Salmagundi", nr 88–89, jesień 1990/zima 1991, s. 234–263; część II, „Salmagundi", nr 90–91, wiosna/lato 1991, s. 131–178, 292–296. Patrz także: Peter Rossman, *Dashed Hopes for a New Socialism*, „The Nation", 7 maja 1990.
26. Komuniści odnieśli te sukcesy pomimo oporu wszystkich pozostałych partii. W PDS jest frakcja o nazwie „Platforma Komunistyczna", która pozostaje wierna zasadom marksizmu-leninizmu, ale partia jako całość opiera się na wschodnioniemieckiej lojalności, polityce personalnej i filozofii politycznej, która sprowadza się do stwierdzenia: „Naszym celem nie jest obalanie systemu demokracji parlamentarnej i ustanowienie jakiejś formy dyktatury, lecz prawdziwa demokratyzacja Niemiec". Przywódca partii Gregor Gysi umie grać na wschodnioniemieckich resentymentach: „Akceptuję swobody polityczne, porządek prawny i demokratyczne szanse stwarzane przez ten system, twierdzę jednak również, że ludzie w Niemczech Wschodnich utracili wiele ważnych praw. Za dużo jest niesprawiedliwości społecznej, wiele rzeczy musi ulec zasadniczej zmianie. Nie przeciwstawiamy się jak należy globalnym, społecznym, ekologicznym i kulturalnym zagrożeniom. Moim zdaniem nadal istnieją

poważne powody skłaniające do przyjęcia antykapitalistycznej postawy". Stephen Kinzer, *In Germany, Communist Resurgent*, „The New York Times", 29 czerwca 1994.

27. Poza robotnikami z Grecji, Włoch, Turcji i Afryki Północnej są też niedawno przybyli imigranci z Wietnamu i z Indii, a także cała masa uchodźców politycznych z Europy Wschodniej, którzy umieli wykorzystać liberalne niemieckie prawo dotyczące azylu.
28. Na przykład we Frankfurcie jedną trzecią mieszkańców stanowią cudzoziemcy należący do ponad 140 narodowości, co stawia to miasto w jednym rzędzie z Los Angeles i Nowym Jorkiem – ośrodkami wielokulturowości. Inny niemiecki paradoks polega na tym, że, podobnie jak Izrael, kraj ten przyznał prawo powrotu wszystkim etnicznym Niemcom. Wskutek tego, poza milionami Niemców z dawnej NRD, ma do czynienia ze 100 000 Niemców ze Wschodu. Wielu Niemców zachodnich uważa tych repatriantów (a także ubogich Niemców z byłej NRD) za „obcokrajowców". Repatrianci nie lubią, rzecz jasna, „prawdziwych" cudzoziemców, czyli Turków i Greków, tak jak sami są nie lubiani przez zachodnich pobratymców. Ignatieff pisze o nowo przybyłej Niemce z Rosji: „Myślałam, że jadę do Niemiec, a to przecież Turcja – stwierdza po rosyjsku, bo niemieckiego nie zna (tymczasem drugie i trzecie pokolenie osiadłych tutaj Turków nienagannie mówi po niemiecku)".
29. Tak podaje Federalne Biuro Ochrony Konstytucji. Ferdinand Protzman, *German Attacks Rise as Foreigners Become Scapegoats*, „The New York Times", 2 listopada 1992.
30. Tamże.
31. Na przykład w 1991 roku zawarto około 44 000 małżeństw mieszanych (niecałe 10 procent wszystkich małżeństw w Niemczech), w tym 3500 między Turkami i Niemkami i 880 między Niemcami i Turczynkami. „The Week in Germany", 29 stycznia 1994.
32. „Der Spiegel", 26 października 1992.
33. „Koszmar nowych Niemiec polega na tym, że młodociani gangsterzy rozprawiają o polityce". Ignatieff, cyt. wyd., s. 84.
34. Nastroje wrogie cudzoziemcom „sprzeczne są z duchem olimpijskim, bo w olimpijskiej wiosce każdy jest cudzoziemcem" niepokoi się jeden z głównych udziałowców. Stephen Kinzer, *German Violence Worries Investors*, „The New York Times", 1 stycznia 1993.

12. Chiny i niekoniecznie demokratyczne wybrzeże Pacyfiku

1. Milton Friedman, *Capitalism and Freedom*, University of Chicago Press, Chicago 1982; Jeffrey Sachs, *Poland's Jump to the Market Economy*, MIT Press, Cambridge 1993.
2. Cytowane w: Nicholas D. Kristof, *China Sees „Market-Leninism" a Way to Future*, „The New York Times", 6 września 1991. Patrz też: Kristof i Sheryl WuDunn, *China Wakes: The Struggle for the Soul of a Rising Power*, Times Books, Nowy Jork 1992, gdzie znaleźć można celną, choć niekiedy brutalną i cyniczną analizę sytuacji w dzisiejszych Chinach.
3. O „cudzie gospodarczym" w kraju „budzącego się smoka" pisze William H. Overholt, *The Rise of China: How Economic Reform Is Creating*

a New Superpower, Norton, Nowy Jork 1994. Overholt należy do wyznawców poglądu, zgodnie z którym autorytarny system w Chinach, a także na Tajwanie i w Singapurze, sprzyja rozwojowi gospodarczemu, bo uwalnia rząd od konieczności płaszczenia się przed opinią publiczną czy grupami interesu. Według Overholta, „chińska prowincja Guangdong stała się drugim co do wielkości po Stanach Zjednoczonych rynkiem zbytu dla szamponów Procter & Gamble", a także „drugim co do wielkości na świecie rynkiem dla telefonów bezprzewodowych drugiej generacji firmy Motorola". Podobny naiwny entuzjazm można znaleźć w relacjach wielu dziennikarzy, na przykład u Joego Kleina, *Why China Does It Better*, „Newsweek", 12 kwietnia 1993.

4. Perry Link, *The Old Man's New China*, „The New York Review of Books", 9 czerwca 1994.
5. Link podaje znamienny przykład bezsilności suwerennych państw wobec rynków McŚwiata: „Wiarygodne źródła podają, że przedstawiciele 10 wielkich amerykańskich korporacji podczas spotkania z Zhu Rongji, czołowym luminarzem chińskiej gospodarki, namawiali go, by zajął twardą postawę w rozmowach z Clintonem na temat klauzuli największego uprzywilejowania". Niepowodzenia polityki amerykańskiej nie wynikają z uporu Chin, ale z mieszania się amerykańskich korporacji w nie swoje sprawy. Link, cyt. wyd.
6. Cytowane przez Nicholasa D. Kristofa, *Chinese Communism's Secret Aim: Capitalism*, „The New York Times", 19 października 1992.
7. Chiński cud gospodarczy, ze wskaźnikiem wzrostu przekraczającym 18 procent, prowadzi do pogłębiania się nierówności społecznych i rozpiętości dochodów: przyjęcie w wytwornej restauracji może kosztować dziesięć razy tyle, co roczne pobory większości robotników.
8. Nicholas D. Kristof, *China Sees, cyt. wyd.*
9. O trudnej sytuacji artystów w Chinach po 1989 roku pisze Andrew Solomon, *Their Irony, Humor (and Art) Can Save China*, „The New York Times Magazine", 19 grudnia 1993.
10. Cytowane przez Suzy Menkes, *Yuppie Shanghai Shows and Old Flair*, „The International Herald Tribune", 25 maja 1993.
11. Cytowane przez Jianying Zha, *China Goes Pop: Mao Meets Muzak*, „The Nation", 21 marca 1994.
12. Nicholas D. Kristof, *Satellites Bring Information Revolution to China*, „The New York Times", 11 kwietnia 1993.
13. Tamże. Na podobnej zasadzie niepowodzenie starań o goszczenie igrzysk olimpijskich 2000 roku w Pekinie oznaczało klęskę gospodarczą dla chińskiej stolicy i cios dla wizerunku Chin na arenie światowej, ale dla przedstawicieli władz obawiających się zgubnych wpływów z zewnątrz mogło być mimowolnym zwycięstwem.
14. Dave Lindorff, *China's Economic Miracle Runs Out*, „The Nation", 30 maja 1994.
15. Nicholas D. Kristof, *China Sees, cyt. wyd.*
16. Sheryl WuDunn, *Clan Feuds*, „The New York Times", 17 stycznia 1993.
17. Na obie prowokacje odpowiedziano brutalnymi represjami – szacuje się, że zabito ponad 60 000 osób, z ręki terrorysty zginął m.in. 1 maja 1993 roku prezydent Sri Lanki. Do konfliktu zostały wciągnięte Indie, które

wysłały na północ Sri Lanki ponad 50 000 żołnierzy, by narzucić własne rozwiązanie. Interwencja się jednak nie powiodła, a były premier Indii Radżiv Gandhi został w 1991 roku zamordowany przez tamilskich terrorystów. W 1993 roku osiągnięto pewien postęp na drodze uregulowania konfliktu między Tamilami i Syngalezami. Patrz: Edward A. Gargan, *Sri Lanka Is Choking Off Long Ethnic Revolt*, „The New York Times", 20 marca 1993. Większość obserwatorów jest jednak zdania, że wielokulturowość Sri Lanki może to państwo rozsadzić. William McGowan, *Only Man Is Vile: The Tragedy of Sri Lanka*, Farrar, Straus & Giroux, Nowy Jork 1993.

18. Indonezja jest w 85 procentach muzułmańska, ale 10 procent ludności stanowią chrześcijanie, reszta to małe grupy hinduistów, buddystów i wyznawców animizmu. Interwencja zbrojna miała charakter epizodu, Suharto chciał przekonać swoich partnerów handlowych, że potrafi zaprowadzić w kraju porządek nie mniej skutecznie, niż czyni to na przykład rząd Tajwanu czy Singapuru. Represje jednak nie ustają: całkiem niedawno zamknięto bez ostrzeżenia 3 wpływowe czasopisma, w tym najbardziej znany magazyn „Tempo" założony w 1971 roku.
19. James Fallows, *Looking at the Sun: The Rise of the New East Asia Economic and Political System*, Pantheon, Nowy Jork 1994. Fallows nie jest przekonany, że załamanie gospodarcze z 1994 roku to coś innego niż małe potknięcie na drodze rozwoju Japonii i polemizuje z tymi, którzy twierdzą, że Japonia jest krajem jak każdy inny (czyli, w moich kategoriach, lepszym kandydatem do McŚwiata). Zwolennikiem takiego poglądu jest na przykład Bill Emmott, *Japanophobia: The Myth of the Invicible Japanese*, Times Books, Nowy Jork 1994.
20. Karl Taro Greenfeld, *Speed Tribes: Days and Nights with Japan's Next Generation*, HarperCollins, Nowy Jork 1994. Greenfeld zwraca uwagę, że 25 mln Japończyków ma od 15 do 30 lat. Są to „dzieci przemysłowców, kadry zarządzającej, dyrektorów i robotników, którzy zbudowali Japan Inc. (...) Przyzwyczajeni są do hamburgerów tak samo, jak do kulek z ryżu, a przygotować porcję kokainy czy heroiny potrafią często szybciej niż zrobić żurawia origami".
21. Neil Straus, *In Performance*, „The New York Times", 23 lipca 1994.
22. Najbardziej niewinne zmiany mogą świadczyć o najpoważniejszych wyzwaniach. Na przykład w 1994 roku pod presją czynników ekonomicznych wprowadzono na 60 000 japońskich stacji benzynowych system samoobsługi w zachodnim stylu. W polemikach, jakie stąd wynikły, skupiano się na kwestiach bezpieczeństwa i miejsc pracy, pomijając prawie zupełnie aspekt kulturowy. Tymczasem, o ile samoobsługa może być opłacalna z ekonomicznego punktu widzenie, o tyle podważa zakorzenioną w japońskiej kulturze koncepcję pełnego zatrudnienia (patrz część III) i tradycyjną japońską dbałość, grzeczność i usłużność. Kampania na rzecz utrzymania obsługi na stacjach benzynowych raczej nie zainspiruje kulturowej świętej wojny, ale może powinna. Patrz: Andrew Pollack, *Japan's Radical Plan: Self-Service Gas*, „The New York Times", 14 lipca 1994.
23. Mówi o tym Ry Cooder, cytowany przez Neila Straussa w bardzo interesującej relacji o karierze Shoukichi Kiny z Okinawy (Cooder jest jego amerykańskim producentem), który występował w Nowym Jorku

latem 1994 roku. Hybryda muzyczna z Okinawy zyskała dzięki niemu międzynarodową sławę. Neil Strauss, *Okinawa Gives Its Flavor to Rock*, „The New York Times", 16 lipca 1994.

13. Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje okresu przejściowego"

1. Cytowane przez Johna Kifnera, *The World through the Serbian Mind's Eye*, „The New York Times", 10 kwietnia 1994.
2. Vladimir Goati, cytowany tamże.
3. Domljana cytuje Milton Viorst, *The Yugoslav Idea*, „The New Yorker", 18 marca 1991. O „trąbie powietrznej" patrz *A Whirlwind of Hatreds: How the Balkans Broke Up*, „The New York Times", 14 lutego 1993.
4. Latem 1994 roku wartość akcji największego rosyjskiego funduszu inwestycyjnego spadła z 50 dolarów do niespełna 50 centów. Fundusz ten, zwany MMM, był w istocie oszukańczy, nie miał bowiem „żadnych zarobków, w nic nie inwestował, nie opracował strategii finansowej". Akcje osiągnęły niebotyczną cenę przez to, że sprzedawano ich coraz więcej, a więc nowi kupujący zapewniali zysk starym kupującym, jak w klasycznym schemacie piramidy. Spółka obarczyła winą rząd za to, że interweniował i że powstrzymał się od regulacji, miliony udziałowców miały głównie pretensje do rządu. Michael Specter, *10 000 Stampede as Russian Stock Collapses*, „The New York Times", 30 lipca 1994.
5. Według Aleksandra Pascharewa z Ośrodka Reformy Ekonomicznej w Kijowie, cytuje go Misha Glenny, *Ukraine's Great Divide*, „The New York Times", 14 lipca 1994.
6. Nikolai Zlobin, *Mafiacracy Takes Over*, „The New York Times", 26 lipca 1994. Równie zadziwiający jak treść tego artykułu jest fakt, że redakcja „The New York Times" uznała za stosowne zamieścić go na czołówce.
7. W czterdziestą piątą rocznicę egzekucji tego zbrodniarza wojennego (przypadającą w 1991 roku) rumuński parlament oddał hołd marszałkowi Ionowi Antonescu, który przyłączył się do hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki, był także odpowiedzialny za śmierć 250 000 Żydów. Oddanie honorów odbyło się jednomyślnie, a premier Iliescu, który wcześniej wyraził dezaprobatę, nie odezwał się ani słowem.
8. Celestine Bohlen, *Zhirinovsky Cult Grows*, „The New York Times", 5 kwietnia 1994. Wystąpienia Żyrinowskiego zebrali i opatrzyli komentarzami Graham Frazer i George Lancelle, *Absolute Zhirinovsky: A Transparent View of the Distinguished Russian Statesman*, Penguin Books, Nowy Jork 1994.
9. W ciągu roku po załamaniu się komunizmu „w każdym z krajów Europy Wschodniej zmniejszył się produkt narodowy brutto. Produkcja przemysłowa spadła o 10 procent na Węgrzech, 28 w Rumunii i 30 w Bułgarii". We wszystkich przypadkach napięcia etniczne zaostrzyły trudności ekonomiczne. Serge Schmemann, *For Eastern Europe, Now a New Disillusion*, „The New York Times", 9 listopada 1990.
10. Skrajnie nacjonalistyczne nastroje dają o sobie znać nie tylko na samych Węgrzech, gdzie często przyjmują formę wystąpień antysemi-

ckich. Węgrzy żywo się interesują swoimi rodakami żyjącymi w innych krajach – w Serbii, Rumunii (7 procent ludności) i na Słowacji (11 procent). Po Rosjanach zamieszkujących poza granicami Rosji jest to najliczniejsza grupa mniejszościowa w Europie. Skrajni nacjonaliści w rodzaju Istvana Csurki wznoszą hasło „Wielkich Węgier" i rozprawiają o „przestrzeni życiowej" dla narodu węgierskiego (posługując się dosłownym tłumaczeniem niemieckiego pojęcia „Lebensraum"). Patrz Stephen Engelberg, *Now Hungary Adds Its Voice to the Ethnic Tumult*, „The New York Times", 25 stycznia 1993. Istvan Csurka był członkiem Węgierskiego Forum Demokratycznego (partii kierowanej przez Josepha Antalla, która rządziła na Węgrzech do wyborów 1994 roku) i pomagał Antallowi prowadzić kampanię przeciw prasie. Choć był niegdyś przyjacielem dysydentów, oddalił się w końcu nawet od konserwatystów. Ludzie, których umieścił w środkach przekazu, narobili jednak bardzo wiele złego. O Csurce mówi się, że to „idiota, którego nikt nigdy nie brał poważnie". Milos Vamos, *Hungary's Media Apparatchiks*, „The Nation", 13 grudnia 1993.

11. Armia była tak lojalna, że – kiedy w 1989 roku tendencje plemienne ożyły na gruzach stalinowskiego imperium – prawie wszyscy obserwatorzy byli przekonani, że zdyscyplinowane jugosłowiańskie wojsko zdoła się temu przeciwstawić.
12. Kilka lat temu serbski słowianofil Vasily Belov świetnie uchwycił w swej wypowiedzi sedno historycznych resentymentów: „Tak zwane sankcje ONZ nałożone na Jugosławię to sankcje Watykanu i Niemiec działających wspólnie pod egidą Gorbaczowa". Serge Schmemann, *From Russia to Serbia*, „The New York Times", 31 stycznia 1993.
    Popularny serbski aktor Nikolai Burlyaev nie tak dawno temu pisał w belgradzkim dzienniku „Den": „Serbia jest dzisiaj sama. Cały świat sprzymierzył się przeciwko niej. Zdradził ją obecny rząd Rosji, zdradzając tym samym naród tej samej krwi i wiary, co ortodoksyjni Rosjanie. Zdradził więc swoich, Słowian, tak podobnych do Rosjan". Schmemann, tamże. Rosjanie wyrzekli się ostatecznie swoich serbskich przyjaciół, kiedy parlament Serbów bośniackich odrzucił wypracowany przez wielkie mocarstwo kompromis, na mocy którego Serbowie zachowaliby znaczną część terytoriów zdobytych w Bośni. Jelcyn ma własny pogląd na temat sprzeniewierzenia się Serbów ich moskiewskim sponsorom.
13. Misha Glenny, *Ukraine's Great Divide*, „The New York Times", 14 lipca 1994.
14. Rosja wyraziła gotowość umorzenia ponad 2,5 mld dolarów długu. Tymczasem Zachód przegłosował udzielenie pomocy w wysokości 4 mld dolarów (w tym 200 mln na zamknięcie elektrowni w Czernobylu i oczyszczenie terenu). Tak się jednak fatalnie złożyło dla Krawczuka, że głosowanie odbyło się w przeddzień jego dymisji i polityczne plony zbierze jego następca, Kuczma.
15. Cytowane przez Mishę Glenny'ego, cyt. wyd.
16. Steve Erlanger, *Ukraine Questions Price Tag of Independence*, „The New York Times", 8 września 1993.
17. Wypowiedź Iliescu znajdujemy w jednym z tych płatnych suplementów, które mają nakłonić zachodnich kapitalistów, nie obeznanych z historią

Europy Środkowej, do utopienia w tym regionie milionów dolarów. Patrz: *Romania: Rebuilding the Nation*, 1994.

18. Ustawa została opracowana wiosną 1992 roku z pomocą zespołu z Princeton's Project on Ethnic Relations. W Rumunii pod władzą Ceausescu prześladowano Węgrów przez całe dziesięciolecia. Węgrzy odwzajemniają te resentymenty. Po dziś dzień określają mianem „krwawego Trianon" Układ z Trianon, na mocy którego oderwano od Węgier Transylwańskie Karpaty z 600 000 ludności węgierskiej. Opracowują różne scenariusze przywrócenia suwerenności temu regionowi. Sztuka Caryl Churchill *Mad Forest* przedstawia rozmaite napięcia w Rumunii w ostatnich latach rządów Ceausescu, ale pomija kwestie etniczne i nastroje antycygańskie.
19. Toby F. Sonneman, *Old Hatreds and the New Europe: Roma after the Revolutions*, „Tikkun", vol. 7, nr 1, styczeń 1992, s. 49–52.
20. Cyganie przybyli w XIII wieku z Indii i rozproszyli się tworząc dwie diaspory: jedną na Bałkanach, w Mołdawii i Wołoszczyznie (dzisiejsza Rumunia), gdzie od XIV od XIX wieku mieli status niewolników, i drugą w pozostałej części Europy. Przestrzegany przez nich system kastowy, wywodzący się z Indii, utrzymywał ich w całkowitej izolacji od ludności krajów, w których żyli. W Niemczech, Finlandii i Wielkiej Brytanii samo urodzenie się Cyganem stanowiło przestępstwo. Podczas eksterminacji dokonanej przez hitlerowców zginęło 70–80 procent cygańskiej populacji, od pół miliona do miliona (nie było spisów ludności cygańskiej, które pozwoliłyby ustalić skalę ludobójstwa).
21. Antonescu, rumuński oficer chory na syfilis, obalił w 1940 roku despotycznego króla Karola II i mianował się „Conducatorem" biorąc wzór z Führera. Uważany był za zbawcę narodu, niektórzy łączą ten jego przydomek z nazwą partii Iliescu – Front Ocalenia Narodowego.
22. Szczegóły patrz Robert D. Kaplan, *Bloody Romania*, „The New Republic", 30 lipca i 6 sierpnia 1990, także Sonneman, *Old Hatreds*.
23. Kaplan, *Bloody Romania*. Autor tak opisuje swoją podróż po Rumunii: „Zobaczyłem surrealistyczne piekło niepohamowanego alkoholizmu. Całe masy robotników fabrycznych mieszkają w hotelach robotniczych, z dala od rodzin, odarci z wszelkiej godności. Zapijają się spirytusem używanym do celów medycznych i oglądają filmy kung-fu". Autor podkreśla, że Iliescu wykorzystał tych robotników jako gwardię pretoriańską do rozprawy z opozycyjnymi intelektualistami w miastach.
24. Eric Hobsbawm, *A New Threat to History*, „The New York Review of Books", 16 grudnia 1993.
25. Tamże.
26. Tamże. Hobsbawm podaje przykład opracowania na temat doliny Indusu zatytułowanego *5000 Years of Pakistan* (*5000 lat Pakistanu*), chociaż „nazwa Pakistanu pojawiła się dopiero w roku 1932–1933, kiedy wymyślili ją działacze studenccy. Dopiero w roku 1940 zaczęto żywić w związku z tym poważne aspiracje polityczne, a jako państwo Pakistan istnieje od 1947 roku".
27. Cytowane w: Celeste Bohlen, *Ethnic Rivalries Revive, in E. Europe*, „The New York Times", 12 listopada 1990.

14. Dżihad właściwy: islam i fundamentalizm

1. Martin E. Marty, R. Scott Appleby, *Fundamentalisms Observed*, Vol. 1 of the Fundamentalism Project, University of Chicago Press, Chicago 1991, s. VIII–X.
2. Ogłoszenie w „The New York Times", 20 lipca 1994.
3. Chris Hedges, *Teheran Journal*, „The New York Times", 16 sierpnia 1994.
4. Leslie Planner, Cherry Mosteshar, *Bringing a Beam of Delight to the Closed World of Iran*, „The Guardian", 5 sierpnia 1994.
5. „Rozpowszechnienie autorytaryzmu na dzisiejszym Bliskim Wschodzie jest wprost osobliwe. Bez względu na to, czy islam i kultura «bliskowschodnia» to zjawiska odrębne, czy też nie, ich oddziaływanie nie wróży demokracji nic dobrego". G. Salame (red.), *Democracy Without Democrats*, I. B. Tauris Publishers, Londyn 1994, s. 32–33.
6. Hilal Khashan, *The Limits of Arab Democracy*, „World Affairs", vol. 153, nr 4, wiosna 1991, s. 127–135.
7. Fatima Mernissi, *Islam and Democracy: Fear of the Modern World*, Addison Wesley, Reading 1992. Bardzo interesujący obraz islamu widzianego oczami fotoreportera znajdzie czytelnik w książce Abbasa *Allah o Akbar: A Journey Through Militant Islam*, Phaidon Press, San Francisco 1995.
8. Jak stwierdza John O. Voll, „w przekonaniu przywódców Dżihadu walka zbrojna przeciw zdeprawowanej władzy była religijnym obowiązkiem". *Fundamentalism in the Sunni Arab World*, M.E. Marty, R.S. Appleby, cyt. wyd., s. 345.
9. Timothy D. Sisk (red.) *Islam and Democracy*, United States Institute of Peace, Waszyngton 1992, s. X.
10. Patrz na przykład: Edward W. Said, *Culture and Imperialism*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1993.
11. Sisk, cyt. wyd., s. 23.
12. Voll, *Fundamentalism*, s. 348.
13. Cytowane tamże, s. 360. Instytucje demokratyczne uznawane są za pretekst do siania zepsucia. Nie są złe same w sobie, ale nie należy ich brać poważnie, bo stanowią tylko rodzaj konia trojańskiego, w którym przemycane są miazmaty Zachodu.
14. Prynne'a cytuje Jonas Barish, *The Antitheatrical Prejudice*, The University of California Press, Berkeley 1981, s. 84–85.
15. J.J. Rousseau, *List o widowiskach*, przeł. Wiera Bieńkowska, W: *Umowa społeczna oraz: Uwagi o rządzie polskim* (i inne eseje), PWN, Warszawa 1966, s. 400.
16. Patrz: Stephen Barboza, *American Jihad: Islam after Malcolm X*, Doubleday, Nowy Jork 1994.
17. Stephen Carter wnikliwie analizuje proces trywializacji prawdziwej wiary, z jakim mają do czynienia ludzie wierzący w świeckiej Ameryce: *The Culture of Disbelief: How American Law and Politics Trivialize Religious Devotion*, Basic Books, Nowy Jork 1993.
18. Jerry Falwell, założyciel i przywódca Moralnej Większości, w kazaniu wygłoszonym w marcu 1993 roku, cytowane w: *The Religious Right: The Assault on Tolerance and Pluralism in America*, The Antidefamation League, Nowy Jork 1994, s. 4.

19. Tamże. Terell jest założycielem „Operation Rescue", grupy skupiającej antyaborcyjnych aktywistów.
20. *Drive by Witness* A-1 S.W.I.F.T., cytowane przez Michaela Marriota, *Rhymes of Redemption*, „Newsweek", 28 listopada 1994. Patrz też: Nicolas Dawidoff, *No Sex, No Drugs, But Rock'N'Roll*, „The New York Times Magazine", 5 lutego 1995.
21. Skandale obyczajowe i podatkowe afery wybuchają nadal. Gospel Music Association musiało w 1994 ujawnić, że Michael English, żonaty wokalista śpiewający chrześcijański pop, będzie miał dziecko z Marabeth Jordan, mężatką, wokalistką tria First Call. Niewykluczone, iż jest to dowód na to, że ci, którzy posługują się narzędziami diabelskiego McŚwiata, łatwo wpadają w pułapki zastawione przez diabła.
22. Interesująco pisze na ten temat Philip Weiss, *Off the Grid*, „The New York Times Magazine", 6 stycznia 1995.
23. Bardzo ciekawą pracę o apokaliptycznej stronie fundamentalizmu napisał Charles B. Strozier, *Apocalypse: On the Psychology of Fundamentalism in America*, Beacon Press, Boston 1994. Patrz także: Paul Boyer, *When Time Shall Be No More: Prophecy Belief in Modern American Culture*, Harvard University Press, Cambridge 1993.

CZĘŚĆ III. Dżihad kontra McŚwiat

15. Dżihad i McŚwiat w warunkach Nowego Nieładu Światowego

1. Alexis de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, przeł. Marcin Król, Barbara Janicka, Znak, Kraków 1996.
2. U.S. Business and Industrial Council (Amerykańska Rada Biznesu i Przemysłu) zwalcza odnośne postanowienia GATT, obawiając się, że oznaczają one „oficjalną kapitulację Stanów Zjednoczonych przed obcymi rządami". Ogłoszenie w „The New York Times", 28 lipca 1994.
3. Jack Sheinkman, *When Children Do the Work*, „The New York Times", 9 sierpnia 1994.
4. Tamże. Jak pisze David Keppel w krytycznym liście do redakcji „The New York Times", trudno sobie raczej wyobrazić, żeby jakiś mały kraj, jak Benin, przeciwstawił się amerykańskim standardom ochrony środowiska utrudniającym wolny handel. „Będzie to raczej wielka ponadnarodowa korporacja, która znajdzie zaprzyjaźniony bądź zdesperowany obcy rząd, by przy jego pomocy złamać niewygodne przepisy". „The New York Times", 3 sierpnia 1994. Artykuł 2 traktatu Światowej Organizacji Handlu zabrania rządom dokonywania posunięć regulacyjnych „tworzących niepotrzebne utrudnienia w handlu międzynarodowym". Niepotrzebne utrudnienia, czyli zakaz pracy dzieci, standardy bezpieczeństwa pracy, przepisy dotyczące ochrony środowiska, i tak dalej?!
5. Na temat tej kontrowersji patrz: Laurie Udesky, *Sweatshop Behind the Labels*, „The Nation", 16 maja 1994, i listy, jakie później napłynęły, w tym odpowiedź Levi Strauss & Company, „The Nation", 8/15 sierpnia 1994.

6. W opublikowanym niedawno dialogu między niemieckim filozofem społecznym Jüergenem Habermasem a polskim reformatorem i dziennikarzem Adamem Michnikiem, Habermas, zapytany: „Co pozostało z socjalizmu?", odpowiada jednoznacznie: „radykalna demokracja". Michnik „całkowicie" się z nim zgadza. Oznacza to jednak, jak się wydaje, nie tyle przetrwanie demokracji, co fakt, że jej wyidealizowana wizja (kojarzona z socjalizmem jako wielce szlachetną teorią) sczezła, w praktyce, wraz z socjalizmem. Michnik, *„More Humility, Fewer Illusions" – A Talk Between Adam Michnik and Juergen Habermas*, „The New York Review of Books", 24 marca 1994.
7. Thomas L. Friedman, *A Peace Deal Today Really is a Bargain*, „The New York Times", 11 września 1994.
8. Cytowane przez Vance'a Packarda w jego wczesnej, klasycznej pracy na temat konsumpcji, *The Waste Makers*, David McKay, Nowy Jork 1960, a także przez Alana Durninga, *How Much Is Enough: The Consumer Society and the Future of Earth*, W.W. Norton & Company, Nowy Jork 1992, s. 21–22.
9. Durning, cyt. wyd., s. 22, 116.
10. Liga okazała się przedsięwzięciem całkowicie nieudanym. Stany Zjednoczone nigdy do niej nie wstąpiły, a 17 spośród 63 państw członkowskich wystąpiło, zanim Liga zmarła naturalną śmiercią wraz z początkiem II wojny światowej, której nie zdołała zapobiec. Patrz: Mihaly Simai, *The Future of Global Governance*, United States Institute of Peace, Waszyngton 1994, s. 27.
Liczniejsze, lecz słabsze kraje rozwijające się podjęły w 1974 roku próbę ustanowienia „nowego międzynarodowego ładu ekonomicznego" na mocy rezolucji ONZ nr 3201. Potężne państwa „Pierwszego Świata" udaremniły to, nie wyrażając najmniejszego zainteresowania. Podobny los spotkał Nowy Swiatowy Ład Informacyjny, którego koncepcja powstała na początku lat osiemdziesiątych jako reakcja na hegemonię McŚwiata w dziedzinie komunikacji. Nawet potężnym państwom-członkom Rady Bezpieczeństwa ONZ nie udało się wykorzystać organizacji międzynarodowej do skutecznych akcji na rzecz zaprowadzania pokoju, o czym świadczy przypadek Bośni.
11. Maurice F. Strong, *ECO '92: Critical Challenges and Global Solutions*, „Journal of International Affairs", nr 44, 1991, s. 287–298. Na konferencji w 1994 roku rozpatrywano kwestię rekonfiguracji agend międzynarodowych w rodzaju Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Patrz: *Rethinking Bretton Woods*, Center for Concern, Waszyngton 1995. Różne „szczyty" poświęcone kwestiom społecznym i ochronie środowiska, które odbywały się w ostatnich pięciu latach, miały podobne cele, ale retoryka wzięła górę nad wspólnym działaniem.
12. Oscar Schachter, *The Emergence of International Environmental Law*, „Journal of International Affairs", nr 44, 1991, s. 457.
13. Geoffrey Palmer, *New Ways to Make International Environmental Law*, „American Journal of International Law", nr 86, 1992, s. 259. Patrz też: Benjamin B. Ferencz, *New Legal Foundations for Global Survival*, Oceana Publications, Nowy Jork 1994. W książce tej, jak we wszystkich prawie pracach na temat prawa międzynarodowego, spotykamy pustą retorykę „musi", „powinno się" i „należy" w odniesieniu do dziedziny, gdzie

realiści słusznie posługują się słowami „nie można", „nie zrobi się" i „nie da się".

14. Są rozmaite międzynarodowe instytucje – prawa, konwencje, agendy i organizacje – działające wśród zaszłości ostatnich 70 lat, czyli zdezintegrowanych państw, masakrowanych plemion, bezdomnych rzesz uchodźców i zniszczonego środowiska, których funkcjonowanie ma pewien sens. W ograniczonych dziedzinach, gdzie mocarstwa mogą w pewnych kwestiach dojść do porozumienia, instytucje te zrobiły nawet sporo dobrego. Po drugiej wojnie, kiedy Stany Zjednoczone mogły odgrywać rolę światowego hegemona, większość „międzynarodowych" instytucji nie maskując się zbytnio realizowała amerykańską politykę i służyła amerykańskim interesom, pomagając utrzymać ograniczony „pax Americana", który z kolei gwarantował ograniczony pokój w warunkach zimnej wojny. Termin ten, wprowadzony przez Johna Gerarda Ruggiego, stał się modny w kręgach specjalistów od spraw międzynarodowych i ekonomistów. Posługiwali się nim m.in. Robert Keohane, Charles Kindleberger i Robert Gilpin.
15. Robert Kuttner, *The End of Laissez-Faire: National Purpose and the Global Economy after the Cold War*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1991, s. 260. Kuttner wnikliwie analizuje złudzenia związane z doktryną *laissez-faire* i ich niszczycielski wpływ na amerykańską gospodarkę.
16. Assembly of Regions (Zgromadzenie Regionów); patrz przypis 19.
17. Odnośnie interesującej wymiany poglądów na temat patriotyzmu i kosmopolityzmu patrz: Martha Nussbaum, *Patriotism or Cosmopolitanism? Martha Nussbaum in Debate*, „Boston Review", wydanie specjalne, vol. XIX, nr 5, październik/listopad 1994. W tym samym numerze znajduje się moja odpowiedź.
18. Robert Reich, *Work of Nations*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1991, s. 313.
19. Artykuł 24/1 Ustawy Zasadniczej stwierdza: „Federacja może na mocy ustawy przekazać suwerenną władzę instytucjom międzynarodowym". W 1992 roku został zastąpiony nowym „artykułem europejskim". Kwestie te analizuje szczegółowo Charlie Jeffrey w referacie przygotowanym na 26. Światowy Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Nauk Politycznych, Berlin, 21–25 sierpnia 1994. Tytuł referatu brzmi: *The Laender Strike Back: Structures and Procedures of European Integration: Policy Making in the German Federal System.*
20. Humanitarystom nadal się marzy interwencja wojsk Narodów Zjednoczonych nie uzależnionych od amerykańskiej hegemonii. Tymczasem nie sposób wyobrazić sobie światową armię humanitarystów przy nieobecności światowej władzy, a światowa armia uzależniona od udziału zainteresowanych państw nie będzie ani niezaangażowana, ani światowa. Patrz: Kai Bird, *The Case for a U.N. Army*, „The Nation", 8/15 sierpnia 1994.

    Nawet szacowne Światowe Stowarzyszenie Federalistów (World Federalist Association) odstąpiło od koncepcji rządu światowego i prowadzi kampanię na rzecz istniejących organizacji, które okazały się jak dotąd niezdolne do zaprowadzenia pokoju. Ulotka wydana niedawno w ramach akcji zbierania funduszy zawiera teksty gotowych listów, które należy wysłać do określonych polityków, m.in. do prezydenta Clintona,

proszÄ…c, by â€žwsparli OrganizacjÄ™ NarodĂłw Zjednoczonych i globalne zmiany". Ale na tym poprzestaje.

21. Cytowane przez Stuarta Elliota, *In Search of Fun for Creativity's Sake*, â€žThe New York Times", 3 stycznia 1994.
22. Joan Lewis, *UN Blues: Responding to the Crisis in Somalia*, â€žLSE Magazine", wiosna 1994.
23. Reich, cyt. wyd., rozdziaĹ‚ 12.
24. Hannah Arendt omawia wszystkie te 3 formy w swych rozwaĹĽaniach o pierwotnej demokracji, *On Revolution*, Viking Press, Nowy Jork 1963, s. 22â€“24. [pol. wyd. *O rewolucji*, przeĹ‚. MieczysĹ‚aw GadyĹ„, Wydawnictwo X i Dom Wydawniczy Totus, KrakĂłw 1991].
25. Robert Putnam w swej ksiÄ…ĹĽce *Budowanie sprawnej demokracji* (przeĹ‚. Jakub Szacki, Znak, KrakĂłw 1996) ukazuje, jakÄ… rolÄ™ w ksztaĹ‚towaniu siÄ™ obywatelskiego zaangaĹĽowania i demokracji odegraĹ‚y tradycyjne chĂłry dziaĹ‚ajÄ…ce od dawna we wĹ‚oskich miasteczkach.
26. Patrz: Michael Lesy, *Wisconsin Death Trip*, Pantheon Books, Nowy Jork 1973 i Jane Mansbridge, *Beyond Adversary Democracy*, University of Chicago Press, Chicago 1983.
27. Stephen Holmes, *Back to the Drawing Board*, â€žEast European Constitutional Review", vol. 2, nr 1, zima 1993, s. 21â€“25. Trudno powiedzieÄ‡, czy OĹ›rodek bierze jego rady pod uwagÄ™, bo ten sam numer pisma poĹ›wiÄ™cony jest zagadnieniom â€žpodziaĹ‚u wĹ‚adzy", nastÄ™pne zaĹ› tak abstrakcyjnym kwestiom, jak trybunaĹ‚y konstytucyjne, urzÄ…d prezydenta w krajach postkomunistycznych i â€žprojektowanie" ustrojĂłw demokratycznych.
28. Wykaz tych organizacji i informacje o ich dziaĹ‚alnoĹ›ci publikuje biuletyn â€žThird Sector", wydawany co miesiÄ…c przez moskiewskÄ… Interlegal International Foundation (Belka Technology Publishers, Moskwa 1994). O roli tych organizacji piszÄ™ dalej, w rozdziale poĹ›wiÄ™conym Rosji.

16. Dziki kapitalizm a demokracja

1. J.G. Pocock, *The Ideal of Citizenship Since Classical Times*, â€žQueen's Quarterly", wiosna 1992, s. 55.
2. Milton Friedman we wstÄ™pie do klasycznej pracy Friedricha von Hayeka *The Road to Serfdom*, University of Chicago Press, Chicago 1994.
3. Stephen Holmes okreĹ›la negatywny konstytucjonalizm jako â€žpolityczny odpowiednik libertarianizmu w ekonomii", ktĂłry w jego przekonaniu â€žmoĹĽe doĹ›Ä‡ szybko wytworzyÄ‡ nowÄ… autokracjÄ™", bo nic nie robi, by wyrĂłwnaÄ‡ niesprawiedliwoĹ›ci spoĹ‚eczeĹ„stwa rynkowego. Holmes, cyt. wyd.
4. Anarchistyczne w takim znaczeniu, ĹĽe zdaniem libertarianĂłw zĹ‚y jest kaĹĽdy rzÄ…d, zarĂłwno demokratyczny, jak i niedemokratyczny. Im silniejszy jest rzÄ…d, tym mniejszy zakres wolnoĹ›ci.
5. Warto siÄ™ zapoznaÄ‡ z dĹ‚ugÄ…, bogatÄ… tradycjÄ… krytycznej teorii politycznej, wywodzÄ…cej siÄ™ od J.J. Rousseau i J.S. Milla â€“ liberalnych demokratĂłw zaniepokojonych ekscesami i naduĹĽyciami wĹ‚asnoĹ›ci prywatnej i monopolistycznego kapitaĹ‚u. Mill w swej *Autobiografii* zajmuje szczegĂłlnie krytyczne stanowisko wobec niektĂłrych cech systemu wĹ‚asnoĹ›ci prywatnej,

chociaż w książce *O wolności* oddaje wolności hołd. Rousseau w drugiej rozprawie o nierówności przedstawia wpływ własności prywatnej na naturalną równość ludzi i cnoty obywatelskie.

Od tych wczesnych krytyków linia wiedzie do Karla Polanyiego, Johna Maynarda Keynesa i Johna Kennetha Galbraitha. Patrz na przykład: John Kenneth Galbraith, *Capitalism's Dark Shadows*, „The Washington Monthly", lipiec/sierpień 1994. Autor sugeruje, iż są w kapitalistycznej gospodarce całe grupy, jak kadra kierownicza korporacji, akcjonariusze, wolne zawody, emeryci, które wolą powolny wzrost i wysoki poziom zatrudnienia, pomimo zgubnych skutków dla większości zatrudnionych i dla samego kapitalizmu.

6. W swojej pracy *Teoria uczuć moralnych* Adam Smith pisał o zachowaniu ludzi wykraczającym poza ekonomiczną użyteczność. W *Badaniach nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* pozostawia obszerne miejsce dla władzy publicznej, która będzie odpowiedzialna za sfery edukacji, zdrowia, pomoc społeczną, roboty publiczne oraz kontrolowanie potencjalnie „spiskowych" aspektów rynku (na przykład monopoli).
7. Norman Birnbaum, *How New Is the New Germany?* Część I, „Salmagundi", nr 88–89, jesień 1990/zima 1991, s. 234–263; część II nr 90–91, wiosna/lato 1991, s. 131–178, 292–296.
8. Aleksander Sołżenicyn, *To Tame Savage Capitalism*, „The New York Times", 28 listopada 1993.
9. Andrew Schmookler odrzuca tę koncepcję w swoim dobrze udokumentowanym opracowaniu *The Illusion of Choice: How the Market Economy Shapes Our Destiny*, State University of N.Y. Press, Albany 1993. Wyznawcy ekonomicznego liberalizmu nic się jednak najwyraźniej nie nauczyli z lekcji lat dwudziestych i trzydziestych.
10. System voucherów zapoznał Amerykanów z prywatyzacją oświaty. Mniej powszechnie znany jest fakt, że 13 stanów zrzekło się swoich uprawnień dotyczących karania przestępców na rzecz spółek prywatnych w rodzaju Correction Corporation of America. Oznacza to, że firmom prywatnym „przekazano" prawie 2 procent całej populacji więziennej. Więcej jest obecnie w Stanach Zjednoczonych prywatnych ochroniarzy niż funkcjonariuszy policji. Anthony Ramirez, *Privatizing Americas's Prisons*, „The New York Times", 14 sierpnia 1994.
11. Milton i Rose Friedman, *Wolny wybór*, przeł. Jacek Kwaśniewski, Ireneusz Jakubczak, Panta, Sosnowiec 1994.
12. Jeffrey Sachs, *Poland's Jump to the Market Economy*, The MIT Press, Cambridge 1993, s. 4–5 i 57. Chociaż w Rosji zwolniono go z obowiązków (czy też, jak twierdzi, sam się zwolnił), Jeffrey Sachs nadal uchodzi za rynkowego guru w innych krajach przechodzących transformację. Krytykę koncepcji Sachsa z pozycji lewicowych zawiera artykuł Jona Wienera, *The Sachs Plan in Poland*, „The Nation", 25 czerwca 1990.
13. Robert Kuttner, *The End of Laissez-Faire: National Purpose and the Global Economy after the Cold War*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1991, s. 18. Kuttner zauważa, rzecz jasna, że „dość to osobliwe, że od 10 lat Stany Zjednoczone zachwalają doktrynę *laissez-faire*, uprawiając równocześnie perwersyjny keynesizm i nie przyznając się do tego". Chodzi o prowadzące do bankructwa poparcie dla dolara jako międzynarodowe-

go środka wymiany, wydatki na obronę prowadzące do przegrzania koniunktury i Reaganowskie obniżki podatków powiększające deficyt.

14. „The Economist", 13 marca 1993.
15. Patrz: Bruce Rich, *Mortgaging the Earth: The World Bank Environmental Impoverishment and the Crisis of Development*, Beacon Press, Boston 1994, a także Andrew Cohen, *Potemkin Environmentalism*, „The Nation", 18 lipca 1994. Bank Światowy (inaczej mówiąc Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju) po pięćdziesięciu latach istnienia przyrzeka uroczyście, że coś zrobi przynajmniej na rzecz ochrony środowiska. W oświadczeniu z 1994 roku twierdzi, że jest równie zainteresowany rozwojem człowieka i stanem środowiska, jak rozwojem czysto ekonomicznym oraz rynkiem. Thomas L. Friedman, *World Bank at 50, Vows to Do Better*, „The New York Times", 24 lipca 1994.
16. Kuttner, cyt. wyd., s. 24.
17. Thomas L. Friedman, *When Money Talks*, „The New York Times", 24 lipca 1994.
18. Ogłoszenie Republiki Czeskiej, „The New York Times", 7 stycznia 1994.
19. Holmes, cyt. wyd.
20. Walter B. Wriston, *Twilight of Sovereignty*, Scribner's, Nowy Jork 1992, s. 12.
21. Warto może przytoczyć w całości receptę Jeffreya Sachsa na reformę polskiej gospodarki (zwaną „Planem Balcerowicza"). Pięć „filarów" tej reformy przedstawia się następująco: stabilizacja makroekonomiczna mająca na celu ograniczenie rozszerzania kredytu; liberalizacja, polegająca między innymi na odejściu od centralnego planowania, kontroli cen i regulacji w handlu zagranicznym; prywatyzacja; stworzenie sieci zabezpieczenia społecznego, obejmującej m.in. zasiłki dla bezrobotnych; mobilizacja zagranicznej pomocy finansowej (Sachs, *Poland's Jump*, s. 45–46). Filaru czwartego nigdy nie zbudowano, piąty nie spełnił oczekiwanej roli, pierwsze trzy stały się więc istotą terapii szokowej. Plan taki, przy którego realizacji ignoruje się społeczeństwo obywatelskie, a reformy polityczne uznaje za coś, co zachodzi samoistnie, stał się przepisem na gotową klęskę prawie wszędzie.
23. Ludwig von Mises, *Human Action: A Treatise on Economics*, Van Nostrand, Nowy Jork 1949, s. 2. Andrew Bard Schmookler w swej przekonującej, choć przegadanej krytyce gospodarki rynkowej świetnie uchwycił złudzenia zwolenników rynku w tytule: *The Illusion of Choice* (Złudzenie wyboru). Cytowany przez Schmooklera Carl Kaysen (s. 37) daje typowy przykład pomieszania pojęć wyboru dokonywanego przez konsumenta z wolnością obywatela: „Ludzie mają określone preferencje dotyczące towarów, jakie kupują, miejsca zamieszkania i miejsca pracy, uprawianego zawodu, rodzaju hipoteki i kredytów, na jakie się decydują. Działanie rynku, pod warunkiem, że zapewniona jest wolna konkurencja, stwarza najlepsze możliwe warunki do pogodzenia tych preferencji z technicznymi możliwościami produkcji, które w kombinacji z tymi preferencjami określają, jakie miejsca pracy, towary i usługi będą dostępne". „Preferencje" nie świadczą jednak o niczym z wyjątkiem tego, na co konsument przypadkiem „ma ochotę" w danym momencie. Wybory dokonywane w sferze politycznej i społecznej nie wyrażają preferencji, lecz decyzje podjęte po namyśle, w trakcie debaty, w której obywatele

starają się wspólnie ustalić, co ich społeczność ceni i czego potrzebuje (patrz niżej).

24. Felix Rohatyn, cytowany przez T. Friedmana, *When Money Talks, Governments Listen*, „The New York Times", 24 lipca 1994.
25. Spróbujcie tylko użyć w krajach wyzwolonych spod komunizmu takich określeń, jak „obywatele", „towarzysze", „bliźni" czy „bracia". W zbyt wielu z tych krajów niepowodzenie komunistycznego „my" unicestwiło nadzieje na demokratyczne „my". W 1990 roku mer Moskwy Gawrił Popow, „reformator ekonomiczny" u boku Gorbaczowa, pisał: „Jeśli przekształcenia gospodarki mają zadziałać, musimy stworzyć skuteczny aparat zarządzający, ale masy nienawidzą wszelkiej biurokracji". Od tamtej pory ludzie dopuścili, by biurokracja okaleczyła ich zdolność do wspólnego działania mającego na celu okiełznanie dzikiego kapitalizmu. Albo, kiedy mieli już wszystkiego dosyć, ogarnęła ich tęsknota za rządem, który potrafi wszystko załatwić (zrzekliby się za to niedawno wywalczonych swobód).
26. Robert McIntyre, *Why Communism Is Rising from the Ash Heap*, „The Washington Post", 20–26 czerwca 1994. Wiele skrzywdzonych sierot po Leninie, zbyt dobrze obznajomionych z rządami stalinowskimi, uznało rząd demokratyczny za jeszcze jedną odmianę totalitaryzmu, tym groźniejszą, że kreuje się na pochodzącą z woli ludu. W sedno trafia znany rysownik Margulies, który w jednej ze swych karykatur przedstawia weterana Solidarności, który po zwycięskich wyborach z 1989 roku stojąc przed warszawskim sklepem mówi do kolegi: „Dość mam tych kolejek po chleb, braków w zaopatrzeniu, braku mieszkań. Najwyższy czas, żeby obalić ten cholerny rząd". Kolega mu przypomina: „Rząd jest w NASZYCH rękach!". „The Washington Post", 1–7 stycznia 1990, przedruk z „The Houston Post".
27. Według Schmooklera i Kuttnera rynki domagają się własnych praw własnymi metodami. Bez względu na to, czy cytowani krytycy rynku mają rację, czy też nie, rynek musi się załamać, kiedy uzurpuje sobie polityczne funkcje.
28. Oba cytaty przytacza Guillermo O'Donnell, *The Browning of Latin America*, „New Perspective Quarterly", vol. 10, jesień 1993, s. 50.

17. Kapitalizm a demokracja w Rosji

1. Peter Reddaway, *Instability and Fragmentation*, materiał z sympozjum o jakże trafnej nazwie *Is Russian Democracy Doomed?* (Czy demokracja rosyjska jest skazana na zagładę?), „Journal of Democracy", vol. 5, nr 2, kwiecień 1994, s. 16.
2. Michael McFaul, *Explaining the Vote*, s. 4.
3. John H. Fairbanks Jr., *The Politics of Resentment*, s. 41.
4. Padma Desai, *Ease Up on Russia*, „The New York Times", 10 grudnia 1993. W podobnym duchu Saul Estrin zaczyna swoją przemyślaną analizę prywatyzacji przyznając, że „prywatyzacja dawnego sektora państwowego nie jest jednak rozwiązaniem jedynym, i być może nie stanowi najlepszego sposobu na udane przejście do gospodarki rynkowej". Nie zadaje jednak pytania (i nie sposób oczekiwać, by je zadał), czy

gospodarka rynkowa jest jedyną alternatywą dla komunistycznej gospodarki nakazowej. Saul Estrin, *Privatization in Central and Eastern Europe*, Longman, Nowy Jork 1994, s. 4.

5. Tak wielu amerykańskich liberałów i postępowców poparło Gorbaczowa, że Jelcyn wolał się z początku oprzeć na bardziej konserwatywnych doradcach, m.in. na Heritage Foundation. Weteran zimnej wojny, Richard Perle zaangażowany jest obecnie we wspólne przedsięwzięcia z nowymi rosyjskimi przedsiębiorstwami zajmującymi się konwersją urządzeń militarnych! Patrz: Jim Hoagland, *The New Guest in Moscow*, „The International Herald Tribune", 1 kwietnia 1992.
6. Margaret Shapiro, Fred Hiatt, *The Agony of Reform*, „The Washington Post", 14–20 marca 1994.
7. Michael Specter, *The Great Russia Will Live Again*, „The New York Times Magazine", 19 czerwca 1994.
8. Celestine Bohlen, *Russia's New Rich on a Giant Buying Spree*, „The New York Times", 31 sierpnia 1993.
9. Raport Associated Press, *Russia's Reckless Capitalism*, „The Berkshire Eagle", 4 sierpnia 1994.
10. Specter, cyt. wyd.
11. David M. Kotz, *The End of the Market Romance*, „The Nation", 28 lutego 1994.
12. Melvin Fagen, *Russia: Shock Therapy Isn't the Way to Promote Democracy*, „The International Herald Tribune", 12 maja 1992.
13. James Sterngold, *Summit in Tokyo: Yeltsin Arrives in Tokie as Aid Plan Is Prepared*, „The New York Times", 9 lipca 1993.
14. Joseph Blasi, *Privatizing Russia – A Success Story*, „The New York Times", 30 czerwca 1994.
15. Patrz: Louis Uchitelle, *In the New Russia, an Era of Takeovers*, „The New York Times", 17 kwietnia 1994. Jest to „świat inwestorów bardziej zainteresowanych wykupieniem Korporacji Rosyjskiej za ułamek wartości niż naprawieniem tego, co posiadają".
16. Liesl Schillinger, *Uneasy Rider*, „The New Republic", 19 kwietnia 1993.
17. Michael Dobbs, Steve Coll, *The Free Market Ugly Face*, „The Washington Post", 1–7 marca 1993. Patrz też: *From Russia with Cash*, „The Washington Post", 15–21 lutego 1993. W złagodzonej formie przedstawiają to zjawisko A. Bim, D. Jones i T. Weisskopf, *Privatization in the Former Soviet Union and the New Russia*. Skupiając się na aspektach ekonomicznych, piszą m.in.: „przewaga poufnej kontroli prywatyzowanych przedsiębiorstw w dzisiejszej Rosji jest nie tylko wyrazem taktycznych problemów, jakie napotykają radykalni reformatorzy, ale i pragnienia stabilizacji i bezpieczeństwa, jakie nurtuje znaczną część społeczeństwa rosyjskiego". Estrin, cyt. wyd., s. 274.
18. Bill Gifford, *Art of the Zdyelka*, „The New Republic", 28 lutego 1994. Gifford opisuje skok kursu rubla do dolara – z 1250 rubli za dolara 1 stycznia 1994, do 1800 w trzy tygodnie później i 2174 w lipcu tegoż roku. Plan prywatyzacji przewidywał, że każdy Rosjanin otrzyma świadectwa udziałowe (talony) wartości 10 000 rubli (równowartość dwutygodniowych zarobków górnika, 10 worków kartofli, 3 skrzynek wódki albo – w przeliczeniu na dolary – 10 filiżanek kawy na Zachodzie). Wartość tych świadectw ustalono dzieląc kapitał trwały oceniany na 1,4 biliona

rubli przez 150 mln mieszkańców Rosji. Prywatyzacji miały podlegać przedsiębiorstwa zatrudniające ponad tysiąc pracowników albo o kapitale trwałym w wysokości 50 mln rubli. Bill Gifford, *Russian Citizens to Get Share*, „The New York Times", 1 października 1992.

19. Patrz Wendy Carlin, Colin Mayer, *The Treuhandanstalt: Privatization by State and Market*, opracowanie przedstawione na konferencji poświęconej transformacji w Europie Wschodniej, zorganizowanej przez National Bureau of Economics Resource, Cambridge, 26–29 lutego 1992. Carlin na przykład przyznaje, że niemiecki urząd prywatyzacji (Treuhandanstalt) także likwidował miejsca pracy, by zapanować nad własnymi wydatkami. Nikt się szczególnie nie interesował skutkami tych praktyk dla milionów wschodnioniemieckich pracowników, którzy mieli zostać włączeni w społeczny system zachodnioniemieckiej demokracji.
20. Wyniki wyborów z 12 grudnia 1993 roku przedstawiały się następująco:

Partia	procent głosów	liczba miejsc
Liberalni Demokraci (skrajni nacjonaliści)	22,79	59
Wybór Rosji (reformiści)	15,38	40
Partia Komunistyczna	12,35	32
Kobiety Rosji (centrystki)	8,10	21
Partia Agrarna (komunistyczno-chłopska)	7,90	21
Partia Reformy Jawlińskiego-Bołdyriewa-Łukina	7,83	20
Rosyjska Partia Jedności i Zgody (reformatorska)	6,76	18
Partia Demokratyczna (centryści)	5,5	14

21. Tylko w Albanii, Armenii, w Republice Czeskiej, Estonii i na Litwie komuniści nie weszli do władz.
22. *Every Man a Tzar*, „The New Yorker", vol. 69, 27 grudnia 1993.
23. O ekologicznych kosztach transformacji piszą Murral Feshbach i Alfred Friendly Jr., *Ecocide in the USSR: Health and Nature under Siege*, Basic Books, Nowy Jork 1992, s. 565–566. Problemem jest nie tyle narastające skażenie środowiska, co brak ekonomicznych możliwości usunięcia zanieczyszczeń pozostawionych przez reżim sowiecki. Elektrownia w Czernobylu (wciąż czynna) i Bajkał to najbardziej znane przykłady tego, jak czynniki ekonomiczne blokują prawidłową ekologiczną politykę, będącą wytworem nowej gospodarki rynkowej.
24. Michael Specter, *Climb in Russia's Death Rate*, „The New York Times", 6 marca 1994. Na skracanie się przeciętnej długości życia ma wpływ ponowne pojawienie się takich chorób, jak cholera i gruźlica, a także ponure żniwo zbierane przez alkoholizm i przestępczość wśród męskiej populacji Rosji. Wódka, którą i carowie, i komisarze szczodrze poili społeczeństwo, jest jedynym chyba towarem spożywczym, który można nabyć po rozsądnej cenie (dolar za butelkę).
25. Czytelnicy, którzy chcieliby sprawdzić te uogólnienia, mogą sięgnąć po publikację UNICEF *Crisis in Mortality, Health and Nutrition*, raport o sytuacji zdrowotnej w Rosji, Albanii, Bułgarii, Republice Czeskiej, na Słowacji, na Węgrzech, w Polsce, Rumunii i na Ukrainie. Zdaniem dyrektora UNICEF Jamesa P. Granta „to pogorszenie się stanu zdrowia

nie ma precedensu w historii Europy w okresach pokoju w naszym stuleciu. (...) Niewątpliwie podkopuje to polityczne poparcie dla reform". Barbara Crosette, *U.N. Study Finds a Free Eastern Europe Less Healthy*, „The New York Times", 7 października 1994.

26. Claire Sterling, *Redfellas*, „The New Republic", 11 kwietnia 1994. Również nowa książka tejże autorki *Thieves' World: The Threat of the New Global Network of Organized Crime*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1994.
27. Celestine Bohlen, *Russian Mobsters Grow More Violent and Pervasive*, „The New York Times", 16 sierpnia 1993.
28. Serge Schmemann, *Russia Lurches into Reform*, „The New York Times", 20 lutego 1990.
29. Nawet zagraniczne firmy stały się od niedawna obiektem ataków, a przezorni inwestorzy muszą utrzymywać dobrze uzbrojoną ochronę. Oszczędzono tylko symbole McŚwiata – McDonalda i Coca-Colę, nie dlatego, żeby były totemami, ale ze względu na opinię publiczną (ponieważ są totemami!). Michael Specter, *US Business and the Russian Mob*, „The New York Times", 8 lipca 1994.
30. Oto, co pisały „Izwiestia" na temat środków zaradczych popieranych w parlamencie wyłącznie przez partię Żyrinowskiego: „Ilekroć Rosja chciała coś zrobić dla dobra państwa, kończyło się to terrorem politycznym, dyktaturą i nadzwyczajnymi pełnomocnictwami dla nadzwyczajnych organów". David Gurevich zapytuje nawet: „Czyżby nie było trzeciej drogi między Władimirem Żyrinowskim a Michaelem Corleone?" – *The MOB – Today's K.G.B.*, „The New York Times", 19 lutego 1994. Nie ma jak dotąd jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.
31. Andrew Solomon, *Young Russia's Defiant Decadence*, „The New York Times Magazine", 18 lipca 1993. Solomon pisze o tym również w swojej książce *The Irony Tower: Soviet Artists in a Time of Glasnost*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1991.
32. Janusz Głowacki, *Given the Realities It's Impossible to Be Absurd*, „The New York Times", 19 września 1993. Głowacki jest autorem sztuki *Antygona w Nowym Jorku*. Pewien pisarz, z którym Głowacki przeprowadza wywiad, skarży się: „Najgorsze, że nie ma już cenzury. Kiedy wszystko wolno, człowiek nie ma ochoty pisać". Przypomina to paradoksalną wypowiedź Sartre'a o poczuciu wolności pod hitlerowską okupacją.
33. Liesl Schillinger, *Barbski*, „The New Republic", 20 września 1993.
34. Patrz: William Schmidt, *Moscow Journal: West Sets Up Store and the Russians Are Seduced*, „The New York Times", 27 września 1991.
35. David Lempert, *Changing Russian Political Culture in the 1990's – Parasites, Paradigms, and Perestroika*, „Journal for the Comparative Study of Society and History", vol. 35, nr 3, lipiec 1993, s. 628–646.
36. Cytowane przez Andrew Solomona, *Defiant Decadence*.
37. *Russian Gadfly From TV to Politics*, „The New York Times", 26 grudnia 1993.
38. Cytowane przez Margaret Shapiro i Freda Hiatta, *The Agony of Reform*, „The Washington Post", 14–20 marca 1994.
39. W wywiadzie *L'ecrivain international choisit la Grande Russie*, „Liberation", 6 kwietnia 1992.

40. Cytowane przez Davida M. Kotza, *The End of the Market Romance*, „The Nation", 28 lutego 1994.
41. Cytowane w „The Washington Post", 5–11 kwietnia 1993.
42. Michael Scammell, *What's Good for the Mafia Is Good for Russia*, „The New York Times", 26 grudnia 1993.
43. Byłaby to swojego rodzaju demokracja, bo „Rosjanie przywykli do silnej odgórnej kontroli. Gdyby panowanie mafijnej biurokracji miało oznaczać przywrócenie względnego porządku, jaki wielu ludziom odpowiadał pod rządami komunistów, wielu by na to przystało". Nikolai Zlobin, *The Mafiacracy Takes Over*, „The New York Times", 26 lipca 1994.
44. Zlobina, jak innych entuzjastów porządku za wszelką cenę, ucieszy wiadomość, że jego zdanie podziela jeden przynajmniej przestępca wysokiej klasy: „To mafia trzyma ten kraj. Zapewniamy strukturę, a kiedy przejmujemy jakąś firmę, taka firma działa. Robimy dobrą robotę". Andrew Solomon, cyt. wyd.
45. Borys Jelcyn, wystąpienie przed Zgromadzeniem Federalnym, 24 lutego 1994.
46. Wywiad S.F. Cohena, *What Is Really Happening in Russia?*, „The Nation", 2 marca 1992.

18. Kolonizacja Niemiec Wschodnich przez McŚwiat

1. Na plakacie Chrześcijańskich Demokratów widnieje hasło: „Do przyszłości, ale bez czerwonych skarpetek". Zwolennicy Kohla, wykorzystując dwuznaczność jego nazwiska (Kohl to po niemiecku „kapusta", a także „forsa") skandowali: „Keine Kohl ohne Kohl" – „Nie będzie forsy bez Kohla".
2. Peter Rossman, *Dashed Hope for a New Socialism*, „The Nation", 7 maja 1990.
3. „Tageszeitung", 4 sierpnia 1990.
4. Dziesiątki tysięcy urzędników skażonych współpracą z nazistami potrafiło się szybko znaleźć w aparacie administracyjnym nowej Republiki Federalnej. Jak przypomina Norman Birnbaum, zbrodniarz wojenny marszałek Kesselring natychmiast po odbyciu kary objął stanowisko wojskowego doradcy kanclerza Adenauera, a dr Hans Globke, autor komentarza do Ustaw Norymberskich, został szefem jego gabinetu. Norman Birnbaum, *How New the New Germany*, część I, „Salmagundi", nr 88–89, jesień 1990/zima 1991.
5. Pastor z katedry Martina Lutra w Wittenberdze złośliwie zauważył, że podczas rozprawy z byłymi funkcjonariuszami NRD „najwięksi tchórze teraz najgłośniej domagają się odwetu". Birnbaum, cyt. wyd.
6. Ferdinand Protzman, *Privatization in East Is Wearing to Germans*, „The New York Times", 12 sierpnia 1994. Jak podaje raport opublikowany w „The International Herald Tribune", Treuhand sprzedał 247 zakładów chemicznych (pozostało kilkanaście – do sprzedania lub likwidacji), 181 stalowni (zostało 25), 238 hut żelaza i metali nieżelaznych (zostało 16), 1060 fabryk obrabiarek (zostało 54), 490 firm elektronicznych (zostało 14), 512 zakładów tekstylnych (zostało 19) i 1017 przedsiębiorstw budowlanych (zostało tylko 7). Sprzedawano je głównie nabywcom z Za-

chodu, ale część zwrócono także dawnym właścicielom, a część zamknięto. Większość miejsc pracy zlikwidowano w ramach redukcji, żeby sprzedawane przedsiębiorstwa były bardziej atrakcyjne dla nowych inwestorów.

7. „The Week in Germany", 15 lipca 1994. Pierwszy dyrektor Treuhandu, Detlev Rohwedder, został zamordowany 1 kwietnia 1991 roku. Funkcję tę objęła Birgit Breuel.
8. Nawet trzeźwi ekonomiści z kręgów naukowych, niezaangażowani politycznie, jak Wolfgang Siebel, ostrzegali, że traktat o zjednoczeniu, pomimo ogromnego transferu środków finansowych do Niemiec Wschodnich, „opiera się na błędnej finansowej podstawie". Wolfgang Siebel, *Necessary Illusions: The Transformation of Governance Structures in the New Germany*, „The Tocqueville Review", vol. 13, nr 1, 1992, s. 179–199. Choć transferowane sumy wynosiły prawie jedną trzecią budżetu federalnego (około 9500 marek zachodnioniemieckich na 1 mieszkańca Niemiec Wschodnich), „większość nie jest przeznaczona na inwestycje produkcyjne. 62 procent idzie na cele społeczne, jak zasiłki dla bezrobotnych i dopłaty do budownictwa mieszkaniowego". Subsydia te stanowią prawie 70 procent produktu narodowego brutto Niemiec Wschodnich i można je porównać z Planem Marshalla z 1947 roku (przypadło wtedy mniej więcej 800 marek na głowę).
9. Siebel, cyt. wyd. Saksonia, Meklemburgia, Branderburgia, Saksonia-Anhalt i Turyngia to wschodnie landy utworzone na podstawie dawnych prowincji zlikwidowanych przez komunistów w 1947 roku. Siebel dochodzi do wniosku, że prywatyzacja w Niemczech „podkopuje ostatecznie podstawy zdrowej polityki finansowej w skali lokalnej. Gminom pozostawiono tylko te programy, które pociągają za sobą straty finansowe, co z kolei podważa polityczną i administracyjną wiarygodność całej administracji lokalnej", tamże, s. 187. Zdaniem Siebela, histeria rozpętana wokół dawnych komunistycznych organizacji społecznych „sprawia wrażenie psychologicznej kompensaty za nieumiejętność odpowiedniego poradzenia sobie z materialnymi skutkami unifikacji w sferze politycznej". Tamże, s. 189.
10. Stephen Kinzer, *German Neocommunists Surging, Capture a City Hall*, „The New York Times", 29 czerwca 1994. Partia Demokratycznego Socjalizmu ma 130 000 zdyscyplinowanych członków, z których może 90 procent było wcześniej komunistami, a 20 000 zalicza się do partyjnego betonu. Gregor Gysi, członek parlamentu, ma telegeniczną osobowość i jest inteligentnym liderem politycznym. Hans Modrow, ostatni przywódca NRD, pełni funkcję honorowego przewodniczącego.
11. Stephen Kinzer, *Group Is Formed to Defend East German Interests*, „The New York Times", 12 lipca 1992. Patrz też: Kinzer, *In Germany Too, an Effort to Mobilize Political Outsiders*, „The New York Times", 19 lipca 1992.
12. Kinzer, *Group Is Formed.*
13. „Ludzie, z którymi pracowałam, chcieli zreformować Niemcy Wschodnie. Nigdy nie wyobrażaliśmy sobie, że kraj przestanie istnieć i zostanie wchłonięty przez Zachód" – stwierdziła Bohley. Stephen Kinzer, *Berlin Journal: One More Wall to Smash: Arrogance in the West*, „The New York Times", 12 sierpnia 1992.

14. Catarina Kennedy-Bannier, *Berliners*, „The New Republic", 18–25 lipca 1994.
15. Stephen Kinzer, *Luckenwalde Journal: In East Germany, Bad Ol' Days Now Look Good*, „The New York Times", 27 sierpnia 1994.
16. Cytowane przez Margaret Talbot, *Back to the Future, Pining for the Old Days in Germany*, „The New Republic", 18–25 lipca 1994.
17. Tamże.
18. Wschodni Niemcy byli niegdyś miłośnikami książek, może dlatego inteligenccy przywódcy Neues Forum zyskali tylu zwolenników. Pierwsze wydania osiągały półmilionowe nakłady, debiuty poetyckie drukowano w 20 000 egzemplarzy. Wszystko to już przeszłość. Wschodni Niemcy nadal stanowią jedną piątą ludności całych Niemiec, ale kupują mniej niż 2 procent książek. Pisarze z NRD, uważając się za dysydentów, działali na rzecz wymarzonej wizji swojego kraju. Według Stefana Heyma, pisarza pochodzenia żydowskiego, który uciekł przed Hitlerem, walczył w armii amerykańskiej, a za czasów komunistycznego reżimu był dysydentem, nowe pokolenie pisarzy ulepione jest z całkiem innej gliny: „Nie uważają się za Niemców Wschodnich, ale za pisarzy żyjących w Niemczech".
19. Roger Cohen, *High Hopes Fade at East European Newspapers*, „The New York Times", 28 grudnia 1993.
20. Tamże.
21. Dane statystyczne i cytat za: *The Population Plunge That's Wracking Eastern Germany*, „Business Week", 29 sierpnia 1994. „Business Week" zauważa, iż „takie zmiany nie mają precedensu w kraju uprzemysłowionym w czasie pokoju".

19. Zapewnienie globalnej demokracji w świecie McŚwiata

1. Walter B. Wriston, *Twilight of Sovereignty*, Scribner's, Nowy Jork 1992, s. 170, 176. Zdaniem tego autora „nowoczesna technologia informacyjna zmusza państwa narodowe do współpracy, żeby można było wykonać pracę, która jest na świecie do zrobienia".
2. Zachodni dyplomata pracujący w Chinach stwierdza: „Chińskie władze doszły do wniosku, co, jak sądzę, jest całkiem logiczne, że nie są w stanie całkowicie odciąć dostępu do telewizji satelitarnej, bez względu na zagrożenie, jakie ona niesie. Nie mamy tu na myśli garstki dysydentów. Setki tysięcy Chińczyków zainwestowały w te talerze oszczędności całego życia i gdyby władze naprawdę chciały usunąć anteny, reakcja byłaby bardzo gwałtowna". W Iranie „Teheran Times" pisze: „Usunięcie anten satelitarnych nie rozwiąże problemu kulturalnej inwazji". Oba cytaty za Philipem Shenonem, *A Repressed World Says „Beam Me Up"*, „The New York Times", 11 września 1994. Niebezpieczeństwem nie jest propaganda polityczna, ale miazmaty kultury masowej. Murdoch bez oporu odłączył BBC World Service od programów nadawanych do Chin, w Iranie zaś problemem nie jest CNN, lecz *Dynastia*, najchętniej oglądany program w dzisiejszym Teheranie.
3. Robert Reich, *Work of Nations*, rozdział 23, „The New Community".
4. Brock, *Telecommunications Policy*, Harvard University Press, Cambridge 1994.

5. Channel One dociera aktualnie do 12 000 szkół średnich niższego i wyższego stopnia. Nieodpłatnie zaopatruje szkoły (przeważnie będące w potrzebie) w telewizory, magnetowidy i anteny satelitarne. W zamian za to ma prawo do nadawania dwóch minut wiadomości, dwóch minut reklam i ośmiu minut inforozrywki podczas godzin lekcyjnych. Pół minuty czasu antenowego kosztuje do 195 000 dolarów. Channel One przyciągnął wiele korporacji McŚwiata, w tym Pepsi i Reeboka. Chris Whittle sprzedał go z zyskiem wydawcy publikacji oświatowych, K-III.
6. J.G.A. Pocock, *The Ideal of Citizenship Since Classical Times*, „Queen's Quarterly", wiosna 1992, s. 55.
7. Neil Postman, *Technopol: triumf techniki nad kulturą*, przeł. Anna Tanalska-Dulęba, PIW, Warszawa 1995.
8. Pocock, cyt. wyd.
9. Zbigniew Brzeziński, *Out of Control: Global Turmoil on the Eve of the Twenty-First Century*, Scribner's, Nowy Jork 1993, s. 73. Zdaniem Sołżenicyna, „dawny kryzys sensu życia i próżnia duchowa (która jeszcze się pogłębiła w latach zagrożenia nuklearnego) przejawiają się coraz dobitniej w nowej epoce zanikania samodyscypliny". Sołżenicyn, *To Tame Savage Capitalism*, „The New York Times", 28 listopada 1993.
10. Cytowane przez Dirka Johnsona, *It's Not Hip to Stay, Say Small-Town Youth*, „The New York Times", 5 września 1994. Tymczasem nastolatki, dawni poddani komisarzy, uwiedzeni tym samym syrenim głosem McŚwiata, tłumnie napływają do nowych punkowych klubów, jak Tam-Tam, na Światowy Festiwal Dżinsów w St. Petersburgu i na Cokefest w Moskwie, są też wdzięcznym audytorium nowych stacji radiowych, specjalizujących się w Annie Lennox, Cyndi Lauper i Urban Cookie Collective. „Nastawiamy się na młodych dorosłych – stwierdza szef jednej z najpopularniejszych moskiewskich rozgłośni – nadajemy to, czego ludzie chcą słuchać, a nie jest to opera, proszę mi wierzyć". Nie jest to nawet rosyjski rock (Rosjanie nie podzielają upodobania Niemców Wschodnich do lokalnych zespołów). „Wciskanie naszych wykonawców między Prince'a i UB40 byłoby niedźwiedzią przysługą. To naprawdę nie ten poziom". Michael Specter, *Could We Tell Tchaikovsky This News?*, „The New York Times", 20 lutego 1994. W Moskwie została tylko jedna stacja nadająca muzykę klasyczną. Tłumaczono to prawie tak samo jak podobną sytuację w Nowym Jorku.
11. Vaclav Havel, *Summer Meditations*, przeł. Paul Wilson, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1992, s. 6.
12. Robert Putnam, *Bowling Alone: America's Declining Social Capital*, „Journal of Democracy", vol. 6, nr 1, styczeń 1995, s. 65.
13. Harry Boyte, Sara Evans, *Free Spaces: The Sources of Democratic Changes in America*, Univeristy of Chicago Press, Chicago 1992.
14. John Dewey, *The Public and Its Problem*, Henry Holt and Company, Nowy Jork 1927, s. 137.
15. Joshua Muravchik, *Exporting Democracy: Fulfilling America's Destiny*, American Enterprise Institute Press, Waszyngton 1994.
16. Demokracja wymaga cierpliwości, elastyczności i właściwego architektowi poczucia miejsca. Nie może być w gotowej postaci dostarczona narodom nieprzygotowanym do wprowadzenia jej w życie. Jan Jakub Rousseau ostrzegał: „Podobnie jak przed wzniesieniem gmachu budowniczy bada

i rozpoznaje grunt, aby przekonać się, czy zdoła on utrzymać ciężar, mądry prawodawca nie zaczyna od układania ustaw dobrych samych przez się, ale uprzednio sprawdza, czy lud, dla którego je przeznacza, potrafi im sprostać" (J.J. Rousseau, *Umowa społeczna*, przełożył Antoni Peretiakowicz, w: *Umowa społeczna* i *Uwagi o rządzie polskim*, wyd. cyt., s. 53, rozdział 8).
17. David B. Truman, *The Governmental Process*, Institute of Governmental Studies, Berkeley 1951, s. 51.
18. Powstała nowa organizacja międzynarodowa o nazwie CIVICUS, która ma stworzyć ramy dla współdziałania ponadnarodowych organizacji pozarządowych. Patrz także: Peter J. Spiro, *New Global Communities: Nongovernmental Organizations in International Decision-Making Institutions*, „The Washington Quarterly", 18:1, zima 1995, s. 45–56.
19. Thomas Jefferson, list do Josepha C. Cabella, 2 lutego 1816.
20. Regis Debray ostrzega: „Amerykańska monokultura wróży światu ponurą przyszłość: przemianę naszej planety w jeden wielki supermarket, gdzie ludzie będą musieli wybierać albo lokalnego ajatollaha, albo coca-colę". Cytowane przez Rogera Cohena, *Aux Armes, France Rallies*, „The New York Times", 2 stycznia 1994.

Posłowie

1. Cytowane w: David Brooks, *Buchananism: An Intelectual Cause*, „The Weekly Standard", 11 marca 1996.
2. Phil Patton, *Now It's the Cars That Make the Characters Go*, „The New York Times", 21 kwietnia 1996.
3. Glenn Collins, *Coke Drops Domestic and Goes One World*, „The New York Times", 13 stycznia 1996.
4. „Walt Disney Company pomaga budować jedną z najbardziej niezwykłych w naszym kraju szkół publicznych. Będzie to model szkoły XXI wieku, laboratorium, gdzie klasy zostaną połączone światłowodami z domami wszystkich uczniów. Najbardziej niezwykłe jest jednak to, że szkoła zostanie również podłączona do pobliskiej uczelni kształcącej nauczycieli, dzięki czemu Disney zarobi masę pieniędzy. Przy pomocy uczelni i szkoły będzie bowiem opracowywać edukacyjne filmy wideo, oprogramowanie i inne produkty, do sprzedaży w całym kraju". Mary Jordan, *This School's No Mickey Mouse Operation*, „The Washington Post", 25–31 lipca 1995. W miasteczku Celebration na Florydzie (tam powstanie szkoła) będzie 800 domów, szpital, straż pożarna, jezioro, zajazd, fryzjer, kościoły, kina i lodziarnie. Disney otworzył także komercyjny ośrodek kulturalno-edukacyjny – The Disney Institute. Tymczasem poprzez swoją sekcję w telewizji ABC wytwórnia Disneya zwolniła wywołujących kontrowersje gospodarzy talk-show, z prawa i z lewa. W 1995 roku wymówienie dostał Jim Hightower, a w 1996 Alan Dershowitz i Bob Grant-Dershowitz za to, że nazwał Granta rasistą, a Grant – ponieważ jest rasistą!
5. Patrz *Swimming to Seattle*, „Newsweek", 20 maja 1996; Ken Auletta zamieścił duży materiał o Kinsleyu i Gatesie w „The New Yorker", 8 kwietnia 1996.

6. Cytowane przez Thomasa L. Friedmana, *Revolt of the Wannabes*, „The New York Times", 7 lutego 1996.
7. Nawet naziści uprawiali tę grę umieszczając nad bramą obozu koncentracyjnego napis „Arbeit macht frei".
8. Patrz na przykład: Fareed Zakaria, *Paris Is Burning*, „The New Republic", 22 stycznia 1996.
9. Tamże.
10. Benjamin R. Barber, *From Disney World to Disney's World*, „The New York Times", 1 sierpnia 1996.
11. Patrz na przykład: Philip Gourevitch, *Misfortune Tellers*, „The New Yorker", kwiecień 1996.
12. Wystąpienie prezydenta Clintona 7 września 1995 roku podczas śniadania wydanego dla przywódców wspólnot religijnych w Waszyngtonie.



Spis treści

Przedmowa 3

CZĘŚĆ I. Nowy świat McŚwiata

1 Stary system gospodarczy i narodziny nowego McŚwiata 31
2 Zasoby naturalne: koniec autarkii i zmierzch Zachodu 44
3 Sektor przemysłowy i rosnąca potęga Wschodu 63
4 Od dóbr materialnych do niematerialnych 74
5 Od towarów niematerialnych do usług 93
6 Hollyworld: wideologia McŚwiata 112
7 Telewizja i MTV: hałaśliwa dusza McŚwiata 127
8 Teleliteratura i parki tematyczne McŚwiata 148
9 Do kogo należy McŚwiat? 172

CZĘŚĆ II. Stary świat Dżihadu

10 Dżihad kontra McŚwiat czy Dżihad poprzez McŚwiat? 193
11 Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje” 212
12 Chiny i niekoniecznie demokratyczne wybrzeże Pacyfiku 232
13 Dżihad wewnątrz McŚwiata: „Demokracje okresu przejściowego” 247
14 Dżihad właściwy: islam i fundamentalizm 260

CZĘŚĆ III. Dżihad kontra McŚwiat

15 Dżihad i McŚwiat w warunkach Nowego Nieładu Światowego 279

16 Dziki kapitalizm a demokracja 302
17 Kapitalizm a demokracja w Rosji 316
18 Kolonizacja Niemiec Wschodnich przez McŚwiat 333
19 Zapewnienie globalnej demokracji w świecie McŚwiata 343
Posłowie 375
Aneks A 389
Aneks B 391
Przypisy 395

Seria Spectrum

Dotychczas ukazały się:

Gabriel García Márquez	Szarańcza
Iris Murdoch	Czarny książę
Gabriel García Márquez	Nie ma kto pisać do pułkownika
José Ortega y Gasset	Bunt mas
Patrick White	Przepaska z liści
Miguel de Cervantes Saavedra	Don Kichot
Zenon Kosidowski	Opowieści biblijne
Graham Greene	Nasz człowiek w Hawanie
Italo Calvino	Opowieści kosmikomiczne
Kate Saunders, Peter Stanford	Katolicy i seks
David Riesman	Samotny tłum
Antoni Kępiński	Melancholia
Maurice Druon	Żądza życia
José Ortega y Gasset	Dehumanizacja sztuki i inne eseje
Maurice Druon	Król z żelaza
Edward T. Hall	Ukryty wymiar
Alvin i Heidi Toffler	Wojna i antywojna
Maurice Druon	Zamordowana królowa
Konrad Lorenz	... rozmawiał z bydlętami, ptakami, rybami...
Erich Fromm	O sztuce miłości

W przygotowaniu:

Maurice Druon	Trucizna królewska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
00-590 Warszawa, ul. Marszałkowska 8
tel. (0-22) 827 72 36, 621 50 58
Dział zamówień: (0-22) 628 61 87

Warszawa 1997
Wydanie I

Skład i łamanie: MUZA SA
Przygotowanie do druku: P.U.P. Arspol, Bydgoszcz
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa SA, Łódź

spectrum

Złoty łuk McDonalda pojawia się w coraz to nowych zakątkach globu... Bojownicy wojen domowych po obu stronach różnych frontów noszą takie same adidasy i słuchają z walkmana tych samych przebojów... Fundamentaliści knują wirtualne spiski w Internecie... Te paradoksy współczesnego świata analizuje Benjamin R. Barber, dyrektor Ośrodka Kultury i Polityki Demokracji im. Walta Whitmana na Rutgers University, doradca prezydenta Clintona.
W błyskotliwej, napisanej z polemiczną pasją książce wykazuje, że procesy globalizacji (McŚwiat) i tendencje separatystyczne (Dżihad) oddziaływują na siebie i napędzają się wzajemnie.
Prawdziwą bohaterką tej książki jest jednak demokracja, zagrożona zarówno przez wszelkiego rodzaju fundamentalizmy, jak i przez wolny rynek, rządzący się bezwzględną logiką zysku.
Czy między Dżihadem a McŚwiatem znajdzie się miejsce dla społeczeństwa obywatelskiego? Benjamin R. Barber mimo wszystko nie traci optymizmu.

